

Carskie źródło

Bułyczow Kirył



calibre 0.9.43

Kir Bułyczow

Carskie źródło

tłumaczyli Agnieszka Chodkowska–Gyurics Tadeusz Gosk

Carskie źródło

Dawno temu, bo za cara Aleksieja Michajłowicza, Niżniesotwińsk o mało co nie stał się prawdziwym miastem. Niestety, inne uralskie miasta odebrały mu i mieszkańców, i znaczenie. Geolodzy nie znaleźli żelaza ani szlachetnych kamieni, a kolej poprowadzono o sto wiorst dalej. I tak oto zapomniany i zaniedbany Niżniesotwińsk dotrwał do naszych czasów, ledwie osiągnąwszy jako taką pozycję w rejonie.

Gdy tylko Ella Stiepanowna wysiadła z zakurzonego autobusu na centralnym placu, od razu poczuła współczucie dla tej miściny. Wydał jej się podobny do starej panny, która nie ma już żadnej nadziei na szczęście.

Ella Stiepanowna poprawiała niepokorne, rudawe włosy i odwróciła się w stronę autobusu, obawiając się, że Andriusza i Benjamin czegoś zapomną. Inni gubili rzeczy, a jej, niestety, przypadło w udziale pilnowanie porządku.

Na rozmiękły od gorąca, połatany asfalt lekko zeskoczył Andriusza z dwoma walizkami i przewieszoną przez ramię gitarą. Ella pomyślała, że — na miejscu jego matki — kazałaby mu się ostrzec. Wypalone słońcem, sięgające do ramion kudły, w połączeniu z dziurawymi, poprzecieranymi dżinsami nie zachęcały, aby zaufać ich właścicielowi.

Andriusza postawił walizki na asfalcie, głęboko westchnął, leniwym spojrzeniem omiół plac otoczony jednopiętrowymi domami w różnym wieku i stanie.

— Pomóż koledze — powiedziała Ella Stiepanowna. Benjamin utknął akurat w drzwiach autobusu, starał się uwolnić zaklinowany plecak, nie tracąc przy tym poczucia własnej godności. Był skrajnym egoistą i wszystko przyjmował bardzo emocjonalnie, jak przystało na doktoranta, który wspaniale gra w szachy i całe życie marzył o tym, by zostać bokserem.

Andriej, zamiast pomóc starszemu koledze, zaczął głupio chichotać. Na szczęście staruszka, której też pilno było wysiąść, silnie pchnęła Benka w plecy tak, że ten wyleciał prosto w objęcia Andriusza. Wyrwał się natychmiast i już zamierzał się obrazić, gdy Ella Stiepanowna nie dopuściła do tego, pytając:

— Gdzie jest niebieska torba?

— Wiedziałem... — burknął Andriusza i wrócił do autobusu.

Po półgodzinie członkowie ekspedycji etnograficznej siedzieli w stołówce podległej niżniesotwińskiemu zarządowi zbiorowego żywienia, jedli pierogi i rozmyślali, co dalej robić.

Ostatnie osiemdziesiąt kilometrów drogi do Potoków Połujechtowa okazało się najtrudniejszym odcinkiem trzystu — kilometrowej podróży. Nie jeździły tam autobusy, nie udało się złapać okazji.

Przysiadł się do nich życzliwy tubylec, Grisza Pantalejew, w białej, miękkiej czapce bez daszka. Okazało się, że był pesymistą.

— Nie — powiedział, siorbiąc ciepłe piwo — do Potoków nie dojedziecie. Nie ma szans. Mówię wam. Lepiej już wrócić do Swierdłowska. Pamiętam, kiedyś wybrałem się do Potoków po

maliny, a są tam wielkie jak jabłka, trzy dni czekałem, żadna okazja się nie nadarzyła. I wam też nie radzę.

— A co, samochody tam nie jeżdżą? — spytała Ella Stiepanowna, przekonana, że auta jeżdżą wszędzie.

— Jeżdżą — zgodził się Grisza. — Szczerze powiem, że jeżdżą. Mleko stamtąd przywożą, do spółdzielni koronczarek samochód jeździ. W tym miesiącu była kontrola skarbowa i też jeździli samochodem.

— Dlaczego kontrola? — zapytał Andriusza. — Kradną?

Pantalejew popatrzył zmęczonym wzrokiem na kudły Andriuszy i odpowiedział Elli Stiepanownie:

— Naród tam ciemny. To już trzecia taka awantura. Mleko przywiożą, a wylać się go nie da.

— Skwaśniałe? — spytał Andriusza.

— Masło — Pantalejew odpowiedział Elli. — Samo masło. Na pewno jakiś szkodnik społeczny.

— Droga kiepska — powiedział Benjamin. — Następuje rozdzielenie tłuszczów.

— Droga jest równa — sprzeciwił się Pantalejew. — Na pewno kradną po drodze. Ich żurawinę widzieliście? Wielka jak pomidory. I do czego taka żurawina?

— A dzisiaj już nie będzie żadnego samochodu? — zapytał Benjamin.

Pantalejew akceptował Benjaminą, bo ten był w okularach.

— Tam nie ma po co jechać — odpowiedział. — Jeśli zbieracie przyśpiewki i bajki, zostańcie tutaj. Posiedzimy, porozmawiamy, zobaczycie, jakie piosenki wam zaśpiewam! Chcecie, to zaśpiewam? Macie magnetofon?

— Dziękuję, nie trzeba — cierpliwie odpowiedziała Ella Stiepanowna. — Nizniesotwińsk jest już zbadany. Nas interesuje folklor Potoków Połujechtowa.

— To ostatnia „biała plama” na etnograficznej mapie Uralu — dodał Benjamin.

— Rozumiem — powiedział Pantalejew. — Ale co tu jest do rozumienia? Niech zostanie „białą plamą”. Nie ma co go żałować. Lepiej posłuchajcie...

I Pantalejew zaśpiewał żywą, młodzieżową pieśń, wymachując do taktu kuflem. Stojąca za ladą dziewczyna krzyknęła:

— Pantalejew, uspokój się!

— Folklor zbieramy — sprzeciwił się Grisza. — Teraz zaśpiewamy wszyscy razem, a ekspedycja nagra to na magnetofon. Wiera, znasz słowa?

Wstał, podszedł do lady i zaczął przypominać bufetowej słowa.

Benjamin wzruszył ramionami, a Andriusza zaproponował:

— A może stąd zwiejemy? Pogadam z szoferami na placu. Inaczej trzeba będzie iść na piechotę. Dla entuzjastów osiemdziesiąt kilometrów to żadna odległość.

— Uciekniemy — zgodziła się Ella Stiepanowna.

W tej samej chwili drzwi stołówki otworzyły się i do środka weszli dwaj mężczyźni.

Pierwszy, z grubym portfelem w rękę, był wysoki, lekko przygarbiony, poruszał się ostrożnie. Nawet w taki upał miał na sobie garnitur, liliową koszulę i wiśniowy krawat. Twarz miał długą, bladą, pooraną równymi, poprzecznymi zmarszczkami — wzdłuż ust, wzdłuż wąsów, wzdłuż ciemnych oczu i wzdłuż cienkich, zrosniętych brwi.

Tuż za nim wszedł postawny mężczyzna w pomiętych, luźnych spodniach i szarej koszuli z podwiniętymi rękawami. Mocarz miał różową, młodą twarz, oczy niebieskie, wytrzeszczone jak u

ryby. Pszeniczne kędzioły kleiły się do czoła.

Podeszli do lady, zatrzymali się przed nią jak nowojorscy milionerzy przed wystawą jubilera, którzy spoglądają na nią od niechcienia, leniwie, mając wszystko w zasięgu portfela.

— Rybek nie przywieźliście? — delikatnie zapytała bufetowa.

— Ryb nie ma, Wiero — ze smutkiem odpowiedział wysoki.

— Jurgen pytał — powiedziała Wiera, patrząc na mocarza.

Junak odepchnął łokciem Pantalejewa i rzucił rozkazującym tonem:

— Herbatników „Amatorskich” trzy paczki, dwie cytrynowych, butelkę szampana. Jurgenowi powiedz, że będą w czwartek. — Odwrócił się w stronę wysokiego i zapytał: — Edik, kupujesz szampana?

Tu do rozmowy wmieszał się Pantalejew.

— Posłuchaj! — krzyknął nerwowo. — Wszystko dobrze! Uprzedzałem!

Mocarz, nie zwracając na niego uwagi, otworzył portfel i zaczął odliczać pieniądze.

— Nie odwracaj się, nie odwracaj — obraził się Pantalejew. — Ludzie do ciebie przyjechali ze Swierdłowska, ledwie znaleźli.

— Wy do Wasi? — wysoki spytał Elli Stiepanowny.

— Tłumaczę im — powiedział Pantalejew. — Do Potoków w życiu nie da się dojechać. Nie ma o czym gadać. No, chyba że, mówię, Edward i Wasia was podwiozą.

— Jesteście z Potoków Połujechtowa? — domyśliła się w końcu Ella Stiepanowna. — Jesteście samochodem?

Na twarzy Edwarda pojawił się uśmiech.

— W gości? — zapytał. — Czy służbowo?

Mocarz Wasia myślał z otwartymi ustami, wyraz twarzy świadczył, że ekspedycja mu się nie podoba.

— Jesteśmy etnografami — powiedziała Ella.

— Nie — powiedział Wasia. — Nasz samochód nie będzie wam odpowiadał.

— No co ty! Co ty! — zdenerwował się Pantalejew. — Oni pieśni zbierają. Sam im jedną zaśpiewałem.

— Nam jest wszystko jedno — wtrącił się Andriusza. — Możemy jechać nawet czołgiem.

— Czołgów nie mamy! — Wysoki Edward wyciągnął do Elli wąską dłoń. — Ale czym możemy, tym chętnie pomożemy. Zawsze gotowi. Edward Olegowicz Wiktorów, chwilowo mieszkam we wsi Potoki Połujechtowa. Że tak powiem, miejscowa inteligencja. Przyjechaliście po pieśni?

— Po pieśni też. — Ella przedstawiła swych towarzyszy podróży.

— To wspaniale, cudownie! — ucieszył się Edward. — W naszej wsi zachowały się cudowne, stare pieśni. Staruszki je pamiętają. I młodzi też. Na długo przyjechaliście?

— Na miesiąc, jeśli wszystko pójdzie jak trzeba.

— To wspaniale — powiedział Edward — że nasza nauka nie zapomina o odległych terenach. Mamy też bajki. Bajki was interesują?

— Na pace mamy bagaż — wtrącił mocarz Wasia. — Będzie ciasno.

— Ciasno — pouczającym tonem odezwał się Edward — ale zapraszamy ze szczerego serca. Elli Stiepanownie odstąpimy miejsce w szoferce. Koledzy, skończyliście posiłek?

— W każdej chwili możemy wypływać — nie wytrzymał Andriusza.

Ella Stiepanowna obrzuciła go zimnym spojrzeniem, Benek trącił łokciem, a Edward położył rękę

na ramieniu i powiedział:

— Bardzo dobrze. Wspaniała młodzież nam dorasta, śmiała, zdecydowana! Do której klasy zdałeś?

— Przeszedłem na drugi rok — powiedział Andriej i ostrożnie poruszył ramieniem. Edward zabrał rękę i popatrzył na elektroniczny zegarek.

— Zbiórka na placu — powiedział. — O siedemnastej czterdzieści pięć. Zdążycie, koledzy? Gdzie macie sprzęt? Narzędzia? Bagaż?

— Wszystko jest tutaj — delikatnie odpowiedziała Ella Stiepanowna. — Tylko bardzo proszę, nie odjeżdżajcie bez nas.

Brwi Edwarda powędrowały w górę, zatrzymały się, złamały na pół, twarz zamieniła się w smutną, tragiczną maskę.

— Nawet tak nie myślcie — powiedział cicho. — Wasia, idziemy.

Mocarz Wasia przytulił do piersi herbatniki i szampana, a potem niezadowolony odwrócił się do etnografów plecami.

Ella gęsiego poprowadziła młodzież z powrotem do stołu, a Pantalejew odszedł od lady, podniósł wysoko kufel z piwem i zawołał:

— Za zdrowie obecnych tu dam! I co byście beze mnie zrobili?

Andriusza wyjął z kieszeni znaczek przedstawiający Carlsona, który żyje na dachu, i z namaszczeniem udekorował pierś Pantalejewa. Odznaczony nie obraził się, wypiął pierś, żeby Andriejowi wygodniej było przypinać i spoglądał na „order” spod oka, zapomniawszy o kuflu, z którego na podłogę lało się piwo.

Ciężarówka z Potoków Połujechtowa stała obok chylącej się ku ziemi cerkwi, nad którą krążyły kawki. Zza zielonej burty wystawały pokrywy pojemników na mleko. Benjamin podawał rzeczy, Andriusza odbierał je na górze, a Ella liczyła na głos, żeby niczego nie zapomnieć. W głowie Benjamin dojrzywało rozwiązanie znanego zadania o dwóch koniach, ale odegnał od siebie natrętną myśl i starał się oddychać powoli i głęboko, zgodnie z zaleceniami znanego jogina Ramakrisznadewy.

Podeszli Edward i Wasia. Taszczyli jeszcze jedną bańkę. Edward z daleka pomachał wolną ręką, wyraźnie ciesząc się ze spotkania. Wasia patrzył w dal. Postawili konew na asfalcie, odsapnęli i Edward zapytał:

— Długo musieliście czekać?

— Nie ma o czym mówić! — odpowiedziała Ella.

— Wspaniale! Za dwadzieścia minut wyruszamy. Ella Stiepanowna w szoferce, a ja z młodzieżą na pace. Ktoś protestuje?

— Idę — powiedział Wasia.

— Bardzo dobrze. Idź. I wróć. Masz cztery minuty.

Edward odwrócił się do Elli i wyjaśnił:

— Obowiązkowe zakupy. Życie w głuszy zmusza nas do realizowania zamówień naszych krajanów.

— Rozumiem — zgodziła się Ella Stiepanowna.

— A teraz — Edward potarł dłonie — najważniejsze zadanie: tak wstawić konew na pakę, żeby się nie przechyliła. Mogę liczyć na pomoc młodych kolegów?

Andriusza rzucił się do bańki, ale Benjamin go odsunął.

— Sam się tym zajmę — powiedział to surowo, prosto, po męsku.

Andriej nie sprzeciwił się, przypomniał sobie, że zapomniał kupić papierosy i pognął przez plac do sklepu. Jego kudły wirowały na wietrze, a Edward krzyknął w ślad za nim:

— Masz trzy minuty! Morze nie lubi spóźnialskich!

— Tak jest, kapitanie — odpowiedział w biegu Andriusza.

Edward dźwignął ciężką konew, podniósł ku niebu jakby składał ofiarę Słońcu, a Benjamin wychylił się i odebrał ciężar. Pociągnął mocno w swoją stronę, podeszwy zaczęły się ślizgać, Benek klapnął, pokrywa spadła, a konew przewróciła się na doktoranta i przez chwilę zapanowała ciężka cisza.

Naruszył ją odgłos spadających kropli. Ciemna ciecz dostała się między deski i kroplami kapiała na asfalt, rozplływając się w złowieszczą, atramentową kałużę.

— Krew — wyszeptała Ella. — Ludzka krew.

Szept był głośny i straszny. Kawki krzyczały.

— Nie — też szeptem odpowiedział Edward — to z pewnością nie krew...

Z ciężarówki dobiegł odgłos ciężkiego uderzenia, a potem słaby głos Benjamina:

— Prawie nic się nie wylało.

— Coś ci się stało? — spytała Stiepanowna, wspięła się na palce, żeby zajrzeć przez burzę.

Edward objął kobietę i podniósł do góry.

— Dziękuję — powiedziała Ella, nie odwracając się. Cała jej uwaga była skupiona na wnętrzu ciężarówki.

— Jestem cały — powiedział Benjamin, zamykając konew.

Podniósł się. Ella z przerażenia odwróciła głowę.

Twarz Benka była rozdzielona na pół szeroką, czarną, pionową linią, która ciągnęła się także na koszuli i rozdwajała na nogawki spodni. Ręce miał czarne do łokci.

— Co z tobą, chłopcze? — Ella Stiepanowna odskoczyła tak, że trzymający ją Edward musiał cofnąć się o dwa kroki.

— To wyciekło z konwi — powiedział Benjamin. — To wszystko moja wina.

— Trzeba było uprzedzić — z pretensją w głosie powiedziała Ella Stiepanowna i zrozumiała, że znajduje się w powietrzu.

— Proszę postawić mnie na ziemi!

Edward usłuchał i odetchnął.

— Chciałem pomóc — powiedział.

— Mam nadzieję — powiedziała Ella Stiepanowna. — Benjamin musi się umyć.

Edward chrząknął.

— To wcale nie jest śmieszne — powiedział Benek.

— Wcale się nie śmieję. Ale musisz wytrzymać, aż dojedziemy do rzeki — powiedział Edward.

— Będzie ze dwa kilometry. To jest tusz. Przykro mi, ale zmyć go będzie trudno. Wasilij wykupił cały zapas w sklepie papierniczym.

— Tusz? A do czego? — spytała Ella.

— W buteleczkach kupowaliśmy — powiedział Edward.

— Wszystko co było. Wasia się zmartwi. Chciał malować podłogę.

Benjamin patrzył na swoje dłonie i cierpiał. Sam się siebie brzydził. Bo czy normalny człowiek oblewa się tuszem z konwi na mleko?

W tej samej chwili po przeciwnych stronach placu pojawili się Wasilij i Andriusza. Ten ostatni niósł karton papierosów, natomiast dziecinną, emaliowaną wanienkę dźwigał Wasia, który na widok pasiastego Benjamina aż przysiadł i na sekundę zakrył twarz wanienką. Ale Andriusza poznał kolegę właściwie od razu.

— Nie wydurniaj się, Wania! — krzyknął Edek. — Uspokój się!

Wystraszone kawki rzucały się nad dzwonnica ceglanej cerkwi.

W oddali pojawił się milicjant, osłonił ręką oczy od słońca i wyraźnie wpatrywał się w figurkę na ciężarówce.

— Nie ma rady, musisz się schować — powiedział Edward. — Będziesz siedzieć na podłodze. Tobie i tak wszystko jedno, a ludzie się boją.

Wasilij zatrzymał się z dala od ciężarówki i spytał mrocznym głosem:

— Wszystko się wylało?

— Tylko odrobinka — powiedział Edward. — Nie więcej niż dziesięć buteleczek.

— Czego to człowiek nie zrobi dla urody — powiedział Andriej. — To śmietana?

— Milcz — powiedziała Ella Stiepanowna. — Sprawdź, czy Benjamin nie zalał bagaży. On jest teraz w takim stanie...

Wasilij przekazał waniekę Andriuszy, podciągnął się w górę, zajrzał do wnętrza ciężarówki i powiedział:

— Co najmniej za pięć rubli.

— Zapłacimy, proszę się nie denerwować — powiedziała Ella.

— Nie trzeba — powiedział Benjamin. — Ja zapłacę.

— No i bardzo dobrze, wspaniale! — wesoło zakrzyknął Edward. — Wszyscy wskakiwać na górę! Za minutę rzucamy cumy!

Obok mostu na rzece Sotwie stali przez pół godziny. Edward Olegowicz miał rację. Tusz był na spirytusie, wysokiej jakości, niezmywalny. Ani mydło, ani piasek nie dały mu rady. Paski i plamy na twarzy Benjamina tylko nieco zbladły.

Tusz na dnie ciężarówki zasechł i błyszczał. Słońce odbijało się w nim jak w bezdennej otchłani. W końcu ruszyli dalej. Andriusza i Edward stali na pace, trzymając się kabiny. Benjamin siedział w kącie i udawał, że czyta powieść Agaty Christie w oryginale.

Za wioską Krasnoje droga zwęziła się. Po obu stronach rosły wiekowe jodły osłaniające drogę przed zachodzącym słońcem. Od czasu do czasu jodły zastępowało błękitne jezioro omywające skalną ścianę. W oddali pojawił się kamienny most zawieszony nad potokiem. Był stary i dziwny. Miał balustradę opartą na wytoczonych starannie słupkach, a przy wjeździe, ochraniając most, szczyrzyły zęby kamienne lwy wielkości podwórzowego psa.

— Proszę się zatrzymać! — wrzasnął Andriusza. — Proszę natychmiast się zatrzymać! Maszyna zadrzała, szarpnęła i stanęła. Drzwi kabiny otwarły się, wyrzała z nich zła, jak różowa luna, twarz Wasi.

— Czego tam? — zapytał.
 — Nasz młody przyjaciel — wyjaśnił Edward — zobaczył rzecz wartą uwagi. Andriusza, przyciskając do brzucha aparat fotograficzny, wyskoczył z ciężarówki.
 — Trzeba jechać — powiedział Wasilij. — Zaraz robi się ciemno.
 — Nie szkodzi — powiedział Edward Olegowicz. — Ogłaszam piętnastominutową przerwę na świeżym powietrzu. Benjaminowi radzę jeszcze raz umyć twarz w tym zachwycającym potoku.

Młodzieniec pokornie poszedł w stronę potoku. Edward podał rękę Elli, pomagając jej wyjść z kabiny. Wasilij siedział za kierownicą i patrzył przed siebie. Andriusza kręcił się po moście, pod mostem, wokół mostu, poszukując ciekawych ujęć.

— Skąd to się mogło wziąć? — krzyknął Andriusza.
 — Z czasów przed rewolucją — powiedział Edward. — Żadnych zapisów na ten temat nie udało mi się znaleźć.

— Wygląda na osiemnasty wiek — powiedziała Ella Stiepanowna, gładząc lwa po pełnym złości pysku. — Naiwne i prowincjonalne.

— To była prowincja — zgodził się Edward. — Może nawet sam Połujechtow to postawił.
 — A tak przy okazji, kim on był? Dlaczego wieś ma taką dziwną nazwę?
 — To miejscowy właściciel ziemski, major — odpowiedział Edward. — Opowiadają o nim mnóstwo bajek.

Benjamin wrócił znad potoku. Gdy ruszyli w dalszą drogę, Wasilij, który dotąd uparcie milczał i ani razu nie spojrzał nawet na Ellę Stiepanownę, nieoczekiwanie odwrócił się w jej stronę i powiedział:

— Nie zwykły major, tylko Gross–major.

— O kogo chodzi?

— O Połujechtowa, a o kogóż by innego? U nas pół wsi nazywa się Połujechtow.

— Jak dawno on żył?

— Przed rewolucją.

— We wsi są długowieczne osoby? — zapytała Ella, która lubiła pracować ze starymi ludźmi.

— Jest jeden, który dużo pamięta — powiedział Wasilij. — Tylko, że on nie będzie z wami rozmawiał.

— Spróbujemy — przekornie odpowiedziała Ella Stiepanowna. — Mam duże doświadczenie. Jak on się nazywa?

— Grigorij.

— A nazwisko?

— Nie wiem. Nazwiska mi nie powiedział.

I chociaż Wasilij nie uśmiechał się, patrzył przed siebie, w jego głosie Ella Stiepanowna intuicyjnie wyczuła drwinę, zamilkła i zakończyła dochodzenie.

Wjechali na brukowaną drogę. Kostka była ułożona w półkola, równo jak na placu w niemieckim mieście. Ciężarówka od razu przyśpieszyła, potoczyła się wesoło do przodu.

Andriusza wyciągnął głowę do przodu i powiedział:

— Tajemnica za tajemnicą. Kto by pomyślał?

— O co chodzi? — zapytał z kąta Benjamin.

— Brukowana droga. Czyżby major tak sobie dogadzał? — Tutaj właściciele ziemscy nie mieszkali — zakomunikował Benek. — Gospodarka wiejska była słabo rozwinięta.

Słońce schowało się za niebieskim, długim obłokiem. Z naprzeciwka powiał chłodny, orzeźwiający wiatr, jakby ktoś otworzył drzwi do lodówki. Ciężarówka trzeszczała i wyla, pokonując wzniesienia.

— A ta droga prowadzi tylko do Potoków? — zapytał Andriusza.

— Dalej drogi nie ma. Tajga, błoto, góry — powiedział Edward. — Koniec świata. Tak właśnie żyjemy.

Benjamin zaczął kaszleć. Suchym, szarpiącym kaszlem. Było mu wstyd, ale nie mógł przestać. Edward wyjął z górnej kieszeni marynarki opakowanie pigułek i zapytał:

— Dasz radę przełknąć bez wody?

— Dam — powiedział Benek.

— Łykaj. Do rana przejdzie. Całkiem się tu uwsteczniam. Powietrze czyste, nikt nie choruje. I ja, felczer, zajmuję się jednocześnie kulturą.

Wasilij włączył światła. Ciemność od razu wchłonęła tajgę.

Po kilku minutach wtoczyli się na pagórek i w dolinie pokazały się przytulne, ciepłe ogniki. Ciężarówka zamarła, jakby Wasilij chciał, aby pasażerowie poczuli bezgraniczną, błogą, wieczorną ciszę.

I wtem, wśród tej ciszy, nie naruszając jej, lecz tylko podkreślając doskonałość, rozległ się daleki, czysty, dziewczęcy głos, który śpiewał coś bajkowo–smutnego, wzruszającego i delikatnego.

Głos był częścią wieczoru i nieba, księżycy i pierwszych gwiazd, szelestu liści wiekowych brzoź rosnących wzdłuż drogi.

— Co to? — wyszeptała Ella Stiepanowna.

Wasilij nie odpowiedział. Wyciągnął papierosa i zapalił, starając się nie hałasować.

— Nimfa — powiedział Andriusza, wstając i wpatrując się w dal. Sentymentalizm nie był mu obcy.

— Schubert — powiedział Benjamin. — C—dur.

— To nasza Angelina — uśmiechnął się Edward Olegowicz, błyskając błękitnymi zębami. — Należy do mojego amatorskiego kółka. Muszę zaznaczyć, że z wyróżnieniem skończyła technikum rolnicze i niedawno wróciła w rodzinne strony. Zadziwiająca mamy młodzież.

Tym oświadczeniem wygłoszonym donośnym głosem Edward naruszył bajkowy czar. Ciężarówka zjechała z pagórka, wywołując niezadowolenie wśród psów, przejechała obok pierwszych domów, aż w pewnym momencie Edward postukał wabinę, nakazując Wasilijowi zatrzymać się obok wysokiego, srebrnego ze starości, drewnianego domu.

— Tutaj was umieścimy — powiedział Edward Olegowicz. — Szkoła podstawowa — dodał schodząc na ziemię — jest niewielka, a do tego w tej chwili jest w remoncie. Młodzież aktywnie działa w klubie, ja sam zajmuję tylko jeden pokój na zapleczu. A ten dom jest obszerny. Rodzina niewielka, a drobna zapłata każdemu się przyda... Warn zwracają za hotel?

Edward znacząco popatrzył na Ellę Stiepanownę. W ogóle lubił patrzeć na nią pod różnymi pretekstami.

— Oczywiście zapłacimy — powiedziała Ella.

— Lepiej zakwaterować ich u dziadka Artioma — powiedział Wasilij.

— Nie, mój przyjacielu, u Artemija Nikandrowicza warunki sanitarne są opłakane. Zapewniam was jako medyk. Natomiast tutaj... Nie zaprzeczysz, jeśli powiem, że ten dom jest idealnie czysty?

Z ciemności dobiegł trzęsący się głos:

— Gazetę „Zagadki historii” przywiozłeś?

Nieopodal stał niski człowieczek. Andriusza zauważył, wystając jak klin spod czapki, siwą brodę.

— Przywiozłem, Artiomie Nikandrowiczu — powiedział Edward. — Poznajcie się, goście do nas przyjechali, ekspedycja.

— Ekspedycja nam nie przeszkadza — powiedział staruszek — chociaż korzyści z niej jest niewiele.

— Artiemij Nikandrowicz — nasz krajoznawca, obrońca przyrody — przedstawił go przybyłym Edward Olegowicz.

Staruszek uklonił się. Można się było tego domyśleć, bo bródka wykonała szybki ruch w dół, skryła się za czapką i znowu pojawiła.

— Ekolog — poprawił staruszek. — Bawimy się w ekologię. Daj gazetę.

Edward znalazł gazetę w teczce, a staruszek, zamiast podziękować, tylko warknął:

— Mniej się zadawaj z Wasilijem. Jesteś inteligentny, a on żulik. Ta... Daje dzieciom łapówki.

— Zamknij się, dziadku — powiedział Wasilij.

— Ust mi nie zamkniesz. Prawdzie ust nie zamkniesz.

— Jakie łapówki? — nietaktownie wmieszał się Andriusza.

— Taki żarcik — powiedział Edward. — Wasia dogadza sobie rybkami. Lubi uche. Sam nie ma czasu łowić, więc dzieciom w zamian za ryby przywozi prezenty. Ryb u nas w bród.

— Uche wszyscy lubią — dobiegł głos z ciemności. — Ta... Rzecz w ilości. Dobiorę się do ciebie, Wasiliju.

— A idźże — zezłościł się Wasia.

— Już mnie nie ma — powiedział dziadek z oddali. Znowu zapadła cisza. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi, wypuściły ludzki głos i dźwięki krakowiaka. Zaszczekał pies, natychmiast odpowiedział mu drugi, jakby zaspany...

Wtem ciszę rozdarł, zniszczył i odrzucił straszny, nieludzki krzyk:

— Omniameemekumporrto!

Przenikliwy krzyk poniósł się nad wsią, pogrążając ją w osłupieniu, zmuszając wszystkie żywe stworzenia do ucieczki, zaganiając psy do bud, dzwoniąc szybami... Przez jakiś czas drżał jeszcze w powietrzu, a potem, z żalem wypuszczając wieś z uścisku, niechętnie potoczył się w stronę gór.

— Co to było?! — spytała nerwowo Ella Stiepanowna.

— Proszę się nie denerwować... Nie ma powodu... — Edward odwrócił się do skamieniałego w ciężarówce Wasilija:

— Wrócił. Rozumiesz?

— Tak — powiedział Wasilij. — Pobiegnę — dodał i ciężko poczłapał w ciemność.

— Co to takiego? — zapytał Andriusza głosem pewnym, jakby wcale się nie przestraszył.

— Nie trzeba na to zwracać uwagi — powiedział Edward. — Miejscowy folklor.

— Nie — powiedział Benjamin. — To było żywe stworzenie w stanie ogromnego stresu. I zdanie wydaje mi się znajome... Gdzieś to już słyszałem.

Edward obrzucił doktoranta szybkim spojrzeniem:

— Gdzie, nie pamiętasz przypadkiem?

Powoli do wsi wracały spokojne dźwięki. Psy cicho wymieniały się wrażeniami, znowu zagrało radio. Wieś udawała, że nic się nie stało.

I nagle, od strony lasu podchodzącego nieomal do samej wsi, w powietrzu zmaterializowała się delikatna, biała postać, płynąca nad szarym zagonem.

Pierwszy zobaczył tę bezcielesną istotę Benjamin, cicho wciągnął powietrze i drgnął jakby chciał się cofnąć. Nie wierzył, oczywiście, w duchy, chociaż w tym akurat momencie był gotowy uwierzyć we wszystko. No, nawet wierząc, Benjamin nigdy by się nie schował, gdyż pozostałyby po nim ślady czarnego tuszu.

Ruch Benjamin, a nawet jego przyczyny, nie uszły uwadze Edwarda, który przyjrzał się białemu widziadłu i — z widoczną ulgą — zakrzyknął:

— Angelina! Ptaszynko! Czekamy na ciebie. Głafira jeszcze nie wróciła?

— Dobry wieczór, Edwardzie Olegowiczu — powiedziało przywidzenie. — Mamy nie ma. A co?

— Goście przyjechali ze Swierdłowska. Myślałem, myślałem i doszedłem do wniosku, że u was w domu jest miejsce...

— Niech mieszkają — od razu powiedziała Angelina. Stała tuż obok Andriuszy, który dzięki temu mógł, mimo ciemności, dokładnie przyjrzeć się dziewczynie. Była wysoka, grubokoścista. Jasne włosy opadały na ramiona, a ciało miała tak opalone, że było prawie niewidoczne w ciemności i zlewało się z powietrzem. Przez to jasna sukienka bez rękawów, białka oczu i zęby jakby świeciły w ciemności.

— Proszę wejść — powiedziała dziewczyna.

— To ty śpiewałaś? — zapytał Andriusza.

— Ona, ona — powiedział Edward. — Cudowny głos. Występuje u mnie w zespole. Szykuje się

na wyższą uczelnię.

— Też coś — powiedziała dziewczyna — a po co?

— To był Schubert — rozległ się głos zza ciężarówki.

— Kto tam? — spytała Angelina.

— To nasz współpracownik — powiedział Adriusza. — Dziś przebrał się za zebra i nie chce straszyć miejscowej ludności.

Benjamin głośno zgrzytnął zębami, a Edward wsunął rękę do kabiny.

— To od Wasi — powiedział. — Prezent. Herbatniki i szampan.

— Nie trzeba — powiedziała Angelina.

— Nie chcesz? No i bardzo dobrze, wspaniale — ucieszył się Edward. — Rozgośćcie się przyjaciele. Jutro czeka nas wielki dzień.

Ella Stiepanowna i Andriusza odebrali rzeczy od Benjamina, który wszedł na ciężarówkę, i zanieśli je do domu. Dla Benjamina zostały dwie ostatnie walizki.

Angelina poszła do domu pierwsza i od razu zaczęła się krzątać. Wszystko robiła szybko, ale nie pośpiesznie, sama nie zagadywała, tylko odpowiadała na grzeczne pytania Elli Stiepanowny. W tym czasie Andriusza wyjął kielbasę, konserwy i chciał razem z Angelą nakrywać do stołu, ale jego pomoc została odrzucona.

Dziewczyna przypadła do gustu Andriejowi. Podobało mu się, że była nieomal takiego wzrostu jak on, zauważył jej niewinność, spokojną twarz, i skromność. Czekając, aż woda w czajniku zakipi, Andriusza odniósł pościel i część rzeczy do nieogrzonej części domu — tam, gdzie na dwóch łóżkach miał spać on i Benjamin. Elli Stiepanownie pościelili za cieniutką ścianką, tuż obok dużego pokoju.

Dopiero gdy Angela nakryła stół, Ella zauważyła:

— Andriusza, a gdzie Benjamin? Czyżby znowu coś się wydarzyło?

— Wykuwa sobie żelazną maskę — zażartował Andriusza i poszedł szukać doktoranta.

Benjamin siedział na ganku, obok stały walizki. Patrzył w gwiazdy i przeżywał.

— Posłuchaj, nie ma sensu tu nocować — poradził kolega. — Przygotowałem ją, powiedziałem, że należysz do szczególnego plemienia.

— Daj spokój — odpowiedział Benjamin. — Nie rozumiesz, ona tak śpiewała Schuberta, że po prostu nie mogę ochłonać. Posiedzę tutaj. Przyjdę, jak zgaszą światło.

— Możesz przejść nawet teraz. Z sieni na lewo, nie trzeba wchodzić do domu. Pościeliłem ci już. Napijesz się herbaty?

— Nie, nie mam ochoty — odrzekł Benek tak, jakby rezygnował z wielkiego szczęścia.

— Rozumiem — powiedział Andriusza i wrócił do domu.

Benjamin prześlizgnął się za nim i ukrył w chłodnej sypialni, nie zapalając światła.

Szczerze się wzruszył, gdy po półgodzinie Andriej przyniósł mu filiżankę gorącej herbaty, kanapkę z kielbasą, a przede wszystkim — miskę i czajnik z wrzątkiem. Benek tarł twarz i ręce twardą gąbką i w ciemności wydawało mu się, że farba poddaje się, schodzi z twarzy, a woda w misce ciemnieje.

Wrócił Andriusza, zapalił światło i powiedział, że w sprawie tuszu widoczne są postępy. Położył się, ale długo nie zasypiał, toteż zaczął opowiadać Benjaminowi, czego uczy się Angelina do egzaminów na uczelnię oraz to, że jej matka, Głafira, jest tutaj brygadystką. Benjaminem targła zazdrość. Nie spojrzawszy nawet na Angelinę, zakochał się w jej czystym głosie i skłonności do romantyzmu, bez którego nie chodziłaby przecież sama po okolicy, śpiewając Schuberta. A może

czekała na Wasilija?

— Teraz rozumiem, dlaczego Wasilij nie chciał, żebyśmy zatrzymali się w tym domu — powiedział zasypiający już Andriusza. Jakby odgadł myśli Benjamina.

Rano pierwszy obudził się Benjamin. Słońce dopiero co wstało i ostro świeciło wprost w małeńkie okienko. Obok, na takim samym łóżku jak Benjamin, ze słonecznymi plamami na plecach, leżąc na ogromnej pierzynie, spokojnie spał Andriusza. Było bardzo cicho, tylko spóźniony komar brzęczał gdzieś pod ciemnym, drewnianym sufitem.

Benjamin spojrział na zegar. Wpół do szóstej. Niedobrze, pomyślał. Za cicho. Powinny pisać koguty, szczekać psy, ryczeć krowy... Dziwna wieść. Co miał znaczyć ten wczorajszy krzyk? Jakby niósł w sobie przesłanie, którego znaczenie mógł odkryć tylko Benjamin. Ale dlaczego on?

Benjamin nie zdążył dokończyć myśli. Rozległ się głuchy, krótki huk, jakby ktoś wystrzelił z armaty.

Andriusza nie rozumiejąc, co go obudziło, podskoczył, usiadł na łóżku i zaskoczony zapytał:

— Co? Gdzie?

Benjamin nie odpowiedział. Usłyszał co innego: huk okazał się sygnałem otwierającym drzwi porannym dźwiękom — zapał kogut, drugi mu odpowiedział. Żałośnie zaszczekał pies, zaryczały krowy, ptaki zaczęły śpiewać.

Andriusza pokręcił głową i wrócił pod kołdrę.

Benjaminowi odeszła ochota na sen.

Wstał, odszukał swój ręcznik, szczoteczkę do zębów i zaczął rozglądać się za miejscem do mycia. Wszystko, co potrzeba, znalazł w drugiej połowie domu, gdzie znajdowała się także drabina prowadząca w dół, do obory, w której, na jego widok, zaczęły kręcić się niespokojnie owce. Ktoś otworzył zagrodę, wypuścił zwierzęta. Benjamin schował się za rogiem: był tylko w podkoszulku i wstydził się swych bladych, cienkich rąk. A gdy w koszuli i spodniach, uczesany i ucywilizowany wyszedł na podwórko, nikogo tam już nie było.

Furtka głośno zaskrzypiała, wypuszczając Benjamina na drogę.

Była ona szeroka, zielona, a jej środkiem, niby potok, przelewała się pylista ścieżka. Luźno rozrzucone domy ogrodzone były wysokimi płotami. Ale żeby nikt nie pomyślał, że mieszkają tu zamknięci i nudni ludzie, okna, dachy, a nawet bramy ozdobione były rzeźbami, a gdzieniegdzie nawet pomalowane.

Droga biegła ku rzece, w połowie przecinając się z drugą. Na skrzyżowaniu stała grupa ludzi i Benjamin pomyślał, że takie zgromadzenie nie jest typowe dla wsi. Poszedł w tę stronę.

Zatrzymał się w pół kroku.

Z kępy drzew niespiesznie wyszedł brunatny niedźwiedź, rozejrzał się, przechylił łeb, odganiając psiaka, który wyskoczył spod płotu, potem powoli potruchtął w bok, trzęsąc zadkiem.

Benjamin zamarł. Lepiej dalej nie iść. Niedźwiedź mógł zacząć się za rogiem. Ale coś trzeba było zrobić, przecież we wsi są kobiety i dzieci, nie podejrzewające nawet obecności strasznego zwierza...

Widok wąskich pleców chwiejących się niepewnie w furtce zwrócił uwagę Andriuszy, który także wybrał się na przeszpiegi.

— Ej — powiedział on, kładąc rękę na ramieniu doktoranta. — A ty co?

Benjamin dziwnie podskoczył i odwrócił się do Andriuszy, spoglądając dziko:

— Tam chodzi niedźwiedź.

— Gdzie chodzi niedźwiedź? — zdziwił się Andriusza.

— Po drodze. Sam widziałem.

— Trzeba coś zrobić — powiedział Andriusza i pobiegł do domu.

Jeszcze poprzedniego wieczora zwrócił uwagę na strzelbę wiszącą nad kanapą w głównej izbie, zerwał ją teraz ze ściany, złapał naboje, złamał strzelbę na kolanie i do każdej komory włożył po naboju. Ella Stiepanowna poruszyła się za zasłoną, a Andriusza na palcach wybiegł z domu.

Benjamin ciągle kołysał się w furtce, nie wiedząc co robić. Odsunął się na bok, przepuszczając Andriuszę i pobiegł za nim, krzycząc w biegu:

— To cudza strzelba! Nie można tak, bez pozwolenia!

— Nie ma czasu na zastanawianie — odpowiedział Andriusza. — Niedźwiedzie i wilki czują respekt tylko przez brutalną siłą!

Z furtki domu stojącego najdalej z prawej strony, pomalowanego na żółto, z błękitnymi rzeźbionymi ozdobami wokół okien i czerwonym dachem, wybiegło dwóch, wyglądających na siedmiolatków, chłopców. Zamarli, ujrawszy, jak po drodze gna obcy mężczyzna w błękitnych, połatanych spodniach i koszulce ozdobionej rysunkiem gitary, z długimi kudłami powiewającymi mu na wietrze, a na dodatek — ze strzelbą. Za nim podążał drugi obcy, niższy, w garniturze i okularach na końcu ostrego nosa. Chłopcy dołączyli się do biegnących.

— Niebezpieczeństwo! Wszyscy do domów! — krzyknął do nich Benjamin.

Chłopcy nie wykonali polecenia, za to krzyk Benjamina poruszył całą wieś; wzdłuż drogi do okien przylepiły się kobiece i starcze twarze.

Andriusza wybiegł na skrzyżowanie i w tym właśnie momencie z narożnego domu z szyldem „Sklep” wyszedł bury niedźwiedź. Oblizął się złowieszczo i Andriusza, czując jak zamiera mu serce, zrozumiał, że się spóźnił — zwierz zdążył już kogoś zjeść.

Podniósłszy się na tylne łapy jak do tańca, niedźwiedź ruszył do przodu. Broń wypaliła.

Niedźwiedź złapał się rękami za pierś, zachwiał, upadł do tyłu i usiadł w pyłe. Zaryczał trwożnie i głucho.

Andriusza starał sobie przypomnieć, gdzie włożył zapasowe naboje. Na próżno! Schwycił broń za lufę, aby posłużyć się nią jak pałką. W tym czasie niedźwiedź znowu wstał na tylne łapy, sierść na piersi miał osmaloną od wystrzału. Groźnie napierał na studenta. Andriusza zrozumiał, że pora uciekać, ale nie zdążył.

Złapały go ciężkie, zakończone pazurami łapy.

Przed oczami przemknęło mu krótkie i, w zasadzie, szczęśliwe życie — od pierwszych dziecięcych wspomnień o kąpieli w wanience, aż po ostatni, niezbyt udany egzamin z łaciny... Tu Andriusza stracił przytomność. Niedźwiedź przyciągnął myśliwego do szerokiej, burej piersi i pomrukując, pobiegł przez plac.

Ujrawszy jego plecy Benjamin zrozumiał, że nie może zostawić przyjaciela samego w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Rzucił się w siad za dzikim zwierzęciem, dogonił go, uderzył pięścią w plecy. Toptygin* nawet się nie odwrócił. Niósł Andriuszę do starego, chylącego się ku

ziemi domu, podpartego na sześciu kolumnach z wiekowych bali, dawno temu pomalowanych na biało. Na schody tego właśnie domu niedźwiedź rzucił swoją ofiarę.

Benjamin rozejrzał się, aby zawołać na pomoc ludzi albo znaleźć jakąś broń, ale wtedy od strony lasu usłyszał głośny trzask i zobaczył, że pod dom podjechał motocykl z koszem. Kierował nim chłopiec dwunasto — albo trzynastoletni, w dużych, ciemnych motocyklowych okularach, zasłaniających mu pół twarzy. W koszu siedziała postawna kobieta, owinięta czarnym szalem.

Gdy tylko niedźwiedź usłyszał, że motocykl hamuje, zwrócił w tę stronę obrażony pysk i zaryczał z wyraźną pretensją w głosie.

Postawna kobieta wyszła z kosza, omiotła wzrokiem tłumek, do którego dołączył także wstrząśnięty, ubrany w samą piżamę Edward, i zatrzymała się przed niedźwiedziem.

— No! — powiedziała. — Na jeden dzień nie mogę wyjechać! Co narozrabiałeś?

Niedźwiedź dalej jęczał, tarł łapami pierś, pokazując kobiecie ranę.

— Poczekaj — powiedziała kobieta. — Nie krzycz na całą wieś. Nie jesteś już dzieckiem.

Niedźwiedź zamilkł, a tylko jego przyspieszone sapanie niosło się nad placem.

— Kto tu tak narozrabiał? — zapytała kobieta i przeniosła wzrok z leżącego Andriusza na Benjamina, który wystąpił krok naprzód.

Chłopiec, którego doktorant niedawno przegnał, ratując przed zwierzem, przyniósł strzelbę i wyciągnął ją w stronę postawnej kobiety.

— Ciociu Głafiro, oni za nim biegali — wskazał na Benjamina — i strzelali.

— Moja strzelba — powiedziała kobieta. — Skąd się tu wzięła?

Andriusza poruszył się nerwowo, otworzył oczy i jeszcze szybciej je zamknął, gdy niedźwiedź zerknął w jego stronę.

— Wszystko jasne — powiedział Edward Olegowicz. — To wstrząsające. Po prostu szok! To ja ponoszę za wszystko odpowiedzialność. Pozwólcie, że was sobie przedstawię, Głafira Siergiejewna, a to ekspedycja ze Swierdłowska. Przyjechali zbierać pieśni ludowe. Inteligentni, mili ludzie, etnografowie... Zatrzymali się u was.

— Mówisz mili? — zdziwiła się postawna kobieta. — Ukradli broń, strzelają pośrodku wsi. Etnografowie! Nie ścierpię ich tutaj ani minuty dłużej!

— Proszę wybaczyć — powiedział Benjamin, starając się obejść niedźwiedzia tak, aby znaleźć się jak najbliżej zapomnianego przez wszystkich Andriusza. — To nieporozumienie. Zobaczyliśmy drapieżnika i rzuciliśmy się na pomoc. Wokół kobiety, dzieci, nie rozumiecie?

Nazwany drapieżnikiem niedźwiedź zaryczał tak, że Benek znów się cofnął, a Andriusza zwinął się w kłębek.

— Odejdź — powiedziała Głafira do niedźwiedzia. — Myśleć trzeba, ludzie obcy, etnografowie, mogli cię zastrzelić.

— Niedźwiedź nie odszedł, ale zamilkł. — Edziu, masz maść na oparzenia? Zajmij się zwierzęciem.

— Nie jestem weterynarzem — odpowiedział Edward.

— Od tego jest Angelina. Misza, wchodź do domu, felczer ci ranę przemyje.

— Boisz się? — zapytała Głafira Siergiejewna. Niedźwiedź westchnął głęboko, zrobił krok nad Andriusza i poszedł do domu.

— Kapituluję wobec siły — powiedział Edward.

— Kapituluj — powiedziała Głafira Siergiejewna. — I pamiętaj, że Misza ucierpiał w pracy.

— Nie będę wypisywał zwolnienia — burknął Edward, włożył piżamę w spodnie i ruszył w ślad za niedźwiedziem.

Andriusza zrozumiałwszy, że niebezpieczeństwo już minęło, usiadł i schwycił się za głowę. W głowie szalał mu huragan.

— Co? — lodowatym głosem spytała Głafira Siergiejewna. — Jesteś ranny? Też potrzebujesz pomocy? Poczekaj, najpierw zajmą się Miską, a potem tobą.

— Nie — powiedział Andriusza — dziękuję.

Wstał. Koszulka z rysunkiem gitary była podarta.

— Proszę zrozumieć — powiedział Benjamin — mieliśmy jak najlepsze intencje. To był naturalny odruch, dobry uczynek.

— Już dobrze — powiedziała Głafira Siergiejewna. — Podyskutujemy w domu.

O dramatycznych wydarzeniach Ella Stiepanowna dowiedziała się dopiero podczas porannej herbaty, którą pili w piątkę: Głafira Siergiejwna Połujechtowa, brygadzystka w kolchozie i rzeczywisty przywódca wsi Potoki Połujechtowa, jej wnuk, Kola, ten, który przyjechał z nią na motorze i członkowie ekspedycji etnograficznej.

— No jak — powtórzył Benjamin — jak mogliśmy domyślić się, że to oswojony niedźwiedź?

— Nie jest oswojony — sprzeciwiła się Głafira Siergiejwna. — Był w pracy.

Nalała herbaty do filiżanki i głośno siorbnęła.

— Nie ma na pysku tego napisanego — Andriusza otrząsał się z szoku, ale apetyt jeszcze mu nie wrócił, siedział więc na kanapie i łątał dzinsy. — Co to za praca?

— Strzela z armaty. Nikt inny się nie nadaje — powiedziała Głafira Siergiejwna. — Mężczyzn we wsi brakuje, wszyscy w pracy, a tradycję, sami rozumiecie, trzeba podtrzymywać.

— Chcecie powiedzieć, że macie tu armatę? — Elli Stiepanowny nie zdziwiła tak nietypowa praca niedźwiedzia, jak obecność armaty w dalekiej wsi. — Prawdziwa? Przecież to niebezpieczne.

— Bez armaty, z całym szacunkiem, nie damy rady — powiedziała Głafira, ze smakiem chrupiąc cukier w kostkach.

— Z armaty już dwieście lat strzelamy.

— A jeśli kogoś traficie?

— Ślepakami strzelamy — sprzeciwiła się Głafira Siergiejwna. — Proch dostarcza kółko myśliwskie. Bezgotówkowo.

— A dlaczego niedźwiedź? — spytał Benjamin. — W innych wsiach też wszyscy są zajęci?

— W innych wsiach z armatami cienko — powiedział Andriusza, przegryzając nitkę. — W innych wsiach jest bardzo mało armat. — Odwrócił się w stronę Głafiry Siergiejwny.

— A armata stara?

— Bardzo stara — powiedziała Głafira Siergiejwna. Andriusza nie przypadł jej do gustu. Nieporządny, nieostrzyżony, biega po wsi z cudzą strzelbą. — Z armaty przez dwieście lat nikogo nie zraniliśmy, a ty, gołąbku, od razu pierwszego dnia niedźwiedzia pokaleczyłeś.

Ella Stiepanowna wyjęła notatnik.

— Głafiro Siergiejwna — powiedziała — proszę poświęcić nam jeszcze pięć minut. Utrzymujecie, że tradycja ma swe korzenie w dalekiej przeszłości. W legendarnej przeszłości...

— Nie legendarnej, tylko w historycznej. Major Połujechtow postanowił dawać sygnał i tak się to ciągnie... Proszę mi wybaczyć, pora iść do biura, czekam na telefon z rejonu. Mamy zebranie w sprawie uprawy lnu w rejonie..., więc komu mam zostawić gospodarstwo?

Głafira wyprostowała się, rozprostowała szerokie ramiona, ściągnęła brwi.

— Idę, a wy więcej sami się nie rządźcie, nie wiadomo, co jeszcze możecie nabroić, etnografowie.

— Wybaczcie — powiedziała Ella. — Chłopcy chcieli dobrze.

Głafira Siergiejewna założyła kozaki, stary, męski fartuch i wyszła do biura. W domu został Kola — chłopiec sprytny, niebieskooki i z jasnymi brwiami.

— Chcecie, to opowiem o armacie? — powiedział.

— Wolelibyśmy usłyszeć to od twojej babci — powiedziała Ella Stiepanowna. — Bliżej źródła.

Kola przeszedł przez pokój, zatrzymał się koło ławy, na której leżał aparat fotograficzny.

— Zakres przysłony wam odpowiada? Te jupitery mają niezbyt duży.

— Co? — zapytał Andriusza. — A ty skąd to wiesz?

— Wolę japoński canon — powiedział chłopiec. — Nikon daje przerysowane zdjęcia.

— Aha — zgodził się Andriusza. — Przerysowane mówisz? A skąd masz canon i nikon?

— To proste, z Japonii — powiedział Kola. — Będziecie nagrywać legendę o armacie czy nie?

Bo ja już muszę iść.

— Nagramy — powiedział Andriusza. Chłopiec spodobał mu się. Żywy dzieciak, nie wstydy się, prowadzi motocykl...

Andriusza włączył magnetofon. Kola zerknął na kasetę, odkaslnął i zaczął powoli mówić, starając się, by głos brzmiał dorośle:

— Działo się to jeszcze przed rewolucją. Była tu twierdza, chroniąca Rosję przed wikingami i faszystami.

Benjamin odłożył podręcznik portugalskiego, przetarł okulary.

— A jak tu się dostali wikingowie? — zapytał Andriusza.

— Nie przerywaj, taśma się marnuje — powiedział Kola. — Od morza, przez tundrę, tajgę dążyli do Swierdłowska. Twierdzą dowodził major Połujechtow, tutaj pół wsi nazywa się Połujechtow — to na jego cześć. Był odważnym oficerem gwardzistą, wychowankiem Piotrogradu, trafił tutaj za uczestnictwo w bohaterskim powstaniu dekabrystów.

Głos Koli okrzepł, chłopiec chodził po pokoju i żywo gestykulował.

— Pewnego razu, gdy cały garnizon spał zmęczony walką z żywiołem, w samym środku burzy, pod twierdzą podkradli się faszyci. Mniej więcej pułk faszystów z dywizji Tottenkopf.

— Z czołgami? — zapytał Andriusza.

— Jeszcze raz ktoś mi przerwie i kończę opowiadanie — zagroził Kola. — I nigdy się nie dowiecie, jak się to wszystko skończyło.

— Milczę — powiedział Andriusza.

— Tak więc... Faszyci cicho podkradli się pod twierdze, od garnizonu dzieliła ich tylko polana. Jeszcze jeden skok — i droga do Swierdłowska stanie otworem. Lecz wtedy właśnie rozległ się wystrzał z armaty! Major Połujechtow wyskoczył z polowego łóżka i rzucił się na zewnątrz. Żołnierze za nim. I co widzą? W bramie jeszcze dymi armata, a obok niej stoi bura niedźwiedź. Na ziemi leżą setki martwych faszystów. Połujechtow krzyknął: „Szable w dłoń! Za mną!” i rzucił się do ataku. Walka była nierówna, wszyscy obrońcy twierdzy zginęli bohaterską śmiercią. Ale faszyci też wszyscy zginęli. Cała dywizja Tottenkopf. To wszystko.

— Jak to wszystko? — zdziwił się Andriusza. — A co z armatą i niedźwiedziem?

— Armata została na pamiątkę Połujechtowa. Możecie ją obejrzeć, stoi za drzewami na placu. Postanowiono, że od tej pory, co rano ma przychodzić niedźwiedź i strzelać na pamiątkę czynu majora. I to wcale nie jest bajka, tylko szczerza prawda.

— Poziom nauczania historii jest tu opłakany — powiedziała Ella.

— Tworzenie mitów — powiedział Benjamin. — Współczesne tworzenie mitów. Majorowie, faszyci...

— A ja co, nie rozumiem, co to jest tworzenie mitów? — nieoczekiwanie obraził się chłopiec. — Nie gorzej niż wy wiem, że faszystów tu nie było. Tylko jakie to ma znaczenie? — Niestety, żadnego, Kola — zgodziła się Ella Stiepanowna.

— Dziękuję za ciekawą opowieść.

— Proszę — uspokoił się Kola. — Muszę iść. Mam dużo roboty.

Wyjął spod ławy dużą, sportową torbę z napisem „Olimpiada ‘80”, przerzucił ją przez ramię i, już w drzwiach, powiedział:

— Jeśli chcecie zjeść obiad musicie być o wpół do pierwszej, jak w zegarku. Andriusza zmienił kasetę.

— Głupstwa — powiedział. — Dzieciak zabawił się naszym kosztem.

— Nieważne — powiedział Benjamin. — Za to oglądamy narodziny folkloru.

— Mnie interesuje co innego — powiedział Andriusza.

— Armata istnieje, a niedźwiedź z niej strzela. To już nie legenda.

— Nie, nie legenda — zgodził się Benek. — Pomóc ci łątać dzinsy?

— Po co? Jeszcze jedna dziura im nie zaszkodzi.

Drzwi skrzypnęły i pojawił się Edward.

— Dzień dobry — powiedział radośnie. — Muszę was poinformować, że Miszce nic nie grozi. Przemylem mu ranę. Z narażeniem życia. Słyszeliście, Ellu Stiepanowna, o porannych wydarzeniach?

— Słyszałam — powiedziała Ella. — Proszę nam wybaczyć.

— Ja temu Miszce nie wierzę — powiedział Edward. — To chytry i podstępny zwierzak. Ma spojrzenie przestępcy.

— Ale z armaty strzela — powiedział Andriusza. — Elementarna, proszę wybaczyć, tresura. Sam widziałem, jak zające w cyrku to samo robią. Tam wisi sznur, a Miszka za niego ciągnie. Ot, i cała tajemnica.

— Nie, Edwardzie Olegowiczu — powiedziała Ella — nie zgadzam się z waszym podejściem do tego zwierzęcia. To piękna i stara tradycja. A tradycji trzeba strzec.

— Jaka tam stara! Przypałętał się niedźwiedź, może uciekł z zoo. A gdyby tak, wybaczenie, skaleczył waszego młodego współpracownika? Co byście wtedy powiedzieli w Akademii Nauk?

— Milczałabym — odpowiedziała Ella. — Bo co miałabym powiedzieć...

— A ja w waszym postępku dostrzegam szlachetność — nie zgodził się Edward Olegowicz. — Nie zapomnieliście, że czas już zapoznać się ze wsią? Ella Stiepanowna nie ma nic przeciwko?

— Nie pójdę — powiedział Andriusza.

— A to dlaczego? — zdziwiła się Ella Stiepanowna.

— Muszę uporządkować taśmy.

— Młody człowiek wstydzi się wyjść na dwór. Rozumiem go, oj, jak dobrze rozumiem — zafrasował się Edward, a Andriusza ledwie powstrzymał się od odpowiedzi.

Ella Stiepanowna szła w środku, po prawej stronie miała Edwarda, z lewej Benjamin. Andriusza odprowadził ich spojrzeniem i pomyślał ze smutkiem, że w towarzystwie Edwarda Ella rozkwita, chociaż felczer zupełnie na to nie zasługuje. Zarówno fizyczne, jak i duchowe zalety kierowniczkę ekspedycji zasługiwały na znacznie lepszego wielbiciela.

Zły wzrok Andriuszy nie mógł przebić szyby, więc Edward nic nie poczuł. Opisywał miejscowe atrakcje, elegancko przy tym gestykulując i udając, że wie znacznie więcej niż w rzeczywistości. Edward znalazł się w Potokach Połujechtowa dopiero półtora roku temu, szukając cichego miejsca, gdzie mógłby odpocząć od przygód, w które obfitowało jego burzliwe, choć nie zawsze szczęśliwe życie. I mimo że zadomowił się na dłużej, a nawet zamierzał kupić dom od tej gałęzi Połujechtowych, z której ostała się tylko babka Fiodora, chociaż chór, który nie bez entuzjazmu prowadził, wyjeżdżał już na rejonowy przegląd twórczości amatorskiej i nawet otrzymał dyplom, to w Potokach był ciągle obcym, nie tylko dlatego, że za takiego mieli go miejscowi, ale także dlatego, że nie przyglądał się szczególnie życiu wsi, nie znał jej historii i nie szczycił się nią. Jednak przed przyjezdnymi Edward chciał zaprezentować się jako jedyny we wsi inteligent.

— Domy u nas są stare — mówił. — Drzewo z upływem lat staje się coraz mocniejsze, a rzeźbienia, zwróćcie na nie uwagę, od dawna zamierzam sfotografować i naszkicować — specjaliści będą zachwyceni. Wspaniałe wzory, zachwycające, nieprawdaż?!

— Rzeźbienia trzeba poddać analizie porównawczej — powiedział Benjamin.

— Słusznie. A oto centralny plac. Umownie. Powstał na skrzyżowaniu dwóch dróg.

— A ile ich jest? — zapytał Benjamin.

— Dwie. Trzydzieści dwa gospodarstwa. Sklep, zarząd brygady, klub i punkt medyczny.

Zatrzymali się na rogu skrzyżowania, Edward zwrócił uwagę na dom z kolumnami. Widać było, że budowniczy chciał stworzyć coś wielkiego i koniecznie przywołującego na myśl Moskwę białokamienną: kolumny i ściany były drewniane, pobielone. Tylko dwa niewielkie lwy stojące po obu stronach schodów były kamienne, takie same jak na leśnej drodze. Tyle że tam lwy siedziały, a tutaj spokojnie leżały, chociaż także szczerzyły zęby.

Na kolumnach przychepione były blaszane tabliczki z nierównymi, oficjalnymi napisami: „Brygada Potoki Połujechtowa”, „Punkt pomocy medycznej”, „Klub”, „Zespół tańca ludowego Potoki”, „Kino”.

— Centrum życia kulturalnego — zakomunikował Edward Olegowicz. — Czasami tutaj nocuję, a dni to całe tutaj spędzam. Z prawej strony jest szkoła podstawowa, a tam — sklep. Ot, i wszystko.

— A armata? — Benjamin wskazał na kępę drzew, z której wychodził niedźwiedź.

— Tak, tam — powiedział Edward Olegowicz. — Dawno trzeba było oddać ją na złom. Ktoś w końcu poważnie ucierpi od wybuchu. Albo od niedźwiedzia.

Pod wiekowymi drzewami panował lekki mrok, było chłodno. Wewnątrz, ukryty za pniami,

prawie niezauważalny, znajdował się maleńki placyk, a na nim — wrosnięta do połowy kół w ziemię — stała brązowa, stara armata.

Pachniało prochem. Z armaty niedawno strzelano.

— A skąd niedźwiedź wie, która godzina? — zapytał Benjamin.

— Bóg raczy wiedzieć. Pewnie orientuje się według słońca — powiedział Edward Olegowicz.

— Chociaż ja temu niedźwiedziowi nie wierzę.

Benjamin rozgarnął krzaki za armatą. Zobaczył tam kamienny słup, ścięty na wierzchołku jak obelisk. Na bokach wyrzeźbione były dwugłowe orły, a nad nimi napisy. „Do Moskwy 1386 wiorst”, „Do Sanki–Peterburga 1938 wiorst”.

Benjamin obszedł słup, rozgarniając nogami pokrzywy i przeczytał jeszcze dwa napisy. „Do Jekaterynburga 746 wiorst”, „Do Carskiego Źródła 9 wiorst”.

Benjamin potarł poparzone przez pokrzywy ręce i wrócił na polankę. Edward delikatnie chwycił Ellę za rękę, udając silne emocje, ale mówił spokojnie:

— Dzisiaj wieczorem zaprezentujemy wam w klubie osiągnięcia zespołu amatorskiego. Muszę powiedzieć, że obecność zaangażowanego człowieka, całą duszą oddanego ludowym talentom, jest niezbędna do ich rozwoju. Rozumiecie mnie?

— Edwardzie Olegowiczu — powiedział Benjamin — a co to jest Carskie Źródło?

— Nie wiem — odpowiedział zapytany mężczyzna i dodał, zwracając się do kobiety: — I tak oto, Ellu Stiepanowno, pracujemy na jednej, że tak powiem, niwie.

— To gdzieś niedaleko — powiedział Benjamin.

Na miękkiej trawie obok armaty widniały podłużne, zakończone pazurami ślady.

— Zamieszkałej miejscowości o takiej nazwie nie spotkałem — powiedział Edward. Ella delikatnym ruchem odsunęła jego rękę; Edward rzucił oskarżające spojrzenie na Benjamina.

Ten obszedł armatę dookoła i boleśnie uderzył się czubkiem stopy o żeliwną kulę. „Z armaty kiedyś strzelano na serio” — pomyślał. W każdej ludowej opowieści kryje się ziarno prawdy — może naprawdę stała tutaj twierdza i stacjonował w niej z żołnierzami major Połujechtow? Podróżnik–odkrywca? Trzeba będzie porozmawiać o tym ze staruszkami, a jeszcze lepiej — zajrzeć do archiwum w Swierdłowsku. Ludzka pamięć jest bardziej zawodna niż dokumenty...

— Galiaestmnisdiwizainparrrrrrrrtestrrrrrrrs! — rozległ się straszny, przewlekły, gardłowy wrzask.

Nieoczekiwanie zamilkł.

— Skądś to znam! — zakrzyknął Benjamin. — Jestem blisko rozwiązania!

Czarny cień przemknął między gałęziami, a na ziemię posypały się liście. Zdawało się, że niebo pociemniało.

Edward Olegowicz machnął rękami, starając się złapać cień, ale ruch był niezdecydowany, niedokończony, jakby w rzeczywistości felczer nie zamierzał schwycić straszego, krzyczącego stworzenia.

— Znowu? — spytała Ella.

— Trres — powiedział Benjamin. — Rozszyfruję to.

— Po prostu dziki krzyk — powiedział Edward Olegowicz. — Chodźmy, pokażę wam scenę i kącik pamięci. Dostajemy wszystkie, najważniejsze, centralne czasopisma, nawet magazyn „Estrada i cyrk”.

Benjamin pogładził lufę armaty. Na ciemny metal padł promień słońca. Do jasnej plamy

podpełzła biedronka wielkości włoskiego orzecha. Było cicho.

Andriusza włożył film do aparatu, schował do torby dodatkowy obiektyw i zapasowe klisze. Nie będzie przecież siedział cały dzień w domu tylko dlatego, że dokonał nie całkiem udanego, bohaterskiego czynu.

Zarzucił torbę z aparatem na ramię i ledwie zdążył wyjść na ganek, gdy przez furtkę wbiegła Angelina trzymająca w ręce kankę na mleko. W dziennym świetle wyglądała inaczej, bardziej zwyczajnie.

— Wstaliście już? — zdziwiła się Angelina.

— Niedługo dziewiąta — powiedział Andriusza. — Wszyscy już wyszli, tylko ja się grzebię. Dużo się wydarzyło. To był burzliwy poranek.

— Szkoda. Przybiegłam z fermy, chciałam was ugościć mlekiem prosto od krowy. Miastowi wstają późno. Wiem, w mieście sama późno wstawałam. Spieszysz się gdzieś?

— Nie — powiedział Andriusza — chętnie skorzystam.

Angelina zaczerwieniła się, widocznie w spojrzeniu Andriusza dostrzegła zbyt wiele zachwytu. Zauważywszy jej reakcję chłopak zawstydział się i nie oglądając, pierwszy ruszył w stronę domu.

— Ja też napiję się mleka — powiedziała Angelina. — Proszę siadać. A dokąd oni poszli?

— Edward Olegowicz pokazuje im wieś.

— A co tu jest do pokazywania? — powiedziała Angelina, wyjmując z kredensu kubki, a z półki wzięła pusty słoik. — On nic nie wie. Jest tu obcy. Lepiej by Kola ich oprowadził.

— Kola opowiedział nam legendę, a potem uciekł. — Andriusza z zainteresowaniem przyglądał się, jak Angelina najpierw napełniła słoik do połowy mlekiem, a potem zaczerpnęła dzbankiem zimnej wody i dołąła do mleka. — A po co tak? — zapytał.

— Z kanki nie wypijecie — powiedziała Angelina i uśmiechnęła się. — Myślałeś, że skąpię?

— Oczywiście — powiedział Andriusza. — Tak podejrzewałem.

— Proszę spróbować, jeśli nie wierzysz.

Oczy jej poweselały, zrobiły się niebieskie, prawie błękitne. Mleko lało się do szklanek jak gęsty kisiel.

— Trzeba było powiedzieć, że to śmietana.

— To mleko — powiedziała Angelina. — Takie tu doimy. — Prychnęła, podniosła nos do góry, perłowe zęby błysnęły w słońcu. Andriusza siedział z otwartymi ustami, na twarzy malował mu się taki zachwyt, że Angelina machnęła ręką i śmiejąc się, powiedziała: — Co się tak gapisz? Mam narzeczonego.

— Wasilija?

— Nie, Wasilij to tylko kandydat. Beznadziejny. Narzeczonego mam w Norylsku. W technikum korespondowałyśmy z żołnierzami, wymieniamy fotografie. Zakochał się we mnie, a ja nie. Ale jest nadzieja.

— To znaczy, że go nawet nie widziałaś?

— Może zobaczę. A twój kolega jest bardzo muzykalny. Zna Schuberta. Nie widziałam go dobrze po ciemku, ale głos ma przyjemny.

Angelina dołała do szklanek wody, a i tak wyszło z tego mleko tłuste i gęste.

Ktoś zastukał w okno. Na zewnętrznym parapecie okna siedział ogromny, czarny kruk.

Angelina otworzyła okno, a kruk przyfrunął na stół, surowo popatrzył na znieruchomiałego Andriusza, kiwnął w jego stronę głową, odwrócił się do Angeliny i kiwnął do niej.

— Zaraz — powiedziała Angelina, sięgając na półkę po kawałek chleba. Kruk, jak obcęgami, schwycił kromkę dużym, masywnym dziobem i przeskoczył na parapet.

— A to znowu co za zjawisko? — zapytał Andriusza.

— Grigorij — powiedziała Angelina. — Cos ostatnimi czasy zrobił się ostrożny, czegoś się boi. Przedtem był całkiem oswojony.

— To nie wieś, a jakieś zoo — powiedział Andriusza. Kruk głośno zatrzepotał skrzydłami i odleciał.

— Masz na myśli niedźwiedzia? On mieszka w lesie.

— Czyli co, dochodzący mieszkaniec? A po co z armaty strzela?

— Oj, lepiej ci sam opowie! Strzela, odkąd sięgam pamięcią. Przez cały rok. Inaczej nie wolno — bez armaty nawet krowy nie chcą iść do stada. Przedtem, gdy byłam dzieckiem, pracowała tu niedźwiedzica, a potem zdechła. Tego Miskę od małości przyprowadzała, strzelać uczyła. Chodźmy już, dobrze? Muszę wracać na fermę.

— Dziękuję za mleko — powiedział Andriusza. Wyszli. Ogromny, czarny kruk siedział na dachu i dziobał kromkę chleba.

Mimo że Angelina zapewniała, że nikt się z niego śmiać nie będzie, Andriusza nie poszedł przez wieś, skręcił w przeciwną stronę, aby pozwiedzać okolice. Za polem lnu wiała się rzeczka, wąska i czysta. Słońce stało wysoko, grzało mocno, ale od strony błękitnych gór, nad bliskim, ciemnym lasem, wiał lekki wietrzyk.

Z drogi rozciągał się piękny widok na wieś. Andriusza wyjął aparat. Wtem usłyszał za sobą głosy.

Dźwięki przycichły. Ścichło także droczenie bosych pięt na dróżce. Było jasne, że się zatrzymały.

— Ma zorkę „M”. Z obiektywem jupitera. Wiem.

— Jaką zorkę? Co ja, zorki nie widziałem?

Chłopcy pograżyli się w spór, nie mieli zamiaru odejść, najwyraźniej czekali, aż fotograf odwróci się i wyjaśni sprawę. Andriusza zrozumiał, że nadeszła pora nawiązywania kontaktów, opuścił aparat i odwrócił się.

— Oho! — powiedział.

— Oho! — odpowiedzieli dwaj chłopcy w wieku około dziesięciu lat.

Chłopcy rozpoznali bohatera, którego rankiem niedźwiedz nosił po placu, a Andriusza zauważył, że dzieciaki wloką za sobą przywiązaną do kija, ponadmetrową rybę.

Ryba niemrawo poruszyła ogonem.

— Przyjechaliście oglądać młyn? — zapytał jeden z chłopców.

— Nie — powiedział Andriusza — nagrywamy pieśni i bajki.

— Dziadek Artiom mówił, że młyn jest zabytkiem kultury. Na pewno go wywiozą. Jest bardzo stary, rozumiesz?

— Wodny?

— Nie, wiatrak...

— Pokażecie?

— A dasz pofotografować? Kolka Połujechtow ma japońskiego canona, a my tylko smienę.

— Umowa stoi — powiedział Andriusza. — Kiedy?

— Zajdziemy po ciebie jutro rano. Teraz jesteście zajęciami.

— A co to za ryba? Sum?

— Widać, że jesteś z miasta. Czy sum ma taki pysk? Na suma zresztą nie pójdziemy. On żyje w toni, duży jak dom. A poza tym nie wolno go ruszać, ma złotą obrączkę przyczepioną do skrzeli. Specjalnie go wypuścili. W celach badawczych. A to jest śledź...

Chłopcy ponieśli rybę dalej.

Andriusza postać chwilę, poczekał aż znikną za pierwszym domem i poszedł dalej ku rzece. Obok dróżki, na skraju Pola, rosły chabry. Nie od razu zgadł, że to chabry — wyglądały jak niebieskie goździki. Andriusza zerwał niewielki bukiet dla Elli Stiepanowny.

— Ratunku! — od strony rzeki rozległ się krzyk. — Ratunku! Rabują!

Andriusza należał do tego gatunku ludzi, dla których każde wołanie o pomoc jest rozkazem do działania. Zapomniawszy o porannej historii z niedźwiedziem Miszą, rzucił się na skrót w dół i wleciał, łamiąc gałęzie, w zarosła nad rzeką, krzycząc przy tym:

— Proszę się trzymać! Nadchodzę!

Ofiarą napadu okazał się wczorajszy staruszek z siwą, kozią bródką, spokojnie siedzący na pieńku.

— Co się stało? — krzyknął Andriusza. — Kto napadł?

— Kto napadł, ten uciekł — powiedział staruszek, wstając. Błyszcząca, spocona łysina ledwie sięgała Andriuszy do piersi. — Dziękuję. Oj, w krzyżu mnie łamie! Jak tak można popychać starego człowieka! Idź, podnieś mój koszyk — został w krzakach.

Andriusza poszedł we wskazanym kierunku. Z przewróconego koszyka wysypały się czerwone jabłka. Staruszek zbliżył się od tyłu.

— Pozbieraj je — powiedział. — Bądź tak miły. Nie mogę się schylać.

Andriusza zaczął zbierać owoce. Okazało się, że to wcale nie jabłka.

— Co to jest? — zapytał. — Ananasy?

— Malin w życiu nie widziałeś?

— Takich nie widziałem — powiedział Andriusza. — Maliny zazwyczaj są mniejsze.

— To zazwyczaj. A u nas są większe.

— Kto — zapytał Andriusza — zlakomił się na wasze maliny?

— Nie domyślasz się? — zdziwił się dziadek mrużąc oczy. — Dyplomata z ciebie! To przez ciebie! Tiaaa... Wpadłem w łapy mściciela!

Staruszek wygrażał pięścią w stronę krzaków, z daleka rozległ się ryk. Andriusza zatrząsał się. Nie miał ochoty na ponowne spotkanie z niedźwiedziem. Na szczęście, staruszek podzielał jego obawy.

— Biegnijmy — powiedział. — A nuż Miszka domyśli się, kto mi przybiegł na ratunek. Wziął cię za oddział piechoty. Taaa...

Staruszek podniósł koszyk i podreptał w górę, ku ścieżce. Andriusza pośpieszył za nim, starając się ze wszystkich sił nie wyprzedzić go.

Koło klubu, który był punktem opieki medycznej, na długiej ławce, pod drewnianym kolumnami siedziało dziesięć staruszek w wysokich, koronkowych kokosznikach*, różnobarwnych sukniach do ziemi, a na ich twarzach malował się wyraz twórczej dumy.

— Tak — powiedział Edward z ulgą — obawiałem się, że nie przyjdą w samym środku dnia pracy. Ale przyszły. I nawet się wystroiliły. Wspaniale. Witajcie, towarzyszki emerytki!

Staruszki skinęły głowami na powitanie, a Elli wydało się, że połączonym w jedno spojrzeniem przeniknęły ją na wskroś, wiedząc, gdzie się urodziła, jak się uczyła w szkole i dlaczego nie ułożyło się jej życie osobiste.

— Cudownie — powiedział Edward. — To nasz chór ludowy. A przed wami, towarzyszki emerytki, specjalna ekspedycja Akademii Nauk. Ci ludzie przyjechali zapisywać i badać. Szczególnie interesują się zachowaniem i rozwojem twórczości ludowej. Poznajcie się, proszę! — Edward Olegowicz cofnął się o krok i szeroko zamachnął się ręką jak siewca. Po chwili dodał: — Chodźmy do środka. Tam porozmawiamy, zbiera się na deszcz...

Benjamin nie poszedł do klubu. Ta spokojna i stara wieś skrywała w sobie tajemnice, nieuchwytnie, ale wyczuwalne, nie zmyślane. Tajemnica porannego wystrzału z armaty niby się wyjaśniła. Ale sam fakt strzału nie tłumaczy jego przyczyny. Mamy tresowanego niedźwiedzia. Ale po co?

Benjamin rozejrzał się, rozmyślając, w którą stronę się wybrać. Wydawało mu się, że jest witeziem na rozdrożu. Postanowił poczekać, aż los rozstrzygnie dylemat — powinien pojawić się znak, który skieruje go w dobrą stronę.

Aluzja zmaterializowała się po dwóch minutach — przyjęła postać znajomej ciężarówki, która powoli wjechała na plac. Benjamin pomyślał, że we wsi muszą obowiązywać specjalne ograniczenia prędkości dotyczące jedynego pojazdu: może chroniące niedźwiedzia. Jednak w tej samej chwili wyjaśniła się przyczyna tak wolnej jazdy: siedzący za kierownicą Wasilij rozmawiał z jakąś dziewczyną, której nogi widoczne były z drugiej strony ciężarówki.

— Pójdiesz wieczorem do kina? — zapytał Wasilij, nachylając się w bok tak, że Benjamin widział tylko jego krótko ostrzyżony kark.

— Muszę się uczyć — usłyszał prawie całkiem zagłuszony przez silnik, dziewczęcy głos, który Benek rozpoznałby wśród tysiąca innych.

— A ja i bez wykształcenia zarabiam. Najważniejsze — umieć wykorzystać okazję.

— Kogo cytujesz? — zapytała Angelina.

— Nie cytuję, sam wymyśliłem — powiedział Wasilij. — Nie myśl sobie, dla mnie autorytety nie istnieją.

— Jedź do miasta — powiedziała Angelina — mleko skwaśnieje.

— Nasze nie skwaśnieje — powiedział Wasilij. — Rozmączę je wodą ze źródła.

— Nie strój sobie żartów — powiedziała Angelina, przyspieszyła krok i Benjamin zobaczył, jak opalone nogi przesunęły się do przodu. W tym momencie jednak Wasilij nieco przyspieszył i dogonił dziewczynę.

— A do kina pójdziesz? — zapytał.

— Nie pójdę.

— Uczeń przyjechali, co? Pokażę im, gdzie raki zimują.

— Przestań się odgrażać — powiedziała Angelina.

Dalszej rozmowy Benjamin nie usłyszał, bo ciężarówka i Angelina za bardzo się oddaliły.

Benjamin powlókł się drogą, podziwiając rzeźby wokół okien i na kolumnach, ciesząc się niezbyt gorącym, ale przyjemnym słońcem, patrząc czule na żrebaka, który wyskoczył na drogę, rozejrzał się i pogonił za kurami, które leniwie rozbiegły się, ustępując mu drogi. Obok ostatniego domu, gdzie zaczynała się droga prowadząca ku nizinie, Benek zatrzymał się. Belki bramy, siwe ze starości, miały postać żołnierzy w wysokich czapkach grenadierów. Nosi żołnierzy dawno odpadły, tak samo jak kolby karabinów, ale oczy patrzyły przed siebie spod posępnych brwi. Tematyka rzeźby wydała się Benjaminowi nietypowa — mimo ogromnej ciekawości i dobrej orientacji w zagadnieniach twórczości ludowej, nie czytał o niczym podobnym w żadnym naukowym artykule. „Trzeba powiedzieć Andriuszy, żeby zrobił zdjęcie” — pomyślał i w tej samej chwili usłyszał nad głową śpiew wielu głosów — równy i cichy.

W oknie wysokiego piętra pojawiła się dziewczęca główka, jakby domyślając się, że na drodze ktoś podsłuchuje. Na widok chudego, młodego człowieka w okularach, krawacie i ze śladami pasów na twarzy, uniosła ze zdziwienia brwi. Dziewczyna znikła, pieśń umilkła, a we wszystkich czterech oknach pojawiły się głowy: dziewcząt, kobiet i staruszek, patrzące na Benjamina z wesołym zainteresowaniem.

— Dzień dobry — powiedział Benjamin.

— Dzień dobry — odpowiedziano ze wszystkich okien. — Przyjechaliście z ekspedycją?

— To on biegał za Miską — poinformowała pierwsza dziewczyna.

— Przyjechali wiatrak zobaczyć — powiedziała kobieta z drugiego okna.

— Nie — dobiegło z trzeciego — zbierają pieśni.

— Zapraszamy do nas — padło z czwartego. — Zaśpiewamy.

— Z przyjemnością — powiedział Benjamin, zapominając na chwilę o zdobiącym go malunku.

Na progu ogromnej sali Benjamina przywitała postawna staruszka z gładko zaczesanymi do tyłu włosami. Gdy doktorant wchodził po schodach, dziewczęta i kobiety zdążyły usiąść do warsztatów tkackich, na których rozciągnięte były koronki.

— Witamy — dostojnym głosem powiedziała staruszka — w naszej spółdzielni koronczarskiej.

Oznajmiwszy, że jest dyrektorem spółdzielni, poprowadziła doktoranta wzdłuż warsztatów, mówiąc przy tym spokojnie i powoli jak zawodowy przewodnik.

— Nasze koronki były znane nawet poza granicami rejonu, a w roku 1897 zostały nagrodzone srebrnym medalem na wystawie w Brukseli.

— Dużym srebrnym medalem — dodała grubaska w niebieskich okularach.

— To nie ma znaczenia, nie jesteśmy zarozumiałe — powiedziała dyrektorka. — A jednak nasza działalność zamarła i niemal zginęła. Dopiero ostatnimi laty odradza się sława naszych koronek. Ale jest kłopot — w rejonie nie chcą naszych wzorów, mówią, że nie są ludowe, musimy zajmować się artykułami codziennego użytku.

— Codziennego użytku — rozległy się oburzone głosy.

— Proszę tylko popatrzeć, co umiemy! Nikt tak nie potrafi.

Koronkarki powstawały z miejsc i zbiły się w ciasną gromadkę za plecami dyrektorki i Benjamina, wokół dużego stołu, na którym leżał ogromny album w rozsypującej się, safianowej okładce. W środku naklejone były wzory koronek — jedne pożółkłe ze starości, a inne nowe.

Zobaczywszy koronki Benjamin rzeczywiście się zdziwił. Cieniutkie nitki splatały się, tworząc scenę myśliwską, gdzie mężczyzna w wojskowym płaszczu i trójkątnym kapeluszu oficerskim polował na kaczkę. Natomiast na następnej stronie damy w strojnych sukniach grały w ciuciubabkę z eleganckimi kawalerami, a tło stanowiły wyszukane budowle. Jedną z nich był zamek, który sąsiadował z cerkiewką, a wokół niej szły korowodem dziewczęta w kokosznikach...

— Nie rozumiem... — powiedział Benjamin.

— No właśnie, ci z rejonu powiedzieli to samo — potwierdziła postawna dyrektorka. — Powiedzieli, że to nie mieści się w przyjętych ramach, a zatem nie jest to sztuka. Znacie takie ograniczone myślenie?

— Niestety, znam — powiedział Benjamin.

— Mówią, że to nie jest ludowe — wtrąciła się dziewczyna w okularach — a u nas we wsi trzy wieki tak robią.

— Trzy wieki — zaszepiała z kąta leciwa babulinka. Benjamin popatrzył w tę stronę i zobaczył wiszące nad jej głową dwa pociemniałe ze starości portrety w złotych ramach. Widać było, że malarz, który je stworzył, nie studiował w akademii, ale był utalentowany i spostrzegawczy. Czulo się zdecydowaną ręką i pewnością siebie.

Z prawej strony wisiał portret mężczyzny w zielonym mundurze z czerwonymi wyłogami i mankietami, złotymi guzikami i w trójkątnej czapce obszytej złotym galonem. Twarz mężczyzny była surowa, podbródek wyrazisty, a oczy jasne, błękitne, jak u wszystkich koronczarek.

— Kto to? — zapytał Benjamin

— Major Połujechtow — zaskrzeczała leciwa babulinka. — A któż by inny.

Ale Benjamin nie słyszał. Patrzył na drugi portret. Widniała na nim młoda kobieta, też niebieskooka, o pełnych, wygiętych nieznacznie ku dołowi ustach, ufna i dobra. Suknia z dekoltem odsłaniała krągłe ramiona i kształtne piersi zakryte koronką.

— A to najjaśniejsza imperatorowa — wymamrotała staruszcza. — Elżbieta Pietrowna podczas swej bytności u nas.

— Ta wersja jest co najmniej wątpliwa — powiedziała dyrektorka. — Sądzę, że to raczej żona Połujechtowa.

— Nie — powiedziała staruszcza — imperatorowa kochała naszego majora czystą miłością, dlatego właśnie się tutaj znalazł.

Benjamin nie słyszał sporu trwającego z pewnością od wielu lat. Patrzył na portret i cierpiał, odczuwając bezmiar czasu oddzielający go od młodości tej, którą widział na portrecie. Nie miało znaczenia — księżniczka, imperatorowa, narzeczona, żona... nie ma jej, Benjamin spóźnił się, tragicznie spóźnił się z narodzinami...

Nie wiedział, jak znalazł się na drodze, chociaż miał wrażenie, że do furtki odprowadziła go dyrektorka spółdzielni, której obiecał to, że porozmawia ze specjalistami ze Swierdłowska i stanie w obronie koronek. Słyszał tylko bicie swego serca i wiedział, że zakochał się beznadziejnie i na zawsze.

Andriusza ze staruszką szli niespiesznie. Młodzieniec zatrzymał się tam, gdzie zostawił aparat. Obok leżał bukiet błękitnych, aksamitnych chabrów.

— Poczekaj — nieoczekiwanie powiedział surowym głosem staruszek. — Po co zniszczyłeś kwiaty?

— Są ładne — powiedział Andriusza. — Niech postoją w słoiku.

— A ty w swoim życiu cokolwiek posadziłeś? Stworzyłeś coś? Zrywać się nauczyłeś? Zrywać wszyscy potrafią! Ta...

— Ale to chabry. Chwasty.

— Głupek — powiedział staruszek. — Żyto mamy normalne, ziarna dostajemy z rejonu, a chabry są niepowtarzalne, tylko tutaj rosną. Naruszysz równowagę ekologiczną i nie będzie więcej takiego chwastu.

— No i dobrze — upierał się Andriusza. — Zbiory będą lepsze.

— Jakiś ty nierozumny — powiedział staruszek. — Zniszczysz tak zwany chwast niespotykanej urody, a na nim może rozwija się specjalny gatunek motyli i on też wyginie. Nie żal ci ich?

Staruszek wyciągnął przed siebie brązową rękę i z góry, z błękitnych przestworzy, posłusznie nadleciał i usiadł pomarańczowy motyl z niebieskimi plamkami na skrzydłach.

— Znasz ten gatunek? — zapytał staruszek.

— Nie znam się na motylach — powiedział Andriusza. — Może mieszka na sosnach.

— To endemiczny gatunek — powiedział staruszek. — Rozumiesz? Przyroda opiera się na równowadze, wszystko jest powiązane, jak mówił Darwin.

— Kto?

— Darwin młodszy, wnuk, korespondowałem z nim.

Widać było, że staruszek nie kłamie. Motyl odleciał z dłoni, zatoczył koło nad bukietem chabrów być może zmartwiony ekologiczną katastrofą, która pojawiła się wraz z Andriusza i odleciał w gorący, wonny błękit.

— Co mam teraz zrobić? — zapytał Andriusza.

— Podaruj komu chcesz. Tylko w przyszłości bądź ostrożny, chroń przyrodę. Najwyższy czas założyć tu rezerwat. Nie widziałeś dwóch chłopców, Sieńki i Siemiona?

— Widziałem.

— Przez nich, podłych, musiałem oddać Miszce maliny. Znowu kłusują.

— Chodzi o ryby?

— Tak. — Najwidoczniej staruszek od dziecka mówił głośno, podkreślając wybrane słowa. — A ty co, w zespole pop występujesz?

— Nie rozumiem — powiedział Andriusza.

— Włosy masz takie dzikie. I charakter ognisty. Rzucasz się na niedźwiedzia. Myślałem, że grasz

na saksofonie. W zespole. Widzisz, ja akurat najbardziej lubię klasyczny jazz. Dixieland. Co sądzisz o nim?

— Jest w porządku — powiedział Andriusza. — A dlaczego niedźwiedź strzela z armaty?

— Tradycja — powiedział staruszek. — Chcesz zobaczyć, jak to robi?

— Pewnie, że chcę. Tylko, czy on mnie nie pozna?

— W pracy jest spokojny. Rozumie, że może stracić pensję. Pilnuje etatu. Sam jest bezinteresowny, ale ma rodzinę, a niedźwiedzica jest sroga. Nie bój się, jakby co, wszystko mu wyjaśnię. Przecież to ja zarządzam armatą. Ta...

— To dlaczego zabrał maliny?

— Lepiej byś zamilkł — sam go poraniłeś, doprowadziłeś zwierzę do szału. Przecież to w końcu dzikie zwierzę. — Staruszek rozzłościł się. Stał, tupnął nogą i srogo zapytał: — Przyjechaliście oglądać wiatrak?

— Dlaczego wszyscy o to pytają? Przecież jesteśmy etnografami.

— Rozumiem — powiedziała staruszek. — I tak bym wam drogi do wiatraka nie pokazał. Nasz wiatrak ma swoje humory.

— Obejrzeć go byłoby ciekawie — powiedział Andriusza. Doszli do domu na skraju wsi i zatrzymali się. Staruszek powiedział:

— Drugi dom po tamtej stronie jest mój. Zapamiętałeś? Czekam na ciebie.

Staruszek szybko przeszedł przez drogę i podążył w stronę domu.

Andriusza nie miał ochoty wracać. Zrozumiał, że we wsi wszyscy już wiedzą o jego porannym wyczynie, ale nie wyśmiewają się z niego. Może poszukać Elli? Jakkolwiek by było, jest ona członkiem ekspedycji i jego umiejętności fotografa mogą się przydać.

W tej właśnie chwili zobaczył znajomych chłopców, którzy rozciągnęli sznurek między ogromnymi lipami. Andriusza przysiadł na trawie, było cicho, wieś podobała mu się, poranne przygody odeszły do historii. Patrzył na Sienie i Siemiona i myślał, że czymś — być może kształtem oczu albo długimi, jasnymi rzęsami — przypominają Angelinę.

— Będiesz skakać? — zapytał Siemion. — Trenujemy skok wzwyż. Zaraz przyjdzie trener.

— Skaczcie, a ja popatrzę.

— Patrz — powiedział Sienia. — Za patrzenie nie trzeba płacić. Tylko jeśli znasz jakiś nowy styl, to powiedz. Skaczymy flopem, i to nas ogranicza.

Siemion wziął rozbieg i przeskoczył przez sznurek. Nie flopem, a stylem przerzutowym, zaczepił nogami o sznurek na wysokości nieco powyżej metra, rąbnął o ziemię — na szczęście miękką, porośniętą trawą.

— Rozgrzewka — powiedział. — Nieudane lądowanie.

Tym razem rozbieg wziął Sienia, pokonał wysokość i powiedział do Siemiona: — Podnieś wyżej.

— Słusznie — powiedział Benjamin, który pojawił się nie wiadomo skąd. Zdjął okulary i podał je Andriuszy. — Przyłączę się. Nie macie nic przeciwko temu?

— Proszę skakać — powiedział Siemion. — Zostawić wysokość czy podnieść?

— Podnieść — powiedział przybyły młodzieniec. — Czuję przyływ energii.

Podbiegł truchtem do sznurka, zwolnił tuż przed nim i podskoczył. Sznurek uderzył go po kolanach, Benjamin przewrócił się, upadł na brzuch i znieruchomiał. Nie chciało mu się podnieść — ciężkie powietrze powodowało znużenie. Benek odczołgał się na bok, do cienia, przewrócił się na

plecy i zamknął oczy.

Sienia i Siemion podnieśli sznurek na wysokość półtora metra. Sienia od razu poradził sobie z wysokością, Siemion również, ale dopiero za drugim razem i w dodatku skacząc flopem. Andriusza popatrzył na nieliczne, strzępiaste obłoki i powiedział:

— Muszę ratować honor miastowych. Rozstąpcie się przyjaciele!

Wziął porządny rozbieg, przeskoczył ze znacznym zapasem i powiedział:

— Możecie podnieść poprzeczkę o trzy centymetry.

Przy kolejnej wysokości odpadł Sienia, ale Siemion dał radę, Andriusza pokonał go tylko liczbą prób.

— I co, jestem górą — powiedział. — A nie wierzyliście.

Zdyszał się, zmęczył. I jakoś wyleciało mu z głowy, że przeciwnicy mają nie więcej niż po osiem lat.

— Dzisiaj wy, jutro my — powiedział Siemion. — Nie skakaliśmy jeszcze w dal. Patrz, trener przyszedł.

Obok nich zatrzymał się Kola Połujechtow z przerzuconą przez ramię torbą „Olimpiada 80”.

— I jak tam sukcesy, chłopaki? — zapytał.

— Skromne — powiedział Sienia.

— Staramy się — powiedział Siemion. — Bez ciebie jest trudno.

Kola podszedł do sznurka znajdującego się na poziomie jego nosa i spokojnie sprawdził jego wysokość.

— Nieźle — powiedział. — Metr pięćdziesiąt trzy. Przy której próbie się udało?

— Andrzejowi przy drugiej — powiedział Siemion. — Mnie przy trzeciej.

— Nie — Kola zlustrował wzrokiem Andriuszę. — Dla ciebie to żadne osiągnięcie. Masz co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu.

— Metr siedemdziesiąt sześć — powiedział Andriusza.

— Swoją wysokość trzeba przeskakiwać bez wysiłku. To twoja granica?

Chłopcy patrzyli na Kolę z szacunkiem, wierzyli w każde jego słowo.

— Nie wiem — powiedział Andriusza. — Mam inne cele w życiu.

— Cele nie przeszkadzają skokom. — Kola mówił pouczającym tonem i to właśnie rozżłościło Andriuszę.

— A ty swój wzrost przeskoczysz?

— Bez problemów — powiedział Kola i nawet bez rozbiegu, nie zdjawszy torby i nie przebrawszy się, odbił się i przeskoczył przez sznurek. — Nie gniewaj się na mnie. W zimie przeskoczę dwa metry. Taki mam cel. No dobrze, odpoczywajcie tutaj, ja mam inne sprawy.

Kola poszedł drogą w stronę domu, a po jego odejściu Sienia powiedział:

— Jest niezwykle uparty.

— Czyta encyklopedię — westchnął Siemion. — Doszedł już do trzeciego tomu.

Przez furtkę wyszedł pies, rozejrzał się dookoła, potruchtął dalej. Wyglądał na zajętego i zamyślonego.

— Poszedł po krowy — powiedział Sienia.

Drogą, nie śpiesząc się, szli Ella i Edik. Zatrzymali się koło furtki. Do młodych dotarło pytanie Edwarda:

— Jesteś zadowolona ze spotkania?

— Dziękuję, Edziu — odpowiedziała Ella. — Twoja pomoc była niezbędna.

— No cóż, na mnie pora — powiedział Andriusza, nie czekając, aż Edward odpowie na powitanie.

Głafira zasiedziała się w zarządzie, prowadziła rozmowy telefoniczne z rejonem. Angelina została na fermie, gdyż zachorowało cielę. Obiad przygotowała Ella, a Kola napalił w łaźni i członkowie ekspedycji wreszcie porządnie się wyszorowali. Łaźnia okazała się skuteczna, ponieważ twarz Benjamina odzyskała naturalny kolor. Co prawda on sam tego nie zauważył, gdyż nieoczekiwana miłość odgradziła go grubą ścianą od rzeczywistości. Ella Stiepanowana szczerze zdenerwowała się, gdy dowiedziała się, co zaszło.

— Będę musiała tam pójść, popatrzeć, co to za portret — postanowiła.

Kola sprzątnął ze stołu, a potem zdjął z półki czwarty tom encyklopedii Jefrona i Brockhousa.

— Poczytam trochę — powiedział. — Do wieczornego treningu zostało jeszcze nieco czasu.

— Andriusza — zapytała Ella — z magnetofonem wszystko w porządku? Od jutra zaczynamy nagrywać.

— Technika gotowa... — odpowiedział Andriusza. — Tylko że rano chciałem pójść zobaczyć wiatrak.

— Jaki wiatrak? — oburzyła się Ella. — Przyjechaliśmy tutaj...

— Wiem, zbierać pieśni — zgodził się Andriusza. — Ale naszym obowiązkiem jest nie przechodzić obojętnie obok ginących zabytków kultury. A do tego ten wiatrak jest jakiś dziwny.

— Wcale nie dziwny — Kola oderwał się od encyklopedii.

— Na kołach? — spytał Andriusza.

— Nie. Po prostu wędrujący — wyjaśnił chłopiec. — W zeszłym roku stał na wzgórzu, za rzeką. Potem znikł. Mówią, że pojawił się w Wilczym Jarze.

— I ty w to wierzysz! — krzyknęła Ella. — Ty, pionier!

— A dlaczego mam nie wierzyć?

— Jak to wyjaśnisz? — zapytał Andriusza.

— A co tu jest do wyjaśniania? To wszystko sztuczki gross-majora — powiedział Kola. — Chodzi do wiatraka i szaleje. Wszyscy to wiedzą.

— No nie, tak nie można! — powiedziała Ella. — Porozmawiam z twoją babcią.

— Bardzo proszę porozmawiać — powiedział Kola i wrócił do lektury.

— Miejscowy folklor — stwierdził Benjamin. — Zwyczajny, miejscowy folklor. Rodzi się na naszych oczach. Wiatrak, być może, nie istnieje... Minie kilka miesięcy i będą opowiadać o mnie, jak to zakochałem się w portrecie, a on ożył. Gogol...

— Obudził się w tobie Pigmalion — powiedział Andriusza.

— Ale portrety nie ożywają, Benku — powiedziała Ella.

— Przestań o tym myśleć.

— Pójdę — powiedział Benjamin — do spółdzielni. Popatrzę na portret.

Kola z westchnieniem odłożył encyklopedię.

— Jak dzieci, dosłownie jak dzieci — powiedział. — Wszyscy etnografowie są tacy zwariowani?

— Czuję się zagubiona — poważnie odpowiedziała Ella.

— A twoja, Kołu, opowieść o wiatraku, wcale mnie nie uspokoiła.

— Mimo wszystko pójdę — powiedział Benjamin. — Mam przecucie...

Podszedł w stronę drzwi, które otworzyły się w tej samej chwili i do środka weszła Angelina.

— Zjedliście już obiad? — zapytała od progu. — Śpieszyłam się...

Rozległ się głuchy stuk.

Benjamin z rozmachem upadł na podłogę.

Stracił przytomność.

— Ech — powiedział Kola, ostatecznie zamykając encyklopedię.

— Powiedziałam coś nie tak? — przestraszyła się Angelina.

— Jest przemęczony... Andriusza, podaj wodę — powiedziała Ella, schylając się nad Benkiem.

— Zagadkowa historia — powiedział Andriusza. — Znacie się?

Angelina zaprzeczyła ruchem głowy, zaczerpnęła z wiadra kubek wody, podała go Elli. Ta przytknęła go do warg Benjaminu, ale chłopak nie zareagował. Ella sprawdziła puls aspiranta, a Andriusza wziął kubek i wylał wodę na głowę swego kolegi.

Benjamin zakrztusił się, kichnął, zakaszłał, podskoczył, zobaczył Angelinę i znowu o mało nie zemdlął, ale Andriusza nie dopuścił do tego:

— Zaczekaj! Najpierw wyjaśnij, o co chodzi!

— To ona... — wyszeptał Benjamin. — Wiedziałem.

— Jaka ona?

— Portret — powiedział Benek. — Nie na darmo miałem nadzieję.

Mdleć w tej sytuacji było i bez sensu, i niegrzecznie. Zmieszany Benek odsunął troskliwie ręce Elli, podniósł się zdecydowanym ruchem i, zataczając się lekko, podszedł do okna.

— Wszystko jasne — powiedział Andriusza do zdumionej Angeliny. — Nasz uczonek był dzisiaj u koronkarek i zobaczył tam kobiecy portret. Zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia. I wtedy weszałaś ty...

— To twój portret — powiedział Benjamin, nie oglądając się. — To byłaś ty.

— A jeśli to był portret imperatorowej Elżbiety Pietrowny? — zapytał Andriusza. — Rozumiesz, z kim masz do czynienia?

— Jest mi wszystko jedno — głucho odpowiedział Benjamin, wpatrując się w okno. — Jestem wstrząśnięty. Nie wiem, co mam teraz zrobić.

— Iść do studni — powiedział Andriusza. — Będziemy pić herbatę.

— Nie trzeba — od drzwi dobiegł głos. — Herbata może poczekać.

Stał tam kierowca Wasilij, którego wejścia nikt nie zauważył. W ręku trzymał bilet do kina.

— Dobry wieczór — powiedziała Ella Stiepanowna. — Jak miło, że nas odwiedziliście.

Wasilij nawet nie spojrzał na nią.

— Idziesz do kina? — surowo zapytał Angelinę. I sam sobie odpowiedział: — Nie idziesz.

— Jeśli jesteś zazdrosny — powiedział Kola — to niepotrzebnie. Benek zakochał się w portrecie.

— Kamuflaż — powiedział Wasilij. — Nie rób mi wody z mózgu.

— Daję słowo! — Benjamin szybko odwrócił się od okna.

— Daję słowo, że nigdy wcześniej nie widziałem Angeliny. Mój stosunek do niej ma drugorzędne znaczenie!

— Dlaczego drugorzędne? — zdziwiła się Angelina.

— Proszę usiąść, posiedzieć z nami — powiedziała Ella.

— Może ktoś z nas wybierze się z wami do kina?

— Co? — Wasilij dopiero teraz przypomniał sobie o biletach. Otworzył ściśniętą pięść. Bilety

zakreśliły się i upadły na podłogę, a Wasilij podszedł do Benjaminą i powiedział ostrzegawczo:

— Idź do swojego portretu, rozumiesz? Na Angelinę nie waz się nawet spojrzeć, zrozumiałeś?

— Nie mogę ci tego obiecać — powiedział Benjamin.

— Proszę wybaczyć. To jest silniejsze ode mnie.

— W każdym bądź razie uprzedzałem — powiedział Wasilij. Patrzył na doktoranta z pogardą, nie ruszając się z miejsca. Wtem za oknem przemknął czarny cień i rozległ się krzyk:

— Mea culpa!

Na twarzy Wasilija pojawił się nieprzyjemny grymas.

— Przeklęty! — krzyknął straszonym głosem i wybiegł z domu. Za oknem zawyła ciężarówka.

— Kto to? — zapytała Ella.

— Myślę, że ptak — powiedział Andriusza. — Ten sam, nieprawdaż?

— Grisza — powiedziała Angelina. — To Grisza. Wasia gania za nim już drugi tydzień.

— Nie dogoni — powiedział Kola — Chcesz, to popatrzymy?

Andriusza w ślad za Kola wybiegł na dwór.

Słońce skłaniało się ku zachodowi. Cienie domów i drzew wydłużyły się, nabrały liliowego koloru, trawa wydawała się jeszcze jaśniejsza i zieleńsza.

Daleko nad drogą powoli leciał ogromny, czarny ptak, za nim gnała ciężarówka.

— Nie dogoni — powtórzył Kola. — Nie martw się. Andriusza chciał powiedzieć, że wcale się nie martwi, ale z tyłu rozległ się głos Edwarda Olegowicza:

— Zdziwiająca! Dorosły człowiek, a takie oddanie!

— Oddanie? — zdziwił się Andriusza. — Angelinie?

— O nie! Taksidermii.

— Nie rozumiem — powiedział Andriusza. Nie znał takiego słowa.

— Wasia marzy, żeby wypchać tego rzadkiego ptaka i wysłać go do Akademii Nauk.

— On nie jest do wypychania! — oburzył się Kola. — Grisza mieszka tutaj trzysta lat i jeszcze sobie u nas pożyje.

Nieopodal pojawili się Sienia i Siemion.

— Pójdę już — powiedział Edward Olegowicz. — Mam dużo pracy w klubie. Andriusza, wpadnij, jeśli masz ochotę. Weź gitarę, posłuchamy.

— Dziękuję — odpowiedział młodzieniec. — Myślę o wiatraku.

— O wiatraku? — Edward Olegowicz uśmiechnął się. — Staruszki twierdzą, jakoby w nim zamieszkał duch.

— Mieszka — potwierdził Sienia. — Wszyscy wiedzą, że mieszka.

— A ktoś go widział? — zapytał Andriusza.

— Pójdiesz, sam zobaczysz — powiedział Kola.

— Chodźmy — powiedział Andriusza.

— Teraz? — Kola popatrzył na niebo. — Zaraz się ściemni.

Od strony rzeki dobiegło wycie silnika. Wszyscy odwrócili się w tę stronę. Przed oczami przemknęła im twarz Wasilija przytulona do kierownicy.

Cieżarówka wyskoczyła na górkę, przemknęła przez brzozową alejkę, skręciła za pagórek i znikła.

— Nie — powiedział Edward Olegowicz. — Pójdę na próbę. Jazda przez wieś z taką prędkością jest absolutnie niedopuszczalna. A wam... — popatrzył smutnym wzrokiem na Andriuszę — nie radzę chodzić do wiatraka. Nocą w lesie jest niebezpiecznie, może się coś przytrafić. Poza tym, z tego co wiem, wiatrak dawno już nie istnieje...

— Nie istnieje? — powiedział Sienia obrażonym głosem. — A ja to co, ślepy jestem? W Wilczym Jarze to co widziałem, szkołę z internatem?

— Wszystko jasne — powiedział Andriusza, spoglądając na młodzież. — Idę po aparat, za minutę wyruszamy.

Andriusza chwycił torbę z aparatem i od razu wybiegł z domu.

Nieletnia gwardia przestępowała z nogi na nogę. „Dziwni ludzie — pomyślał Andriusza — nie chorują, zamiast mleka piją śmietanę, trenują, oglądają telewizję, a tu nagle wierzą w ducha gross-majora. Wstyd”.

— Daleko trzeba iść? — zapytał.

Na twarzach chłopców pojawiło się pewne rozczarowanie. Widocznie w głębi duszy mieli nadzieję, że miejski uczoney tylko sobie zażartował.

— Nie — odpowiedział Sienia. — Oczywiście, jeśli nie zabłądzimy.

Nie zabłądzili. Chociaż szli do Wilczego Jaru ponad godzinę. Szli na przełaj przez sosnowy bór, potem po łagodnym stoku porośniętym młodymi modrzewiami, przez niewielkie bagno, po łące, na której stały stogi siana, aż dotarli do wiatrołomu — pozostałości po dawnym pożarze lasu.

Spostrzegli, że w lesie było dużo grzybów, dorodnych borowików, których kapelusze miały wielkość talerza, że aż wręcz prosiły, aby je zebrać. Po półgodzinie Sienia i Siemion i zmęczyli się, toteż trzeba było odpocząć na obsypanej jagodami polance. Siedząc, zrywali garściami jagody, najedli się, że aż języki mieli granatowe.

Potem las zgęstniał, jakby nikt nigdy tam nie chodził, lecz wtem, nieoczekiwanie pojawił się z przodu prześwit. Słońce dopiero co zaszło, w lesie od razu zrobiło się nieprzyjemnie. Podróżnicy podążyli w stronę światła.

Okazało się, że jest to mocno zarośnięta droga, której istnienie można było odgadnąć tylko dzięki ciągnącym się po obu stronach rowom melioracyjnym. Jednak na środku trawa była zgnieciona, czyli że po drodze ktoś jeździł.

— Kiedyś była tu pustelnia — powiedział Sienia. — Ukrywali się tutaj dzicy odszczepieńcy. Ale ona zatonąła w jeziorze.

— Bajki — powiedział Siemion. — Roboty leśne i tyle.

Droga zarosła pokrzywami, które gdy sieje przygnie, podnoszą się leniwie, chwieją, gotowe boleśnie uderzyć w twarz, i z lasu ciągnął wieczorny chłód, na drodze było jeszcze widno, brzęczały, śpieszące się wykonać dzienną normę pszczoły, na głowami skakały koniki polne.

Z prawej strony rozciągała się dolina.

— Oto Wilczy Jar — powiedział Sienia. — Tu zwykle stoi wiatrak.

Poszli wąską ścieżką, zatrzymali się, rozejrzeli.

— O, tutaj stał.

Trawa na środku polany była zgnieciona, tworząc wyraźny, duży kwadrat, najgłębiej w ziemi odcisnęły się ślady dwóch, równoległych bali. Trawa wewnątrz kwadratu była niska, nędzna i blada.

Koła zataczał coraz szersze kręgi, aż w końcu krzyknął:

— Poszedł w tę stronę!

Andriusza machnął lekceważąco ręką. Nie lubił mistycyzmu, gdyż nie należał on do pojęć, do których przywykł, i tym samym nie miał prawa istnieć. A jednak wszystko wskazywało na to, że przyszedł do Wilczego Jaru, gdzie niedawno był wiatrak. Tyle tylko, że sobie poszedł.

— Mówię poważnie — powiedział Kola. — Zostawił ślady.

Wiatrak najwidoczniej popełznął po trawie, wyrywając gdzieniegdzie całe kępki. Bruzdy prowadziły w stronę drogi.

— Po co? — zapytał Andriusza. — Komu to potrzebne?

— Komu? — odpowiedział pytaniem Siemion. — Wiadomo koniu. Gross-majorowi. — Wyciągnął w stronę Andriusza coś błyszczącego.

Był to stary, miedziany guzik, gładki, wypukły, wielkości trzykopieszówki.

— Chodzi w mundurze — poinformował Sienia. — Mundur ma wojskowy, z tamtych czasów. Takie guziki. Wszyscy to wiedzą.

— Bzdury — powiedział Andriusza. — Jeśli to duch, to znaczy, że jest nierealny. Skąd to przywidzenie, że ma mieć miedziane guziki?

— Nie wiem — powiedział Siemion. — Widać tak musi być.

Ślady wiatraka dochodziły do leśnej drogi, dalej zlewały się z koleinami.

— Kiedy sobie poszedł? — zapytał z zadumą w głosie Andriusza. — Dzisiaj?

— Nie, no co wy — powiedział Kola. — Od tego czasu padał deszcz. Zatarł wszystkie ślady. Inaczej więcej byśmy zobaczyli.

Nie uzgadniając dalszej trasy wędrówki, poszli dalej. Słońce całkiem zaszło, brzęczały komary. W głębi, pod wielkimi drzewami pociemniało, kolory rozmyły się, cienie stały się nieprzezroczyste. Na drodze wciąż było widno.

— Może wrócimy? — zapytał Sienia. — Zaraz się ściemni.

— Nie — powiedział Kola. — Dojdziemy do przecinki. Wiatrak nie mógł pójść daleko. Utonąłby w rzece.

Andriusza, mimo że nie był pomysłodawcą wędrówki, poczuł się niezręcznie, bowiem dotychczas nie miał do czynienia z wędrującymi wiatrakami ani z gross-majorami czy też z innymi bzdurami, których, rzecz jasna, nie ma, mimo że jednak istnieją... A tu wracać trzeba przez ciemny las w towarzystwie trzech małych chłopców! Niech no się który zgubi — las jest ogromny, a on, Andriusza, go nie zna. „Jeszcze sto kroków — powiedział sam do siebie — i zawracamy...”

Wiatrak odnaleźli w odległości dwustu kroków, na drugiej polanie, na brzegu cichej, porośniętej trzciną odnogi rzeki. Stał niedaleko od traktu, tak dobrze ukryty wśród młodych wierzb, że nie odnaleźliby go, gdyby nie ślady w miejscu, gdzie zszedł z drogi.

Był dużo mniejszy niż oczekiwał Andriusza. Pomyślał, że gdyby Don Kichot zechciał podjąć z nim walkę, nie musiałby nawet wsiadać na konia. Do tego skrzydła gdzieś się zgubiły. Zwyczajna chatynka z wysokim, czworokątnym dachem. Drzwi były tak małe, że nawet Kola musiałby się zgiąć, gdyby chciał wejść do środka. Całości dopełniały wąziutkie okna.

W ciemniejącym powietrzu widać było, że w wiatraku pali się światło — prostokąt okna był pomarańczowy.

— To wiatrak? — cicho zapytał Andriusza.

— Tak, a co innego mogłoby tu być? — szeptem odpowiedział Sienia. — To ten sam, który widziałem w Wilczym Jarze.

— Ktoś w nim mieszka?

Dzieci popatrzyły na Andriusza jak na nienormalnego. Nie miały żadnych wątpliwości, że mieszka tam gross-major gubiący miedziane guziki.

Żółć okna powinna przywozić na myśl obraz przytulnej izdebki, bulgoczącego na stole samowaru, precli i szczerzej rozmowy, lecz Andriusza, nie wiedząc czemu, wyobraził sobie, że w środku zła baba-jaga — machając łopatą — stara się wepchnąć do pieca kolejnego głupka.

— Mimo wszystko pójdę — powiedział Andriusza, nie dlatego, że rzeczywiście tego chciał, ale dlatego, że nie mógł tak po prostu poddać się i zawrócić.

— Postoimy tutaj — odpowiedział Sienia.

Andriusza zostawił torbę pod opieką chłopców, a sam ruszył w stronę wiatraka, jednak nie prosto przez polanę, ale bliżej krzaków, aby być niezauważalnym dla ducha, gdyby temu przyszło akurat do głowy wyrzeć na zewnątrz. Chociaż, oczywiście, duchów nie ma.

Zatrzeszczała nadepnięta gałązka. Andriusza odskoczył w bok, wpadł do niewielkiego dołka i zastygł w niewygodnej pozycji. Zdawało mu się, że cały las szumi. Minutę stał na jednej nodze, dalej ruszył dopiero wtedy, gdy przekonał się, że nikt, poza komarami, nie zwraca na niego uwagi.

Okno znajdowało się zbyt wysoko, by można było przez nie zajrzeć do środka, trzeba więc było oprzeć się o ścianę i wspiąć na palce. Starając się opanować bicie serca, Andriusza zerknął, ale niczego nie zdążył zobaczyć, gdyż jego uwagę odwrócił dobiegający tuż zza pleców odgłos oddechu. Nerwowo odwrócił się. Za nim stał Kola.

— Co tutaj robisz? — wyszeptał Andriusza.

— Uciekli — w odpowiedzi szepnął Kola. — Sieńka i Siemion. Co będę sam stać. Strach. A tam co?

— Cicho. Zaraz! — Andriusza znowu wspiął się na palce i w końcu udało mu się zobaczyć, co

się dzieje w środku.

Wiatrak składał się z niewielkiej, ciasnej izby, zastawionej jakimiś skrzynkami i beczkami. Pomieszczenie skąpo oświeca lampa kolejowa. W słabym świetle Andriusza zobaczył odwróconego plecami człowieka, którego wygolony kark był dziwnie znajomy. W ręku trzymał stalowy pręt. Człowiek rozmawiał z kimś ukrytym za szerokimi plecami.

— Gadaj — mówił. — Gadaj, albo pożałujesz.

Rozmówca milczał. Błysnął stalowy pręt, ręka wykonała szybki ruch w dół, rozległ się gardłowy krzyk bólu.

— Co? Co? — szeptał z tyłu Kola.

— Mordują — zwrócił się do niego Andriusza. — Albo przesłuchują. Ale to nie duch.

— Podsadź mnie — poprosił Kola.

Andriusza wziął Kolę na ręce, w tej samej chwili właściciel szerokich pleców podniósł głos:

— Oderwę ci łeb i nikt się nie dowie. Zrozumiałeś, ścierwo?

— Donnerveter! — rozległ się gardłowy głos.

— Przeklinasz, tak? — kolejne uderzenie.

— To Wasia — Kola zwrócił się do Andriuszy. — Wasia—szofer.

Andriusza, nie puszczając Koli, zajrzał przez okno. Plecy Wasilija przesunęły się, przed oczami pojawił się niezrozumiały obraz: na wbitych w ściany wiatraka hakach wisiał rozciągnięty, ogromny, czarny kruk Grisza. Wasilij okładał go żelaznym prętem, a kruk uparcie odkręcał w bok głowę i starał się dosięgnąć dręczyciela dziobem.

— Griszka! — zduszonym głosem krzyknął Kola. Okrzyk Koli dotarł do Wasilija, który natychmiast odwrócił się.

— Zabiję! — krzyknął strasznym głosem i nie wypuszczając z ręki pręta, rzucił się ku drzwiom.

Kola wyrwał się z rąk Andriuszy, obaj upadli na ziemi? Ze strachu zaczęli pełzać, potem na czworakach uciekli w stronę krzaków. Zdawało im się, że Wasilij jest tuż, tuż...

Ale nie doszło do tego. Z tyłu dobiegł krótki krzyk przerażenia. Kroki prześladowcy ucichły i Andriusza obejrzwawszy się w tył, zobaczył, że Wasilij zamarł, jakby napotkał niewidzialną ścianę.

— Patrz! — krzyknął Kola, zrywając się na równe nogi.

Po okrywającej polanę, cienkiej, jakby utkanej z waty warstwie wieczornej mgły, powoli, nieważko, złowieszczo nadciągała ludzka postać, ubrana starannie i ze smakiem: długi, zielony płaszcz z czerwonym kołnierzem i mankietami, białe, obcisłe spodnie, białe pończochy i białe trzewiki z klamrami. Twarz zakrywał zielony, trójkątny kapelusz, w ręku trzymał stary pistolet.

Zaszeleściły krzaki — to Wasilij rzucił się do uciezki.

Andriusza, mimo że nie wierzył w duchy, poczuł taki lodowaty i przenikający na wskroś strach, że nogi same pociągnęły go gdzieś w bok. Przed oczami przemknęły plecy uciekającego Koli, potem pojawiła się ściana ciemnych drzew. Poczuł uderzenie w nogi, poleciał w stronę krzaków i upadł obok Koli.

Poleżeli przez chwilę, Andriusza ostrożnie podniósł głowę i wyjrzał przez prześwit w krzakach. Zawieszony w niebieskawym mroku duch zbliżał się do wiatraka.

— Biegnijmy, póki duch jest daleko — wyszeptał Kola.

— Poczekaj — powiedział Andriusza, który mimo obecności ducha odzyskiwał wrodzony sceptycyzm.

— To jego wiatrak — powiedział Kola. — Wasia tam wlaź i teraz tego pożałuje. Za takie

przewinienie gross-major wydostanie go choćby spod ziemi.

Andriusza podniósł się nieco na łokciach, popatrzył przed siebie. Zobaczył, że z drzwi wiatraka wyskoczył czarny cień i wzbił się ku niebu.

— Wypuścił go — powiedział Andriusza. — Poczekamy jeszcze chwilkę?

— Rób, jak chcesz — powiedział Kola. — Ja mam dość.

— Dobrze — powiedziała Andriusza, który też nagle poczuł, że jest bardzo zmęczony i chce wracać do domu.

Nie zdążyli wstać, a tam — gdzieś w pobliżu — trzasnęła gałązka. Ktoś szedł powoli i ostrożnie.

— Wasia — szepnął Kola.

Ale to nie był Wasia. Z krzaków, na ledwie widoczną w gęstniejącym mroku polaną, którą wypełniła mgła podnosząca się pasmami znad wody, bezgłośnie wypłynęła jeszcze jedna postać. Był to jeszcze jeden duch żołnierza. Miał na sobie niebieski mundur z czerwonym kołnierzem i wyłogami, spodnie, w przeciwieństwie do pierwszej zjawy, były czerwone, wsunięte w wysokie buty z rozszerzonymi mankietami. Niebieski, trójkątny kapelusz obszyty był błyszczącym w świetle księżyca galonem.

— Znowu gross-major — wyszeptał Kola. — Tego już za dużo.

— Pewnie z innego pułku — powiedział Andriusza. Duch obejrzał się, jakby chciał zwietrzyć obecność żywych, potem ruszył w stronę wiatraka, będąc po kolana pogrążonym we mgle. Cóż to był za widok, niemalże zagadkowy i pozaziemski.

Drzwi wiatraka otwarły się i wyszedł z nich, poprawiając trójkątny kapelusz, pierwszy gross-major. Zanim zobaczył sobowtóra, zdążył przejść kilka kroków. W tej samej chwili sobowtór zauważył go.

Duchy zatrzymały się, popatrzyły na siebie nawzajem.

— Podwójny — wyszeptał Kola.

Duchy dosłownie przyrosły do ziemi. Sekundy ciągnęły się powoli, straszna, niekończąca się cisza zawisła nad polaną. Andriusza słyszał szybkie, nierówne bicie własnego serca.

I wtem oba duchy odwróciły się i, przyśpieszając kroku, rozeszły się w różne strony: pierwszy poszedł w stronę wąwozu, drugi — ku drodze. Szły coraz szybciej, leciały nad mgłą, i rozmyły się w niej, jakby nigdy nie istniały.

Andriusza i Kola bez umawiania się podnieśli się i, milcząc, pobiegli w stronę lasu.

Było już całkiem ciemno, gdy wyszli z niego mniej więcej kilometr od wsi. Tuż przy opłotkach usłyszeli nadciągający z tyłu ryk silnika i, odskoczywszy w bok, obserwowali jak, ac się, przemknęła ciężarówka. Rozejrzeli się i przyśpieszyli kroku — wieś była blisko.

W domach paliły się już światła, słychać było jak pluszcze płynący po kamieniach strumyk. Ze stojącego na skraju domu wyszły dwa cienie — Sienia i Siemion. Chłopcy pobiegli ku drodze.

— Czekaliśmy na was — oświadczył Sienia — aż zmarzliśmy.

— Uciekliście — pogardliwie powiedział Kola.

— Widzieliśmy ducha — powiedział Siemion. — Biegliśmy tak, że ledwie nóg nie połamaliśmy.

— My widzieliśmy całe ich stado — powiedział Andriusza.

— Pełno ich w lesie, jak grzybów. Wasilij przejeżdżał tędy?

— Dopiero co przejechał. A co?

— Nic — powiedział Kola. — Dobranoc, chłopaki.

— Gdzie się podziewałeś? — zapytała Ella na widok Andriuszy. — Miałam już całą wieś

podnieść na nogi.

— Chodziłem z Kola po lesie — powiedział Andriusza.

— A gdzie się podziała młodzież?

— Benek poszedł z Angeliną do klubu. Na próbę chóru. Angelina śpiewa, a Benek chciał posłuchać, czy nie trafi się jakaś ciekawa melodia.

— Jasne — powiedział Andriusza. — Benka poprowadziła bezinteresowna miłość do folkloru.

— Jeśli nawet podoba mu się Angelina, to co w tym złego — powiedziała Ella. — Tobie to uczucie jest na razie całkiem obce.

— Na szczęście — powiedział Andriusza. W tym momencie był rzeczywiście jak najdalej od tego rodzaju uczuć.

Kola rozpałał w piecu, spoglądając na niego. Nie rozumiał, dlaczego Andriusza robi sekret z wieczornych zdarzeń oraz nie opowiada kierownicze o duchach... A ponieważ był chłopcem spokojnym, nie wtrącał się do cudzych spraw, tym bardziej, że właśnie przyszła Głafira i ciężko usiadła na krześle.

— Zmęczyłam się śmiertelnie — powiedziała. — Brakuje rąk do pracy. Przyjdzie nam dzieci do roboty gonić. Zamykamy spółdzielnię.

— Ciocia Agafia się nie zgodzi — powiedział Kola, dmuchając na ogień w piecu. — Ma plan.

— Nie wiem, co robić. Do tego jeszcze zebranie w sprawie Inu. A jak wam dzień minął?

— Edward Olegowicz zapoznał nas z kobietami. Obiecały mi pomoc. Benjamin poszedł do klubu na próbę.

— Zakochał się w Angeli — powiedział Kola.

— Co? Już zdążył? A to z niej ziółko — rozżłościła się Głafira. — Człowiek uczony, w pracy, a ona mu zawraca głowę!

— Nie — powiedział Andriusza. — To nie jej wina. Benek zobaczył portret u koronkarek i wpadł w zachwyty. A Angelina okazała się kopią portretu... I jego serce nie wytrzymało.

— Nie naśmiewaj się, Andriusza — powiedziała Ella.

— Nie naśmiewaj się. Kiedyś sam znajdziesz się w podobnej sytuacji.

— Jasna rzecz. Dziewczyna pomieszkała w mieście, teraz tęskni — powiedziała Głafira. — A tu człowiek wykształcony, w okularach. Bardziej martwi mnie Wasilij.

— Wasię widzieliśmy dziś w lesie — powiedział Kola.

— W wiatraku. Pokazywaliśmy wiatrak Andriuszy.

— W Wilczym Jarze?

— Nie, poszedł dalej — powiedział poważnie Kola. — Znaleźliśmy go obok Maksymowego zakola. Wasilij torturował tam Griszę.

— Nie może być! — krzyknęła Ella. — Jakiego Griszę? Dlaczego mu nie przeszkodziliście? Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

— Zaczekajcie — powiedziała Głafira, z trudem wstając z krzesła. — Nikołaj, opowiedz mi wszystko po kolei. Ten Wasia od dawna mnie niepokoi. Kogo torturował, czego chciał się dowiedzieć?

— Nie widzieliśmy — powiedział Andriusza. — Stał do nas tyłem, światło było kiepskie...

— A potem nas usłyszał i pogonił. A potem duch...

— Duch? — spytała Ella.

— Gross-major — powiedziała Głafira. — Sama go co prawda nie widziałam, ale są tacy, co widzieli.

— To przecież niemożliwe — powiedziała Ella.

— Słusznie — zgodziła się Głafira. — Nikołaj, opowiadaj dalej.

— Nic więcej nie ma do opowiadania. Duch przyszedł w mundurze i z pistoletem, Waśka uciekł, my też.

— I to wszystko?

Kola popatrzył na Andriuszę. Ten zrozumiał spojrzenie. W jednego ducha można było jeszcze jakoś uwierzyć.

— Nie wszystko — powiedział Andriusza. — Duchy były dwa.

— Głupią ze mnie chcecie zrobić — zasepiła się Głafira.

— Jak Boga kocham, dwa — powiedział Kola. — Tylko że jeden był w zielonym mundurze, a drugi — w niebieskim. Pierwszy poszedł do wiatraka, wypuścił Griszę...

— Czyli niepokoi się, gospodarstwa pilnuje — powiedziała Głafira.

— Grisza nie powie — zauważył Kola.

Andriusza nagle posmutniał. Był tutaj obcy. Niby widział to samo co inni, niby z nimi rozmawiał, siedział przy jednym stole, chodził do lasu, ale z tego wynikały tylko kolejne nieporozumienia i tajemnice. To napadasz na niedźwiedzia, a tu okazuje się, że napadać nie wolno, to szukasz w lesie wiatraka i nikt się nie dziwi, że wiatrak wędruje, a w środku przesłuchują Griszę, a tobie wszystko wydaje się zagadką, może wyjaśnienie jest proste, ale wyjaśnić nie ma kto...

Nastąpiła przerwa, której ani Ella, ani Andriusza nie odważyli się przerwać. Ella kręciła na palcu rudy lok i starała się Przekonać samą siebie, że gospodarze żartują. Głafira znowu usiadła przy stole, zamyśliła się, założyła masywne, modne okulary i zaczęła przeglądać gazetę, a w niej — osiągnięcia podczas sianokosów.

— Patrzcie no — powiedziała — „Droga rewolucji” skosiła sześćdziesiąt dwa procent. Widział kto coś takiego? Przecież nie zaczęli jeszcze za Sotwą kosić!

— Wczoraj kosili — sprzeciwił się Kola. — Prosta sprawa, mają trzydziestu studentów do pomocy.

— Studenci zbierają jagody w lesie — powiedziała Głafira.

— Uwierz mi, że Kondratij pośpieszył się ze sprawozdaniem. Oj, pośpieszył się.

— Czyli widzieliście postacie w strojach oficerskich? — Ella cicho zapytała Andriuszę. — A może tutaj rozmieszczono jednostkę wojskową? Wolno im w czasie wolnym chodzić po lesie.

— Jeśli nawet było to rozlokowane wojsko — westchnął Andriusza — to dwieście lat temu. Szkoda, że było ciemno, nie mogłem zrobić zdjęcia.

— Milicja interesuje się Waśką — powiedziała Głafira, odkładając gazetę. — Tyle lat wiatrak stał na miejscu. Komu to potrzebne, nie rozumiem. Nikołaj, pobiegnij do Artemija, zawołaj go. Muszę z nim porozmawiać.

Wkrótce staruszek Artemij wszedł do izby powoli, zatrzymując się na chwilę w drzwiach. W rękę trzymał obwiązaną sznurkiem, starą walizkę, z jaką zwykle chodzą hydraulicy.

— Dobry wieczór — powiedział, gładząc siwą bródkę.

— Nie przeszkadzam?

— Wchodź, dziadku — powiedziała Głafira. Zdjęła okulary, odłożyła je na stół i nakryła je, jak muchę, ciężką dłonią. — Siadaj.

— Po co mnie zaprosiłaś? — zapytał.

— Mam do ciebie żal. Wiesz o co?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Nie domyślam się. Do pracy dziś nie poszedłem. Ta....

— Znowu zachorowałeś? A kto będzie kosić?

— Słusznie! Ale nie zachorowałem. Niepokoilem się. O zdrowie Michaiła, sama rozumiesz. Nastraszyli go. — Dziadek uprzejmie skinął głową w stronę Andriuszy. — Bez żadnych złych zamiarów, ale wystraszyli. A on cos' się nerwowy ostatnio zrobił, bardzo nerwowy. Zabrał mi maliny. Ale jutro będę od rana, Głafiro, na pewno! Z kosą na polanie! Bez kręcenia, taa...

— Popatrz, co tu piszą! „Droga rewolucji” skosiła już sześćdziesiąt dwa procent!

Z kieszeni szarej marynarki staruszek wyjął stary, pozłacany lornion i pochylił się nad gazetą. Wszyscy milczeli, czekając, gdy staruszek, poruszając wargami, czytał informacje o przebiegu sianokosów.

— Tak — powiedział w końcu. — Kondratij, można powiedzieć, przesadził. Ta...!

Kola sięgnął po garnek z ziemniakami. Ella pomogła mu, obok postawiła patelnię z rybą, a Andriusza kroił chleb.

— Powiedz, gdzie jest Grisza? — zapytała Głafira. — Nic mu się nie stało?

Staruszek zakaszłał, ale milczał.

— Czego milczysz? Ludzie przyjezdni, to i tak nie rozumieją.

— Widziałem dzisiaj Griszę — powiedział staruszek. — Widziałem. Przyleciał. Ma uszkodzone skrzydło, brakuje dwóch piór w ogonie. Udzieliłem mu azylu politycznego.

— Wasilij? — zapytała Głafira.

Staruszek zdziwił się bardzo, złapał za brodę, pociągnął ją w dół, oczy zrobiły mu się szklane.

— Wasilij? Co Wasilij? — zapytał.

— Nie to nie — powiedziała Głafira. — Tylko weź pod uwagę, stary, że chłopcy byli w lesie i znaleźli wiatrak. Widzieli tam Wasilija. I Griszę.

— Wiatrak? W Wilczym Jarze?

— Nie — powiedział Kola — dalej, koło Maksymowego zakola.

— Aha — zgodził się staruszek — dalej.

— Kiedy Grisza przyleciał do ciebie?

— Nie dalej jak pół godziny temu.

— Co powiedział?

— A co on może powiedzieć, głupi ptak.

Ella i Andriusza słuchali rozmowy, jej znaczenie wydawało się prawie zrozumiałe, a jednak wciąż im umykało.

— Czyli nic nie wiesz? — zapytała Głafira.

— Nic nie wiem, ta... Ale z pewnością dojdę do tego, znasz mnie Głafiro.

— Siadaj, zjesz z nami.

— Nie trzeba, dziękuję. Już jadłem.

— Zjedz. Nie odmawiaj. Ludzie z tobą porozmawiają. Możesz im się przydać... Dziwię się. Niby znam i ludzi i okolicę, całe życie tu spędziłam, a tu masz, teraz czegoś tu nie rozumiem. Jakby duch jakiś' się wtrącił. Po prostu nie rozumiem!

— Ja też tak myślę — powiedział staruszek. Wyjął szczotkę, zaczął rozczesywać brodę. — Też sądzę, że pojawił się jakiś zły duch, tylko nie znam jeszcze jego nazwiska.

— Czyli nie wierzysz?

— W kogo nie wierzę?

— W gross-majora.

- Nie — ze smutkiem odpowiedział staruszek — wierzę. Wolałbym nie, ale wierzę. Sam go widziałem. W lesie. Dzisiaj. Chodzi, brodzi we mgle. Czego on chce, ot pytanie?
- Zjedzmy coś — powiedziała Głafira. — I zaczynaj dziadka opowieść.
- O czym mam opowiadać?
- Nie udawaj, walizkę po co przyniosłeś? Wszyscy wiedzą, że trzymasz w niej swoje papierzyska.
- Ochraniam — zgodził się staruszek — przed innymi ludźmi.

Staruszek wyjął długą, kościaną firkę, z drugiej kieszeni wy dostał wyszyty drobnymi paciorkami woreczek z tytoniem, zapalił skręta i włożył go do lufki.

Ella i Kola sprzątnęli ze stołu. Staruszek postawił walizkę stole, rozwiązał sznurki — pakunek natychmiast rozsypał się, kartki wypadły na stół.

— Wieś nasza — powiedział staruszek, rozkładając papiery na stole — ma długą i dziwną historię. Ale znana jest ona tylko wąskiemu gronu ludzi, bo nikt inny się nią nie interesował. Popatrz na swoich gości, Głafiro. Ludzie z ich specjalnością bywają w najdalszych zakątkach, a do nas dotarli dopiero pod koniec dwudziestego wieku. Ty, ruda — zwrócił się do Elli, ale ona się nie obraziła — powiedz, dlaczego Potoki noszą imię Połujechtowa?

— Połujechtow był właścicielem ziemskim — powiedziała Ella. — Opowiadał nam Edward Olegowicz.

— Nie słuchaj tyle Edwarda Olegowicza. On człowiek nie stąd, z miasta przyszedł, nie interesuje się. Jak przyjechał, tak i wyjedzie.

— Edward Olegowicz zrobił dużo dla twórczości amatorskiej — powiedziała Głafira.

— Gdy mądrze mówisz, Głafiro, zawsze cię słucham. Ale gdy mowa o twórczości amatorskiej albo amerykańskim jazzie, lepiej byś milczała. Jasne?

Głafira uśmiechnęła się. Za oknem zrobiło się już całkiem ciemno, nad firanką wisiał księżyc.

Artiom chytrze uśmiechnął się, odłożył lornion, wysunął brodę, zakołysał się powoli, rytmicznie, uniósł ręce nad kolanami, jakby na nich leżały gęśle, na których zamierzał sobie akompaniować.

— Za siedmioma górami — zaczął z zaśpiewem — za siedmioma rzekami...

— Posłuchaj Artiom — przerwała mu Głafira — a prościej nie możesz?

— Prościej nie wolno — odpowiedział dziadek. — Zapomniałaś, kogo podejmujemy? Specjalistów od folkloru — dla nich to co zaczyna się od dat i opowieści świadków, jest nieciekawe. Czyli tak, za siedmioma górami, za siedmioma morzami, za siedmioma rzekami, żyli dobrzy chłopci, ziemię orali, smutku nie znali, podatki płacili, len hodowali...

Andriusza włączył magnetofon, staruszek nachylił się tak aby nic nie umknęło podczas zapisu, a sam spoglądał na zielone drżące światelko lampki wskazującej jakość nagrywania.

— A ty co, folklor wymyślasz? — z powątpiewaniem wtrąciła Głafira.

— Ktoś musi — powiedział staruszek — nie można tego zostawić niegramotnym babkom. A ty — dlaczego nie kupisz Telefunkena?

— Co? — Andriusza nie zrozumiał.

— Jakość kiepska — powiedział staruszek.

— Nie zbaczaj z tematu — powiedziała Głafira. — Myślisz, że jak masz nowych słuchaczy, to już nic ci zrobić nie można? Zaraz każę Koli opowiadać...

— Nie, Kola nie może — nie zgodził się staruszek. — Jest romantykiem. Na pewno nakłamię. O

twierdzy i Indianach.

— To sama opowiem.

— Opowiadaj, a mnie co tam, czyja się sprzeciwiam? Jesteś kierownikiem brygady, ty tu jesteś władzą wykonawczą. No, opowiadaj.

— Rzecz w tym — powiedziała Głafira — że nasz dziadek jest krajoznawcą. Trzy urlopy pod rząd spędził w Leningradzie, w archiwach, w muzeach. Wszystkie nasze bajki i legendy wyjaśnił naukowo, skromność tylko staje mu na przeszkodzie, no i brak wykształcenia...

Głafira mówiła, uśmiechając się półgębkiem i spoglądając na staruszka, który kręcił się na stołku: i słuchać było miło, i samemu chciało się opowiadać.

— Dobrze już — powiedział staruszek — sam dalej opowiem.

Dwoma rękami przyciągnął do siebie stertę papierów. Papiery były różne: stare, pomięte notatki, maszynopisy, fotokopie ręcznie spisanych dokumentów...

Staruszek pogrzebał w papierach, powiódł srogim spojrzeniem po audytorium i powiedział:

— Tym niemniej zaczniemy od folkloru.

— Zaczniemy — powiedział Andriusza i wyjął aparat fotograficzny. Widok staruszka patrzącego przez lornion na członków ekspedycji był bez wątpienia egzotyczny.

— Ustaw dłuższy czas naświetlania — srogo powiedział staruszek. — Światła tu mało. A zaczniemy od bajki. Tak jak opowiadano ją wśród ludu i jak usłyszał ją od mojej babki Pelagii przypadkowy człowiek, naukowiec Miller, który w nasze okolice dotarł z ciekawości, typowej dla porządnego, rosyjskiego Niemca.

Staruszek wyjął fotokopię gazety.

— Wydrukowano w gazecie „Miłośnik Rosji”, numer szósty, grudzień 1887, a był to ostatni numer gazety. Znalazłem go w bibliotece Permskiego Instytutu Kultury. „Bajka to czy nie bajka” — tak moja babka zawsze zaczynała opowieści. Początek typowy w naszych stronach.

— Typowy — zgodziła się Ella — macie całkowicie rację.

— „Bajka to czy nie bajka, leciała czajka, niosła jajka”. Ostatnie słowa podaję na odpowiedzialność Millera, babka moja nigdy tak nie rymowała — powiedział staruszek.

— To prawdopodobne — ponownie zgodziła się Ella. — Kobiety opowiadające bajki zawsze szanowały język rosyjski.

— Zostańmy przy tym, że babka dawała sobie radę bez rymu — powiedział staruszek. — Sedno w czym innym. Na początku mamy typowy tekst o głupku Iwanie, szukającym lekarstwa dla carewiny. Spotyka Iwan starca... A teraz słuchajcie dosłownie: „I powiedział mu starzec: za lasami, za morzami, Za wysokimi górami jest w lesie źródło, a w nim żywa woda. Dasz martwemu się napić — ożyje, dasz choremu — choroba pójdzie precz, dasz kalece — tańczyć będzie”.

— Tak jest napisane?

— Powtarzam, to zapis Niemca Millera. Kontynuuję: „I powiedział wtedy głupek Iwan: *Chodźmy, ojczulku, po żywą wodę, wyleczymy carewnę*. Rozgniewał się okrutnie ojczulek-car. *Jak to* — mówi — *ty, chłopski syn, chcesz mi rozkazywać? Weź* — powiada — *moich zbrojnych gwardzistów i idź do Źródła, znajdź je, przynieś wody i wylecz carewnę. Wyleczysz, to dostaniesz ją za żonę i pół imperium na dodatek”.*

Staruszek odłożył kartkę, popatrzył przez lornion na etnografów i zapytał:

— Jak często głupi Iwan dostaje do towarzystwa rotę wojska?

— No, to jest całkowicie niezrozumiałe — powiedziała Ella. — Bohater w bajkach zawsze

działa sam.

— Ano właśnie — powiedział dziadek Artiom. — Też tak pomyślałem. Muszę ci powiedzieć, że tę historię słyszałem od babci już po tym, jak odwiedził nas Niemiec Miller, a babcia miała wtedy ciągle jeszcze sprawny umysł i dobrą pamięć. Oczywiście, nie wtedy nie wiedziałem o Millerze, ale babcia mówiła mi, że źródło z żywą wodą znajduje się w lesie, za naszą wsią. Rozumiesz, za naszą! Taaa....

— A jest tam? — zapytał Andriusza. — Czy wędruje jak wiatrak?

— To właśnie postanowiłem sprawdzić. Tym bardziej, że woda w naszej wsi nie jest zwyczajna.

— W jakim sensie? — zapytała Ella Stiepanowna, odruchowo odstawiając filiżankę z herbatą, czego nikt, oprócz Andriuszy, nie zauważył.

— A w takim, że niepowtarzalna. Czysta, dobra.

— Włosy można myć jak w szamponie — powiedział Kola.

— O to chodzi! Od naszej wody poprawia się zdrowie, sił przybywa. Lepsza od markowej mineralnej.

— Oj, dałbyś spokój — sprzeciwiła się Głafira. — Patrioto pisał nawet do Kisłowodzka, żeby przysłali specjalistę.

— I przyślą — powiedział staruszek. — Zorientują się i przyślą.

— Nie ma sensu — powiedział Andriusza. — Dojechać tu rudno. Kto tu przyjedzie? Morza nie ma, pejzaży mało.

— Ot, głupek — powiedział staruszek z przekonaniem. Okazuje się, że kiedyś ludzie byli mądrzejsi niż ty, student. Kto kryje się w ludowym eposie pod postacią głupka Iwana i jego rotę żołnierzy? Nie istnieje czasem historyczne wyjaśnienie?

— Słusznie — powiedział Andriusza. — Armata na placu, drogowskaz, nazwisko „Połujechtow”.

Staruszek pogrzebał w stosie papierów, kilka z nich przysunął bliżej do siebie, chociaż widać było, że wszystkie zna na pamięć.

— W połowie osiemnastego wieku władała u nas caryca Anna Joannowna, słyszeliście o niej? Ella kiwnęła.

— Pod koniec swego panowania zachorowała z głupoty i nieprzyzwoitego obżarstwa. I w jakiś, niezrozumiały dla nas na razie, sposób dowiedziała się, że tutaj, na Uralu, znajduje się lecznicze źródło. Sądzę, że wieści pochodziły od kupców przyjeżdżających tutaj po futra. Przecież carowie są jak zwykli ludzie: gdy zachorują — są gotowi uwierzyć we wszystko. Caryca nakazała koniecznie odnaleźć źródło i urządzić dla siebie kurort. — Staruszek wyciągnął ogromną, zwiniętą w trąbkę, poźółkłą kartkę i rozwinął ją. — „My, z łaski bożej, Anna Joannowna” — przeczytał. — Bez lupy nie da rady. Dwa miesiące nad tym siedziałem, zanim rozszyfrowałem... „Posyłamy wojsk naszych gross–majora Iwana Połujechtowa...”. A dalej nic już nie da się odczytać. I wiecie, gdzie znalazłem ten dokument?

Staruszek zrobił przerwę, poczekał, aż wszyscy pokręcą zaprzeczająco głowami, po czym powiedział cicho i uroczyście:

— W kufrze mojej babki. Jasne? To oryginał. Być może, gdzieś w archiwach jest kopia, ale tu mamy oryginał. Jasno z niego wynika, że caryca posłała w nasze strony jednego gross–majora. Tu bajka przestaje być bajką, nic na to nie poradzę.

A tu, patrzcie, przepisałem z gazety „Archiwa Rosji”. „O pewnej, zapomnianej ekspedycji w

XVIII wieku”. Píše niejaki Fiodorow–Gawriłow. Píše on, że cel ekspedycji, która w wielkiej tajemnicy została wysłana w roku 1738 z Petersburga na wschód pozostaje niewyjaśniony. Wiadomo, że na czele stanął gross–major Połujechtow, który wyróżnił się w czasie wojny krymskiej, służąc pod wodzą feldmarszałka Minicha — wszystko tu opisano, co i jak. Fiodorow–Gawriłow założył, że celem ekspedycji były wybrzeża Oceanu Lodowatego lub zdobycie złota, dalej snuje rozważania na ten temat i dodaje, że ekspedycja nie powróciła.

— A to dobre — nie wytrzymał Andriusza. — Wychodzi na to, że przybyli tutaj?

— Co więcej, bez dróg, ścieżkami, przyciągnęli armatę. Dokonali tego wyłącznie wojskową dyscypliną. Wybudowali dom, ustawili armatę...

— Czyli znaleźli źródło? — zapytała Ella.

— Zakładam, że znaleźli nasz potok — powiedział staruszek. — Woda w nim dobra.

— Dobra — powiedziała Głafira — ale zwyczajna.

— Caryca czuje się coraz gorzej — kontynuował staruszek.

— Pyta swoich bironów i ostermanów^{*}: „Jak tam sprawy stoją z moim szybkim ozdrowieniem?”.

A oni odpowiadają: „Nie mamy żadnych wieści, wiemy tylko, że Połujechtow dotarł na miejsce i buduje drogę”. „A woda jaka jest?” — pyta caryca. „O wodzie nic nie wiemy” — odpowiadają bironowie — „Raz, dwa, szybko mi się dowiedzieć!” — rozkazuje caryca.

— „Najważniejszego nie ustaliliście!”. Zakręcili się bironowie i pośpiesznie wysłali carskiego lekarza, Blumenquista, żeby mu dał wodę. Od dawna ów doktor bezskutecznie leczył carycę, a gdy dotarł na miejsce, przygotował raport po niemiecku, ale mi go dobrzy ludzie w Leningradzie przetłumaczyli. Przy okazji kupiłem tam stereo, żeby jazzu słuchać... Oto co ogłosił doktor: „Po przybyciu na miejsce odkryłem, że klimat jest tu deszczowy i nieodpowiedni dla szacownych osób, a woda, oprócz czystości, niczym specjalnym się nie wyróżnia”.

— Dlaczego tak kategorycznie? — zapytała Ella.

— Intrygi — odpowiedział staruszek. — Oto fragment osobistego dziennika Ostermanna: „Poza tym, wyjazd imperatorowej z Sankt–Peterburga jest skrajnie niepożądany, albowiem może doprowadzić do niepokojów wśród gwardii, szczególnie jeśli imperatorowa umrze lub poważnie zachoruje w trakcie męczącej podróży. Rozmawiałem z przybyłym z Uralu doktorem Blumenquistem, którego raport na temat wód mineralnych winien być pomyślny dla naszych planów i losu Rosji”. Jasne?

— Jasne — powiedział Andriusza. — A co było dalej?

— Tutaj zaczyna się najciekawsze. Majorowi przykazano, aby przerwał budowę kurortu i powrócił do domu. Agross–major nie odpowiedział. Posłuchajcie, jak kończy się bajka. „I mówi głupek Iwan: *Choć zabij mnie carze, powrotnej drogi do miasta dla mnie nie ma. Będziemy tu z carewną żyć, dzieci chować. Chatkę zbudujemy, ogród założymy.* Zły był car, krzyczał, ale co robić — słowa dotrzymać trzeba. Oddał Iwanowi carewnę. I zostali w lesie, chatę zbudowali, dzieci zrodzili, i tak nasza wieś pojawiła się na świecie. I do tej pory żyją, jakże im umierać, gdy żywa woda obok — choćby i wiadrem czerpać”.

— Czyli został tutaj i zamieszkał? — zapytała Ella.

— Droga kierowniczo — powiedział Andriusza — sprawa jest prosta, gross–major mieszka tu do tej pory, tyle że na samej wodzie długo nie pociągniesz, ot, i zamienił się w ducha.

— A naprawdę? — spytała Ella, pełna zaufania dla detektywistycznego talentu staruszka.

— Taaa...! — Staruszek triumfował. — Mam tutaj dokument numer dziewięćdziesiąt trzy,

datowany ósmego września Roku Pańskiego tysiąc siedemset czterdziestego drugiego!

— Potrzęsnał w powietrzu zapisaną kartką. — Oto kropka nad „i” w moich naukowych poszukiwaniach! Doniesienie syberyjskiego gubernatora o poszukiwaniu zaginionego bez wieści gross–majora Połujechtowa i jego ludzi. Taaa...!

— Nie zanudzaj gości — powiedziała Głafira. — Wszyscy wiemy, że mówić to ty potrafisz.

— Po kolei — powiedział staruszek — trzeba się przygotować. Okazuje się, że gubernator otrzymał rozkaz odnalezienia Połujechtowa i przywiezienia go do stolicy i to w dodatku — razem z pieniędzmi. Dlaczego tak się stało? Popatrzcie na daty. Minęły dwa lata, zanim się zorientowali. Wyobraźcie sobie — Anna zmarła, Ostermann wypadł z łask, do władzy doszła młoda caryca Elżbieta, której własne zdrowie na razie jeszcze nie niepokoiło. I w całym tym bałaganie zapomnieli o naszym gross–majorze. A on żył. Nie dostawał nowych rozkazów, czekał. I nie wiedział, że żywa woda została uznana za zwykłą.

— Moja babka — wtrąciła się Głafira — sądziła, że rozkaz powrotu nadszedł, tylko Iwan go podarł.

— Zawierucha była, rozumiecie, zawierucha! — powiedział staruszek. — Być może nikt nie miał głowy do Połujechtowa? A on sam ożenił się z Heleną.

— Z kim? — zapytała Ella Stiepanowna.

— Zajrzelibyście do koronkarek, wiszą tam dwa portrety Jeden — gross–majora, drugi — Heleny, jasne?

— To przecież ukochana Benka! — domyślił się Andriusza.

— Dokładna kopia Angeliny!

— Nic dziwnego — powiedział staruszek. — Co drugi w naszej wsi to wynik ich miłości.

— Kim była? — spytała Ella.

— Myślę, że tutejszą dziewczyną — powiedział staruszek. — I w osadach ludzie mieszkali, i z Sotwińska mężczyźni przyjeżdżali drogą, aby dom carycy budować. Sądzę, że część żołnierzy założyła rodziny.

— Bardzo się kochali — powiedziała Głafira. — Nawet pieśni o tym śpiewają w naszej wsi. Mieli trójkę dzieci: Pietię, Konstantego i Elżbietę.

— No! — Staruszek zrobił przerwę. — Taki związek musiał zakończyć się tragedią. Taaa... Dlaczego? Przez straszne warunki socjalne, jakie wtedy panowały. Kim był gross–major? Dworzaninem. A Helena? Chłopska córka, najniższa warstwa społeczna. Nie wolno im było się pobrać. Sądzę, że żyli tutaj szczęśliwie, ale w strachu, że szczęście dobiegnie końca.

— A co tu sądzić — powiedziała Głafira. — Są o tym pieśni. Dzieci mieli nieślubne, czekała ich rozłąka...

— Nieunikniona — podchwycił staruszek. — Niewykluczone, że gross–major miał drugą rodzinę... Z raportu gubernatora wynika, że w roku czterdziestym drugim otrzymał on rozkaz odszukania gross–majora i jego żołnierzy, przywiezienia go z powrotem, a jeśli on, przypadkowo, przeniósł się...

— To znaczy umarł... — wyjaśnił Kola.

— Wtedy... Kola, nie przerywaj, uszu ci natrę... Wtedy należało dostarczyć do Moskwy szkatułę, trzynaście tysięcy rubli w złocie i srebrze, wydane gross–majorowi na przygotowania do przyjazdu carycy.

— Aż tyle? — zdziwiła się Ella.

— A jak! Drogę zbudować, dom, wygodę... Dobrze, co robi więc gubernator? Jak wszyscy gubernatorzy — wydaje rozkazy. Posyła polecenie z Tobolska do Jekaterynburga, a stamtąd wysyłają człowieka do Niżniesotwińska. Co to za major, co za szkatuła? Dlaczego o niczym nie wiem? Gubernator był nowy, a do Ruczajów z Tobolska, daleka droga! Z Niżniesotwińska donoszą mu — mamy gross-majora, żyje z chłopką we wsi, Dzieci się dorobił, z punktu widzenia dworskiej moralności — chuligan, a pieniądze z pewnością roztrwonił.

— A on ich nie roztrwonił — powiedział Kola — tylko schował w jaskini.

— Co za bzdura — oburzył się staruszek. — Gross-major zbudował dom i drogę, przez cztery lata utrzymywał żołnierzy — skąd miał mieć pieniądze? Nie waż się obrażać swojego przodka!

— Schował, wszyscy wiedzą, tylko znaleźć ich nie można. Duch pilnuje.

— Mnie też tak mówili — powiedziała Głafira.

— Opamiętaj się, Głafiro — staruszek aż gotował się ze złości. — Nie zachowuj się jak wyrachowany i naiwny Wasilij.

— A jaka jest wasza teoria? — zapytała Ella.

— Nie teoria, tylko przekonanie. Pieniądze rozkradli niżniesotwińscy urzędnicy. Gross-major był żołnierzem, człowiekiem prostym, finansowych zawłości nie rozumiał. Ale kto mu uwierzy, jeśli nawet wy, krewniacy można powiedzieć, nie wierzycie!

— Dalej, dalej! — domagała się Ella.

— Wszystko po kolei. Gubernator wysłała do majora rozkaz, by ten natychmiast stawił się do raportu ze szkatułą i żołnierzami. A major nie odpowiada. Gubernator wysłała więc do Ruczajów porucznika z oddziałem wojska. Gdy gross-major dowiedział się o ich przybyciu...

— O tym napisano pieśni — poinformowała Głafira i wtem zaśpiewała ze łzą w oku, z uczuciem:

I zbiera się sokół jasny w leśną gęstwinę,

I szepcze sokół jasny młodej żonie...

— *Oj nie płacz żono młoda, nie lej łez na próżno!* — podchwycił staruszek. Natychmiast jednak przerwał i kontynuował rzeczowo, prozą: — Żołnierze nie zastali gross-majora we wsi. Poszedł w las i nie wrócił. Zaginął.

— Może uciekł? — zaproponował Andriusza.

— Nie, zginął, taaa... Przyleciał kruk Grisza, mieszkał u Heleny w domu. Był pisklęciem, gdy znalazł go major, wychował od małego, nauczył wszystkiego, a Grisza był jak pies. Nigdy się nie rozstawali... Żołnierzy związali, w dyby zamknęli, szukali pieniędzy, całą ziemię zryli. Gubernator wysłał raport do Petersburga — nie ma majora, nie ma pieniędzy.

— Poszedł do swojego skarbu — powiedział Kola. — Zasypało go w jaskini. Snuje się teraz jako duch. Miejsce zna, ale pokazać nie chce.

— Istnieje taki przesąd — powiedział staruszek. — Są tacy, co wierzą w ducha gross-majora.

— A wy? — zapytał Andriusza.

— Wierzę, dlaczego nie? Może to obraz elektroniczny? Ot, i cała bajka — podsumował dziadek Artiom.

— Nie cała. Bajka kończy się tym, że Helena, żona majora — zaczęła śpiewnie Głafira — wypłakiwała oczy, czekała, a potem poszła, przez lasy, pola i doliny. Zobaczyła, że martwy leży koło jeziora...

— Martwy leży, usechł z tęsknoty — podchwycił dziadek, porzucając twarde grunty faktów

historycznych.

— *Z tęsknoty usechł, umarł bez miłości* — zaśpiewał Kola.

— *I poszła do carskiego źródła. Do źródła po żywą wodę...* — śpiewali razem Połujechtowowie.

Staruszek przerwał śpiew zdecydowanym ruchem ręki.

— Ogólnie sądzi się, że ożywiła go, po czym zamieszkali razem w lesie. Ale to bzdura. Przez następne lata Helena Połujechtowa wraz z potomstwem szczęśliwie mieszkała we wsi Potoki — świadczą o tym zapisy w cerkwi wsi Krasnoje.

— Szkoda, jeśli okaże się, że skarb nie istnieje — powiedział Andriusza. — A Wasilij zna tę legendę?

— Wszyscy znają, znają zanim się jeszcze nauczą mówić. Moja babcia opowiadała tę historię zamiast bajek.

— Myślicie, że dlatego łapał Griszę?

— Jestem pewien — powiedział dziadek Artiom. — Tylko Ze Grisza tajemnicy nie zdradzi.

— Co za naiwność! — powiedziała Ella. — Kruki nie mają rozumu. Ptak nie może skrywać tajemnicy.

— A gdzie by tam ptak mógł — nieszczerze zgodził się staruszek.

— A w ogóle Wasia mi się ostatnio nie podoba — powiedziała Głafira. — Zamknął się w sobie, godzinami przepada w mieście...

— Wasilij tylko rozwija cudze pomysły — powiedział Artiom.

— Czyje? — zapytała Głafira.

— Powiem, jak będę wiedział.

— Co będziesz wiedział? — rozległ się głos od strony drzwi.

— Dobry wieczór — powiedziała Głafira, rozpoznając stojącego w progu Edwarda. — Wchodź, wypijemy herbaty.

Andriuszę obudził wystrzał z armaty.

Benjamin także podskoczył, zamrugał zaspany. Przez chwilę na jego twarzy malował się lekki strach, ale po chwili doznał olśnienia, usta rozchyliły się w szerokim uśmiechu. Z podwórka dobiegały odgłosy zwierząt. Benjamin rzucił się w stronę okna i przylepił twarz do szyby.

— A co, szła tędy z wiadrami? — zapytał Andriusza z pewną dozą zazdrości, bo choć zakochani są śmieszni, to jednak nie dotyczy to tych, którzy kochają z wzajemnością.

— Dzień dobry — wyszeptał Benjamin przez okno tak głośno, że z pewnością słyhać go było na głównym placu.

— Dzień dobry, Benku — odpowiedział dziewczęcy głos.

— Będziemy razem szykować referat — oznajmił koledze Benek.

— Ella ci głowę urwie, jeśli całkiem zapomnisz o pracy — sprzeciwił się Andriusza. — I będzie miała rację. A tak w ogóle, to strasznie ci zazdroszczę, ale dobrą zazdrością.

— Nie — zaprotestował Benek. — Nie ma dobrej zazdrości. Zazdrość, to chęć otrzymania czegoś, co ma kto inny, a ty nie. Dlatego zazdrość to uczucie negatywne.

— Nie mam żadnych planów co do twojej Angeliny — powiedział Andriusza. — Jestem twoim wiernym przyjacielem i jeśli trzeba, pomocnikiem.

— Dziękuję — odpowiedział Benek z uczuciem.

W żaden sposób nie mógł poradzić sobie ze sznurowadłami. Andriusza ze współczuciem obserwował jego poczynania. Przez okno wleciał bielinek kapustnik o skrzydłach wielkości dłoni. Andriusza powiedział zamyślonym tonem:

— W dzieciństwie wszystko bym oddał za taki egzemplarz.

— Aha — powiedział Benjamin — motyl.

— Nie masz wrażenia, że tu wszystko jest za duże?

— No pewnie — powiedział Benek. — Ona ma znamie na policzku.

— Wszystko jasne — powiedział Andriusza. — Idź, tylko najpierw załóż buty, jak należy. Włożyłeś odwrotnie. Czeka na ciebie...

— Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś? — zdenerwował się Benjamin. — Też mi pomocnik!

Wybiegł do sieni, szurając nogami w nie do końca nasuniętych butach. Przewrócił się, wpadając na jakiś metalowy przedmiot. Andriusza chciał pójść mu z pomocą, ale w tej samej chwili przez okno wpadł do pokoju kawałek kartki. Młodzieniec rozwinął ją. „Andriej, przyjdź do mnie. Szybko. Musimy pogadać. A.”

— Co znowu za „A” — zapytał na głos Andriusza.

— To dziadek Artiom — odpowiedział dziecięcy głos.

Na dworze, pod oknem, stali Sienia i Siemion, wymyćci i rześcy — jeszcze nie zdążyli się wypaćkać.

Sienia i Siemion uciekli, gdy Angelina wyszła z bańką mleka. Przed drzwiami czekał na nią Benjamin, który przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu okularów. Andriusza wziął je ze stolika, wyskoczył na ganek, podszedł od tyłu i założył na nos Benjamina. Ten nic nie powiedział, poprawił tylko okulary, sądząc najwidoczniej, że rzeczywiście powinny same się zakładać. Andriusza powiódł spojrzeniem po zielonym podwórku, dużych, wielkości gęsi, kurach, patrzących z zadumana poranne spotkanie zakochanych, gdy wtem spojrzenie napotkało inny wzrok świdrujący go przez szczelinę między sztachetami. Ktoś podglądał ich z drogi? Sienia? Siemion?

Andriusza podszedł do miski z wodą do mycia rąk, nachylił się i poczuł się nieswojo. Zrozumiał dlaczego. Oko należało do dorosłego, wysokiego człowieka. Andriusza wyprostował się, odwrócił. Podczas gdy Angelina z Benjaminem cały czas patrzyli na siebie, oko w szczelinie zniknęło. W tej samej chwili Andriusza zauważył, jak coś ogromnego i błyszczącego leci ku niebu, kreśląc ostry łuk. Gdy znalazło się bliżej ziemi, zrozumiał, że to konew.

Błaszane naczynie z głuchym stukiem upadło na ziemię, w górę wystrzeliła fontanna czarnego tuszu. Tam, gdzie upadła bańka, czyli koło ganku, stała para zakochanych. Dziewczyna i doktorant zamienili się w czarne, migoczące w porannym słońcu posągi, stojące na błyszczącym postumencie — czarnej, pobłyskującej trawie.

— Wasilij! — wrzasnął Andriusza, wyskoczył na drogę i zobaczył, że przed bramą stoi ciężarówka, a w niej znajduje się toporna, ale efektywna katapulta; sam Wasilij wracał właśnie do szoferki.

— Nie, nie! — krzyknął Andriusza. — Nie uciekniesz mi!

Pobiegł za nabierającą prędkość ciężarówką. Konwie z mlekiem brzęczały i podskakiwały. Właśnie zza rogu wyszedł niedźwiedź, zjadający z apetytem bochenek białego chleba, ledwie zdążył odskoczyć na bok, zamachnął się bochenkiem, ale nie rzucił nim — żał mu było chleba.

Ciężarówka przemknęła obok zarośli, w których stała armata, niedźwiedź pobiegł w tę stronę, jakby chciał wystrzelić w ślad za uciekinierem.

— No, to już przekracza wszelkie granice — powiedział Edward Olegowicz, pojawiając się nie wiadomo skąd. — Dokąd tak pomknął? Sądzę, że nadszedł czas, aby we wsi postawić znaki ograniczenia prędkości. A co wy o tym sądzicie, Andriusza?

— Myślę, że najwyższy czas wsadzie go do więzienia — odrzekł młodzieniec. — Niech no tylko nawinie mi się pod rękę!

— Coś się stało? — przestraszył się Edward Olegowicz.

Andriusza nie odpowiedział, tylko ruszył z powrotem do domu. Edward Olegowicz poszedł za nim. Zatrzymali się przy furtce. Starszy mężczyzna omiół wzrokiem wstrząsającą scenę i mrocznym głosem powiedział:

— Myliłem się, broniąc tego chwalipięty.

Andriusza wszedł na ganek, zastukał. Drzwi od razu się otworzyły, jakby oczekiwano go z niecierpliwością. Dziadek Artiom pojawił się w sieni, drapiąc w brodę.

— Wchodź, myślałem, że już się nie doczekam.

— Wasilij narozrabiał — powiedział Andriusza. — Wyrzucił z katapulty konew z tuszem, oblewając nim Angelinę i Benka.

— Zazdrość — oznajmił staruszek. — Zrozumiałe uczucie. Dziewczyna nie robiła mu żadnych nadziei.

Otworzył drzwi do izby i od razu Andrieja ogłuszył głos Louisa Armstronga. Pod ścianą królował ogromny zestaw stereo, głośniki drżały pod wpływem potężnego głosu. Na wypolerowanej pokrywie magnetofonu siedział, przechyliwszy głowę, ogromny kruk Grisza.

— On też kocha muzykę! — krzyknął Artiom. — Siadaj, siadaj!

— Można by tak ciut ciszej? — również krzykiem poprosił młodzieniec. Popatrzył na stojące przy drzwiach oficerską i buty z miedzianymi sprzączkami.

— Można ciszej — zgodził się staruszek i przyciszył muzykę. Kruk otworzył dziób, głucho zaskrzeczał.

— Niezadowolony — powiedział Artiom. — Denerwuje się. Wczoraj ten niegodziwiec całkiem zszarpał mu nerwy. Chcesz kawy?

— Nie, dziękuję — powiedział Andriusza, rozglądając się wokół. Skrzynka z nakrętkami, gwoździami, opornikami i przewodami na stole nakrytym białą serwetą ozdobioną na rogach tygrysimi pyskami, niepościelone łóżko, chwiejąca się biblioteczka z książkami, ogromny portret Karola Darwina między oknami, gipsowe popiersie piosenkarki Elli Fitzgerald, związane sznurkiem sterty gazet w kącie, kufer z żelaznymi okuciami, kolorowy telewizor...

— Zaprosiłem cię, ze względu na twoje wykształcenie — powiedział staruszek. — Sam za mało umiem. Znasz języki?

— Angielski — odpowiedział gość. — I starosłowiański.

— Angielskiego akurat nam nie potrzeba.

Kruk rozpostarł skrzydła, aż w izbie pociemniało, potrząsnął nimi, znowu złożył, zasłonił oczy białymi błonami.

— Stary jest — powiedział dziadek. — Ciężko mu. Dużo zapomina.

— Po co przebieraliście się za ducha? — zapytał Andriusza.

— Już drugi tydzień śledzę Waškę. Wydaje mi się, że we wsi zagnieździła się szajka; wcześniej nic takiego się nie zdarzało. Mają kryjówkę w wiatraku, a ten poszedł sobie.. Szukałem go, a Grisza mi pomagał. Znaleźliśmy, tylko że ptak wpadł w sieć, gdy leciał do mnie z wiadomością. No i musiałem tam pobiec.

— Ale dlaczego jako gross-major?

Andriusza spojrział na nogi staruszka i zobaczył znoszone walonki. Buty oficerskie stały obok drzwi. Na złoconą sprzączkę padł promień słońca, odbił się wesołym zajęczkiem na portrecie Darwina.

— Pomyślałem, że pod własną postacią nie nastraszę szajki. Najwyżej oberwę. A ducha boją się... I miałem rację.

Staruszek podszedł do skrzyni, z trudem uniósł ciężką pokrywą. W środku pełno było ubrań — wyciągnął ze środka i ułożył na podłodze kobiece, długie suknie, kaftany, samodziałowe koszule, pograżał się głębiej i głębiej w przepastnym wnętrzu, zarówno krój, jak i rozmiar wyjmowanych ubrań świadczyły o coraz bardziej zaawansowanym wieku, o podłogę uderzyły wysokie buty z ostrogami, kruk wzdrygnął się, zeskoczył z magnetofonu i szarpnął zasłonę.

— Dowiedziałeś się... A gdzie płaszcz? — Staruszek stuknął się w czoło opaloną dłonią. — Demencja starcza! Przecież położyłem go w innym miejscu! — Podniósł kołdrę i poduszkę. Pod poduchą leżał zielony płaszcz i trójkątny kapelusz. Staruszek naciągnął na twarz leciwą, nylonową pończochę z wyciętymi otworami na oczy, na wierzch założył kapelusz. — Boisz się?

— Uwierzyłem, że to duch.

— Wyszłoby na moje, gdyby nie prawdziwy gross-major.

— Chodzi o drugiego ducha?

— Właśnie o niego — powiedział staruszek. — Musiałem wycofać się. Ale po co cię zaprosiłem? Musisz porozmawiać z Griszą. Na starość coraz więcej mówi w obcych językach. Wykształcony ptak, denerwuje się.

— Na razie w ogóle nie mówi — powiedział Andriusza. — Przygląda ci się. Porozmawiaj z nim, porozmawiaj, on chce powiedzieć coś naprawdę ważnego.

— Kraaaa! — powiedział kruk

— To nie jest po angielsku — powiedział młodzieniec.

— Muszę iść do lasu — staruszek zdjął z głowy kapelusz i pończochę. — W wiatraku kryją się ich tajemnice. Muszę je odkryć.

— A jeśli pojawi się duch?

— Za dnia nie chodzi, nie znosi światła słonecznego. Porozmawiaj z Griszą, może coś zrozumiesz.

— Galiaestomnidiwizainpartestrres! — nieoczekiwanie zakrzyknął kruk, otwierając szeroko dziób i pokazując błyszczącą paszczę wielkością pasującą raczej do psa.

— Widzisz — powiedział staruszek, zakładając płaszcz — rozmawia.

— To nie angielski. Benjamin na pewno wie — odpowiedział Andriusza. — Jest doktorantem.

— Wołaj kolegę, tylko szybko. — Płaszcz trząsał się na chudych ramionach staruszka, brakowało części miedzianych guzików.

— Jak go mam zawołać? Teraz się myje. Jest cały czarny od tuszu.

— Ot, pech — powiedział staruszek. — A czasu nie ma. Muszę biec. Zrobimy tak: odprowadzę cię do domu, taaa... a ja sam pójdę do lasu.

Przeszli na drugą stronę drogi. Staruszek szedł pierwszy, ubrany w długi płaszcz przeciwdeszczowy, spod którego pobłyskiwały sprzączki oficerskich butów. Andriusza podążał za nim. Nad nimi ciężko polatywał Grisza, trzymając w dziobie ostrogę, którą zdążył zwędzić w domu Artioma.

Andriusza i kruk znaleźli Benjamina w przedsionku łaźni.

Siedział tam cały czarny, okropny, ale wesoły. Za drzwiami myła się Angelina, chłopak czekał na swoją kolej.

— Gdzie zniknąłeś? — zapytał Benek, gdy Andriusza uchylił drzwi. — Napadli na nas.

— Wiem — powiedział Andriusza. — Goniłem tego typa.

W przedsionku było ciepło, z łaźni, szparą pod drzwiami sączyła się para.

— Nie mam szczęścia — powiedział Benjamin. — Wyzwę go chyba na pojedynek.

— Nawet o tym nie myśl — dobiegł zza drzwi głos Angeliny. — Damy sobie radę bez tego.

— A ja go i tak wyzwę. — Benjamin zaśmiał się, na tle czarnej, błyszczącej twarzy, zęby wydawały się jeszcze bielsze. — Ależ ten tusz ściąga skórę! Zaprzyjaźniłeś się z krukami?

Benek niczemu się nie dziwił i niczego się nie bał. Miłość odmieniła go zupełnie. Nie zdziwiłby się nawet, gdyby Andriusza przyszedł z tygrysem.

— Kruk chce powiedzieć nam coś ważnego, ale mówi jakimś dziwnym językiem. Dziadek Artiom prosi cię o pomoc.

— Mówcie — powiedział Benjamin. — Od dawna miałem takie podejrzenia.

Grisza wypiął pierś, położył ostrogę na podłodze i ogłuszająco ryknął jedno słowo:

— Perasperaadastrrrrrra!

— Blisko, blisko! — krzyknął Benjamin. — Gdzieś to słyszałem!

— Tym bardziej — powiedział Andriusza — rozszyfruj, bądź tak miły, może w końcu rozwiążemy tę przekłętą tajemnicę!

— Kontynuuj — powiedział Benjamin, zeskrobując tusz z okularów.

— Meakulpa — cicho powiedział kruk.

— Co?

— Omniapreklarrrrrrrrrrra!

— Aha — przytaknął Benjamin — całkowicie się z tobą zgadzam. Angela, słyszałaś, co o tobie powiedział?

— Dlaczego o mnie? — zza drzwi spytała Angelina. — To jakaś chińszczyzna.

— Nie — powiedział Benjamin. — Mówi, że piękno jest rzadkim zjawiskiem. Jestem pewien, że to dotyczy ciebie.

— Zaczekaj — powiedział Andriusza — czas ucieka. Co ci powiedział kruk i dlaczego go rozumiesz?

— Mówi po łacinie. Dziwne, że się nie domyśliłeś.

— Egzegimonumentumterrreperrrenius! — zawył kruk, znalazłszy w końcu chętnego słuchacza.

Władczym ruchem ręki Benjamin przerwał krukowi i kontynuował z uczuciem:

— Regalique situ pyramidum altius quod non imber edax non aquilo impotens!

Kruk przechylił głowę i powiedział:

— Dobrze, dobrze! Widzę bratnią duszę.

— O czym rozmawiacie? — zapytał Andriusza.

— Dźwignąłem pomnik swój, nie trudem rąk ciosany; wydepczą ścieżkę doń miliony ludzkich stóp, rozumiesz?*

— Puszkina?

— Nie — źródło. Kruk deklamuje Horacego w oryginale.

— Szkoda — stwierdził Andriusza. — A my ze staruszką myśleliśmy, że ptak chce zdradzić tajemnicę gross-majora.

— Nie zniosę tego dłużej — oznajmiła Ella, nieoczekiwanie pojawiając się w drzwiach. — Dlaczego nikogo nie ma w domu?

— Przepraszam — powiedział Benjamin. Ella nie od razu go poznała.

— Znowu?! — spytała wzburzona, gdy w końcu rozpoznała, kto przed nią stoi. — Ile razy można robić nieprzemyślane kroki?

— Nic podobnego — zaprotestował Benjamin. — To był zamach.

— Mówi prawdę — potwierdził Andriusza. — Zamachowcy zbiegli, ale przechodnie zauważyli, że był to znany gangster Wasilij Połujechtow.

— Znowu tu przyszedł? — zapytała Ella. — Po co?

— Zazdrośnik — powiedział Benek. — Mściciel zza rogu — Ekstremista.

— Oczekiwania Artioma nie spełniły się — powiedział Andriusza, pakując torbę. — Będę musiał rozczarować staruszkę. Kruk nie ma nic do powiedzenia oprócz łacińskich sentencji.

— A ty dokąd tak szybko się zbierasz? — spytała Ella. — Dzisiaj pracujemy. Potrzebny jest twój magnetofon.

— Potem odpracuję — powiedział Andriusza. — Pojawiła się możliwość odnalezienia kryjówek miejscowych gangsterów. Nie mogę przepuścić takiej szansy. Pieśni mogą poczekać.

— Ech, chłopcze, gdybym była twoją matką...

Kruk usiadł na brzegu stołu, popatrzył na Ellę i powiedział:

— Piękność.

— No co ty — odruchowo odpowiedziała Ella, natychmiast jednak zawstydzona, że dyskutuje z krukiem jak równy z równym. Grisza podniósł z podłogi ostrogę, dostojnie przeleciał na parapet i znikł.

Za oknem rozległo się smutne wycie. Angelina rzuciła się do drzwi. Za nią pobiegli oczywiście Benjamin i Andriusza.

— Coś się stało z dziadkiem Artiomem! — krzyknął Andriusza.

Obok bramy stał niedźwiedź Misza, machał łapami — cała jego postać wyrażała smutek i zdenerwowanie. Rozpoznał Andriuszę, zakręcił się nerwowo, widocznie nie oczekiwał spotkania z wrogiem.

— Dziadek Artiom jest w lesie? — zapytał Andriusza. — Coś złego się z nim dzieje?

Niedźwiedź zastanowił się, czy zaufać studentowi, po chwili opadł na przednie łapy i truchtem, trzęsąc tłustym zadem, pobiegł w stronę opłotków. W ślad za nim rzuciła się Angelina, Andriusza i, oczywiście, Benjamin. Za nimi podążyli, pojawiwszy się nie wiadomo skąd, Sienia i Siemion.

Bieg okazał się długi. Niedźwiedź nie rozumiał, że ludzie biegają dużo wolniej, zwolnił dopiero wtedy, gdy Benek nie mógł już złapać tchu, zatrzymał się, oparł plecami o sosnę, a kruk Grisza

zatoczywszy krąg, krzyknął coś niezrozumiałego po łacinie.

Dotarli do leśnej drogi. Biec po niej było łatwiej, tylko pokrzywy były po rękach i nogach. Benek, przepełniony współczuciem do Angeliny, która podskakiwała po każdym oparzeniu pokrzywą, krzyknął, z trudem łapiąc powietrze:

— Poniosę cię!

Ale Angelina nie odezwała się, słysząc było jedynie śmiech Andriusza, który biegł wciąż w jednakowym tempie.

Droga przecięła dolinę, do wiatraka zostało z pięć minut biegu, gdy natknęli się na Artioma. I nie tylko na niego.

Przez leśną polankę, chowając się w wysokiej trawie, przeszkadzając sobie nawzajem, rodzina Michaiła — niedźwiedzica i dwa małe niedźwiadki pchali ogromną beczkę, wyjąc przy tym i pojękując ze zdenerwowania i niepokoju.

Na widok ludzi niedźwiedzie puściły beczkę, która powoli potoczyła się do tyłu. Ze środka wydobył się cichy jęk.

Andriusza pierwszy zeskoczył z drogi, dogonił beczkę i zatrzymał ją:

— Jest tam kto?

— Ja — odpowiedział głos z beczki. — Taaa...

Beczka była zabita na głucho, a żadnego narzędzia nie było pod ręką! Andriusza odłamał suchą gałąź, spróbował podważyć nią pokrywę, ale gałąź złamała się. Pozostali stali dookoła, współczuli mu, ale nie byli w stanie pomóc.

— Co wam przyszło do głowy? — zapytał Andriusza.

— Lepiej milcz — powiedział staruszek. — Długo jeszcze? Uduszę się tutaj.

— Może doturlać go do wsi? — zapytał Sienia. — Jeśli popchniemy razem z niedźwiedziami...

— Oszalałeś! — doniósł się z beczki głos staruszka. To ze dwieście metrów, a po nich zostanie ze mnie mokra plama. — Myślisz, że niedźwiedzie cackały się z beczką?

Zwierzęta zawyły, obrażone taką czarną niewdzięcznością.

— Nie ma szans — powiedział zrozpaczony Andriusza, gdy łamał drugą gałąź. — Trzeba będzie, chłopcy, pobiec do wsi.

— Nie wytrzymam, umrę — oznajmił staruszek z beczki. — To już nie te lata.

W tej samej chwili z wysoka głośno krzyknął kruk, coś złotego przeleciało Andriusza przed samym nosem i upadło na trawę. U jego stóp leżała ostroga — idealne narzędzie do otwierania beczek.

Gdy klepki, jedna za drugą, odskoczyły z trzaskiem od beczki przesiąkniętej paskudnym zapachem gnijących ryb, ze środka wypadł staruszek. Płaszcz ducha cały oblepiony był łuskami. Niedźwiedzie zasłoniły nosy łapami i uciekły na bok.

— Co się stało? — zapytał Andriusza.

— A bo ja wiem? — ze smutkiem odpowiedziała staruszek. — Znowu mnie przechytrzyli. Dotarłem do wiatraka — stał pusty, drzwi były otwarte. Wszedłem do środka. Widzę, beczki, skrzynki, co tylko chcesz. No, pomyślałem, zaraz wszystko wyśledzę, napiszę raport o ich kryjówce. Nagle słyszę głosy z zewnątrz. I, muszę się przyznać, zbaraniałem. Postanowiłem schować się i podsłuchać rozmowę, poznać ich plany. Patrząc, stoi pusta beczka, jak raz mojego wzrostu. Ledwie zdążyłem się schować — wchodzi. Jeden mówi: „Bydlę z ciebie straszne, zazdrośnik bezmyślny, nic nie można ci powierzyć!”. „Doniósłbym na ciebie — mówi — na milicję, gdybyś nie był mi

potrzebny”. A drugi odpowiada: „Potrzebujesz mnie, beze mnie jesteś jak bez ręki”.

— To był Wasilij — powiedział Benjamin. — To on jest zazdrośnikiem.

— Nie wątpię. No, tu mnie ciekawość zmogła — kto mówi? Kto rządzi? Wylazłem trochę z beczki, tylko oczy wystawiłem, ale i tak mnie zauważyli.

— A kto to był?

— Duch, a któż by inny — powiedział staruszek. — Bardzo mnie to zasmuciło. Po co, myślę, duch zadaje się z Wasilijem?

— Nie poznaliście go?

— Jak miałem poznać? Coś miał założone na twarz. Jak tylko mnie zobaczył, podskoczył, przycisnął pokrywę, a Waśka przybił gwoździami. Wytoczył mnie z wiatraka i mówi: sam się o siebie martw. Gdyby nie Miszka...

— Są tam jeszcze? — zapytał Andriusza.

— Na pewno, gdzież by się podzieli.

— Do wiatraka! — powiedział Andriusza. — Nakryjemy ich na gorącym uczynku.

Do polany dotarli niemal natychmiast. Była zielona i jasna. Wiatraka na niej nie było.

— Znowu — powiedział Sienia. — Nie ma go ani w Wilczym Jarze, ani na polanie.

— Cuda — potwierdził Siemion. — Trzeba by w gazecie opisać.

— Dopiero co tu byłem — oświadczył staruszek. — Jeśli wiatraka tu nie było, to znaczy, że sam siebie zamknąłem w beczce?

Tam, gdzie stał wiatrak, trawa była pomięta, ślady nie zdążyły wypełnić się wodą i prowadziły w stronę drogi.

— Na przełaj przez las nie chodzi — powiedział Andriusza — Woli poruszać się po drogach.

— A to co? — zapytała Angelina. — Patrzenie!

— Ślady ciężarówki — powiedział Benjamin.

— A ciężarówka jest we wsi tylko jedna — dodał Artiom.

— Mam już powyżej uszu pomysłów Wasilija — powiedział Andriusza. — A Benek, dosłownie, cały szerniał.

— Nie żartuj — powiedział Benjamin, idąc po śladach wiatraka i ciężarówki. — To już nie są żarty.

— To wcale nie jest śmieszne! — Od Artioma cały czas dolatywał zapach zgnilizny. — Dość tego. Taa...

— Dokąd zmierzamy? — spytała Angelina. — Może poczekamy na niego we wsi?

— Tego akurat nie wiemy — odpowiedział staruszek. — Zaciągną wiatrak w takie miejsce, że za żadne skarby świata nie da się go znaleźć. A to przecież, pamiętajcie, cenny zabytek. Stał tu już za czasów Połujechtowa.

— Nie wierzę w siłę nieczystą — powiedział Andriusza. — A ciężarówka z wiatrakiem na przyczepie daleko nie zajedzie. Szczególnie po takiej drodze.

Grigorij poszybował wysoko ku niebu, strasząc kanie truchlejące na widok ogromnego, czarnego ptaka. Po chwili obniżył lot i zataczając kręgi, frunął z przodu.

Nie minęło nawet pięć minut szybkiego marszu, a droga zaczęła piąć się w górę na niewielki wzgórek, u podnóża którego rozpościerało się niewielkie jezioro. W tę właśnie stronę podążał wiatrak holowany przez skrzypiącą ciężarówkę. Wiatrak podskakiwał, przedzierając się przez krzaki i pokrzywy, przeskakując wyboje, koleiny i kałuże.

Andriusza domyślił się, co zamierza Wasilij: dowieźć wiatrak do stromego brzegu i zepchnąć do jeziora, aby tam utopić.

Ta sama myśl najwidoczniej przyszła do głowy także staremu Artiomowi, gdyż z zza pleców Andriuszy dobiegł krzyk:

— Do wody? Nie odważy się.

Wtem drogę Andriuszy zagroził duch gross-majora, ten prawdziwy. Rozpostarł szeroko ręce i przesywającym głosem wykrzyknął:

— Zatrzymajcie się, nieszczęśni! Wasz koniec jest bliski!

Gdyby duch pojawił się w nocy, lub choćby o zmroku, byłby bardziej wstrząsający. Ale teraz świeciło słońce widać było wyraźnie, jak znoszony i wytarty jest mundur gross-majora, a głos zagłuszała ścierka owinięta wokół głowy — co nie jest typowym elementem stroju duchów.

Andriusza uchylił się w bok, uciekając przed wygrażającymi rękami, i nie zwalniając kroku, pobiegł dalej. Żółte motyle wielkości dłoni szybowały mu nad głową, kruk Grisza krzyczał zachęcająco, krzaki starały się usunąć z drogi, całą rodzina węży pełzła z przodu, przyginając trawę, krety wyrównywały nierówności, żeby Andriusza nie potknął się, z tyłu delikatnie, ale zdecydowanie popychały go słowiki.

Wszyscy mieszkańcy lasu ruszyli na ratunek wiatrakowi. Koniki polne i muchy roiły się przed

przednią szybą, zasłaniając Wasilijowi widok, osy atakowały z boku, starając się uządlić go wielokrotnie aż do utraty przytomności, bobry taszczyły palki i gałęzie, żeby zagrodzić drogę, a stado dzięciołów nie żałując sił i dziobów, starało się przerwać stalową linę...

Gdy Andriusza opadł z sił i nieomal upadł na ziemię, z lasu wybiegł ogromny łoś, przyklęknął, zające podsadziły chłopaka tak, że ostatnie metry przegalopował wierzchem.

Wasilij nie poddawał się, wyciskał resztki mocy z ciężarówki, która zaczęła powoli staczać się w dół, w stronę skarpy. Zostało już tylko kilka metrów, gdy Wasilij, nie zwracając uwagi na ukąszenia, wychylił się z kabiny, oceniając, jak najlepiej zawrócić ciężarówkę, by wiatrak wpadł do wody. W tej samej chwili rój owadów rozstąpił się i Wasilij zobaczył, jak do ciężarówki zbliża się ogromny łoś, a leżący na jego grzbiecie Andriusza wygraża pięściami i czyni starania, by wskoczyć na stopień ciężarówki.

Wasilij w panice nacisnął pedał gazu, zapominając o bliskości urwiska i... ciężarówka powoli zaczęła staczać się w dół. Utrzymała ją tylko stalowa lina przywiązana do wiatraka. Bok ciężarówki zadarł się do góry, z kabiny — gorączkowo wymachując rękami — wypełził spuchnięty od ukąszeń os Wasilij, odskoczył w bok, potoczył się po trawie. Ciężarówka jeszcze przez kilka sekund wisiała nad urwiskiem, gdy — naruszona dziobami dzięciołów — lina nie wytrzymała i pękła z ogłuszającym trzaskiem. Furgon podskoczył i pogrążył się w jeziorze, wyrzucając w górę fontannę wody. Wiatrak też przewrócił się na bok, ale w ostatniej chwili bobry z narażeniem życia zdążyły podtoczyć pod niego stary pień.

Wasilij na czworakach, szybko, jakby przez całe życie ruszał się tylko w ten sposób, rzucił się w stronę lasu. Andriusza zrozumiał, że Wasia ucieka przed odpowiedzialnością i trzeba go gonić, ale siły całkiem go opuściły. Usiadł na progu wiatraka, czekając na towarzyszy i jednocześnie obserwując, jak maleje i ginie w trawie postać Wasilija, jak zbliża się do drzew — jeszcze chwila i schowa się wśród nich.

Ale co to? Nie, nie schowa się, gdyż na spotkanie wyszedł mu brunatny niedźwiedź. Wasilij rzucił się w bok, wskoczył na pień, wspiął wyżej, a niedźwiedź usiadł pod drzewem, przechylił łeb i radośnie obserwował, jak szofer kołysze się na gałęzi.

Z drzwi wiatraka wydobywał się zapach zgniłych ryb. „Co oni tam robili?” — pomyślał Andriusza. Przerwany, płytki oddech dobiegający z tyłu podpowiedział mu, że przybiegł dziadek Artiom.

— Ech, ścierwo! — powiedział staruszek. — Dobrze, że zdążyłeś!

Trójkątny kapelusz w ręce staruszka wyglądał jak ścierka obszyta złotym galonem, jeden but zgubił się gdzieś po drodze. Mimo to staruszek nie stracił siły ducha i od razu rzucił się do środka wiatraka.

— No tak — krzyczał ze środka — tak myślałem!

Ale Andriusza nie miał siły patrzeć.

Przybiegli Sienia i Siemion.

— A duch zabił twojego okularnika! — krzyczeli.

— Co? — przeraził się Andriusza.

— Pewnie ze strachu — powiedział Sienia. — Jak zobaczył, że biegnie do niego twój Benek, morda czarna, na oczach okulary, walnął go w łeb, a sam — w krzaki!

— Gdzie Benek? — Andriusza skoczył na równe nogi. — Nie żartujecie?

— Krew się z niego leje, strasznie! Angelina rozpacza.

— Andriej! — dobiegł głos z wnętrza wiatraka. — Chodź, na co czekasz?

— Duch napadł na Benka!

— Poczekaj... Popatrz! — Ze starego wiatraka wyszedł dziadek Artiom. Wyciągnął przed siebie dłonie pełne czarnego kawioru, który powoli przeciekał między palcami i spadał na próg. — W środku są dwie beczki kawioru, rozumiesz? Wiedziałem, wiedziałem! I co tu mówić o ekologii! Trzeba ich pod sąd oddać!

— Benek jest ranny! — powtórzył Andriusza. — A wam w głowie kawior!

Pobiegł do leżącego na trawie przyjaciela. Ten czoło miał rozcięte, purpurową krew na czarnej skórze, oczy zamknięte; nachylała się nad nim płacząca Angelina. Benek otworzył oczy:

— Wygrałeś? To dobrze. O mnie się nie martw...

Podbiegł Artiom z rękami wymazanymi kawiozem.

— Oprzyj się o mnie i o Andriuszę. Jakoś dojdziemy — zaproponował.

Doprowadzili Benjaminą do domu Głafiry i ułożyli w gościnnej izbie. Gospodyni i Kola jeszcze nie wrócili z rejonu.

— Z jednej strony — powiedział Edward Olegowicz do Angeliny, która wzięła na siebie odpowiedzialność za opiekę nad Benjaminem — potrzebny jest mu całkowity spokój i cisza. Z drugiej — lepiej byłoby zawieźć go do rejonu. Może wezwiemy helikopter, co?

Edward Olegowicz był tak zakłopotany zdarzeniami, które miały miejsce we wsi, że powiedział do Elli:

— Ach, całkiem nie rozumiem, dlaczego wasza ekspedycja napotyka obiektywne trudności! To moja wina, powinienem był wcześniej uprzedzić.

— A niby dlaczego? — odpowiedziała Ella. — Kto mógł przypuszczać?

— Widziałem negatywne tendencje i nie wziąłem ich pod uwagę... To straszne, to nie do zniesienia...

— Zaczekajcie — cicho wyszeptał Benek. — No, upadłem, uderzyłem się, tylko po co zaraz helikopter? — w jego głosie słychać było taką wewnętrzną siłę, że Edward poczuł się nieswojo i powiedział:

— Być może nie ma złamania, ani nawet pęknięcia, ale obrażenia są poważne. Mimo wszystko trzeba jechać do Krasnego. Tam jest posterunek milicji. I traktor, który przyda się, żeby wyciągnąć ciężarówkę.

— Po co milicja? — zapytał Benjamin. — Będziemy spisywać protokół?

— Trzeba podjąć odpowiednie kroki w stosunku do tego drania hańbiącego całą naszą wieś. Mówię o Wasiliju Połujechtowie, który ucieleśnia sobą wszystko, co najgorsze w jego szlacheckiej przeszłości.

— Szlachecka przeszłość nie ma tu nic do rzeczy — powiedziała Angelina. — Wiecie, że dziadek Artiom znalazł wiatrak?

— Nie, nie miałem pojęcia, że go znalazł — powiedział Edward. — Czy zabytek sztuki ludowej jest w dobrym stanie?

— Przechylił się, ale wszystko z nim w porządku. Dziadek Artiom znalazł w środku dwie beczki czarnego kawioru. Oto, do czego były potrzebne ryby! — powiedziała Angelina.

— Jakie ryby? — zdziwił się Edward Olegowicz. — Wybacz, Galeczko, nie pierwszy dzień tu mieszkam, uwielbiam uchę, ale ani jesiotrów, ani bielugi w naszej rzeczce, jak świat światem, nigdy nie było.

— Nie było, ale kawior jest. O, właśnie idzie dziadek, jego spytajcie!

Weszli Andrusza i dziadek Artiom. Przybyły młodzieniec był zmęczony, włosy miał posklejane od potu, ale mimo to wyglądał jak zwycięzca. Staruszek kuśtykał z tyłu w jednym bucie, zaś na drugą nogę założył znaleziony gdzieś walonek.

— Jak on się czuje? — spytał Angeliny Andriusza.

— Jutro wstanę — odpowiedział sam Benjamin. — Niech no tylko złapię tego ducha! Sam jestem sobie winny — przestraszyłem go.

— Duch? — zapytał Edward Olegowicz. Zatrzymał wzrok na zielonym, oficerskim płaszczu Artioma.

— Nie ja — powiedział staruszek — inny duch. Prawdziwy. Jeśli nie udaje. — Rzucił na stół pęczek kluczy. — Idź do piwnicy. Wiesz gdzie, za klubem? Z Andriuszą zamknęliśmy tam tego przestępcę i spekulanta.

— Słyszałem, że utopił ciężarówkę — powiedział Edward.

— Nie wyobrażacie sobie nawet, jak mi wstyd za wszystkie jego postęпки.

— Prowadzałeś się z nim — powiedział dziadek Artiom — a teraz go osądzasz.

— Szczerze wierzyłem w jego resocjalizację — z uczuciem powiedział Edward Olegowicz. — Nie ma ludzi beznadziejnych.

— No to bierz klucz, zbadaj go raz, dwa. Jesteś felczerem.

— Nie przestrasz się, jak wejdziesz — dodał Andriusza.

— W drodze do domu Miszka dał mu ze dwa klapsy. I osy go pożądliły. Nie może otworzyć oczu.

— Trzeba go natychmiast zabrać z piwnicy — powiedziała ostro Ella. — Jak można chorego człowieka trzymać w takim zimnie.

— Nic mu się nie stanie — powiedział Artiom — dobrze mu zrobi, jak trochę posiedzi w zamknięciu. Ochłonie.

— Dziadek Artiom ma absolutną rację — powiedział Edward. — Całkowitą, absolutną. Wasilij może stanowić zagrożenie dla społeczeństwa. Te dwie beczki kawioru zwiększyły moją czujność. Zadzwońię z zarządu na milicję.

— Taa... — powiedział Artiom. — Za jakiś czas trzeba będzie jeszcze raz pójść do wiatraka, opieczętować pomieszczenie. A ty — zwrócił się do Edwarda — bierz jodynę albo jakiś plaster i maszeruj do piwnicznego więzienia. Jeśli się boisz, weź ze sobą Andrieja. A na policję nie da się dodzwonić. Ktoś w zarządzie rozbił telefon. Na drobne kawałeczki.

Andriusza westchnął — od godziny marzył o miękkiej pościeli, gdyż zawładnęło nim ogromne zmęczenie. Ale rozumiał, że nie ma go kto zastąpić. Benek — inwalida, reszta mężczyzn na sianokosach.

— Chodźmy — powiedział i wziął klucze ze stołu.

Dziadek Artiom powiódł za nimi wzrokiem, przysiadł na krawędzi łóżka.

— Powiedz, mój drogi — poprosił — żadnej nadziei na identyfikację?

— Jaką identyfikację? — nie zrozumiał Benjamin.

— Ducha.

— Nie, wszystko działa się tak szybko.

— Ech, lepiej już by mnie dopadł — westchnął Artiom. Pomilczał chwilę, po czym dodał: —

Trzeba znowu iść do wiatraka. Inaczej duch zatrze wszystkie ślady.

— Pójdę z wami — powiedział Benjamin słabym głosem.

— Przestań gadać — powiedziała Angelina. — Mówienie ci szkodzi.

— Nie, rozum, dziadek nie może iść sam. Nie wiemy, czego chce duch.

— Chce rozrabiać, ot co — powiedział staruszek. — Na razie przy wiatraku zostawiłem Miszkę.

Niech pilnuje.

— Niedługo powinien wrócić Kola — zauważyła Angelina. Zawiezie cię na motocyklu. Albo poczekajcie przynajmniej na Andriuszę.

— Słusznie — powiedział Artiom. — Poczekałbym, gdyby nie tajemnica, która chodzi mi po głowie — nie wiem jak ją ugryźć.

— O co chodzi? — spytał Benek. — Jeśli filologiczna, mogę się przydać.

— Nie, gastronomiczna — powiedział dziadek. — Cały czas mam na myśli te dwie beczki kawioru. W naszych stronach nigdy nie było jesiotrów.

— Myślicie, że go skądś przywieźli? — zapytała Ella

— W sklepie przecież nie ma?

— U nas w sklepie jest co najwyżej kasza — odpowiedział staruszek.

— To na pewno przemytnicy — powiedział Benjamin.

— Odsprzedają go dalej. Nitka, rozumiecie, prowadzi od Morza Kaspijskiego do Oceanu Lodowatego.

— Ciągnąć kawior przez góry, gdzie nie ma dróg? Nie, tajemnica kryje się gdzieś indziej. Rzecz w tym, że kawior bywa czarny lub czerwony, ale nie żółty. A w wiatraku widziałem beczkę żółtego kawioru.

— Bywa — rozległ się głos od strony drzwi. Stał tam Sienia. — Nie jesteście wędkarzami, to nie wiecie. To ikra śledzi.

— Śledzi? — Staruszek zamyślił się. — Oczywiście. Głupiec ze mnie! Oczywiście, że też od razu na to nie wpadłem!

— Waśka łowił śledzie — powiedział Sienia. — My też czasem mu przynosiliśmy. Wszystkie dzieci. A Waśka głużył w jeziorze i w rzece.

— Mamy tu duże śledzie — rozmyślał staruszek na głos — mają ponad metr, gdzie indziej takich

nie ma, gatunek endemiczny. Pisałem o tym do Geralda Darella, z wyspy Jersey. Ale żeby zbierać śledziową ikrę...

— I malować — ponuro dodał Benjamn. — To do tego potrzebował takich ilości czarnego tuszu.

— Taaa! — uradował się staruszek. — Malowali śledziową ikrę i sprzedawali jako kawior z jesiotra. Przestępcy! Ich produkcja w wiatraku daje tysiące rubli zysku! Nie na darmo duch tam się szwendał, szczególnie, jeśli chce na nowo napełnić szkatułę.

Wrócił Andriusza i był tak zgrzany i zmęczony, że oczy mu się zamykały. Rzucił kurtkę na krzesło, napił się

— I jak tam? — spytała Ella. — Jak Wasilij?

— Wyjdzie z tego — powiedział Andriusza. — Rany odniósł głównie na psychice. Na początku w ogóle nie poznał Edwarda. Nie może mówić. Ryczy i chowa się pod poduszkę.

— Andriusza, słońce — powiedział smętnie staruszek — pewnie jesteś strasznie zmęczony?

— Trochę — powiedział chłopak, siadając na ławie i wyciągając nogi.

— A tu trzeba znowu iść do wiatraka. Koniecznie.

— Nie — powiedział Andriusza — nie trzeba.

— Trzeba, Andriusza — poparł staruszka Benjamin.

— Może nie warto? — wtrąciła się Ella. — Poczekamy na milicję. Tam są przestępcy i niedźwiedź.

— Na milicję się nie doczekamy — powiedział staruszek — bo nikt jej do tej pory jeszcze nie wezwał. I niedźwiedzia trzeba złuzować, nie przystoi tak długo trzymać na posterunku żywe stworzenie.

— Może zawołać Edwarda?

— Jaki tam z niego pomocnik — powiedział staruszek.

— To obcy.

— A Andriusza?

— Andriej to człowiek waleczny — powiedział dziadek. — Jak żołnierz.

Andriej nie był skory do walki, ale zaufanie staruszka, wyrażone w tak dziwny sposób, mile połechtало jego próżność. Nic nie powiedział, tylko wstał.

Do wiatraka był jeszcze co najmniej kilometr, gdy zaważyli słup czarnego dymu.

— Ach! — krzyknął staruszek. — Przecież tam jest niedźwiedź! Żeby tylko coś złego go nie spotkało!

W milczeniu dobiegli do skraju polany.

Wiatrak palił się równym, jasnym płomieniem jak starannie ułożony sąg drewna. Widocznie przez stulecia drewno wyschło i przesiąkło żywicą, takich polan ze świecą się nie znajdzie.

Podbiegli bliżej i zobaczyli płomienie odbijające się w tafli jeziora i w dachu zatopionej ciężarówce. Obok w trawie szczerząc się, ale nie ze złości, a ze zdziwienia, leżał martwy Misza.

Staruszek nie patrzył już na wiatrak, tylko przykucnął obok zwierzaka.

— Jak strażnik — powiedział — do ostatniej kropli krwi.

— Spóźniliśmy się — westchnął Andriusza.

— To moja wina — powiedział staruszek. — Powinienem był pomyśleć. Ten lipny kawior wart jest ogromnych pieniędzy.

— Ale Wasilij siedzi w piwnicy, sam widziałem, byłem tam niedawno z Edwardem Olegowiczem...

— A czy to ważne?

— Ważne — powiedział Andriusza. — Prawdziwe duchy nie strzelają. Nigdy w to nie uwierzę.

— Uwierzysz w ducha, a reszta staje się prostsza — powiedział staruszek. — Trzeba go zakopać. Inaczej komuś przyjdzie do głowy zdjąć skórę...

Płomienie mieszały się ze światłem słońca, było coś złego w tym, że pożar szaleje w środku dnia, a nad Miszką krążą muchy.

— Ktoś powinien tu zostać — powiedział Andriusza.

— Kulą w łeb? Kulą w łeb? — zapytał staruszek, patrząc na niedźwiedzia i dodał: — Może lepiej by było, gdybym to ja, głupek, oberwał tą kulą.

W oddali, gdzieś na skraju lasu, groźnie ryczała niedźwiedzica. Ale nie podchodziła.

Wydawało się, że Benjaminowi jest lepiej. Angelina przybiegła z fermy, namawiała go, by coś zjadł, ale stanowczo odmówił. Dziadek Artiom, wspomagany przez Andriuszę, zakopał niedźwiedzia, przywlókł się bez sił z lasu, schował w chacie, oznajmiając, że nic już nie chce i najlepiej będzie, jak umrze. Przyleciał Grisza, usiadł na parapecie, patrzył na Benka i recytował łacińskie zdania.

Benek tłumaczył słabym głosem, a kruk kiwał potakująco głową. Ella powiedziała:

— Grisza, a może tak dość już tego? Przestań zawracać głowę Benjaminowi... Chłopak potrzebuje spokoju.

— Wcale mi on nie przeszkadza — sprzeciwił się Benjamin.

— Nigdy — powiedział kruk.

Andriusza, wciąż jeszcze podenerwowany i pełen zapachu, podskoczył nagle, rzucił się w stronę piwniczki, przykucnął przed maleńkim okienkiem.

— Wasilij, wiesz, że spalili wiatrak?

— Uuuu — powiedział Wasilij. Ciągle był w szoku.

— Kto to zrobił? — zapytał Andriusza. — Lepiej powiedz od razu. Żarty się skończyły. We wsi jest uzbrojony maniak.

Wasilij słuchał uważnie, nie przerywał, a potem, nagle zaklął i zawył. Andriuszy nie udało się osiągnąć nic więcej, ale gdy wracał do domu, wydało mu się, że za plecami słyszy cichy śmiech. Być może było to tylko złudzenie.

Minęła następna godzina, wrócił Edward Olegowicz, który wybrał się na rowerze do Krasnego, aby wezwać helikopter i milicję. W opłotkach spotkali go chłopcy, pomogli mu prowadzić rower. Wyprawa nie powiodła się. Jakies dziesięć kilometrów od wsi, obok mostu z lwami, stracił równowagę na zakręcie i wpadł do rowu. Przednie koło odleciało, a w tylnym powyginały się szprychy. Przez trzy godziny taszczył z powrotem rower na plecach.

— Widzicie — powiedział — rower nie jest mój. Nie mogłem zostawić go przy drodze, gdzie każdy mógł go zgarnąć.

Edward Olegowicz cały był zakurzony, włosy miał posklejane, nierówne kosmyki kleiły się do czoła. Siedział na skraju łóżka Benjamina, zmartwiony niepowodzeniem. Elli zrobiło się go żal.

— Postąpiliście jak prawdziwy lekarz.

— Składałem przysięgę Hipokratesa. Nie mogłem postąpić inaczej.

Edward Olegowicz wstał, zawołał Andriuszę na ganek. Ściszone głosem powiedział:

— Osobiście — wąsiki jak żywe, poruszały się delikatnie pod nosem — nie wierzę w lokalny folklor. Ale czasami nachodzą mnie wątpliwości. Kruki mówią, niedźwiedzie strzelają...

— O niedźwiedzia nie trzeba się już martwić — z goryczą powiedział Andriusza. — Niedźwiedź zginął. Zastrzelili go.

— Jak to się stało?

— Bronił wiatraka. Spóźniliśmy się.

— Tragiczne. Przestępcy usuwają ślady. Ale najważniejsze pytanie — kim oni są? Jutro przyjedzie milicja, a wtedy Wasilij do wszystkiego się przyzna. Przecież wy też macie świadomość, że nie działał sam?

— Tak myślę — powiedział Andriusza.

Do wsi nadciągał spokojny wieczór, krowy rozchodziły się po gospodarstwach, pastuch poganiał je, uderzenie bata wydało się Andriuszy kolejnym wystrzałem. Słońce skryło się za niebieskawy, otoczony pomarańczową poświatą obłok.

— Pogoda się psuje — powiedział Edward, podążając wzrokiem za spojrzeniem Andriuszy. — A tak przy okazji, gdzie są klucze do piwnicy? Moim obowiązkiem jest zbadać rannego.

— Klucze są u dziadka — powiedział Andriusza. — Ale myślę, że staruszek śpi.

— W takim razie spróbuję później, chociaż wcale nie mam ochoty spotykać się znowu z tym buhajem.

Wrócili do domu. Okazało się, że Benjamin ma podwyższoną temperaturę — trzydzieści siedem i pięć. Niezbyt wysoka, ale mimo wszystko... Edward postanowił pójść po doktoranta, a Ella zaproponowała, że będzie mu towarzyszyć — miała ochotę wyjść na świeże powietrze. Obłok, za którym skryło się zachodzące słońce, zakrył pół nieba, zerwał się wiatr. Angelina nieoczekiwanie rozplakała się i wyszła z pokoju. Żal jej było niedźwiedzia.

— Dzieje się tu za dużo dziwnych rzeczy, jak na jedną wieś — zauważył Benjamin. — Cały dzień o tym myślę.

— Zaraz mi nogi odpadną — odezwał się Andriusza. — Za dużo biegałem po lesie. Od dziś jest co najmniej o dwa dziwa mniej.

— Nie na darmo Ella mówi, że jesteś cynikiem — powiedział Benjamin, krzywiąc się z bólu. — Masz na myśli wiatrak i niedźwiedzia?

— Tak, rozwój cywilizacji uderza w bajki. Bajkę, jak widać, można eksploatować. W dobrym albo w złym celu, ale eksploatować. Niedźwiedź strzela z armaty, a ze śledzi robią jesiotrowy kawior. Najważniejsze, że nikt się nie dziwi. Trafiłby się smok, to mógłby pilnować kolchozowej szopy.

W izbie zapanował błękitny zmrok. Daleko rozległ się grzmot, potem na moment w pokoju zajaśniało od błyskawicy.

— Zapalić światło? — zapytał Andriusza.

— Nie trzeba. A jeśli to nie bajka? — powiedział Benjamin. — Jeżeli istnieje naukowe wyjaśnienie?

— Co masz na myśli? — zapytał Andriusza.

Był śpiący, nie podobało mu się, jak błyszczą oczy Benjamin. Angelina podzwaniała naczyniami w kuchni.

— Przywracająca zdrowie woda — powiedział Benjamin. — Mineralna woda dla imperatorowej.

— Zniesławiona przez złego medyka Blumenquista.

— Ale jeśli w osiemnastym wieku plotki dochodziły aż do Petersburga, musiały być jakieś podstawy!

— Ktoś chciał się wybić społecznie, wykorzystując przesady carycy — powiedział Andriusza i przysnął. Słowa Benka dotarły do jego świadomości, ale mieszały się ze snem.

— A jeśli źródło istnieje? Na drogowskazie, obok puszek jest napis „Do Carskiego Źródła 9 wiorst”. Zastanów się jakie tu są motyle, ryby, jagody, w końcu gadający Grisza? Czy gdzieś bywają takie ogromne kruki?

— I mleko — krzyknęła Angelina z kuchni, głos zdawał się dochodzić z daleka, bo Andriusza znowu biegł za ciężarówką... — Źródło istnieje — dziewczęcy głos rozległ się bliżej — W górach, w lesie. Skąd by się w rzece wzięła taka dobra woda? Dziadek Artiom mówi, że trzeba zbudować sanatorium. Skąd płynie? Żywa woda — czy to ma sens?

Żywa woda płynęła i płynęła przed oczami Andrieja, błyszczała w słońcu, toczyła małe kamyczki.

— Helena tam chodziła — powiedział ktoś — poila majora wodą, a caryca jej nie dostała. Śmieszne, prawda? Caryca dostała figę.

Andriusza zasnął na dobre, oparł się o stół i spał, dopóki ręka nie ześlizgnęła się, a głowa nie stuknęła nosem w obrus. Wydawało się, że gross-major uderzył pałką po głowie jego, a nie Benka...

Wtedy w izbie paliło się światło i sen prysnął z powiek młodzieńca. Edward Olegowicz z wystraszoną, pełną niepewności twarzą pochylił się na łóżkiem. W jednej ręce trzymał łyżeczkę do herbaty z rozpuszczoną tabletką aspiryny, w drugiej — szklankę wody.

— Wypij — mówił do Benjamina — to sprawdzony środek. Z pewnością pomoże.

— Trzeba by mu zrobić zastrzyk — powiedział przez sen Andriusza.

— Po co? — oczy Benjamina gniewnie płonęły. Zaczynał gorączkować. — Jest mi lepiej.

Mimo to przełknął tabletki.

— Ja też się dzisiaj zmęczyłem — powiedział Edward. — Tyle nieszczęść dopadło mnie, gdy nie szcędząc sił, mknąłem do wsi Krasnoje po pomoc! Oczywiście, nie chwale się...

— Nie przyszło by nam to do głowy — powiedziała Ella, spoglądając na niego z uczuciem, które zdenerwowało Andriusza. Podszedł do okna. Nadal grzmiało, a wiatr uderzał w dom tak, jakby siłował się ze ścianą. Andriusza zamknął okno, a Benek powiedział:

— Andriusza, nie trzeba, duszno.

Ella położyła dłoń na czole Benka.

— Tak — powiedziała. — Warto jeszcze raz zmierzyć temperaturę.

Benek nie sprzeciwił się, oczy mu błyszczały, coś szeptał.

— Co się dzieje? — zapytała Angelina.

— Żartuję — wyszeptał Benek — żartuję, nie zwracaj na mnie uwagi. — Uśmiechał się, wzrok miał pozbawiony wyrazu.

Drzwi uchylły się. Wszedł Artiom.

— Pogoda okropna — oznajmił obrzuciwszy wzrokiem wszystkich siedzących w izbie. — Daliście mu lekarstwo? Potrzebne są antybiotyki.

— To moja wina — powiedział Edward. — Ale to od dwóch lat pierwszy przypadek w naszej wsi. Dawno już nie przepisywałem lekarstw.

— Jechał na rowerze do Krasnego — powiedziała Ella.

— Pewnie nie dojechał — z powątpiewaniem odpowiedział staruszek.

— Rower się zepsuł — powiedziała Ella. — Możecie zobaczyć, koło złamane na pół. Ledwie wyszedł z tego z życiem. Mało brakowało, a byłaby jeszcze jedna ofiara.

— Starczy już ofiar — powiedział staruszek, stojąc cały czas Benjaminskim. — On potrzebuje żywej wody.

— Przydałaby się — powiedział Edward Olegowicz. — Ale lepszy będzie helikopter.

— Pójdę do Krasnego — powiedział Andriusza.

— Do rana nie dojdiesz — powiedział Edward. — Trzydzieści pięć kilometrów w ulewie i burzy.

— Nie mogę na to pozwolić — powiedziała Ella.

Trzy staruszki spośród tych, które wieczorem siedziały przed klubem, a potem śpiewały dla Elli, weszły gęsiego do środka, ukloniły się, siadły na ławie przy drzwiach, podziękowały za herbatę.

— Nie przyszłaś — powiedziała jedna z nich do Elli. — więc my przyszłyśmy.

— Dziękuję — odpowiedziała Ella. — Przytrafiło nam się nieszczęście.

— Wiemy — powiedziały staruszki. Wyglądały różnie, ale wszystkie miały podobne do Angeliny oczy, figurę i czystą cerę.

— Dziękuję — powiedział Benek, obrzuciwszy je gorączkowym wzrokiem. — Przyszłyście śpiewać? Śpiewajcie, nie przeszkadzacie mi.

— Źle z nim — powiedziała jedna ze staruszek. — Gorączka się podnosi.

— A Edward, oczywiście, nie ma antybiotyków — powiedziała druga.

— Nie potrzebowałem ich. Wszyscy są tutaj zdrowi. Nawet nie zamawiałem.

— Potrzebna jest żywa woda — powiedziała pierwsza staruszka.

— Pójdę do Krasnego — powiedział Andriusza. — Wezwę helikopter.

— Helikopter to dobry pomysł, ale lepiej byłoby go nie ruszać — powiedziała druga staruszka.

— Woda jest lepsza.

— Żywa woda, żyła woda, pożywała woda — powoli, cicho zaśpiewał Benjamin.

— Czuje — powiedziała pierwsza staruszka.

— Potrzebuje — przytaknęła trzecia, a druga przypomniał

— Dziewica powinna iść. Kochające serce. — Wtedy wszyscy odwrócili się w stronę Angeliny.

Dziewczyna zaczerwieniła się, powiedziała poważnie:

— Poszłabym, ale nie znam drogi. — Nikt nie zna — powiedziała pierwsza staruszka. — Ale ludzie tam chodzili.

— Nie ma drogi, zasypała ją oberwana skała — powiedział Edward.

— Drogi nie ma — zgodził się Artiom. — Sprawdziłem.

— Sprawdzanie jest w modzie — powiedziała pierwsza staruszka — A moja babka swojemu mężowi zdrowie wychodziła, gdy go wilki poraniły. Był umierający...

— A jak tam chodziła? — zapytał Edward.

— Nie wiadomo — odpowiedziały staruszki. Trzecia dodała jeszcze:

— Na pewno Grisza zna drogę do Carskiego Źródła.

— Nie ma drogi — powiedział Artiom. — Trzymajmy się, baby, prawdy historycznej.

— A ty, nie bałamuć, milcz. Też mi duch! Gdyby nie twoje pomysły, wiatrak stałby do dziś — powiedziała pierwsza staruszka.

— Stałby? A wiecie, że tam śledziową ikrę na czarny kawior przemalowywali?

— Przemalowywali — zgodziły się staruszki. — Milicja obiecała przyjechać w tym tygodniu. Bez hałasu.

— Wy wszystko wiecie, baby — powiedział dziadek z odrazą.

— Wiemy — zgodziła się druga staruszka i zwróciła się do Elli, wskazując na Artiona. — Narwany on, cierpliwości nie ma. Spoza archiwalnych dokumentów nie dostrzega człowieka. —

Staruszki zachichotały.

— Dobrze — nieoczekiwanie powiedziała Angelina. — Pójdę!

— To wspaniale! — powiedziała pierwsza staruszka.

— Wstydziłabyś się — sprzeciwił się Edward. — Komsomołka, skończyłaś technikum, szykujesz się na wyższą uczelnię.

Silny poryw wiatru otworzył okno, błyskawice rozdierały niebo całkiem blisko. Na parapecie usiadł Grisza, spode łba spoglądał na izbę.

— Zaprowadzisz dziewczynę do żywej wody? — zapytała druga staruszka.

— Omniaanpreklarrrrarara! — zakrzyknął kruk.

— Zamknij okno — powiedziała surowo Ella. — Benek ma gorączkę.

— Nie mam rąk — odpowiedział kruk, zamachał skrzydłami, poszybował, zlewając się z wieczorną ciemnością błyskawicami i czarnymi chmurami.

Ella rzuciła się zamykać okno.

— Pójdiesz o świcie — powiedziała pierwsza staruszka

— Kruk pokaże drogę. Nie odmówił.

— Zestarzał się — powiedziała druga, wstając razem z pozostałymi kobietami.

Zaskrzypiały schody, staruszki wychodziły z ganku. Angelina odprowadziła je, wróciła. Było cicho. Andriusza uśmiechnął się głupio:

— Angela, zabierz mnie ze sobą. Przy okazji zabierzemy szkatułę.

— Głupek — powiedział Artiom. — Tam nie ma żadnej szkatuły.

Edward Olegowicz milczał, przyglądał się wszystkim zebranym, był blady.

— Nie jest źle — powiedział poważnie Benjamin. — Szklanka żywej wody postawi mnie na nogi. Nieprawdaż?

— Spać, spać. — Edward Olegowicz wstał. — Niestety, muszę zbadać jeszcze jednego pacjenta. Obowiązek przede wszystkim.

— Może by go tak na noc wypuścić z piwnicy? — powiedziała Ella. — Przeziębci się tam.

— Nie — powiedział Artiom. — Nawet o tym nie myśl. Róbcie ze mną, co chcecie. Po tym, jak spłonął wiatrak i Miszka nie żyje, nie ma dla nich litości — to banda, która nikogo nie żałuje!

— Całkowicie się z wami zgadzam — powiedział Edward. — Ale jestem humanistą, i nic na to nie mogę poradzić...

— Pójdziemy razem — powiedział staruszek. — Popilnuję. Andriusza, podaj mi broń.

— Nie trzeba — powiedział Edward Olegowicz. — Zmęczycie się, macie swoje lata. Dam sobie z nim radę.

— Nie wiem, dasz radę czy nie, ale we dwójkę zawsze raźniej. Chodźmy, póki nie zaczęło znowu lać.

— Idźcie — powiedział Benek.

Miał temperaturę trzydzieści dziewięć i sześć. Gdy drzwi się zamknęły, Andriusza także zaczął szykować się do wyjścia.

— Pójdę do Krasnego, nic mi się nie stanie.

— Dokąd pójdiesz? — oburzyła się Ella. — Lecisz z nóg.

— Dobrze — Andriusza poddał się. — W takim razie idę odpocząć, Proszę obudzić mnie za godzinę. Mam nadzieję, że do tego czasu burza minie. Obiecacie, że mnie obudzicie. — I mimo obolałych od całodziennych wędrówek nóg, ruszył pewnym krokiem w stronę chłodnej sypialni,

zwaliał się na łóżko i od razu zasnął.

Andriusza nie słyszał szalejącej burzy. Obudziła go cisza składająca się z szumu równego, gęstego deszczu, tak jednostajnego, że aż niesłyszalnego. Młody człowiek podniósł się, w całkowitej ciemności wstał z łóżka, wybiegł do sieni. Zdawało mu się, że dom opustoszał, że wszyscy go opuścili. Ale przez szczelinę pod drzwiami sączyło się słabe światło.

Mrugając zaspanymi oczami, otworzył drzwi na oścież. Budzik pokazywał wpół do drugiej. Benjamin spał. Cały był pokryty plamami — czerwonymi i czarnymi. Oddychał szybko, charczał, machał przez sen rękami. Obok łóżka, na krześle, drzemała Ella.

— Co się stało? — zapytał rozpaczliwie Andriusza, zły na cały świat, rozgoryczony zdradą bliskich, a jeszcze bardziej zdradą własnego ciała, które zmarnowało na sen cztery godziny. — Dlaczego nikt nie myśli o Benjaminie?

— Ach — wzdrygnęła się Ella — obudziłeś się?

— Liczy się każda minuta — powiedział Andriusza.

— Uczesz się — powiedziała Ella. — Wyglądasz jak dziw. Nie budziliśmy cię, czekaliśmy, aż deszcz przejdzie.

Benjamin wybełkotał coś przez sen. Weszła Angelina niosąc mokry ręcznik, położyła go na czole Benjamin.

— Jaką ma temperaturę? — szeptem zapytał Andriusza.

— Czterdzieści — powiedziała Ella.

— Był Edward? Co mówił?

— Przepadł gdzieś — powiedziała Ella. — Też był zmęczony.

— Masz długie buty? — zapytał Andriusza.

— Poczekaj... — Angelina przyniosła kalosze i płaszcz nieprzemakalny. — Nada się? — zapytała.

— Nada — powiedział Andriusza, zmieniając buty. — No to idę.

— Idź — powiedziała Ella — tylko uważaj.

Andriusza przeszedł przez podwórko, skrzypnęła furtka. Nie wiadomo dlaczego, ale wydało mu się, że na drodze deszcz pada mocniej niż na podwórku. Strugi wody od razu znalazły drogę za kołnierz, płaszcz zrobił się ciężki. „Jak mam dojść do Krasnego? — pomyślał Andriusza. — Trzydzieści pięć kilometrów przez las. Pięć kilometrów na godzinę... Siedem godzin. Najważniejsze, nie stracić tempa”.

Rozejrzał się. Było ciemno, oczy z trudem wypatrywały drogę — widać było tylko blask odbity od kałuż. Niebo zakryły chmury. Sylwetki domów i płotów można było rozpoznać tylko po tym, że były ciemniejsze od otoczenia. Deszcz uspokoił się nieco, nadal był jednak dość gęsty i jednostajny. Psy milczały, wszystko we wsi ucichło.

Przez to niekończące się milczenie i szum deszczu przebił się krzyk, przytłumiony, ledwie

słyszalny, pełen rozpaczy, samotności i rezygnacji. Andriusza pobiegł przez kałuże w stronę placu. Krzyk ucichł. Chłopak zatrzymał się, zrobiło się strasznie, gdy zdał sobie sprawę z tego, że jest sam pośrodku wsi, wzdrygnął się na myśl o tym, jak będzie samotnie szedł przez tajgę.

Krzyk rozległ się znowu i znowu umilkł. Andriusza upadł, ale był tak przemoknięty, że nie miało to tuż najmniejszego znaczenia. Płaszcz był ciężki jak z ołowiu. Młodzieniec, otoczony zewsząd koszmarem nocy, chciał otworzyć oczy, by zobaczyć chociaż odrobinę światła.

— Ratunku! — wołanie doniosło się przez ścianę deszczu, a potem znów umilkło.

— Idę — powiedział Andriusza, głos brzmiał cicho, załamał się — nie starczyło oddechu.

Wtem krzyk rozległ się znowu i to całkiem blisko.

Czy to oczy przywykły do ciemności, czy chmury rozwiały się, nie wiadomo, ale Andriusza nagle zobaczył, że stoi obok piwniczki, w której zamknięty był Wasilij. Dopadła go złość — okazało się, że biegł na pomoc nikczemnikowi.

— Ratunku! — głos był cienki. Wasilij udawał osłabionego, żeby wywołać w przechodniu współczucie. Tylko kto mógłby wtedy przechodzić o tej porze?

— Milcz — powiedział rozzłoszczony Andriusza, zamierzając odwrócić się na pięcie. Tyle czasu zmarnował...

— Andriusza! — głos był blisko. — Andriusza, szczęście ty moje!

— Dziadek Artiom? Skąd wy tutaj?

— Wspaniale, cudownie — rozległ się drugi, znajomy głos. — Nie liczyliśmy już na pomoc. Wspaniale!

— I wy, Edwardzie Olegowiczu?

— To nasza wina, nasza wina — powiedział Edward. — I do tego ta burza, wszyscy pochowali się w domach, piekielny hałas, nic nie słychać. — Więźniowie mówili przez maleńkie okienko, ich głosy brzmiały głucho.

— Oszukał nas — wyjaśnił Artiom. — Udawał, że śpi, a potem złapał klucze i uciekł. I zamknął nas!

— Nasza wina, ach, nasza wina! — powiedział Edward. — Teraz jest już bezpieczny w lesie.

— Znajdziemy go — twardo powiedział Artiom. — Otwieraj.

Andriusza wymacał mocną kłódkę.

— A gdzie są klucze? — zapytał.

— Kluczy nie ma — powiedział dziadek. — Zabrał je ze sobą.

Andriusza spróbował rozbić kłódkę znaną w pobliżu cegłą, ale ona rozpadła się na pół.

— Nie da się otworzyć — powiedział.

Wszystko dookoła było mokre. Cały świat był mokry i zimny.

— Idź do domu — powiedział Artiom — weź siekierę, bez niej nic nie zdasz.

— Głupio — powiedział Andriusza. Chciał dodać, że liczy się każda minuta, a tu dwóch... hmmm... ludzi dało się zamknąć w piwnicy. Powstrzymał się jednak, rozumiejąc, że mimo wszystko trzeba ich ratować. — Idę — powiedział i nagle zobaczył, że z ciemności patrzy na niego jasne, tygrysie oko. Skulił się, kolana zrobiły się miękkie... Ale nie, to nie były oczy drapieżnika, to reflektor. Ktoś jechał drogą.

— Ej! — krzyknął Andriusza, tak, jak krzyczą marynarze, ujrzawszy żagiel po roku życia na bezludnej wyspie. — Ej, stój!

Motocykl oślepił Andriusza. Głos Głafiry zapytał:

— Co tu robicie?

— Już dobrze — doniósł się głos z piwnicy — wszystko, dobrze. Nie płacz Edwardzie, nadszedł ratunek.

Ella sprzeciwiała się, twierdząc, że to niemożliwe, by mały Kola, sam, po całym dniu pracy i do tego w nocy pojechał do Krasnego, ale chłopiec był twardy jak skała. Pojedzie i już, tylko zatankuje — w szopie są zapasowe kanistry. Kola był strasznie zmartwiony: taki dzień, tyle wydarzeń, a jego nie było we wsi. Był głęboko przekonany, że gdyby był na miejscu, wiatrak byłby cały, niedźwiedź by żył, a i Benjamin by nie ucierpiał. Ale to już przeszłość, teraz wszystko zależy od niego — żadna przeszkoda nie miała znaczenia.

Benek obudził się, był przytomny, ale bardzo cierpiał. Ella i Głafira krzątały się wokół niego, a Kola i Andriusza poszli do szopy.

— Nie zazdroszczę Wasilijowi — powiedział Kola. — Złapiemy go jutro z milicjantami. Jeszcze się znajdzie na niego paragraf.

— Może pojechać z tobą, będzie różnie? — zaproponował Andriej.

— Tylko maszynę przeciążysz — powiedział Kola. — Lepiej zajmij się kobietami. Jesteś jedynym mężczyzną, który tu został.

Pochwały były miłe, choć wypowiadał je tylko mały chłopiec.

— Jak Wasilij ich przechytrzył? — zapytał Kola. — Podaj mi smar z półki, jesteś wyższy, drażalu.

— Rzucił się na Edwarda, ryknął, ten wystraszył się, potknął o skrzynkę, przewrócił starego. Reszta jest oczywista.

— To możliwe... — potaknął Kola. — No to jadę.

Andriusza pomógł mu wyprowadzić motocykl za bramę, zamknął ją, i kuląc się w strumieniach deszczu, patrzył jak niknie powoli czerwone światelko.

Naprzeciwno, u dziadka Artioma paliło się światło. Staruszek przeżywał porażkę. Został zhańbiony. Może warto by go było odwiedzić.

Przechodząc przez ulicę, Andriusza nieoczekiwanie zauważył, że widzi dobrze i drogę, i ciemny płot. Trzecia rano — już świtało. Tutaj wcześniej robi się jasno. A spać się nie chce. Wygląda na to, że deszcz osłabł, chociaż za lasem ciągle błyskało i rozlegały się gromy.

Do uszu Andriusza dobiegł krótki dźwięk: w podwórzu trzasnęły drzwi. Ktoś wyszedł. Dźwięk niósł się daleko. Znowu cisza. Potem ostrożne kroki po deskach, skrzyp furtki. Andriusza zamarł przytulony do płotu.

W furtce zamajaczył cień. To Angelina stała, jakby nie wiedziała, co ma dalej robić, dokąd iść.

— Ej — powiedziała cicho — gdzie jesteś?

Andriusza nie odpowiedział. Każdy zazwyczaj czuje, gdy zwracają się nie do niego. Przez głowę przemknęło mu gorzkie podejrzenie — dziewczyna woła Wasilija, martwi się o niego czeka, a cała rozmowa o żywej wodzie, bajki, źródła i okłady — to nic, po prostu bajerowanie. Mimo wszystko jesteśmy tu obcy, pomyślał Andriusza. Ot, przyjechaliśmy, wyjedziemy, a życie we wsi potoczy się

dalej po staremu... przynajmniej do czasu, dopóki nie wybudują tutaj sanatorium, nie zjadą się wczasowicze, którzy stworzą własne, nowe, ciekawe legendy o armacie na placu i dziwnej nazwie „Carskie Źródło”.

Po rozświetlającym się niebie przemknął czarny cień, zamachał skrzydłami. Kruk usiadł na płocie, tuż obok Angeliny, wyraźny kontur ptaka górował nad dziewczyną.

— Griszka! — ucieszyła się Angelina. — A już się bałam, że nie przylecisz! Musimy się pospieszyć.

Kruk zamachał skrzydłami, jakby strzepywał z nich krople deszczu.

— Poczekaj tu — założę buty, wezmę coś na żywą wodę.

Stuknęła furtka. Andriuszy zrobiło się wstyd, że podgląda. W tej samej chwili, z tyłu, rozległo się przeciągłe skrzypnięcie. Obejrzał się. W uchylonym oknie zobaczył głowę Artioma. Nagle zrobiło się ciemno — u dziadka zgasło światło.

— A ty, czego tu sterczysz? — staruszek zauważył Andriuszę.

— Odprowadzałem Kolę. Chciałem potem do was zajść, ale przyleciał Grisza.

— Nie przeszkadzaj — powiedział staruszek — nie wolno przeszkadzać. I nie idź za nią. Możesz wszystko zepsuć.

— Przecież nie wierzyliście?

— Nadal nie wierzę. Ale przeszkadzać nie wolno, rozumiesz?

Znowu stuknęła furtka. Angelina, w cienkiej sukience i wysokich kaloszach, z kanką w rękę wyszła na drogę.

— Idziemy — powiedziała.

Kruk powoli oderwał się od płotu i poleciał w stronę placu. Angelina ruszyła za nim — kalosze rozbryzgiwały wodę z kałuż. Wszystko ucichło.

— I tak — wyszeptał staruszek — możemy spać. Idź do domu.

W głosie staruszka dźwięczał rozkaz. Andriusza podporządkował się.

Przeszedł na drugą stronę drogi, obejrzał się. Biała bródka dziadka znowu pojawiła się w rozświetlonym okienku. Andrijej wszedł na podwórko, uchylił furtkę... i zatrzymał się. Wyobraził sobie, jak Angelina idzie do źródła sama przez mokry las... A co z Wasilijem i jego współnikami? Mogą ją wyśledzić. Co to za obrona — kruk?

Staruszek zabronił. Ale on traktuje wszystko jak bajkę, a jeśli wziąć pod uwagę, że mamy koniec dwudziestego wieku, bajek nie ma, a wszystko — co się dzieje wokół — jest niewyjaśnione albo jeszcze nie odkryte zjawisko fizyczne? Dlaczego Angelinie ma zaszkodzić, jeśli ktoś z nią pójdzie dla ochrony?

Andriusza rozmyślał i zastanawiał się, w jaki sposób wyjść z podwórka, żeby go staruszek nie zauważył. Można przecież iść w pewnej odległości od dziewczyny, tylko dla bezpieczeństwa, nie zbliżać się... Na drodze błysnęła kałuża. Przyciskając oko do szczeliny w bramie, Andriusza zauważył, że staruszek ubrany w waciak, wysokie buty i miękki, trójkątny kapelusz stoi obok swej chaty i nasłuchuje. „Ach, ty mądralo — pomyślał Andriusza — sam postanowiłeś iść za Angeliną...”.

Pobiegł przez podwórko, wpadł do sieni, zaczął szukać po omacku.

Drzwi do izby otworzyły się, wyjrzała Ella.

— Kto tam? — wyszeptwała. — To ty, Andriusza? Ciszej, Benek zasnął. Kola pojechał?

— Wszystko w porządku. Pójdę do Artioma.

— Co to za wędrówki o trzeciej nad ranem? — powiedziała Ella z wyrzutem. — I gdzie się

podział Edward? Andriusza, jeśli wybierasz się na dwór, zajrzyj do jego domu. Może śpi... obiecał mi lekarstwo znaleźć. Jak myślisz, wypada go obudzić?

— Wypada — powiedział Andriusza. — Jak najbardziej wypada.

Wybiegł na dwór i, nie ukrywając się, pobiegł na plac. Trzeba zajrzeć do Edwarda. A może nie warto? Żadnej korzyści z tego nie będzie — felczer z niego kiepski, tylko przeżywa. Ale z drugiej strony, Ella będzie spokojniejsza w jego towarzystwie... „Dobrze, zastukam w okno — powiedział sam do siebie Andriusza. — Powiem, co trzeba i pójdę dalej”.

Minął drzewa otaczające armatę. Kto z niej jutro wystrzeli? Jeśli staruszek nie wróci, to po raz pierwszy od wielu lat armata nie wystrzeli. Tak giną tradycje. Nie wystrzeli raz i drugi, potem zapomną i zaczną używać budzika. A może w ogóle nie wstaną rano? Ptaki nie będą śpiewać, krowy nie dadzą mleka? Andriusza uśmiechnął się w duchu, ale zaraz przypomniał sobie leżącego z rozrzuconymi łapami niedźwiedzia...

Zatrzymał się obok klubu. W oknie Edwarda paliło się światło. Andriusza podszedł na palcach i zajrzał do środka — nikogo tam nie było. Spod zaścielonego łóżka wyglądało coś niebieskiego. Andriusza zastukał w szybę. Czekać — a nuż Edward wyszedł za potrzebą, czy iść dalej, póki staruszek i dziewczyna nie odeszli za daleko w las? Wtem usłyszał ciche głosy, dochodzące z za węgła.

— Czego — zapytał znajomy, wysoki głos — czego cię nosi?

— Poszła — odpowiedział bas. Wasilij? O czym rozmawia z Edwardem? Czyżby się już pogodzili? — Stary też polazł — Założył kapelusz i polazł.

— Starego nastraszymy. Starego nie musimy się bać. Idź szybko, nie spuszcza jej z oka, ale nie podchodź za blisko. Rozumiesz?

— Rozumiem, ale to mi się nie podoba. Po lesie chodzą niedźwiedzie.

— Nie ma już Miszy. Załatwiłem go.

— Tak czy siak, las... — złościł się Wasilij.

— Dziewczyna lasu się nie boi, a ty — tak? Przez twój strach straciliśmy kawior, teraz i złoto przejdzie koło nosa. Zostań, czekaj na milicję, oni się tam za tobą stęsknili.

— Nie strasz mnie. Jeśli na to mi przyjdzie, powiem, kto mnie inspirował.

— Mądrego słowa się nauczył! A dowody? Mnie w lesie nie było, nie rozrabiałem, jestem czysty, mogą mi nagwizdać.

— Rimma ze sklepu powie.

— Nie powie. To ty jej kawior wozileś, ty jej sprzedawałeś lekarstwa i ryby. Wszystko ty robiłeś! — I tak cię posadzą.

— Idź już, ale szybko! Dość mam twojego marudzenia!

— Poczekam na ciebie.

Edward zaklął i rzucił się w stronę domu. Andriusza widział przez okno, jak zdejmuje marynarkę, wyjmuje spod łóżka niebieski mundur, zakłada go, chwyta w locie trójkątny kapelusz i wciska go na głowę. Andriej stał, wstrzymując oddech — całkiem blisko, bo tuż za rogiem, rozlegało się ciężkie sapanie Wasilija.

„A to ci felczer, inteligentny człowiek. Okazuje się, że to on zabił niedźwiedzia i spalił wiatrak...” — młodzieniec w myślach podsumował całą sytuację.

Edward—duch miotał się po pokoju, wyjął z szafy składaną parasolkę. No tak, do Benjamina na pewno nie pójdzie, chorzy go nie interesują... Andriusza przestępował z nogi na nogę i niemal dał się

złapać: sapanie Wasilija ucichło, skrzyknęły drzwi, światło zagasło. Edward wyszedł na dwór. Andriusza wcisnął się w ścianę.

— Idziemy — powiedział Edward. — Wiesz chociaż dokąd?

— Wiem, do Wilczego Jaru. A gdzież by indziej?

Dwie ciemne figury oddaliły się od chaty i pośpieszyły w stronę lasu.

Andriusza zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko iść za nimi! I nie powinien ujawniać swej obecności, jak długo się da. Zaskoczenie zadziała na jego korzyść...

Początkowo Andriusza szedł szybko — zdawało mu się, że jeśli idący przed nim skręcą w jakąś dróżkę, z pewnością tego nie zauważą i będzie się błąkał po nieznanym lesie... Śpieszył się w obawie, aby nie zgubić Edwarda i Wasilija.

Śledzeni weszli już do lasu, gdzie między drzewami było całkiem ciemno; Andriusza niemal wpadł na nich, gdy wyskakiwał zza grubego pnia. Tuż obok prześliznął się snop światła z niewielkiej latarki, przesunął się po liściach i pniach, potem zaczął miotać się na boki, oświetlił ozdoby płaszcza i zgasł. Najwidoczniej Edward i Wasilij wybierali drogę. Andriusza skrzywił się i usłyszał, jak przekrzykując stukanie kropli spadających z liści, zaśpiewał pierwszy ptak. Słyszając go, drugi zaczął zawodzić swoją melodię, potem trzeci. Nadchodził ranek.

Andriusza starał trzymać się z tyłu, a na prostych odcinkach drogi oddalał się tak, że śledzone sylwetki zlewały się ze strugami deszczu. Edward i Wasilij też szli ostrożnie, zatrzymując się na każdym zakręcie.

Tak upłynęło ponad pół godziny. Około piątej w lesie zrobiło się jasno, deszcz prawie całkiem ustał. Już za chwilę powinno wzejść słońce, jego bliskość zwiastował coraz głośniejszy chór ptasich głosów.

Leśna dróżka, gdzieniegdzie zarośnięta, a w innych miejscach wydeptana równo i szeroko, zaprowadziła ich do długiej doliny, przez którą przepływał strumień. Spośród trzcin przeświecała woda, zmacona przez krople deszczu. Dróżka prowadziła dalej ku brzegowi i wiała się wzdłuż skraju, ale Andriusza nie odważył się wyjść na otwartą przestrzeń; przedzierał się więc przez rosnące pod lasem krzaki, gdzie każdej poruszonej gałązki spadały lodowate krople.

Coś ciężko westchnęło w chaszczach, kaczki wbiły się w powietrze i Andriusza zauważył śliski, czarny grzbiet jakiegoś potwora pełzającego powoli w stronę wody. Edward Wasilij także go zauważyli i zatrzymali się. W ciszy do Andrieja dobiegł wysoki głos Edwarda: — Krokodyl!

— Nie — odpowiedział Wasilij — krokodyli u nas nie ma. To sum, od dawna wiadomo, że tu jest. Tylko nie można go w żaden sposób pokonać. Nawet kulą.

— I nie ma po co — powiedział Edward. — Mięso ma niejadalne.

— Mięso wstrętne — zgodził się Wasilij.

Sum wysunął na chwilę z wody tępy pysk z małutkimi oczkami, poruszał metrowej długości wąsami i odpłynął w głąb, mącąc wodę. Zarośla jeszcze długo się kołysały, a kaczki latały nad wodą, nie mając odwagi wrócić na ziemię.

Dróżka prowadziła do samej wody. Tutaj, w wąskim przesmyku, strumyk zamienił się w rwący potok — na drugą stronę trzeba było przejść po śliskim pniu. Po chwili ścieżka odbiła w bok od strumienia, prowadząc do góry, do jasnej brzeziny. Andriusza biegł od pnia do pnia. Wtem słońce, rozrywając chmury, nieoczekiwanie wystrzeliło zza horyzontu, promienie Przedarły się w głąb brzeziny, przenikając ją na wylot.

Edward i Wasilij zatrzymali się przed ogromnym, szarym głazem — Felczer schylił się i obszedł kamień dookoła. Wasilij zapalił papierosa i ruszył dalej. Edward dogonił go.

Koło kamienia dróżka się skończyła i Andriusza zrozumiał, dlaczego Edward chodził w kółko — szukał śladów.

Edward i Wasilij już zniknęli wśród drzew. Teraz wysoka, mokra trawa sięgała do kolan, a przedtem Andriusza szedł po wydeptanej niedawno, wąskiej ścieżce. Doprowadziła go znowu do strumienia, tego samego, który wpadał do zarośniętego trzciną jeziora. Za oddzielnym pasem kamieni i piasku strumieniem, rosły równo mroczone jodły. Tam właśnie zniknęli Edward i Wasilij.

Czarny, jodłowy las nie chciał go wpuścić, jakby bronił zaczarowanej okolicy. Pnie stały blisko jeden obok drugiego, suche gałązki, cienkie, kłujące, sprężynujące uderzały po rękach i twarzy i już po kilku krokach Andriusza wydało się, że zablądził na zawsze. Zatrzymał się i usłyszał, jak z przodu — trzaskając gałązkami i głośno przeklinając — przedzierają się przestępcy. Szybko nie tylko ich dogonił, lecz nawet niemal wpadł na Wasilija. Szofer bał się, miotał po niewielkiej polance, a Andriusza nie od razu zrozumiał, co się stało. Po chwili zorientował się — Wasilij wszedł do królestwa leśnego pająka, który zagroził przejście między jodłami szarą, pobłyskująca kroplami deszczu siecią — firanką. Wąska tańczył, kłął, wrywając ręce z lepkiej sieci. Pająk wielkości dużego talerza siedział na skraju pajęczyny i czekał, aż ofiara się uspokoi.

— Edziu! — krzyczał Wasilij. — Przestań chichotać. Przecież on jest jadowity!

Felczer nie chichotał, po prostu ze strachu z jego ust wydobywało się dziwne gulgotanie.

— Boję się pajaków — wydusił w końcu.

— Tnij — krzyknął Wasilij. — Tnij, mówię!

Edward podniósł parasol, zaczął młócić nim pajęczynę, zrobił nieśmiały szermierczy ruch.

— Bij — wrzeszczał Wasilij. — On mnie hipnotyzuje!

Pająk rzeczywiście wpatrywał się w swoją ofiarę. Być może dawno już nie trafił mu się człowiek.

Edward, zacisnąwszy oczy, zaczął na oślep młócić pajęczynę parasolem. W końcu poddała się, nici zwisły bezwładnie.

Pająk zrozumiał, że śniadanie mu przepadło, zniknął w ciemności za pniem drzewa. Wasilij zaczął zrywać z siebie przyklepione nici, a Edward powiedział:

— Chodźmy, bo ich nie odnajdziemy.

— Idź pierwszy — powiedział Wasilij. — Tyle tu tego wisi.

Kłócili się przez chwilę i ruszyli razem, ramię w ramię. Felczer nie wypuszczał z rąk parasolki, machał nią, łamiąc gałęzie.

Andriusza ruszył ich śladem. Nachylony przeszedł pod podartą firanką pajęczyny, minął ją, obejrzał się. Pająk wypełził z powrotem na gałąź i zaczął reperować sieć. Patrzył w ślad za Andriusza — wydawało się, że mrugnął doń porozumiewawczo, co, oczywiście, nie mogło się zdarzyć.

Ciemny, jodłowy las niespodziewanie przerzedził się i Andriusza znowu zobaczył Edwarda i Wasilija. Stali obok zgniłego, wymalowanego niegdyś w pasy, szlabanu, leżącego na niezbyt szerokiej, brukowanej drodze, prowadzącej obok maleńkiej budki pomalowanej w czarno-białą jodełkę. Droga zaczynała się tuż za jodłami nieoczekiwanie, zupełnie jakby wyskoczyła spod ziemi. A na pagórku, tuż przy drodze siedzieli obok siebie Artiom i Angelina. Przed nimi leżała rozpostarta na trawie biała serweta, a na niej pół bochenka chleba, kilka jajek i ogórek. W pobliżu, na zwisającej

nad drogą gałęzi, siedział kruk. Z dzioba wystawał mu kawałek chleba.

Andriusza przykucnął za krzakiem i pożałował, że nie przyszło mu do głowy wziąć ze sobą jedzenia.

Ta sama myśl przyszła najwidoczniej do głowy także Edwardowi.

— Zgłodniałem — powiedział cicho do Wasilija. — A w domu został jeszcze słoik kawioru... Trzeba go wyrzucić, a szkoda, chciałem pojechać na urlop do byłej teściowej, do Jałty. Zabrałbym ze sobą.

— Daj coś przekąsić — powiedział Wasilij. — Siedziałem w piwnicy.

— Wytrzymaj — wyszeptał Edward. — Proszę, wytrzymaj.

— I napiłbym się. Mam dość. Całe życie muszę być cierpliwy. Wszystkich pozabijam!

— Zdobędziemy skarb, czeka nas całkowita wolność.

— A jeśli pieniędzy będzie mało? — zapytał Wasilij. Głośno zaburczało mu w brzuchu. Ze złością uderzył się pięścią w brzuch, kruk Grisza przełknął chleb i odleciał z gałęzi.

— A ty dokąd? — zapytał Artiom.

— Zaraz — powiedział kruk i poleciał do tyłu, przyjrzeć się drodze. Wasilij i Edward skoczyli w krzaki, znieruchomieli. Andriej skulił się. Kruk zatoczył krąg nad krzakami i wrócił na miejsce.

— Ktoś tam jest? — zapytał staruszek.

Kruk kłapnął dziobem, Angelina rzuciła mu kawałek chleba.

— Trzeba iść — powiedziała. — Słońce wschodzi. Rosa się podnosi.

— Zaraz — powiedział staruszek. — Zjemy, to pójdziemy.

— Tylko ty, dziadku, poczekasz na zewnątrz. Może naprawdę powinnam iść sama?

— Poczekam, poczekam, chociaż wcale w to nie wierzę.

— To po co przyszedłeś?

— Nie chciałem cię zostawić samej. A co, jeśli Waśka gdzieś się tu kręci?

Kruk wzbił się w powietrze i powoli poleciał przodem. Artiom i Angelina zawinęli resztki jedzenia w serwetę, staruszek włożył węzełek do wypchanego worka.

— Nie dojedli — powiedział Wasilij z nienawiścią. — We łbach im się poprzewracało...

Przestępcy skradali się przez krzaki, a staruszek z Angelą szli nierówno: to szybko, gdy kruk leciał do przodu, to wolno, gdy wznosił się wyżej, aby rozpoznać drogę. Od czasu do czasu Andriusza słyszał strzępki rozmów.

— To jego droga — powiedział Artiom. — Widział ją mój ojciec...

— A dlaczego jej nie dokończyli? — spytała Angelina.

— Może przyszedł rozkaz, że caryca nie przyjedzie, a może skończyły się pieniądze...

Do Andriusza dobiegł rozeźlony szept Wasilija, zagłuszający słowa staruszka:

— Słyszysz! Pieniądze się skończyły! Po co było mnie do więzienia wsadzać?

— Stary kłamie — uspokoił go Edward. — Major nie dokończył budowy, bo schował pieniądze.

Każdy głupi to wie.

Droga prowadziła w górę, między spadzistymi, kamienistymi wzgórzami, znowu biegła obok strumienia, który w tym miejscu był wąski, wartki, szumiał, uderzając o kamienie. Na płyciźnie leniwie krążyły lipienie metrowej długości. Andriusza musiał wyjść z ukrycia, gdyż droga biegła wokół ogromnej skały: z lewej strony stromy stok, z prawej — nawis skalny.

Niezbyt wysoko, na skale wymalowano białą farbą litery metrowej wysokości: „Sandro Szejnikmaniszwiłi. Odessa, 1973”.

— Patrz — dobiegł głos staruszka. — I tutaj dotarli turyści!

— Wszędzie wleżą — powiedziała Angelina. — Pamiętam, jak przechodzili przez wieś, śpiewali o dzikiej północy i morsach, pytali o ikony.

— Zagrożenie ekologiczne. Jak nic, spalą las!

Staruszek i Angelina zniknęli za zakrętem, nic już nie było słychać oprócz śpiewu ptaków i szumu strumienia.

Pokonawszy wierzchołek góry droga opadła w dół, w ciasną dolinę okrażoną zębami ciemnych skał. Strumień zniknął w jasnej zieleni traw i pojawił się na nowo dopiero przy wyjściu z doliny. Dostać się tam nie było łatwo. Z góry Andriusza widział, że drogę przecinającą półkole skalnego urwiska przegradza skalny nawis. Angelina i staruszek zatrzymali się przed usypiskiem głazów, jak przed zamkniętymi drzwiami A gdzie bandyci? Aha, są tutaj, przycupnęli za skałą, około dwudziestu metrów od dość stromego urwiska.

Staruszek i Angelina patrzyli na Griszę, który pofrunął wysoko ku górze i krążył, jak gdyby zapomniał, gdzie dalej lecieć. Andriusza widział, jak staruszek pierwszy zaczął się wspinać po głazach, zostawiwszy na drodze worek z jedzeniem. Angelina poszła jego śladem. O, już patrzą z góry na zielony lej doliny. Na niebie pojawiły się czarne punkty, rosły, zbliżały do Griszy, który zapikował w dół. Prawdopodobnie przestraszył się, gdyż leciało ku niemu całe stado ogromnych nietoperzy. Okrążyły Griszę, zatoczyły krąg, potem od stada oddzieliła się jedna czarna plama — kruk szybował ku ziemi rozpostarłszy szeroko skrzydła. Znikł za wzniesieniem, a stado, zatoczywszy krąg, zawróciło z powrotem... Staruszek i Angelina, potykając się, ruszyli w jego stronę. I wtedy, zza kamienia podniosła się niezgrabna sylwetka Wasilija, rzucił się w stronę sterty kamieni, złapał worek z jedzeniem i pociągnął go do siebie. Edward podniósł się, syczał i machał rękami:

— Rzuć to, mówię do ciebie, rzuć, zobaczą cię!

Worek był najwidoczniej źle związany, otworzył się, na drogę wypadły kawałki chleba, potoczyły się jajka i ogórki Wasilij rzucił się zbierać rozsypane jedzenie. Wpychał do ust jajka i ogórki, ciamkał i sapał tak głośno, że odgłosy najwidoczniej dotarły do staruszka — jego głowa znowu pojawiła się nad urwiskiem. Edward czmychnął za kamienie, a Wasilij pełzł po drodze. Głowa staruszka zniknęła. Edward gryzł łokcie i tupał.

— Wszystko przepadło! Zobaczył cię, rozumiesz, zobaczył!

— Sami i tak nie znajdą — niewyraźnie powiedział Wasilij. — Złap Griszkę. Nie wolno tam chodzić, rozumiesz?

Z góry Andriusza widział to, co było ukryte przed Edwardem: tam, za skarpą, po wąskiej pozostałości drogi, przytulając się do kamiennej ściany, posuwali się naprzód staruszek i Angelina. Dziewczyna tuliła Griszę, staruszek niósł pustą kanke. Ostrożnie zeszli ze skarpy i szli skrajem zielonej polany, przeskakując z kamienia na kamień. Za którymś razem staruszek potknął się — noga zanurzyła się w zieleni. Andriusza zrozumiał, że zieleń to trzęsawisko.

Angelina ze staruszką pokonali połowę zielonej topieli i zbliżali się do oddalonego końca doliny, gdzie z mokradła sterczały jak palce drewniane słupy będące resztkami mostu. Edward namówił Wasilija, aby wejść na zawał. Ujrawszy, że staruszek i dziewczyna odeszli daleko, Wasilij skoczył na równe nogi i krzyknął:

— Stójcie! Dokąd idziecie?

Krzyk dogonił biegnących, ale ich nie zatrzymał. Obejrżeli się i zniknęli w wąskiej szczelinie pośród skał. Wasilij poturlał się w dół, ku zielonemu trzęsawisku.

— Stój! — krzyknął Edward. — Poczekaj na mnie!

— Jeszcze czego! — odgryzł się Wasilij. — Dam sobie radę bez ciebie!

Długim skokiem dosięgnął zieleni i w tej samej chwili poczuł, że grunt nie jest w stanie go utrzymać. Spod jego nóg chlupnęło błoto, brudząc zieloną trawę. Siłą bezwładności zrobił jeszcze dwa kroki, ugrzązł po kolana, z trudem wyrwał nogę, rzucił się do przodu... Wasilij, zanurzony w trzęsawisko po biodra, odwrócił się i dopiero wtedy zauważył, że od brzegu dzieli go co najmniej sześć metrów.

— Ej! — krzyknął do Edwarda. — Daj rękę!

— Niby jak? — Edward zorientował się, co się dzieje i zaczął dużo wolniej posuwać się w stronę błota. — Sam się teraz wyciągnij. Chciałeś uciec ode mnie! — Waśka pragnął się na niego rzucić i pogrzyżł się w bagnie po pas.

— A ty co robisz?! — nieoczekiwanie przestraszył się Edward, widząc strach w oczach szofera. — Poczekaj!

Andriusza zbiegł ze swojej góry w stronę zwaliska i po kilku krokach stracił bandziorów z pola widzenia. Gdy znowu ich zobaczył, Edward miotał się na brzegu, wyciągając do Wasilija parasolkę. Andriusza obejrzał się — potrzebny był jakiś kij, drąg, ale w pobliżu nie było ani jednego drzewa. Las został daleko z tyłu.

Wasilij zanurzył się po szyję, oczy wyszły mu z orbit.

— Nie mogę! — krzyczał do niego Edward. — Żegnaj!

— Edek — wychrypiał Wasia — ratuj, oddam ci wszystkie pieniądze, bierz sobie skarb, tylko uratuj mnie!

— Chciałbym — rozpacztał Edward. — Chciałbym...

— Zabiję cię, jak stąd wyjdę! — krzyknął Wasilij.

— Żegnaj — rozłożył ręce Edward. — Nie męcz się. Od razu się zanurz.

— Nie, draniu! — Wasilij nie skorzystał z rady. — Stoję na twardym gruncie! — Błoto sięgało mu do podbródka.

— Stoisz? — upewnił się Edward. — No i pięknie. Wspaniale. Cudownie. Stój.

— Edek! — krzyknął Wasilij. — Oddam cię pod sąd!

— Nie wygłupiaj się. — Edward końcem parasolki strząsnął z oficerskiego buta resztki błota. — Nic ci to nie da. Przecież stoisz, nie toniesz. Pójdę za nimi, wezmę skarb i wrócę po ciebie. Poczekaj tu. — Edward ruszył brzegiem trzęsawiska, przeskakując z kamienia na kamień tak, jak przed chwilą szli staruszek i Angelina.

— Edziu! — niosło się w ślad za nim. — Edziu, zginę! Wróć! — Bo powiem, jak handlowałeś lekarstwami! I gdzie są ikony!

— Milcz, draniu! — Edward podniósł grudę ziemi i rzucił ją tak, że upadła do wody tuż obok Wasilija, rozbryzgnęła błoto i ochlapała kark szofera. Jego głowa zrobiła się szara i wydawała z siebie niezrozumiałe, ochryple dźwięki, skierowane w stronę felczera.

— Wytrzymaj — powiedział Edward — wyglądasz wstrętnie. — I przeskakując lekko z kamienia na kamień, pospieszył w stronę szczeliny.

Andriusza poczekał, aż Edward skryje się za skałą i dopiero wtedy przeszedł przez zwalisko. Wasilij zauważył go, zamrugnął, chlipnął z nadzieją w głosie:

— Studencie... Studencie, ratuj, wszystko powiem!

— Stój i — bezlitośnie odpowiedział Andriusza. — A dlaczego miałbym cię żałować! Błoto to optymalne środowisko dla ciebie!

— Student! — wyrzuciła z siebie głowa. — Inteligentny człowiek!

— Będę cię ratował, a w tym czasie Edward napadnie na Angelinę? Przecież on nie ma sumienia.

— Studencie! — upierał się Wasilij. — Podzielę się z tobą. Mam obligacje... Nie chcesz? Zabiję!

Z błota wyskoczyła żaba, duża, zielona, z białym, gładkim brzuchem. Wzięła głowę Wasilija za kamień, wskoczyła na nią i rozsiadła się wygodnie. Bezmyślne oczy utkwiała w Andriuszy. Pod ciężarem żaby Wasilij zanurzył się jeszcze głębiej, nawet podbródek tkwił w błocie. Zamilkł, żeby nie zachłysnąć się wodą.

— Wrócę po ciebie. Jeśli on nie dotrzyma słowa, ja wrócę — powiedział Andriusza i ruszył w stronę ciemnej szczeliny.

W skalnej szczelinie kroki odbijały się głuchym echem, po ścianie ściekała woda, wpadając do płynącego dołem strumyka. Powietrze było zadziwiająco czyste, pachniało ozonem, jakby przed chwilą w pobliżu uderzył piorun.

Skąły zamknęły się nad głową, zrobiło się całkiem ciemno, ale po kilku krokach w oddali pojawiły się plamy światła — to świeciła latarka Edwarda. On sam stał przed kolejnym utworzonym przez spadające z góry odłamki skalne zwaliskiem, oświetlał je, szukając przejścia.

— To niemożliwe — mruzczał drżącym głosem Edward

— Nie zdążyliby go zasypać... — Wolną ręką odsuwał kamienie szukając tego, który tarasował drogę. Rozległ się huk, z góry posypały się kolejne głazy. Felczer odskoczył do tyłu. — Noga! — zawył. — Nogę mi zasypało draństwo!

Andriusza zrozumiał nagle, że brakuje dźwięku, do którego zdążył już przywyknąć — umilkł szum strumienia, pod nogami było sucho. Cofnął się.

Toteż usłyszawszy znowu przed sobą szum, Andriusza przeciągnął ręką po ścianie i tuż przy ziemi wymacał otwór o średnicy nie większej niż metr, z którego wylewała się woda. Bał się. A jeśli otwór zwęzi się? A jeśli kamienna lawina spadła dopiero przed chwilą? W oddali znowu rozległ się hałas — to pewnie Edward nadal przesuwiał kamienie.

Andriusza wsunął rękę w wąską szczelinę, palce natknęły się na coś miękkiego. Ptasie pióro. Duże, ptasie pióro.

Wszystkie wątpliwości rozwiały się. Andriej schylił się i wcisnął pod niski strop. Musiał się czołgać, przebierając rękami w lodowatej wodzie. Ręka otarła się o czubek stalaktytu... Tunel prowadził do góry, ale nie zwężał się. Andriusza już się nie bał, ale droga zdawała się nie mieć końca, a na dodatek bolała go ręka...

W końcu jego twarz rozświetliło oślepiające słoneczne światło. Andriusza skrzywił się, a gdy otworzył oczy, zobaczył, że światło przebija się przez zielone liście. Teraz już mógł iść na czworakach, a po chwili wstał i rozsunął miękkie gałązki.

Stał na skraju niewielkiej, zielonej doliny, porośniętej drzewami i krzakami, którą zamykało zbocze wysokiej góry.

Było ciepło i sucho. Słysząc tylko bzykanie komarów, które najwyraźniej wzięły go za długo oczekiwany obiad. Andriusza zaczął oganiać się i zobaczył swoją dłoń — była rozcięta, a z otwartej rany ciekła krew. Aby obmyć ranę, Andriusza włożył rękę do znikającego w głębi czarnej skały strumienia. Różowy obłok krwi odpłynął wraz z wodą, brzegi rany zbladły. Wyjął rękę z lodowatej wody i zobaczył, że krew już nie cieknie, a rana goi się w oczach.

Andriusza umył w strumieniu twarz i znowu spojrzął na rękę. Rana zagoiła się całkowicie, pozostała po niej tylko jasna szrama.

— Cud — powiedział na głos Andriusza i poszedł dalej, w górę strumienia, nie oglądając się na

boki, bo nie mógł oderwać wzroku od własnej ręki. — Nie — powiedział, zatrzymując się po kilku krokach — to niemożliwe.

— Co począć? — odezwał się znajomy głos. — Też nie dopuszczałem do siebie takiej myśli, a przecież jestem tutejszy z dziada pradziada!

Andriusza rozsunał krzaki i znalazł się na polanie, pośrodku której stała marmurowa rzeźba, a na ławeczce siedział Artiom i kruk Grisza, cały i zdrowy, ale zasepiony.

— Rozciąłem sobie rękę — oznajmił Andriusza.

— A Grisza zdążył zdechnąć — powiedział staruszek — to znaczy znajdował się w stanie śmierci klinicznej.

— Weniwidiwci — ochrypłym głosem powiedział kruk.

— A gdzie Angela?

— Poszła po wodę do źródła. Tam jest woda w czystej postaci.

— Dlaczego puściliście ją samą?

— Uparła się. Chociaż to przesąd, po co psuć złudzenia?

— Wasilij ugrzązł w bagnie — powiedział Andriusza.

— Utonął? — spokojnie zapytał staruszek.

— Nie, stoi w błocie po szyję. Trzeba będzie się nim zająć w drodze powrotnej. Nie należy raczej liczyć na Edwarda.

— Na kogo? — zdziwił się staruszek.

— Edward Olegowicz, wasz felczer. Nie rozumiecie? Kręci razem z Wasilijem, to on jest drugim duchem. To on wszystko zorganizował: i z kawiozem, i lekarstwami handlował, i mleko rozrzedzali. W domu zostało mu nawet trochę kawioru, cały słoik, który chce zawieźć teściowej do Jałty.

— To znaczy, że jest dowód — powiedział staruszek. — To straszne. A oni nas wyśledzili?

— Dlatego właśnie poszedłem, bo jest ich dwóch.

— Aha, ich jest dwóch, a nas czworo. — Staruszek poklepał Griszę po skrzydle. — A to drań, a to spryciarz, nawet w piwnicy ze mną został! Waśkę wypuścił, a sam został! Wszystko obmyślił, drań...

— Dziadku! — dał się słyszeć krzyk Angeliny. — Chodź tu! Nabrałam wody.

— Idziemy — odkrzyknął staruszek. Grisza chciał się sprzeciwić, ale w końcu machnął głową, zeskoczył z ławki i poszedł pieszo, spoglądając w niebo. — Boi się — wyjaśnił staruszek. — Tutaj stróżują nietoperze. A z ich punktu widzenia Grisza jest zdrajcą.

— Fillantrrop — odpowiedział kruk.

— Jak wolisz. Ja ciebie nie osądzam. A gdzie Edzio?

— Zabłądził w jaskini. Utknął koło zwaliska.

— Taaa... — powiedział staruszek. — My na początku też o mało się nie pomyliliśmy. Droga trudna, mnóstwo zwalonych głazów — to najpewniej dzieło majora.

Trawa skończyła się, zastąpiła ją dróżka z ułożonych równo, jedna obok drugiej, kamiennych płyt. Droga rozdzieliła się dobiegła do niewielkiego stawku otoczonego marmurowym ogrodzeniem. Kamienie gdzieniegdzie wykruszyły się, osiadły w ziemi, między płytami rosła trawa.

Po drugiej stronie stawu widoczna była kamienna rotunda, przed którą pełniły straż lwy, spokojnie położywszy „łowy na łapach. Wewnątrz stał marmurowy niedźwiedź naturalnej wielkości, z jego pyska biła niewielka fontanna. Że to żywa woda, Andriusza domyślił się od razu, gdy tylko zobaczył, jak do źródła zbliża się ogromny zając, z wiszącą bezwładnie, poranioną łapą. Zerkając spod oka na stojącą nieopodal z kanką w ręku Angelinę, zając doskoczył do fontanny i zamarł w bezruchu. Woda zmyła krew z łapy, zając przemókł, Angelina roześmiała się. Grisza zakrakał, odganiając zająca, który ogromnymi susami pomknął między kamienną, rzeźbioną balustradą.

Angelina zauważyła Andriuszę.

— Szedłeś za nami? Ale jesteś wścibski!

— Bronił cię — powiedział poważnie staruszek. — Tam jest nie tylko Waśka, ale i jego koleżka, Edward.

— On też? Widzieliście raki?

Raki tkwiły w sadzawce. Trzy zielone, metrowej długości raki wytrzeszczały oczy na przybyłych z przezroczystej wody. Wokół nich powoli pływały złote rybki.

Andriusza zauważył skryty za drzewami czarny dach. Bale, z których zbudowano maleńką chatkę, dawno już zarosły i domek wyglądał jak kępa drzew. Zardzewiały, pokryty blachą dach cudem trzymał się nad bujną plataniną gałęzi.

— Pójdę już — powiedziała Angelina — muszę się śpieszyć.

— Idźcie — zgodził się Andriej. — Dogonię was. — Żałował, że nie wziął ze sobą aparatu fotograficznego. Wątpliwe, aby udało mu się trafić tutaj po raz drugi. Nie dlatego, że droga była trudna albo daleka: może szlak naprawdę był zaczarowany — Pojawił się pod wpływem bajkowego zaklęcia i zniknie znowu na sto albo dwieście lat, dopóki jakaś inna Angelina nie wyruszy na ratunek swemu ukochanemu.

— Zbudujemy tu sanatorium — powiedział Artiom. — Pokoje, lecznica pourazowa, kąpiele...

Angelina popatrzyła na polanę, na rotundę, na głupiutkę pyski raków i powiedziała:

— Szkoda.

— Szkoda — staruszek zgodził się od razu i ruszył w ślad za dziewczyną. — Znaczy tak — kontynuował — stworzymy rezerwat państwowy i poprowadzimy stąd wodociąg... — Głos staruszka ginął w zaroślach, trójkątny kapelusz jeszcze raz mignął nad liśćmi...

Andriusza zajął do domku. W środku było ciemno i pusto, stara, wiekowa pustka... Kiedyś mieszkali tu ludzie, ale dawno stąd odeszli. Na ławce walał się miedziany dzbanek, dwie puste butelki stały zapomniane na rozwalającym się piecu. I jeszcze jeden trójkątny kapelusz... Andriusza wyciągnął rękę i kapelusz rozsypał się. Pomyślał: to tutaj na pewno gross-major ukrywał się przed carskimi prześladowcami, tutaj umarł, zapomniany przez wszystkich. Może gdzieś niedaleko domu leży jego szkielet, chyba że zginął w lesie... Zardzewiała szpada bez pochwy sterczała spod szerokiej ławy. Andriusza postanowił wziąć ją ze sobą i oddać staruszkowi. Niech leży pod szkłem w budynku sanatorium albo w zarządzie rezerwatu.

Gdy Andriusza schylił się, żeby wyjąć szpadę zauważył, że pod ławą stoi kuferek. Wyciągnął go. Kuferek był okuty żelaznymi pasami i zamknięty.

— Jest i skarb — na głos pomyślał Andriusza i wyniósł kufer na zewnątrz. — To też przekażę dziadkowi — postanowił.

Tak oto wyszedł z domku-drzewa — kuferek przyciskał do brzucha, za pasek zatknął szpadę z połączoną rękojeścią. Nie odszedł jednak daleko, bo usłyszał znajomy, nieprzyjemny głos.

— Ręce! — powtórzył uparcie głos. — Ręce! Andriusza zobaczył, jak Angelina i staruszek cofają się po dróżce prowadzącej do rotundy. Staruszek trzymał obie ręce w górze, Angelina jedną — w drugiej miała drogocenną kankę. Pod nogami plątał im się kruk, który też starał się cofnąć, a na całą grupę nacierał, oddalony o jakieś dziesięć kroków napastnik, trzymający w ręce złożoną parasolkę, odziany w porwany na strzępy oficerski płaszcz, bez kapelusza, wściekły, z trudem łapiący oddech.

— Gdzie skarb? Gdzie skarb, pytam?

Staruszek i Angelina milczeli.

— Gdzie skarb? Pozabijam was, nie mam nic do stracenia! Postaw kankę na ziemi! — Angelina postawiła naczynie na dróżce. — Do tyłu! Jeszcze bardziej!

Edward sięgnął nogą do kanki, popchnął ją, woda wylała się na dróżkę, pociekła po kamieniach i... w szczelinach natychmiast pojawiły się zielone kielki.

— Gdzie skarb?

— Edziu — powiedział staruszek — nie potrzebujemy twojego skarbu. Zostań tutaj i szukaj, ile dusza zapagnie. Wypuść nas. Musimy zanieść żywą wodę. A ty ją rozlałeś.

— Starczy — powiedziała nieoczekiwanie Angelina. — Mam tego dość!

Spokojnie zrobiła krok w przód i podniosła kankę.

— Ani mi się waź! — krzyknął Edward.

Andriusza przez długie sekundy nie mógł uwolnić się od ciężkiego, niewygodnego kufra, który wreszcie odstawił na ziemię. Teraz już mu nie przeszkadzał w wyjęciu szpady zza paska.

— Stój, draniu! — powiedział Andriusza. Zdawało mu się, że mówi poważnie i spokojnie, ale głos załamał mu się na wysokim dźwięku.

Edward odwrócił się i zauważył skrzynię. Nie widział ani szpady, ani Andriusza — widział tylko kufer.

— Mój! — krzyknął i rzucił się w jego stronę.

Wpadł na Andriusza jak wściekły byk, złapał znaną przez Andrieja skrzynię i pociągnął do siebie. Jednak nie utrzymał, bo kufer upadł, szczęknął, otworzył się i wyleciały zeń, jak stado gołębi, różne kartki. Edward skoczył do przodu i zakrył kufer własnym ciałem. Rozwścieczony Andriusza zamachnął się szpadą i z rozmachem walnął nią w krocze felczera. Ten zawył, ale nie wypuścił zdobyczy. Andriusza zrozumiał, że kufer jest pusty — ze środka wyleciała srebrna moneta, potoczyła się, błyskając w słońcu, po dróżce w stronę okrągłej sadzawki i zatrzymała się na ogrodzeniu.

— Tak myślałem — powiedział staruszek, podnosząc jedna z kartek. — To rozliczenia. Wydatki poniesione ze środków państwowych.

— Czyli pieniędzy nie ma? — zapytał Andriusza.

— A niby skąd mają być? Nasz przodek został zrehabilitowany! Pośmiertnie!

— Idę — powiedziała Angelina. — Benek czeka. Dziadek zbierał karki z rozliczeniami.

— Dasz radę? — Angela zwróciła się do Andriusza.

— Dam — odpowiedział, odsuwając parasol na bok nogą. — Idźcie. I ty też wstawaj, Edwardzie!

— Drań — powiedziała Angelina, przechodząc obok. — Waśce jeszcze można wybaczyć, ale wam — nigdy.

— Gdzie pieniądze? — krzyczał Edward, nie zauważając nikogo.

Zrozpaczony wzrok zatrzymał się na błyszczącej na skraju ogrodzenia monecie. Poczłogał się w jej stronę. Zielone raki patrzyły na niego ze zdziwieniem — myślały, że jest jednym z nich. Jeden niezgrabny ruch i do wody wpadła moneta, a po chwili także sam Edward; raki podniosły kleszcze, jakby chciał bronić błyszczącego skarbu.

— Pobiegnę za Angelina — powiedział staruszek. — A co, jeśli tam jest Waśka?

— Nie ma obawy — powiedział Andriusza. — On jest teraz grzeczny.

Edward miotał się w sadzawce z żywą wodą, walcząc z rakami; w tej walce nie mogło być zwycięzcy. Każda rana natychmiast się goiła, oderwana łapa raka odrosła w mgnieniu oka, gdyby

ktoś urwał Edwardowi głowę, też by mu pewnie odrosła. Ale raki nie odgryzły głowy felczera, który wyrwawszy się z ich objęć, wylazł na brzeg i poczołgał się powrotem w stronę kufierka, ściskając w rękę srebrnego rubla.

Andriuszy zdziwiło się patrzeć na felczera. Wsunął szpadę za pasek i obejrzał się. Zobaczył zarośniętą dróżkę. „Przejdę się kawałek w tę stronę — postanowił. — Pięć minut nic nie zmieni”.

Rozsuwając gałęzie krzaków i łopianów przypominających wielkością bananowce, uwolniwszy się od ogromnego trzmiela, Andriusza minął domek.

Zarośnięte mchem zbocze pagórka było twarde, ale twarde w inny sposób niż kamień — różnicy tej nie można było wyrazić słowami, ani nawet opisać w myślach; a jednak była. Andriusza przykucnął, zerwał ręką warstwę mchu i zobaczył nierówną, chropowatą powierzchnię metalu. Żelazna góra, pomyślał i wspiał się na wierzchołek niewielkiego, stromego pagórka. Bujna zieleń doliny została w dole, tutaj — wokół źródła, wiał wiatr i było chłodniej. Widać było dom gross-majora wraz z dachem ukrytym pod zieloną czapką liści, białą kopułę rotundy i ciemny szmaragd sadzawki... Andriusza obejrzał się. Dolina Carskiego Źródła była okrągła, jej równa powierzchnia przypominała ogromny krater, a metalowy pagórek wznosił się dokładnie pośrodku. Andriej zrozumiał, że najprawdopodobniej za niepamiętnych czasów upadł tu ogromny meteoryt — przyniesiony z głębi kosmosu. Zapewne ten dziwny zestaw tamtejszej materii napełnił źródło bajkową mocą i woda nabrała właściwości nie występujących nigdzie indziej na świecie.

A może nie? Może ten metalowy kolos zrodził się we wnętrzu ziemi i wydobył się na powierzchnię dzięki ogromnemu ciśnieniu albo wybuchowi wulkanu? A moc jego składników stworzyła żywą wodę?

Dalej, za zboczem, coś pobłyskiwało. Andriusza zszedł w to miejsce i zobaczył nachylony krzyż, wbity w porośniętą niską trawą wzgórek. Trawa wiedziała, że w tym miejscu nie wolno rosnąć wysoko, nie wolno skrywać pamięci o tym, kto został tu pochowany.

Obok ławeczka, jakby ktoś tutaj przychodził.

Na krzyżu przybita była tabliczka. Napis wyblakł, ale w jasnym świetle Andriusza mógł przeczytać: „Gross-major Cesarskiego Pułku Preobrażeńskiego, Iwan Połujechtow zmarł 8 dnia grudnia 1762 roku. Ukochany ojciec i mąż. Pokój Twojej duszy”.

Andriusza usiadł na ławeczce. Czyli tutaj mieszkał a bajka kłamała, bo bajki wymyślają ludzie, którzy nie wiedzą wszystkiego. Helena nie powiedziała nikomu we wsi, że major żyje, tylko skłamała, że zginął przy źródle...

I nagle młodzieniec poczuł, że nie jest sobą, nie jest Andriejem Siemionowem ze Swierdłowska, ale gross-major Iwanem Połujechtowem, wygnańcem i odszczepieńcem. Jesienny wiatr wieje na wzgórzu, major myśli o tym, że kiedyś, dawno temu, ten żelazny pagórek spadł z nieba jak ogniste kamienie i przyniósł z gwiazd na Ziemię tajemnicę i życiodajną siłę, a może pojawił się spod ziemi, a ta woda to sama esencja naszego świata. Opanowały go tęsknota i samotność — pocieszała tylko nadzieja, że przyjdzie Helena, przyjdzie i zostanie tu na tydzień, we wsi powie, że pojechała do krewnych, do Penzy. Z grzeczności obiecała pobyć trochę u nich, malucha weźmie, najmniejszego, innych nie można, wygadają się...

Major wsunął rękę do kieszeni płaszcza, wyjął srebrny rubel — komu potrzebne pieniądze, które zostały z carskiej szkatuły? Nikt nie uwierzy, że wydał je budowę, nie kradł, nie oszukiwał, nie chował. Nic się nie da udowodnić... Iwan Połujechtow popatrzył na rublową monetę ozdobioną profilem imperatorowej i rzucił ją w dal, w trawę. Z góry nadleciał wierny Grisza, podniósł monetę i

zabrał ze sobą. A może by tak wstać, wrócić do Petersburga, tam toczy się prawdziwe życie, są bale i manewry, rozmowy o polityce i pałace na bulwarach. Czy potrzebne ci to, Iwanie, siedzisz tutaj, lata mijają w zapomnieniu, czekasz tylko na jedno — odgłos kroków na progu twojego domu. Przyjdzie twoja Helena, już niemłoda, roztyła się, ręce pierzchły od pracy, sama niesie swój wstyd — męża nie ma, o ona trzecie dziecko w kołysce buja. Jest wierna, przez las, przez zwałisko chodzi do swojego Wanieczki, a Wanieczka, chociaż i nie chory — jak tu zachorować, gdy obok żywa woda — od smutku starzeje się, kłótniwy się zrobił.

Helena mówiła: uciekniemy, pojedziemy na południe, za Wołgę, do Kubania. Ale jego nie ciągnie już do ludzi, zresztą, nie może być gross-major zajmować się zbójowaniem ani chłopską pracą. Lepiej już zostanie tutaj do śmierci, jak strażnik na posterunku, obok źródła.

Czasem całkiem już nie może wytrzymać, wychodzi wtedy do ludzi w paradnym mundurze, ze szpadą, idzie lasem, blisko do chat nie podchodzi, patrzy tylko na dym unoszący się z kominów, na bawiące się dzieci — przede wszystkim na swoje. Dzieci krzepkie — jakże by inaczej, żywa woda w rzeczce rozrzedzona, ale dla zdrowia wystarczy.

Czasem spotka kogoś w lesie... I ludzie już wiedzą, ale biorą go za ducha, boją się, uciekają. Czasami spotyka znajomego niedźwiedzia, uczył go strzelać z armaty, gdy jeszcze mieszkał we wsi. Niedźwiedź ciągle chodzi do armaty i niedźwiedziątka też nauczył strzelać.

„Umrę — pomyślał spokojnie major — ale co robić? Umrę. Niech Helena pochowa mnie tutaj, widok stąd piękny, góry widać, zimne wierzchołki, płynące obłoki i przelatujące ptaki. Ptaki przysiadają koło źródła, leczą rany. Minie wiele lat, zanim dotrze tu jakaś dusza, zobaczy krzyż i zrozumie mój smutek, zrozumie, że żyłem tu długie lata samą miłością, a bez niej dawno bym umarł bez śladu i bez mogiły...”

Krzyż stał na zielonym zboczu, nachylony, samotny, jak sam major. A jednak dał początek całej wsi — i Koli, i Głafirze, i Angelinie...

Pora iść z powrotem. Nie można zostawić felczera, jeszcze coś narozrabia, będzie szukał pieniędzy, zniszczy rotundę.

Być może — myślał Andriusza, poganiając w ciemnej jaskini pogodzonego z losem Edwarda — nazwą sanatorium imieniem majora Połujechtowa. Ale gdzie tam — to nie jest postać historyczna, ani bohater, ani mściciel ludu. A szkoda...

Edward pojękiwał. W jednej ręce niósł kufer, w drugiej zaciskał srebrny rubel z portretem grubej, ostronosej baby z piersiami jak balony.

— Rozkradli — powtarzał i wzdychał. — Oszuści, grabiciele. A ja chciałem dla ludzi.

Gdy wyszli ze szczeliny i przed nimi rozciągnęło się bagno, Edward zaniepokoił się i powiedział:

— Trzeba pomóc Wasilijowi. Jesteśmy istotami humanitarnymi, nieprawdaż?

— Humanitarnymi — powiedział Andriusza. — Przyniesiesz drąg i wyciągniesz go.

Ale drąg okazał się niepotrzebny. Zobaczyli, że Wasilij nadal stoi zanurzony po gardło w błocie, a na brzegu przykucnął Artiom — na kolanach trzymał rapier, obok leżała długa lina. Gdy szli wokół bagna, Wasilij monotonicznie wymieniał wszystkie grzechy własne i Edwarda, a staruszek zachęcał go w przerwach:

— Dawaj, dawaj, przestępcza mordo, wszystko opowiadaj, bo inaczej nie zobaczysz brzegu! — I Wasilij kontynuował opowieść.

Edwarda zauważył dopiero, gdy ten stanął tuż obok staruszka.

— To on! — zabulgotał Wasilij.—On mną kierował. A ja go słuchałem z głupoty. Gdzie skarb? Gdzie pieniądze?

— To legenda, tylko legenda — powiedział Edward. — Chcę cię jak najszybciej o tym poinformować i pomóc jak najprędzej wydostać się z błota. Wybacz, że nie mogłem zrobić tego wcześniej — pomagałem Angelinie.

— No i drań z ciebie, Edziu — powiedział Artiom.

— A co tam masz? — zapytał Wasilij, wskazując oczami na wieko kufra. — Skarb?

— Pamiątka — szybko odpowiedział felczer. Był niemal goły, a wiekiem zakrywał brzuch. — Na pamiątkę o przeszłości naszej okolicy. Artiomie Nikołajewiczu, nie wiercie w ani jedno słowo tego typu i oszusta. Chce mnie zniesławić...

— Spokojnie — powiedział Artiom — wszystko się wyjaśni.

Wyciągnęli Wasilija z trudem, spocili się jak myszy, nim bagno dało za wygraną. Edward biegał dookoła i udzielał rad, a gdy Wasilij wyszedł na brzeg i w niepowstrzymanym gniewie rzucił się na swego starszego kumpla, ten pognał przed siebie w takim tempie, że udało się go dogonić dopiero w lesie.

Przeszli jeszcze ze sto kroków, gdy zobaczyli Angelinę. Była zmęczona, więc Andriusza wziął od niej kankę.

Helikopter stał tuż za opłotkami, jakieś sto kroków od domu. Obok leżały puste nosze. Śmigło kręciło się powoli.

— Odleca! — krzyknęła Angelina, rzucając się w stronę helikoptera. — Andriusza, szybciej! Pobiegli wzdłuż drogi.

— Hej! — krzyknął Andriusza, zauważywszy w kabinie Pilota. — Zatrzymajcie się! Przynieśliśmy żywą wodę!

Angelina podniosła kankę, żeby pilot mógł ją dostrzec. Ten nie od razu zrozumiał, o co chodzi, potem wyłączył silnik, śmigło zatrzymało się, zwalniając obroty.

— O co chodzi? — zapytał pilot. — Co tam przynieśliście?

— Żywą wodę — powiedziała Angelina.

— Przykro mi! — powiedział pilot. — Zrozumiałem aluzję. Za sterami nie piję.

— Nie dla was — powiedział Andriusza. — Dla chorego.

— No to mu zanieście.

— To jego nie ma na pokładzie?

— Nie ma.

Angelina niemal upuściła wodę. Z kanki chlusnęło i w miejscu, gdzie kapnęła woda, zaczęła bujnie rosnąć trawa, zakwitły ogromne, niebieskie dzwonki — pilot skamieniał wpatrując się w to zjawisko.

— Jak to nie ma? — zapytał Andriusza, czując jak lodowacieją mu ręce.

— Widzicie nosze? Jak tylko go tu przynieśli, zeskoczył i uciekł w krzaki. W jego stanie to pewna śmierć. Szukają go w krzakach. A on coś bredzi.

W zaroślach zakotłowało się i wyciągnęli stamtąd opierającego się z całych sił Benjamina. Opatrunek zsunął się na bok, przesiąkł krwią. Obok biegł lekarz i nerwowo starał się napędnąć strzykawkę, żeby zrobić choremu zastrzyk uspokajający.

— Benek! — krzyknął Andriusza. — Nie szalej. Wszystko w porządku!

— Benek! — Angelina biegła do niego, przyciskając kankę do piersi.

— Wróciliście? — chory mówił szybko, oczy błyszczały mu od gorączki, ale był w pełni świadomy. — Wybacz Angela, nie mogłem odlecieć bez ciebie. Dla mnie poszłaś do lasu, przecież ja wszystko rozumiem, nie mogłem odlecieć jak dezertier... Proszę mnie zrozumieć — zwrócił się do lekarza — i wybaczcie, że was zdenerwowałem.

— Wszystko w porządku — powiedział lekarz. Skorzystał z tego, że chory się uspokoił i szybko wbił mu strzykawkę w rękę.

— To było zupełnie zbędne — zauważył Benjamin — już się uspokoiłem. — Sam ułożył się na noszach.

— Mogłeś umrzeć — powiedział lekarz. — To skandal.

— Przeszłaś, Angelo, dziękuję ci. Woda to bajka, wiem, ale poszłaś w nocy...

— Żywa woda jest tutaj — powiedziała Angela. — Wszystko w porządku. I naprawdę działa.

— Działa — powiedział Andriusza. — Sam sprawdziłem.

— Koledzy, nie zatrzymujcie nas — poprosił lekarz. — Każda minuta zwiększa niebezpieczeństwo.

— Doktorze — krzyknął pilot. — Woda działa, sam widziałem!

— Co znowu za woda?

Oczy Benka zwęziły się, zaczął zasypiać z uśmiechem szczęścia na twarzy, trzymając za rękę Angelę.

— Podajcie mi chusteczkę — powiedziała dziewczyna.

Powiedziała to takim tonem, że Głafira bez słowa zdjęła z głowy białą chustkę. Angela zanurzyła ją w kance.

— Nie widzieliście gdzieś tych kombinatorów i spekulantów? — zapytał Andriuszę milicjant.

— Tam idą — powiedział Andriej.

Drogą szli obok siebie Edek i Waśka i zajadle się kłócili. Ich ręce były związane za plecami, żeby nie uciekli; staruszek znalazł sznurek w worku. Z tyłu za nimi człapał Artiom, trzymając ich jak za lejce.

Kruk Griszka wzbił się w niebo, zatoczył koło nad helikopterem, traktując go najwidoczniej jako rywala, który wdarł się na jego terytorium. Zapikował w stronę maszyny, z całej siły uderzył dziobem w szybę kabiny. Potem podniósł dumnie głowę i powiedział:

— Omniaprieklarrarara!

Z lasu wyszła niedźwiedzica. Prowadziła niedźwiadka, aby nauczyć go strzelać z armaty.

tłumaczyła Agnieszka Chodkowska-Gyurics

Żurawl w rukach

Żuraw w garści

Był to nieduży bazar: trzy szeregi krytych straganów i niezbyt obszerny plac, na którym z zaprzężonych wozów sprzedawano kartofle i kapustę. Przeszedłem przez targ, odbierając defiladę baniek z mlekiem, garnuszków ze śmietaną i dzbanków brunatnego miodu, mijając tace z agrestem, miski z czarnymi porzeczkami i borówkami, stosiki grzybów i sterty jarzyn. Towary były oświetlone promieniami słońca, a ich właściciele skryli się w tak głębokim cieniu, że trzeba było podejść bliżej, aby ich w ogóle dostrzec.

Jedna z kobiet zdumiała mnie swą obcością, oderwaniem od tego powszedniego, codziennego świata bazarowych handlarzy.

Zobaczyłem i — jak to się często mi zdarza — natychmiast wymyśliłem jej dom i otaczających ją ludzi, słowem — całe życie. Uznałem, że przyjechała z zagubionego w lasach starowierskiego chutoru, gdzie jej ojciec — ponury i ciemny, ale sprytny starzec — przewodził kilku starszkom. Tam też mieszkała jej matka, baba tęga, leniwa, ze spuchniętymi nogami.

W przeciwieństwie do innych handlarek nikogo nie zaczepiała, nie zachwalała swojego towaru — kosza wielkich jaj! Wczesnych pomidorów, ułożonych obok wagi w zgrabną piramidkę niczym kamienne kule przy staroświeckiej armacie.

Miała na sobie wypłowiałą sukienkę z niebieskiego kretonu, która odsłaniała jej szczupłe i opalone ręce, patrzyła ponad głowami mijających ją ludzi, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała. Nie dojrzałem koloru włosów i oczu, gdyż zawiązała na głowie białą chustkę, która na podobieństwo daszka osłaniała jej twarz. Jeśli któryś z kupujących podchodził do niej, uśmiechała się nieśmiało lecz ufnie.

Kobieta poczuła mój wzrok i odwróciła się szybko jak spłoszona sarna. Spuściłem oczy. Byłem pewien, że ona nigdy nie była w starowierskiej sadybie. I wcale nie dlatego, że w tych okolicach nie ma wielkich borów, że niewielkie tereny leśne, ciągnące się wzdłuż płytkich rzeczulek i nad brzegami bagnistych jezior, poprzedzielane są polami i łąkami. Po prostu każdy skrawek gruntu był tu z dawien dawna zagospodarowany i o starowierskich osiedlach nikt nawet nie słyszał. Nie, nie dlatego: na jej szyi wisiał na cienkim rzemyku wypolerowany kawałek bursztynu, a nie krzyżyk.

A więc mieszkała w odległej wsi, a jej mąż, zwalisty i silny hulaka, posłał ją, aby sprzedała nazbierane przez tydzień jaja i dojrzałe akurat pomidory. Potem przepije przywiezione pieniądze i w przypiływie skacowanej skruchy kupi za pozostałe grosze chustę dla najmłodszej córki...

Zaprzagnąłem usłyszeć jej głos. Nie mogłbym odejść, zanim bym go nie usłyszał. Zbliżyłem się i starając się zajrzeć jej w oczy, poprosiłem o dziesięć jaj. Wprawdzie ciocia Alona nic mi nie wspominała o ich braku, kazała mi tylko kupić na obiad ze dwa kilo młodych kartofli i trochę szczypiorku, ale...

Patrzyłem na jej szczupłe ręce z długimi, smukłymi palcami. Na serdecznym palcu prawej ręki

dostrzegłem cienką obrączkę ze złota. Miałem rację, była zamężna.

— Ile płacę? — zapytałem, patrząc jej w twarz (oczy miała jasne, chyba szare).

— Rubel — powiedziała kobieta, zwijając z gazety tutkę i ostrożnie układając w niej jaja.

Wziąłem zawiniątko. Jaja były wielkie, podłużne i różowawe.

— Z daleka je pani przywiozła? — zapytałem.

— Z daleka. — Nie patrzyła na mnie.

— Dziękuję — powiedziałem. — Będzie tu pani jutro?

— Nie wiem.

Głos miała niski, przytłumiony, nawet nieco schrypnięty i każde słowo wymawiała tak wyraźnie, jakby rosyjski nie był jej językiem ojczystym.

Kiedy wróciłem do domu, ciocia Alona nie dała się przekonać, że na targu zabrakło młodych kartofli. Wzięła jednak jaja i zaniósła je do kuchni. Po chwili zawołała stamtąd:

— Kola, coś ty kupił? Przecież to nie są kurze jaja.

— A jakie? — zapytałem.

— Pewnie kacze... Ile dałeś?

— Rubla.

Wszedłem do kuchni. Ciocia Alona ułożyła jaja na talerzu i dopiero teraz spostrzegłem, że istotnie wyglądały jakoś' dziwnie. Powiedziałem jednak:

— Najzwyczajniejsze w świecie jajka, ciociu. Kurze.

Ciocia Alona skrobała marchew. Rozłożyła ręce, w których trzymała: w jednej — marchewkę, w drugiej — nóż. Cała jej poza zdawała się mówić: „Niechaj ci będzie...”.

Ciocia Alona jest moją jedyną żyjącą krewną. Już od pięciu lat co roku obiecywałem przyjechać do niej, ciągle zwodziłem i... nagle przyjechałem. Stało się to nie tyle z powodu głupiej i niepotrzebnej moskiewskiej kłótni, czy fiaska moich planów, ile wskutek nagłego lęku, że nieubłagany czas może któregoś dnia zabrać mi ciocię Alonę, która pisze długie, szczegółowe listy, Pełne staromodnych rozważań i utyskiwań na pogodę, regularnie przysyła kartki z życzeniami na święta i na urodziny, zaopatruje mnie co roku w słoiki z domowymi konfiturami i nie daje po sobie poznać, że czuje się dotknięta moimi czczymi obietnicami.

Kiedy przyjechałem, ciocia Alona nie od razu uwierzyła w swoje szczęście. Wiem, że potrafiła wstać w nocy i podejść do mojego łóżka, aby się przekonać, że nie zniknąłem. Dzieci nie miała, mąż poległ na froncie, kochała mnie więc bardziej niż na to zasługiwałem.

Nie upłynął jeszcze tydzień od mego przyjazdu do cichego miasteczka na skraju lasów i pól, gdy przekonawszy się, po raz któryś z rzędu, że nie potrafię odpoczywać, zacząłem tęsknić do swego codziennego, źle urządzonego życia, do grzbietów książek Wolfsona i Trepietowa na górnej półce regału i do swej zaocznej, bezsensownej teraz polemiki z ich tezami. Kłótnia, przez którą tu przyjechałem, zaczęła z wolna przybierać swe istotne, skromne wymiary. No, powiedzmy, nie pojedę do Chorogu, powiedzmy, odejdę z instytutu. I co się przez to zmieni? Będzie inne, niemal takie samo laboratorium, niemal takie same dyskusje i konflikty. A jeśli odjechałbym teraz, kiedy ciocia Alona już zawczasu martwi się, że pozostające mi jeszcze dwa tygodnie upłyną zbyt szybko, byłoby to z mojej strony okrucieństwem.

— Pewnie nigdy nie widziałeś kurzych jaj — powiedziała ciocia Alona. — Czym was w tej Moskwie karmią?

— Najlepszą metodą rozstrzygnięcia naszego sporu jest usmażenie dwóch jajek — odparłem,

idąc do pokoju, gdzie wzięłem z półki stary numer „Literatury Zagranicznej”.

Przed kolacją przypomniałem cioci o swej prośbie.

— Może lepiej będzie, jak skoczę do sklepu i kupię zwykłe jajka? — powiedziała ciocia.

— Co to, to nie. Zaryzykujemy.

Ciocia Alona postawiła przede mną talerz z jajecznicą, naląła sobie esencji z imbryczka, którego wyjęła spod nader sfatygowanej, lecz wciąż jeszcze imponującej wатовanej lali dołąła wrzątku z samowara i odłupała szczypcami równiutka kostkę cukru. Udawała, że moje jajeczne eksperymenty zupełnie jej nie interesują, ale gdy już zamierzałem zabrać się do jedzenia, nie wytrzymała:

— Na twoim miejscu — powiedziała — ograniczyłabym się do herbaty.

Ciocia usmażyła mi jaja sadzone. Żółtka były wielkie wypukłe niczym połówki dojrzałych jabłek. Pomyślałem, że warto byłoby obliczyć ich współczynnik energii powierzchniowej.

— Nie zapomnij posolić — przypomniała ciocia, sądząc, że obleciał mnie strach. W jej głosie zabrzmiała ironia. Poprawiła okulary, które zawsze zjeżdżały jej na czubek nosa.

— Nie bój się.

Jajecznica smakowała niemal tak, jak prawdziwa, choć nie ulegało wątpliwości, że piękna nieznajoma sprzedała mi zamiast kurzych jakieś inne, nieznane w naszych okolicach jaja. Postanowiłem więc zrobić cioci Alonie przyjemność i zapytać:

— A jak wyglądają jajka cietrzewi?

— Dlaczego pytasz tylko o cietrzewie? Poza nimi istnieją słonki, głuszce, a nawet żurawie i orły. Wszystkie ptaki znoszą jaja. — Ciocia Alona przez wiele lat uczyła w szkole i jej pouczający ton można było potraktować jako skrzywienie zawodowe.

— Słusznie — nie poddawałem się. — Strusie, słowiki, a nawet dziobaki. Ale z punktu widzenia konsumenta najważniejszą właściwością jajek jest ich wartość odżywcza i smak. A ta jajecznica jest wręcz znakomita.

Kiedy zrobiło się ciemno, nagle wstałem zza stołu i ruszyłem na spacer. W parku odszukałem ławeczkę stojącą nieopodal kręgu tanecznego. Usiadłem tam, paliłem i patrzyłem z życzliwą pobłażliwością na chłopców i dziewczęta, tańczących przy dźwiękach słabiutki, ale nader poważnie traktującej swoje obowiązki orkiestry. Swą życzliwość posunąłem tak daleko, że nieomal pokłóciłem się z jakimś poirytowanym staruszkiem, który piętnował stroje i fryzury chłopaków z takim ferworem, iż pomyślałem, że pewnie przychodzi tu co wieczór, popychany dziecięcym prawie negatywizmem. Starając się skłonić staruszka o większej tolerancji, nagle przeraziłem się, że oto stałem się wiele bliższy jemu niż tej dzieciarni i że bronię nie ich, lecz samego siebie sprzed dwudziestu lat. A chłopcy, którzy stali w pobliżu i słyszeli naszą dyskusję, nadal rozmawiali o swoich sprawach i także byli wobec nas pobłażliwi. Cóż z tego, że mogę wyobrazić sobie, jak gromadzi się ładunek elektryczny w chmurze niewidzialnej za żółtym blaskiem latarń, że zauważam, jak załśniła bezdźwięczna błyskawica nad teatralnie podświetlonymi drzewami i że widzę energię, która zmusza kropelkę rosy przyklejoną do oparcia ławki, aby przybierała kształt kulki? Po prostu nauczyłem się drobiazgu zupełnie rym chłopakom niepotrzebnego: energia napięcia powierzchniowego wody — wciąż ten prześladowający mnie WEP — o temperaturze 20° Celsjusza wynosi 72,5 erga na centymetr kwadratowy. Tak to wygląda naprawdę. Chłopcy są w lepszej sytuacji niż gderliwy staruszek, bo niektórzy z nich poznają jeszcze te i inne liczby. Poznają i pokochają, wzlecą w niebo w pogoni za sinymi żurawiami chmur. A starzec już niczego nie pokocha.

— Warto by ich ostrzyc do gołej skóry — upierał się starszy pan. — Bo inaczej wszy im się

załęgną w tych kudłach.

Przypomniało mi się, że Wala Dmitriew zginął tej wiosny, mierząc WEP w chmurze burzowej. On również miał długie włosy sięgające do ramion i akurat tego dnia personalny wezwał go na pogadankę na temat wyglądu, jaki przystoi młodemu pracownikowi nauki. Wstałem i odszedłem bez słowa.

W domu zastałem ciocię Alonę siedzącą na wgniecionej kanapie i czytającą „Annę Kareninę”. Podwinęła pod siebie nogi w grubych wełnianych skarpetach, gdyż przed deszczem dokuczał jej reumatyzm. Obok niej leżał — doskonale mi znany od mosiężnych zameczków do wytartego błękitnego aksamitu okładek, lecz przez dwadzieścia lat dokładnie zapomniany — gruby album ze zdjęciami.

— Pamiętasz? — zapytała ciocia Alona. — Porządkowałam dziś skrzynię i przypadkiem wpadł mi w ręce. Dawniej lubiłeś go oglądać. Siadałeś na tej kanapie i zaczynałeś wypytywać: „A dlaczego wujek ma takie pagony? A jak się wabił ten pies?...”

Położyłem ciężki album na stole w kręgu światła rzucanym przez pomarańczowy abażur z frędzlami i spróbowałem wyobrazić sobie, co w nim zobaczę. Nie potrafiłem przypomnieć sobie niczego.

Album otworzył się tam, gdzie między grubymi arkuszami kartonu leżała paczuszka późniejszych zdjęć, dla których na kartach zabrakło już miejsca. Na samym wierzchu zobaczyłem własne. Leżałem nagusieńki na brzuchu, z zadowolonym uśmiechem na głupiutkim pyszczku, zupełnie nie podejrzewając, jakie przejścia gotuje mi podstępny los. Rozpoznałem się w tym niemowlaku tylko dlatego, że identyczną fotografię, nieodmiennie rozczulającą starsze krewne i znajome, miałem u siebie w Moskwie. Potem natknąłem się na grupowy portret z podpisem „Piatigorsk, 1953”, z którego uśmiechały się do mnie nie najmłodsze już nauczycielki uwiecznione na tle bujnej roślinności. Była wśród nich również ciocia Alona. Na fotografiach rozpoznałem parę znajomych twarzy, ale większość to byli nieznajomi — cioci koledzy z pracy, sąsiedzi i ich dzieci.

Znacznie ciekawsze było przeglądanie od początku właściwego albumu. Mój pradziadek siedział w fotelu, prababcia stała obok z ręką wspartą na jego ramieniu. Pradziadek miał na sobie studencki tużurek i wyglądał tak, że zacząłem podejrzewać, iż siedzi w królewskiej pozie nie z nadmiaru pychy, lecz dlatego, że jest malutki, szczupłutki i pod każdym innym względem ustępuje żonie. To przekonanie brało również początek w legendach rodzinnych. Teraz już wiedziałem, że na następnej stronie ujrzę tę samą parę — pradiadka i prababcie — ale już jako ludzi starszych, solidnych, w innym ubraniu, otoczonych dziećmi, a nawet wnukami, wśród których stała ciocia Alona, którą oznaczono białym krzyżykiem. Okazało się, że sama kiedyś postawiła ten krzyżyk, aby nie pomylić się z innymi przedstawicielami tego samego pokolenia rodziny Tichonowów. Dalej były zdjęcia mojej mamy i cioci Alony — spódnice do kostek i sznurowane trzewiczki. Były bardzo do siebie podobne i czymś najwyraźniej zachwycone. Byłem ciekaw, w jaki sposób fotografowi udało się wzbudzić w nich zachwyt... Te zdjęcia pochodziły sprzed rewolucji.

— Kto to jest, bo zapomniałem...

Ciocia Alona odłożyła „Annę Kareninę”, wstała z kanapy i pochyliła się nade mną.

— Mój narzeczony — powiedziała. — Naturalnie nie znasz go. Po rewolucji mieszkał w Wołogdzie, został tam jakąś ważną figurą. A wówczas, w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, uchodził za mojego narzeczonego. W tej chwili nie wiem już, dlaczego. Pamiętam tylko, że bardzo mnie to peszyło. Tych tutaj też nie znasz. To lekarze z naszego szpitala powiatowego przed

wyruszeniem na front pociągiem sanitarnym. Drugi z prawej stoi mój wujek Siemion. Powiadają ludzie, że był znakomitym lekarzem, miał złote ręce. Wśród takich właśnie powiatowych lekarzy, muszę ci powiedzieć, zdarzali się cudowni ludzie. Mojego wujka znał sam Czechów z czasów, kiedy wspólnie zwalczali epidemię cholery.

— A co się potem z nim stało?

— Zginął w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku.

Wujek miał surowy wyraz twarzy, czapkę nisko nasuniętą na czoło, a szynel leżał na nim tak źle, że było oczywiste, iż z magazynu pobrał pierwszy z brzegu.

— A gdzie jego narzeczona... — ciągnęła ciocia Alona.

— Miała na imię bodajże Masza i wspaniałe zielonkawe oczy. Opowiadano, że po śmierci Siemiona przez dwa dni była jak skamieniała. A potem znikła i nikt jej odtąd nie widział.

— Może gdzieś wyjechała?

— Nie. Wiem, że umarła. Ona bez niego nie mogła żyć.

— Ciocia Alona kartkowała album. — Aha, jest tutaj.

Nie wiadomo czemu, narzeczona wujka Siemiona sfotografowała się oddzielnie.

Pożółkłe ze starości zdjęcie było naklejone na karton, na którym u dołu wytłoczono adres i nazwisko fotografa, Masza miała na sobie ciemną suknię z wysokim stojącym kołnierzykiem, czepek z czerwonym krzyżem i taką opaskę na rękę.

Znałem ją.

Znałem nie tylko dlatego, że widziałem dwadzieścia lat temu w tym albumie, a może nawet słyszałem już coś o jej losach. Nie, widziałem ją wczoraj na targu! To znaczy, że nie zginęła... Co za brednie!

Kobieta na zdjęciu nie uśmiechała się. Patrzyła poważnym wzrokiem — takim samym, jak wszyscy ludzie na starych fotografiach, którzy są zawsze poważni, a to z tego względu, że w owych czasach fotografia wymagała długiego naświetlania i uśmiech nie utrzymywał się na twarzy. Oczyma wyobraźni ujrzałem, jak wybierali się do fotografa w Wołogdzie wszyscy razem. Zaczynał się rok 1917. Masza spóźniła się i przybiegła, kiedy fotograf zabierał już kasety. A doktor Tichonow, niemłody, brzydki, mądry, złote ręce, namówił siostrę Marię do sfotografowania się oddzielnie. Dla niego. Jedno zdjęcie wziął ze sobą, drugie zostawił w domu. I nic po tych ludziach nie zostało, jeśli nie liczyć strzępka ich życia utrwalonego w pamięci cioci Alony, a teraz również i w mojej pamięci. Tyle że po wielu latach Masza ponownie przyszła na świat w tych okolicach...

Wieczorem ciocia Alona w sąsiednim pokoju długo przewracała się z boku na bok, mruzczała coś pod nosem, szeleściła kartami książki. Gdzieś daleko ujadaly psy i od czasu do czasu nasz Szarik włączał się swoim urywanym szczekaniem do ich odległego chóru. Uliczką przemknął motocykl bez tłumika i nie zdążył jeszcze ucichnąć łoskot jego silnika, gdy motocyklista zawrócił i znowu przejechał pod oknami, widocznie po to, abym mógł nacieszyć się znakomitą pracą Jego maszyny.

— Bazyli — dobiegł z sąsiedniego podwórka wysoki kobiecy głos — jeśli nie zdobędziesz dziecku rakiетки do badmintonu, to w ogóle nie wiem, do czego ty się możesz nadawać.

Popatrzyłem na zegarek. Była za dwadzieścia pierwsza. Najlepsza pora na dyskusje o badmintonie, pomyślałem i przewróciłem się na drugi bok.

...Liście jabłoni rosnącej pod oknem były czarne, lecz niejednakowo czarne. Różne nasycenie czerni stwarzało pozory głębi obrazu, tym bardziej że zewnętrzne liście przepuszczały odrobinę gwiazdnego blasku. Na ciemnoszarym, jedwabistym niebie północnego lata gwiazdy wciąż nie mogły

się rozpalić i drgające liście gasiły ich nikły blask. Jedna gwiazda zdołała jednak przebić listowie swym promieniem i nabierając siły dotarła po jego ścieżce do samego okna. Lekki blask wsączył się do pokoju, gęstniejąc pod sufitem, migocąc, jakby gwieździe było ciasno. Należało właściwie wstać i sprawdzić, co się dzieje, ale ciało odmawiało jakiegokolwiek wysiłku, i Łóżko zaczęło się z wolna kołysać, jak to bywa we śnie, ale; wiedziałem, że nie śpię i nawet słyszę, jak Bazyli usprawiedliwia się przed żoną, zwalając winę na kogoś, kto obiecał, ale nie dotrzymał słowa. Kobieta z rynku weszła do pokoju, przy czym udało jej się nie potrącić zasłonki w oknie, nie skrzyknąć drzwiami. Była bardzo dziwnie ubrana. Jasny, długi worek, gdzieniegdzie pocerowany, z wycięciami na głowę i ręce, sięgał jej do kolan. Nogi były białe i brudne. Kobieta przyłożyła palec do ust i skinęła w stronę pokoiku cioci Alony. Nie chciała jej widocznie budzić. Kobieta miała na imię Lusz. To było dziwne imię, bardzo łatwe do wyszeptania. Wydało mi się jakby puszyste.

...Nie chciałem zanurzać się śladem Lusz w czeluści jaskini, gdyż w jej ciemności kryło się coś strasznego, niebezpiecznego, nawet bardziej strasznego i niebezpiecznego dla Lusz niż dla mnie, to coś bowiem mogło ją zatrzymać na zawsze. Lusz wyciągnęła długą, szczupłą rękę i mocno ujew mój przegub silnymi palcami. Trzeba było się spieszyć, a nie myśleć o niebezpieczeństwie.

Zgubiłem Lusz w korytarzu oświetlonym mętnymi pochodniami, które paliły się tam już tak długo, że strop na dwa palce pokryty był czarną sadzą. Nie mogłem jednak wejść do li gdzie było znacznie więcej światła, gdyż wówczas nie spełniłbym obietnicy...

— Dlaczego nie śpisz? — zapytała ciocia Alona zza ściany. — Zgaś światło.

Byłem jej wdzięczny za wyprowadzenie mnie z jaskini, ale lęk o Lusz pozostał i odpowiadając cioci Alonie: „Już gaszę”, zrozumiałem doskonale, że wprawdzie wizyta kobiety przywidziała mi się, ale odnalazłbym Lusz i spróbował wyprowadzić ją z jaskini, gdyby ciocia mi nie przeszkodziła.

Jeszcze parę razy tej nocy trafiałem do podziemia i wciąż od nowa szedłem korytarzem, zatrzymując się przed oświetloną salą i przeklinając siebie za to, że nie mogę przekroczyć kręgu światła. Jednak nie spotkałem tam Lusz. Obudziłem się rozbity i przepelniony irracjonalnym lękiem o kobietę, która znalazła się tam, skąd nikt jeszcze nie wyszedł.

— Jak ci się spało? — ciocia Alona weszła do pokoju i zaczęła podlewać pelargonie stojącą na parapecie. — Miałeś dobre sny?

Dla cioci Alony sny równały się nieomal wyprawie do kina. Ja natomiast śnię rzadko i natychmiast wszystko zapominam. Zeskoczyłem z kanapki, która jęknęła wszystkimi sprężynami.

— Pójdiesz na grzyby?

— Nie, powłóczę się po mieście.

— Tylko nie kupuj jajek — roześmiała się ciocia Alona. — Jeszcze wczorajszych nie dojadłeś.

W godzinę później byłem już na targu. Minałem rząd baniek z mlekiem, garnków z twarogiem i miodem, miednic z agrestem i porzeczkami. Znajomej kobiety nie było, bo nie mogło być.

Następnego ranka — żeby zakupiony przeze mnie produkt się nie zmarnował — ciocia Alona ugotowała mi dwa jajka na miękko. Około południa, na plaży za miejskim parkiem poczułem raczej, niż usłyszałem, brzęczenie w głowie i zobaczyłem, jak po niebie wśród chmur płynie wyspa. Patrzyłem na nią jednak nie z dołu, jakby należało, lecz z góry. Patrzyłem na niedbale zżęte pole, na stojące kręgiem lepianki otoczone wysoką, pochyloną gdzieniegdzie palisadą. Spostrzegłem, jak Lusz wybiegła z chatynki pod uschnięte drzewo, na którym wisiał człowiek, i zaczęła kiwać ręką, abym jak najszybciej zszedł z góry. Nie mogłem jednak zejść, ponieważ byłem w dole, na plaży, a wyspa leciała wśród chmur. Tuż obok dzieciaki grały w siatkówkę pasiastą dziecięcą piłką, a przy kiosku z

lemoniadą i lodami ktoś zapewniał sprzedawczynię, że na pewno zwróci butelkę. Patrzyłem z góry na oddalającą się wyspę, gdzie zupełnie już mała postać Lusz wybiegła na pole, a ci, którzy na nią czyhali, wyskakiwali właśnie zza palisady.

Potem zasnąłem i spałem chyba ze dwie godziny, bo gdy się obudziłem, słońce stało już w zenicie, spieczony plecy bolały, kiosk był zamknięty, siatkarze płynęli na przeciwległy brzeg i tam grali swoją pasiastą piłką.

Ponieważ mój zawód nauczył mnie wiązać przyczyny ze skutkami, w domu wyjąłem z kuchennej szafki pozostałe jaja, przełożyłem je do pudełka po butach i zaniósłem do swojego pokoju. Ustawiłem pudełko na szafie, aby kot się do niego nie dobrał. Postanowiłem zabrać jaja do Moskwy i pokazać znajomemu biologowi, który robił doświadczenia z meksykańskimi narkotykami. Fakt, że to było dość dawno, może pięć lat temu, toteż obawiałem się, iż laboratorium mogło tymczasem zmienić temat.

Ale mój pomysł przestał być aktualny już następnego dnia. Obudził mnie głośny hałas. Kot spadł z szafy wraz z pudełkiem. Na podłodze, połyskując w ukośnych promieniach porannego słońca, rozlewała się kałuża rozchlapanych białek i żółtek przemieszanych ze skorupami. Kot, zupełnie nie speszony upadkiem, skradał się w moim kierunku. Przewiesiłem głowę przez krawędź łóżka i zobaczyłem, że w tę samą stronę, z oczywistym zamiarem ukrycia się w ciemnym kącie, drepce puszyste, bardzo różowe pisklę, większe od kurzego, z długim cienkim dziobkiem i pomarańczowymi, szczudłowatymi nogami.

— Stój! — krzyknąłem na kota, ale spóźniłem się.

Kot schwytał pisklę i natychmiast odskoczył od mojej wyciągniętej ręki, aby samemu nie zostać schwytanym. Na parapecie zatrzymał się, bezczelnie błysnął dzikimi zielonymi oczami i zniknął.

Zanim wygrzebałem się z pościeli i podbiegłem do okna, po kocie nie było nawet śladu. Gapiłem się zdezorientowany na rozbite jaja i na leżące obok pudełko po butach. Najprawdopodobniej kot usłyszał, jak pisklę zaczęło wykluwać się ze skorupy, zainteresował się i wskoczył na szafę.

— Co tam się stało? — zapytała ciocia Alona zza ściany. — Z kim wojujesz?

— Twój kot wszystko zaprzepaścił.

Ciocia Alona nie uwierzyła w niezwykle pisklę. Powiedziała, że mi się przyśniło, i dodała:

— Nie trzeba było wynosić jajek z kuchni. Tam nic by się im nie stało.

Nigdy do tej pory nie zdarzyło mi się widywać różowych piskląt wykluwających się z jaj i wywołujących sny na jawie. W dodatku istniała jeszcze piękna nieznajoma, której obecność potęgowała zagadkowość całej tej historii.

Postanowiłem możliwie jak najdokładniej przeszukać ogródek, który tak żałośnie skurczył się od czasów mojego dzieciństwa. Wówczas wydawał mi się ogromny i dziewiczy niczym dżungla, w której można zabłądzić. A teraz okazało się, że rosną w nim — i to w dużej ciasnocie — zaledwie dwa krzaki bzu, krzywa jabłoń, dająca ciocie Alonie kwaśne dziczki na marmoladę, i parę krzewów jaśminu pod parkanem. Natomiast bliżej domu, gdzie docierało światło słoneczne, bujnie rozrosły się kwiaty i trawy — floksy, złoczenie, lilie i wiele. Jeszcze innych na poły zdziczałych rezydentów dawnych klombów lub rabatek, niekiedy przypadkowych przybyszów z sąsiednich sadów i ogrodów. Z gęstej murawy i zarośli piołunu strzelały ku górze kędzierzawe czapki marchwi, parasolowate kwiaty kopru i nawet rósł tam samotny kwitnący krzak ziemniaka. To właśnie na jego liściu znalazłem strzępek różowego puchu.

Przyniosłem go do domu, włożyłem do koperty i zakleiłem. Jeżeli nauka zna takie ptaki, odrobina

różowego puchu powinna wystarczyć do identyfikacji.

— Na targ? — zapytała domyślnie ciocia Alona, widząc, że czyszczę buty. — Przecież tam jest mnóstwo kurzu.

— Wybieram się na spacer — odparłem.

Tę kobietę spotkałem dopiero na piąty dzień. Przez cały ten czas chodziłem na targ jak do pracy. I to nie raz, ale trzy, cztery, pięć razy dziennie. Handlarki już mnie poznawały, a ja również niemal wszystkie znałem z widzenia. Na piąty dzień zobaczyłem ją i natychmiast poznałem, chociaż tym razem nie miała chustki i jej twarz, w aureoli ciężkich, jasnych włosów, dziwnie się zmieniła, złagodniała i już nie kojarzyła się z osadą staroobrzędowców ani z okrutnym i chciwym mężem. Od rzeki wiał ostry, chłodny wiatr, narzuciła więc na ramiona czarną chustę w róże, Oczy miała zielone i ostre brwi na wypukłym czole. Miała też pełne, ale niezbyt czerwone wargi i ciężkawy podbródek, nieco psujący owal twarzy.

Nie od razu mnie spostrzegła, gdyż akurat obsługiwała klientów. Tym razem leżał przed nią stos wielkich, czerwonych jabłek, a do jej straganu ustawiła się długa kolejka.

Przywykłem już do tego, że na próżno wypatrywałem jej na targu, toteż w pierwszej chwili jej obecność uznałem za dalszy ciąg sennych majaków, w których nosiła imię Lusz.

Aby nieco się uspokoić, odszedłem w cień i stamtąd obserwowałem, jak sprzedaje jabłka. Patrzyłem, w jaki sposób stawia odważniki na szalce i spostrzegłem, że czasami zbliża do oczu, jakby była krótkowzroczna lub też nie miała nawy posługiwania się ciężarkami. Widziałem, jak zawsze dodaje najmniej jedno jabłko, aby szala z owocami wyraźnie przeważała, jak chowa pieniądze do płaskiej, wytartej portmonetki i jak wydobywa z niej resztę, starannie ją przeliczając. Kiedy stos jabłek na straganie zmałał, ja również zająłem miejsce w kolejce. Przede mną stały trzy osoby. Kobieta nadal mnie nie widziała.

— Poproszę o kilogram — powiedziałem, kiedy przyszła moja kolej. Kobieta nie uniosła nawet oczu. — Dzień dobry — dodałem.

— Mało bierzesz, młody człowieku — powiedziała staruszka, odchodząca akurat od straganu z pełną torbą. — Weź więcej, żona ci podziękuje.

— Nie mam żony — odparłem. Kobieta podniosła wzrok. Nareszcie zechciała mnie poznać!

— Pamięta mnie pani? — zapytałem.

— Dlaczego mam nie pamiętać? — Szybko rzuciła na szalkę trzy jabłka, które ważyły prawie półtora kilograma.

— Rubel — powiedziała.

— Bardzo dziękuję, ale tu jest znacznie więcej niż kilogram. — Bez pośpiechu grzebałem w kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy. — A jajek dzisiaj nie ma?

— Nie ma — powiedziała kobieta. — Miałam je wtedy przez przypadek, bo normalnie jajek nie sprzedaję.

— A daleko pani mieszka?

— Młody człowieku — powiedział mężczyzna w uniformie urzędnika powiatowego, składającym się z płóciennej czapki i zbyt ciepłego jak na tę pogodę luźnego garnituru. — Załatw sprawę i żegnaj, kończy mi się przerwa obiadowa.

— Mieszkam daleko stąd — powiedziała kobieta. Mężczyzna odsunął mnie łokciem.

— Proszę trzy kilo, tylko jak największych. Można pomyśleć, że pani nie zależy na kliencie.

— Długo tu pani jeszcze będzie? — zapytałem.

— Zaraz panu zapakuję — powiedziała kobieta — bo tak niewygodnie będzie nieść.

— Najpierw proszę mnie obsłużyć — powiedział mężczyzna w płóciennej czapce.

— Proszę go obsłużyć — powiedziałem. — Moja przerwa obiadowa dopiero się zaczyna.

Kiedy mężczyzna odszedł, kobieta wzięła ode mnie jabłko, położyła je na straganie i zaczęła zwijać torbę z gazety.

— A jabłko też są niezwykle? — zapytałem.

— Dlaczego niezwykle?

— Bo te jaja nie były kurze.

— Ależ co pan mówi!... Jeśli nie smakowały, mogę zwrócić pieniądze. — Sięgnęła po portmonetkę.

— Wcale nie mam pretensji, tylko po prostu jestem ciekaw, od jakiego ptaka pochodzą...

— Kupuje pan? — rozległ się głos z tyłu. — Czy tylko tak sobie stoi?

Odszedłem, stanąłem w cieniu, wyjąłem z torebki jabłko, wytarłem je chusteczką i ugryzłem. Kiedy obracałem owoc w rękę, napotkałem jej wzrok. Uśmiechnąłem się przyjaźnie, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nie jestem groźny. Ona również się uśmiechnęła, ale był to uśmiech tak nieśmiały, że aż żaloszny. Zrozumiałem, że lepiej byłoby odejść, oszczędzić jej przykrości, ale nie potrafiłem oderwać nóg od ziemi. Zwyczajnie bałem się, że już jej nigdy nie zobaczę.

Ruchy kobiety utraciły swobodę, stały się powolne i niezręczne. Zdawała się umyślnie odwlekać moment, kiedy odejdzie ostatni klient i ja znów do niej podejść.

Jabłko było soczyste i słodkie. Takie u nas nie rosną, a sadownicy amatorzy pojawiają się na targu ze swymi owocami najwcześniej w sierpniu. Wydało mi się, że jabłko pachnie ananasm. Wyciągnąłem z ogryzka pestkę. Była to jedyna pestka w tym owocu. Długa, ostra, kanciasta. To nie było jabłko.

Zobaczyłem, że kobieta wysypała z kosza ostatnie owoce, przeliczyła pieniądze i zamknęła portmonetkę. Wówczas zbliżyłem się do niej i powiedziałem półgłosem:

— Lusz.

Kobieta drgnęła, portmonetka upadła na stragan. Chciała ją podnieść, ale ręka zawisła w powietrzu, znieruchomiała, zamarła, jakby w oczekiwaniu ciosu.

— Przepraszam — powiedziałem — przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć.

— Nazywam się Maria Pawłowna. — Jej głos był senny i głuchy, a słowa były wyuczone na pamięć, jakby już od dawna czekała na tę chwilę i w lęku przed jej nieubłaganym nadejściem nieustannie powtarzała odpowiedź. — Nazywam się Maria Pawłowna.

— Święta prawda — rozległ się głos z tyłu. Był cichy i pełen wściekłości. — Maria Pawłowna. A co, interesuje to pana?

Niewysoki, starszy już mężczyzna z ciemną, ogorzałą twarzą, w wypłowiałej, zniszczonej czapce leśnika odsunął mnie i nakrył dłońmi palce kobiety.

— Spokojnie, Masza, spokojnie. Ludzie patrzą. — Wpijał się we mnie tak wściekłym wzrokiem białawych oczu, że pomyślałem: „Gdyby nie było dookoła ludzi, na pewno by mnie uderzył”.

— Przepraszam — powiedziałem. — Nie sądziłem...

— On przyszedł po mnie? — zapytała Masza, prostując się, lecz nie wypuszczając ręki leśnika.

— Co za pomysły! Przecież słyszysz, że człowiek przeprasza... Zaraz pojedziemy do domu. Nikt ci nie zrobi krzywdy.

— No to już pójdę — powiedziałem. — Idź.

Nie zdążyłem jednak odejść daleko, gdy leśnik mnie dopędził.

— Jak ją nazwałeś? — zapytał.

— Lusz. Jakoś tak przypadkiem wyszło.

— Przypadkiem, powiadasz?

— Przyśniło się.

Mówiłem mu szczerą prawdę i nie wiedziałem, czym wobec tych ludzi zawiniłem, ale zawiniłem na pewno i to zmuszało mnie do potulnego odpowiadania na pytania leśnika.

— Imię się przyśniło?

— Widziałem Marię Pawłównę już wcześniej. Kilka dni temu.

— Gdzie?

— Tutaj, na bazarze.

Leśnik rozmawiał ze mną, a jednocześnie zerkał w stronę straganu, gdzie kobieta trzęsącymi się rękoma wiązała puste koszyki, zbierała papier, układała odważniki na szalce wagi.

— I co dalej?

— Byłem tu kilka dni temu i kupiłem dziesięć jajek.

— Siergiej Iwanowiczu! — zawołała kobieta. — Trzeba zdać wagę.

— Zaraz pomogę.

Kto to był? Mąż? Wątpliwe, on przecież jest co najmniej dwa, a może trzy razy od niej starszy. Ale z pewnością nie ojciec, bo w tych okolicach dzieci nie zwracają się do ojca tak oficjalnie.

Leśnik najwyraźniej nie chciał mnie tracić z oczu.

— Trzymaj — powiedział, podając mi szalkę z odważnikami. Sam wziął wagę. Maria Pawłowna niosła puste koszyki. Starła się iść tak, aby między nami znajdował się Siergiej Iwanowicz.

— Masza — zapytał leśnik — sprzedawałaś jajka?

Nie odpowiedziała.

— Przecież ci zabroniłem. Zabroniłem.

— Chciałam kupić maszynkę do golenia. Taką ze sprężyną. Nie potrzebujecie?

— Idiotka — powiedział leśnik.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do kantoru.

— Wejdz — zwrócił się do mnie.

— Ja też? — spytała Masza.

— Poczekasz. Nic ci się nie stanie. Pełno ludzi dookoła.

Masza jednak poszła z nami i kiedy zwracaliśmy wagę zaspanej dyżurnej, stała w milczeniu pod ścianą oklejoną plakatami, które przekonywały o szkodliwości much i brucelozoy.

— Oddam wam pieniądze — powiedziała Masza, kiedy szliśmy, i podała leśnikowi portmonetkę.

— Zostaw sobie — odparł Siergiej Iwanowicz. Staaliśmy cieniu za biurowym barakiem. Leśnik zerknął wyczekująco na mnie, zapraszając w ten sposób do kontynuowania opowieści.

— Jaja były niezwykle — powiedziałem. — Większe od kurzych i różowawe... Potem przyśnił mi się sen, a właściwie zacząłem majaczyć na jawie. I w tym półśnie zobaczyłem Marię Pawłówną, która tam miała na imię Lusz.

— Tak — powiedział leśnik.

Był strapiiony i zdenerwowany. Nienawiść, z jaką początkowo na mnie patrzył, teraz znikła. Byłem dla niego człowiekiem kłopotliwym, ale niegroźnym.

— Przed bramą stoi motocykl — powiedział leśnik do Maszy. — Pojedziemy? A może chcesz

wstąpić do sklepu?

— Wybierałam się do apteki, ale lepiej będzie pójść innym razem.

— Jak chcesz. — Leśnik popatrzył na mnie. — A pan tu na urlopie? — zrobił się nagle niezwykle uprzejmy.

— Tak.

— Tak myślałem, bo jakoś dawniej nie spotykałem tu pana. Żegnam.

— Do widzenia.

Odeszli. Masza o pół kroku za nim. Garbiła się może dlatego, że krępowała się swego wzrostu. Na nogach miała bardzo porządne, drogie pantofle z trochę już startymi obcasami.

Zrozumiałem, że nigdy już ich nie zobaczę, i ruszyłem szybkim krokiem w kierunku wyjścia z bazaru. Dopędziłem ich tuż za bramą.

— Zaczekajcie — powiedziałem.

Leśnik odwrócił się, a potem gestem nakazał Maszy, żeby szła do motocykla.

— Siergieju Iwanowiczu, proszę mi tylko powiedzieć, co to za ptak. Przecież widziałem pisklę.

Masza przywiązywała puste koszyki do bagażnika.

— Pisklę?

— No tak, różowe, szczudłonogie, z długim dziobem.

— A diabli go wiedzą. Może potworek się wyklął. Od tej jak ją tam, radiacji... W ogóle to jajka są zwyczajne.

Leśnik już nie wydawał się silny ani groźny. Jakoś skurczył się, postarzał i chyba nawet zmałał. — I jabłka też są zwyczajne?

— A po co niby mielibyśmy truć ludzi?

— Takie owoce tu nie rosną.

— Zwyczajne, dobre jabłka. Po prostu taki gatunek.

Ruszył w stronę motocykla. Masza już siedziała w przyczepie.

Z bramy bazaru wyszedł mężczyzna podobny do gruszki. W rękę niósł siatkę z dwoma arbuзами. Owoce były wczesne, przywiezione z południa przez młodego chłopaka o orientalnej urodzie, zamyślonego i roztargnionego, niczym wielki matematyk z winietki w czasopiśmie „Rozrywki umysłowe”. Sprzedawał te arbuzy na wagę złota i dlatego ludzie kupowali je niechętnie, chociaż mieli na nie wielką ochotę.

— Siergiej?! — ryknął arbużopodobny grubas. — Kopę lat!

Leśnik skrzywił się na widok znajomego.

— Jak leci, jak polowanko? — grubas postawił siatkę na ziemi i arbuzy natychmiast potoczyły się jak żywe. Popędził za nimi — Już od dawna się do was wybieramy — zawołał — ale człowiek ma tyle spraw na głowie...

Odszedłem. Z tyłu rozległ się warkot motocykla. Najwidoczniej leśnik nie miał ochoty na rozmowę. Motocykl wyprzedził mnie. Masza odwróciła się, przytrzymując dłonią włosy. Uniosłem rękę pożegnalnym gestem.

Kiedy motocykl skrył się za zakrętem, zatrzymałem się — Miłośnik arbużów akurat przechodził ulicą. Dopadłem go przed wejściem do sklepu.

— Przepraszam — powiedziałem. — Pan, jak słyszałem, również jest myśliwym.

— Witam, cieszę się, bardzo się cieszę — grubas postawił siatkę na chodniku, a ja pomogłem mu schwytać arbuzy, które znów zaczęły uciekać. Rozmawiając, przytrzymywaliśmy niesforną siatkę

nogami.

— Polowanie jest moją prawdziwą pasją — oświadczył grubas. — A nie polowałem już od dwóch lat. Wyobraża pan sobie? Pan przyjezdny?

— Na urlopie. Jeśli dobrze zrozumiałem, wybiera się pan...

— Do Siergieja? Koniecznie muszę go odwiedzić! Cisza, piękna natura, ani żywej duszy na wiele kilometrów dookoła. Wspaniały człowiek, prawdziwy rosyjski charakter, rozumie pan? Tylko pije. Och, jak on pije! Ale to również cecha charakteru, rozumie pan? Samotność, tylko on i pies...

— Wydawało mi się, że był z żoną...

— Czyżby? Nie zauważyłem. Pewnie kogoś podwoził. A jak on zna las, zwyczaje zwierząt, ptaków!... Zna nawet botaniczne nazwy roślin. Nie uwierzyłby pan. Nigdzie się pan nie spieszy? Ja również. To znaczy, kupimy coś i pójdziemy do mnie, zjemy razem obiad. Mam nadzieję, że pan nie odmówi...

Do wsi Sieliszcze dojechałem autobusem. Stamtąd jakąś przygodną ciężarówką do Leśnówki, a dalej pieszo polną dróżką, zarośniętą między koleinami bujną trawą, a nawet niskimi krzaczkami. Najwyraźniej rzadko nią jeżdżono. Dróżka wdrapywała się na pokryte sosnami wzgórki, gdzie spod suchego igliwia wyłaniały się widoczne z daleka kapelusze jędrnych borowików. Potem opadała między bagienka i w koleinach Pokazywała się woda, a na poboczach rosła zielona trawa, uPstrzona gdzieniegdzie czarnymi punkcikami jagód.

Wystarczyło zatrzymać się na moment, a już rozwścieczone komary rzucały się na odkryte przeguby rąk i spoconą szyję. Na wzgórkach dopędzały mnie śleپaki, które brzęczały nad głową, straszyły, ale nie kąsały.

Trudno powiedzieć, abym był zawołanym myśliwym W każdym razie udało mi się wyżebrać od cioci Alony dubeltówkę jej nieboszczyka męża, znalazłem też trochę nabojęw i stary plecak, do którego wrzuciłem jakieś konserwy, koc szcztokę do zębów. Ta maskarada nie była przeznaczona dla gajowego, lecz raczej miała wprowadzić w błąd ciocię Alonę, której powiedziałem, że umówiłem się na polowanie ze starym znajomym spotkanym przypadkowo na ulicy.

Trudno byłoby mi rozsądnie wytłumaczyć i jej, i komukolwiek innemu, i mnie samemu wreszcie, dlaczego przyczepiłem się do pulchniutkiego miłośnika arbuзów, poczciwego Wiktora Donatowicza, smakosza żyjącego marzeniami o polowaniach, podróżach i o innych bohaterskich przedsięwzięciach, które tak przyjemnie planować, że już nie warto realizować. Zjadłem u niego smaczny obiad, nadszakiwałem tak samo pulchniutkiej i dobrodusznej małżonce, wynudziłem się jak mops, ale zdobyłem adres gajowego.

Czym wytłumaczyć moje postępowanie? Miłością od pierwszego wejrzenia? A może fascynacją tajemniczymi zjawiskami? Były przecież sny na jawie, różowe pisklęta, dziwne jabłka, przerażenie kobiety, która reagowała na niecodzienne imię Lusz, był gniew gajowego... Zwykłą ciekawością człowieka, który nie potrafi wypoczywać i dlatego wymyśla sobie zajęcia dające pozór działania? Może zawiniło tu przyzwyczajenie do szufladkowania albo może wreszcie ucieczka od własnych problemów wymagających rozwiązania

I chęć odwleczenia tychże rozwiązań? Żadna z tych przyczyn nie usprawiedliwiała ani nawet nie tłumaczyła mego głupiego postępowania, a jednocześnie wszystkie one razem wzięte skłoniły mnie do udania się na poszukiwanie śpiącej królowny, kwiatu paproci i diabli wiedzą czego jeszcze. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko to, że ruszałem jednak z ciężkim sercem, gdyż byłem gościem

nieoczekiwanym i, co najważniejsze, niechciany. Gościem niepotrzebnym, co więcej, sprawiającym swą obecnością przykrość. Gdybym więc był nieco przyzwoitszy albo przynajmniej silniejszy, postarałbym się zapomnieć o wszystkim, ponieważ sam uważam natręctwo za jedną z najgorszych cech ludzkiej natury.

Dom gajowego stał na brzegu małego jeziora, w miejscu gdzie las cofnął się znad wody. Do chaty przylegała szopa, a za nią znajdował się niewielki ogródek otoczony chruścianym płotem. Dom był posiwiały ze starości, ale krzepki, jak te borowiki, które widziałem po drodze. Przy brzegu kołysała się łódka przywiązana łańcuchem. Porywy wiatru chwiały bujną trzcina. Wiatr był ciepły, wilgotny, „komarowy”. Zbierało się na deszcz i powietrze lekko pachniało grzybami i wilgotnymi liśćmi.

Zatrzymałem się na skraju lasu. Masza była w ogródku. Pielila grządki, ale akurat w tym momencie, kiedy ją spostrzegłem, wyprostowała się i popatrzyła na jezioro. Była sama, Siergiej Iwanowicz poszedł chyba do lasu. Zrozumiałem, że będę tak sterczał choćby do wieczora, ale nie podejść do niej. Przecież nawet na bazarze, w tłumie ludzi, moje nieostrożne słowa wywołały jej zmieszanie. Ukryłem się za pniem starej sosny. Masza skończyła pielenie, podniosła z ziemi motykę i schowała ją do szopy. Skrzypnięcie drzwi rozległo się tak wyraźnie, jakbym stał tuż obok niej. Po wyjściu z szopy Masza zerknęła w moją stronę, ale mnie nie dostrzegła. Potem weszła do domu. Zaczął kropić deszcz. Był drobny, lekki, przenikliwy. Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę Sieliszcza. Mówiłem już, że nie jestem myśliwym, a tym bardziej detektywem.

Las teraz wyglądał zupełnie inaczej. Skurczył się, utracił głębię i barwy, smętnie i pokornie przeczekiwał wieczorną niepogodę. Nad drogą wisiała tylko drobniutka mgiełka, ale na liściach woda zbierała się w grube, ciężkie krople, które spadając, dźwięcznie pluskały w kałuże rozlane w koleinach. Zacząłem się martwić, że dotrę do szopy już w całkowitej ciemności i że nie wiadomo, czy uda mi się złapać jakiś samochód. Dobrze mi tak.

Gdzieś daleko zaterkotał motocykl. Zanim zdążyłem zorientować się, kto to może jechać, aby ukryć się w lesie, Siergiej Iwanowicz gwałtownie zahamował tuż przede mną.

— Dzień dobry — powiedział, odrzucając z czapki kaptur peleryny. Nie wyglądał na zdziwionego. — Dokąd idziesz?

— Szedłem do pana — powiedziałem.

— Do mnie w inną stronę.

— Wiem. Doszedłem do skraju lasu, zobaczyłem dom, Marię Pawłownę i ruszyłem z powrotem.

Silne dłonie gajowego leżały nieruchomo na kierownicy. Czapka była nisko nasunięta na czoło. — I dlaczegoż to zawróciłeś?

— Zrobiło mi się wstyd.

— Nie rozumiem.

— Zdobyłem pański adres, wziąłem dubeltówkę i postanowiłem przyjechać tu, zapolować.

— Zwyczajnie zapolować?

— Właściwie porozmawiać.

— Rozmyśliłeś się?

— Tak. Rozmyśliłem się, kiedy zobaczyłem, że Maria Pawłowna jest sama.

Gajowy wyjął z wewnętrznej kieszeni mundurowej kurtki pogiętą blaszaną papierośnicę, otworzył ją i wziął papierosa. Po chwili namysłu wyciągnął papierośnicę w moim kierunku. Zapaliliśmy, osłaniając od deszczu jaskrawy w nadchodzącym półmroku płomyk zapalki. W lesie

nerwowo brzęczały komary, listowie nabrało koloru wody w zarośniętej rzęsą sadzawce.

— Siadaj. Pojedziesz do mnie — powiedział gajowy, zdejmując brezent z przyczepy motocykla.

Podrzuciłbym cię do Sieliszcza, ale wieczorem nie lubię Maszy zostawiać samej.

— Nie trzeba — powiedziałem. — Jakoś dojdę. Sam sobie jestem winien.

Gajowy uśmiechnął się krzywo.

— Siadaj.

Przyczepa wysoko podskakiwała na nierównościach drogi i zapadała się w koleiny. Właściciel motocykla milczał, ściskając zębami niedopałek zgasłego papierosa.

Masza usłyszała warkot silnika i wyszła otworzyć bramę. Gajowy powiedział:

— Przywiozłem gościa.

— Dzień dobry! — wykrzyknąłem, gramoląc się z przyczepy. Dubeltówka bardzo mi w tym przeszkadzała.

— Dobry wieczór — Masza patrzyła na Siergieja Iwanowicza.

— Powiedziałem, że mamy gościa. Pokaż, gdzie może się umyć. Nakryj do stołu. — Gajowy mówił cicho, wybierając zwyczajne, powszednie słowa, jakby chciał w ten sposób dać jej do zrozumienia, że nie różni się niczym od przypadkowych wędrowców, jacy tu czasem zagląдают. — Spotkałem w lesie myśliwego i podwiozłem go. Gdzież on po ciemku będzie się włókł do Sieliszcza...

— To nie myśliwy — powiedziała Masza. — Po co on tu przyjechał?

— No dobra, nie myśliwy — zgodził się. — Wprowadzę motocykl do szopy, bo nocą może się porządnie rozpadać.

— Nie będę przeszkadzał — zwróciłem się do Maszy. — Jutro z samego rana odjadę.

— Tak właśnie będzie — powiedział gajowy. Masza uciekła do domu.

— Nie przejmuj się — mruknął Siergiej Iwanowicz, zamykając na skobel wrota szopy. — Ona jest trochę dzika, ale to dobra kobieta. Chodźmy umyć ręce.

— Mam w plecaku wódkę — powiedziałem.

— Donatycz kazał ci wziąć?

— Tak — przyznałem.

— A ja już prawie dwa lata nie piję i wcale mnie nie ciągnie.

— Przepraszam.

— Po co przepraszać? Przecież w gości jechałeś. Nie bój się, dla towarzystwa mogę wypić. Masza nie będzie miała za złe. Jak cię wołają?

— Mikołaj.

Umywalka była w sieni. Obok niej na półce stała już zapalona lampa naftowa.

— Nie mamy elektryczności — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Obiecali przeciągnąć linię z Leśnówki, bo w sianokosy będzie tu mieszkała brygada kołchozowa. Może w przyszłym roku doprowadzą prąd.

— Nie szkodzi — odparłem. — I tak jest dobrze.

W pokoju stał nakryty stół: pewnie gajowy stale wracał do domu o jednakowej porze. Syczał samowar, a w jego wypucowanych bokach odbijały się płomienie dwóch starych lamp naftowych pochodzących z czasów, kiedy jeszcze starano się je przyozdabiać. Parowały kartofle, obok nich stała śmietana, kwaszone ogórki. Było przytulnie i spokojnie, tym przytulniej, że na dworze padał deszcz stukający o szyby i ściekający po nich krzaczastymi strumykami.

— Przywiozłem te krzesła z miasta — powiedział leśnik. — Wyściełane.

— Ładnie tu u was.

— To wszystko zasługa Maszy. Nawet tapety nakleiła. Gdyby przyjechał tu Donatycz albo któryś ze starych myśliwych, za nic by nie uwierzył. Zresztą teraz ich nie zapraszam.

Na etażerce między oknami stało radio tranzystorowe. Za uchyloną zasłonką widać było łóżko z piramidką poduszek. Do ściany, pod portretem Gagarina, była przybita półka z książkami.

— Wyjąć wódkę? — zapytałem.

— Wyciągaj.

— Siergieju Iwanowiczu — powiedziała ostrzegawczo Masza.

— Nie bój się. Przecież mnie znasz. Jak tam twój pieróg, udał się?

— Spróbujcie.

Może ja naprawdę przyjechałem tu w gości? Po prostu w gości.

Masza postawiła na stole brytfankę z pierogiem pachnącym rybą i dwie grube szklanki. Potem usiadła i podparła brodę rękami. Poczulem się straszliwie głodny.

— Za nasze spotkanie — powiedziałem. — Za to, abyśmy zostali przyjaciółmi.

Nie powinienem tego mówić.

— Nie spiesz się — powiedział leśnik. — Jeszcze nawet nie jesteśmy znajomymi.

Upił wódkę ze szklanki, jakby to była woda, i odstawił ją.

— Odzwyczailem się — powiedział. — Ale ty pij, nie krępuj się.

— Prawdę mówiąc, to i ja nie piję.

— Ładne rzeczy, zeszło się dwóch pijaków! — gajowy roześmiał się, ukazując równe, mocne zęby. Twarz mu złagodniała. Tam, w mieście, wydawał się starszy, surowszy i bardziej oschły.

Masza uśmiechnęła się. Mnie też przypadła w udziale cząsteczka jej uśmiechu.

Jedliśmy wolno wspaniałą pieróg z rybami, którego nie potrafiłaby tak przyrządzić nawet ciocia Alona. Rozmawialiśmy o pogodzie, lesie i drodze, jakbyśmy się wcześniej umówili omijać inne tematy. Dopiero przy herbacie Siergiej Iwanowicz zapytał:

— Ty skąd jesteś?

— Z Moskwy. Spędzam tu urlop u ciotki.

— Dlatego jesteś taki ciekawy? Czy też może masz taki zawód?

Pomyślałem nagle, że chyba akurat teraz w Moskwie, w instytucie, tacy sami jak ja rozsądni i pochłonięci swoją Pracą ludzie włączyli ekspres do kawy, który starannie ukrywam przed surowym strażakiem, i zazdroszczą mi urlopu, rozmawiając o polowaniu, na które powinni wybrać się za jakieś dwa tygodnie. Będzie to polowanie na zwierza imieniem WEP, co znaczy wolna energia powierzchniowa. Jest to zwierz potężny, którego można napotkać wszędzie, a zwłaszcza na styku różnych ciał. Jego wszystkim znana, ale jeszcze w małym tylko stopniu zbadana i zupełnie nie wykorzystana siła zmusza krople rosy do zwijania się w kulki i rodzi tęczę. Jednak mało kto wie, że WEP jest wszechobecna i gigantyczna: zasoby energii powierzchniowej wszechoceanu wynoszą 64 miliardy kilowatogodzin. Oto na jakiego zwierza polujemy ze zmiennym szczęściem. Tropimy go nie po to, żeby zabić, lecz po to, aby zmierzyć i wykorzystać.

— Pracuję w instytucie naukowym — odpowiedziałem.

Ale czy naprawdę pracuję? Konflikt był w zasadzie niepotrzebny, ale nabrzmiewał od dawna. Landa powiedział, że będę musiał pojechać do Chorogu. Inaczej wszystko się zawali, a poza mną rzekomo nie ma kogo wysłać. A dwa miesiące temu, kiedy wymusiłem na Andriejewie pół roku na

myślenie, na prawdziwą pracę, Landa tego nie wiedział? Można przecież uganiać się za żurawiami na niebie*, choćby do samej śmierci, ale prosta wyliczanka faktów jest dobra wyłącznie w książce telefonicznej. Zasłużyłem sobie, ciężko zapracowałem na prawo zajęcia się nauką. Nauką! I powiedziałem o tym Landzie wprost, bo zbrzydły mi do reszty niedomówienia, za którymi kryła się zwyczajna zawiść. Powiedziałem mu to, choć rozwodził się o konieczności, obowiązku, o krzyżu, który wszyscy niesiemy i o tym, że każdy z nas powinien uprawiać nie tylko własne poletko... A mnie znudziły się już cudze poletka! Jednym słowem, po tej rozmowie stało się jasne, że do Chorogu nie pojedę i w instytucie nie zostanę...

— A ja nie mam nawet szkoły. Jakoś tak wyszło. Może zabrakło zdolności. Gdyby były, coś bym skończył.

Pił herbatę ze spodka, przegryzając cukrem. Kończyliśmy już po trzeciej szklance, a Masza nie dopiła nawet pierwszej. Ogarnął mnie leniwy nastrój, zapragnąłem powiedzieć coś miłego tym ludziom, zamiast siedzieć tak i czekać, aż Masza się uśmiechnie. Za oknem zrobiło się zupełnie ciemno, deszcz lał teraz jak z cebra i jego szum przypominał łoskot morza.

— Dawno byłeś na polowaniu? — zapytał Siergiej Iwanowicz.

— Pierwszy raz się wybrałem.

— Właśnie widzę. Broń nie czyszczona od lat. Gdybyś wystrzelił, rozleciałaby się na kawałki.

— Nawet jej nie nabijałem.

— Napijesz się jeszcze?

— Dziękuję, wypilem już trzy szklanki.

— Mówię o wódce.

— Nie, jakoś nie mam ochoty.

— A ja dawniej piłem jak smok. Przestałem dzięki Maszy.

— Sami rzuciliście — powiedziała Masza.

— Rzadko kto sam rzuca. Prawda? Nawet w szpitalu ludziska nie rzucają. Powód musi być.

— Prawda.

— No cóż, trzeba iść spać. Nie pogniewasz się, jeśli ci pościelimy na ławie, Mikołaju, czy jak ci tam po ojcu?

— Po prostu Mikołaj. Mógłbym być pańskim synem.

— Nie kłuj w oczy starością. Może i mógłbyś, ale nie jesteś. Kiedy będziesz szedł na dwór, weź moją pelerynę.

Wstaliśmy od stołu.

— Zawsze tak wcześnie się kładzicie? — zapytałem.

— Jak kiedy. Ale trzeba się wyspać, bo rano cię obudzę. Muszę jechać do roboty, a i przed tobą daleka droga.

Zrobiło mi się przykro. Jeśli ktoś ci się podoba, to chcesz, aby i on cię polubił. A tymczasem okazało się, że mimo wszystko jestem tu obcy. Zwalilem się im na głowę bez pytania, jutro odjadę i na tym koniec, nie zostanie po mnie nawet ślad, jakbym umarł.

Za piecem cykał świerszcz, a dotychczas myślałem, że świerszcze cykają wyłącznie w literaturze klasycznej. Leśnik położył się na piecu, a Masza za zasłonką, która sięgała do pieca i głowa Siergieja Iwanowicza znajdowała się nad głową Maszy.

— Śpicie? — szepnęła Masza. — Nie, myślę.

— A on śpi?

— Nie wiem

— Chyba śpi.

Miała rację. Spałem, płynąłem przez ciemny las i ich szept ledwie docierał do mnie przez szelest liści i plusk deszczu. Ale strop izby pieczołowicie zbierał ich słowa i odrzucał w moją stronę.

— Tak się bałam.

— Czego się teraz bać. Wcześniej czy później i tak by się ktoś domyślił.

— To ja jestem wszystkiemu winna.

— Nie dręcz się. Co się stało, to się nie odstanie.

— Myślałam, że on jest stamtąd.

— Nie, tutejszy.

— Wiem. Ma dobre oczy.

Usłyszałem, jak gajowy ugniata papierosa. Potem zapłonęła zapałka i z pieca zwiesiła się jego głowa. Zamknąłem oczy.

— Śpi — powiedział. — Zmęczył się. Młody jeszcze. On nie z powodu jajek tu przyleciał.

— A dlaczego?

— Przez ciebie. Ładna jesteś, więc przyleciał.

— Nie trzeba tak mówić. Dla mnie i tak nie ma lepszego człowieka niż wy.

— Jestem dla ciebie jak ojciec. Nie znasz jeszcze miłości.

— Znam. Kocham was, Siergieju Iwanowiczu.

Leciutko szeleścił tytoń. Leśnik mocno zaciągnął się papierosem.

Zamilkli. Nie odzywali się tak długo, że pomyślałem, iż zasnęli, ale nie, nie spali jeszcze.

— On nie jest namolny — powiedział leśnik.

Czy to dobrze, że nie jestem namolny? Gdybym był trochę bardziej stanowczy, nikt by mną nie orał i Landzie nigdy by nie przyszło do głowy zabierać mi te moje pół roku badań...

— A dlaczego tu szedł? — zapytała Masza.

— Nie doszedł, zawrócił. Zobaczył cię samą i nie chciał niepokoić. Spotkałem go w powrotnej drodze.

— Nie wiedziałam o tym. Widział mnie?

— Popatrzył na ciebie i odszedł.

Znów milczenie. Tym razem przerwała je Masza.

— Nie palcie, bo wam szkodzi. Rano znów będziecie kasłać.

— Zaraz kończę. — Zgasił papierosa.

— Wiesz co, Masza, zdecydowałem się. Jeśli on rano znów do tego wróci, wszystko mu opowiem.

— Oj, co wy!

— Nie bój się. Już dawno chciałem opowiedzieć jakiemuś wykształconemu człowiekowi. A Mikołaj jest z Moskwy, w instytucie pracuje...

Poruszyłem się nieostrożnie, ławka skrzywnęła.

— Cicho! — szepnęła kobieta. Starąłem się oddychać równo i głęboko.

Wiedziałem, że oboje wsłuchują się teraz w mój oddech.

— Jak się spało? — zapytał rano Siergiej Iwanowicz, widząc, że otwieram oczy. Był już ogolony i ubrany w starą, Wyplówiałą bluzę wojskową.

— Dzień dobry. Dziękuję.

Było już dość późno. Przez otwarte okienko wlewało się do izby pachnące, nagrzane powietrze. Buty gajowego były mokre, widocznie chodził gdzieś po trawie. W piecu coś bulgotało, kipiało.

Usiadłem na ławce.

— Szkoda odjeżdżać — powiedziałem.

— Niby dlaczego? — zapytał leśnik spokojnie.

— Ładnie tu u was, chętnie bym został.

— Nie można — odparł Siergiej Iwanowicz i uśmiechnął się samymi wargami. — Maszę mi jeszcze zbałamucisz.

— Przecież ona pana kocha.

— Tak?... Przypadkiem nie budziłeś się w nocy?

— Obudziłem się i słyszałem waszą rozmowę.

— Nieładnie. Mógłbyś dać znać.

Nie odpowiedziałem.

— Tak myślałem. Może to i lepiej. Nie trzeba powtarzać. Jak to mówią, nie ma odwrotu.

I nagle mrugnął do mnie, jakbyśmy zamierzali splecać razem jakiegoś psikusa.

— Ubieraj się szybciej, myj się — powiedział. — Masza zaraz wróci. Jest w ogrodzie. Zbiera ci ogórki na drogę. Dla niej będzie lepiej, żebyś jak najszybciej odjechał i o wszystkim zapomniał.

— Ogórki są zwyczajne? — zapytałem.

— Najzwyczajniejsze w świecie. Możesz się wykapać w jeziorze. Woda jest ciepła.

Myślałem w sieni, kiedy weszła Masza, niosąc w fartuchu ogórki.

— Dzień dobry — powiedziała. — Nie mamy krowy. Siergiej Iwanowicz jeździ po mleko do Leśnówki. Zanim je dowiezie na motocyklu, od razu robi się masło.

— Pani pewnie myje się rosą — powiedziałem.

Masza zarumieniła się, jakbym pozwolił sobie na jakąś nieprzyzwoitość, ale Siergiej Iwanowicz powiedział:

— Powietrze tu mamy dobre, zdrowe. I odżywiamy się też jak należy. Zobaczyłbyś, jak ona wyglądała na początku. Skóra i kości.

Obaj patrzyliśmy na nią z zachwytem.

— Lepiej byście siedli do stołu, zamiast się na mnie gapić — powiedziała Masza. Nasz podziw jednak najwyraźniej nie sprawiał jej przykrości. — A pan, Mikołaju, niech się uczesze. Zapomniał pan o tym...

Kiedy ponownie wszedłem do izby, Masza zapytała Siergieja Iwanowicza:

— Pójdziecie?

— Zjemy śniadanie i pójdziemy.

— Przygotuję wam coś na drogę.

— Dobrze. Nie martw się, szybko wrócimy.

Przy śniadaniu gajowy spoważniał, zamyślił się i długo milczał. Masza też się nie odzywała. Wreszcie Siergiej Iwanowicz westchnął, zerknął na mnie znad trzymanego w ręku kubka i powiedział:

— Wciąż się zastanawiam, od czego zacząć.

— Czy to takie ważne, od czego się zaczyna?

— Zastanów się, Mikołaju. Bo potem może będziesz żałował.

— Mówi pan tak, jakby namawiał mnie do wyprawy na niedźwiedzia.

— Co tam niedźwiedź! Gorzej będzie. Zobaczysz takie rzeczy, jakich nikt na świecie nie widział.

— Jestem gotów.

— Oj, młody ty jeszcze jesteś. No dobra, kończ jedzenie, po drodze ci wszystko opowiem. —

Zdjął z gwoździa dubeltówkę, wsunął za cholewę buta szeroki nóż. Masza krzątała się po izbie, przygotowując nam zawiniątko na drogę. Ja nie wiałem czego zabierać.

— Dam Mikołajowi gumki — zaproponowała Masza.

— Nie przesadzaj — powiedział dobrodusznie Siergiej Iwanowicz. — Tam teraz jest sucho.

Buty masz mocne?

Masza podała gajowemu niewielki plecak. Zarzucił go sobie na jedno ramię.

— A to analgina. Agaszę znów bolą zęby. Pewnie zapomnieliście?

— Zapomniałem — przyznał się leśnik, wkładając do kieszeni szeleszczące celofanowe opakowanie z tabletkami.

— Może jednak Mikołaj by został? — Uprzytomniłem sobie, że nie mówiła już o mnie jak o obcym.

— Daleko go nie zaprowadzę. Do wsi i z powrotem.

— Włożyłam do plecaka trochę pierników. Kupiłam je w mieście.

— No to zostań z Bogiem.

— Coś mi dzisiaj niespokojnie na sercu.

— Tylko się nie rozbecz — powiedział leśnik, siadając przed drogą. — Okropnie nie znoszę twoich łez. Skąd ci się one biorą?

Masza spróbowała się uśmiechnąć, usta skrzywiły jej się po dziecięcemu i zlizwała łzę spływającą po policzku.

— Nie mówiłem! — powiedział Siergiej Iwanowicz, wstając. — Zawsze tak jest. Idziemy, Kola.

Masza wyszła z nami za wrota i kiedy spojrzałem na nią, mnie również obdarzyła pożegnalnym spojrzeniem. Na skraju polany Siergiej Iwanowicz zatrzymał się i uniósł rękę. Masza nawet nie drgnęła. Zagłębiliśmy się w las i straciliśmy dom z oczu.

Szliśmy w milczeniu przez kilka minut, a potem zapytałem:

— Daleko idziemy?

— Będzie ze dwa kilometry... Żal mi jej. Kocham ją i żałuję. Powinna iść do miasta, uczyć się...

— Ile Masza ma lat?

— Dokładnie nie powiem, ale wychodzi na to, że jakieś dwadzieścia trzy.

— Pan też nie jest jeszcze stary.

— Akurat! W kwietniu skończyłem pięćdziesiąt pięć. Chcę Maszę wysłać do Jarosławia. Mam tam stryjeczną siostrę.

Skreśliśmy na prawie niewidoczną, rzadko używaną ścieżkę. Gajowy szedł przodem, odsuwając gałęzie leszczyny. Słońce jeszcze nie wysuszyło wczorajszego deszczu i z liści sypały się zimne krople.

— To taka historia, że trudno zacząć — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Gdybym ci to powiedział w mieście, za nic byś nie uwierzył.

Przecieliśmy jasną, brzęczącą od pszczoł, wonną polankę. Dalej zaczynał się ciemny, świerkowy bór.

— Już od dawna mnie to męczy. Jak tylko zobaczyłem, że człapiesz z powrotem w deszczu, bo ci

się zrobiło żal Maszy, postanowiłem ci powiedzieć.

— Niech mi pan da plecak, bo idę bez niczego, a pan w dodatku ma dubeltówkę.

— Nie szkodzi. Kto ze sobą nosi, nikogo nie prosi.

Las robił się coraz rzadszy. Coraz częściej też trafiały się zwalone pnie. Wyszliśmy na porębę. Ktoś wykarczował drzewa, ale ich nie wywiózł.

— Nie dziwi cię to? — zapytał Siergiej Iwanowicz.

— To wiatrołom? Ale przecież las dokoła jest nienaruszony!

— Wicher tak nie powali.

W samym środku poręby wznosił się niewielki kopiec, który był opleciony na wpół zmurszałymi korzeniami. Dotarliśmy do niego, przeskakując z kępy na kępę przez czarne, bagienne kałuże. Kępy porastał długi, ciepły mech, w który nogi zapadały się po kolana. Starłem się iść dokładnie śladem leśnika, ale raz chybiłem i do buta wlała mi się lodowata woda.

— No tak — powiedział gajowy z wyrzutem. — Trzeba nam się było posłuchać Maszy i założyć gumki.

Dotarliśmy do wzgórka. Ziemia była tam zupełnie naga, Pokryta szarawym nalotem — kurzem czy też jakimś porostami, kryjącymi kruche gałęzie i korzenie. Siergiej Iwanowicz rozrzucił stos chrustu i za nim, pod daszkiem ze splecionych gałęzi, ukazał się czarny otwór.

— Postawiłem tu ziemiankę — powiedział. — Naściągałem świerkowych gałęzi. Wyszły i teraz nie odróżnisz. Odpoczywaj.

— Nie jestem zmęczony.

— Wcale nie mówię, żeś się zmęczył. Potem się zmęczymy.

Nabił dubeltówkę, skrócił pasy plecaka, żeby nie krępowały ruchów.

— Tam jest paskudny zwierz. Niekul. Słyszałeś o takim?

A potem nagle dał nura w czarny otwór, rozległ się chrzęst chrustu, z góry posypało się rude igliwie.

— Jesteś tam, Mikołaju? — usłyszałem jego głos. — Idź za mną. Ciemności się nie bój. A jak cię skręci, też się nie lękaj. Zamknij oczy. Słyszysz?

Schyliłem się i ruszyłem za nim, wysuwając przed siebie rękę, żeby nie nadziać się w ciemności na jakąś gałąź.

— Siergieju Iwanowiczu! — zawołałem. Nie odpowiedział.

Ciemność przede mną była głucha i bezdenna. Nie należała do tego lasu, była jakaś pierwotna, nieskończona i nie mógłbym jej porównać na przykład z wejściem do głębokiego szybu kopalni już chociażby dlatego, że kopalnia lub górská jaskinia daje pewność osiągnięcia dna; jeśli rzuci się kamień, kiedyś wreszcie do uszu dotrze stuk lub plusk wody. A tutaj, nawet niczego nie widząc, wiedziałem, że ciemność nie ma końca.

Wiedziałem to i dlatego nie mogłem zdecydować się na zrobienie kroku. Zrozumiałem, że gajowy już Tam jest. Że czeka na mnie. Może nawet wyśmiewa się z mojego tchórzostwa. Gdzie się podział? ... Nie myślałem o tym, ale podświadomie byłem pewien, że nie jest to zwyczajna grotta, że Siergiej Iwanowicz nie przyczał się w ciemności, lecz był Tam, za czarną kurtyną... Śnię czy bredzę?! Przecież on zaraz wróci i zapyta ironicznie: „No i co z tobą, Mikołaju?” — Zrobiłem krok do przodu.

W tej samej chwili ziemia zapadła mi się pod nogami, a ja oderwałem się od niej i przestałem istnieć, gdyż ciemność nie tylko zwarła się wokół mnie, lecz także przekształciła w swoją część, rozpuściła w sobie i poniosła z szybkością, którą można odczuć, ale nigdy wytłumaczyć lub zmierzyć.

W takich wypadkach starzy, dobrzy romansopisarze zwykli byli mawiać: „Moje pióro nie potrafi tego opisać...”.

Wszystko to trwało nie dłużej niż mgnienie oka, chociaż równie dobrze mogło trwać rok i jeśli ktoś by mi powiedział, że pędziłem przez ciemność co najmniej trzy godziny, także bym uwierzył.

Ocknąłem się jednak w tym samym szalasie, z tą jedynie różnicą, że ujrzałem przed sobą światło i na jego tle pochyloną sylwetkę Siergieja Iwanowicza.

— Jesteś? — zapytał. — A ja już chciałem po ciebie iść. Podał mi rękę i pomógł wyjść na zewnątrz. Gęste zarośla otaczały szalas ze wszystkich stron. Siergiej Iwanowicz postawił dubeltówkę między nogami, wyjął papierosa, poczęstował mnie i sam zapalił.

— Obejrzyj się — powiedział.

Nie od razu pojąłem, o co mu chodzi. Podeszliśmy do szalasu, przedzierając się przez zabagniony wiatrołom. A tutaj za szalaszem ciągnęły się gęste, kolczaste, poskręcane zarośla niemal bezlistnych krzewów. Wokół nie było też ani jednego powalonego drzewa, kępki mchu, najmniejszego śladu bagna czy kałuży.

— Nie rozumiesz? Ja za pierwszym razem też niczego nie rozumiałem — powiedział gajowy. — Szalas zrobiłem znacznie później. A wtedy, za pierwszym razem, wlałem wprost do dziury... I zapadłem się.

Za plecami Siergieja Iwanowicza stała sosna. Nie, to nie była sosna, lecz stare, rozdwojone na kształt liry drzewo z pniem sosny, które zamiast igliwia miało drobniutkie, wąskie listki. Na korze widać było głębokie nacięcie pokryte naciekami żywicy.

— To po to, żeby znaleźć powrotną drogę — powiedział gajowy. — Drugiego takiego drzewa tu w pobliżu nie ma. Widzisz wejście do szalasu?

Pod gałęziami i pożółkłymi liśćmi ział czarny otwór. Siergiej Iwanowicz zebrał rozrzucony dookoła chrust i zamaskował wejście.

Nie było zbyt gorąco, ale wiatr wydawał się suchy, a liście pokrywała warstewka kurzu. W bucie mi jeszcze chlupotało.

— Droga jest tylko jedna — powiedział gajowy. — Przez szalas. Możesz sprawdzić.

— Jak? — zapytałem. Nigdy bym się nie podejrzewał o taką tępotę.

— Obejdź dookoła.

Obszedłem szalas. Był ukryty w gęstwinie krzaków, przez które przedzierałem się z największym trudem. Basowo brzęczał jakiś owad, przez rzadkie liście przebijało spłowiałe niebo. Obejrzałem się. Gajowy szedł za mną z lufą dubeltówki opartą na zgiętej ręce. Tylne ściany szalasu były zawałone suchymi gałęziami. Przez szczelinę między nimi dojrzałem to samo blade niebo.

— Przekonałeś się? — zapytał Siergiej Iwanowicz. — Nie ma tu żadnego bagna i ani jednego świerku na wiele kilometrów dookoła.

— Przekonałem się — odparłem.

— Przyszędłeś tu jak do muzeum z przewodnikiem. A pomyśl, jak ja się czułem, gdy mi się to przydarzyło po raz pierwszy? Sam byłem. I wiesz co, stchórzyłem. Popędziłem z powrotem, a dziurę zgubiłem. Chyba z pół godziny łąziłem po krzakach. Przecież swój las znam jak własne pięć palców. A widzę, że to nie ten las...

Znów wyszliśmy na polankę przed szalaszem. Leśnik chciał, abym dokładnie pojął, jak wtedy się czułem:

— Ja chyba z tysiąc razy przechodziłem przez to bagien” ko. Tam była lisia nora — wskazał

papierosem szalas. — na samym brzegu nizinki. Całą tę lisią rodzinę znalazłem, można powiedzieć z imienia i z nazwiska. Bokiem chodziłem, a ten kopiec omijałem. Jakieś paskudne miejsce, nawet nie wiem dlaczego. Teraz już nie pamiętam, po co mnie w te wiatrołomy zaniósł. Widzę, że coś się czerni, zupełnie jak niedźwiedzie legowisko. Ale puste, wiem, że było puste.

— Siergieju Iwanowiczu — przerwałem mu. — A ten las kiedy został powalony?

— Las? Nie wiem. Dawno. No więc wlałem do dziury i coś mnie porwało. Niedźwiedź, myślę sobie, czy sama śmierć? Ale jakoś mi się upiekło, żyję. Wyłażę, a tu deszcz. Po naszej stronie deszczu nie było... Rozumiesz, pod Rzewem, jeszcze w czterdziestym pierwszym, zostałem kontuzjowany od bliskiego wybuchu. Głowa od tej pory pobolewa. No to pomyślałem sobie, że to skutki kontuzji...

Poryw suchego wiatru przemknął przez zarośla, które zatrzeszczały, zazgrzytały gałązkami, zaszeptały suchymi liśćmi.

Siergiej Iwanowicz rzucił papierosa i przydeptał go obcasem. Zauważyłem, że w pobliżu poniewierało się kilka innych niedopałków, starych, poszarzałych, jednakowo spłaszczonych.

— Idziemy — powiedział. — Pogadamy po drodze. Mam tu trochę spraw do załatwienia. Ludzie czekają.

Przeszliśmy skrajem rozległego pola, porośniętego nieznaną wysoką trawą, po której przetaczał się wiatr i tam, gdzie ją pochylał, źdźbła odwracały się jasną stroną. Seledynowe fale toczyły się w stronę krzewów, co sprawiało wrażenie, jakbyśmy szli brzegiem morza.

— Patrz pod nogi — ostrzegł Siergiej Iwanowicz. — Tu jest dużo gadów.

Trawa wydzielala ciężki, perfumeryjny aromat. Trawa nie powinna tak pachnieć. Gdzie jesteśmy? Na sawannie? W selwasie?...

— Długo sobie nad tym łamałem głowę — powiedział gajowy, jakby czytał w moich myślach. — Wciąż zastanawiałem się, gdzie to mnie zaniósł. Do Australii czy co? Ziemia jest okrągła?

Ostatnie słowa zabrzmiały jak pytanie. Wątpliwości rodziły się nie z niewiedzy, lecz z nadmiernego doświadczenia.

— Wyobraziłem sobie dziurę na wylot przez całą Ziemię. Potem przestałem o niej myśleć...

Jego dubeltówka poderwała się nagle do góry i odskoczyła do tyłu. Drgnąłem. Strzał był krótki i niezbyt głośny, a krzewy pochłonęły go i stłumiły jak wata. W zaroślach zatrzeszczały gałęzie i na ziemię upadło coś ciężkiego.

— Spokojnie... — powiedział gajowy. Wyjął z kieszeni mały nabój, nabił ponownie broń i dopiero wtedy, nakazawszy mi gestem ręki pozostanie na miejscu, wyciągnął zza cholewy nóż i wszedł między krzewy.

Teraz to był zupełnie inny, właściwie już trzeci człowiek. Pierwszego — ciężkawego, starzejącego się mężczyznę zobaczyłem na targu w mieście. Drugi — pocziwy, gospodarny i silny został w domu z Maszą. A trzeci okazał się szczupły, zwinny i szybki. Strzelał ten trzeci.

— Kola — zawołał z zarośli. — Chodź tutaj. Zobacz, kogo utłukłem.

Na ziemi leżało wielkie, szare zwierzę, przygniatając swym ciężarem długie łodygi traw. Miało nieprawdopodobnie długie nogi, zbyt cienkie jak na swój masywny kadłub, i spiczastą jak u charta, lecz znacznie cięższą, niemal krokodylą paszczkę z wyszczerzonymi kłami.

— Już skończył — powiedział leśnik. — Mieliśmy szczęście, że padł od pierwszego strzału. To paskudztwo jest bardzo żywotne.

— Co to za zwierzę?

— Niekul. Podobno kiedyś były one oswojone jak psy — Później zdziczały, kiedy Sukry zrujnowały pasterzy. Teraz niekule są gorsze od wilków. Znają człowieka i nie lubią go. Polują na ludzi. — Mówiąc to łamał gałęzie i przykrywał nimi ciało zwierzęcia. — Powiem swoim, to później zabiorą — gdzieś w pobliżu jest legowisko, jeden się już na mnie rzucał, większy od tego.

— Chodzą w pojedynkę?

— Tylko zimą zbierają się w stada... Nie bój się. Ścieżka wiła się między rzadko stojącymi ostrolistnymi drzewami, potem ominęła rozległą nizinkę porośniętą czerwonawymi cierniami. Spoza nich wyłaniały się końce opalonych belek.

— Tu dawniej mieszkali — powiedział Siergiej Iwanowicz. — No więc jestem człowiekiem, można powiedzieć, zupełnie zwyczajnym. Nie udało się zdobyć wykształcenia, ale za to niejedno się widziało. Przeszedłem całą wojnę, byłem w różnych krajach i rozmaicie życie się toczyło. Więc nie spiesz się z potępianiem mnie. Wydaje ci się, że nie ma nic prostszego: zobaczyłeś dziurę w lesie, za nią coś zupełnie innego, no to leć, powiedz, komu trzeba, mądrzy ludzie dojdą, co i jak. Ale tonie takie proste...

Zeszliśmy do płytkiego jaru, którego dnem płynął wąski strumyczek. Na jego przeciwległy brzeg prowadził prowizoryczny mostek zbity z dwóch pni.

— Dawno nie było deszczu — powiedział leśnik tonem, jakim mówi się o suszy u siebie w domu, we własnej wsi. — Najpierw sam chciałem się zorientować, o co tu chodzi. Przecież nie jestem w mieście, gdzie wystarczy zaczepić pierwszego milicjanta. A więc musiałbym jechać do powiatu, trzydzieści pięć kilometrów drogi, a tam dopiero łązić po różnych biurach, obijać progi. A jak nie uwierzą? Sam bym nie uwierzył, a śmiechu się boję. Dlatego zrezygnowałem z tego. Zobaczysz, dlaczego. Może zrozumiesz. Teraz twoja kolej i ty będziesz musiał decydować. Tylko najpierw się przyjrzyj, rozgryź wszystko, a dopiero potem decyduj. Podejrzewam, że to nie jest Ziemia. Rozumiesz? Czego się gapisz jak wół na malowane wrota?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Gwiazdy nie takie i doba krótsza. O godzinę, ale krótsza, inne rzeczy też się nie zgadzają... Myśliwi jeszcze wtedy do mnie przyjeżdżali. Nie tyle polować, ile wodę chlać. Raz by} z nimi pewien wykładowca z powiatu, to sobie z nim teoretycznie porozmawiałem. O to go wypytuję, o tamto, ale o dziurze ani mru-mru. Mówię mu: „A gdyby tak i tak?”. A on mi na to: „W twoich delirycznych majaczeniach, Siergieju, widziałeś równoległy świat. Jest taka teoria”. Sam pije jak gąbka, a ja znaczy, mam białą gorączkę... Słuchaj, Mikołaju, słyszałeś coś o równoległych światach? Co nauka o nich mówi?

— Słyszałem. Nauka nic o nich nie mówi.

— Niby taka sama Ziemia, tylko że na niej wszystko jest trochę inaczej. I że takich światów może być nawet sto... Stop. Odejdź no na bok. W krzaki. Bo spłoszysz.

W tym miejscu ścieżka wychodziła na piaszczystą polną dróżkę. Rozległo się skrzypienie kół. Siergiej Iwanowicz wyszedł na drogę i gwizdnął. W odpowiedzi ktoś zawołał półgłosem: „Ej”. Skrzypienie kół ustało.

Żeby tylko jakiś niekul nie domyślił się, że tu stoję sam i bez broni! Gajowy nawet nie zdążyłby dobiec. Kora drzewa była czarna i szorstka. Złoty żuczek z długimi, wytwornie podkreślonymi wąsikami zatrzymał się i zaczął nimi obmacywać mój palec, zagradzający mu drogę. Równoległy świat... Nie wiedzieć czemu, interesowała mnie nie tyle istota owego świata, o której będzie można mówić dopiero po pobieżnej chociażby z nim znajomości, ile dziura. Drzwi w bagnie. To jest fakt już

w tej chwili oczywisty. Jakie to jest przejście? Czy tak krótkie, jak sam szalas, czy też nieskończenie długie? Skąd bierze się wrażenie upadku, nieprawdopodobnej szybkości? Kotara czy tunel biegnący w przestrzeni? Czy do natury tych drzwi zależy natura świata, w którym się znaleźliśmy? Jeśli przyjąć, że jest to świat równoległy, to nie ma sensu pytanie o jego lokalizację przestrzenną. Jeśli zaś jest to świat istniejący, powiedzmy, w naszej Galaktyce, to jakie musi być zakrzywienie przestrzeni? Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę musiał sobie łamać głowę nad takimi rzeczami!

— Mikołaju — zawołał gajowy z drogi. — Chodź tutaj.

— Idę.

W kłębach kurzu unoszących się nad drogą niczym poranna mgła stał pojazd, zaprzężony w parę małych, wychudzonych do ostateczności nosorożców. Zwierzę miały niezwykle wystające żebra, karki otarte przez jarzmo i kosmate nogi. Szara, psia sierść obłaziła kłakami. Nad nosorożcami krążyły ślepaki. Obok stał mężczyzna w workowatej odzieży z szarego zgrzebnego płótna. Był bosy. Na mój widok podniósł jedną rękę (w drugiej trzymał postronek przywiązany do pysków swojego zaprzęgu) i przyłożył ją do piersi. Rzadka bródka wyglądała jak narysowana przez niewprawnego dzieciaka. Zielone oczy patrzyły czujnie i podejrzliwie.

— Mój kumpel — przedstawił go leśnik. — Nazywa się Zuj. Powiedziałem mu, że jesteś moim młodszym bratem. Nie obrazisz się?

Zuj przestąpił z nogi na nogę i coś powiedział.

— Mówi, że trzeba się spieszyć. Włóż na wóz.

Plecak Siergieja Iwanowicza leżał na brudnej słomie wyścielającej dno dziwnego pojazdu zwanego „arba”. Wgramoliłem się do środka i usiadłem na podwiniętych nogach. Nosorożce machały miarowo ogonami, odpędzając ślepaki.

Arba wlokła się niemiłosiernie, porywy wiatru pędziły kurz na nas i wtedy wszystko niknęło w żółtej mgle. Przejeżdżaliśmy obok nędznego, bo byle jak uprawionego, pola. Na horyzoncie wznosił się słup czarnego dymu.

— Co to? — zapytałem, ale Siergiej Iwanowicz był pochłonięty rozmową z Zujem i nie usłyszał.

Było w tym wszystkim coś z dręczącego koszmaru, kiedy człowiek doskonale rozumie, że śpi, ale nie może się otrząsnąć, oprzytomnieć, lecz w końcu zaczyna go interesować, jak rozwinięta się ta idiotyczna fabuła. W dole, wyłaniając się z kurzu, kołysały się szare grzbiety nosorożców...

— Zuj mówi, że wczoraj Sukry szukały mnie — powiedział gajowy, rozgniatając papierosa.

— Sukry? — Już po raz wtóry usłyszałem to słowo.

— Tutejsi strażnicy.

— Czego oni pilnują?

— Potem ci opowiem. Wiedz, Mikołaju, że dla nich wszystkich ja mieszkam za lasem. Niby tam jest inny kraj do którego nie wolno wchodzić. O drzwiach oczywiście nic nie wiedzą. Nie chciałbym, żeby któryś z nich do nas trafił. Pamiętaj, jak Masza na targu się przestraszyła? Pomyślała z początku, że jesteś stąd.

— A ona tu była?

— Była, była. Jasne, że była. Nie o nią teraz chodzi, tylko o to, co zrobić z tym wszystkim?

— A jednak, Siergieju Iwanowiczu, nie mogę się z panem zgodzić. Można przecież sprowadzić do lasu fachowców. Om by zorganizowali...

— Poczekaj — gajowy zapalił, a Zuj z obawą zerknął na dym wydobywający się z jego ust. — Nie mogą się przyzwyczać. Staram się tu nie palić, żeby nie rozniecać przesądów. Już i tak diabli

wiedzą, co wymyślają na mój temat. No więc powiadasz, zorganizowaliby... No dobra, a co dalej? Przecież by mnie stąd wypędzili. „Wybaczcie, Siergiej Iwanowiczu — powiedzieliby — z waszym brakiem wykształcenia i pijacką przeszłością lepiej będzie udać się na zasłużony wypoczynek”.

— Nie można tak mówić!

— Można. Na miejscu uczonych tak bym właśnie rozumował. Ten Siergiej Iwanowicz tylko psuje nam obraz całości. Kręci się pod nogami, przeszkadza... A uczeni też wszystkiego nie rozumieją.

— Czegóż to oni nie rozumieją? — zapytałem.

— Życia nie dadzą rady zrozumieć. A co moi beze mnie zrobią? Masza, Zuj, inni? Przecież na mnie liczą. Jeśli do sąsiedniego domu wlaźł bandzior z karabinem, to co będzie rozsądniejsze, spieszyć na ratunek czy też zastanawiać się: „A może on do mnie strzeli?”.

— Nie wiem, czy to jest argument. Sąsiedni dom żyje według naszych praw. A proszę sobie wyobrazić, że w innym kraju...

Gajowy rzucił niedopałek papierosa w kurz drogi.

— Nie będziemy się kłócić. Wziąłem cię ze sobą po to, żebyś zobaczył, jacy tu są bandyci. A jeśli coś mi się przydarzy, sam znajdziesz drogę...

Arba podskakiwała na wyboistej drodze, kurz zgrzytał w zębach, w zaroślach poruszało się coś wielkiego i ciemnego. Krzaki trzeszczały i kołysały się, ale ani gajowy, ani Zuj nie zwracali na to uwagi.

— Co tam się dzieje? — zapytałem.

— Nie wiem — przyznał się Siergiej Iwanowicz. — Czasami tak bywa. Kiedyś chciałem to obejrzeć z bliska, ale mnie nie puścili. Nie wolno podchodzić, ale jeśli się nie zbliżasz — nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Czyżby nie chciał pan tego sprawdzić, dowiedzieć się, co to jest?

— Gdyby człowiek wszystko chciał sprawdzać, życia by mu nie starczyło... A dla ciebie w sąsiednim mieście wszystko i zawsze jest jasne?...

Przez jakieś pięć minut jechaliśmy w milczeniu. Potem zapytałem:

— Skąd Zuj wiedział, że przyjdziemy?

— Byłem tu niedawno, w tym tygodniu. Bez uprzedzenia lepiej się do wsi nie pchać. Sukrów można spotkać, a oni mnie nie lubią.

Dopędziliśmy stado. Cztery jednorogie, kosmate bydłatka wlokły się w tumanach kurzu, otoczone grupką jakichś zwierzątek. Nagi chłopaczek biegał wokół nich, odganiał kijkiem, żebyśmy mogli przejechać. Nagle zobaczył mnie i zamarł.

— Syn Kurdy — powiedział do mnie gajowy. Wyjął z górnej kieszeni bluzy kawałek cukru i rzucił go dzieciakowi.

Cukier natychmiast powędrował do buzi pastuszka.

— Do szkoły powinien pójść — powiedział gajowy. — Ciągle myślę, że może trzeba byłoby go do nas zabrać.

— Pan by pewnie nie tylko jego zabrał — powiedziałem.

— Jasna rzecz. Może jeszcze zabiorę...

Drogę zagradzał płot z żerdzi. Zuj oddał lejce Siergiejowi Iwanowiczowi, zeskoczył z arby i odciągnął parę żerdzi, aby zrobić przejazd. Nie wstawił ich na miejsce, gdyż za nami szło stado bydła. Arba wjechała na szczyt małego wzniesienia i w dole ukazała się wieś.

Wioska była otoczona palisadą i szeroką, ale najwidoczniej płytką, pokrytą wodorostami fosą

ochronną, przez którą prowadził most z drewnianych belek. Wrota w palisadzie, niegdyś grube i potężne, teraz były uchylone i zwisały krzywo z zawiasów.

— Ej! — krzyknął Zuj, zatrzymując nosorożce przed mostkiem.

Nikt nie odpowiedział. Wieś wyglądała na wymarłą. Nosorożce chciały skrócić w bok, więc Zuj uderzył je batem. Arba szarpnęła się i wjechała na most. Belki zatrzęsły się, jakby miały za chwilę się rozpaść.

Znaleźliśmy się na zakurzonym, udeptanym placyku, na który ze wszystkich stron gapiły się czarnymi gębami drzwi ubogich lepianek. Wyglądały jak pisklęta w gnieździe, które straciły już nadzieję na pokarm. Z palisady i ze spiczastych słomianych dachów poderwały się szare ptaki i zaczęły kołować nad nami i uschniętym, powykręcany drzewem, przy którym się zatrzymaliśmy.

Znałem tę wieś. Przywidziała mi się wtedy na plaży, ale widziałem ją wówczas z góry. Widziałem też drzewo i człowieka wiszącego na grubym, długim konarze.

Poryw gorącego, suchego wiatru zakolysał ciałem i lekko, jak wahadło, rzucił je w naszą stronę. Serce podeszło mi do gardła.

Gajowy, zeskakując z arby, podał mi rękę i w tej samej chwili zorientowałem się, że to nie jest człowiek, lecz kukła wielkości człowieka, strach na wróble z twarzą prymitywnie namalowaną na białej szmacie — dwie plamy oczu, kreska ust i — prostopadle do niej — kreska nosa. Tak rysują dzieci.

— To ja — uśmiechnął się gajowy. — To mnie powiesili. Zaocznie, że tak powiem, wrogom ku przestrodze.

— Kto powiesił?

— Sukry. Dawno powiesili, już wiosną. — Zuj przywiązał lejce do drzewa, Siergiej Iwanowicz zdjął z arby plecak.

— Bardzo im się nie podobam — powiedział nie bez dumy. — No i musieli zrobić tego stracha. Agitacja wizualna.

— Dlaczego tu tak pusto? — zapytałem.

— A kto niby ma tu być? Tych parę ocalałych kobiet i starców poszło w pole. Wszystkich chłopów, którzy nie zdążyli się ukryć, zapędzili w głąb góry. Sam rozumiesz...

Zarzucił dubeltówkę na ramię i ruszył w kierunku jednego z domów. Wszedłem za nim przez otwarte drzwi i zanurzyłem się w ciężkim zatechłym powietrzu. Było ciemno, jedynie przez otwór w dachu przedostawało się nieco światła.

— Dzień dobry — powiedział gajowy, kładąc plecak na ziemi.

Nikt nie odpowiedział. Pod strzechą poruszył się ptak i po chwili, błysnąwszy w ukośnym promieniu światła, spłynęło ku mnie znajome różowe piórko.

— Co słyhać? — rzucił w ciemność gajowy.

— Dobry deń, Serge — powiedział znany mi, głęboki i czysty głos. — Jak jechałeś?

Oczy zaczęły oswajać się z ciemnością. Siergiej Iwanowicz postawił dubeltówkę pod ścianą i poszedł w głąb izby, gdzie pochylił się nad stertą jakichś łachmanów.

— Dobrze — powiedział. — Pojechałem z bratem. A co u ciebie, Agaszo?

— Żyję — odparł głos. — Gdzie brat?

— Mikołaju, chodź tutaj. Poznaj się z ciotką.

Na stercie szmat leżała staruszka w ciemnej koszuli. Siwe włosy miała gładko uczesane, twarz niemal bez zmarszczek.

Ciocia Agasza była jak dwie krople wody podobna do mojej cioci Alony. Tyle że nie nosiła okularów. Powinna była teraz uśmiechnąć się i z zawodową ironią nauczycielki zapytać — „Czekasz, aż ci ktoś podpowie?”.

— Podejdz bliżej — powiedziała staruszka. Wyciągnęła szczupłą, wyschniętą rękę i dotknęła mojej twarzy. Dwa palce miała odrąbane.

— Ona nie widzi — powiedział gajowy.

— Znam twoją twarz — powiedziała ciocia Agasza. — Miałam bratanka z twoją twarzą. On wziął miecz. Zabili go. On był mądry.

— Zapalę świecę — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Ciemno tu u ciebie.

— Pamiętasz, gdzie leżą świece? Jak tam Lusz?

— Lusz przysyła ci pozdrowienia i podarki — odpowiedział.

— Dziękuję. Nic mi nie trzeba. Zuj mnie żywi. Wszedł Zuj i z hałasem zrzucił naręcze drzewa na polepę koło glinianego paleniska.

— Napijcie się naparu — powiedziała ciocia Agasza. — Jesteście zmęczeni. Nie mam nóg — dodała, zwracając twarz w moją stronę. — Zuj, zrób.

— Agasza mówi po rosyjsku prawie tak samo dobrze jak ja czy ty — powiedział gajowy. — Raz usłyszysz jakieś słowo i już pamięta. Nie pij za dużo ich naparu. Na pierwszy raz, póki się nie przyzwyczaisz, wystarczy pół garnuszka. Ten napój daje siłę i orzeźwia.

— Jabłka i jaja pochodzą stąd?

— Stąd. Jeśli coś zwyczajnego, nie zabraniam Maszy. Z pieniędzmi u nas nie jest najlepiej, a przecież tutejszym trzeba pomagać. Ale jajkami nie kazałem jej handlować. Surowo zakazałem. Robią z nich kupu, to takie lekarstwo. Ale znasz Maszę, ma charakterek.

W palenisku trzeszczały gałęzie i na twarz cioci Agaszy padały odblaski płomienia. Staruszka poruszyła się, sięgnęła ręką za pryczę, na której siedziała, i wyjęła stamtąd dwa emaliowane kubki. Kubki były zwyczajne, nasze. Siergiej Iwanowicz powiedział:

— Nie możemy tu za dużo przynosić.

— Tak — powiedziała ciocia Agasza. — Dla nas bogactwo jest niebezpieczne. Kubki czyste. Syn Kurdy mył w gorącej wodzie. Serge boi się niebieskiej gorączki. Wielu ludzi na nią umarło.

— Nie o siebie się boję — powiedział gajowy. — Boję się zawlec zarazę do nas.

— Teraz nie ma gorączki — powiedziała Agasza. — W naszej rodzinie nikt nie umarł. Serge przyniósł okrągłe kamyki.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi, i popatrzyłem pytająco na gajowego.

— Przyniosłem tabletki — wyjaśnił Siergiej Iwanowicz. — Wybrałem się, rozumiesz, do apteki. Na temat medycyny wiedziałem tyle, ile wyczytałem w miesięczniku „Zdrowie”, prenumeruję go. Kupiłem aspirynę, trochę tetracykliny i etazolu. Antybiotyki dawałem ostrożnie, żeby nie było jakiegoś ubocznego działania. Każdą tabletkę łamałem na pół. Jakoś się udało.

— No wiesz, bracie — powiedziałem. — Czasami to ja cię nie rozumiem. Przecież jesteś dorosły. Mogłeś zaszkodzić. Organizmy...

— Nie mogłem patrzeć, jak ci ludzie umierają — uciał gajowy.

Wziąłem kubek z naparem. Napój był ciepły, korzenny. Na dnie leżały ciemne jagódki.

— Pij, nie spiesz się — powiedział gajowy. — Czekam tu na kogoś.

Jakby na potwierdzenie jego słów do chaty wszedł mężczyzna. Agasza powiedziała coś surowym głosem cioci Alony.

— Gniewa się, że przyszedł bez uprzedzenia — wyjaśnił gajowy. — A po co się gniewać? Ślepcy zawsze tak. Konspiratorzy.

Potężny, jednooki mężczyzna w krótkim czarnym kaftanie przepasanym rzemieniem, na którym wisiał niezbyt długi miecz, skłonił się cioci Agaszy. Siergiej Iwanowicz wstał przyciskając rękę do serca, podszedł do przybysza, który zaczął mówić tak szybko i gwałtownie, jakby rzucał mu słowami w twarz. Gajowy o coś zapytał i przez kilka chwil zastanawiał się. Potem powiedział ze złością po rosyjsku:

— Przecież mówiłem, uprzedzałem! I co ty teraz zrobisz? — Jego spojrzenie prześliznęło się po mojej twarzy, ale pytanie nie było skierowane do mnie. — Idę, bo inaczej wyduszą ich tutaj jak szczenięta.

— Co się stało? — zapytałem.

— Mój brat tu zostanie. — Gajowy mocniej zaciągnął pas na bluzie. Pozostali patrzyli na mnie w milczeniu. Byłem dla nich przeszkodą, ciężarem.

— Na długo? — zapytałem. W pierwszym momencie chciałem się nie zgodzić: jeśli idą wszyscy, pójdę i ja. Natychmiast jednak zmitygowałem się: muszę słuchać Siergieja Iwanowi — cza, jak słucha się przewodnika w górach. Nie wiadomo tylko, czy on sam zna drogę...

— Na krótko — odparł gajowy. — Zaszła komplikacja. W razie czego, znajdziesz sam drogę? Wiesz, dokąd iść?

— Może jednak pójdę z wami?

— Nie wiesz, o co tu chodzi i jeszcze coś narozrabiasz. Zostawię ci broń. Nie mogę jej wziąć ze sobą.

— Dlaczego?

— A jeśli dostanie się w ich łapy? I tak już mam dość na sumieniu.

Poszli.

— Daj mi kubek, Serge — powiedziała ciocia Agasza. — Dopiję.

Podąłem jej ciepły kubek i zapytałem:

— Może wyjdę i rozejrzę się dokoła?

— Nie chodź daleko — odparła niewidoma. — Nikt nie może cię zobaczyć.

Wyszedłem na powietrze. Arba przejechała już przez most i oddalała się drogą w kłębach pyłu. Wiatr kołysał kukłę uśmiechającą się narysowanymi ustami. Zajrzałem do sąsiedniej lepianki. Pachniało w niej przykurzonym sianem. Jedna z belek tworzących powalę zwała się w dół i pasmo światła z zawieszonymi w nim drobinkami kurzu padało na polepę pokrytą odłamkami glinianych garnków i jakimiś patykami. Wieś wypełniały dźwięki zrodzone przez wiatr — skrzypienie żerdzi i desek, szelest śmieci w wąskiej szczelinie między domami. Były to odgłosy pustki i śmierci.

Tak, to nie jest taki sobie inny kontynent. Równoległy świat? Wyobraziłem sobie, jak przyjezdny myśliwy, znużony wódką i gorącem, pobłaźliwie tłumaczy leśnikowi wyczytaną gdzieś ideę równoległych światów. Gdybym wiedział, gdzie jestem, może łatwiej byłoby ustalić sposób postępowania. Żeby to człowiek miał naturę Siergieja: jemu jest wszystko jedno, gdzie leży ten świat...

Ze szczeliny w glinianej polepie wyrastały grzyby na długich, białych nóżkach. Miały spiczaste kapelusiki, były cherlawe i wiotkie. Zerwałem jeden z nich i patrzyłem, jak mi się kołysze w palcach... A niby jakie grzyby mogły wyrosnąć w tym rozległym obszarze wiecznie zielonych lasów?

Uśmiechnąłem się. Ubawił mnie brak elastyczności w moim myśleniu. Za wszelką cenę chciałem

znaleźć jakiegokolwiek wyjaśnienie, które dałoby się wtłoczyć w ramy powszedniości. A jeśli naprawdę jestem w banalnym, zwyczajnym selwasie? Co to zmienia? Poryw wiatru uderzył w ścianę lepianki, skrzypnął tylnymi drzwiami. Przez szparę w deskach widać było zielen podświetloną słońcem.

Podszedłem do drzwi. Nie dały się otworzyć. Zawiasy tak zardzewiały, jakby nikt nie korzystał z nich od wielu Miesięcy. Zrobiłem krok i przeszedłem na wylot przez ścianę.

Między chatą a palisadą, której zaostrome końce wznosiły się nad zielenią, leżał ciasny i wąski ogródek cioci Alony kilka krzewów i krzywa jabłoń z zielonymi, malutkimi jabłuszkami. Spłoszona wrona ociężale i niechętnie zerwała się z drzewa.

Tu było zupełnie inne powietrze — wilgotne, napełnione zapachami znajomych ziemskich floksów, lilii i georginii wyrastających chaotycznie z wysokiej trawy. Spod pojedynczego krzaczka kwitnących kartofli patrzył na mnie z pełnym zdumienia wyrzutem różowy kurczak. Pszczoła sfrunęła z malwy i odprowadzając wzrokiem jej lot, dojrzałem w przeciwległym końcu ogródka dziewczynę. Miała ona na sobie niebieską sukienkę do samej ziemi, na głowie biały czepeczek z czerwonym krzyżem i białą opaskę z krzyżem na rękawie. Dziewczyna czytała mocno sfatygowaną książkę. Pszczoła przeleciała tuż obok jej twarzy i dziewczyna opędziła się od niej ręką, ale nie uniosła oczu znad książki. Chciałem jej przypomnieć, że już pora iść, ale nie wiadomo czemu, znów znalazłem się na placu.

Było tam zupełnie pusto. Wrona siedziała na głowie powieszanej kukły i trzymała w dziobie malutkie zielone jabłko. Wróciłem do cioci Agaszy.

— To ty, młodszy bracie? — zapytała.

— Daleko oni pojechali?

— W las. Do ludzi.

— Nic o was nie wiem.

— A co o nas można wiedzieć? Po co dobrze żyjący ludzie mają wiedzieć o tych, którzy żyją źle?

— A mój brat?

— On wie, ale czasami jest jak dziecko. Chce dobrze, ale nie rozumie, że później będzie gorzej.

Nie rozumie najprostszyc rzeczy. To dla ciebie jasne, chłopcze?

— Możliwe. A jak Siergiej do was trafił?

— Nie powiedział ci?

— Dopiero wczoraj do niego przyjechałem.

— To było dawno — powiedziała ciocia Agasza. Ogień dopalał się i dymił. — Mój brat był w lesie. Napadł na niego niekul. Znasz niekula?

— Widziałem.

— Serge zabił niekula. Mój brat długo chorował. Powiedział do Serge'a: „Moje życie — twoje życie”. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Mój ród przyjął Serge'a, ale Sukry mogły się dowiedzieć. Nie wolno przyjmować do rodu obcego. Serge nie chciał u nas mieszkać. Odchodził. Nikt Sukrom nie mówił o Serge'u. Złamałeś prawo Sukrów — śmierć. Ale jak złamałeś prawo rodu — też śmierć. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Tamtego roku była gorączka. Wielu ludzi umarło, a wielu uciekło do lasu. Kiedy oni przyszli, nie było mężczyzn, żeby bronić wrót. Sukrom byli potrzebni nowi ludzie. Mój syn zginął. Mój brat

został zabity na progu domu. Mnie zostawili, żebym sama umarła, bo komu potrzebna jest stara i ślepa kobieta? I kiedy przyszedł Serge i przyniósł lekarstwo, mało zostało ludzi, żeby jeść lekarstwo. Powiedziałam do Serge'a: „Twój brat, mój brat — nie żyje. Ty jesteś teraz mój brat. Weź jego córkę, Lusz. Znajdź Sukra, który zabił brata, i zabij Sukra”. A wszyscy, co to słyszeli, powiedzieli: „Tego nie wolno robić, tego zabrania prawo. Wszystkich nas zabiją”. A Serge powiedział: „Prawa ułożyli ludzie i oni je zmieniają”.

— I on zabijał?

Chciałem, aby staruszka odpowiedziała mi: „Nie, Siergiej nie miał prawa sądzić i wykonywać wyroków. Nawet jeśli wydawało mu się, że tak każe sprawiedliwość”.

— Powiedział: „Jeśli zabiję Sukra, przyjdzie inny Sukr. Tylko wszyscy razem mogą ich przepędzić”.

— Słusznie, to niczego nie rozwiązuje.

— A my czekamy — powiedziała staruszka. — I jest nas coraz mniej.

Gdzieś daleko, za wsią, rozległ się niski, przeciągły dźwięk jakby ktoś szarpnął strunę gigantycznego kontrabasu. Agasza zamilkła, jej niewidzące oczy patrzyły tam, skąd nadszedł dźwięk. Palce wczepiły się w szmatę przykrywającą kolana.

— Co to? — zapytałem.

— Trąby — odparła staruszka. — Musisz uciekać. Serge tak powiedział.

— A gdzie jest Siergiej? Gdzie go mogę znaleźć?

— Serge jest w lesie. Oni go szukają. Uciekaj. Nie można spierać się z siłą...

Dźwięk kontrabasu rozległ się ponownie, tym razem nieco bliżej. A może mi się tylko tak wydało?

— Agasz-pato! Agasz-pato!

Do chaty wbiegł zasapany pastuszek. Wymachiwał rękoma, pomagając sobie w ten sposób mówić. Staruszka słuchała, nie przerywając mu. Potem wyciągnęła rękę. Chłopiec otworzył zaciśniętą piąstkę. Trzymał w niej strzępek papieru. Wygładziłem go. Na kartce wyrwanej z notesu zobaczyłem parę słów napisanych wielkimi, koślawymi literami: „Mikołaju, szybko uciekaj. Jeśli nie wrócę, zaopiekuj się Lusz. Ona ma tylko mnie. To rozkaz”.

— Odchodzisz? — zapytała Agasza.

Spojrzałem na zegarek. Zaledwie przed godziną leśnik odjechał z mężczyznami. Nie mogłem wracać sam.

— Idź szybko — powiedziała Agasza. — Syn Kurdy cię wyprowadzi.

— A wy, ciociu?

Wskazała gestem czarną szczelinę za pryczą.

— Schowam się w norze.

— Pójdę do Siergieja — powiedziałem. — On jest moim bratem.

Chłopiec przestępował z nogi na nogę, jakby chciał uciekać, ale nie miał odwagi.

Staruszka powiedziała coś do niego, a potem zwróciła się do mnie.

— Idź do Serge'a. Jesteś mężczyzną. Nie chcę, żeby go zabili.

— Dziękuję, ciociu Alono — powiedziałem.

Wydostaliśmy się przez dziurę w ścianie jednej z lepianek, przez wyrwę w palisadzie wysliznęliśmy się na zewnątrz, zbiegliśmy z pochyłości, przeszliśmy w bród płytką fosę i ruszyliśmy przez ściernisko w kierunku nagich skał wyrastających z odległego lasu. Było gorąco. Pot ściekał mi

po plecach, dubeltówka zrobiła się ciężka i parzyła ręce. Kurz osiadł na spoconej twarzy, wlaził do oczu.

Chłopiec biegł przodem, odwracając się od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy mnie nie zgubił. Jego straszliwie chude, spuchnięte w kolanach nogi migały wśród kurzu, włosy były go po ramionach.

Znów rozległ się ryk trąb, niski i złowieszczy. Był tak blisko, jakby niewidzialny muzykant stał tuż obok. Malec pochylał się i rzucił w stronę lasu, klucząc jak zając. Druga trąba odezwała się z lewej. Przyspieszyłem. Las zbliżał się wolno, malec znacznie mnie wyprzedził.

Od przodu, stamtąd, dokąd biegł pastuszek, rozległ się krzyk. Przystanąłem, ale szum w uszach i łomotanie serca przeszkadzały słuchać. Kto krzyczał? Swoi? Byłem tu najwyżej od trzech godzin, ale już dzieliłem mieszkańców tego świata na swoich i obcych.

Kiedy dobiegłem do lasu, chłopca nigdzie nie było. Wówczas obleciał mnie strach. Strach zrodzony przez samotność. Złapałem się na tym, że usiłuję odtworzyć w pamięci drogę powrotną do rozdwojonej sosny, do drzwi na bagnie, do rzeczywistości, gdzie kursują autobusy i gdzie ciocia Alona co chwilę zerka w okno, bojąc się, że coś mi się stało. Ale co mogło mi grozić? Że spóźnię się na autobus?

Wyprostowałem się i zwolniłem kroku. Nie jestem tutejszy. Nic nie powinno mi się przytrafić. Trzeba znaleźć dzieciaka, on boi się bardziej.

Strzała gwizdnęła mi nad uchem. Z początku nie zorientowałem się, że to ona. Nigdy jeszcze nie strzelano do mnie z łuku. Strzała wbiła się w pień drzewa i jej opierzony koniec gwałtownie zadygotał. Rzuciłem się w gęstwinię i jeszcze jedna czarna nitka przemknęła mi przed oczyma. Gałęzie były po twarzy, dubeltówka przeszkadzała biec, ktoś głośno tupał z tyłu, łamał z trzaskiem gałęzie. Grunt zaczął opadać tak gwałtownie, że nawet nie zauważyłem, kiedy znalazłem się na urwisku.

Staczałem się po stromiźnie, uderzyłem w sterczące z niej korzenie, przewalałem się przez jakieś krzaki, ale nie wypuściłem dubeltówki i tylko wolną ręką starałem się uchwycić gałęzi. Zawadziłem o coś boleśnie czołem i rozciąłem sobie policzek. Zdawało mi się, że to spadanie nigdy się nie skończy. Prawdopodobnie straciłem na chwilę przytomność.

Całe ciało bolało. Ostra gałąź uwierała mnie w plecy, nie pozwalała odetchnąć. Spróbowałem wstać, ale gałąź wbita w marynarkę trzymała mocno. Twarz piekła. Znieruchomiałem. Przecież oni mogą usłyszeć. Trzeba oddychać wolniej, ciszej. Chyba ich nie ma... Oparłem się na dubeltówce i gwałtownie szarpnąłem. Gałąź trzasnęła ogłuszająco i puściła mnie.

Ostrożnie usiadłem i obmacałem zranioną nogę. Nogawka na łydce była rozerwana i zakrwawiona. Podciągnąłem nogę. Zabolęła, ale mogłem nią poruszać. Stałem i spojrzałem na urwisko. Było niewysokie. Zajrzałem do luf, aby sprawdzić, czy nie nabiło się w nie piasku. Czyste. Marynarkę zostawiłem pod krzakiem. Była w strzępach i do niczego się już nie nadawała.

Drogę odnalazłem opodal miejsca, gdzie zanurzała się w las. Była upstrzona śladami kół i nóg ludzkich. Poszedłem w głąb lasu jej skrajem, aby w razie niebezpieczeństwa móc dać nura w krzaki. Wkrótce od drogi odgałęziła się ścieżka. Ślady wiodły właśnie tam — w jednym miejscu koło arby rozgniotło pomarańczowy kapelusz grzyba.

Wtedy zobaczyłem chłopca.

Leżał twarzą w dół, a z jego pleców sterczały dwie czarne, pierzaste strzały.

Wziąłem go na ręce i odniosłem w las. Był zupełnie lekki i jeszcze ciepły.

Nałamałem gałęzi, przyrzuciłem nimi ciało i poszedłem dalej. Zginał przeze mnie. Trzeba było go

dopędzić i nie puszczać od siebie. Trzeba było usłuchać gajowego... Trzeba... trzeba... trzeba...

Ten świat musi być okrutny i niesprawiedliwy wobec słabych. To okrucieństwo jest jawne, uświęcone prawem i powszednie. Nie ma nic dziwnego w tym, że gajowy stanął po stronie słabszych, i że wrogowie jego wsi stali się jego wrogami. Zajął się ich sprawami nie z chęci wplątywania się w awantury lub wykazania odwagi, lecz po prostu dlatego, że nie mógł inaczej. Dzielił na pół tabletki tetracykliny, walczył z jakimiś Sukrami, tępił niekule, przynosił z naszego świata blaszane kubki i robił chyba jeszcze wiele innych rzeczy, o jakich nie miałem pojęcia.

Ale czy jego działalność jest obiektywnie rozsądna? Czy nie postępuje jak człowiek, który dla uratowania muchy niszczy pajęczynę? Co może tu zdziać i czy w ogóle jest tu potrzebny? Sprawiedliwość w niesprawiedliwym świecie jest nierealna. Ugania się za mirażem i nie pozwoli sobie otworzyć oczu... Uprawia cudze poletko, nie pytając dla kogo. W swej zaocznej dyskusji z Siergiejem starałem się nie popuszczać wodzy emocjom i pozostać naukowcem, starałem się najpierw odnaleźć łańcuszek przyczyn i skutków, dotrzeć do mechanizmu zjawiska i dopiero wtedy podjąć decyzję.

Kiedy dojrzałem przed sobą lekki prześwit, zwolniłem, a potem stanąłem. Jeszcze niedawno na polanie znajdował się obóz. Szkielety szałasów były obdarte z pokrycia, gałęzie i konary rozrzucone po trawie. Na zdeptanej zieleni leżał Zuj z brodą zadartą do nieba. W pięści zaciskał ułamek sztyletu.

Kryjąc się za pniami drzew, obszedłem polanę dookoła. Wśród niskiego poszycia natknąłem się na znajomy wózek. Nosorożce zniknęły, dyszel opierał się o ziemię.

Wczoraj byłem w lesie. Dzisiaj znów jestem w lesie. Zadawałem sobie pytania, na które nie sposób odpowiedzieć. — „Co ja tu robię? Jak tu trafiłem? Jaka siła przyciągnęła do siebie dwa światy i wytworzyła tunel w punkcie ich zetknięcia?”. Spróbujmy zbudować teoretyczny model zjawiska na podstawie znanego fenomenu: wyobraźmy sobie SEP — Sumaryczną Energię Planety... Model był dość ułomny, nie mogłem bowiem przyporządkować planety do jakiegoś punktu przestrzeni, gdyż jej skrzywienie musiało być niewiarygodnie złożone, takie, jakie się nie zdarza i zdarzyć się nie może. Nie może, ale istnieje. A co będzie, jeśli potraktować to jako czysto spekulatywny model niemal zamkniętego świata? Już Friedman w latach dwudziestych badał problemy kosmologiczne w świetle ogólnej teorii względności. Stąd wziął się wymyślony przez Markowa fridmon, cząstka wielkości cząstki elementarnej, ale zdolna pomieścić galaktykę, jeśli udałoby się tylko przeniknąć do jej wnętrza. Wtedy dla tych, którzy znajdą się wewnątrz fridmonu, nasz świat przekształci się w punkt.

Zatrzymałem się, gdyż usłyszałem brzęk metalu, głosy, skrzypienie. Mało brakowało, a wpadłbym na idących przede mną.

Procesja rozciągnęła się na leśnej drodze i musiałem wejść w zarośla, aby ją wyprzedzić.

Byłem nieludzko zmęczony, a na drugi oddech nie mogłem liczyć. Człowiek przez całe życie planuje: będę wstawał pół godziny wcześniej, gimnastykował się, chodził pieszo do pracy, Ale kładzie się późno, rano nie może się zmusić do wstania, goni autobus i znowu myśli: od poniedziałku to już na pewno...

Wyjrzałem zza krzaków. Obok mnie w półmroku ciągnęły wozy. Na nich leżeli ludzie. Ktoś jęczał. Przed zaprzęgami wlokła się garstka chłopów. I wtedy po raz pierwszy zobaczyłem z bliska ich wrogów.

Kiedyś, za czasów młodości mojego ojca, modne były powieści fantastyczne o rozumnych mrówkach. Autorzy umieszczali je na Marsie i na Księżycu, powiększali do wzrostu człowieka,

zaopatrywali w zimny, precyzyjny rozum, opisywali ich perfidię i okrucieństwo. Podniszczone książki o mrówkach leżały w lamusie, dając świadectwo temu, że i mój ojciec był kiedyś młody. Znalazłem je, mając chyba z piętnaście lat. Od tego czasu nabrałem do mrówek wstrętu i lękałem się ich bardziej, niż na to zasługiwały. Potem gdzieś przeczytałem, że owady nie mogą stać się rozumne. Dowód był prosty, dość przekonujący i chętnie weń uwierzyłem, tym bardziej, że nowych powieści o mrówkach jakoś nie wydawano. I oto teraz, w świetle Agaszy i Lusz, zobaczyłem, jak gigantyczne, nieco niższe od człowieka mrówki pędzą gdzieś spętanych ludzi.

Okrągłe łebki owadów, zakończone z przodu dziobkiem, walcowate kadłuby i cienkie łapki przydawały widokowi wieczornej procesji złowieszczego zabarwienia koszmaru. Wtedy pomyślałem, czy to aby nie sen. Procesja wolno ciągnęła drogą. Arby. Grupka mrówek z dzidami, kryty wózek, znowu mrówki. Wśród chłopów gajowego nie było.

Nie mogłem uwierzyć w jego śmierć. A może jest ranny i leży na wozie?

Znowu zagłębiłem się w gąszcz, gdzie było już prawie ciemno. Po paru krokach nadepnałem na gałązkę, która trzasnęła jak mina przeciwpiechotna. Rzuciłem się w zarośla, gdyby mnie chcieli ścigać, nie uciekłbym, bo za bardzo byłem zmęczony. Wtedy zorientowałem się, że las się kończy.

Stałem na jego skraju i patrzyłem, jak na poły ukryta w kłębach kurzu kolumna wydostaje się na rozległe pustkowie. Dalej, odbijając przedwieczne obłoki, połyskiwała niebiesko i pomarańczowo rzeka. Za nią wznosiła się niewysoka góra o kształcie niemal regularnego stożka. Nad samą wodą stało kilka mrówek i ich pancerze połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca. Strażnicy zaczęli popędzać kolumnę, nosorożce ruszyły truchtem, a ja wciąż bałem się wyjść na otwartą przestrzeń.

Kiedy tak stałem i zastanawiałem się, co mam teraz robić tamte mrówki podeszły do kolumny. Wszyscy strażnicy otoczyli kryty wózek, otworzyli drzwiczki i wyciągnęli ze środka człowieka. To był Siergiej Iwanowicz. Dostrzegłem zieloną żołnierską bluzę i siwiejące krótkie włosy. Odetchnąłem.

Nie uznałem racji gajowego, nie przeszedłem na jego stronę. Nadal byłem pełen wątpliwości, ale teraz zagłuszyła je konieczność. Cywilizowany człowiek nie może porzucić innego człowieka w nieszczęściu, choćby nie zamierzał kontaktować się z tym światem. Zrozumiałem, że musiałem uratować Siergieja Iwanowicza nawet w tym wypadku, gdyby wszystkie teorie fizyczne sprzysięgły się przeciwko mnie. W przeciwieństwie do niego nie będę tu organizował powstania i ukrywał się w lesie. Nie jestem „swój” i dlatego będę wciąż zastanawiał się nad słusnością własnych postępów i nieuchronnie dojdę do wniosku, że takie kwestie powinien jednak rozwikłać kto inny, odpowiedzialny, kompetentny. Chociaż kto u diabła może tu być kompetentny? Każda nieingerencja jest tylko szczególnym rodzajem ingerencji, zazwyczaj dwuznacznej, gdyż nieingerencja zawsze jest komuś na rękę.

Gdy zobaczyłem Siergieja Iwanowicza, uspokoiłem się. Nie wiedziałem jeszcze, w jaki sposób go wyzwolę, ale byłem pewny, że to zrobię. Choćbym musiał utknąć tu na miesiąc. Zapomniałem, że nie znam języka, że każdy przechodzień rozpozna mnie na kilometr, że jestem głodny jak wilk i walę się z nóg ze zmęczenia.

Obserwowałem kolumnę do chwili, kiedy przejechała most i skryła się w górze. Na pustkowie wpłynęła z rzeki mgła przemieszana z kurzem. Za nią płonęło blade światło; Szybko zrobiło się chłodno. Dookoła było pusto, a w lesie za moimi plecami rozległo się wycie. Pomyślałem o niekulach i zacząłem, wyrzucać sobie, że nie pochowałem dzieciaka. Te bestie mogą się do niego

dobrac.

Zdjąłem dubeltówkę z ramienia, wyszedłem na pustkowie i po paru minutach znalazłem się nad rzeką.

Jeszcze niezupełnie ściemniało, a w dodatku wzeszedł księżyc. Droga zbiegała ku wodzie, ale na moście stała mrówka z długą dzidą. Zobaczywszy ją, skręciłem w bok i dotarłem do rzeki o jakieś dwieście metrów od mostu. Niski brzeg tonął w zaroślach trzciny i gdy spróbowałem dojść do wody, nogi grzęzły w mule; musiałem dość długo iść brzegiem, zanim zdołałem znaleźć kawałek piaszczystego dna. W tym miejscu rzeka rozlewała się szeroko, a pośrodku nurtu była wysepka. Miałem nadzieję, iż rzeka nie jest zbyt głęboka.

Do wysepki dotarłem dość szybko, chociaż przemoczyłem ubranie do pasa. Zresztą noc była w miarę ciepła, nie zanosiło się na przymrozki, tak że przymusowa kąpiel nie groziła większymi konsekwencjami. Za to w przesmyku, dzielącym wysepkę od przeciwległego brzegu, było znacznie trudniej. Przesmyk był wąziutki i od czarnej stromizny porośniętej krzewami dzieliło mnie nie więcej niż dwadzieścia metrów. Prąd był tu znacznie szybszy i przy pierwszym kroku zapadłem się po kolana, a przy następnym — po pas. Napór wody znosił mnie i już wiedziałem, że przy następnym kroku stracę równowagę. Wówczas uniosłem rękę z dubeltówką i z determinacją odepchnąłem się od dna. Woda porwała mnie, bo jedną ręką trudno było utrzymać się na powierzchni. Napiłem się wody, ale broni nie zamoczyłem.

Wreszcie jakoś wydostałem się na przeciwległy brzeg, robiąc przy tym więcej hałasu niż stado słoni przepływające się przez Ganges. Przemoknięty do suchej nitki, drżący z zimna musiałem, ukrywając się w krzakach, ściągać z siebie i wyzymać całe ubranie. Najgorsze było to, że zamoczyłem Papierosy, a przecież właśnie papieros byłby dla mnie teraz ratunkiem.

Wciąż trzęsąc się, naciągnąłem oślizłe buty na mokre skarpetki. Obrzydliwie zimne spodnie i koszula przyklejały się do ciała. Staralem się zapomnieć o cielesnych cierpieniach i myśleć o tym, co mnie teraz czeka. Myśli jednak były jakieś poplątane i ułomne. W niczym chyba nie przypominałem generała układającego plan decydującej bitwy. Gdyby mnie teraz zobaczył mój moskiewski szef, Landa, nawet on by się nade mną użalił.

W tym rozlanym między dwoma światami wieczorze zagubili się ludzie, którzy nigdy się nie widzieli i którzy istnieli jakby jedynie w mojej wyobraźni: zmarła pół wieku temu Masza, Lusz stojąca obok chatki nad jeziorem, ciocia Alona przeglądająca album rodzinny i ciocia Agasza przyczajona w czarnej jamie za pryczą, Siergiej wzięty do niewoli przez mrówki i chłopczyk, który zginął dlatego, że szedł ze mną.

Losy tych wszystkich ludzi zdawały się tworzyć tamę oddzielającą mnie od moskiewskich przyjaciół i wrogów. Żebym tylko mógł dociec, na ile owa tama jest realna.

Na upstrzonym gwiazdami niebie rysował się czarny garb góry — mrowiska, w którym uwięziono leśnika. Księżyc oświetlał czarne otwory, rzadko rozrzucone po całym stumetrowym zboczcu. Największy właz znajdował się na dole, wprost przede mną.

Przedsięwzięcie było całkowicie beznadziejne i gdybym nie był taki przemarznięty, z pewnością wspomniałbym dzieciństwo i wykonał znany z książek rytuał pożegnania z życiem. Na szczęście jednak dygotałem z zimna, kiszki mi marsza grały, okropnie chciało się palić i w dodatku ćmił ząb, nie miałem więc siły myśleć o śmierci.

Mrowiska powinni strzec wartownicy. Nie tylko przy moście, ale również przy wejściach, a w każdym razie przy głównym wejściu. Wobec tego lepiej będzie skorzystać z jakiegoś bocznego

otworu. Podszedłem do wzgórza taką drogą, aby nie można mnie było dostrzec z mostu lub od głównego wejścia, i zacząłem gramolić się na czworakach ku czarnemu otworowi, znajdującemu się o jakieś dziesięć metrów od podnóża. Tuż przed wjazem rozciągnąłem się plackiem na ziemi i przez jakiś czas nadśluchiwałem. Było cicho. Ta cisza mogła oznaczać, że nikt nie podejrzewa mojej obecności, ale z równym powodzeniem mogła świadczyć o tym, że wartownicy przyczaili się, wyczekując sposobnej chwili, aby schwytać mnie na pewniaka.

Podczołgałem się bliżej. Księżycowe światło przenikało zaledwie na metr w głąb otworu. Dalej nie było niczego, a właściwie mogło być wszystko.

No cóż, uczynimy ten krok? Przecież tobie, Mikołaju, nic się nie może przytrafić. Różne paskudne rzeczy zdarzają się wyłącznie innym. Pocieszałem się w ten sposób do chwili, kiedy wzięła mnie złość na samego siebie. Takie spekulacje nie mogły pomóc gajowemu, a w dodatku zabierały niepotrzebnie czas. Jakie miałem inne wyjście? Uciec do jamy pod rozdwojonym drzewem? Wrócić do Maszy i powiedzieć: „Bardzo mi przykro, Mario Pawłowna, ale wasz Siergiej Iwanowicz został wzięty do niewoli przez mrówki. Tak go chciały schwytać, że nawet powiesiły na placu jego kukłę, i wątpliwe, aby go teraz wypuściły żywego. Ale nie martw się, Maszo, będę się tobą opiekował, kulturalniej i czulej niż gajowy; pokażę ci Moskwę, zaprowadzę do muzeum, wybiorę się z tobą do wesołego miasteczka”.

Poderwałem się z ziemi i nieco pochylony wszedłem do środka. Wolną rękę wysunąłem przed siebie, aby nie nabić sobie guza. Kwaśny, zatechły odór gęstniał w miarę tego, jak posuwałem się do przodu. Czasami gdzieś z góry z głośnym plaśnięciem spadała kropla wody lub rozlegał się jakiś szmer. Starąłem się wmówić sobie, że mrówki nocą powinny spać, mocno spać. Gdzieś z przodu, jeśli mnie wzrok nie mylił, tliła się żółtawa plama światła. Uznałem, że mój tunel łączy się z innym, oświetlonym. Kiedy wreszcie do niego dotarłem i zobaczyłem za rogiem filującą pochodnię wetkniętą w szczelinę ściany, natychmiast poznałem to miejsce. Byłem tu kiedyś — w majakach. Znałem nawet sople sadzy narosły nad łuczywem, które widocznie palono tam od wielu lat.

Położyłem na ziemi przy zakręcie rozmięktą paczkę papierosów, aby nie zabłądzić, jeśli trzeba będzie uciekać na złamanie karku. Przygotowałem dubeltówkę do strzału nie dlatego, żeby mogła mnie uratować w tym labiryncie, ale po prostu dla dodania sobie odwagi.

W głębokiej mszy coś bieląło. Pomyślałem, że to mrówcze jaja, i postanowiłem jak najszybciej stamtąd odejść. Przy jajach mogła być przecież straż. Z następnej mszy dobiegło mnie głębokie westchnienie i senny pomruk. Ludzie? Żebym przynajmniej miał zapalną, żeby chociaż jakiś ogarek świecy! Zajrzałem do środka. Było tak cicho, że mogłem policzyć oddechy śpiących ludzi

— Siergiej! — szepnąłem cicho. Byłem pewien, że leśnik nie będzie spał. Nikt nie odpowiedział.

Nie, tu go nie ma. Jeśli jeńca wieźli w zamkniętym wózku i starannie pilnowali, to nie mogli zostawić go na noc w otwartej mszy bez dozoru.

Dziwny świat. Ludzie i mrówki. Do czego ludzie mogą służyć rozumnym mrówkom?

Uprawiają dla nich zboże i owoce? A może są dla nich żywymi konserwami?

Na skrzyżowaniu tuneli musiałem się przyczaić, gdyż w pobliżu kręciło się kilka mrówek. Nie mogłem im się dobrze przyjrzeć w mętym blasku odległej pochodni i dojrzałem je jedynie blade odbłaski światła na ciężkich głowach. To znaczy że nie wszystkie śpią.

Przebiegłem szeroki tunel i skręciłem w wąskie, ledwie oświetlone przejście zbiegające pochyło w dół. Więzienia bywają zazwyczaj w piwnicach.

Wtedy usłyszałem śpiew. Smętny, beznadziejny, dwóch nutach. Śpiew niewolników.

To była wysoka, dudniąca echami, strzelista jaskinia, przypominająca gotycką nawę. Światło pochodni nie sięgało stropu, który dzięki temu wydawał się niezmiernie daleki.

Przy wejściu do groty leżał stos mrówczych głów, a nieco dalej piętrzyła się sterta ich kadłubów. Jakby ktoś rozrywał je na części i pożerał, wysysając chitynowe pancerze.

Pośrodku jaskini siedzieli w kółku bladzi, chudzi ludzie ze zmierzwionymi czarnymi włosami, ubrani w czarne obcisłe stroje, przypominające staroświeckie cyrkowe trykoty. Kto to? Sojusznicy, pożeracze mrówek, mściciele ludzkich krzywd?

Przypatrzyłem się uważnie i natychmiast z wielkim trzaskiem rozpadła się moja spójna dotychczas hipoteza. Wystarczy przecież zbudować hipotezę odpowiadającą pozornym faktom, rozwinąć ją i uzupełnić legendą, aby hipoteza przekształciła się w teorię, z której niezmiernie trudno zrezygnować.

To byli żołnierze—mrówki.

Ściągnijcie z żołnierza ogromny, spiczasty z przodu hełm, zdejmijcie pękaty półpancerz i błyszczące nałokietniki, a wewnątrz znajdziecie człowieka. Moja pomyłka wynikała z tego, że masywna zbroja kłóciła się z cienkimi kończynami, tłumaczyła też ją bujna wyobraźnia, przygotowana raczej na widok ogromnej rozumnej mrówki niż plugawego, brudnego człowieka.

Żołnierze śpiewali melodię składającą się z dwóch nut. Najpierw przez minutę ciągnęli jedną — to ciszej, to głośniej — potem spelzali na drugą. Taką rozpaczliwą beznadziejnością wionęło od tej grupki ludzi, przykucniętych na dnie ciemnej pieczary przy mętnym świetle pochodni, których dym siał się po ścianach i po wilgotnych, źle dopasowanych płytach posadzki, że zrobiło mi się wstyd, iż mogłem uważać ich za rozumne mrówki.

Zresztą w istocie nic się nie zmieniło. Odpadło jedynie obrzydzenie, jakie człowiek żywi do owadów.

Tuż obok mnie głośno zadudniły czyjeś kroki. Ktoś odepchnął mnie i wszedł do jaskini. To również był żołnierz — bez hełmu, ale w pękatym żelaznym półpancerzu, spod którego wystawała zielona spódniczka. Przybysz coś krzyknął.

Na wszelki wypadek cofnąłem się od wejścia. Zwierzchnik mógł się zorientować i przeliczyć swoją drużynę. W pieczarze rozległ się hałas i pobrzękiwanie żelaza.

Po paru minutach dwaj żołnierze, już w mrówczej postaci — że też mogłem ich wziąć za mrówki! — wyskoczyli na korytarz. Dowódca szedł z tyłu.

Z braku lepszego pomysłu chciałem już pójść za nimi, ale o mało nie zderzyłem się z resztą żołnierzy, którzy — jeśli dobrze rozumiałem — postanowili wybrać jakieś bardziej ustronne miejsce na wypoczynek i o parę kroków ode mnie dali nura w jakąś dziurę. Nikt mnie nie zauważył. Zajrzałem do jaskini. Było w niej pusto. Płonęły jedynie pochodnie i leżały sterty hełmów i półpancerzy.

Nie potrafiłem oprzeć się pokusie. Maskowanie uratowało już niejednego!... Hełm wlaź na głowę z wielkim trudem, nieomal urywając mi uszy, natomiast półpancerz w żaden sposób nie dawał się dopiąć. Zaplątałem się w haczykach i paskach, a na domiar złego wydało mi się, że ktoś nadchodzi. Upuściłem zbroję na posadzkę i przy akompaniamencie ogłuszającego łoskotu żelaza wybiegłem na korytarz. Szczelina w hełmie była wąska i żeby cokolwiek widzieć, musiałem stale pochyłać głowę.

Na oświetlonym skrzyżowaniu oficer z milczącą zaciekleścią łoił na przemian dwóch żołnierzy (nie wiem, czy byli to „znajomi” z jaskini), którzy przewrócili na podłogę ogromny kocioł z jakimś

jadłem.

Bezczelnie, jakby mrówczy hełm był czapką niewidką, zatrzymałem się o jakieś dziesięć kroków od oficera i czekałem, czym to się skończy. Finał był taki, że oficer zmęczył się biciem żołnierzy, którzy przyklękli na ziemi i zaczęli z niej zbierać garściami obrzydliwe żarcie, wrzucając je z powrotem do kotła.

Stałem i czekałem. Wątpliwe, aby taki stosunek dojadła świadczył jedynie o nieznajomości higieny. Żarcie było prze — znaczne dla kogoś, kogo należało żywić, nie troszcząc się jednak o jakość pokarmu.

Znudzony oficer powiedział coś do jednego z żołnierzy, który wrócił po chwili z dzbanem wody. Wlał tę wodę do kotła, rozbełtał i wszystko było w porządku. Zszedłem za żołnierzami po wąskich, śliskich schodach, minąłem co najmniej dziesięć tuneli, wciąż schodziliśmy w dół. Musieliśmy znajdować się już poniżej poziomu gruntu, bo ściany stały się zupełnie mokre, a po posadzce płynął wąski strumyczek.

W głębi rozległ się jakiś hałas. Nie potrafiłem określić, z czego się on składa. Był nierówny, głuchy i monotony. Wypływał z wnętrza góry i zdawał się wypełniać jakieś wielkie, dudniące echami pomieszczenie. Tunel kończył się przy szerokim podeście i kiedy żołnierze skręcili w bok, mogłem wreszcie dojrzeć źródło tego ogłuszającego już teraz hałasu.

Mnóstwo pochodni rozjaśniało ogromną halę. Ich dym i sadza uniemożliwiały oddychanie, ale obrazu przez nie oświetlanego nie potrafiłby wymyślić nawet Dante, specjalista od opisów piekła.

Nie wiem, ilu tam było ludzi — pewnie ponad stu. Jedni rozbijali kamienie, inni podwozili je na taczkach, pozostali wreszcie rozwozili rozdrobnioną rudę gdzieś w dal, w stronę ogni i łoskotu. Ta hala była częścią — wyrażając się współczesnym językiem — łańcucha technologicznego, który najprawdopodobniej zaczynał się przy kopalni rudy, znajdującej się gdzieś niedaleko wewnątrz góry, a kończył na piecach hutniczych i kuźniach.

Jeden z żołnierzy uderzył w kawałek żelaza wiszący na słupie i ludzie zobaczyli kocioł z pożywieniem.

Łomot młotków, skrzyp taczek, grzmot zsypywanej rudy urwał się jak ucięty nożem. Teraz rozległ się nowy gwar, cichy i żalony, który składał się ze słabych odgłosów ćpania bosych nóg, jęków, przekleństw i westchnień. Nie wszyscy mogli podejść bliżej, niektórzy czołgali się, a ktoś nawet leżał bez ruchu i błagał, żeby i jemu dali się pożywić. Mój Boże, pomyślałem, ileż to razy w ciągu całej historii Ziemi tacy zubożeli na wszystko żołnierze, często sami wyzuci z praw i gnębieni, stawiali przed więźniami kocioł w którym znajdowała się nadzieja, że może śmierć przyjdzie o dzień później.

Ludzie wydobywali z łachmanów jakieś skorupy (jeden nadstawił dłoń) i pokornie czekali, aż żołnierz zaczerpnie im z kotła rozgotowanej strawy, dziś jeszcze gorszej niż zazwyczaj, a wtedy można będzie odczołgać się w kąt, żeby oszukać żołądek.

Dostatecznie znałem historię, aby wiedzieć, że w pojedynkę, ba, nawet w dziesięciu, nie można zmienić moralności i losów tej góry i innych takich samych gór.

Mój leśnik udawał Don Kichota i walczył z wiatrakami. A ja? Wymyśliłem sobie złowieszcze mrówki, bo w bajecznym śnie łatwiej odseparować się od cudzego bólu.

Wędrowałem przez mrowisko sam podobny do mrówki, w ciasnym hełmie, który boleśnie uciskał uszy. Pot ściekał na oczy i zalewał je, nieomal przyprawiając mnie o szaleństwo.

Byłem pewien, że znajdę Siergieja. Góra nie była tak wielka, a jej wnętrze już z grubsza sobie

wyobraziłem: na różnych poziomach zbiegają się promieniście ku środkowi tunele, przy czym oświetlone są tylko najważniejsze z nich. Na pewno nie zabłądzą. Grozi mi jedynie spotkanie z jakimś oficerem lub ciekawskim Sukrem, który dostrzeże, że moje dżinsy nie są uszyte przez miejscowego krawca. Trzeba jedynie obejść po kolei wszystkie korytarze, nawet jeśli miałyby to zająć mi całą noc.

Jednak zabłądziłem już po paru minutach i wtedy postanowiłem zajrzeć w wąskie przejście, na którego końcu widać było odblask pochodni. Po około dwudziestu krokach śliska podłoga zaczęła się obniżać. Chciałem się zatrzymać, ale nogi nie posłuchały. Żeby nie upaść, zacząłem nimi szybko przebierać, zbiegać po coraz większej stromiźnie, jednak poturlałem się do przodu.

Nie spadałem długo i nawet się nie potłukłem. W ciemności plusnęła czarna woda, była bardzo zimna i jakby żywa. Coś śliskiego dotknęło mojej ręki. Poderwałem się gnany wstrętem — tak, raczej wstrętem niż strachem — i pobiegłem przed siebie, rozgarniając butami lodowatą wodę, rozpychając na boki stworzenia krążące wokół mnie opalizującym korowodem.

Zupełnie zapomniałem o bliskości ścian, walnąłem całym ciałem i ogłuszony zsunąłem się w tajemniczą ciecz, która rozstała się, a potem ogarnęła mnie i zaczęła obmacywać każdą swą kroplą, jakby zastanawiając się, czy zatrzymać mnie tu na zawsze, wchłonąć, rozpuścić w sobie, czy też wypchnąć, wydalić jak coś obcego, niepotrzebnego... To zrozumienie zamiarów płynu wypełniającego podziemie zmusiło mnie do wyrwania się z niego, miotania, szukania w ścianie szczeliny lub otworu. Dedukowałem, że ten otwór powinien znajdować się gdzieś wyżej, bo inaczej ciecz odnalazłaby drogę do wnętrza góry, żeby tam szukać i prześladować swą lodowatą ciekawością tych, którzy zamieszkują ciemność.

Wtedy czubek trzewika natknął się na stopień schodków wyrąbanych w kamieniu. Uderzyłem czołem o górną krawędź wjazdu. Lufa dubeltówki brzęknęła o kamień i ten dźwięk przywołał mnie do rzeczywistości. Schodki niebawem się skończyły, dalej biegł tunel. Zrobiło się cieplej i bardziej sucho.

Gdzieś daleko z przodu zamigotała żółta plama pochodni.

Znalazłem wreszcie ciemnicę, w której trzymano więźniów. Poszedłem za żołnierzami niosącymi garnek z jadłem. Garnek był niewielki — dla kilku ludzi.

Przy ciemnej wnęce stała straż. Wartownicy siedzieli w kucki przy prymitywnie zbitych, masywnych drzwiach i kiedy zjawił się żołnierz zjadłem, jeden z nich podniósł się i odsunął rygiel. Drugi, uzbrojony w wielki topór z dwoma asymetrycznymi ostrzami, stanął za nim. Żołnierz wszedł do środka, pochylił się, postawił garnek na podłodze i chciał wyjść, gdy zatrzymały go głosy z wnętrza. Żołnierz z toporem roześmiał się. Widocznie to, co się działo w celi, wydało mu się zabawne.

Wówczas usłyszałem głos gajowego.

— Barany — powiedział Siergiej Iwanowicz — przecież mówię jak komu mądrymu: jak będziemy jeść, skoro ręce mamy związane?

Pewnie wyczuł, że jestem w pobliżu, i chciał mi dać znak.

Zrozumiałem, ale na razie nie mogłem mu o tym powiedzieć.

Nie planowałem żadnej akcji bojowej, a zresztą żadne planowanie nie miało chyba sensu. Trzeba było coś zrobić możliwie szybko, dopóki okoliczności mi sprzyjały. Żołnierz, który przyniósł garnek, rozpiął półpancerz i wydobył z pazuchy parę płytkich misek. Jego koledzy zaczęli się nerwowo krzętać, zastanawiając się widać, w jaki sposób nakarmić więźniów, nie rozwiązując ich.

Wreszcie wymyślili: wywlekli z ciemności leśnika i Ślepego. Obaj mieli ręce związane na plecach. Dwaj strażnicy skierowali na nich dzidy, żołnierz z toporem zaszedł od tyłu, a czwarty rozwiązał im ręce. Przy tym żołnierze pokrzykiwali na więźniów, popychali, na wszelkie sposoby demonstrowali swoją władzę i siłę, co wynikało raczej z niepewności i z przyzwyczajenia do podporządkowania się kuksańcom i pokrzykiwaniom.

Gajowy z trudem wyciągnął zza pleców zdrętwiałe ręce i podniósł je do góry, poruszając palcami, aby przywrócić obieg krwi. Moment był sprzyjający, żołnierze akurat rozlewali jadło do misek. Byłem całkowicie spokojny, może dlatego, że padałem z nóg ze zmęczenia i jakaś część mózgu nadal z uporem utrzymywała, że to tylko sen, a skoro tak, to nic mi się nie może stać.

— Herody blaszane, faszyci! — warknął półgłosem gajowy. — Was by tutaj wsadzić. Dobiorę się jeszcze do waszych panów...

Żołnierz krzyknął na niego, pchnął ostrzem dzidy w plecy.

— To ty się pospiesz — odparł gajowy. Mówił do nich tylko po rosyjsku, jakby mu nie zależało na tym, żeby go zrozumieli. — No tak — ciągnął, podnosząc miskę z podłogi — nawet łyżki nie wymyślili — Co ja pies, żebym to chleptał?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Żołnierze patrzyli na niego z lękiem, jak na egzotycznego zwierza.

— Nie, takiego paskudztwa jeszcze nie próbowałem — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Dałbym ci...

Uznałem te słowa za sygnał.

— Dawaj! — krzyknąłem. Mój głos odbił się od wewnętrznej powierzchni hełmu i ogłuszył mnie.

Gajowy usłyszał. Zareagował błyskawicznie, nie stracił nawet ułamka sekundy. Dopiero kiedy miska z żarciem poleciała w pozbawioną hełmu twarz pochylonego nad nim żołnierza, a druga wyleciała z rąk Ślepego, zrozumiałem, że zrobiliby to i beze mnie. Wcale nie liczyli na moją pomoc: Ślepy rozumiał po rosyjsku i ostatnie słowa Siergieja skierowane były do niego.

W następnej minucie wydarzyły się następujące rzeczy: z jakiegoś względu nie strzelałem, widocznie po prostu nie przyszło mi to do głowy, jednak potem rzuciłem się na wartowników od tyłu, wymachując dubeltówką jak maczugą, co sprawiło, że mój atak był całkowicie nieoczekiwany zarówno dla strażników, jak i dla więźniów. Zapomniałem przecież, że zamiast twarzy mam żelazny, mrówczy pysk. Kolba broni spadła z łoskotem na hełm żołnierza i wgniotła go. Żołnierz odleciał pod ścianę i zbił z nóg innego strażnika, mnie zaś opanowało pragnienie natychmiastowego zdobycia podwójnego topora, którym wymachiwał żołnierz, zagrażając raczej swoim niż więźniom. Wczepiłem się w stylisko halabardy i szarpnąłem do siebie. Dubeltówka mi przeszkadzała, ale przestraszony żołnierz puścił topór a ja, posiadając dwa rodzaje broni, wyłączyłem się z walki ze względu na nadmiar środków bojowych. Jednak efekt psychologiczny wywołanego przeze mnie zamieszania był bardzo duży. Podczas gdy strażnicy usiłowali zrozumieć, co to za niebezpieczeństwo spadło na nich od tyłu, Ślepy powalił najbliższego przeciwnika, a z następnym uporał się gajowy, zabierając mu dzidę. Reszta uznała za rozsądniejsze wziąć nogi za pas.

Z dubeltówką i toporem w rękach podskoczyłem do gajowego. Moje okrzyki, zagłuszone hełmem, przestraszyły Ślepego, który powitał mnie wystawioną do przodu dzidą. Siergiej jednak myślał szybciej. Sądzę, że rozpoznał swoją broń, a dopiero potem straszyciło w mrówczym hełmie i podartych dżinsach.

— Zabierz pikę! — zawołał do Ślepego. — To moja inteligencja. Mój braciszek.

— To ja...

— Dawaj broń — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Naboi ci było szkoda?

— Jakich naboi? — nie rozumiałem. Ślepy już przecinał więzy na rękach pozostałych jeńców.

— Oni zaraz wrócą — ostrzegłem gajowego. Nie spodziewałem się wprawdzie, że zgodnie z regułami gry rzuci mi się na szyję z okrzykiem: „Mój ty, wybawco!”, ale jak na mój gust był jednak zbyt suchy i rzeczowy.

— Wiem — odparł. — Broń w porządku? W rzece jej nie wykopałeś?

— W porządku.

— No, gdzie są ludzie? — krzyknął gajowy w ciemność celi.

W końcu korytarza narastały krzyki i tupot nóg.

— Nikogo nie wykończyłeś? — zapytał, zrywając ze ściany pochodnię i przydeptyując ją butem.

— Nie.

— I nie powinieneś. Nie w twoim stylu — powiedział gajowy. — Hełm znalazłeś przypadkiem?

— Prawie.

Jakbym był smarkaczem, który musi ze wszystkiego wytłumaczyć się wujowi. Nie bardzo wiedziałem, czy aprobuję moje postępowanie, czy też nie.

Ślepy wypędzał pozostałych z ciemnicy. Robił to bezceremonialnie, nie wszyscy nawet mieli rozwiązane ręce, rozcinał więc w biegu pęta i pokrzykiwał na chwiejące się cienie. Nawet ich bił. Nie chciałem, żeby bił swoich towarzyszy, chociaż on pewnie by nie zrozumiał moich oporów moralnych.

— Pójdiesz za nimi, Mikołaju. Masz topór, osłonisz ich. Zresztą jesteś zabezpieczony hełmem. Ja tu przez chwilę zostanę.

— Ja też.

— Dość tego! — powiedział gajowy. — Przecież tylko przypadkiem nam pomogłeś. Prędkiej sam byś zginął. Jasne? Przynajmniej teraz się posłuchaj.

Poszedłem więc za więźniami, którzy biegli truchcikiem w kierunku wyjścia z góry. Zdążyli pozbierać broń porzuconą przez żołnierzy.

Ślepy wyprzedził tłum i biegł przodem, zrywając ze ściany nieliczne pochodnie i depcząc je. Obejrzałem się. Sylwetka gajowego tkwiła przy zasnutej dymem ścianie.

Nagle huknął strzał. Odpowiedział mu daleki krzyk. Sylwetka leśnika oderwała się od ściany. Biegł ku nam.

Nie od razu zorientowałem się, że wyszliśmy na zbocze. Noc była ciemna, księżyc zaszedł i dopiero fala świeżego powietrza uświadomiła mi, że znaleźliśmy się na zewnątrz.

Zatrzymałem się. Minęła mnie pędem reszta uciekinierów. Popatrzyłem w niebo i pomyślałem, że pewnie nigdy już nie zobaczę tych gwiazd.

Szliśmy bardzo wolno. Nogi same podrywały się do biegu, bo przecież przed nami była rzeka, a potem otwarte pustkowia. Trzeba było jednak iść za ledwie wlokącymi się więźniami, nic innego mi nie pozostawało.

Wydawało mi się, że już od dawna, od wielu dni, a nawet miesięcy wędruje przez ten świat i że w istocie nie obchodzi mnie, czy jest to świat równoległy czy friedmanowski, zamknięty w elektronie. Przecież ludzie w nim żyją, cierpią, a nawet zabijają. Ja też w nim żyję. I gajowy.

W krzewach nad brzegiem zrobiło się małe zamieszanie, bo jeńcy bali się wejść do wody. Przez

liście widać było sylwetkę mostu, po którym biegały już czarne figurki. Mogli nas odciąć od lasu.

— W tej odnodze jest głęboko — powiedziałem. — Za wyspą jest płycej.

— Wiem — odparł gajowy. — Wielu z nich nie potrafi pływać. A mówiłem Ślepemu, żeby biec na most. Wartę byśmy zlikwidowali. Może zdejmiesz ten hełm? Bo jeszcze cię wywróci jak statek na burzliwym morzu.

Ślepy, wymachując rękoma i klnąc, wpędzał uciekinierów do wody. Leśnik przyłączył się do niego. Ze zbocza góry zbiegali już żołnierze, strzały z ich łuków gęsto świstały między nami.

— Nie wyrzucaj topora! — zawołał do mnie gajowy. — Jeśli ci za ciężko, oddaj Ślepemu.

— Nie jest mi za ciężko.

— Wobec tego płyn pierwszy. Jeśli któryś z Sukrów znajdzie ci drogę na tamtym brzegu, wal w łeb, na nic nie zważaj.

Wskoczyłem do wody i zapadłem się po pas, a potem po pierś. Tym razem nie musiałem chronić dubeltówki i wiedziałem, że pięć kroków dalej będzie płytko. Kiedy wydostałem się na wyspę, strzała tak silnie dziobnęła mnie w potylicę, że aż głowa poleciała do przodu. Mrówczy hełm uratował mi życie. Obejrzałem się. Na środku kanału zobaczyłem kilka głów. Gajowy, stojąc po pierś w wodzie, wpędzał na głębi ostatnich uciekinierów. Ruszyłem dalej.

Tuż za mną na brzegu pojawił się Ślepy. W jednym ręku trzymał dzidę, a drugą podtrzymywał ślaniającego się człowieka. Mężczyzna spróbował usiąść na trawie, ale Ślepy syknął na niego, wetknął mu do rąk dzidę i wrócił do wody, aby pomóc następnemu uciekinierowi.

Kiedy do brzegu dotarł gajowy, który zamykał naszą grupę, było już na nim sześciu lub siedmiu ludzi.

Przed nami bieląca ściana gęstej, mlecznej mgły. Nie zdążyliśmy się w nią zanurzyć, gdy dopadli nas strażnicy biegnący od strony mostu.

Nie wiem, czy kogoś zabiłem lub zraniłem w tej krótkiej potyczce na brzegu i potem w drodze przez pustkowie. Wymachiwałem toporem, biegłem, znowu machałem i znów biegłem. Rozlegał się szcęk metalu, ale ludzie w mrówczych hełmach — wyłaniający się z ciemności i znów w niej nikiący — wydawali się fantomami, bezosobowymi, bezcielesnymi i niezniszczalnymi zjawami.

Do lasu dotarliśmy we czterech: Ślepy, gajowy, ja i jeszcze jakiś chłopak z rozciętym głęboko ramieniem, które Siergiej Iwanowicz zabandażował swoją niebieską koszulką (podartą bluzę mundurową naciągnął potem na gołe ciało).

Skryliśmy się w głębi lasu, gdzie było bujne poszycie. Świtało już. Kilka razy zasypiałem w marszu, ale szedłem, wyczuwając przed sobą szerokie plecy Ślepego, mając nawet króciutkie, pogmatwane sny, których akcja toczyła się w laboratorium. Dowodziłem w nich Landzie, że wolna energia powierzchniowa planety, skoncentrowana w jednym punkcie zakrzywionej przestrzeni, zdolna jest do wytworzenia pomostu między dwoma światami, ale szef mnie nie słuchał, tylko wciąż powtarzał: „Spokojnego życia ci się zachciało, co?” Siedzieliśmy w gęstych zaroślach. Gdzieś niedaleko dudniły basowo trąby. Mrowisko ogarnęła panika.

— Chłopiec zginął — powiedziałem. — Syn Kurdy.

— Niemożliwe!

— Ciocia Agasza wysłała go ze mną do lasu. Zgubiłem chłopaka na jego skraju, a potem znalazłem. Martwego.

Gajowy zaklął.

— Nie powinienem był go brać ze sobą — powiedziałem. Oczekiwałem, że zaoponuje, że

powie: „Bez ciebie nie dalibyśmy rady się wydostać...”, ale tylko powiedział:

— Wybili cały ród. Nikt nie został.

— Przecież pan temu nie jest winien.

— Nie jestem winien — odparł gajowy twardo. — I tak by ich zabrali, jak z innych wsi. Sukrom teraz jest potrzebne żelazo, potrzebniejsze od chleba. Mają zamiar wojować z sąsiadami. Dopóki chleb był potrzebniejszy, ludzie jakoś żyli.

Odpędził komara i westchnął.

— Zapaliłbym papierosa. — Wzruszyłem ramionami. Dwa lata temu na Pamirze skończyło się nam palenie. Postanowiliśmy skoczyć gazikiem do Chorogu i trafiliśmy pod kamienną lawinę. Uratowaliśmy się tylko cudem.

Trąby huczały coraz bliżej. Ranny nie miał już siły iść. Ukryliśmy go w dziupli potężnego drzewa, którego wierzchołek był opalony przez piorun. Jednak nie od razu ruszyliśmy dalej. Wstydziliśmy się chyba, że jesteśmy cali i że możemy uciec. Chłopak milczał. Wyobrażałem sobie, jak się boi zostać sam. Może wziąć go ze sobą? Jakoś dotaszczymy go do szałasów...

Gajowy zarzucił dubeltówkę na ramię.

— Nie trap się, Kola — powiedział. — Nie damy rady go dowlec. Sami zginiemy i jego nie uratujemy. A Ślepy zna rozmaite zioła. Zioła tu mają, można powiedzieć, czarodziejskie. Silniejsze od narkotyków. Zaśnie chłopak na tydzień, a przez ten czas rany mu się zagoją.

Siergiej odgadł moje myśli, gdyż myśleliśmy obaj o tym samym albo nieomal o tym samym. Jeśli można odgadnąć cudzą myśl, to jest to pierwszy krok do wzajemnego zrozumienia. A czy nie czas byłoby już nauczyć się czytać myśli, mój miły szefie, znakomity Lando? Ile to już zjedliśmy ze sobą soli przez te prawie dwanaście lat...?

— Idziemy — powiedział leśnik. — Już czas.

Ślepy doprowadził nas do zarośli, skąd wiodła ścieżka do naszego domu. Do wsi nie można było wracać, bo tam już z pewnością czekają Sukry. Ślepy kierował się do odległego lasu. Przy pożegnaniu zaczął prosić o dubeltówkę, której gajowy mu nie dał, tłumacząc się tym, że nie ma nabojów. Ślepy obraził się. Siergiej Iwanowicz powiedział po rosyjsku:

— Nie zapomnij o rannym chłopaku. On jest z obcego rodu, nikt z krewnych mu nie został.

— Nie zapomnę — odburknął ze złością Ślepy.

— Niedługo wrócę — powiedział gajowy.

— Do kogo? Nie masz do kogo wracać, bo Agaszę zabiorę ze sobą.

Pożegnaliśmy się.

Szedłem wąską ścieżką. Siergiej Iwanowicz odsuwał gałązki, żeby nie biły go po twarzy.

— Daj mu broń — burczał leśnik. — A sam co zrobię? Zresztą oni i tak nie umieją strzelać, a w dodatku nie ma nabojów.

Usprawiedliwiał się przed samym sobą, a ja milczałem.

— A wracać tu rzeczywiście nie ma do kogo. Do tamtego lasu jest trzy dni drogi. Nawet w nim nie byłem. Atu wszystko spustoszone... Nie udało ci się wycieczka.

Słońce stało już dość wysoko, hełm grzał, ale gajowy powiedział, że bym na wszelki wypadek go nie zdejmował. Jeśli nas zobaczą, lepiej mieć go na głowie. Topór uwierał mnie w ramię.

— Daleko jeszcze? — zapytałem.

— Za godzinę będziemy na miejscu. Pić mi się chce.

— Wiesz co, Siergieju — powiedziałem nieoczekiwanie dla samego siebie. — Rozmyśliłem się.

Nigdzie nie odejdę.

— Nie rozumiem.

— Nie odejdę z instytutu.

— A dlaczego niby masz odchodzić?

— Długo by trzeba tłumaczyć... Mam takie wrażenie, jakby przesunęła się skala wartości. To, co wydawało się ważne, zrobiło się teraz zupełnie małe.

Odwrócił się do mnie. Ku mojemu zdumieniu uśmiechał się.

— Przesunęła się, powiadasz? To znaczy, że wstrząsnęło tobą? Nie szkodzi, takie rzeczy człowiekowi wychodzą na zdrowie. Żeby tylko dotrzeć do domu. A potem wiesz, co zrobię? Wrócę tutaj.

— Trzeba się spokojnie nad tym zastanowić — odparłem. — Czasami wróbel w garści bywa lepszy...

— A po co nam wróbel? Dobra, pomyślimy. Przecież widzisz, że idę do domu. Masza tam od zmysłów odchodzi. To już drugi dzień... Wrócę. Bo tutejsi są zupełnie jak dzieci. Wiesz, dlaczego wczoraj tak wyszło? Postanowili zaatakować górę, a na tamtych z drugiego lasu nie zaczekali. Do czego to podobne?

Po tych słowach ruszył szybszym krokiem, jakby chciał jak najprędzej wrócić i na serio zająć się tutejszymi sprawami.

— A Masza? — zapytałem.

— Maszę zostawię tobie — odparł gajowy. — Nie rzucisz jej?

Kiedy mijaliśmy rozległą polanę, ujrzeliśmy z lewej słup dymu.

— Wieś palą — powiedział leśnik. — Żeby tylko nie naszą. Ślepy musi wyprowadzić ciotkę Agaszę.

Wyobraziłem sobie, jak zapalają się wyschnięte lepianki. Każdy stożkowy słomiany dach staje się okrągłym ogniskiem. A jeśli zajmie się palisada, ucierpi również sad.

— Byłeś tam w jej ogrodzie? — zapytałem.

— Gdzie?

— W maleńkim ogródku za jednym z domów.

— Ocknij się — powiedział gajowy. — Tam na całą wieś jest jedno drzewo, żeby mieli na czym mnie powiesić, a i to uschnięte.

Przed nami, w odległości jakichś stu metrów, przez drogę przebiegł niekul. Zdążyłem dobrze przypatrzeć się jego muskularnemu ciału na długich, smukłych nogach.

— Widziałeś?

— Nie chcę strzelać bez potrzeby — odparł gajowy. — Usłyszają.

— Uważasz, że mogą tu na nas czekać?

— Chyba nie, ale czy to można wiedzieć? Najgorzej, jak człowiek uważa wrogów za durni. Oni przecież wiedzą, z której strony przychodziłem do wsi.

Ta myśl wydała mi się pozbawiona sensu, należąca do innej warstwy snu, do nocnej części koszmaru. Tam nie mogło być strażników, gdyż oni znikają, kiedy kur trzy razy zapieje. Czy warto o nich myśleć, skoro obaj mamy tyle do zrobienia?

Wpadliśmy w zasadzkę tuż przed drzwiami do naszego świata.

Strażnicy nie ośmielili się do nas zbliżyć, tylko krzyknęli z daleka, bo nie byli pewni, kim jesteśmy. Zaczęliśmy biec. Od rozdwojonej sosny dzieliło nas jakieś trzysta metrów, ale Siergiej

Iwanowicz nie kierował się wprost do niej, lecz biegł przez zarośla nieco w bok. Zdążył nawet krzyknąć:

— Nie ściągnij ich do nas, zacieraj ślady!

Żołnierze strzelali z łuków. Jedna ze strzał wbiła się w plecy gajowego. Biegł nadal, klucząc między pniami, a opierzenie strzały niczym jakaś dziwaczna ozdoba kołysało się z tyłu. Kiedy upadł, strażnicy stracili nas z oczu, bo do lasu obawiali się wejść.

— Co z tobą?

Leżał z policzkiem przyciśniętym do żółtej, wypalonej trawy.

Chwyciłem drzewce strzały, chciałem ją wyciągnąć, ale przypomniałem sobie, że tutejsze groty są zębate niczym ostrza harpunów...

— Głęboko siedzi — wychrypiał gajowy. — Głęboko, pod samym sercem. — W kąciu ust ukazała się kropelka krwi. — Nie ciągnij... Ułam...

Ktoś wyszedł na polankę. Odwróciłem się i zacząłem macać ręką po ziemi, szukając topora, ale nie zdążyłem.

Mocne uderzenie trafiło mnie w hełm i ramię. Nie straciłem przytomności, lecz upadłem, skręcając się z bólu. Czuję się tak, jakbym nigdy już nie miał odetchnąć... Wydało mi się, że jednak wstaję, aby obronić leśnika, gdyż nie możemy zginąć tutaj, o dwa kroki od domu...

W oczach nieco mi się przejaśniło i wtedy zobaczyłem że nad gajowym, odrzuciwszy ciężką gałąź, pochyła się Masza. Gładziła go po policzku, szeptała coś w swoim języku, płakała. Jeszcze nie zdając sobie sprawy z tego, że to właśnie ona mnie uderzyła, biorąc mnie za strażnika, pomyślałem, że Siergiej umarł — tyle bólu było w całej jej postaci. Zanim wstałem i podszedłem do niej, zacząłem ściągać mrówczy hełm, nieomal urywając sobie ucho. To wszystko jednak nie było ważne. Nieważne było, że nie słuchają się ręce i że kręci się w głowie. Masza spojrzała na mnie przelotnie i odwróciła się.

— Lusz — powiedziałem — trzeba uciekać...

Nie chciałem myśleć, że leśnik umarł, wiedziałem tylko, iż trzeba jak najszybciej przenieść go z powrotem do domu i że jeśli to zrobimy, wszystko będzie dobrze...

— Uciekać... — powtórzyła Masza.

Ułamałem strzałę tuż przy samej bluzie, gorącej i mokrej od krwi. Ciągnęliśmy Siergieja twarzą do ziemi, bo ani ja, ani Masza nie mieliśmy dość sił, aby go podnieść.

Kiedy wreszcie całkowicie wyczerpani upadliśmy na ziemię przy samym szałasie, leśnik powiedział cicho, ale wyraźnie:

— Nie zostawiaj broni.

— Mój Boże — wykrzyknęła Masza. — Po co ci broń...

A ja zmusiłem się do tego, żeby wstać, dowlec się po zmiętej trawie do miejsca, gdzie upadł gajowy, znalazłem dubeltówkę, podniosłem nie wiadomo po co topór z dwoma ostrzami, a kiedy wróciłem, Masza już do połowy wciągnęła Siergieja do szałas. Wtedy niezręcznie, starając się nie upaść, pomogłem jej przepchnąć go i samej wcisnąć się w czarną kurtynę, nieskończoną i krótką jak mgnienie oka, i przywrócić Siergieja jego światu, bagnetom, sosnom.

Wiedziałem, że jeśli to nie jest sen, to tam, u siebie, już nie zdołam zrobić nawet kroku i Masza sama będzie musiała biec przez las do drogi, do szpitala, do lekarza, i że może nie zdążyć.

tłumaczył Tadeusz Gosk

Śmierć piętro niżej

Część pierwsza. Przed północą

Samolot wylądował o świcie. Naburmuszeni pasażerowie, wyrwani z przyjemnego snu, przeciągali się leniwie koło trapu. Śnieg był niebieski, takie samo niebo, a światła lądowiska — żółte. Po chwili ruszyli gęsiego w stronę budynków lotniska. Z okapu, pod którym spory tłumek oczekiwał na bagaże, spadały grudy śniegu. Leżały tam rozdeptane i brudne. Oczekujących prawie nie było. Na Szubina jednak ktoś czekał. Przewodniczący miejskiego towarzystwa „Wiedza” przedstawił się jako Fiodor Nikołajczyk i natychmiast zaczął wypominać przybyłemu mężczyźnie spóźnienie samolotu.

— Czterdzieści minut! — powiedział tak, jakby to Szubin specjalnie spowalniał samolot w powietrzu. Witającemu się w ten szczególny sposób Nikołajczykowi towarzyszyła młoda kobieta w leninówce i kurtce ze sztucznej skóry. Okazało się, że jest kierowcą, i ma na imię Ela.

Szary moskwicz towarzystwa „Wiedza” stał na pustym niebieskim placu. Zamarznięte drzwi długo nie chciały się otworzyć. Nikołajczyk powiedział, że wysiądzie po drodze na nowym osiedlu, gdzie dostał dwupokojowe mieszkanie. Gdy w końcu usadowili się w wychłodzonym samochodzie wyciągnął wymiętą kartkę i, nie patrząc na nią, bo i tak nic by nie zobaczył w panujących wokół ciemnościach, zaczął opowiadać, gdzie i kiedy Szubin ma występować. Szczególnie dumny był ze zorganizowania dwóch otwartych wykładów.

— Nie możemy wam zapłacić tak jak Chazanowowi, ale ludzie u nas są ciekawi.

Nikołajczyk miał profil Indianina z plemienia Majów, całość psuły tylko zwisające wąsy, jakich z pewnością Majowie nie nosili. Samochód jechał po oblodzonej drodze, między czarnymi, wystrzępionymi ścianami jodeł. Szubinowi zachciało się spać, przytulił policzek do szyby, która była lekko uchylona, ale poczuł bardzo nieprzyjemny zapach z zewnątrz, dosłownie jakby przejeżdżali obok szamba.

— To pan występował w telewizji w tym tygodniu? — zapytała Ela. — Zapamiętałam pana nazwisko.

— To nam zwiększy frekwencję — powiedział Nikołajczyk. — Teraz ludzie bardziej interesują się problemami wewnętrznymi, ekologią, reformą cen, sam pan rozumie.

Las się skończył, zaczęło się pustkowie usiane bezładnie rozrzuconymi magazynami, a za nim ciągnął się długi, betonowy, fabryczny płot. Kominy zakładu — jak kolumny zniszczonej przez czas, antycznej świątyni — wypluwały kłęby różnokolorowego dymu.

Za fabryką rozpościerało się osiedle mieszkaniowe, pełne czteropiętrowych, przygnębiających bloków. Rozmieszczone wśród nich wyższe, ośmiopiętrowe, potęgowały tylko wszechobecny smutek. Na przystanku autobusowym tłoczyły się ciemne postacie.

— Pożegnam się tutaj — powiedział Nikołajczyk. — O dziesiątej zadzwonię do hotelu. A teraz proszę odpocząć.

— Dziękuję za powitanie i opiekę.

— To nasz obowiązek. Witamy każdego — powiedział Nikołajczyk, otwierając drzwi po swojej

stronie. — Bez względu na stanowisko i pozycję.

Szubinowi przez głowę przemknęło podejrzenie, że jego znaczenie i pozycja są zdecydowanie niewystarczające.

— O której mam pojechać? — zapytała Ela.

— Jak zwykle — odpowiedział Nikołajczyk.

Pojechali dalej. Ela powiedziała:

— Jak zwykle — to zupełnie nic nie znaczy. Blokowiska skończyły się. Samochód jechał długą ulicą wśród parterowych domków. Dawno temu, gdy miasto było nieduże, domy te otaczały jednopiętrowe centrum. Na skrzyżowaniu długo stali, czekając na zmianę świateł..

— Siergiejenkę pan zna? — zapytała Ela. — Przyjeżdżał do nas w tym miesiącu.

— A czym on się zajmuje?

— To chemik — odpowiedziała Ela. — Zajmuje się ekologią. Zadawali mu mnóstwo pytań, nie wyobraża pan sobie, co się działo, trzymali go do pierwszej w nocy.

— A czym naraził się Silantiewowi?

— Założyliśmy komitet — powiedziała Ela. — Ekologiczny. Walczy ze sztucznymi paszami i fabryką chemiczną. Prezentują się, gdzie tylko mogą.

— Rozumiem — powiedział Szubin.

— Chciałam pójść na wiec, ale Nikołajczyk dowiedział się i zabronił. Obiecali mu wtedy mieszkanie, bał się, żeby w jego kolektywie nie było dysydentów.

— Surowo tu was traktują.

— Groński, Nikołajew i Silantiew to wielka trójca — powiedziała Ela. — Silantiew się nie wychyli. Miasto dostaje pieniądze od kombinatu. I od fabryki. Kto tylko da. Każdy głupi to rozumie.

Dojechali do centrum. Smutne, ale logiczne skupisko jednopiętrowych, murowanych domów, plac, na którym królowała katedra i duży, ozdobiony ogromnymi kolumnami budynek, szpecify wciśnięte na siłę wieżowce i szklany, beznadziejny supermarket.

— W katedrze urządzili magazyn? — zapytał Szubin.

— Nie, nie, skądże! Kino, a niedługo mają otworzyć filharmonię. Wspaniała akustyka, aż trudno to sobie wyobrazić.

Gdy skręcali w stronę dworca, przy którym stał hotel „Radziecki”, było już całkiem widno, a na placu kręciło się sporo ludzi.

— Do nas warto przyjechać latem, wtedy jest tu zielono, naprawdę ładnie — powiedziała Ela.

Place dworcowe rzadko są ładne, a zimny, listopadowy poranek, czarne szkielety drzew, sam budynek dworca, wybudowany najwyraźniej jako próba połączenia ideałów klasycyzmu i optymizmu epoki, dawno nie malowane, ogradzające brudno — śnieżną przestrzeń betonowe płyty, ustawione prostopadle do fasady dworca i zamykający plac typowy, czteropiętrowy hotel — cały ten obraz prowincjonalnej normalności wprowadził Szubina w stan ducha, wywołujący niechęć do samego siebie. Co mnie tutaj przyniosło? Trzy setki, które mi zapłacą za wykłady czy niechęć do kłótni z moskiewskim towarzystwem „Wiedza”, które, w osobie energicznej Ninoczki Georgiewny, obiecało odwdzięczyć się wiosenną wycieczką do krajów nadbałtyckich?

Ela powiedziała:

— Proszę iść. Zamknę samochód i już idę.

— Tutaj zawsze tak pachnie? — zapytał Szubin, kręcąc nosem.

— Przyzwyczailiśmy się. Wielka chemia.

Po pięciu śliskich schodkach Szubin doszedł do szklanych drzwi, po kolei pchnął bezskutecznie prawe i środkowe skrzydło, ale dopiero lewe ustąpiło. W holu, na krześle obok drzwi drzemał staruszek, z czerwoną opaską na rękawie. Nie obudził się, gdy Szubin przechodził obok. Na drewnianych ławkach spali ci, którym nie udało się zdobyć miejsca w hotelu. Recepcjonistki nie było, za to przyszła Ela. Nie bała się obudzić choćby i całego hotelu, zaczęła głośno się dopytywać:

— Hej, jest tu ktoś? Gościa trzeba przyjąć.

Ktoś z drzemających na ławeczkach obudził się i powiedział:

— Nie ma wolnych miejsc. Recepcjonistka wyszła z jakiegoś zakamarka. Pojawienie się Szubina tak ją rozgniewało, że nawet nie chciała rozmawiać. Pomachała tylko ręką za kontuarem, a Ela powiedziała:

— Ma pan paszport?

Szubin wyjął paszport, a wtedy recepcjonistka zaczęła szukać rezerwacji. Szubin czuł się niezręcznie wobec tych, którzy obudzili się i wpatrywali mu w plecy, a jednocześnie bał się, że pracownica hotelu nie znajdzie rezerwacji i będzie musiał siedzieć w zimnie, na brzegu ławki, czekając, aż Nikołajczyk zacznie pracę, pojawi się i przywróci sprawiedliwość oraz dobre imię towarzystwa „Wiedza”. Na szczęście rezerwacja się znalazła.

Kiedy Szubin wypełniał formularze, hotel zaczął się budzić. Ktoś podszedł do kontuaru, żeby być bliżej recepcjonistki i przypomnieć o sobie. Przy drzwiach chudy oficer z potężną żoną i dwójką dzieci klócił się ze staruszką, który monotonnym głosem powtarzał:

— Nie ma miejsc, nie ma miejsc, nie ma miejsc.

Po schodach schodzili trzej zaaferowani mężczyźni o zdecydowanie kaukaskich rysach, ubrani w skórzane płaszcze i czapki z bobra. Wyrzucali z siebie szybkie zdania, zaczynając każde od słowa „ara”!

Ela powiedziała:

— No i udało się. Przyjdę dziś na pewno na pański wykład.

Dopiero teraz w tym jasno oświetlonym holu Szubin zobaczył, jaka była młoda. Oczy brązowe, lekko skośne, usta intensywnie różowe. Gdy mówiła, widać było złotą koronkę na zębie.

Ela wyciągnęła do Szubina rękę, palce miał długie, dłoń suchą i gładką, spierzchniętą jak u kogoś, kto musiał pracować rękami na mrozie.

— Proszę odpocząć — powiedziała. — On nie zadzwoni o dziesiątej. Będzie spał do dwunastej. Zresztą i tak wcześniej nie postawię mu samochodu. Też muszę się przespać. Przez pana jeszcze nie spałam.

Powiedziała to bez pretensji, więc Szubin nie poczuł się winnym.

— Dziękuję — powiedział. — To znaczy, że mam pięć godzin?

— Co najmniej — uśmiechnęła się Ela.

Coś sobie przypominała, podbiegła do kontuaru i zapytała:

— Ciepła woda jest? Gościa mamy z Moskwy.

— Jest, jest — odpowiedziała recepcjonistka. — Myjcie się.

Szubin wszedł na trzecie piętro. Kierowniczką piętra nakryta płaszczem spała na kanapie. Miała klucze, więc musiał ją obudzić.

Kobieta powiedziała:

— Nic się nie stało, nie ma co przepraszać. I tak pora wstawać. Na długo?

— Na trzy dni.

Pokój był malutki. Szubinowi wydało się, że kiedyś już tu mieszkał. Rzeczywiście, mieszkał w wielu podobnych pokojach, w takich samych hotelach.

Rozebrał się, obejrzał swój dom i wrócił do dyżurnej. Nie spała, rozmawiała z pokojówką o wątróbce, którą przywieźli do jakiegoś sklepu. Szubin powiedział:

— Przepraszam, ale nie dostałem mydła ani papieru toaletowego.

— Też coś! — dyżurna była wręcz obrażona. — Już drugi rok nie ma.

— Jak tak można? Nawet w rejonowych hotelach...

— Nie dają! Piszcie o tym, gdzie trzeba — a to tacy, jak wy do mnie z pretensjami się zwracają!

A jak wyjadą, to zapominają.

— No, a może bym kupił?

— Nie mam.

— Chcecie, dam kawałek? — powiedziała pokojówka. — Został mi jeden w pokoju. Jeśli się nie brzydzicie?

— Dziękuję.

Szubin nalał wody do wanny. Rzeczywiście była ciepła, ale pachniała siarkowodorem. Choć może nie, nie siarkowodorem, a czymś bardziej złożonym.

Umywszy się, mężczyzna położył się, ale nie pospał długo. Męczyła go panująca w pokoju duchota, uchylił okno; do pomieszczenia wdarł się dworcowy hałas. Zrobiło się zimno. Szubinowi zdawało się, że nigdy nie uśnie, a jednak zapadł w sen. Obudził go dzwonek telefonu. Zerwał się, a będąc jeszcze zaspanym, nie trafił ręką w słuchawkę i stracił aparat na podłogę. Na szczęście nie rozbił się.

Szubin kucnął i podniósł słuchawkę do ucha.

— Dzień dobry — usłyszał zmęczony głos Nikołajczyka. — Jak tam odpoczynek?

— Dziękuję — odpowiedział hotelowy gość. — Spałem.

— Proszę spać dalej — powiedział Nikołajczyk. — Samochód przyjedzie o drugiej. Szary moskwicz, widział go pan już. Kierowca też będzie ten sam.

— Dużo macie samochodów?

— Jeden — z powagą odpowiedział Nikołajczyk.

— Zadzwoił pan do mnie, żeby mi zakomunikować, że mogę spać dalej?

— Myślałem, że może czeka pan na mój telefon, tak jak się umawialiśmy — powiedział Nikołajczyk.

— Dobrze, dziękuję — powiedział Szubin.

Wsunął się pod kołdrę, ale nie mógł się rozgrzać. Sen nie wracał. Postanowił wstać, pospacerować po mieście. Poza tym był głodny.

Woda była tylko zimna, w dodatku cuchnęła. Restauracja w hotelu była zamknięta, musiał iść na dworzec i stać w kolejce do baru, gdzie — przy znajdujących się obok automatach — hałasowały nastolatki. Szubina prześladował zapach — inny, niż fetor wody, ale wyczuwalny, przenikający, wstrętny, jakby gdzieś w pobliżu leżała zdechła mysz. Ludzi było dużo, jak zwykle na dworcu, gdzie niektórzy spędzają po kilka dni. Gdy przez megafon dwa razy ogłoszono, że pociąg Swierdłowski-Perm wjeżdża na peron pierwszy, natychmiast zaczął się, spowodowany wygłoszonym komunikatem, intensywny ruch.

Szubin wyszedł na peron, aby uwolnić się od nieprzyjemnego zapachu. Obok wagonów sypialnych bez rezerwacji kłębił się tłum. Szubin spojrział na nich i zauważył, że wszyscy

pasażerowie wchodzący do wagonu byli z dziećmi. Na peronie śmierdziało jeszcze gorzej. Zaczęło go nawet trochę mdlić. A może to przez kurczaka na zimno, którego zjadł w bufecie? Tylko tego brakowało...

Wrócił na plac przed dworcem. W kioskach prywatnie handlowali naszywkami na dzinsy, bawełnianymi bluzeczkami i sztuczną biżuterią. Szubin postanowił kupić sobie coś na obiad, poprosić dyżurną w hotelu o trochę herbaty i w ten sposób uniezależnić się od punktów zbiorowego żywienia. Ale udało mu się kupić tylko chleb i herbatniki. W sklepie spożywczym wisiał wstydlivy napis: „Kiełbasa zwyczajna i masło tylko na zamówienie mieszkańców”.

Z każdą chwilą miasto coraz mniej się podobało Szubinowi. Nic nie zmieniły ani zachowane bliżej centrum, miłe, przysadziste, prowincjonalne domki jednorodzinne, ani miejski park z fontannami, gdzie na środku stał neptun w kąpielówkach... Do gustu przypadła mu tylko księgarnia. W środku było ciepło; zapach, przenikający całe miasto niechętnie poddawał się wobec woni farby drukarskiej i książkowego kurzu. Sklep był niewielki, ukryty we wnętrzu starego domu. W oddalonym kącie znajdował się nawet antykwariat, gdzie ściśnięte na półkach stały tomy światowej literatury, a na ladzie, grzbietami do góry tłoczyły się książki stosunkowo nowe, a które znudziły się właścicielom, bo były nieciekawe. Osobna półka została wydzielona dla bardzo starych książek. Szubin podszedł do niej, łaskawie dopuszczony przez chudziutką, kędzierzawą dziewczynę w ogromnych okularach. Dziewczyna zapytała:

— Coś pana konkretnie interesuje?

— Nie, nic konkretnego.

— Lubi pan książki?

— A kto ich nie lubi?

— Rzadko miewamy ciekawe pozycje — powiedziała dziewczyna — ale trafiają się prawdziwi miłośnicy. Jeśli przyjechał pan do nas na dłużej, radzę zajrzeć do Towarzystwa Przyjaciół Książki.

— Przyjechałem na krótko. Nieciekawie tutaj pachnie. Szubin nie miał na myśli nic złego, ale zorientował się, że na pewno obraził dziewczynę.

— To znaczy na zewnątrz — dodał pośpiesznie.

— Do tego nie można się przyzwyczaić — powiedziała dziewczyna. — Rozumiem pana. W „Radzieckim Przemysle” był artykuł o nas, całkiem niedawno. Autor miał potem duże nieprzyjemności. Kierownictwo zadziałało.

— Mają aż takie długie ręce?

— Tak, sięgają nawet do Moskwy, do ministerstwa! Ręka rękę myje.

— Słyszałem, że w mieście założono organizację ekologiczną?

— Chcemy zorganizować wiec — powiedziała dziewczyna. — Sama chodziłam do rady miejskiej. Nie pozwolili. Powiedzieli, że podejmą odpowiednie kroki.

Człowiek z czarną brodą i długimi, potarganymi włosami podszedł całkiem blisko i powiedział:

— Natasza, zaprosiłabyś gościa na spacer nad rzekę.

— Borys! Nie zauważyłam cię.

— Trudno mnie nie zauważyć — odpowiedział długowłosey. — Zauważają mnie dużo częściej niżbym chciał.

Zaśmiał się głośno.

Borys cały czas sprawiał wrażenie człowieka agresywnego, nawet gdy milczał i, pewnie także wtedy, gdy spał. Tacy ludzie od razu budzą niechęć przełożonych, co bynajmniej nie powstrzymuje

ich od wchodzenia w konflikt z kierownictwem.

— Biorąc pod uwagę, że wpadł pan do księgarni, jest pan z Leningradu — kontynuował brodaty mężczyzna. — Jest pan człowiekiem godnym szacunku, bywałam za granicą. Zgaduję — starszy pracownik naukowy, chemik, który zamierza coś wdrażać w naszej fabryce. I dlatego, dzieląc postawę mieszkańców, pozostanie pan przy swojej opinii, a nawet będzie pan popierał dalsze trucie ludzi, sam — co prawda — pozostając poza zasięgiem fetoru. Czemu pan milczy? Zgadłem? No oczywiście, zgadłem! Takich typów rozpoznaję w mgnieniu oka.

Borys nadal się śmiał, a Szubin poczuł do niego wstręt — do tłustych, niemytych włosów, niedogolonej, chudej twarzy, czerwonego nosa, do żółtych rąk z obgryzionymi paznokciami.

— Nie, nie zgadł pan — powiedział Szubin i odwrócił się w stronę półki.

— Nie, to nie — powiedział długowłosy mężczyzna. — Mnie nie zależy.

— Boria, obrażasz nieznanego człowieka — powiedziała, czerwieniąc się, Natasza.

— Zawsze takich obrażam — powiedział Borys. — Zbyt dużo jest między nami barier — klasowych, socjalnych, narodowych, a nawet higienicznych. Taniego mydła u nas nie mają a na drogerię mnie nie stać.

— Dziękuję — powiedział Szubin do Nataszy i odszedł od półek. W innej sytuacji przyłożyłby jasnowidzowi, który, za pomocą nie nadającej się do niczego metody dedukcji, przeprowadził go do Leningradu i uczynił chemikiem. Za plecami Natasza coś szeptała, a Borys powiedział głośno w ślad za oddalającym się Szubinem:

— Mordercy! Wszyscy z jednego stada...

W mieście nie było nic więcej do oglądania. Może by tak poszukać muzeum?

Ale przecież z góry wiadomo, co będzie w takim muzeum. Ekspozycje zatwierdzone w Ministerstwie Kultury.

Do hotelu Szubin wrócił inną drogą. Na szczęście trudno było się zgubić, gdyż miasto zaprojektowano w dziewiętnastym wieku, pod linijkę. Ociepliło się, biały śnieg leżał jeszcze tylko na podwórkach. Dachy były mokre, chodniki i jezdnie pokrywało błoto pryskające spod kół zapchanych do granic możliwości autobusów. Nad ludźmi stojącymi w kolejce po grejpfruty wisiało przyklejone do ściany, napisane krzywymi literami hasło: „Obronimy czyste powietrze!“. Walka o czystość środowiska naturalnego, wyrażona w transparencie powieszonym na tyle wysoko, by nie można go było łatwo zerwać, rozdrażniła Szubina. Przypomniał mu się Borys i od razu poczuł współczucie dla zarządzających fabryką chemiczną.

Słońce wyrzało zza sinych obłoków, lecz za krótką chwilę znów skryło się za chmurą. Zaczął padać zimny deszcz. Kolejka pokornie mokła, chowając się pod parasolami. Szubinowi zdawało się, iż deszcz śmierdzi, pożałował, że nie wziął parasola.

Nikołajczyk przyszedł o drugiej. Długo zdejmował palto, składał parasol.

— Dobrze pan odpoczął? — zapytał.

— Dziękuję.

— Zapomnieliśmy omówić problem wyżywienia — powiedział. — Na Łunaczarskiego jest przyzwoity bar mleczny. Tyle, że trzeba tam iść albo przed pierwszą, albo po trzeciej, bo w ciągu dnia jest tam mnóstwo ludzi.

Był bardzo smutnym człowiekiem, zupełnie jak pogoda. Przeszedł do pokoju, usiadł za biurkiem, rozłożył na nim pomietą kartkę, tą samą, którą usiłował odczytać wczoraj w samochodzie.

— Teraz jedziemy na spotkanie z towarzyszem Silantiewem. Wypijemy z nim herbatę i coś

przegryziemy.

— Kiełbasę na kartki? — zapytał Szubin, którego rozboleła głowa. Nie przyzwyczał się jeszcze do lokalnych wyziewów.

— Doceniam poczucie humoru mieszkańca stolicy — powiedział Nikołajczyk. — A jednak zaopatrzenie na kartki dla nas, mieszkańców prowincji, ma swoje zalety, gdyż pozwala wprowadzić sprawiedliwość społeczną. Dzięki temu zlikwidowaliśmy kolejki po deficytowe towary. Ale nie radzę żartować na ten temat u towarzysza Silantiewa — ten rodzaj poczucia humoru może do niego nie trafić. Zaopatrzenie miasta napotyka na wiele trudności. A towarzysz Silantiew na swym stanowisku niemało zrobił, aby polepszyć warunki życia.

Wygłosiwszy ten monolog, Nikołajczyk głośno odetchnął i zapatrzył się w okno. Szubinowi wydało się, że ktoś go wyłączył.

Cichutko weszła Ela. Była w tej samej czapce i takiej samej skórzanej kurtce.

— Fiodorze Siemionowiczu — zwróciła się do Nikołajczyka. — Musi pan jeszcze zdążyć do „Komuny paryskiej”. Zapomniał pan?

— Rzeczywiście — powiedział Nikołajczyk. — Zapomniałem.

Był zmieszany, ale uśmiechnął się, a wtedy Szubin pomyślał, że czasem bywa normalny, a nawet sympatyczny. Nikołajczyk długo ubierał się. Nie wiadomo dlaczego, rozłożył parasol w maciupieńkim przedpokoju, a gdy się nie zmieścił w drzwiach, znów go złożył.

Ela stała na środku pokoju, oglądając go z ciekawością, jakby chciała przekonać się, jak mieszka znany korespondent międzynarodowy.

— Zawsze pan wozi ze sobą maszynę do pisania? — zapytała.

— Zawsze.

— Żeby od razu zapisać, jeśli coś przyjdzie do głowy?

— Mniej więcej tak.

Nikołajczyk zatrzasnął drzwi i głośno tupiąc, ruszył korytarzem.

— Na mnie już czas — powiedziała Ela, nie ruszając się z miejsca.

— Czy on zawsze jest taki, czy czasem zachowuje się inaczej?

— Jest całkiem przyzwoity — powiedziała Ela. — Tylko zastraszony. Wyrzucili go z rady miejskiej i od tego czasu się boi. Myślałam, że mu przejdzie, gdy dostanie mieszkanie. A on się przyzwyczał...

Zaśmiała się.

Drzwi otwarły się, do środka wsunął głowę Nikołajczyk. Czapka zaczepiła się o futrynę i upadła, a wtedy przykucnął i zapytał:

— Elu, nie spóźnimy się?

— Pojadę szybko — powiedziała dziewczyna. — Rozmawialiśmy o panu.

— Wiem — Nikołajczyk wstał, naciągnął czapkę. — Słyszałem.

Wyszli, ale po chwili Ela znów zajrzała do pokoju.

— Odwiozę go i przyjadę po pana! Proszę się ubrać.

Miejski komitet partii znajdował się w solidnym, ozdobionym kolumnami, dwupiętrowym domu, w którym, prawdopodobnie, wcześniej znajdowało się gimnazjum. Idąc po szerokim korytarzu, Szubin zerknął w otwarte drzwi i zobaczył, że salę rozdzielono niskimi, nie sięgającymi do sufitu ściankami działowymi. Donosił się zza nich stuk maszyn do pisania i szum głosów. Po korytarzu snuli się interesanci, niektórzy stali oparci o ścianę, inni siedzieli na parapetach. Na końcu korytarza

znajdowały się drzwi obite sztuczną skórą. Po obu stronach przybite były czarne, oszklone tabliczki. Z prawej — „W.G. SILANTIEW”, z lewej — „W.G. Myszkina”. Rzuciło się w oczy to, że nazwisko Myszkina napisano znacznie mniejszymi literami.

Ela zdjęła czapkę w poczekalni, gdzie z obu stron wąskiego okna stały biurka, przy których siedziały posunięte w latach sekretarki.

— Przyprowadziłam — powiedziała.

— Niech towarzysz poczeka — powiedziała pierwsza sekretarka. — U Wasilija Grigoriewicza trwa spotkanie.

— Proszę usiąść — powiedziała Ela — pójdę po Nikołajczyka. On się tutaj zawsze gubi. Był już tyle razy i ciągle się gubi.

Szubin usiadł na miękkim krześle tuż obok drzwi. Były obite taką samą sztuczną skórą, jak drzwi wejściowe, obok wisiała identyczna tabliczka.

Sekretarki nie patrzyły na niego. Z gabinetu dobiegały strzępki zdań, rozmowę prowadzono podniesionym głosem.

— Wywożą dzieci z miasta — dudnił basem nieznajomy głos. — Tylko patrzeć, jak w Swierdłowsku też się zacznie.

— Wiecie przecież, Wasiliju Grigoriewiczu — odpowiedział inny głos, też władczy, ale nieco wyższy. — To wszystko babskie plotki. Kirył potwierdzi.

— Niebezpieczeństwo jest mocno wyolbrzymione, Wasiliju Grigoriewiczu. Cały czas monitorujemy sytuację. Zachorowania nie nasilają się.

Trzeci głos nie miał w sobie nic władczego. Tenor.

— Kirył to specjalista. Za to mu płacą.

— Kto płaci? Kto płaci? — ryczał Wasilij Grigoriewicz. — Wiesz, że na jutro zaplanowali wiec?

— Trzeba to ukrócić — z przekonaniem powiedział drugi głos. — Sam rozumiesz, po co to robią i komu to potrzebne?

Nastąpiła przerwa. Po chwili Wasilij Grigoriewicz powiedział o ton niższym głosem:

— Chociaż z zapachem byście coś zrobili. Zaraz będzie u mnie taki jeden z Moskwy...

— Skąd?

— Z Moskwy.

— Chodzi mi o to, kto go przysłał.

— Tym się nie przejmuj. To „Wiedza”. Korespondent międzynarodowy.

— I co z tego? Znamy takich korespondentów.

— O tym właśnie mówię: nawdycha się naszego aromatu, wróci i pogna do KC!

— Na pewno korespondent międzynarodowy?

— No co ty! Na pewno. Przedwczoraj występował w telewizji.

— Kiedy mam jeszcze telewizję oglądać? Uprzedziłeś Kirinienkę?

— Milicja wie beze mnie. Nie sądzę... zawsze to lepiej zabronić niż rozganiać.

— Muszą być inicjatorzy. Trzeba unieszkodliwić przywódców.

— A pieriestrojka?

— Na żarty ci się zebrało?

— Nie żartuję. Muszę tu pracować. Ty masz w odwodzie Moskwę — zatuszują. A mnie kto obroni? Ty?

Przerwa. Potem niezrozumiałe dźwięki oddalających się głosów. I znowu, wyraźniej:

— Wyślij ich dokądkolwiek. Leży to w naszym, wspólnym interesie.

— Nasz wspólny interes to służba ludziom.

— Patrzcie no, jak przemówił. Stołka pilnujesz?

— Jeszcze mi sporo zostało do emerytury. Na twojej liście jest Siniawska... znajome nazwisko.

— Z instytutu pedagogicznego.

— Dawno powinna być na emeryturze. A ten Żyd, co urządził głódówkę na placu? Pamiętasz, Kirinienko wsadził go na piętnaście dni.

— Borys Mielkonian. Jest na liście.

— Ormianin?

— Być może, i Żyd. Kolejna pauza. A potem:

— Weź swój wykaz. Nie będę się w to wtrącał. Niech sobie wiecują.

— I tak nie utrzymasz swojego stołka. Daj im tylko palec.

— Lepiej byście pomyśleli o oczyszczalni. Uruchomiliście drugą linię, a o niej znowu zapomnieliście.

— A co ja mogę? Piszę, dzwonię, a oni tylko: pilnuj planu!

— Przypominam... Dzieci wywożą z miasta.

— Sytuacja normalizuje się. W listopadzie nie było awaryjnego puszczenia odpadów.

— Mogę zapewnić, że podjęte środki powinny wystarczyć — powiedział milczący przez dłuższy czas tenor.

— Mam list od docenta Bruni. Uprzedza mnie, nie dowierza kontroli sanepidu — wszyscy siedzicie w kieszeni u Grońskiego.

— Wasiliju Grigoriewiczu, a kto by tam wierzył temu Bruni?

Do poczekalni szybkim krokiem wszedł Nikołajczyk. W rękę gniótł zmokniętą czapkę.

— Pan tutaj? Jak dobrze! Zatrzymali mnie — powiedział — jeszcze pana nie przyjęli?

Szubin nie odpowiedział. Żałował, że hałas, jaki czynił Nikołajczyk, zagłuszył głosy dochodzące z gabinetu.

— A co? Jest zajęty? — Nikołajczyk powiesił czapkę na wieszaku stojącym w kącie poczekalni. Zaczął zdejmować palto. — Ktoś u niego jest?

— Groński i inspekcja sanitarna — niezadowolonym głosem odpowiedziała sekretarka. Szubin zrozumiał, że ona też słuchała toczącej się za drzwiami rozmowy i również żałuje, że Nikołajczyk jej w tym przeszkodził.

— W takim razie poczekamy — powiedział Nikołajczyk, siadając obok Szubina. — Omawiają ważniejsze problemy. Nachylił się nieco w stronę Szubina i ściszył głos:

— W mieście panuje trudna sytuacja ekologiczna. Wasilij Grigoriewicz jest w kontakcie ze społeczeństwem i osobiście podejmuje odpowiednie kroki. Sądzę, że towarzysz Groński składa raport o sytuacji w zakładzie chemicznym. Poczekamy, dobrze? Mamy jeszcze trochę czasu.

Sekretarka chrząknęła głośno i Szubin zrozumiał, że w ten sposób jakby zwracała się bezpośrednio do niego, jako do znajomego rzeczywisty obraz sprawy i mogącego ocenić zakłamanie Nikołajczyka. A druga niespodziewanie powiedziała:

— Moglibyście się, Fiodorze Siemionowiczu, rozbierać na dole. Tak jak wszyscy. Płaszcz jest całkiem mokry.

— Oczywiście! — Nikołajczyk poderwał się i rzucił w stronę wieszaka, jakby chciał zdjąć

płaszcz, ale po chwili znieruchomiał. — Nie — powiedział zdecydowanym tonem. — W każdej chwili mogą nas wezwać. Następnym razem będę pamiętał.

Drzwi gabinetu otwały się i jeden za drugim wyszło trzech mężczyzn. Wszyscy trzej budzili szacunek, wszyscy mieli na sobie garnitury z importu, białe koszule i krawaty. Szubin bez trudu mógł wyobrazić sobie podobnych urzędników w moskiewskich biurach — w najmniejszym stopniu nie naruszyliby stołecznego ceremoniału. Jako pierwszy wyszedł przystojniak, o idealnej figurze, siwowłosa, rumiany. Szubin obserwował ich ruchy, patrzył, jak się żegnają, nie zwracając na niego żadnej uwagi. Czyli to rzeczywiście inspekcja sanitarna. Pulchny, w okularach, uśmiechnięty, to z pewnością dyrektor zakładu chemicznego — Groński, a tryskający zdrowiem właściciel idealnie symetrycznego przedziałka — Silantiew.

Ściskając rękę Grońskiego, Silantiew zakończył zdanie:

— Powietrze jest tam wspaniałe... tajga.

W tej samej chwili zauważył wstającego Szubina i zgiętego w pół Nikołajczyka. Lekko podniósł brwi i spojrzał na duży zegar ścienny, jakby uważał, że goście przyszli za wcześnie. Spojrzenie na zegar utwierdziło Silantiewa, że to nie goście przyszli wcześniej, lecz on o nich zapomniał zajęty ważną dyskusją i, nie wypuszczając ręki Grońskiego, zrobił krok w stronę Szubina, ciągnąc za sobą Grońskiego.

— Przepraszam, zagadałem się — i władczym ruchem włożył rękę Grońskiego w dłoń Szubina.

— Dziękuję, że przyszliście, dziękuję! U nas rzadko pojawiają się ludzie waszego formatu.

Groński mocno uściśnął rękę Szubina i natychmiast ją puścił, jakby parzyła.

— A jakże — powiedział — słyszałem. Występował pan przedwczoraj w telewizji?

— Właśnie tak — ucieszył się Silantiew i zwrócił się do Grońskiego: — Może zostaniesz na wykładzie? Towarzysz Szubin zgodził się wystąpić przed aparatem partyjnym. Za pół godziny.

— Wiesz przecież — Groński uśmiechnął się, przez co stał się podobny do rasowego psa — koniec miesiąca. Nie pamiętam już, kiedy miałem dzień wolny...

— No dobrze. Wszystko omówiliśmy, idź, pracuj. Dawaj ojczyźnie wielką chemię! A was, towarzyszu Szubin, zapraszam do gabinetu. Wiero Osipowna, można prosić herbatę? Na ulicy wilgoć i chłód. Co robić, taki klimat. Najchętniej odtworzylibyśmy tu Soczi, ale to pieśń przyszłości. Ty też wejdź, Fiodorze Siemionowiczu, zapraszam. Cały czas w biegu?

Niemilknący głos Silantiewa był całkiem inny niż ten, który niedawno dochodził zza drzwi. O oktawę wyższy, urywany, ożywiony. Klepiąc Szubina w plecy, wprowadził go do gabinetu, gdzie stał obowiązkowy stół w kształcie litery „T”, przeznaczony do podejmowania gości, a z boku, długi przeznaczony dla dziesięciu osób, nakryty zielonym sukniem stół wykorzystywany podczas zebrań. Nad stołem wisiał retuszowany portret Michaiła Gorbaczowa, a w zajmującej całą ścianę szafie stały „Dzieła zebrane” Lenina i, oczywiście, medale, rzeźby i proporzki.

Silantiew był demokratą, toteż posadził Szubina przy długim stole, a sam usiadł obok i gestem wskazał Nikołajczykowi jego miejsce.

— Herbata — powiedział — to ożywczy napój. Wy tam, na zachodzie nie macie pojęcia, jak ją należy pić.

Przez niedomknięte drzwi słychać było brzęk naczyń Wiery Osipowny.

— Na razie mamy indyjską — konspiracyjnym tonem powiedział Silantiew. — Ale od nowego roku kończymy z reglamentacją, więc wszystkie towary skierujemy do weteranów i do sieci sprzedaży. Sprawiedliwość społeczna. Jeśli odwiedzi nas pan w przyszłym roku, będziemy was

gościć gruzińską.

— Może do tego czasu indyjskiej herbaty starczy dla wszystkich? — wtrącił Szubin.

— Ciekawa myśl. Macie jakieś informacje na ten temat? Trzeba zwiększać zakupy. Z pewnością zauważyliście, że nas, którzy, że tak powiem, nieraz w delegacji bywali, najbardziej za granicą szokuje nie to, że na każdym kroku sprzedają jakieś ciuchy. To jest normalne i dotyczy nas w mniejszym stopniu. Ale wybór towarów spożywczych! Niedawno byłem w Köln? Był pan w Köln?

— Zdarzyło mi się.

— Wszedłem tam do sklepu z herbatą, akurat naprzeciwko naszego hotelu. Mieli co najmniej sto gatunków herbaty, wcale nie przesadzam. I tanio, żeby ich pokręciło. Wydałem Prawie połowę diety — wszystkim przywiozłem. Nie ma co oszczędzać — i tak grosze płacą.

Wiera Osipowna przyniosła herbatę i ciasteczka na talerzyku.

— Dziękuję — powiedział Silantiew. — Żyjemy skromnie. Wystarczy zajrzeć do zwykłego sklepu, żeby przekonać się, że nawet masło mamy na kartki. Aż wstyd ludziom w oczy spoj — rzec. Więc dopóki nie ma towarów pod dostatkiem, staramy się rekompensować braki sprawiedliwością. Pamiętajcie, Wiero Osipowna, jaką herbatę przywiozłem w kwietniu z RFN?

— Wspaniała herbata — westchnęła Wiera Osipowna.

Silantiew zwrócił się w stronę Nikołajczyka, który grzał dłonie ciepłym filiżanki.

— Mam nadzieję, że opracowałeś program pobytu naszego gościa? Twoim obowiązkiem jest zapewnienie jak największego audytorium. Ot, niech ludzie spotkają się, porozmawiają, posłuchają naocznego świadka. Powinniśmy organizować propagandę na najwyższym poziomie.

Nikołajczyk wyjął z górnej kieszeni pogniecionej marynarki jeszcze gorzej pomiętą kartkę i chciał ją odczytać, ale Silantiew machnął tylko ręką:

— Wierzę, wierzę, orzesz jak wół, nie oszczędzasz się. Lokalne kadry mamy bardzo dobre. Trzeba o nie dbać, a my nie dbamy. Płacimy kiepsko, problem mieszkaniowy ciągle znajduje się w stadium realizacji.

— Wasiliju Grigoriewiczu — powiedział Nikołajczyk — obiecaliście przydzielić opony do naszego moskwicza. Pamiętajcie?

— Co? Jakie opony?

— Kiedy odwiedził nas członek Akademii Nauk. Siedzieliśmy tutaj.

— Spryciarz z ciebie, Nikołajczyk, oj, spryciarz! Wiesz kiedy zagadać do kierownictwa. Zrobi się. Zadzwoń jutro do Nieczkina.

Herbata była dobra, mocna.

— Jak się pan urządził? — zapytał Silantiew. — Hotel mamy niezbyt wyszukany, ale czysty. Prawda, że jest czysto?

Szubin chciał coś powiedzieć o mydle i papierze toaletowym, ale powstrzymał się. Skąd Silantiew ma wziąć ten przeklęty papier toaletowy?

— Czysto — powiedział Szubin. — Tylko woda coś nie bardzo.

— Co? Woda? Jaka woda? — Silantiew jakby wypuścił z siebie na chwilę kogoś innego: człowieka o władczym głosie, czujnego i gotowego do walki. Natychmiast się zorientował i ukrył swe drugie ja. — Mamy wiele problemów. Ot, Fiodor Siemionowicz, wieloletni mieszkaniec tej okolicy pamięta, jaką kiedyś mieliśmy wodę! W rzece — każdy kamyczek było widać! Na każdej głębokości. Sam jestem miejscowy, z Płutowa, pamiętam, że jako chłopcy łowiliśmy ogromne sumy... Postęp. Niszczymy przyrodę, nie żałujemy jej. Wystarczy otworzyć dowolną gazetę — o

czym piszą? Degradacja środowiska naturalnego. Dopiero co był u mnie Groński, dyrektor naszych zakładów chemicznych. Dziecko drugiej pięciolatki. Niby to mój przyjaciel i współpracownik, a z drugiej strony ciągle wybuchają między nami kłótnie. Naciska go ministerstwo — realizuj plan! Czy kraj potrzebuje wielkiej chemii? Oczywiście — potrzebuje! Ale nie kosztem zdrowia ludzi. Moje stanowisko w tej sprawie jest jednoznaczne.

— A stanowisko zakładu? — zapytał Szubin.

— Zasadniczo jest konstruktywne. Jeśli będziemy mieli czas, wybudujemy oczyszczalnię! Będzie kosztowała dwa i pół miliona. Przywrócimy czystą wodę w naszej rzece! Nie trzeba ulegać panice i słuchać demagogów. Rozumie mnie pan?

— Rozumiem — powiedział Szubin.

— Niczego przed panem nie ukrywamy. Ale ja też mam prośbę, towarzyszu Szubin.

— Słucham.

— Macie świeże spojrzenie. Obiektywne. Proszę was jak towarzysza: jeśli zauważycie lub usłyszycie coś interesującego, albo, że tak powiem, niepokojącego — proszę skontaktować się ze mną! Jestem gotowy w każdej chwili udzielić wyjaśnień. Choćby w środku nocy proszę budzić — jestem do dyspozycji!

Silantiew wstał.

— Czas iść, towarzysze już się zebrali, z niecierpliwością oczekują człowieka, który osobiście rozmawiał z panią Thatcher.

Po przestronnym korytarzu Silantiew szedł tak, jak car Piotr prowadzący zaufanych budowniczych Petersburga Buty miał świeżo zapastowane. Uszy nieodstające, przedziałek kończył się na karku, gdzie włosy starannie zakrywały początki łysiny.

Na klatce schodowej dwie dziewczyny paliły papierosy. Schowały je za plecami, gdy zobaczyły, kto idzie. Silantiew nie zatrzymując się, powiedział:

— Wszyscy do sali. Szybko!

W sali posiedzeń, która dawniej była salą gimnastyczną gimnazjum, było pełno ludzi. Dwadzieścia rzędów — szybko policzył Szubin — po czternaście krzeseł. Wszystkie zajęte. Dziewięćdziesiąt procent — kobiety. Ciekawe, ile osób tu pracuje?

Gdy weszli, część z zebranych wstała jak uczniowie przed rozpoczęciem lekcji, inni bili brawo. Na scenie stały trzy krzesła i mikrofon. Silantiew energicznym gestem przerwał oklaski i podszedł do mikrofonu.

— Jest wśród nas — powiedział — znany międzynarodowy korespondent, współpracownik gazety „Izwestia”, Jurij Siergiejewicz Szubin.

Ostatnie słowa wywołały burzę oklasków, dokładnie takich, aby można je było zatrzymać kolejnym ruchem ręki.

Podchodząc do mikrofonu, Szubin kątem oka zauważył, jak Silantiew sadowi się przy stole, tuż za jego plecami, aby wraz ze współpracownikami posłuchać interesującej opowieści moskiewskiego gościa, który nie żałował czasu, oderwał się od ważnych spraw, aby spotkać się z pracownikami miejskiego aparatu partyjnego.

Potem, już w środku wykładu, Szubin ponownie obejrzał się do tyłu, ale tym razem przy stole siedział tylko Nikołajczyk — cały zamieniony w słuch. Krzesło Silantiewa było puste.

Słuchali go tak sobie, a im dłużej trwał wykład, tym głośniejszy stawał się szmer na sali. Szubin nie był zawodowym wykładowcą, przy kolejnym nasileniu szumu zmieszał się, zapomniał, o czym ma

mówić i z całkowitą pewnością, jak jasnowidz zaglądający do zjednoczonej duszy audytorium rozumiał, jak obojętne są brazylijskie i argentyńskie problemy, a nawet wybory prezydenta USA dla tych, którzy siedzieli na sali z nadzieją, że lektor zmieści się w wyznaczonych mu czterdziestu minutach i można będzie wcześniej wyjść z pracy. Lecz ten moskiewski wykładowca — jeszcze stosunkowo młody, przystojny, choć niezbyt wysoki — cały czas mówi i mówi, i zupełnie nie ma pojęcia, bo niby skąd ma wiedzieć syty moskwianin, że trzeba jeszcze skoczyć do pralni, odebrać dziecko z przedszkola, a w autobusie będzie ciasno i w sklepie długa kolejka.

— A teraz proszę zadawać pytania — Szubin powiedział to, odgadując myśli słuchaczy. Nastąpiła krótka przerwa, po której prelegent mógł spokojnie powiedzieć: „Skoro nie ma pytań, chciałbym podziękować za uwagę...”. Wtedy właśnie wstał weteran z baretkami na piersi i odkaszlnął. Przez salę, pełną niechęci do człowieka, który naruszył naturalny bieg rzeczy, przetoczył się pomruk niezadowolenia. Nikołajczyk, zrozumiałwszy, że nadeszła jego chwila, szybko wstał i głośno powiedział:

— Towarzysze! Wykład jeszcze się nie zakończył. Wszyscy będą mieli szansę zadać pytanie.

Jakby hałas rzeczywiście podniósł się z powodu szalonej żądzy urzędników, aby zasypać Szubina pytaniami.

— Czy moglibyście, towarzyszu wykładowco, wyjaśnić bardziej szczegółowo — zahuczał niski głos weterana — wzajemne stosunki między Anglią i Argentyną w sprawie Falklandy — Malwiny?

Sala posłusznie umilkła, a Szubin pokornie i zbyt szczegółowo zaczął wyjaśniać ludziom, którym nawet nie śniły się wyspy Falklandy, jak przebiegała ich brytyjska aneksja.

Sala szemrała, szeptała i miała nadzieję, że nie znajdzie się żaden inny aktywista. A jednak się znalazł. Co prawda nieco inny.

Kiedy człowiek z baretkami zaczął kaszleć, szykując nowe pytanie, energicznie zerwała się z krzesła kobieta z gatunku prostowłosych, krzykliwych miłośniczek prawdy.

— Zamiast o Argentynie, opowiedzcie nam lepiej — wykrzyknęła — jak w Moskwie wygląda sytuacja z wodą? Długo jeszcze będziemy truć dzieci?

Sala zaszumiała ze zrozumieniem. Szubin nie miał pojęcia, co powiedzieć, ale wyręczył go Nikołajczyk.

— Prosiłem — powiedział groźnie — aby zadawać tylko pytania na temat, a nie zajmować się pobocznymi sprawami. Jeśli nie ma więcej pytań dotyczących treści wykładu, to Jurij Siergiejewicz zakończył spotkanie.

Obecni w sali natychmiast zaczęli wstawać, ruszyli w stronę drzwi, nikt nawet nie obejrzał się w stronę sceny. Nikołajczyk był rozczarowany.

— Nie oczekiwałem takich wyskoków w tych murach. Ale proszę się nie martwić. Wieczorem wszystko będzie zupełnie inaczej, ludzie przyjdą za własne pieniądze.

— Jestem tego pewien — stwierdził prelegent.

Gdy wychodzili, Szubin wpadł na grupę kobiet, rozstąpiły się, jedna podziękowała za przybycie. Czyjaś ręka dotknęła jego palców i wtedy dziennikarz poczuł, że ktoś wcisnął mu w dłoń złożoną kartkę. Chciał włożyć ją do kieszeni, ale Nikołajczyk zauważył, co się dzieje i zapytał:

— Co pan dostał?

— Liścik — odpowiedział Szubin.

— Można dać go mnie — zaproponował Nikołajczyk. — Nie jest panu potrzebny.

— Proszę się nie martwić — odrzekł Szubin. — Wezmę liścik.

Do wieczornego wykładu w domu kultury „Tekstylny” pozostało jeszcze około trzech godzin. Moskwiczka nie było. Szubin powiedział, że pójdzie do hotelu na piechotę. Nikolajczyk ucieszył się z tego, bo — jak powiedział — żona czeka na niego z obiadem, a jego wrzód wymaga przestrzegania diety. Pożegnali się.

Po powrocie do hotelu Szubin poprosił dyżurną o herbatę, wyjął kupioną z samego rana bułkę, urządził sobie skromny, dietetyczny obiad. Przypomniawszy sobie o liściku, wyjął go z kieszeni i przeczytał:

„Jak można dyskutować o Malwinach, gdy w mieście panuje tak ciężka sytuacja i nie ma się do kogo zwrócić o pomoc? Powiedzcie, żeby przysłali do nas korespondenta. Miastu grozi niebezpieczeństwo związane z działalnością zakładów chemicznych i kombinatu. Któregoś dnia spowodują wybuch epidemii, a na razie powoli zabijają nasze dzieci i nikt na to nie zwraca uwagi”.

Podpisu nie było. Zostawił liścik na stole i zaczął rozmyślać. Niemało jest miast ze złą wodą i zatrutym powietrzem. Na świecie wszystko jest względne: on, Szubin, chciałby znowu zamieszkać w Szwajcarii, a tymczasem ludziom stąd Moskwa wydaje się nieosiągalnym rajem.

Podszedł do okna. Ściemniało się. Po niebie, oświetlonym ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, ciągnęły się różowe smugi nienaturalnego koloru.

W pokoju było duszno. Mężczyzna, zapomniawszy o aromacie miasta, otworzył okno, ale od razu je zamknął. Wreszcie postanowił się przespać, jednak wkrótce obudziła go Ela.

— Co? — zapytał dziennikarz, otwierając oczy. — Już czas?

— Wasza twarz zdradza wszystkie uczucia — powiedziała Ela. — Mój brat, Gera, jest malarzem, pracuje na cmentarzu — rzeźbi na nagrobkach litery i wieńce. Może pojedziemy do niego, namaluje was, dobrze?

Szubin roześmiał się. Wstał, starając się zrobić to lekko, z młodzieńczą energią. I stanął obok Eli, albowiem hotelowy Pokój był bardzo mały. Podniosła oczy, popatrzyła na niego uważnie i z powagą. Ręce same pociągnęły ją za ramiona Ela posłusznie zrobiła krok naprzód. Wargi lekko rozchyliły się, pocałunek był długi, jakby był nie pierwszym, ale tym dziesiątym, albo setnym, od którego tylko krok do bliskości. Szubinowi niewygodnie było przytulać śliską skórę kurtki.

Nagle kobieta odepchnęła go i rzekła w taki sposób, jakby kogoś cytowała:

— Ani czas, ani miejsce po temu.

Sam pocałunek nie wywołał w niej ani zdziwienia, ani sprzeciwu.

— Przepraszam — powiedział Szubin.

— Nie ma za co przepraszać. Łatwo się nakręcam. Gdyby nie ta skóra, od razu byś poczuł. Chodźmy, bo inaczej Fiodor Siemionowicz dostanie zawału.

Pierwsza poszła w stronę drzwi. Gdy mężczyzna zakładał puchową kurtkę, patrzył cały czas na włosy Eli, bardzo gęste, czarne, proste. Wschodnie. I na jej rosyjską twarz.

— Masz piękne włosy — powiedział Jurij, wychodząc do korytarza.

— Kiedyś były ładne — powiedziała Ela. — Robiłam trwałą. Ale obcięłam, gdy zaczęłam pracować jako kierowca. I nie żałuję.

Siedzący przy drzwiach dyżurny z czerwoną opaską na rękawie wstał, gdy Szubin podszedł bliżej. Otworzył drzwi. „Jaka bezmyślna, zła twarz” — pomyślał.

— Zawsze jest taki? — zapytał Szubin,

— No co wy! Zna się na ludziach. Na kogo innego w ogóle nie zwróciłby uwagi.

— A może uprzedzili go?

— O czym?

— Że w hotelu zatrzymał się rewizor.

— Jaki tam z was rewizor?

— Właśnie to samo mówię. A co, nie wyglądam?

— Rewizorzy bywają różni. Jeśli jesteście rewizorem, to tajnym. Ale nie, tajnym też nie jesteście.

— Dlaczego?

— Bo nie całowalibyście się z szoferem. Rewizorzy szanują swoją pozycję. Jeśli trzeba, dostaną, kogo chcą. Bez ryzyka. Z manikiurem. Szubin uśmiechnął się. Siadł obok Eli na przednim siedzeniu. Długo odpalała samochód, silnik zaczynał hałasować, lecz po chwili milkł.

— A poza tym rewizorzy, nawet tajni, nie siadają obok kierowcy — stwierdziła pouczającym tonem. — Ludzie wpadają na drobiazgach.

— Jak szpiedzy — powiedział Szubin.

Patrzył na jej profil, który bardzo mu się podobał. Był wyrazisty i logiczny.

— Proszę nie patrzeć — poprosiła Ela. — Inaczej nigdy nie ruszymy.

Samochód jednak odpalił, rozbryzgując po asfalcie śnieżną breję, ruszył w stronę centrum.

— Opowiedz mi o tutejszym towarzystwie ochrony przyrody.

— O zielonych?

— Tak o sobie mówią?

— Nie, tak ich nazywają. Ostatnio w mieście powstało tyle towarzystw, że aż trudno to sobie wyobrazić. Nawet nie znam wszystkich i nie rozumiem, czym się od siebie różnią. Jest „Pamięć”, jest „Pomnik” — ci akurat chcą zbudować pomnik ofiarom stalinizmu, dalej „Ziemia ojców” i „Ojczyzna”. No i oczywiście „Zieloni”, a w instytucie — klub polityczny. Śmiesznie, nieprawdaż?

— Tak jest teraz wszędzie — powiedział Szubin.

— U was może to wszystko dzieje się na serio, ale u nas nikt tego nie traktuje poważnie. I tak nie mają żadnej władzy.

— A ty należysz do jakiejś organizacji?

— Oszaleliście chyba! Muszę pracować. Mitkę wyżywić.

— Kogo?

— Mam syna, chodzi do przedszkola.

— Nie pomyślałbym...

— Mam już dwadzieścia pięć lat, a co myśleliście? Dziewczynka?

— A mąż? — Szubin poczuł się niezręcznie — osioł w delegacji! Czterdziestoletni mężczyzna...

— Nie ma się czym przejmować... — Ela uśmiechnęła się. — Nie mam męża. Mój mąż zakłada w Tomsku nową rodzinę. Wygnaliśmy go — ja i Mitka. Jestem wolną kobietą, kogo chcę, tego kocham.

Szubinowi nie spodobało się to przemówienie.

— Żyję od pensji do pensji, ledwie wiązę koniec z końcem. Jestem lokajem Fiodora Siemionowicza — tam, siam, podaj, podwieź. Nie mam kiedy sobą się zająć. I tak wiążemy koniec z końcem za półtorej setki na miesiąc.

— A ojciec pomaga dziecku?

— Lepiej by sam sobie pomógł.

Moskwicz ostro zahamował przed wejściem do pozbawionego wyrazu, zbudowanego z żółtych

cegieł klubu. Samochód wpadł w poślizg na błocie. Ela zakłęła przez zęby. Być może nieświadomie, a może specjalnie dla Szubina.

— Proszę iść — powiedziała. — Czekają na was przy drzwiach.

Została w samochodzie i patrzyła w ślad za odchodzącym mężczyzną, jakby obraziła się na niego.

Szubin wszedł po schodach. Przy drzwiach czekała zdyszana kobieta w ozdobionym białym, koronkowym kołnierzykiem, fartuszku szkolnym.

— Rozbierze się pan nie tutaj — powiedziała. — Zapraszam was, Juriju Siergiejewiczu do gabinetu dyrektora.

„Zaraz powie — pomyślał — że przedwczoraj widziała mnie w telewizji”.

Obeszło się jednak bez tego. Przeszli przez bufet, w którym stała długa kolejka. Szubin zrozumiał, że ludzie w żaden sposób nie zdążą na początek wykładu. Przez cały czas będą wchodzić i szurać krzesłami. W gabinecie dyrektora było ciepło, na stole stała herbata, domowe ciasteczka, które, jak się okazało, upiekła kobieta w szkolnym fartuchu. Nikołajczyk już siedział przy stole i zajadał kanapki z szynką.

— Proszę się posilić — nalegał.

— Nie trzeba, dziękuję.

— Poczekają.

Szubin chciał zaprotestować, gdy nagle dotarło do niego, że jest strasznie głodny, a do tego zupełnie nie wiadomo, kiedy nadarzy się kolejna okazja do posiłku. Był sfrustrowany tą sytuacją: zapraszają, prowadzą po gabinetach, a nikomu nie przyjdzie do głowy go nakarmić.

Usiadł przy stole i zabrał się za kanapki. Do gabinetu zaglądali jacyś ludzie, jak gdyby dowiedzieli się, że pojawił się okaz rzadkiego zwierzęcia. Pomyślał, że trzeba jak najszybciej wracać do domu. Tymczasem przed nim stała wstrętne pachnąca woda w cienkiej herbatce. Wydawało mu się, że ten zapach będzie go teraz wszędzie prześladował.

— Nasza woda, można tak powiedzieć, lecznicza — powiedział Nikołajczyk. — Przeglądałem raport, z którego wynika, że skład chemiczny wskazuje na obecność wielu korzystnych dla zdrowia składników. Co prawda, tracą na tym walory smakowe.

— Lepiej byłoby bez mikroelementów — przekornie odrzekł gość, a wtedy Nikołajczyk posłusznie się zaśmiał.

Sala była prawie pełna, pogodziło to Jurija z życiem. Usiadł przy stole obok Nikołajczyka, odczytującego z kartki krótki życiorys gościa. Brzmiał dobrze. Szubin chciał odszukać na sali Elę, ale światło było przyciemnione w taki sposób, że tylko pierwsze rzędy były widoczne. Jeśli nawet przyszła, stała gdzieś niedaleko wejścia. Nie, powiedział sam do siebie, pewnie teraz korzysta z okazji, żeby sobie dorobić. Łowi klientów na dworcu.

Dziennikarz starał się mówić ciekawie, próbował nawiązać kontakt z salą. Chciał poczuć, że go słuchają. Siedzący na sali ludzie byli nastawieni życzliwie. Kupili bilety, a to znaczy, że świadomie poświęcili wieczór i Szubin chciał świadomie odpracować piąta, którego każdy z nich zapłacił.

Słuchali uważnie, potem zadawali pytania. Sala była duża, więc pytania zapisywano na kartkach, podawano między rzędami, a potem chłopiec siedzący w pierwszym rzędzie podbiegał do sceny, wspinał się na palce i wkładał je do kartonowego pudełka stojącego na brzegu sceny. Nikołajczyk wstawał, podchodził do pudełka, wyjmował kolejną kartkę, zanosił do stolika i, zanim przekazał ją prelegentowi, czytał i rozkładał na dwie kupki — jedna bliżej dziennikarza, zawierała pytania, na które należało odpowiedzieć, druga, leżąca obok Nikołajczyka, diabli wiedzą do czego służyła.

Szubin odpowiadał, spoglądał na rosnącą stertę obok Nikołajczyka i coraz bardziej korciło go, by odebrać kartki organizatorowi. Nie podobało mu się, że ktoś podejmuje za niego decyzję.

Kiedy Nikołajczyk po raz kolejny odszedł od stołu, Szubin wyciągnął rękę w stronę zakwestionowanych pytań i zapytał, kierując słowa do mikrofonu:

— A na te mogę odpowiedzieć?

Sala zaśmiała się. Po chwili rozległy się oklaski. Nikołajczyk wrócił do stołu i odpowiedział unikając mikrofonu:

— To wszystko powtórzenia. Te same pytania. Nie chciałem marnować waszego czasu.

Szubin nie uwierzył mu i przesunął kartki w swoją stronę. Nikołajczyk poddał się, ale dodał:

— Są też takie, które was nie dotyczą.

— O tym przekonamy się za chwilę — powiedział prelegent do mikrofonu.

— Czytajcie, czytajcie! — krzyknął ktoś z sali.

Szubinem owładnęło słodkie uczucie zemsty i pogardy dla prowincjonalnego biurokraty, który odważył się podnieść rękę na jego wolność.

Wyprostował pierwszą kartkę i przeczytał na głos:

— Czy jest pan żonaty?

Po krótkiej chwili milczenia przez salę przebiegł chichot. Nawet Nikołajczyk śmiał się z zadowoleniem. Szubin powiedział:

— To, niestety, nie dotyczy dzisiejszego spotkania. — Okazało się, że odpowiedź była nieudana, toteż śmiech umilkł.

— W jaki sposób rozwiązuje się problemy azotanów w innych krajach? — zostało przeczytane następne pytanie z kolejnej kartki.

Szubin zaczął opowiadać, sala słuchała jak zaczarowana, temat interesował wszystkich. Prelegent spojrział na ziewającego nerwowo Nikołajczyka. Widać było, że chce jak najszybciej skończyć wykład, ale Szubin w porozumieniu z salą kontynuował:

— Oto kolejne pytanie: „Jakie kroki podejmowane są w Japonii albo Ameryce w stosunku do zakładów trujących ludzi? Bo u nas zakład chemiczny truje nas jak myszy. Czy my jesteśmy szkodliwymi gryzoniami?”.

— To prowokacyjne pytanie, a na dodatek — nie mające żadnego związku z sytuacją międzynarodową — powiedział Nikołajczyk, a sala zaszumiała.

— Nie szkodzi — powiedział Szubin. — Odpowiem. Jak rozumiem, jest to nabrzmiały problem w waszym mieście.

— Jeszcze jak! — doniósł się okrzyk z trzeciego rzędu. Szubin spojrział w tę stronę i zobaczył siedzących obok siebie brodatego Borysa i okularnicę Nataszę z księgami.

— Oprócz niezależnych od władz lokalnych organów państwowych, które są odpowiedzialne za ochronę środowiska naturalnego, w krajach europejskich istnieją organizacje społeczne mogące wpływać na przedsiębiorców. Firmom po prostu nie opłaca się niszczyć przyrody. Za drogo ich to kosztuje.

— A u nas takim płaci się z państwowej kieszeni! — krzyknął Borys, podniósłszy się jak rzymski senator, a wyciągniętą ręką wskazał siedzącego w pierwszym rzędzie, nieznanego dziennikarzowi, człowieka w czarnym garniturze.

— Proszę o spokój! — krzyczał przez mikrofon Nikołajczyk. — Uspokójcie się, towarzysze, nie jesteśmy na bazarze!

Wskazany człowiek wstał i poszedł w stronę wyjścia.

Po prelekcji Borys i Natasza z księgarni czekali na Szubina przy wyjściu. Domyślał się, że zaczekają na niego. Wyjście człowieka w czarnym garniturze, niejakiego towarzysza Nikołajewa, pograżyło Nikołajczyka w głębokim smutku i przyspieszyło zakończenie wieczoru. Jako organizator użył podstępny, który zbił społeczeństwo z pantofelku. Wstał i głośno przypomniał, że po wykładzie przewidziano projekcję brytyjskiego filmu, a operator nie może czekać do nocy. Powinno to obrazić Szubina, ale w rzeczywistości tylko rozbawiło, a poza tym wiedział już, że Borys i Natasza chcieli z nim porozmawiać. Jeszcze kilka minut temu nie pamiętał o ich istnieniu, a ich problemy nic go nie obchodziły. Nie dlatego, że Szubin był szczególnie bezduszny

— było mu wszystko jedno, jako fatalista był przekonany, że zakład chemiczny dopóty będzie zatrzymywać powietrze, dopóki mieszkańcom nie uda się przedstawić swoich zmarłych w telewizji albo w centralnej gazecie; wtedy pojawi się specjalna komisja i w końcu zbudują tu oczyszczalnię.

— Czyli tak — powiedział Nikołajczyk, gdy zeszli ze sceny za kulisami — w przyszłości obaj musimy być bardziej ostrożni.

Zdażył już się opanować i starał się być dyplomata.

— Niezupełnie rozumiem — powiedział Szubin. — Wydawało mi się, że spotkanie było ciekawe.

— Juriju Siergiejewiczu! — powiedział Nikołajczyk. — Przyjechaliście i wyjedziecie. A my zostaniemy tutaj. Sytuacja jest napięta, prowokatorzy zupełnie nie myślą o realnych interesach miasta. Łatwo być krzykaczem. Trudniej twórcą.

— Mówicie poważnie?

— Nie jestem zwolennikiem demagogii — powiedział twardo Nikołajczyk — nie nam decydować, jak można pomóc rodzinemu miastu. Są bardziej decyzyjne osoby. Czyżbyście sadzili, że Wasilij Grigorjewicz nie bierze sobie do serca tego, co się tutaj dzieje?

— Czyli wiecu jutro nie będzie? — zapytał Szubin. Weszli przebrać się do gabinetu dyrektora, za nimi rzuciła się kobieta w szkolnym fartuchu i zaczęła dziękować Szubinowi za wspaniały wykład. Chciała ich odprowadzić, ale obaj mężczyźni ruszyli tak szybko naprzód, że nie odważyła się im towarzyszyć.

— Co wiecie o wiecu?

— Wszyscy o nim mówią.

— Nieprawda. Nie wszyscy. Otrzymaliście tę informację od kogoś z zewnątrz. Ciekawe, od kogo?

— To będzie czy nie będzie?

— Nie jestem z milicji — powiedział Nikołajczyk. — Chcecie poznać moje prywatne zdanie?

— Znam je.

— Tak?

— Na miejscu Silantiewa na pewno zakazalibyście organizacji wiecu, który jest sprzeczny z prawdziwym dobrem miasta i całego naszego socjalistycznego kraju.

— Mniej więcej tak — zgodził się Nikołajczyk. — Nie zgadzacie się ze mną?

— Kategorycznie.

— Ciekawe, to jest wasza prywatna opinia?

— Nie — odpowiedział Szubin — uzgodniłem ją z Moskwą.

Nikołajczyk przełknął ślinę. Za plecami rozległ się zduszony okrzyk zdziwienia kobiety w

szkolnym fartuchu. Wyszli na korytarz. Szubin zobaczył otwarte drzwi do bufetu. Nadal stała tam długa kolejka.

Nikołajczyk energicznie odwrócił się do kobiety w szkołom fartuchu:

— Przepraszam, zapomniałem zadzwonić do zakładów chemicznych w sprawie jutrzejszego spotkania. Gdzie jest telefon?

— Zaprowadzę.

— Juriju Siergiejewiczu — powiedział Nikołajczyk oficjalnym głosem. — Jeśli zgodzicie się poczekać trzy minuty dosłownie trzy minuty, odwiozę was do hotelu.

— Proszę się nie niepokoić i spokojnie dzwonić — powiedział Szubin. — Nie można przecież wykluczyć, że jutro klub w fabryce zostanie zamknięty z powodu remontu.

— Jak to?

— I mój wykład zostanie odwołany z przyczyn technicznych. Zdarza się.

— Wolałbym tego uniknąć.

— Do widzenia. Pójdę na piechotę.

Nikołajczyk zaczął się miotać. Czuł się rozerwany między obowiązkiem odwiezienia Szubina do domu, a obowiązkiem doniesienia komu trzeba o dziwnym zdaniu wypowiedzianym przez moskiewskiego dziennikarza.

Siergiejewicz szedł w stronę drzwi, ale Nikołajczyk dogonił go.

— Chciałem was dziś zaprosić do siebie — powiedział — ale moja żona źle się czuje. Jeśli nie macie nic przeciwko, moglibyśmy przenieść nasze spotkanie na jutro. Żona marzy o spotkaniu z wami.

— Oczywiście — powiedział Szubin. — Wspaniale. Borys i Natasza czekali na niego przy wyjściu. Towarzyszyły im jeszcze dwie osoby.

— Chcielibyśmy z wami porozmawiać — powiedziała Natasza. — Proszę nam wybaczyć, pewnie jesteście zmęczeni...

— Za minutkę — powiedział Szubin.

Koło samochodu stała Ela. Szubin podszedł do niej.

— Pójdę do hotelu na piechotę — powiedział.

— Byłam na sali — powiedziała Ela. — Bardzo ciekawie mówiliście. A gdzie jest Fiodor Siemionowicz?

— Powiedziałem mu, że dostałem specjalne zadanie z Moskwy.

— Pobiegł dzwonić? — powiedziała Ela.

— Dobrze go znasz?

— A jakżeby inaczej! Pracuje z nim już trzeci rok. Proszę się na niego nie złościć. Jest zależny od nich.

— Na nikogo się nie złoszczę. Masz w domu telefon?

— Nie. A po co?

— Chciałem do ciebie zadzwonić wieczorem. Później.

— Później nie bardzo jest kiedy. Już dziewiąta.

— No to jutro.

— Pójdziecie z nimi na przechadzkę?

— Do hotelu.

— W takim razie proszę iść szybko. Inaczej Fiodor Siemionowicz wyskoczy, zobaczy was w

takim towarzystwie i... będzie się bał.

— O mnie?

— O siebie. Czemu miałby się martwić o was? Sami się o siebie martwcie.

— Dziękuję za ostrzeżenie.

— Nie spacerujcie za długo. Tutaj nie jest bezpiecznie. W zakładzie chemicznym pracują więźniowie, a wy macie zagraniczną kurtkę.

Szubin podążył w stronę czterech ciemnych postaci stojących koło wejścia.

— Idziemy?

Borys był bez czapki, bo jego czupryna pewnie nie zmieściłaby się pod nią. Towarzyszący mu ludzie przedstawili się. Jeden był zaawansowany w latach, nosił niewielką, trójkątną bródkę. Takie brody, które dawno już wyszły z mody, niezawodnie stwarzają wrażenie, że ich właściciel jest oportunistą, w filmach rewolucyjnych posiadacze takich zarostów reprezentują interesy klasy robotniczej. Brodaty nazywał się Nikołaj Nikołajewicz Burin. Drugi, młody, w waciaku i kolejarskiej furażerce, burknął coś pod nosem, wyciągając w stronę Szubina silną rękę, ale moskiewski dziennikarz nie zrozumiał, jak młodzieniec ma na imię. Ruszyli w dół, w stronę pustego skweru.

— Chcielibyśmy pokazać wam naszą rzekę — odezwała się Natasza.

— Ustalmy najpierw jedno, żeby wszystko było jasne — stanowczym głosem oznajmił Jurij Siergiejewicz. — Nie jestem żadnym agentem Moskwy, ani tajnym rewizorem. To wszystko jest wielkim nieporozumieniem.

— Nawet nie przyszło nam to do głowy — powiedział Borys. — Tak myślą ci, co się boją, tacy wierzą w każdą bzdurę. Z was jest typowy, dobrze ustawiony korespondent międzynarodowy. Pewnie przywieźliście sobie volvo.

— Mam żiguli — odpowiedział Szubin, ale nie poczuł się obrażony.

— Boria, nie czepiaj się człowieka — powiedziała Natasza. Ochłodziło się i było ślisko. Minęli skwer, pełen mokrych, czarnych słupów, na których paliły się dwie lub trzy żarówki, pozostałe były albo rozbite, albo przepalone. Skrajem placu biegła dróżka, za którą zaczynał się stok prowadzący do rzeki. Od wody zalatywał nieprzyjemny zapach.

Za rzeczką z ledwością można było dostrzec nieoświetlone magazyny. Dalej ciągnęły się usiane jasnymi kwadracikami bloki mieszkalne, za nimi widoczne były kominy wyrzucające w niebo kłęby jasnego dymu.

— To nie jest woda — powiedział Burin. — To ciecz o opóźnionym działaniu.

Woda w rzece była czarna, toteż światła domów i zakładu dziwnie się w niej odbijały. Lustrzany obraz otoczenia migotał, gdyż na powierzchni płynęły resztki żółtej, prawie przezroczystej mgły.

— A to co znowu? — zapytała Natasza i wszyscy od razu ją zrozumieli.

— Postaram się przyjść tutaj jutro — powiedział Burin — żeby zorientować się, o co chodzi.

— I pachnie jakoś inaczej — powiedział Borys. — Jeszcze paskudniej niż zwykle.

— To twój nos jest za delikatny — powiedział chłopak w waciaku.

— Rzeczywiście pachnie inaczej — przytaknął Szubin.

— Jestem tu nowy, jeszcze się nie przyzwyczailem.

Zapach budził strach, była w nim jakaś martwa duchota. Wręcz trudno było powiedzieć, na ile jest nieprzyjemny, gdyż nos robił wszystko, aby nie przepuścić go do płuc.

— Problem polega na tym — poinformował Burin — że ani inspekcja, ani chemicy nie chcą

zbadać summarycznego działania ścieków. Brudna woda i inne zanieczyszczenia z domów i zakładów same w sobie mogą być niezbyt groźne, ale w połączeniu z innymi substancjami mogą okazać się zabójcze.

— Chodźmy stąd — powiedziała Natasza i zakaszła.

Po powrocie na skwer, gdy łatwiej było oddychać, Szubin zapytał:

— Dlaczego nigdzie nie piszecie, nie podnosicie wrzawy?

— Jutro znowu będziemy protestować. I rozgonią nas — powiedział chłopak w waciaku. — Ja już odsiedziałem piętnaście dni.

— Za co?

— Dowiedzieli się, że byłem u brata na weselu. W powrotnej drodze przyłapali mnie. Pijaństwo i chuligaństwo.

— Jestem pewien, że nasze listy i petycje dochodzą do adresatów — powiedział Burin. — A potem, zgodnie z obowiązującą procedurą odsyłają je do rejonu, stamtąd do władz miasta i w końcu do zakładu. Po czym dostajemy standardową odpowiedź. Panuje tutaj wspaniały system powolnego niereagowania.

Zaprowadzili Szubina do maleńkiej, gorącej i, zatłoczonej kawiarni. W kącie huczał telewizor, wyświetlali filmy o Mysze Miki. Chłopakowi w waciaku udało się zdobyć stolik, przy którym siedziały dziewczyny z dziwacznymi fryzurami. Natasza i Borys przynieśli lurowatą, ale gorącą kawę.

— Kawy trzeba sypać trzy razy więcej — powiedział Burin — żeby zabić wstrętny smak wody.

— Zabiję go — oznajmił nagle Burin.

— Kogo?

— Ordynatora szpitala miejskiego. Napisał artykuł, w którym udowadnia, że minerały występujące w naszej wodzie są korzystne dla zdrowia.

— Słyszałem już o tym — powiedział Szubin.

— Od Nikołajczyka? — zapytała Natasza.

— Tutaj wszyscy się znają?

— Nie, nie wszyscy, ale jest szereg znanych osób — wytłumaczyła Natasza. — Na przykład Boria.

Szubin zauważył w jej głosie czułość. Czyż można być czułym dla tego człowieka?

— Nasze miasto bardzo się rozrosło — stwierdził Burin. — Mieszka w nim ponad sto pięćdziesiąt tysięcy osób. W większości to mieszkańcy fabrycznych osiedli-blokowisk. Widzieliście je, jadąc z lotniska. I slumsów, gdzie mieszkają włóczędzy, bezdomni i inny taki element.

— Jest jeszcze strefa — powiedział Borys.

— Niestety, w zakładach pracuje niewiele inteligencji — powiedział Burin. — Najczęściej trafiają tam przypadkowi ludzie. Nie zapuszczają tutaj korzeni. Zresztą wcale tego nie chcą. Miasto nie jest wygodne. Żadnych wskaźników, klimat parszywy, smród, nuda, zimno. Starają się wyjechać, gdziekolwiek.

— Nie, nie masz racji, są tutaj dobrzy ludzie. W kombinacie zorganizowali kółko polityczne — powiedziała Natasza.

Szubina zaczął morzyć sen. Ciepło, duchota, przed oczami skacząca Mysza Miki. Zwyczajni, mili, niefartowni ludzie, którzy chcą coś zrobić, ale nie mogą. A jutro rozpędzi ich milicja. I po krzyku, nie należy stawać na drodze możliwym tego świata...

W rzeczywistości Szubin tak nie myślał. Nie mając własnej roli, odgrywał cudzą... On wyjedzie, oni zostaną.

— Robi się gorzej? — zapytał Szubin, czując, że tego od niego oczekują.

— Oczywiście. Wszystkie tego rodzaju procesy są nieodwracalne. Jeśli nie zostaną przerwane, powstaje efekt lawiny — powiedział Burin.

— Nikołaj Nikołajewicz Burin pracuje w instytucie pedagogicznym — powiedziała Natasza. — Jest biologiem.

— Czytaliście o Czerniowcach? — zapytał Burin. — U nas także były przypadki wypadania włosów. Rodzice są wystraszeni.

— I co?

— Nasili lekarze uważają, że takich przypadków nie ma. Wszystko w granicach normy.

— Jeszcze kawy? — zapytała Natasza.

— Nie, dziękuję — odpowiedział szybko Szubin. Przypomniawszy sobie, że ma w walizce pękaty słoik brazylijskiej kawy. Wypije po powrocie.

— Sytuacja pogarsza się — powiedział Burin. Miał zwyczaj delikatnie pociągać za koniec swojej koziej bródki, jakby sprawdzał, czy dobrze się trzyma. — Pierwszy czynnik — kontynuował biolog — oddanie do użytku trzeciego bloku kombinatu. Tak się z tym śpieszyli, że załatwili zgodę na opóźnienie uruchomienia oczyszczalni aż do wiosny. A istniejący system i bez tego nie dawał rady.

Burin mówił monotonie, cicho, Szubin pomyślał, że na jego wykładach wszyscy śpią. Szczególnie, jeśli jest to pierwszy wykład, za oknem panuje półmrok, a w audytorium jest ciepło i przytulnie.

— Drugi, ważny czynnik jest taki, że odpady z fabryki i Wokombinatu mieszają się w byłym jeziorze...

— Właśnie, w byłym. Dziesięć lat temu można było się w nim kąpać — powiedziała Natasza. — Wiecie jak się nazywało? Przejrzyste. Słowo daję, teraz to jakaś kpina.

Burin cierpliwie czekał, aż Natasza zamilknie, i kontynuował:

— Nie jesteście specjalistą, więc nie sądzę, by powie działały wam coś nazwy trzech komponentów, które wchodząc ze sobą w reakcję, dają końcowy efekt. Wystarczy znać chemię na poziomie wyższej uczelni, żeby zrozumieć, jakie to może być niebezpieczne. Proszę wyobrazić sobie...

Burin zaczął palcem na blacie rysować kierunek stoków nad jeziorem i wymieniać nazwy związków chemicznych reagujących ze sobą w określony sposób. A Szubin wyobrażał sobie, że siedzi na porannym wykładzie i głos dobiega do niego z daleka. Coraz ciszej i ciszej...

Żeby tylko żadne z nich nie domyśliło się, że zasypia. Na szczęście wszyscy słuchali Burina i nikt nie patrzył na dziennikarza.

— To może zdarzyć się dzisiaj, jutro, za tydzień. Ale na pewno się zdarzy — Burin zakończył wykład.

— Ale jeśli sądzicie, że sytuacja jest aż tak niebezpieczna — powiedział Szubin, budząc się — dlaczego nie wyślecie telegramu, listu...

— Wyszło zarządzenie: nie wypuszczać z miasta kompromitujących informacji — odrzekł Burin.

— Dajcie list kierownikowi pociągu.

— List bez przekonanego do sprawy człowieka to połowiczne działanie.

— No to jedźcie do Moskwy.

— Nikt nie będzie nas słuchać.

— A kogo będą?

— Was, Juriju Siergiejewiczu! — krzyknęła Natasza.

— A to dlaczego?

— Jesteście znanym korespondentem! Macie przyjaciół w gazetach, w telewizji! Musicie nam pomóc!

Szubin nie chciał rozpoczynać sporu — w półmroku ci ludzie wyglądali jak grupa nie całkiem normalnych spiskowców omawiających z przyjezdnym komisarzem plan ataku na ratusz miejski. Jakaś głupota...

— Z tego, co mówicie, wynika, że miastem rządzą jakieś potwory.

— W żadnym wypadku — powiedziała Natasza. — Sytuacja ich do tego zmusza.

— Groński potrzebuje planu — powiedział chłopak w waciaku.

— Wzywają go do Moskwy, dają tam stołek. Musi stąd wyjechać jako zwycięzca — dodał Borys.

Szubin przytaknął głową. Możliwe.

— Silantiew będzie świętował sześćdziesiątkę — powiedziała Natasza. — Chce dostać order.

— Inni też mają swoje powody — dodał chłopak w waciaku.

— Nikołajew z biokombinatu, ten, którego Boria obraził na waszym wykładzie, chce po prostu żyć spokojnie.

„Prawdopodobnie, oczywiście, wszystko to jest prawdą — i order, i przeprowadzka do Moskwy. Ale moi przyjaciele mają skłonność do przesady — myślał Szubin. — W kraju nie ma na razie ani ruchów społecznych, ani nawet kółek zainteresowań. Wszystko od razu zmienia się w sektę religijną. Sekta jedzących niegotowane warzywa, sekta pijących wodę, sekta zbierających maliny. Wokół mnie zebrała się kolejna, maleńka sekta — jednoczy ich chęć sprzeciwienia się maszynie — dopracowanej i zjednoczonej. Im silniejszy sprzeciw, tym większy zapal męczenników. Oczywiście — to męczennicy wczesnego chrześcijaństwa! I jeśli jutro wyprowadzą ich drapieżnikom na pożarcie, pójdą z dumą na śmierć”.

— Proszę nie myśleć, że przesadzamy — powiedział Burin.

— Nic podobnego nie myślę.

— Po oczach widać, że tak myślicie. Mamy do czynienia nie z zamierzonym działaniem na naszą szkodę, nawet nie z polityczno-przemysłowym spiskiem, ale z szeregiem motywacji i interesów, które w sumie zagrażają bezpieczeństwu miasta.

— A do tego oni strasznie się teraz denerwują — powiedziała Natasza. Jutro powinien odbyć się nasz wiec. Przyjdą ludzie. Trzeba ich rozgonić.

— I w takim momencie przyjeżdżacie wy — dorzucił chłopak w waciaku.

— Przecież ja absolutnie nie mam z tym nic wspólnego — zaprotestował Szubin.

— I co z tego? Wystraszeni ludzie mają wybujałą wyobraźnię — powiedział Burin. — A nuż do Moskwy coś dotarło? A nuż powierzono wam tajne zadanie sprawdzenia, jak tu pachnie powietrze. Diabli was wiedzą.

— Dziękuję. Ale mylą się.

— My też sądzimy, że się mylą — zgodził się Borys, ciągnąc koniuszek bródki.

— Na pierwszy rzut oka widać, że jesteście dobrze ustawionym korespondentem telewizyjnym — powiedział Borys.

— Czemu tak interesują was moje dochody?

— Biednych zawsze denerwuje bogactwo — powiedział Borys, — Z tego powodu było już tyle rewolucji!

— A ja myślałem, że to nie ja jestem waszym głównym wrogiem.

— A ja myślałem — Borys powtórzył początek zdania Szubina — że gdyby przyszło wam mieszkać tutaj, byłibyście po naszej stronie. I w ogóle bardzo przypominacie mi redaktora naszej gazety.

— Mam wyjść? — zapytał Szubin.

Naprawdę miał ochotę wyjść.

— Nie ma co obrażać się na Borysa — tłumaczył Burin.

— Nie umie trzymać języka za zębami — ma z tym wieczne kłopoty. Ale ma dobre intencje.

— Ale rzeczywiście już pora się zbierać — powiedział Szubin.

Wstał. Pozostali pokornie podnieśli się ze swoich miejsc. Ich milczenie było pełne wyrzutu i rozczarowania.

— Rozumiem, że chcecie, żebym przyszedł jutro na wiec — zapytał.

— Nie, to nie jest najważniejsze — ucieszyła się Natasza. — Najważniejsze, abyście wzięli ze sobą list do Moskwy i oddali go uczciwemu dziennikarzowi.

Przepychali się w stronę wyjścia. Kawiarnia była pełna ludzi. Dookoła tłoczyły się nastolatki, ubrane i uczesane z prowincjonalną elegancją naśladującą widziane w telewizji gwiazdy rocka. Byli zajęci swoimi sprawami.

— A oni mają to w nosie — powiedział nieoczekiwanie chłopak w waciaku, jakby czytał w myślach dziennikarza.

Zatrzymali się przy wyjściu. Neon rzucał czerwone smugi na twarze spiskowców.

— Odprowadzimy was do hotelu — kontynuował Burin.

— Daleko?

— Nie, trzy przecznice.

Skrećili w prawo. Szubin zrozumiał, że nie puszczą go samego. No cóż, zniesie ich towarzystwo jeszcze przez pięć minut.

— Rozstaniemy się na rogu — powiedział Burin. — Być może śledzą was. Weźmiecie list?

— Wezmę.

— Jeśli zajdziecie do księgarni, Natasza przekaże go wam.

— Po co ta cała konspiracja?

— Na pewno wiecie — powiedział Burin — do czego mogą posunąć się wystraszeni ludzie.

— Do czego?

— Mogą was skompromitować. To najlepszy sposób na pozbycie się niewygodnego świadka.

— Nie tak łatwo będzie mnie skompromitować!

— Nie tak łatwo? — uśmiechnął się pod nosem chłopak w waciaku. — Chłopaki idą, widzisz? Zaczną bijatykę. Trafimy na milicję i udowodnij potem, że nie jesteś wielbłądem. Nawet felieton skleca „Działacze — chuligani”.

Nieoczekiwanie Szubina ogarnął strach. Czasem tak jest — nic się nie stało, nic złego stać się nie powinno, a mimo to serce ściska nieoczekiwana trwoga. Świadomość tego, jak daleko się jest od domu, gdzie ktoś broniłby twoich praw, gdzie — w najgorszym przypadku — można do kogoś zadzwonić... A tutaj jest inny świat, którym rządzą nie ci nic nie znaczą mimo swej odwagi

spiskowcy, tylko pewny siebie Silantie i posłuszny mu Nikołajczyk.

Szubin zaczął przyglądać się dwóm podrostkom, którzy szli najwidoczniej w stronę kawiarni. Pomyślał, że z pewnością nie interesowała ich grupka ludzi idących im naprzeciw. Byli podpici, zataczali się z lekka. Mijając ich, Szubin odruchowo odsunął się na bok, aby nie zahaczyć przechodzącego obok chłopaka. Młodzi ludzie przeszli obok, ale nieprzyjemne uczucie strachu nadal trwało.

I wtedy Szubin usłyszał z tyłu głos jednego z podrostków:

— Która godzina?

Idący za jego plecami Burin odpowiedział:

— Piętnaście po dziewiątej.

Szubin nadal szedł z przodu, nie oglądając się, kiedy z tyłu znów dobiegły go kolejne słowa:

— Poczekaj staruszku, nie śpiesz się, poczęstujesz papierosem?

— Nie palę — powiedział Burin.

— Nie pali? — rozległ się zdziwiony głos drugiego chłopaka.

— Odczepcie się! — tym razem był to głos Nataszy.

Szubin odwrócił się. Ujrzał, jak jeden z chłopaków ciągnął Nataszę za rękaw, drugiego odpychał Burin. Wtedy Borys rzucił się do tyłu, a chłopak w waciaku przytrzymał rwącego się na pomoc Szubina.

Strach zniknął. W końcu, nawet jeśli nie brać pod uwagę Burina i Nataszy, to i tak jest ich trzech mężczyzn.

Drugi pijany puścił Burina i nieoczekiwanie uderzył Borysa w twarz. Szubin widział, jak jego głowa odskoczyła do tyłu, jak zachwiał się i wyciągnął rękę w stronę ściany najbliższego domu, starając utrzymać się na nogach.

— Poczekaj tylko! — warknął Szubin, wrywając się młodemu człowiekowi w waciaku i rzucając się na tego, który uderzył Borysa. Uderzył go, ale trafił w ramię — ręka ześlizgnęła się, pijany zatoczył się w bok i zdążyłby uderzyć Szubina, ale przeszkodził mu chłopak w waciaku. Szczepili się i zmienili w jednego, ciemnego, grubego, kołyszącego i ryczącego człowieka, a ten, który trzymał Nataszę, odepchnął ją na bok. Dziewczyna upadła, a Szubin zobaczył w ręce napastnika nóż. A może nawet nie zobaczył — było prawie całkiem ciemno, ale wyczuł.

— Ostrożnie! — krzyknął Szubin. — Nóż!

Gdzieś na granicy postrzegania zamigotało coś niebieskiego.

Zawyła syrena.

— Milicja — krzyknęła Natasza.

Szubin widział, jak podnosi się z mokrego śniegu, ślizga się, idzie w stronę chodnika i podnosi rękę wzywając pomocy.

W tej samej chwili chłopak w waciaku krzyknął Szubinowi do ucha:

— Biegnijcie! Tam, w podwórka! Biegnijcie!

Syrena zbliżała się. Jeden z pijanych, ten, który wyjął nóż, zaczął się cofać, ale robił to bez pośpiechu, krok za krokiem. Szubin zauważył, że wyrzucił nóż, który błysnął w świetle dalekiej latarni i upadł tuż pod nogi Borysa.

Chłopak w waciaku przycisnął dziennikarza do ściany. Chłopak był silniejszy. Szubin opierał się, ale milczał. Nie wiedział, w jaki sposób znalazł się w bramie, gdzie panowała całkowita ciemność. Chłopak w waciaku szeptał szybko:

— Skręć w prawo — wyjdiesz prosto na hotel. Idź od razu do swojego pokoju.

— Przecież nic nie zrobiliśmy.

— Biegnij, idioto! — wyszeptał młodzieniec w waciaku. — Nie możesz pojąć: moskiewski korespondent bierze udział w bijatyce...

Zapisały hamulce. Rozległ się dźwięk milicyjnego gwizdka.

— No, biegnijże wreszcie!

Szubin posłuchał. Pobiegł do bramy po białym śniegu między rachitycznymi krzakami. Uderzył w pień drzew. Stał, aby zorientować się, którądy biec dalej, spojrzał do tyłu w stronę bramy wyglądającej jak czarna rama obrazu: maleńka postać chłopaka w waciaku walczyła z milicjantem nie wpuszczając go na podwórko.

Do Szubina dotarło, że to polowanie jest na niego, przyzwoitego, praworządnego, korespondenta gazety „Izwestia” który dopiero co powrócił z Argentyny. Wtedy znowu zaczął biec, byle dalej od bramy.

Po stu krokach znalazł się w wąskiej uliczce, zwolnił, aby wyglądać na człowieka, który z braku lepszego zajęcia włóczy się nocą ulicami miasta, bo właśnie tak oszukiwali pogoń bohaterowie wszystkich filmów. Z tyłu dobiegały głosy — niezbyt głośne, ale pełne pogroźek. Ulica była pusta, nie było się gdzie schować. Naprzeciwko stał parterowy dom otoczony wysokim, drewnianym płotem, a w nim była furka. Szubin wślizgnął się do środka, zamknął furtkę, przylgnął do niej całym ciałem, wyglądając na zewnątrz przez wąską szczelinę między deskami.

Z podwórka, przez które dopiero co przebiegł, wybiegli dwaj milicjanci.

Biegli ciężko, ślizgali się, płaszcze plątały się im między nogami. Zatrzymali się na ulicy, rozglądając się — najpierw w prawo, potem w lewo.

Szubin zrozumiał, że zaraz spojrzą na płot i zrozumieją, co się stało. Powoli zaczął oddalać się od furki.

Z tyłu trzasnęły drzwi wejściowe. Jasny prostokąt światła padł na śnieg, sięgając aż do nóg Szubina. Obejrzał się. Na ganku, wyraźna na tle żółtego światła, widniała czarna sylwetka kobiety. Patrzyła w ciemność, osłaniając oczy dłonią.

— Kto tam? — zapytała.

Dotarło do Szubina, że milicjanci mogą ją usłyszeć. Mało brakowało, a powiedziałaby do kobiety: „Cicho”. powstrzymał się. Stał nieruchomo koło płotu, zwróciwszy głowę tak, aby widzieć drzwi. Na ulicy było cicho. Być może milicjanci podkradali się do furki.

Nagle zapanowała ciemność. Trzasnęły drzwi — co znaczyło, że albo kobieta zmarła, albo doszła do wniosku, że się przesłyszała.

Szubin poczuł, że jest cały mokry. Krople potu spływały mu po plecach i brzuchu. Czoło też miał mokre. Otarł je dłonią i zauważył, że zgubił czapkę — świetną, angielską czapkę. Zupełnie nie pamiętał, gdzie to się mogło stać.

Znowu wyjrzał przez szparę. Ulica była pusta.

Mógł to być podstęp milicjantów. Postanowił poczekać. Policzył do stu, potem zaczął liczyć jeszcze od początku. Najpierw do stu, potem do pięciuset. Podczas trzeciej setki czuł, że strasznie zmarzł.

„Czort z nimi” — powiedział do siebie, jakby starał się rozzłościć samego siebie. Zamaszystym gestem otworzył furtkę i wolnym krokiem wyszedł na ulicę, wyobrażając sobie rozmowę z milicjantami wyskakującymi zza rogu dużego domu. Powiedziałaby wtedy: „Tak, spacerowałem sobie,

niczego nie widziałem, a na podwórko wszedłem, żeby sobie ulżyć. Niestety, mam bardzo słaby pęcherz, a w mieście nie ma toalet publicznych”.

Nie przerywając wewnętrznego monologu, Szubin wyszedł na ulicę i wyobrażając sobie plan miasta, skierował się w prawo, w stronę dworca.

Twarz cały czas marzła. Znowu otarł ją dłonią, sądząc, że to od potu, ale poczuł pod palcami lepka ciecz. Miał rozciętą brew nad prawym okiem. Szubin nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to się stało — niby nikt go nie uderzył... Schylił się, nabrał garść śniegu i przyłożył go do rany.

Dziennikarz długo szedł słabo oświetlonymi, niemalże Pustymi uliczkami. Mieszkańcy tego miasta wcześniej kładli się spać, zamykając się w swoich mieszkankach przed telewizorami.

Nieoczekiwanie wyszedł na plac dworcowy z odwrotnej niż przewidywał, strony, toteż nie od razu poznał zwrócony bokiem do niego hotel. Poczuł, jakby znalazł się w innym mieście — hałaśliwym, pełnym huku pociągów i odgłosów autobusów i samochodów podjeżdżających do dworca.

Najwyraźniej właśnie przyjechał pociąg, gdyż na postoju taksówek stała długa kolejka.

Napotkawszy zdziwiony wzrok szacownej pary, która — nie wiadomo dlaczego — szła spacerować z pudłem na plac przed dworcem, przypomniał sobie, że ciągle przyciska do brwi śnieg. Wyrzucił go. Pod latarnią było jasno, a leżący tam śnieg nabrał różowego odcienia.

Hałas dworca i codzienność sytuacji odegnały jakby wyjęty z filmu koszmar bójki i ucieczki, nie chciał myśleć, że wszystko co przeżył przed chwilą, przydarzyło się naprawdę. Nic się nie zdarzyło — nawet rozmowy w kawiarni w pobliżu śmierdzącej rzeczki nie było... Ale jak na złość od strony dworca nadciągnęła fala przenikliwego zapachu, że aż chciało się zatkać nos i ukryć za zamkniętymi drzwiami, co zresztą Szubin pośpiesznie uczynił. Odwrócił się w stronę hotelu płynącego jak statek nad placem dworcowym. Prawie wszystkie okna w budynku świeciły się, emanując stabilizacją cywilizacji i gorącej herbaty parzonej przez dyżurną na piętrze.

Człowiek z czerwoną opaską na rękawie, tak miły za dnia, wstał i zagroził drogę Szubinowi. Ten długo przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu przepustki do hotelu. Podpici, modnie ubrani młodzi ludzie odepchnęli go, aby wcisnąć dyżurnemu pieniądze, szepcząc coś konspiracyjnym tonem.

Szubin, całkiem odsunięty na bok, zaczął się obawiać, że przyjdzie mu nocować na dworcu — był w tym element czarnego humoru. I wtedy właśnie zauważył Elę, która siedziała w holu i czekała na niego.

Pojawiła się za plecami dyżurnego z czerwoną opaską. Szubin nie od razu ją poznał, gdyż przyzwyczał się już do energicznego stworzenia w kurtce i nasuniętej na oczy czapce.

Tymczasem Ela miała na sobie sztuczny kożuszek, na ramiona zarzuciła białą chustę, zakręciła końce czarnych włosów.

— Tego wpuście — powiedziała głośno, a człowiek w opasce natychmiast się podporządkował nie tyle jej słowom, co tonowi głosu.

— Wejdźcie, towarzyszu. Czemu się ociągacie? — jakby Szubin z własnej winy nie wszedł jeszcze do hotelu. Neandertalskie oczka dyżurnego patrzyły na Szubina z wyraźną kpina — oczywiście było, że już w pierwszej chwili rozpoznał gościa.

Dobrze ubrani młodzi ludzie niechętnie przepuścili go. W holu było ciepło i jasno. Ela od razu zauważyła ranę nad brwią.

— Co się stało? — zapytała. — Upadliście?

— Pobiłem się — powiedział Szubin.

— Żarty się was trzymają, Juriju Siergiejewiczu.

— A ty, co tutaj robisz?

— Czekałam na was, Juriju Siergiejewiczu.

— Czekałaś? Dlaczego?

— Miałam ochotę i czekałam. Nie cieszycie się?

— Bardzo się cieszę. Tyle że nie spodziewałem się.

— Czyli zrobiłam wam niespodziankę.

Stali na środku holu. Obok znowu przeszli dobrze ubrani młodzi ludzie, skęcili w lewo, w stronę uchylonych drzwi restauracji. Szubin odprowadził ich wzrokiem i usłyszał, jak muzycy stroją instrumenty.

— Co będziemy robić? — zapytał Szubin.

Spotkanie z Elą rozzłościło go, bo o niczym tak nie darzył jak o tym, by zamknąć się samotnie w swoim pokoju. Kobieta najwyraźniej wyczuła to w jego głosie i szybko Powiedziała:

— Mogę sobie pójść. Powinnam już wrócić do domu. Szłam z garażu i pomyślałam, że nigdy nic nie wiadomo, obce miasto...

— Chciałaś szukać mnie po kostnicach?

— U nas i to się zdarza — powiedziała z powagą. — A kostnicę mamy jedną.

— No to chodźmy do mnie — powiedział Szubin.

— Do pokoju?

— Przecież nie będziemy tutaj stać.

— Nie, do pokoju nie pójde.

— Dlaczego?

— Nie chodzę po hotelowych pokojach.

Powiedziała to wyzywającym tonem, Szubin uśmiechnął się.

— Już chodziłaś — powiedział. — Byłaś u mnie dzisiaj. Nawet trzy razy. I jeden raz, kiedy spałem.

— To było w dzień. Służbowo.

Jurij ściszył głos i zapytał:

— A całowałaś się też służbowo?

— Dlatego właśnie nie pójde — Ela nagle obrazila się.

— To co mamy robić? Tak czy siak — muszę się umyć.

— Idźcie, a ja wróce do domu.

— Posłuchaj — powiedział Szubin — a jadłaś dziś obiad?

— W dzień coś przegryzłam — powiedziała. — Dzień był ciężki, cały czas w biegu. Wpadłam do domu, przygotowałam, co trzeba dla Mitki i przybiegłam tutaj.

„Czyli wcale nie prosto z garażu” — zauważył Szubin. „Nie umie kłamać”.

— Mam taką propozycję — powiedział Szubin. — Zjemy obiad w restauracji. Ja też przez cały dzień nic konkretnego nie jadłem.

— W restauracji? Nie, tu za drogo.

— To nie twoje zmartwienie — powiedział Szubin. — Tylko pewnie nie uda się nam dostać miejsca.

— Dlaczego?

— Dużo chętnych.

Szubin już zdążył pożałować zaproszenia. Co prawda istniała nadzieja, że moralny kodeks Eli nie zabrania wizyty w restauracji.

Odetchnął, gdy uśmiechnęła się szeroko. Błysnęła złota koronka na zębie.

— Załatwię to — powiedziała. — Mam tu znajomego kelnera. Zauważyłam go, kiedy czekałam na was. Nawet zapytał mnie, czy przyszłam się zabawić. Chodziliśmy do tej samej szkoły, do równoległych klas.

— Świetnie — powiedział Szubin. — Tylko, że nie mam smokingu.

— Czego nie ma?

— Nie jestem odpowiednio ubrany.

— Poważnie mówicie? Tutaj każdy przychodzi ubrany, jak chce. A ja, jakbym przewidziała, co się stanie i założyłam sukienkę.

Było jasne, że wizyta w restauracji jest jej skrytym marzeniem, ale nie miała odwagi, by samej to zaproponować.

— W takim razie zacznij negocjacje z kelnerem, a ja wracam za pięć minut.

Szubin poszedł do pokoju. Posępna dyżurna oddając mu klucz, powiedziała:

— Szukała was jakaś kobieta.

W głosie brzmiała nagana.

— Wiem — powiedział Szubin. — Już ją spotkałem.

— Po dwudziestej trzeciej nie wolno przyjmować gości — powiedziała dyżurna.

— Nie ma jeszcze dziesiątej — powiedział Szubin. — A poza tym w moim pokoju jest pusto.

— Uprzedziłam — powiedziała dyżurna, podając mu w klucz z takim wyrazem obrzydzenia, jakby był to symbol rozpusty.

Szubin wszedł do pokoju. W łazience, na umywalce siedział karaluch zdziwiony tak późną wizytą człowieka. Niespiesznie ukrył się w szczelinie. Jurij popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Zadrapanie było nieduże, ale otoczone zaschniętą krwią. Umył twarz. Mydło szczypało skroń i brew.

Nic strasznego się nie stało — rozmyślał. — Potraktujmy te podróże jako łańcuch wielu zabawnych przygód, które jeszcze się nie zakończyły, ale nie zapowiadają nieprzyjemności..” Słowo „zapowiadają” świadczyło o tym, że był przesądny.

No, wygląda przyzwoicie. Szkoda, że nie ma plastra, ale z drugiej strony rany w zasadzie nie widać.

Szubin spojrział na zegarek: za dwadzieścia dziesiąta Czyżby rzeczywiście od tamtej chwili minęło tylko dwadzieścia minut? A przecież w tym czasie miała miejsce bijatyka ucieczka, potem rozmowa z Ela... Szubin przyłożył zegarek do ucha — zapomniał, że elektroniczny zegarek nie tyka. Przełożył papierosy do kieszeni marynarki.

Na placu za oknem toczyło się życie, światło latarni błyskało, odbijając się w fałdach ubrania postaci stojącego na pomniku robotnika. Ciekawe, że nie zauważył go za dnia.

Szubin zasłonił ramę okienną, żeby do pokoju nie wpadały zapachy z zewnątrz. W samej rzeczy, po silnych przeżyciach warto się napić. Starał się nie myśleć o bójce i o tym, co mogło się przytrafić jego znajomym. W końcu sami chcieli, żeby uciekł i miało to sens. Oni są tutejsi, nic im się nie stanie. A on... do Moskwy dotrze depeza o nieodpowiedzialnym zachowaniu dziennikarza? Któryś z wrogów wykorzysta ją i do Genewy pojedzie ktoś inny. Chętnych jest dużo.

Szubin zamknął pokój i zszedł na dół.

Ela była bardzo dumna ze zdobycia stolika blisko estrady. Stała na nim tabliczka „Stolika nie

obsługujemy”. Dobroduszny niezdarą z szerokim, płaskim nosem — przyjaciel Misza — zabrał tabliczkę i posadził przy ich stoliku jeszcze dwóch, podróżujących służbowo, urzędników średniego szczebla. Byli rozdrażnieni, ciągle jeszcze przeżywali walkę z administracją. Jeden z nich, przygarbiony i zmęczony, od razu zaczął opowiadać Szubinowi, że są zameldowani w hotelu, a więc mają prawo w pierwszej kolejności zjeść skromną kolację w restauracji:

— Są wolne miejsca, ale trzymają je dla spekulantów. Wszędzie jedno i to samo, popatrzcie na sąsiedni stolik. Widzicie tę kaukaską gromadę? Wychodzi na to, że to właśnie oni, handlarze są panami świata. Jeden nawet czapki nie zdjął.

— Do jakiego hotelu byś nie przyszedł — wtórował mu drugi uczestnik delegacji, tryskający zdrowiem, przez co dodatkowo podkreślał kontrast między nim a towarzyszami podróży — zawsze kręcą się w holu. A własnej rezerwacji nie można znaleźć — wiadomo, dlaczego. Mają powiązania z administracją. Wszyscy siedzą u nich w kieszeni.

Na szczęście, nie znajdując zrozumienia ze strony Jurija i Eli, sąsiedzi zaczęli narzekać między sobą i zapomnieli o nich.

Ela miała na sobie nową, ale źle skrojoną sukienkę z grubego materiału. Mówiła, że założyła ją specjalnie, bo, chytruska, miała nadzieję, że tu przyjdą. Szubin, zdawał sobie sprawę, że manipulowała nim. Ale przecież w końcu nie najgorzej wszystko wyszło. Tak czy siak, gdzieś trzeba jeść.

Misza przyjmował zamówienie od mężczyzn w delegacji. Długo dopytywali się, co nadaje się do jedzenia, a co nie, dlaczego nie ma czegoś, co umieszczono w menu i dlaczego mięso jest twarde. Ela odezwała się do Miszy, gdy ten odwrócił się w ich stronę, trzymając przed sobą notatnik:

— Miszeńka, sam coś dla nas wybierz...

— Zjecie coś na ciepło? — zapytał kelner, patrząc ze smutkiem na Szubina.

— Miszeńka, przynieś wszystko, co trzeba — powiedziała Ela. — Będziemy pić? — zwróciła się do Jurija.

— Będziemy — odpowiedział. — Koniecznie będziemy.

— No widzisz — powiedziała, jakby wcześniej jej kolega miał co do tego wątpliwości. — Trochę wypijemy.

— Mamy wódkę, koniak i wytrawne wino — powiedział Misza.

Siedzący przy stoliku sąsiad usłyszał i wtrącił obrażonym tonem:

— Dlaczego nie powiedzieliście, że jest wódka?

— Zapytam w bufecie — powiedział Misza. — Dla was też?

— Nie, nie trzeba — powiedział drugi sąsiad. — Będziemy pić koniak, tak jak zamówiliśmy.

Misza poszedł zrealizować zamówienie, a Ela zapytała Jurija:

— Obiecaliście opowiedzieć, co się stało.

— Czekali na mnie społecznicy — powiedział Szubin

— Rozmawialiśmy. Było ich czworo. I jeszcze dziewczyna z księgarni.

— Okularnica? Wiem, która. Czego chcieli. Narzekali na Silantiewa?

— Opowiadali o sytuacji w mieście.

— Głupki z nich — powiedziała Ela. — Tylko złością władze. A lepiej i tak nie będzie.

— Nie wierzysz im?

— Czy tak załatwia się sprawy? Tak samo można by do tej restauracji przyjść bez znajomości.

Na zewnątrz stoi z pięćdziesiąt osób, przestępując z nogi na nogę. A my siedzimy tutaj, rozumiecie?

— A jutrzejszy wiec?

— Już zdążyli wam powiedzieć? Wiec rozpędzą. Będą z tego tylko nieprzyjemności.

— A ty, skąd wiesz?

— My, kierowcy, stajemy przed wszystkimi urzędami — powiedziała Ela. — Czekamy na przedstawicieli władzy i rozmawiamy. Gdyby między nami pojawił się szpieg, zdziwiłby się, jak dużo wiemy. Kierowcy nie zauważa się. A przecież wszystko słyszymy. Jesteśmy zwykłymi ludźmi. Wszystko już postanowione. Początkowo mieli wątpliwości, a potem podjęli decyzję — rozpędzić. Potrzebują kilku dodatkowych dni...

— Żeby zorganizować jubileusz Silantiewa? — zapyta Szubin.

— O, wy też dużo wiecie. Jesteście u nas dopiero jeden dzień, a tyle wiecie.

Podszedł kelner, postawił sałatkę, butelkę wódki, pomidory — Sąsiedzi na razie nic nie dostali — tylko chleb. Patrzyli na Szubina i Elę wilkiem, ale milczeli.

— Zaraz dla was przyniosę — zwrócił się w ich stronę Misza.

Muzycy byli w dobrym humorze, widocznie też zjedli kolacje, jeden z nich opowiadał anegdotę, piosenkarka w długiej, wydekoltowanej sukni, cała błyszcząca — od czubka głowy do stóp, chichotała.

— A potem zdarzyło się coś dziwnego — powiedział Szubin. — Gdy wyszliśmy z kawiarni, z naprzeciwka nadeszło dwóch chłopaków...

Opowiedział o bójce, nie przyznając się, co prawda, do ucieczki i ukrywania się przed milicjantami.

— Kazał ci uciec? — zapytała Ela. — Myślał, że to wszystko zaaranżowano specjalnie?

— Tak, chłopak sądził, że chcą mnie skompromitować.

— Nie — powiedziała Ela. — Sądzę, że chcieli skompromitować ich, żeby nie mogli przyjść jutro na wiec. To ma sens! Siedzą teraz na komisariacie i składają wyjaśnienia. Śmieszne!

— Wygląda na to, że niepotrzebnie uciekałem?

— Nie, wcale nie. Inaczej wy także składalibyście teraz wyjaśnienia na komisariacie, a ja bym siedziała sama w tej nowej sukience.

— Śliczna — powiedział Szubin.

— Skąd tu wziąć ładną? Kupiłam ją jeszcze we wrześniu, koleżanka przywiozła z Moskwy. Podoba się wam?

— Słowo daję, że mi się podoba.

Wypili. Ela opróżniła kieliszek jednym haustem, niezauważalnie. Jurij odebrał to jako nieprzyjemny popis. A może było to zwykłe przyzwyczajenie?

Zostawił trochę na dnie, odstawił kieliszek. Ela z radością napoczęła sałatkę. Potem powiedziała:

— Nie, o was nie mogli wiedzieć. U nas młodzież jest taka zdiczała, że aż trudno to sobie wyobrazić! Dobrze chociaż że czapki wam nie zabrali.

— Czapkę zgubiłem.

— Oj, macie drugą?

— Nie, nie mam.

— Przyniosę wam jutro czapkę narciarską. Została mi po mężu. Inaczej przeziębicie się. Jest prawie nowa.

Szubin nalał wódki.

— Wasze zdrowie — powiedziała Ela. — Żebyście się nie przeziębili.

Jadła sałatkę, potem nagle odstawiła talerz i powiedziała:

— Nic o was nie wiedzieli. Nikołajczyk wyszedł, kiedy was już nie było. Zapytał mnie, dokąd poszliście, a ja odpowiedziałam, że nie wiem. A to znaczy, że nie wiedzieli.

— To dobrze — powiedział Szubin.

Muzyka huknęła dziko, tak jak to potrafią zrobić tylko zespoły grające w restauracjach. Trzeba było przerwać rozmowę. Podszedł Misza, niedbałym gestem postawił przed sąsiadami dwa talerze z zupą i odszedł.

— Chodźmy zatańczyć — krzyknęła Ela do ucha Szubinowi. — Nie da się rozmawiać.

Poszli na parkiet. Tańczyli prawie wszyscy, i Szubin pomyślał, że tylko wtedy mogą porozmawiać. Ciasnota sprawiała, że taniec zamienił się w jakieś kolektywne bujanie. Ela odchyliła głowę, patrząc otwarcie na Jurija. Przytulił ją, nie sprzeciwiła się. Nie rozmawiali, nie mieli na to ochoty. Szubin pił na głodnego, więc wódka od razu zaszumiała w głowie. Ela była niższa, więc położyła głowę na jego ramieniu. Dotknął wargami jej włosów, które pachniały mydłem.

Gdy wracali do stolika, tłum tańczących rozproszył się po sali i wtedy Szubin zobaczył, że obok ściany, przy długim stole, siedzi znajomy człowiek, podobny do rasowego doga i uważnie wpatruje się w niego.

Dziennikarz napotkał jego spojrzenie i nie widząc, z kim ma do czynienia, nieznacznie skłonił głowę, ale znajomy człowiek nie odpowiedział, tylko nadal wpatrywał się. Dopiero wtedy Szubin przypomniał sobie: przecież to Groński, dyrektor zakładu chemicznego. Mimo sporej odległości, ciężki, pijany wzrok był nieprzyjemny, sprawiał wrażenie niemal fizycznego kontaktu.

Do stolika wracali sąsiedzi Grońskiego ze swymi puszystymi partnerkami. Ludzie solidni, krzepcy. Gdy Szubin podchodził już do swojego stolika, odwrócił się i zauważył, że dyrektor zakładu chemicznego mówi coś do nachylonego nad nim młodego mężczyzny z odstającymi uszami. Młodzieniec podniósł głowę, powiódł oczami po sali, odszukał wzrokiem Szubina. Natychmiast wyprostował się i poszedł sobie.

— Co zobaczyliście? — zapytała Ela. — To Groński?

— Mają dzisiaj bankiet — powiedziała Ela. — Komisja z ministerstwa pracowała nad rozszerzeniem produkcji. Odprowadzają ich.

Młody mężczyzna z odstającymi uszami przeszedł tuż obok ich stolika, starając się nie patrzeć w stronę Szubina.

— A to kto? — zapytał Szubin.

Ela spojrzała na plecy młodego mężczyzny.

— Chyba referent... płotka. Szubin powiedział:

— Wypijmy jeszcze.

— Wypijmy, żeby zapomnieć o wszystkich nieprzyjemnościach.

Znowu rozległa się muzyka, więc wrócili na parkiet. Jurij Pocałował Elę w brew, a ona przytuliła się mocniej. Wydawało się, że Groński obserwuje ich spod oka, spoglądał więc od Czasu do czasu w jego stronę, ale dyrektor zakładu chemicznego wciąż był zajęty rozmową z podobnym do Chruszczowa sąsiadem.

Gdy po tańcach wrócili z powrotem do stołu, sąsiedzi kończyli już zupę, a Misza rozstawiał talerze — z kotletami dla sąsiadów i z podobnymi kotletami, ale ozdobionymi zieleniną, marynowanymi śliwkami i ćwiartkami cytryny, dla Eli i Jurija.

Jeden z sąsiadów wyjął z kieszeni płaski kalkulator i zaczął przyciskać guziki.

— Powinno być po cztery czterdzieści od łba — powiedział do garbusa.

— Aha — garbus uśmiechnął się zagadkowo i Szubin zrozumiał, że policzyli już bardzo dokładnie, ile powinni zapłacić, są przygotowani na oszustwo, awanturę i skargi. Jurij wprawdzie sympatyzował z Miszą, ale nie na tyle, aby go ostrzec o zamiarach klientów.

Młody człowiek z odstającymi uszami wrócił do stolika Grońskiego i, nachyliwszy się, szeptał mu coś do ucha. Szubin pomyślał, że jeśli w trakcie rozmowy zerkną w jego stronę, będzie to znaczyło, że rozmowa i wyjście referenta są jakoś z nim związane. Ale nikt nie spojrzał na niego i wtedy powiedział na głos:

— Mania prześladowcza.

— Co?

— Nic ważnego, Elu, wypijmy jeszcze. Nie pozwolimy, żeby się zmarnowało.

Ela wyciągnęła rękę pod stołem i dotknęła kolana Szubina.

— Jesteście dla mnie dobrzy — powiedziała. — Słowo daję.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Wyczuwam ludzi. Spodobaliście się mi, gdy tylko zobaczyłam was rano na lotnisku. Naprawdę!

Kotlety były ledwie ciepłe. Pozycja Miszy nie rozciągała się na jakość jedzenia. Jednak to było bez znaczenia, bo Jurij był wpatrzony w Elę. Dostrzegł, że była zadziwiająco ładna...toporną, nieco wschodnią, czystą urodą łani. Nawet idiotyczna sukienka nie mogła ukryć gibkości i jędrności jej ciała, o czym — od czasu tańca — pamiętały jego palce.

Zespół muzyczny, który milczał już od kilku minut, nieoczekiwanie ożywił się. Pianista podszedł do mikrofonu i ogłosił:

— Na prośbę przyjaciół Rusłana Kwirikadze, świętujących jego urodziny, zagramy teraz utwór „Suliko”.

Zespołowi udało się wykonać zapowiedzianą piosenkę w tej samej grzmiącej tonacji, co pozostałe utwory.

— Zatańczymy? — zapytała Ela.

— Zjedzmy najpierw — powiedział Szubin.

Obok przechodził Misza, a wtedy jeden z sąsiadów złapał go za rękaw i z ruchu warg Jurij domyślił się, że żąda rachunku. Drugi trzymał rękę w kieszeni — Szubin wiedział, że tam czeka na swoją kolej bezstronny kalkulator.

— Cieszę się, że cię spotkałem — powiedział Jurij, nachylając się do ucha Eli. Kiwnęła głową, przeżuwając kawałek kotleta. Przeżuła i krzyknęła:

— Ja też! Po prostu jestem szczęśliwa. Dziękuję. Zespół jęknął, kończąc piosenkę. Siedzący przy długim stole Gruzini głośno klaskali. Misza położył rachunek przed sąsiadami Szubina, którzy wbili oczy w końcową sumę. Misza odwrócił się w stronę Jurija i zapytał:

— Co jeszcze podać?

Szubin odmownie pokręcił głową. Obserwował sąsiadów.

Na ich twarzy malowała się odraza.

Wyjęli z kieszeni portfele, odliczali pieniądze, potem zaczęli szukać drobnych. Znaczyło to, że Misza zawiódł ich oczekiwania — podliczył wszystko poprawnie.

Kelner stał obok, udając, że interesuje go wyłącznie Szubin.

Zapytał:

— Jak kotlet, smakował?

— Bardzo smaczny — odpowiedziała Ela. — Dziękuję, Miszeńka.

Sąsiedzi ułożyli pieniądze na obrusie, garbus przesunął je w stronę kelnera.

— Równo? — zapytał Misza, podkreślając swój tryumf.

Nie odpowiedzieli. Groźnie i hałaśliwie osunęli krzesła, wstali i poszli w stronę wyjścia.

— Też to widziałaś? — zapytał Szubin.

— Oczywiście, od samego początku. Misza też widział.

— Widziałem z kuchni, jak bawią się kalkulatorem — powiedział kelner. — Policzyłem im o szesnaście kopiejek mniej. Dla bezpieczeństwa. Nie przyznali się.

Bez liczenia zsunął pieniądze do bocznej kieszeni marynarki, jakby oddzielał je w ten sposób od pozostałych, przyzwoitych.

— Napijcie się kawy? — zapytał ich.

Ela pytająco popatrzyła na Jurija. Zrozumiał, że nie ma ochoty wychodzić.

— Proszę przynieść — powiedział Szubin. Teraz był już niemalże przyjacielem Miszy.

— A dla waszej damy podam lody, dobrze? — zapytał Misza i uzyskawszy zgodę, odszedł.

— Dla damy, też coś! — z lekką nuty drwiny rzekła Ela. Rozbawiło ją to.

— Tutaj pewnie kawa jest nędzna... — rozmyślał głośno Szubin.

— Sztuczne świństwo — potwierdziła Ela. — Z beczki.

— Mam rozpuszczalną. Dobrą, prawdziwą. I grzałkę.

— Gdzie?

— W pokoju.

— Przyniesiecie?

— Po co? Pójdziemy do mnie, wypijemy kawę. Potem odprowadzę cię.

— Oj, co wy! Już prawie jedenasta. Nie wpuszczą mnie.

— Poprosimy. — A po chwili zapytał: — A oni mogą? — i wskazał stół Grońskiego.

— Im wszystko wolno.

— Szkoda — powiedział Szubin. — Lubię sprawiedliwość.

Ela położyła palce na jego ręce i pogładziła ją.

— Nie martw się. Spróbujemy. W takim razie powiem Miszy, że nie chcemy kawy.

Nie zdążyła wstać, gdy nadszedł Misza z lodami. Gdy Szubin rozliczał się, Ela szybko jadła deser. Kąciki ust zrobiły się białe.

— Okropnie lubię lody — przyznała się.

— Nie spiesz się.

Szubin popatrzył na stół dyrektora zakładu chemicznego. Człowiek podobny do Chruszczowa śmiał się, pokazując palcem siedzącą obok, postawną damę.

— Chodźmy — powiedziała Ela. — Inaczej ucieknie mi ostatni autobus do domu.

Gdy weszli do holu, Ela powiedziała:

— Idźcie po schodach. I odciągnijcie jej uwagę rozmową.

Koło stanowiska recepcjonistki tłoczyli się ludzie, pewnie z pociągu lub samolotu. Facet z odstającymi uszami rozmawiał przez telefon, przechylając się ponad stołem.

— A ty?

— Wjadę windą piętro wyżej i zejdem w dół po schodach. Tak zrobili. Dyżurna była zajęta

rozmową z jednym z gości, posłała Szubinowi pozbawione emocji spojrzenie. Minał ją, poszedł dalej wzdłuż korytarza, który teraz był pusty. Zatrzymał się przed swoimi drzwiami, wyjął klucz, przekreślił go. Zobaczył, że korytarzem idzie Ela. Udało się! Udało się, a niech to.

I wtedy właśnie na końcu korytarza pojawiła się sylwetka dyżurnej.

— A ty dokąd? — zapytała groźnie, jej głos jak pocisk Przeleciał przez korytarz.

Ela przebiegła jeszcze kilka kroków i znieruchomiała, jakby czekając na kolejny strzał w plecy.

Szubin wyszedł jej na spotkanie.

Dyżurna spieszyła korytarzem, kołysząc się jak kaczką Dogoniła Elę i złapała ją za rękę. Ela ją wyrwała, ale zatrzymała się.

— To do mnie — powiedział, starając się wymówić te słowa oficjalnym tonem, ale język go nie posłuchał.

— Widzę, że do was — powiedziała dyżurna. — Jedenasta a do niego goście. Przecież uprzedzałam.

— My tylko na chwilkę — powiedział Szubin.

— Zostawiłam książkę w pokoju — powiedziała Ela.

— To niech ci wyniesie tę twoją książkę.

— Co za porządki! — nie wytrzymał Szubin. — Dlaczego muszę cały czas o coś prosić, coś naruszać, przed kimś się upokarzać. Chcę, żeby ta kobieta weszła do mojego pokoju. Wejdzie i wyjdzie cała i zdrowa.

Wbrew zamiarom Jurija głos brzmiał wyżej, pojawiły się w nim piskliwe nuty. Ela wcisnęła się między niego i przygotowaną już do wielkiej awantury dyżurną i zaczęła mówić szybko, cicho i z uporem:

— Proszę się nie denerwować, powoli, bez nerwów.

Szubin zauważył nagle, że Ela wsuwa dyżurnej do ręki czerwony papierek i o mało — kierowany słusznym gniewem — nie wyrwał tego papierka. Ona zdążyła go powstrzymać — jakby rozumiała wszystkie jego emocje. Odsunęła go wolną ręką, a on przesunął się o krok.

— Tylko szybko — powiedziała dyżurna. — Weź książkę i pośpiesz się. Zrozumiałaś?

Nie patrzyła więcej na Szubina. Weszli do pokoju.

— A ty co? — zapytała Ela. — Nie chcieliście, żebym przyszła?

— To wszystko jest wstętne.

— Nie wpraszałam się do waszego pokoju.

— Nie to miałem na myśli...

— Powinniście się cieszyć, że się udało.

Pocałowała go w policzek.

— A gdzie indziej jest inaczej?

— W Szwajcarii tak nie jest.

— Ale nie jesteśmy w Szwajcarii. Nam i tutaj jest dobrze.

Jurij poczuł, że jego gniew rozplywa się i rzeczywiście wszystko jest dobrze. Są we dwoje. Drzwi zamknięte. Za oknem plac przed dworcem w obcym mieście. Dyżurna zarobiła swojego czerwonońca. Pomyślał, że może to i lepiej, że jest przekupiona, więc nie będzie się wtrącać. Nie są przecież w Szwajcarii.

— Oddam ci dziesiątkę — powiedział.

— Bez sensu... Zapłaciliście za kolację i to o wiele więcej.

— Też mi porównanie. Ile ja zarabiam, a ile ty!

— Zarobiłam dziś więcej niż czerwonońca, kiedy wy prowadziliście wykład.

— Gdzie byłaś?

— Zajmijcie się lepiej kawą. Przecież obiecaliście.

Szubin wyjął słoik kawy i grzałkę. Ela wzięła słoik i zaczęła go oglądać.

— Nie widziałam takiej kawy — powiedziała. — Przywieźliście ze sobą?

— Przywiozłem. Tylko nie ma nic słodkiego.

— Nie trzeba.

— I nie wzięliśmy żadnego alkoholu.

— Mnie już wystarczy. Jutro idę do pracy.

Jurij nalał wody do szklanki, postawił ją na biurku i włożył do środka grzałkę. Ela stała tuż obok.

Jej włosy pachniały bydlęciem. Szubin położył jej ręce na ramiona i przyciągnął do siebie. Pocałunek był tak długi, że gdy Ela wyrwała się i zaboląła teatralnym szeptem: „Szklanka pęknie!”, Jurij nie od razu zorientował się, że woda w szklance kipi.

— Chcesz kawy? — zapytał także szeptem, wyłączając grzałkę.

— Nie wiem — powiedziała Ela, przysunęła się do niego podniosła głowę i odszukała wargami jego wargi.

— Zamknąć drzwi? — spytał.

— Tak.

Ela leżała, wygodnie, wtulając się w ciało Jurija. Jej głowa lekko naciskała jego ramię.

— Jestem taka szczęśliwa — szeptała. — Bardzo szczęśliwa. Nie myśl, że ci się narzucam. Nie sądziłam, że przyjdę do ciebie. Pewnie myślisz, że jestem łatwa — bez męża, jakiś tam kierowca.

— Nie myślę tak.

— Ładne mam piersi?

— Bardzo ładne.

— Jadłam lody i bałam się, że powiesz, że chcesz spać i powinnam już sobie iść.

— Nie chciałem, żebyś odeszła.

Jurij poprawił poduszkę, lubił, aby głowa leżała wysoko. Ela lekko uniosła się, żeby było mu wygodniej. Zobaczył świecące się za oknem niebo: zielonkawe, z niebieskimi i czarnymi plamami. W tutejszym niebie krył się jakiś strach. Na ulicy zawyła syrena pogotowia.

— Woda na pewno całkiem wystygła.

— Zaraz podgrzeję — powiedziała Ela, ale nie ruszyła się z miejsca. Jurij poczuł, że liczy sekundy, które jej zostały do końca pobytu w jego pokoju hotelowym. Przytulił ją mocniej, a ona zaczęła szybko i delikatnie całować jego rękę.

Szubina zalała falą słodkiej i gorzkiej czułości do tej kobiety, że serce ścisnęło się na myśl o nieuchronnym końcu spotkania.

— Myślałam, że nawet na mnie nie spojrzysz.

— Nie mów głupot. Jesteś śliczna i wiesz o tym.

— Mam krótkie nogi.

— Nie patrzyłem.

Ktoś dotknął drzwi. Popchnął je tak, jakby to był człowiek stąpający niepewnie po korytarzu, który przypadkiem uderzył w nie ramieniem. Tak najpierw pomyślał Jurij, ale po chwili rozległo się pukanie.

Część druga. Po północy

— Ktoś pomylił pokoje — wyszeptał Szubin.

— Ona nie przyjdzie — powiedziała Ela. — Wzięła czerwońca.

Stukanie rozległo się ponownie. Tym razem głośniejsze i bardziej zdecydowane.

— Może telegram? — zapytała Ela. — Mogą do ciebie przysłać telegram z Moskwy?

— Leż — powiedział Jurij, wstając. Leżący koło łóżka dywanik przesunął się i Szubin z trudem utrzymał równowagę. W drzwi ktoś walił tak, jakby chciał je rozwalić.

— Proszę poczekać! — krzyknął Szubin. — Zaraz otworzę.

Na bosaka poszedł w stronę drzwi.

— Kto tam? — zapytał.

— Proszę otworzyć, telegram — rozległ się męski głos.

— A widzisz — powiedziała Ela za jego plecami. — A nie mówiłam.

Szubin obejrzał się. Ela siedziała na łóżku, jej czarna postać odcinała się wyraźnie na tle jaśniejszego nieba.

Coś powstrzymało Szubina przed otwarciem drzwi. Jakby głos nie pasował do telegramu.

— Skąd przyszedł telegram? — zapytał.

— Z Moskwy — padła odpowiedź zza drzwi.

— Wiecie co — powiedział Szubin — już się położyłem. Proszę wsunąć pod drzwi.

Nastąpiła chwila ciszy, Szubinowi wydawało się, że za drzwiami słyszy szepty.

— A podpis? — zapytał głos.

— Jutro pokwituję.

— Nie, proszę odebrać telegram i podpisać się.

— Ojaju, otwórz — powiedziała Ela. — Może coś się stało w domu?

Szubin przekręcił klucz w drzwiach i uchylił je, wyciągając rękę, żeby odebrać telegram.

— Proszę mi go dać — powiedział.

Ktoś pchnął drzwi tak, że zaskoczony Szubin stracił równowagę i uderzył się plecami o wieszak. Drzwi otwarły się na oścież. W oczy uderzyło go jasne światło.

W tej samej chwili zapaliła się lampa w korytarzu. Jurij podnosząc się, zobaczył, że stoi przed nim młodzieniec z czerwoną opaską i twarzą neandertalczyka, którego zadaniem było pilnowanie wejścia. Trzymał rękę na kontakcie.

— Co tu się dzieje — rozeźlił się Szubin.

Dyżurny z czerwoną opaską zrobił krok naprzód, ale Jurij zagroził mu drogę do pokoju.

— Proszę mnie wpuścić — powiedział neandertalczyk — wykonuję obowiązki.

Szubin poczuł taki przypływ złości, że z całej siły odepchnął dyżurnego, a ten, aby nie upaść, wpił się palcami w jego podkoszulek, który rozerwał się z trzaskiem.

— Chcesz się bić? — zachrypiał neandertalczyk. — Mało mu niemoralnego zachowania, jeszcze

bójki urzęda!

W tej samej chwili w pokoju, jakby wepchnięty przez niewidzialną rękę, pojawił się młody milicjant w mokrym płaszczu i furazerce.

— Zabieraj go — powiedział dyżurny. — Na komendę z nim.

Szubin odskoczył w tył, w głąb pokoju, ale milicjant miał szybszy refleks — złapał go za ramię i wykręcił rękę za plecy.

Przelotnym, niepewnym spojrzeniem Szubin zdążył zobaczyć Elę. Zawinięta w prześcieradło stała koło kanapy.

— Nie waż się! — krzyknęła, ale nie mogła się poruszyć, długie prześcieradło nie pozwalało jej ruszyć się z miejsca.

Jurij czepiał się lewą ręką za wszystko, co było w jej zasięgu: wieszak, drzwi do łazienki, za swoją kurtkę. Jednak milicjant coraz silniej naciskał drugą rękę, będąc pewnym, że Szubin będzie zmuszony się poddać. Gdy napadnięty hotelowy gość wyleciał do korytarza, milicjant popchnął go twarzą na ścianę, a dyżurny natychmiast uderzył w bok. Milicjant powiedział:

— A to już było niepotrzebne.

— Napadł na mnie — powiedział neandertalczyk. — Przyjeżdżają tu, żeby rozrabiać.

— Nie chciałam go wpuścić — Szubin usłyszał wystraszony i przez to piskliwy głos dyżurnej z piętra. — Widziałam, że jest pijany i nie chciałam wpuścić.

— Wychodź — powiedział neandertalczyk, Jurij zrozumiał, że słowa były skierowane do Eli. Nie mógł się jednak odwrócić.

— Ubiorę się — powiedziała Ela.

— Umiałaś się puszczać, to teraz naucz się chodzić jak cię matka urodziła — powiedział neandertalczyk.

— Słuchaj — powiedział milicjant. — Nie ty tutaj rządzisz. Niech się ubierze.

— Wezwali cię, to wykonuj obowiązki.

Dyżurny sam siebie nakręcał, złościł się, był na granicy hysterii, jak przestępca rwący się do bójki.

— Proszę mnie puścić — powiedział Szubin do milicjanta. — Chcecie mnie w majtkach ciągnąć na komisariat?

— Pociągniemy, sukinsynu — powiedział dyżurny. — Za pobicie mnie podczas wykonywania obowiązków pociągniemy. I to przy świadkach.

— Proszę się ubrać — powiedział milicjant.

Chwył osłabł. Szubin wyprostował się. Dyżurna odeszła dalej. Neandertalczyk stał obok, dyszał ciężko, zalatywało od niego czosnkiem.

— Tylko bez żadnych sztuczek — powiedział milicjant, wchodząc do pokoju w ślad za Jurijem.

Ela miała już na sobie sukienkę, zakładała kozaki.

Szubin zobaczył swoje spodnie leżące na fotelu. Obok wałała się pomięta koszula. Było mu wstyd, że obcy ludzie patrzą się na jego rzeczy.

— Moglibyście się odwrócić — powiedział. — Tutaj jest kobieta.

Za oknem zawyła jeszcze jedna karetka. Zagwizdał parowóz. Gwizdek urwał się niespodziewanie.

— Dziwka, nie kobieta — powiedział dyżurny. Milicjant od razu zrobił krok w stronę Szubina, ogradzając go od dyżurnego. Ela powiedziała cicho, ze złością:

— Jeszcze pożałujesz, żeś się urodził.
— Ty mnie nie strasz. Szubin powiedział:
— Towarzyszu milicjancie, jesteście świadkiem tego, jak nas obrażają.
— Ubierajcie się, ubierajcie — powiedział milicjant, wyglądając przez okno.
— Uprzedzam: jutro będę u waszego sekretarza komitetu miejskiego.
— Zobaczymy — powiedział milicjant.
— Akurat cię przyjmie — powiedział neandertalczyk.
— Ubrani? — zapytał milicjant. — W takim razie proszę za mną. Na komendę.
— Dlaczego? Macie obowiązek powiedzieć mi, o co jestem oskarżony.
— O naruszenie zasad obowiązujących w hotelu — powiedział milicjant.
— Nie! — krzyknął neandertalczyk. — O napad i chuligaństwo.
— Nie wstyd wam, towarzyszu sierżancie? — zapytał Szubin.
— To wam, obywatelu, powinno być wstyd — powiedział milicjant.

Twarz miał prostacką, niemalże dziecięcą, nos zadarty.

Widać było, że nie ma ochoty w nic wnikać i błędzi myślami gdzieś bardzo daleko.

— Chodźmy — powiedziała Ela. — Nic im nie udowodnisz. Mimo wszystko dostali cię. A ja ci nie wierzyłam.

— Nie pójdę na komendę — powiedział Szubin.

— Trzeba — powiedział milicjant. — Sprawdzimy obecność alkoholu we krwi.

Wziął ze stołu klucze do pokoju i popchnął Jurija w stronę drzwi.

Ela sama ruszyła do przodu.

— Nie zapomnieliście dokumentów? — zapytał milicjant. Pytanie zabrzmiało naturalnie i Szubin poklepał się ręką po piersi, aby upewnić się, że portfel jest na miejscu, tak samo naturalnie odpowiedział:

— Nie zapomniałem.

Milicjant sam zamknął pokój i oddał klucz dyżurnej, która podbiegła, aby go odebrać.

— Oddaj czerwonońca — powiedziała Ela.

— Co? — dyżurna szybko ruszyła przodem wzdłuż korytarza, kołysząc się jak kaczka, której spieszo schować się za kamieniem.

Neandertalczyk szedł za nią, odwracał się co chwila, jakby w obawie, że Szubin niebezpiecznie się przybliży. Pochód zamykał milicjant.

Wyszli na klatkę schodową, gdzie stał pijany w trupa młodzieniec w kozuchu i futrzanej czapce. Ujrzawszy Szubina, od niechcienia, ale głośno i życzliwie zapytał:

— Czy przekazać coś komuś?

Pijany roześmiał się.

Z dołu dobiegł głośny krzyk, zamienił się w charczenie i umilkł.

— Muszę się ubrać — powiedziała Ela do milicjanta. — Mam palto w restauracji. W szatni.

Milicjant rozmyślał nad tą informacją. Zeszli jeszcze o pół piętra w dół.

— Ej, ochrona — powiedział milicjant.

Neandertalczyk odwrócił się.

— Odprowadzisz panią do szatni.

— Sama dojdzie.

— Odprowadzisz, powiedziałem. Poczekamy na ciebie w samochodzie.

Dyżurny nie odpowiedział. Nadal schodził w dół. Z ostatniego półpiętra widać już było hotelowy hol.

Na pierwszy rzut oka Szubinowi wydało się, że widzi ilustrację do bajki o śpiącej królewnie.

Wszyscy spali.

W wypełniającej hol żółtej, przezroczystej mgłę, spali na podłodze ludzie, którzy niedawno tłoczyli się w oczekiwaniu na wolny stolik. Spali też ci, którzy przedtem zabijali czas, siedząc w fotelach. W uchylonych drzwiach restauracji spał kelner. Było bardzo cicho.

Śpiące królestwo było tak pełne jakiejś zaczarowanej tajemnicy, że milicjant szepnął:

— Stójcie!

Wszyscy posłusznie stanęli, oprócz neandertalczyka, który nadal schodził w dół.

Z dołu podnosił się ciężki, martwy zapach, który — mimo że znajomy — nie obudziłby w Szubinie żadnych wspomnień, gdyby nie migotanie żółtej mgły. Wtedy Jurij zobaczył: czarna rzeka... żółta mgła nad wodą... kaszel Nataszy i słowa Burina o nieprzewidywalnych reakcjach chemicznych w ściekach. Obraz pojawił się na chwilę i znikł, wyparty przez niewiarygodną rzeczywistość.

Szubin widział, jak neandertalczyk wchodzi w żółtą — ale przezroczystą — warstwę mgły, a jego ruchy stają się coraz wolniejsze. Chwycił się obiema rękami za gardło, zawrócił z powrotem w stronę schodów, ale nie dał rady pokonać więcej niż jeden stopień, upadł, uderzył głową w najniższy stopień i znieruchomiał.

Szubin chwycił za rękę Elę, która rzuciła się w stronę dyżurnego.

— Mówili ci, że masz stać! — krzyknął. Krzyk zabrzmiał bardzo głośno.

Stali we trójkę na schodach, wokół nich panowała straszna cisza, bo ani z restauracji, ani z ulicy nie dobiegał nawet najcichszy dźwięk. Po minucie odrętwienia milicjant ruszył w dół. Zrobił jeden krok.

— Nie wolno — krzyknął Szubin, a jego głos dziwnie niósł się po holu, jakby to był nie hotel, a pusta świątynia.

Żółty, lekki opar kłębił się, pobłyskiwał, jak powietrze w letni dzień nad rozgrzany miastem. Szubin zrozumiał, że opar pochłonął ludzi, którzy zdawali się spać, ale niezgrabne, nienaturalne pozycje zdradzały, że są martwi, a teraz ciągnie ku górze, ku żywym, aby i on, i Ela, i milicjant upadli i utonęli w nim tak, jak utonął dyżurny z czerwoną opaską na rękawie.

— Tam są ludzie — powiedział milicjant, a nad jego górną wargą błyszczały kropelki potu.

— Im już nie pomożesz — powiedział Jurij. — A sam zginiesz.

— Zginiesz? — cicho zapytała Ela. — Jak to?

— Nie wiem. Ale tam nie wolno. Chodźmy na górę.

Szubin poczuł suchość i palenie w gardle. Być może była to autosugestia, a może rzeczywiście opar podnosił się, dusząc wszystkich wokoło.

Pociągnął Elę za rękę, a ona smutnym głosem powiedziała:

— Zostawiłam palto w szatni.

Zaczął ich popychać w górę a oni, choć niechętnie, poddali się.

— Stracili przytomność — mówił policjant. — Trzeba wezwać pogotowie.

Wypchnąwszy ich z półpiętra na schody, skąd już nie było widać holu, Szubin zatrzymał się i zaczął przeszukiwać kieszenie — gdzie papierosy? Wszystko było nierealne, nie, nie sen, a nierealność, wewnątrz której zachował świadomość.

Szubin przeżył już raz coś takiego, kiedy zapalił się w powietrzu silnik w starym samolocie, który

już trzykrotnie był wycofany z eksploatacji. Awionetka należała do prywatnej firmy organizującej dwa razy w tygodniu rejsy do Bogoty. Wtedy Jurij siedział w przedziale pasażerskim, dookoła ludzie krzyczeli, ktoś starał się wstać, przez iluminator widać było ciągnącą się od silnika smugę dymu, samolot chybotął się, krążył, szukał miejsca do lądowania, a w dole ciągnęły się tylko góry pokryte kędzierzawym lasem. Samolot w końcu wylądował na polanie, potem piloci wyprowadzali posiniaczonych pasażerów, wypychali ich z samolotu. Ludzie nie rozumiejąc sytuacji, łapali swoje rzeczy, walizki, torby, a piloci poganiali ich i odganiali jak najdalej od palącego się pojazdu... Dopiero z daleka Szubin zobaczył wybuch awionetki i z jakąś dziwną satysfakcją pomyślał, że zdążył zabrać swoją walizkę.

Z góry schodził, chwiejąc się, młody człowiek w kozuchu.

— Stoicie? — zapytał i dodał: — Chcesz, to uwolnię cię. Szubin nie zrozumiał, zapomniał, że dopiero co został aresztowany, bo między sceną w pokoju, a tym, co zobaczył w holu przebiegała nieprzenikniona zasłona.

— Co? — Jurij był zdezorientowany.

Milicjant powiedział:

— Tam nie wolno.

— A co to za porządki? — powiedział chłopak w kozuchu. — Wolny kraj, wolne miasto. Łapią kogo popadnie.

Odepchnął milicjanta, a ten odsunął się, bo nie czuł się w tym momencie na siłach pełnić swoją funkcję.

— Poczekaj — powiedział Szubin. — Tam jest niebezpiecznie. Jakiś gaz.

— Jak gaz to gaz.

Chłopak był silny i, jak to pijany, uparty.

Ela rozkaszała się.

Szubin powiedział do chłopaka:

— Jak chcesz, ale potem będzie za późno.

— Nie wolno, nie wolno! Tam wszyscy leżą martwi! — krzyknęła Ela i znowu zaczęła kaszleć.

— Jacy znowu martwi? — chłopak wytrzeźwiał. Nikt mu nie odpowiedział. Szubin podtrzymał Elę, której zrobiło się słabo, dopadły ją mdłości. Starła się powstrzymać, ale Jurij zaprowadził ją do kosza na śmieci, który, na szczęście, stał na półpiętrze.

Chłopak zszedł na półpiętro i spojrzał w dół. Zatrzymał się. Potem zaklął, owinał się kozuchem i pobiegł na górę.

Szubin podtrzymał omdlałą Elę, bał się, że się zatrula oparami.

— Jak się czujesz? — zapytał. — To z nerwów. Zaraz przejdzie.

Jakby chciał przekonać ją, że to nie ma nic wspólnego z żółtym oparem, ani z tym, co zobaczyli.

— Już mi lepiej — powiedziała Ela. — Przepraszam.

— Musisz iść na górę, do pokoju i tam położyć się — powiedział Szubin.

— Tak, koniecznie — Ela od razu zgodziła się.

— Gdzie jest klucz do mojego pokoju? — zapytał Szubin.

— Klucz? Oddałem dyżurnej — powiedział milicjant.

— Chodźmy na górę — powiedział Szubin. — Trzeba zadzwonić.

— Właśnie — milicjant nagle uśmiechnął się z ulgą. Jakby ktoś pchnął go z powrotem ku rzeczywistości.

Pierwszy pobiegł na górę.

Szubin wyjął chustkę, a Ela wytarła usta.

Gdy w ślad za milicjantem weszli na piętro, zdążyli jeszcze zobaczyć, jak dyżurna widząc, że milicjant wraca sam, wstaje ze zdumienia. Zapytała:

— A to co? Co takiego? Nie brałam żadnych pieniędzy.

— Klucz do pokoju. Szybko! — powiedział Szubin.

Dyżurna zaczęła grzebać w szufladzie z kluczami.

— A co? Coś się stało?

— Na dole nieszczęście. Katastrofa — powiedział Szubin. — Nie wolno tam schodzić. I nie pozwólcie na to nikomu. Stańcie na schodach i nikogo nie przepuszczajcie.

— Zabili kogoś, prawda? Kogo?

Milicjant zauważył stojący na jej stoliku telefon.

— Proszę milczeć — powiedział. Wykręcił trzy cyfry, uderzył w widełki.

— Przez ósemkę — powiedziała dyżurna. — Na miasto trzeba dzwonić przez ósemkę.

— Trzeba było od razu tak mówić.

Szubin wziął klucz. Powiedział do milicjanta:

— Zaprowadzę Elę do pokoju. Dwieście trzydzieści dwa. Zaraz wracam.

Milicjant kiwnął głową i znowu zaczął wykręcać numer. Obok stała dyżurna.

— Nikt nie odpowiada — powiedział milicjant.

— To chodźmy do mnie, zadzwonimy ode mnie. Może telefon się popsuł — zaproponował Jurij.

We trójkę pobiegli korytarzem. W pokoju nadal paliło się światło, bo ktoś zapomniał je wyłączyć. Milicjant podszedł do stołu, odsunął słoik brazylijskiej kawy i zaczął wykręcać numer.

— Przez ósemkę — przypomniał Szubin.

Podszedł do okna i odsunął zasłonę, aby obejrzeć okolice. Nie wiadomo, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Przecież w ten sposób mógł odpowiedzieć na wszystkie pytania — czy przytrafiło się to tylko w hotelu, czy także na ulicy.

Okno było jak wielki ekran oddzielający Szubina od tego, co zobaczył. Na placu przed dworcem — tak jak przedtem — paliły się latarnie. Ich żółte światło jakby powoływało do życia podnoszące się w odpowiedzi z ziemi żółte błyski. Śnieg stracił niebieski odcień. To była stop-klatka.

Plac był nieruchomy.

Figurki ludzi były rozrzucone po placu, jak kukielki wysypane z pudełka i to z dużej wysokości. Były wszędzie — niewielkie czarne plamki — obok dworca i przystanku trolejbusowego. Mniej na samym placu, między nielicznymi samochodami i kioskami, a zupełnie mało — z prawej strony, obok ciemnych sklepów.

Były jeszcze samochody. Jeden z nich z dużą prędkością wpadł na słup, który wbił się głęboko w maskę, jakby ta wzięła go w objęcia. Drzwi samochodu otwarły się, kierowca wychylił się do połowy, padając głową na jezdnię.

Szubin chciał odwrócić się i powiedzieć, żeby inni też podeszli i popatrzyli, ale w tej samej chwili zobaczył, że na plac wjeżdża wysoki ikarus. Żółte błyski zakryły koła i zawirowały z przodu. Kierowca najwyraźniej zrozumiał, że z przodu dzieje się coś złego. Autobus ostro zahamował. Drzwi otworzyły się.

Szubin zaczął nerwowo ciągnąć okno w swoją stronę, zapomniał jednak przekręcić klamkę — chciał ostrzec kierowcę.

Ten stanął w drzwiach, rozejrzał się, zeskoczył na jezdnię, podeszwy nie zdążyły dotknąć asfaltu — zgiął się i upadł głową do przodu.

Szarpnął się, jakby chciał się odczołgać... i znieruchomiał.

— Nie wolno! — krzyknęła Ela, jej krzyk dotarł do Szubina dopiero po chwili. Zawisła na jego ręce, odrywając ją od okna, aby go nie otworzył.

— Popatrz! — starał się wyjaśnić.

— Wszystko rozumiem, wszystko widziałam... nic nie pomożesz — oni nic nie słyszą!

Milicjant, nie wypuszczając słuchawki z ręki, także patrzył na autobus.

Pasażerów było niewielu. Ze trzy osoby.

Pierwszy z nich pojawił się w otwartych drzwiach zaraz za kierowcą, zatrzymał się na najwyższym schodku, spoglądając w dół. Patrzył na kierowcę i najwyraźniej coś mówił, potem odwrócił się do środka — podszedł do niego drugi pasażer. Po chwili pierwszy pasażer zaczął wychodzić. Powoli, rozglądając się. Szubin widział, jak jego nogi pogrążają się w żółtych błyskach, podnosząc w górę niewielki obłoczek. Pasażer przestraszył się, chciał wrócić do autobusu, ale nogi ugięły się pod nim, jakby chciał usiąść na schodku i lecąc głową w dół, upadł na kierowcę.

Szubinowi w końcu udało się otworzyć okno.

— Wracać! — krzyknął z rozpaczą. — Nie wychodzić! Nie wiadomo, czy drugi pasażer coś usłyszał, czy sam domyślił się, że nie wolno wychodzić, ale odwrócił się w stronę kobiety, ostatniej pasażerki, która zamierzała wyjść przez tylne drzwi. Zatrzymała się, obejrzała. Machnęła lekceważąco ręką i po kilku sekundach leżała na mokrym śniegu koło tylnych drzwi.

Został ostatni pasażer. Odszedł od drzwi, widać było jak przykleił się twarzą do szyby i starał zobaczyć, co się dzieje na placu. Ela zamknęła okno.

Milicjant, pokazując słuchawkę Szubinowi, powiedział:

— Nie odpowiadają.

— Komisariat jest parterowy? — zapytał Szubin.

— Część operacyjna jest na parterze.

— Czy jest piętro?

— Piętro? Po co?

— Jeśli gaz dostał się na parter, to na piętrze mogą być ludzie!

— Ale tam teraz nikogo nie ma. Jest noc.

— To dzwońcie do rady miejskiej. Dzwońcie do komitetu miejskiego! Na pogotowie! Czy to tak trudno zrozumieć?

— Nie znam numeru — powiedział ze smutkiem milicjant. — Pamiętam tylko nasz telefon, innych nie.

— Dobrze — powiedział Szubin. — Chodźmy do dyżurnej. Może ma książkę telefoniczną. Elu, kochanie, nie wychodź, dobrze? Zaraz wracam.

— Jura, dokąd idziesz?

— Trzeba sprawdzić numery telefonów.

— A ja?

— Ty też dzwoń. Dzwoń do Nikołajczyka. Dzwoń do wszystkich, których znasz. Trzeba podjąć jakieś działania.

— A co się stało? To gaz?

— Skąd mam wiedzieć? Przecież byliśmy razem.

— Muszę iść do domu — Ela zatrzymała go. Milicjant stał przy drzwiach, czekał. Uznał wyższą pozycję Szubina i jego prawo do wydawania poleceń.

— Po co do domu? Życie ci niemiłe?

— Mitka został w domu.

— Na którym piętrze mieszkasz?

— Na trzecim.

— To niech śpi. Z kim został?

— Z mamą.

— W takim razie zadzwoń do mamy i powiedz, żeby zamknęli się i nigdzie nie wychodzili. I niech wyjrzą przez okno, czy widać żółtą mgłę. Tylko nic jej nie mów, nie strasz jej, rozumiesz, nie strasz.

Ela pokornie słuchała, kiwała głową, jakby starała się wszystko zapamiętać, a potem powiedziała:

— Nie mamy telefonu.

— Zadzwoń do sąsiadki.

— U nas w domu nie ma telefonów.

— Dzwoń do Nikołajczyka. On ma telefon?

— Ma.

Szubin i milicjant wyszli na korytarz. Zza sąsiednich drzwi dobiegała muzyka. Słysząc było podniesione głosy.

— Trzeba będzie postawić kogoś na schodach — powiedział Jurij. — Żeby nie puszczał mieszkańców na dół.

— Mogą zjechać windą — powiedział milicjant.

— Zobaczymy.

Dyżurnej nie było na miejscu. Zamiast niej zobaczyli człowieka z walizką. Był to smutny garbus — jeden z tych, którzy siedzieli z Szubinem w restauracji. Stał pokornie obok stolika dyżurnej.

— A wy dokąd? — zapytał Szubin.

— Wyjeżdżam — odpowiedział mężczyzna. — A jej nie ma. Muszę oddać klucz.

— Zostańcie na schodach. O, tutaj — powiedział Jurij.

— Nikogo nie wolno puszczać na dół.

— Sierzancie, proszę wszystko mu wyjaśnić — powiedział Szubin. Zobaczył światło palące się u pokojówek. Może tam ukryła się dyżurna? Nie, pokój był pusty.

— To niemożliwe — mówił garbus do milicjanta. — To wszystko jest zmyślane. Byłem na ulicy pół godziny temu.

— Mieliście szczęście — powiedział rozdrażniony Szubin — że uszliście z życiem.

Pociągnął szufladę stołu dyżurnej. Była zamknięta, więc pociągnął mocniej.

— Co robicie? — zapytał garbus.

— Stójcie, gdzie wam kazano! — warknął Jurij.

— Stójcie, stójcie! — poparł go milicjant. — Walizkę zostawcie. Nikt jej nie zabierze.

Garbus, cały czas pełen wątpliwości, zrobił kilka kroków w stronę klatki schodowej, ale walizki nie puścił.

Szuflada wypadła z hukiem. Posypały się papiery. Szubin zaczął je przewracać w nadziei, że znajdzie jakiś zeszyt albo spis telefonów.

Zaszumiała przejeżdżająca obok winda.

— A niech to diabli! — wyrwało się Szubinowi. Rzucił się w stronę windy. Gdy biegł do niej usłyszał, że zatrzymała się na parterze, a potem drzwi otworzyły się. Ktoś krzyknął. I zapadła cisza. Obok drzwi windy cały czas świeciło się czerwone światelko.

— Przynajmniej nikt z niej więcej nie skorzysta — powiedział Szubin.

— Co? Co się stało?

— Zejdźcie pół piętra w dół — powiedział Szubin do garbusa — ale nie więcej. Zobaczcie, co się dzieje na dole i natychmiast wróćcie, jeśli słowa sierżanta wam nie wystarczą.

— Ale on powiedział, że tam nastąpiło zatrucie jakimś gazem.

— No właśnie.

Garbus ostrożnie zszedł w dół.

Na górze ktoś bębnił w drzwi windy — widocznie nie mógł się doczekać i był zły.

— Pójdę na górę — powiedział Szubin. — Może któraś dyżurna ma książkę telefoniczną. Wiecie, co robić?

— Tak jest — powiedział milicjant, choć nie miał pojęcia, co począć.

Jurij pobiegł w stronę schodów, lecz nagle zatrzymał się. Gdzie się podział ten przeklęty garbus? Zamiast na górę, Szubin zszedł kilka kroków w dół. To, co zobaczył, nie przestraszyło go, ale rozeźliło.

Garbus siedział na dolnym schodku, głowę miał odrzuconą do tyłu, usta otwarte. Walizkę trzymał na kolanach.

— Diabli by to wzięli — powiedział na głos Szubin. — Postanowił sprawdzić!

Popatrzył na hol. Przyzwyczaił się już do tego widoku. Był niepojęty, ale nie bajkowy, nie przypominał też snu. Była to trudna rzeczywistość, mózg przyjmował ją na chłodno.

Poziom żółtego migotania podnosił się. Sala była zalana nim do wysokości półtora metra. Ruch gazu sprawiał, że kontury przedmiotów rozplływały się, ludzie zdawali się poruszać. Szubin zmusił się, aby nie patrzeć dłużej na hol.

Na górze milicjant cały czas stał obok telefonu

— Nigdzie nikt nie odpowiada — powiedział, uśmiechając się z zawstydzaniem, jakby to była jego wina. — Dzwoniłem na pogotowie i do straży pożarnej. Nikt nie podchodzi. Dziwne, nieprawdaż?

— Żle, ale nic dziwnego — stwierdził Szubin.

— Myślicie, że tam też? — zapytał milicjant.

— Razem musimy zjeść tę żabę — powiedział Jurij. — Pójdę na górę, poszukam książki telefonicznej. Chcę zadzwonić do fabryki i na lotnisko.

Nie powiedział milicjantowi nic o garbusie. Wyglądało na to, że milicjant o nim zapomniał.

Szubin nie zdążył dojść na drugie piętro, gdy usłyszał, że z góry schodzi grupa ludzi rozmawiających głośno i radośnie.

— Nie przeszkadzaj nam ni morza, ni lądy! — zadudnił bas.

— Stać! — rozkazał Jurij, cofając się o krok od śpiewających ludzi i widząc tylko napiętą twarz Grońskiego.

— Czego? Czemu nie dają nam śpiewać?! — zakrzyknęła gruba matrona. — Witia, on mi przeszkadza!

— Jest pijany! — wtrącił się referent. — Wzywaliśmy już milicję, a on ciągle rozrabia.

— My też jesteśmy pijani! — zaśpiewała matrona. — Zaśpiewajmy razem.

Szubin odepchnął ją zdecydowanym ruchem i stanął oko w oko z dyrektorem zakładów chemicznych.

— Odejdźmy na bok — powiedział, wskazując ku górze. — Mam do was dwa słowa.

— Nie tak szybko! — krzyknął referent. — Bez chuligaństwa.

Groński był cały nastroszony i zły. W jego oczach czaił się strach: jeśli Szubin mógł wyrwać się z mocnych objęć milicji, to znaczy, że znalazł jakieś wyjście, miał plecy. U kogo?

— A wy — powiedział Jurij do pozostałych — stójcie tu. I nie schodźcie na dół.

W głosie Szubina dźwięczała wiara we własne prawo do wydawania poleceń, którą łatwo jest wychwycić i uznać ludziom przyzwyczajonym do hierarchii. Tę umiejętność, wynikającą z wewnętrznego przekonania, trudno jest sfalszować.

Kompania przerwała śpiew, wszyscy zamilkli. Stali, patrzyli na Grońskiego, jakby był przywódcą stada, do którego należy decyzja.

— Poczekajcie — powiedział i wszedł schodek wyżej, tak że od pozostałych oddzielało go około dwóch metrów. Referent przykleił się z boku, aby nie zostawić szefa samego w niebezpiecznym momencie.

— Proszę odejść — Szubin rzekł z obrzydzeniem, tak, jak należy zwracać się do płotek.

Referent patrzył na swego szefa.

— No! — powiedział Jurij.

Groński zrobił ruch głową, odsyłając płotkę do pozostałych.

Szubin ujął jego ramię, odsuwając go jeszcze dalej od rozbawionej kompanii.

— Wydarzyło się nieszczęście — wyszeptał. — Katastrofa. Zginęło wielu ludzi.

Groński nie odpowiadał. Poczul niebezpieczeństwo i cały się spiął. Płatki rasowego nosa pobielwały, nawet brwi miał napięte.

— Najprawdopodobniej to zatrucie chemikaliami.

— Gdzie — zapytał Groński szeptem.

— Dwa piętra niżej — powiedział Szubin. Mówił już normalnym głosem i słyszał ciężkie oddechy pozostałych słuchaczy.

— Jeśli to żart...

— W takim razie idźcie, tylko sami — powiedział. — Nie radziłbym narażać na niebezpieczeństwo życia waszych gości.

— To jakiś bezsens — stwierdził dyrektor zakładów chemicznych. Patrzył nie na Szubina, a na grubego, wciśniętego w za ciasny garnitur łysego gościa o czerwonych policzkach, który ciągnął Jurija za rękaw.

— Powtórzcie, co się zdarzyło — powiedział.

Miał czerwone nie tylko policzki, ale także i nos, a ponadto — bardzo jasne, żywe, nie zmaczone wódką oczy.

— Nie znam przyczyn katastrofy — oznajmił Szubin. — Ale na dole leżą martwi ludzie. Na placu też. Dużo ludzi.

— Na placu? Gdzie? — grubas jakby przejął dowodzenie. Był ważniejszy od Grońskiego i Szubin zrozumiał, że bankiet odbywał się właśnie na jego cześć.

— Zejdźcie niżej, na półpiętro — możecie też wyrzeć przez okno — powiedział Szubin. — Nie wolno schodzić do holu. Tam jest gaz.

— Jaki gaz? — Groński był rozdrażniony, nie chciał uwierzyć, podejrzewając, że jest to zemsta Szubina za najazd milicji. — Jaki tam może być gaz?

Jurij zszedł z nimi na dół. Nie trzeba było już szukać książki telefonicznej. Jeśli w takiej chwili można mówić o szczęściu, to Groński był takim szczęściem. Na pewno znał wszystkie potrzebne telefony.

Grubas pierwszy dopadł klatki schodowej. Milicjant ciągle jeszcze stał przy telefonie. Nic więcej się w tym czasie nie zmieniło. Tęgi mężczyzna podszedł do okna obok stołu dyżurnej i zdecydowanym gestem pijanego człowieka odsunął zasłonę. Groński stanął przy nim, inne osoby zaglądały mu przez ramię.

— Nie odpowiadają? — zapytał Szubin milicjanta.

— Boję się, że nie — odpowiedział, podniósł leżącą na stole furazerkę i założył ją. Wiedział, kiedy ma do czynienia z dowództwem.

— To jakaś bzdura — powiedział Groński. Grubas milczał, a on kontynuował wypowiedź. — Może po prostu stracili przytomność.

— Przytomność? — tęgi mężczyzna odwrócił się w jego stronę. Po chwili przeniósł wzrok na Szubina — Jak dawno to się wydarzyło, towarzyszu...

— Szubin.

— Szubin. Bardzo mi miło. Spiridonow. Kiedy to się zdarzyło, towarzyszu Szubin?

— Zobaczyłem to... jakieś dwadzieścia minut temu.

— Jak zobaczyliście?

— Schodziłem na dół do holu. Razem z sierżantem.

Milicjant przytaknął głową. Obecność grubasa sprawiła, że wszystko znalazło się na swoim miejscu. Ten człowiek na pewno podejmie jakieś kroki. Mimo że milicjant rozpoznawał twarz Grońskiego, to jednak na przywódcę wybrał właśnie Spiridonowa.

— Tam jest tak samo?

— Tak. Wszyscy nie żyją. A kiedy idący z nami człowiek zszedł na dół, też od razu upadł.

— Czy to zdarzyło się szybko?

— Praktycznie w mgnieniu oka.

— Co możecie powiedzieć na temat, Wiktorze Innokientijewiczu? — zapytał Grońskiego Spiridonow.

— Nigdy nic takiego nie zdarzyło się u nas — powiedział Groński.

— Wiem, że nie miało miejsca. Inaczej dawno byśmy już całą Rosję wytruli — powiedział Spiridonow.

— Może to dywersja? — zapytał referent. Poruszał przy tym uszami.

— Dywersja? — powtórzył Spiridonow. — Na pewno amerykańska? Albo żydowska? Wspaniałe wyjaśnienie.

— Trzeba zadzwonić do biokombinatu — powiedział Groński. — Może mają jakiś wyciek?

— No to zajmijcie się tym — powiedział Spiridonow.

Jedna z grubych kobiet przytuliła się do ściany i głośno płakała. Groński podszedł do niej i powiedział:

— Uspokój się, Wieroczko.

— Milicja nie odpowiada — powiedział Szubin.

— Pogotowie też nie — dodał milicjant. — Straż pożarna również.

— Jasne — powiedział Spiridonow. — Chodźcie ze mną, towarzyszu Szubin, pokażecie mi, co tam się stało w holu.

Szubin usłuchał, pomyślał przy tym jednak, że nawet w takiej sytuacji — przywykłemu do wydawania rozkazów Spiridonowowi — nie przyjdzie do głowy pójść samemu obejrzeć hol. Jurij rozumiał, że przyczyną nie jest strach Spiridonowa, bo nie sprawiał wrażenia człowieka strachliwego. Po prostu nie przywykł działać bez ludzi, którym mógłby w razie czego wydawać polecenia. A spośród obecnych wybrał sobie na pomocnika Szubina.

Groński wziął słuchawkę z wyciągniętej ręki milicjanta. Szubin ruszył w ślad za Spiridonowem w stronę schodów.

— Ostrożnie — powiedział, gdy zaczęli schodzić w dół — mgła cały czas się podnosi.

— Mgła? Dlaczego nie powiedzieliście tego wcześniej?

— Nie jestem pewien, że to ona jest przyczyną śmierci ludzi — powiedział Szubin. — Ale jest tam żółta mgła i myślę, że ludzie zginęli z jej powodu.

Zatrzymali się na ostatnim półpiętrze. Spiridonow stał, podparłszy się rękami pod boki, obracał się powoli, jakby wchłaniał całym ciałem otaczającą go scenę.

Dwóch ludzi leżało, blokując otwarte drzwi windy. Natomiast piosenkarka kulila się w drzwiach restauracji. Spozrzegli, że błyskotki zdobiące jej sukienkę migotały we mgle jak złote gwiazdeczki.

— Nie żyją — powiedział Spiridonow.

Odsunął głowę nieco w bok tak, aby mieć Szubina w polu widzenia.

— Śmierdzi — powiedział. — Czujecie?

— Tak.

— Tu zawsze śmierdzi, nawet woda cuchnie — już wcześniej zwracałem na to uwagę — powiedział Spiridonow. — Ale nie pamiętam, żeby śmierdziało aż tak.

Szubin nie odpowiedział.

— Co proponujecie? — zapytał Spiridonow.

— Trzeba skontaktować się z innymi rejonami — powiedział Szubin. — Mówiono mi, że miasto znajduje się w dolinie, a zakłady są wyżej.

— Po co? — zapytał Spiridonow.

— Mogą podać przyczynę.

— Nie sądzę — powiedział Spiridonow. — Dookoła noc. W zakładach jest tylko ochrona.

— A nocna zmiana?

— Mało prawdopodobne. Początek miesiąca — powiedział Spiridonow. — Ale ludzi trzeba zaalarmować. Warto by skontaktować się z wojskiem.

Na górze pojawił się Groński, obok niego referent. Patrzyli w dół, na hol, twarze mieli nieruchome.

— A wy co powiecie? — zapytał Spiridonow.

— Bardzo dziwne — odpowiedział Groński.

Z góry dobiegł hałas. Czyjś gromki głos krzyczał:

— Za godzinę mam samolot. Nie rozumiecie?

W odpowiedzi milicjant wydał z siebie jakieś bębniące dźwięki.

— Uspokójcie go — powiedział Spiridonow do Grońskiego, a ten z kolei przywołał swoją płótkę. Referent od razu zerwał się z miejsca.

Żółta mgła zawirowała pod nogami i Spiridonow wszedł stopień wyżej.

— Dlaczego do tej pory nie zadzwoniliśmy do Moskwy? Dlaczego stoimy? — spytał Jurij.

— Do Moskwy? — powtórzył pytanie Spiridonow. Zagryzł wargi. — Można i do Moskwy.

— Po co do Moskwy? — zapytał Groński. Nie sprzeciwiał się, spokojnie zadał pytanie, jak człowiek, który chce zorientować się w trudnej sytuacji.

— Bez względu na wszystko powinniśmy zameldować — powiedział Szubin. — Tam podejmą odpowiednie kroki.

Groński patrzył na Spiridonowa, ten zaś — na Grońskiego.

— Nie — powiedział twardo Groński. — Nie znamy skali katastrofy. Co możemy powiedzieć Moskwie? Że w hotelu miało miejsce jakieś zatrucie?

— Nie tylko w hotelu — powiedział Szubin.

— No dobrze, nie tylko w hotelu. Na placu też. Zapytają nas, jakie podjęliśmy kroki? A my na to — zadzwoniliśmy do Moskwy. To, z całym szacunkiem, jest niepoważne! — Groński rozłożył ręce, aby wszyscy zrozumieli, jak bardzo jest to niepoważne.

Czując niepewność Spiridonowa, Groński grzmiał dalej, wyrzucając z siebie kolejne pytania:

— I do kogo w Moskwie mamy zadzwonić? Do Ministerstwa Zdrowia? Dokąd? Do KC?

Słowa Grońskiego brzmiały rozsądnie, ale kryło się w nich kłamstwo i lęk — silniejszy niż strach przed tym, co zobaczył. Była to obawa przed osobistą klęską, nie fizyczną, ale moralną, zawodową, strach przed końcem kariery.

Wrócił referent z odstającymi uszami. Nie ukrywał zachwyty dla gwałtownej reakcji Grońskiego. Radośnie potakiwał głową, jakby czekał, kiedy zaczną rozdawać cukierki.

— Słusznie mówisz — powiedział Spiridonow. — Do Moskwy stąd daleko. Do rana będziemy dzwonić i szukać, z kim by tu porozmawiać. Spróbujmy najpierw uruchomić miejscowe siły. Im więcej zrobimy sami, tym mniej będzie pretensji ze strony Moskwy. Co tam, Groński, w biokombinacie? Co ci powiedzieli?

— Nikt nie odebrał.

— To nic nie znaczy. Jakie masz plany na wypadek awarii?

— Plan ma strażnik.

— Nakazałeś mu rozpocząć działania?

— Siergieju Iwanowiczu, ale przecież w mojej fabryce nie ma awarii! Nie ma awarii! Coś zdarzyło się tutaj, w centrum. A fabryka jest tam. Przecież wiecie.

— Czyli jeszcze nie dzwoniłeś do fabryki? Idź, dzwoń.

Widząc, że referent chce biec za Grońskim, Spiridonow nakazał mu:

— A ty, Płotnikow, idź do apartamentu, masz klucz! Przynies butelkę i szklanę.

Spiridonow popatrzył na Jurija.

— Dwie szklanki. Musimy się wzmocnić... Prawda, Szubin?

— Tak — Jurij miał ochotę się uśmiechnąć. Ze Spiridonowa bił wewnętrzny blask, który pozwalał podporządkować się mu bez najmniejszych wątpliwości.

— Groński nie dodzwoni się do fabryki, zobaczysz, że się nie dodzwoni. Tam też wszyscy chrapią. A wiesz, co zrobimy? Nawiążemy kontakt z lotniskiem wojskowym. Jest tu niedaleko, w Niechałowce. Niech wezmą helikopter i popatrzą na miasto. Zanim zaczniemy działać, musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Logiczne?

— Logiczne — powiedział Jurij.

— Tak właśnie myślałem. Chodźmy, inaczej padnę od tego fetoru. Mdli mnie. A ciebie?

— Mdli — odpowiedział Szubin i zauważył, że ma ogromną ochotę odpowiedzieć: „Tak jest!”.

Na górze przybyło ludzi. Groński stał przy telefonie. Wszyscy patrzyli na niego. Ela stała z boku i ucieszyła się, gdy zobaczyła Szubina. Ale nie podeszła, nie miała odwagi. Rozumiała, że nadszedł czas przywódców.

Z boku stało trzech Gruzinów, których wcześniej widzieli w restauracji. Wypytywali milicjanta, chcieli popatrzeć, co się dzieje na dole, ale on opanował się już i mówił władcym głosem. Przy windzie, obok której cały czas paliła się czerwona lampka, stał drugi z mężczyzn, który również siedział z Szubinem przy stoliku. Trzeba mu powiedzieć, że jego kolega nie żyje. Pomyślał, że powie mu potem. Miał ochotę podejść do Eli, ale w tej samej chwili Groński powiedział głośno:

— Kto przy telefonie? Dlaczego nie odbieracie? Jak to kto, Groński! Co tam się dzieje?

Groński usłyszał odpowiedź. Wszyscy znieruchomieli, zamilkli.

— A kto przy telefonie? — kontynuował Groński. — A więc Howieńko, wyjdź z dyżurki, obejdz teren. Zadzwoń do ciebie za dziesięć minut. Jakby co — natychmiast dzwoń do mnie. Jaki numer?

Zakrywając słuchawkę dłonią Groński zapytał:

— Jaki jest tutaj numer telefonu?

— Dwadzieścia — trzysta cztery. Hotel „Radziecki”. Dzwoń natychmiast.

— U nas wszystko w porządku — powiedział.

Wyszło na to, że wszystko dookoła to tylko pozory, nieporozumienie.

Spiridonow zrozumiał to.

— U ciebie, w dyżurce, wszystko w porządku — powiedział. — Ale czy to coś znaczy? Nic nie znaczy! Ludzie zginęli, a ty mi tu — wszystko w porządku!

— Będziemy szukać przyczyny — powiedział Groński, ocierając dłonią gładki policzek. — Wszystko się wyjaśni. Jestem pewien, że to wyciek z biokombinatu.

Pojawił się Płotnikow. Niósł tacę, na której stała pękata butelka wódki i dwie szklanki, obok leżały plastry kielbasy.

Zatrzymał się przed Spiridonowem, nie uklonił się, ale cała jego postawa wyrażała ukłon.

— Zuch — roztargnionym głosem powiedział Spiridonow. — Postaw na stole.

Taca została postawiona na stole dyżurnej, a wszyscy patrzyli w milczeniu, jak Spiridonow rozlewa wódkę do dwóch kieliszków, jakby rozwiązując zadanie, z kim podzielić się butelką.

— Szubin — powiedział Spiridonow — wypijemy za znajomość.

Groński nie ukrywał nienawiści. Gdyby nie to nieszczęście, och, dobrałby się do Szubina!

Być może w innej sytuacji Jurij by odmówił, ale właśnie ze względu na spojrzenie Grońskiego wziął szklankę.

— Na zdrowie — powiedział Spiridonow. — Skądś znam waszą twarz. Ciekawe skąd?

— Towarzysz Szubin występował wczoraj w ogólnokrajowym programie telewizji — powiedział referent, lekkomyślnie uprzedzając swojego szefa.

— No właśnie — powiedział Spiridonow. — Mam pamięć do twarzy.

Opróżnił swoją szklankę trzema łykami.

— Do roboty, Groński, wykręć numer na lotnisko! Poderwiemy ojczyste skrzydła w ciemne niebo. A ty, czemu nie pijesz? — zapytał Jurija.

— Wiem, do kogo w Moskwie można zadzwonić — powiedział Szubin. — Najlepiej do „Izwestii”. Oni wiedzą, co trzeba robić.

— Po co? — szybko odpowiedział Groński. Trzymał już mocno słuchawkę. — Damy radę

własnymi siłami. Bez prasy.

— Przestraszyłeś się — bez złośliwości powiedział Spiridonow. — Rozumiecie, Szubin, co będzie, jeśli teraz wmiesza się Moskwa?

— Myślę o dobru sprawy — powiedział Groński i zaczął wykręcać numer.

Szubin wiedział, że i tak zadzwoni do gazety. I to zaraz. Ze swojego pokoju.

— On pogada z lotnikami, a potem twoja kolej — powiedział Spiridonow. — Ale pij, nie lubię, kiedy moi ludzie lekceważą swoje obowiązki.

Szubin zrozumiał, że nie uniknie przynależności do grona ludzi Spiridonowa. I wypić też będzie musiał.

Wciągnął powietrze. I pomyślał: „Boże, uchowaj mnie od tego zaszczytu...”.

Wtedy zgasło światło. Zgasło wszędzie — na klatce schodowej, w korytarzu, zgasło nawet czerwone światełko obok windy.

Zdarzeniu towarzyszył dźwięk — jakby westchnął cały budynek — tak w uszach Szubina zabrzmiało wspólne westchnienie i krzyk otaczających go ludzi. Od razu stało się jasne, że niebo za oknem odbija złowieszczy, żółty blask.

Szubin popatrzył w tamtą stronę. Latarnie na placu zgasły, zgasło światło w oknach w pobliskich domach. I tylko w stojącym na placu autobusie, obok którego leżał kierowca i pasażerowie, paliło się jasne światło. Nieco dalej od dworca świecił się jeszcze jeden autobus. Też pusty.

Szubin postawił szklankę na brzegu stołu. „Chyba siła wyższa wysłuchała mojej prośby...” — zaczął myśleć, ale jej nie dokończył, bo w pobliżu rozległ się głos Eli:

— Jura, gdzie jesteś?

— Tutaj — powiedział Szubin. Podszedł do niej, natknął się na kogoś... — Jestem tutaj!

Była tuż obok. Wczepiła się w jego rękę, tak jak czepia się wystraszone dziecko.

Za plecami rozległ się głos Spiridonowa:

— Jak łączność? Działa?

— Nie — odpowiedział Groński. — Milczy.

— Czyli wyłączyli energię. Ktoś domyślił się, że to stwarza niebezpieczeństwo.

— A może wcale się nie domyślił — powiedział Szubin. — Może do nich także dotarła mgła.

— Mogło tak się zdarzyć? — zapytał Spiridonow.

— Elektrownia jest stara, stoi nad rzeką — powiedział Groński.

— W dolinie?

— Na tym samym poziomie, co my.

— Mogła dotrzeć — powiedział Spiridonow. — Tak więc, Szubin, trzeba będzie wstrzymać się z telefonem do Moskwy.

— Widzę — powiedział Jurij.

Niebo za oknem świeciło się, szybko płynęły po nim obłoki, spomiędzy których raz za razem błyskał księżyc.

— Obywatelko dyżurna — powiedział Spiridonow. Zawsze zdążył powiedzieć coś szybciej niż inni. — Dyżurna z piętra jest tutaj?

— Tutaj — padła odpowiedź.

— Gdzie przechowujecie lampę albo świece na wypadek zakłóceń w dostawie energii?

— W pomieszczeniu pokojowych.

— Przynieście.

— Nie mogę — odpowiedziała dyżurna. — Akurat skończyła się nafta. Obiecali przywieźć jutro.

— Wszystko nie tak!

— Ale przecież obiecali. Gdybym wiedziała, przyniosłabym z domu.

— I tak przynieście — powiedział Spiridonow. — Może w jakiś lampach zostało trochę nafty.

Przecież jej nie wypiliście? Macie zapałki?

— Ojej, kto to — rozległ się głos dyżurnej; najwidoczniej ruszyła się z miejsca i wpadła na kogoś w ciemności.

— Niech jej ktoś pomoże — warknął Spiridonow. Jego kwadratowa sylwetka przesłoniła okno. Szubin podszedł do niego.

— Oczywiście, uwolnią nas — powiedział cicho Spiridonow, jakby sam do siebie. — Ale skandal będzie ogromny. Groński się nie utrzyma.

Szubin pomyślał, że dyrektor zakładu chemicznego usłyszał słowa Spiridonowa, ale wolał ich nie rozważać.

— No nic — powiedział Spiridonow. — Interesuje mnie po prostu, jak doszło do takiej sytuacji?

— To nie moja fabryka!

— Wszystko jedno, będą szukać winnych. Popatrz, ilu ludzi zgubiłeś.

— Kiedy wszystko przeanalizują, zrozumieją, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

— Jutro, na wiecu, wszystko by się wyjaśniło — powiedział Szubin.

— Na jakim wiecu?

— A takie tam, społecznicy, wiecie, ilu się ich teraz namnożyło — powiedział Groński. — Teraz powinniśmy myśleć o tym, jak się stąd wydostać.

— Społeczeństwo, mówisz? — Spiridonow nie dał się zwieść manewrowi Grońskiego. — Skąd niezadowolenie?

— Rozmawiałem z nimi — powiedział Szubin. — To poważni ludzie. Martwił ich stan powietrza w mieście. Chcieli napisać wspólny list do Moskwy.

— Nie zdążyli — powiedział Spiridonow. — Ale mieli rację. Rozumiesz, Groński, że mieli rację?

— Najpierw trzeba ustalić, co się stało — z uporem odpowiadał Groński.

— Ciebie nic nie rusza.

— Co robić, na tym stoimy. Jutro zobaczycie, ile razy pisaliśmy do ministerstwa z prośbą o przydział funduszy. I do was pisaliśmy. My tym powietrzem oddychamy, a wy, Siergieju Iwanowiczu, przyjechaliście i wyjedziecie.

— Jeszcze może powiesz, że razem szaleliśmy na bankiecie — powiedział Spiridonow.

— Nie to miałem na myśli. Mówię o naszej wspólnej odpowiedzialności. My, podwładni, staraliśmy się jak najlepiej wykonywać polecenia.

— No i masz — uśmiechnął się Spiridonow — utop wszystkich, może w kupie wypłyniemy... Nie, Groński, obawiam się, że ci się to nie uda.

Z tyłu zamigotał płomyk.

— Znalazłam — powiedziała, zbliżając się z lampą, dyżurna. — Znalazłam! Nafty zostało jeszcze z połowę.

— Bardzo dobrze — powiedział Spiridonow, odwracając się, jakby strzepywał z siebie rozmowę z Grońskim. — Idź z powrotem, szukaj dalej.

— Ale przecież ta się świeci! — powiedziała dyżurna.

— Ile ich tam masz?

— Ze sześć.

— No to bierz lampę i idź z powrotem. Dwie z sześciu powinny się jeszcze palić. Z jedną nie mamy rady. A jak znajdziesz, jedną postaw mi tutaj, a z drugą przejdź się po piętrach i powiedz innym dyżurnym, żeby też zapaliły lampy. I zbierzcie ludzi. Nikt nie powinien zostać w pokoju. Wszystkich obudzić i przygonić... Macie jakieś duże pomieszczenie? Gdzieś wyżej?

— Wszystkie hole są takie same — powiedziała dyżurna. Podniosła wysoko palącą się lampę naftową, w kręgu światła zamajaczyły twarze i wtedy Szubin zorientował się, że ludzi wokół przybyło.

Władającą hotelem ciszę zastąpił szum głosów, okrzyków, kroków i stukania.

— Czyli wszystkich mieszkających w hotelu należy zebrać w holu, na trzecim piętrze. Zrozumiano? Z dyżurną pójdą Płotnikow i Groński. Potrzebni są jeszcze ochotnicy — po jednym na piętrze. Kto jest chętny?

Towarzysz Jurija z restauracji zawołał:

— Ja pójdę.

— Mogę pójść i ja — powiedział Szubin.

— Nie, ty zostaniesz ze mną.

— Ja też lepiej zostanę tutaj — powiedział Groński cicho i z pretensją. — Trzeba zorganizować centrum dowodzenia.

— Centrum dowodzenia to ja — powiedział Spiridonow. — Ze mną zostaną Szubin i milicjant. Milicja jest tutaj?

— Jest — powiedział sierżant.

— Pozostali — wykonać.

Pojawiła się druga lampa. Zrobiło się przytulniej i weselej. Wprowadzono jako taki porządek, łatwiej było nie myśleć o ludziach leżących na parterze. Dyżurna pełna poczucia własnego znaczenia ruszyła w górę po schodach. Za nią podążyła grupa mężczyzn. Szubin zauważył, jak idący z tyłu Groński w ostatniej chwili odwrócił się plecami do schodów i skrył się w cieniu holu.

— Siergieju Iwanowiczu — powiedział Szubin. — Zapomnieliśmy o naszym piętrze. Pójdę, obudzę ludzi, nie macie nic przeciwko?

— Dobrze, ale wracaj jak najszybciej.

— Pójdę z tobą. Boję się zostać tu sama — powiedziała Ela, gdy Jurij brał lampę ze stołu.

Szła za nim lekkim krokiem, dotykając go cały czas ręką.

— Juroczka — powiedziała, jakby prosząc, żeby jej nie przekonał. — Gaz do moich się nie dostanie?

— Jest cięższy od powietrza — powiedział Szubin, starając się, aby głos brzmiał pewnie. — Nie podnosi się do góry. Tutaj przecież się nie podniósł. A twoi są na trzecim piętrze?

— Na trzecim.

— To znaczy, że są bezpieczni.

— A jeśli obudzą się i zejną na dół?

— Mam nadzieję, że to szybko się skończy. Przecież nie wszyscy w mieście wymarli. Są dzielnice, gdzie gaz nie dotarł. Szczególnie w wyżej położonych miejscach. Przyjdzie wiatr i wszystko przegoni...

—A jeśli...

— Daj spokój — odburknął Szubin. — Lepiej pomóż. Będę stukać do drzwi z prawej strony, a ty stukaj z lewej.

Zastukał do pierwszych drzwi.

Nikt nie odpowiedział. Zastukał mocniej. Wewnątrz ktoś się poruszył, zakaszłał z niezadowoleniem.

Ela stuknęła do drzwi z prawej strony. Potem roześmiała się.

— Co z tobą? — jej śmiech był dziwny.

— Pomyślałam sobie — powiedziała — że on tak, jak my... Przecież już po północy.

Mój Boże, uśmiechnął się Szubin. Jak dawno wszystko to się zdarzyło!

— Proszę otworzyć! — krzyknął Szubin. — Awaria! Proszę się ubrać i spokojnie wyjść z pokoju. Awaria, rozumiecie?

— Co? Co takiego? — otworzyły się drzwi w dalszej części korytarza, gdzie było całkiem ciemno. Dochodzący stamtąd głos zapytał ze strachem — Dlaczego nie ma światła?

— Jaka awaria? — dobiegł głos zza drzwi.

Naprzeciwko zaskrzypiały inne drzwi i Jurij usłyszał, jak Ela mówi do dwóch dziewcząt w nocnych koszulkach stojących w drzwiach:

— Nic strasznego. Ale trzeba wyjść z pokoju. Proszę się ubrać.

— A rzeczy trzeba wziąć ze sobą? — pytanie padło z daleka, z końca korytarza.

Szubin szedł od drzwi do drzwi, mówiąc w nie pięściami. Nie było czasu na to, aby namawiać każdego z osobna.

— Szybko, ubierać się! — krzyczał. — Wychodzić, szybko!

W odpowiedzi rozlegały się głosy — wydawało się, że dobiegają nie tylko zza drzwi, ale ze wszystkich stron — toczyły się po korytarzu, odbijały od sufitu, od ścian...

— Co? Pożar? Co ze światłem? Co się dzieje? Kto tam rozrabia...

Trzy lampy paliły się na stole dyżurnej na drugim piętrze.

Hol był zapchany ciężko dyszącymi, wystraszonymi, sennymi ludźmi. Niektórzy nie zmieścili się, tłoczyli się w korytarzu, a cały czas nadchodzili nowi i szeptem, a czasami na głos, dopytywali się, co się stało.

Mówił Spiridonow. Niepewne światło lamp padało na jego kanciastą, grubokościstą twarz. Kogo przypominał? Fantomasa? Za plecami stało kilka osób, wśród których byli, oczywiście, Groński i jego referent. Niemalże sztab. Szubin objął ramiona Eli i stanął obok okna.

— Jak dotąd nie przybyła pomoc — kontynuował Spiridonow — a liczymy na jej przybycie, gdy tylko uda się nawiązać łączność. Niech nikt nie wychodzi z hotelu. Nie można schodzić poniżej pierwszego piętra, tam jest wysokie stężenie gazu. Istnieje poważne zagrożenie zdrowia.

— Jak poważne? — zapytał ktoś z tłumu.

— Bardzo duże. Jeśli nie wierzycie, możecie sprawdzić sami. Mieszkańcy pierwszego piętra mają wejść piętro wyżej. Zajmują puste pokoje lub zostają w korytarzu.

— Czy można korzystać z wody?

— Niewskazane. Dopóki nie zbadają jej specjaliści. Nie ma powodów do paniki. Nakazuje się ściśle przestrzegać poleceń grupy administracyjnej — znajduje się ona tutaj. Jestem Spiridonow, Siergiej Iwanowicz. W razie potrzeby proszę zwracać się bezpośrednio do mnie.

Tłum napał do środka, w stronę stołu, za którym stał Spiridonow. Przerywając sobie nawzajem, dopytywali się o różne rzeczy, między innymi o promieniowanie. Spiridonow odpowiadał z

szacunkiem, namawiał, aby pozostać w pokojach. Ale niewiele osób wróciło do pokojów, ludzie zadawali sobie nawzajem pytania, nikt nic nie rozumiał. Potem ktoś wyrzwał przez okno, krzyknął, wszyscy rzucili się w tamtą stronę, odepchnęli Szubina, który ponad czyjąś głowę powiedział do Spiridonowa:

— Pójdę na dół, proszę podać mi lampę.

— Po co? — zapytał Siergiej Iwanowicz.

Szubin przecisnął się do stołu.

— Chcę sprawdzić, czy gaz się nie podnosi.

— Rozsądny pomysł — powiedział Groński.

Spiridonow wziął jedną z lamp i podał ją Szubinowi.

— Zamelduj mi osobiście, żeby nikt nie wiedział. I natychmiast krzyknął:

— Jest tu milicja?

— Jest — odkrzyknął stojący przy schodach sierżant.

— Nikogo nie puszczają na dół.

— Tak jest.

— Jak to? — rozległ się wysoki głos. — Nie wzięłam rzeczy z pokoju.

— Rzeczy weźmiecie jutro! — krzyknął Spiridonow.

— Są martwi! Wszyscy są martwi! — krzyknął ktoś od okna.

Szubin poszedł w stronę schodów. Ela jak wierny piesek truchtała za nim.

— Pójdę, zobaczę, co tam się dzieje — powiedział do milicjanta.

— Bądźcie ostrożni — odpowiedział milicjant.

— Dziękuję.

— Może wasza przyjaciółka zostanie tutaj?

— Nie trzeba — powiedział Szubin. — Jest kierowcą w komitecie.

— Kierowcą? — zdziwił się milicjant. — A mnie powiedział, że ona... z restauracji na dworcu.

— Jeszcze niejedno powie — odgryzła się Ela. — Ja mu pokażę.

— Nie pokażecie — powiedział milicjant. — On tam leży, udusił się.

Udało im się dojść tylko do pierwszego piętra. Trzy stopnie niżej Szubin zobaczył migotanie: żółte, jakby oleiste w świetle lampy naftowej. Coś sprawiło, że mgła ożyła i podniosła się wyżej. A przecież jeśli źródło mgły, w której zachodzi śmiertelna reakcja, nadal działa (a dlaczego miałoby być inaczej?) gaz będzie stopniowo wypełniał kotłnię, w której leży miasto. Ludzie mieszkający w parterowych domach dawno już umarli. Najprawdopodobniej nawet nie zauważyli, co się dzieje.

— Podnosi się — powiedziała Ela. — Dlaczego się dalej podnosi?

— Nie wiem — powiedział Szubin.

— Jak długo jeszcze będzie się podnosiła?

— Najprawdopodobniej to już granica — powiedział Szubin. — Gaz będzie rozplýwać się dopóki nie wypełni doliny.

— I zabijać tych, którzy są wyżej? Szubin pożałował, że pozwolił Eli przyjść tutaj. Drżała, głos jej się łamał.

— Trzeba naradzić się ze Spiridonowem — powiedział. — Chodźmy z powrotem.

Milicjant schylił się, widząc nadchodzącego z lampą w ręku Szubina. Za plecami milicjanta rozbrzmiewał szum głosów.

—1 co? — zapytał.

— Trochę się podniosła — powiedział Jurij. — Lepiej nie schodzić na pierwsze piętro.

— Macie papierosa?

— A niech to diabli, kończą się — powiedział Szubin, Wyjmując paczkę.

— W takim razie nie trzeba.

— Nie, proszę wziąć, wezmę ze swojego pokoju.

— Lepiej żebyś tam nie chodził — powiedziała Ela.

— Posłuchajcie, teraz w zasadzie jesteście znajomymi — powiedział Szubin do milicjanta. — A ja nie wiem, jak się nazywacie.

— Sierżant Wasilienko.

— A po ludzku?

— A po ludzku Kola, Kola Wasilienko.

— A ja — Jurij.

— No i poznaliśmy się, aż dziw bierze — powiedział milicjant. — Na początku niby byliście przestępcą, a teraz działamy razem.

— To celna uwaga — powiedział Szubin. — Tylko kiedyś mi powiesz, jakie przestępstwo popełniłem.

— Sami wiecie — powiedział Kola i popatrzył spod oka na Elę.

— Dobrze już. Słuchaj, Kola, Ela zostanie z tobą. Im szybciej pójde do pokoju, tym lepiej. Zostawiłaś tam coś, Elu?

— Nie, miałam ze sobą tylko torebkę.

Popchnął Elę lekko w stronę milicjanta i szybko zszedł na dół.

Płomyk w lampie zadrżał, stał się nieco mniejszy.

Tego tylko brakowało, żeby zgasała. Szubin pokiwał lampą, w środku coś jakby pluskało.

Na drugim piętrze zatrzymał się na klatce schodkowej i znowu spojrzął w dół. Żółta mgła spokojnie leżała u jego stóp. Bił od niej martwy zapach. „Jest jak woda — pomyślał Szubin. — Jak ocean, albo jezioro. Na dnie leżą ludzie, którzy utonęli. Zdarzyła się katastrofa, statek zatonał i leżą tam pasażerowie. Między nimi a mną warstwa wody. Woda rozlała się szeroko, nie wiadomo jeszcze, jak szeroko. Zatopiła wiele domów... W telewizji mogą ogłosić powódź na Uralu. Chociaż powodzie zdarzają się zazwyczaj w Bangladeszu. Lepiej, gdyby to była powódź. Albo trzęsienie ziemi. Temu nikt nie jest winien. A tutaj śmierć jest milcząca, zła, wymyślona przez ludzi”.

Poszedł wzdłuż korytarza. Jeszcze niedawno byli tu ludzie, nawet zapach pozostał. Ale teraz panowała cisza i pustka jak na porzuconym statku, cudem utrzymującym się na powierzchni. W pokoju Jurij otworzył walizkę. Co zabrać? Najrozsądniej byłoby wziąć całą walizkę i zanieść na górę. Ale nie wypada. Ktoś zauważy i ludzie z drugiego piętra zaczną wyrywać się na dół. Nie, jeśli nikomu nie wolno, to jemu też. Szubin nigdy przedtem nie zetknął się z klęską żywiołową i ta własna decyzja zdziwiła go. „Okazuje się, Jura, że twoje sumienie nie śpi” — powiedział sam do siebie.

Wyjął z walizki papierosa, potem włożył do kieszeni puchowej kurtki słoik kawy. Sprawdził, czy ma dokumenty. Człowiek na tratwie, na pełnym oceanie, niczego więcej nie potrzebuje. Już miał wychodzić, gdy przez głowę przemknęła mu myśl: „A co, jeżeli przedmioty, które zetknęły się z żółtą mgłą też są toksyczne?”. W takim przypadku nie zobaczy już więcej swojej walizki. Szkoda, dobra walizka, nieduża, mocna, ładna, kupił ją w Koln. Wrzucił ją na szafę. Było nie było to dodatkowe półtora metra — może nie dosięgnie. Potem zajrzał jeszcze do łazienki, wziął szczoteczkę i pastę do zębów — też mogą się przydać.

Przed wyjściem podszedł jeszcze do okna.

Plac był taki sam — błdziły po nim cienie wywołane światłem księżyca. W pustym autobusie nadal paliło się światło. Ludzie na śniegu leżeli tak samo pokornie i nieruchomo jak przedtem. Na dachu dworca widać było jakiś ruch. Szubin przyjrzał się. Był tam człowiek. Nie, dwoje ludzi. Jurij pomyślał, że musi im być zimno.

Gdzie są teraz Nikołaj Burin, Borys, Natasza? Jeśli zabrali ich na komisariat to, najprawdopodobniej, nie ma ich już wśród żywych. Szubin myślał o tym bez emocji, jakby rozwiązywał zadanie matematyczne. Dobrze, jeśli ich wypuścili. W takim Przypadku są w domu. I jeśli, zanim zgasło światło, Burin zobaczył, co się dzieje, mógł zadzwonić do Moskwy albo do Swierdłowska. Ktoś powinien się zorientować! Jest kolej, lotnisko, jednostka wojskowa — miasto jakby było wpisane w pajęczynę związków ze światem zewnętrznym. A to znaczy, że już podnoszą alarm — telefony urywają się, nadlatują samoloty...

Szubin otrząsnął się. Czas iść, bo Ela tam szaleje. Wczoraj nie istniał w jej świadomości, a teraz jest pewien, że szaleje o niego z niepokojem. I nie ma w tym nic dziwnego. Może dlatego żona nigdy nie była mu tak bliska, że przez jedenaście lat wspólnego życia nigdy nie musiał się o nią bać, a i ona nie musiała się niepokoić, czy nic mu się nie stało. Nawet kiedy urodziła się córka, to był za granicą. Dowiedział się o tym z telegramu, jako o zdarzeniu szczęśliwym, nie budzącym trwogi. I rozstali się jakoś tak, bez tragedii. Wiedział, że ona ma romans, i prawie domyślał się z kim, rozumiał, że ten drugi jest silniejszy i zabierze mu Daszę. Zabierze ją, gdy tylko Dasza tego zapragnie. I tak też się stało.

Dwóch ludzi szło po skraju dachu dworca.

Szubin zamknął drzwi do pokoju. W tej samej chwili zgasła lampa naftowa. Potrząsnął nią. Nie chlupocze. Musiał wracać, przytrzymując się ręką ściany, a potem, już w holu, obok stołu dyżurnej dopadł go strach — wydawało mu się, że żółta mgła dotarła do klatki schodowej i oczekuje na niego w milczeniu. Szubin nabrał powietrza i wstrzymał oddech. Szedł wyciągnawszy przed siebie ręce. Serce kołatało, brakowało powietrza — tak bardzo chciał odetchnąć, że aż rozrywało pierś. A potem powietrze samo wtargnęło do płuc. Aż zaszumiało w uszach. Ale nic się nie stało. Szubin odszukał schody, zaczął wchodzić na górę, chwytając się poręczy zemdloną ręką.

— To ty? — wyszeptała z góry Ela.

— Lampa zgasła — powiedział Szubin. Głos mu się załamał. Zakaszłał. — Wszystko w porządku. Tylko lampa zgasła. Nafta się skończyła.

Ela rzuciła się w jego stronę. Płakała.

— Chciałam biec do ciebie — powiedziała. — Ale Kola nie puścił.

— Nie miała światła — powiedział stojący obok, niewidoczny w ciemnościach Kola.

— A co mi się mogło stać? — zapytał Szubin. — Nic mi nie będzie... Prawie zapomniałem — dodał Szubin. — Trzymaj. Papierosy.

— Dziękuję — ucieszył się Kola. — Myślałem, że zapomnicie.

— Macie zapalniczki?

— Mam.

Weszli wyżej. Lampa na stole migotała, w niej także kończyła się nafta. Można było rozpoznać sylwetkę Spiridonowa, który stał oparłszy się dłońmi o stół. Obok niego zgromadziło się kilka czarnych cieni. Tłum gdzieś się rozszedł.

— Podstawą jest, oczywiście, siarkowodór — niezbyt głośko mówił Groński. — Sam w sobie

jest niebezpieczny. Ale bez analizy nic nie mogę powiedzieć.

— Jesteś chemikiem. Wymyśl, co robić — powiedział Spiridonow.

— Nie jestem chemikiem, pracuję w administracji. Zresztą chemik też by nic innego nie powiedział.

— A niech to! Do czego doprowadzili miasto!

Spiridonow wyczuł zbliżającego się Jurija.

— Gdzie się podziewałeś? — warknął.

— Poszedłem po papierosy — powiedział Szubin. — Na razie nie podnosi się.

— Daj fajkę — powiedział Spiridonow. — Zapalę, mimo że rzuciłem.

Szubin otworzył paczkę. Siergiej Iwanowicz wziął papierosa.

— Marlboro — powiedział. — Palisz markowe?

Z ciemności wyciągnęły się jeszcze dwie ręce, wzięły po papierosie.

— A wy? — zapytał Szubin Grońskiego.

— Nie palę — odpowiedział, tak jakby w jego propozycji było coś nieprzyzwoitego.

Zapachniało smakowitym dymem.

Słabiutki płomyk lampy naftowej, żarzące się papierosy, dookoła cisza, ktoś opowiadający gawędziarskim tonem: „Miałem jeszcze taką przygodę. Pojechałem w delegację do Kurchanu...” — wszystko to tworzyło jakiś na swój sposób harmonijny, kompletny, nocny świat, i jeśli udałoby się zapomnieć o tym, że na dole, pod warstwą żółtej wody leżą swoiści topielcy, to można by wymyślić całkiem zwyczajną, powszednią przyczynę, która połączyła tych ludzi, oczekujących, ale nie wystraszonych oczekiwaniem.

— Siergieju Iwanowiczu — powiedział Szubin. — Chcę wejść na dach.

— Po co? Chociaż nie, masz rację, trzeba się w końcu rozejrzeć. Idź. Zdasz raport. Tylko weź kogoś ze sobą. Nie chodź sam.

— Wezmę ze sobą milicjanta — powiedział Szubin. — Jest miejscowy, może wiele rzeczy wytłumaczyć.

— Rozsądnie. Idźcie. Płotnikow, zastąpisz milicjanta na klatce schodowej.

Ela nie miała palta, więc Szubin kazał jej zostać na dole. Nie sprzeciwiła się, tylko powiedziała, że poszuka wolnego pokoju, bo Jura musi się wyspać.

Razem z nimi poszła dyżurna z pierwszego piętra. Piętro wyżej znaleźli lampę. Widać było też światła lamp na czwartym, piątym i na ostatnim piętrze. Na wszystkich korytarzach było tłoczno — ludzie bali się wracać do ciemnych pokoi. Na widok idącego z Szubinem milicjanta ludzie odwracali się, wstawali, pytali, co nowego. Jakaś kobieta powiedziała:

— Widziałam pożar. Z mojego okna.

— Dziękuję, popatrzymy z góry — powiedział Szubin.

Na piątym piętrze grała muzyka — dobiegała z głębi korytarza. Muzyka była współczesna, rwana, pełna wrzasków.

— A tam co? — Kola zapytał staruszką, który siedział przy stole dyżurnej i czytał przy świetle lampy naftowej.

— Bawią się — powiedział staruszek bez emocji. — Widać mają niezły zapas alkoholu. I postanowili go zlikwidować.

— Ze strachu, czy co? — zapytała dyżurna.

— Z piątego piętra nic nie widać — powiedział staruszek i przewrócił kartkę.

— Co czytacie? — zapytał Szubin.

— Ewangelię — powiedział staruszek. I znowu odwrócił kartkę.

— Dziwak — powiedział milicjant, gdy wyszli na służbowe schody.

Dyżurna pokazała drzwi na strych. Były zamknięte i opieczętowane.

— Tutaj jest pieczęć — powiedział Kola.

— Widzę — powiedział Szubin. — Zerwijcie.

Milicjant wahał się. Jurij wyciągnął rękę i zerwał pieczęć.

Nacisnął drzwi, ale nie ustąpiły.

— Dajcie mi spróbować — powiedział milicjant. Cofnął się i uderzył w drzwi ramieniem, a one posłusznie otwały się.

Dyżurna powiedziała:

— Znajdziecie wyjście. Ja nie pójdę. Nie jestem ubrana. Poczekam tutaj. Potrzebujecie lampy?

Bez trudu znaleźli wyjście na dach.

Było zimno, ale bezwietrznie. Większość domów w mieście była niższa niż hotel, widać więc było całe miasto, aż do niewysokich pagórków otaczających rozdzieloną pośrodku rzeką kotlinę.

Widoczność była dobra. Jasna ulica, niezbyt jasne niebo, a za rzeką szalał pożar. Podwórka i dachy domów pokrywał śnieg. Miasto było widać niemal jak w dzień.

Dach był płaski, śnieg leżał na nim równo — przez cały dzień nikt tutaj nie wchodził.

Miasto spało. W żadnym domu nie było światła. Chociaż nie, jeśli by wyteńczyć wzrok, można by zobaczyć, że w oddali, tam gdzie stoją czteropiętrowe domy, w jednym albo dwóch oknach miga słabe światło — ktoś zapalił świece.

Szubin popatrzył w dół — widać było ulicę wiodącą od dworca do centrum. Od razu zobaczył takie same figurki, czarne kreski i przecinki na śniegu i na jezdni — wszędzie leżeli ludzie. Nie było ich aż tak dużo, bo nieszczęście zdarzyło się późno, a miasto zasypia około jedenastej. Ale mimo wszystko, w polu widzenia znajdowały się dziesiątki ciał. Tu kilku ludzi leży obok siebie na przystanku autobusowym, tam na chodniku, widocznie byli na spacerze.

Dalej, na widocznych tylko częściowo podwórkach i na uliczkach, martwych było bardzo mało. Jeden, dwóch... ale uliczki były zabudowane parterowymi domkami, więc żółty gaz dostał się do środka.

Obecności gazu można się było tylko domyśleć. Nie tyle zobaczyć, co domyśleć — był przecież przezroczysty. Pokrył centrum miasta równą, spokojną przezroczystą warstwą. Na głównej ulicy sięgał do połowy okien na parterze, dalej, w zaułkach, gdzieśgdy pokrywał parterowe domy aż po dach. Miejsowość była delikatnie nachylona w dół, w stronę rzeki — czarnej wstęgi za domami. Tam, w pobliżu rzeki, mgła sięgała nawet do drugiego piętra,

Nad wodą poruszała się, kłębiła, żyła, jakby rodziła się w samej wodzie, wytryskiwała i uspokajała, jak źródło bijące z podziemnej szczeliny, rozplywała się we wszystkie strony. Z lewej strony rzeka wpadała do czarnego jeziora, także przykrytego poduszką żółtej mgły.

Szubin zrozumiał, że proces powstawania gazu trwa nadal, bo jego poziom cały czas się podnosi. W żółtej mgłę, gdzieś za rzeką, figlowały odbłaski pożaru. Palił się duży, dwupiętrowy budynek — w szerokich oknach płonęły piekielne płomienie, języki sięgały już dachu, czarny dym od czasu do czasu zasłaniał księżyc.

— Co tam się znajduje? — zapytał Jurij.

— Fabryka włókiennicza — powiedział Kola.

Zadziwiał brak jakiegokolwiek życia w pobliżu pożaru, który przecież zawsze przyciąga do siebie ludzi — miejsce pożaru otaczają nie tylko samochody straży pożarnej, ale także zwykli gapie, zawsze tworzy się zbiegowisko. A ten pożar płonął w całkowitej ciszy, w obojętnym mieście.

Szubin starał się zobaczyć, czy żółta mgła rozchodzi się wokół ognia, ale z takiej odległości nie sposób było wypatrzeć jego bezcielesną obecność pośród szalejącego żywiołu.

Kolejny pożar wybuchł również nieco dalej — palił się dom mieszkalny, typowy czteropiętrowy budynek, którego częściowo zasłaniały inne domy. A nawet jeśli by i było widać — lepiej byłoby nie patrzeć, bo ludzie wybiegający z domu natychmiast ginęli od gazu — dom stał niedaleko rzeki.

A za rzeką, za takimi samymi, ciemnymi dzielnicami, miasto wspinało się na łagodny stok. Tam też stały domy — parterowe domki zbiegały w stronę jeziora, pogrążając się we mgle. Dalej zaczynały się budynki fabryczne. Nad lasem kominów nie było dymu, w oknach panowała ciemność. Ale czy są tam ludzie i co robią — z takiej odległości nie można się było zorientować.

— Jura, jesteś tam?

Ela wyszła na dach i podbiegła do niego. Była w samej sukience.

— Po co tutaj przyszedłeś? Nic mi tu nie grozi — powiedział Szubin, popychając ją jednocześnie w kierunku wyjścia z dachu. — Wracaj natychmiast. Przeziębisz się.

— Puszczaj — powiedziała Ela. Odepchnęła go, patrzyła w stronę rzeki na palący się dom.

— A ty co?

— Oj! — krzyknęła Ela.

— To twój dom? — po raz pierwszy tej nocy Jurij poczuł przerażenie.

— Nie, to dwudziestka — powiedziała. — Mój jest dalej, bardziej na prawo.

— Nie bój się, ogień nie przedostanie się — szybko powiedział Szubin. — Widzisz, między nimi jest skwerek.

— Ale tam mieszka Wiera... nie znasz jej. Moja przyjaciółka...

— Idź stąd — powiedział nagle milicjant. — Idź, bo inaczej wyprowadzę cię siłą!

— Nie, nie trzeba, boję się, tam jest ciemno. Bardzo proszę, nie.

Szubin zdjął kurtkę, narzucił ją na ramiona Eli.

— Kola — zapytał ostrożnie — a ty, gdzie mieszkasz?

— W hotelu robotniczym — powiedział milicjant. — Jestem tuż po wojsku. Stąd nie widać... Za tymi domami. Nie mam się o kogo martwić. Tak jak wy.

— Dlaczego się zapalił? — zapytała Ela.

— Ktoś mógł zostawić żelazko albo kuchenkę...

— Zostawił i umarł, tak?

— Cicho!

Nad głowami rozległ się daleki huk. Zbliżał się. Nad nimi przeleciał samolot.

— Nie — powiedział milicjant. — To pasażerski. Leci za wysoko.

— Jeśli nikt nie zauważy, że nie ma świateł — powiedział Spiridonow, który też przyszedł na dach — to zauważą chociaż pożar. Już zauważyli.

— Dobrze, jeśli zauważą, ale źle, jeśli pojedą gasić — powiedział Szubin.

— Daleko nie dojadą — zgodził się Spiridonow.

Urzędnik miał na sobie rozpiętą marynarkę, duży brzuch wylewał się na zewnątrz. Krawat przesunął się na bok.

— Dobrze by teraz było wypić — powiedział. — Gdzie została twoja szklanka?

- Na pierwszym piętrze.
- Butelka też tam została?
- Pewnie tak.
- Dobrze, potem pójdę.

Tymczasem Spiridonow oglądał miasto, a że miał kłopoty z poruszaniem głową, więc obracał się całym ciałem.

- Jak daleko stąd do jednostki wojskowej? — Spiridonow zapytał milicjanta.
- Około dwudziestu kilometrów — Kola pokazał w stronę fabryki.
- Powinni zauważyć dym. Nie mogą nie zauważyć. A gdzie jest lotnisko?
- Też tam, tylko trochę bliżej — powiedział milicjant. — Przed chwilą przeleciał samolot.
- Dlaczego milczeliście? Dokąd poleciał?
- Na pewno pasażerski — powiedział Szubin. — Leciał wysoko.
- Nie lubię — rzekł Spiridonow — siedzieć i czekać na Godota. Nie lubię tego. Jak myślisz, jest jakieś antidotum?

— Nie wiem.

— Wypytywałem, czy są tu jacyś chemicy. Znalazł się jeden, ale nic mądrego nie powiedział. A potem gdzieś się zmył.

— Trzeba zrobić szczudła — powiedział milicjant. — Tylko długie, żeby głowa była wysoko.

— Świetny pomysł — powiedział Spiridonow. — A potem co?

— Potem wyjść.

— Ile razy w życiu chodziłeś na szczudłach?

— Ani razu.

— Na skrzypcach też nie grałeś?

— Nie, nie grałem, a bo co?

— A to, że wszystkiego trzeba się nauczyć. Wyjdiesz na szczudłach na plac, potkniesz się przy trzecim kroku i, zegnaj piękny świecie.

Spiridonow przeszedł na drugi koniec dachu, Jurij dołączył do niego. Widać stąd było tory bocznicy i ciemne wagony, trupy na szynach, dalej — pogrążone w żółtej mgle domy, magazyny... Z tej strony miasto kończyło się wcześniej — w ciemności można było dojrzeć kraj lasu.

— Myślę tak — głośno rozmyślał Siergiej Iwanowicz — w hotelu powinien być sztab obrony cywilnej... — Aż nagle zapytał: — Milicjant, nie wiesz przypadkiem, gdzie to jest?

— Nie, nie wiem.

Sierżant Wasilienko także podszedł do nich, po drugiej stronie dachu została tylko Ela. Cały czas patrzyła na swój dom i na sąsiedni, płonący.

— Szkoda — powiedział Spiridonow — ale pewnie i tak na parterze. Dlaczego, do diabła, wszystkie magazyny umieszczają zawsze na parterze?

— Bo miasta rzadko są zalewane — powiedział Szubin.

— Trzeba przeszukać parter. Tam na pewno są maski przeciwgazowe.

— Jeśli maski w ogóle pomogą — powiedział Szubin.

— Nie ma żadnej pewności. Potrzebne byłyby z niezależnym zasilaniem.

— Wypróbowałibyśmy. Ubralibyśmy Grońskiego i wysłali go. Przeżyłby — wszyscy bylibyśmy uratowani, zginął — pogrzeb z honorami.

— Szkoda, ale wasz plan się nie uda.

— Widzę, że się nie uda. A może by tak głębę owinać mokrym ręcznikiem? Gdzieś o tym czytałem.

— I gdzie pójdziecie?

— Uruchomię autobus...

Z tyłu doniósł się głos dzwonu. Jeszcze jedno uderzenie, jeszcze...

Rzucili się w tę stronę, do Eli.

— Co to? — zapytał Spiridonow.

— To w cerkwi — powiedziała Ela. — Dzwonią.

— Po co? — zapytał Spiridonow. — A to po co?

— Na trwogę — powiedział Jurij. — Słyszycie, jak biją. Raz za razem, miarowo.

— Kto pozwolił? — i w tej samej chwili Siergiej Iwanowicz uspokoił się, machnął ręką.

— Dziwne — powiedział Szubin. — Ktoś tam doszedł.

— Cerkiew stoi na wzgórzu — powiedziała Ela. — A pop pewnie mieszka w domu koło cerkwi.

Taki czerwony dom.

— Właśnie — zgodził się milicjant. — Tam mieszka.

— Niepotrzebnie dzwoni — stwierdził Spiridonow — i bez tego jest źle.

— Może chce ludzi ostrzec — powiedział Szubin. — Albo zwrócić uwagę.

— Nie wiem, nie wiem. Jakiś głupek usłyszy, wyskoczy z domu i tyle z tego będzie.

Zamilkli, dzwon nadal bił, jakby chciał obudzić martwe miasto.

— Pół życia bym oddała, żeby być teraz w domu — powiedziała Ela.

— Nie szastaj tak życiem, dziewczyno — powiedział Spiridonow. — Jeszcze rodzić będziesz.

Ela najeżyła się, ale udała, że nie słyszy. Pociągnęła Szubina za rękę, dając znać, że chce iść.

— Rzeczywiście, zimno — powiedział Spiridonow, zauważywszy jej ruch. — Chodźmy, zrobię teraz wypad na pierwsze piętro, żeby butelka nie przepadła.

Było po pierwszej, hol na piątym piętrze opustoszał. Trzech ludzi spało na fotelach, rzeczy postawili obok, pozostali rozeszli się po pokojach.

Na trzecim piętrze ciągle jeszcze grała muzyka. Spiridonow powiedział:

— Rozgonić ich, czy co? Urządzili bal w czasie zarazy.

— Szkoda tracić siły, włączcie się tylko w awanturę — powiedział staruszek. Cały czas czytał Ewangelię. — Chcą zagłuszyć strach. Każdy sobie radzi, jak umie.

— Nie mamy się czego bać.

— Martwi też się niczego wczoraj nie bali.

— Dobrze już, chodźmy — zirytował się Spiridonow. — Nie ma co się zajmować mistyką.

Poszli na drugie piętro, gdzie przy stole stali Groński i Płotnikow. Coś do siebie szeptali.

— Długo was nie było — z tym stwierdzeniem Groński zwrócił się do Spiridonowa. — Jak dotąd nic nowego się nie wydarzyło.

— Odpocznijcie — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Jutro czeka nas ciężki dzień.

Dźwięk dzwonu nie dochodził aż tutaj.

— Pójdę na pierwsze piętro — powiedział Spiridonow.

— Trzeba sprawdzić.

— Pójdę z wami — zaproponował Groński.

— Obejdzie się — odrzekł grubas.

Lampa całkiem się wypaliła, tylko patrzeć, jak zgaśnie.

— Ty, Groński, lepiej idź na górę — powiedział Spiridonow.

— Przynies drugą lampę, tam chyba jest zbędna. Tylko nie zabieraj staruszkowi.

Mrugnął do Szubina.

— Daję wam pięć minut — powiedział Jurij. — Potem wyślę ekspedycję ratunkową.

— Sam mogę uratować kogo trzeba — powiedział Spiridonow i, upewniwszy się, że Groński i referent poszli, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę schodów.

Lampę wziął ze sobą. Zrobiło się ciemniej.

— Znalazłam pokój — powiedziała Ela. — Chodźmy, prześpisz się chwilę. Tutaj obok, drugi z brzegu.

Jurijowi nie chciało się spać, ale posłusznie poszedł za Elą. Ciągle myślał o tym, że trzeba ją czymś zająć, ale w żaden sposób nie mógł wymyślić zajęcia, które odciągnęłoby jej myśli od domu.

Ela pchnęła drzwi. Pokój był dużo większy od tego, w który mieszkał Szubin.

— Najwyższy standard — powiedziała. — Był pusty, najlepsze pokoje zawsze trzymają dla specjalnych gości, takich jak Spiridonow.

— A kim on jest, nie wiesz czasem?

Jurij rozsunął ciężkie zasłony, żeby wpuścić do pokoju światło księżyca.

— Chyba z głównego zarządu. Z Moskwy. To przełożony Grońskiego.

— Dziwny człowiek. Nie ma w nim strachu. Ani poczucia winy. Jakby był na manewrach.

— To dobrze, czy źle? — spytała Ela.

— Nie wiem. Ale dobrze się stało, że teraz jest z nami. Są ludzie, którzy umieją wydawać rozkazy. To powołanie.

— On umie, to pewne — powiedziała Ela.

Przytulił ją, pocałował w zamknięte oczy. Stała pokornie obok. Potem powiedziała:

— Nie teraz, dobrze?

— Co, nie teraz? — z początku jej nie rozumiał. I w tej samej chwili domyślił się, uśmiechnął i odpowiedział: — Po prostu pocałowałem cię. Rozumiesz — po prostu, bo jesteś dobra i kocham cię.

— Naprawdę?

— Słowo honoru.

Patrzył jej prosto w oczy — zadziwiająco, jak przyzwyczał się do ciemności, jak jakiś lemur.

— Boję się — powiedziała Ela. — Ale jestem bardzo szczęśliwa. Czy to źle?

— Dlaczego źle?

— Bo Mitka i mama są tam, a ja jestem szczęśliwa?

— Nic im nie będzie. Daję słowo.

— Dziękuję. Jesteś taki dobry.

Szubin wyrzwał przez okno. Ciekawe, co z ludźmi na dachu dworca? Wytężył wzrok, ale nie zobaczył nikogo.

Wtem znieruchomiał ze zdziwienia. Na dworzec wjeżdżał pociąg towarowy. Najpierw jak jasna gwiazda rozbłysło światło reflektorów, zaatakowało dworzec, a potem pobiegło dalej. Nawet przez szybę było słychać stukot kół. Pociąg minął dworzec, a w prześwicie między dworcem a magazynami widać było podskakujące wagony.

— Czyżby nie zauważył? — zapytała Ela.

— Nie powinien się tutaj zatrzymywać — powiedział Szubin. — Chyba że natknie się na jakąś przeszkodę.

— Jaką?

— Może nie zauważyli, że na torach leży człowiek... Nie wiem.

— Niech się nic nie zdarzy, niech przejedzie — powiedziała Ela.

I jakby w odpowiedzi na jej słowa w oddali rozległ się pisk. Wagony zaczęły się szarpać, zwolniły, pociąg zatrzymywał się.

— Diabli nadali, zapeszylismy — powiedział Szubin. Wyobraził sobie, jak maszynista — zauważywszy przeszkodę albo przeczuwając, że dzieje się coś dziwnego, gdyż zobaczył nieoświetlony dworzec i zgaszone semafony — zaczął hamować. Zatrzymuje

skład... już, już. Potem powie do pomocnika: „Połącz się ze stacją, coś się tam zdarzyło, dlaczego nie odpowiadają?”.

I nikt im nie odpowie.

Widać było, jak wagony coraz wolniej ciągną się wzdłuż dworca. I oto pociąg zatrzymał się... A teraz maszynista zeskończy na ziemię... upadł... Pomocnik schodzi do niego, żeby zobaczyć, co się stało...

— I po wszystkim!

— Co po wszystkim?

— Nic, mówię sam do siebie. Ile czasu minęło? Pójdę i zobaczę, co z Siergiejem Iwanowiczem. Zostaniesz tutaj?

— Nie, tylko nie tutaj. Lepiej pójdę do dyżurnej.

Przy stole dyżurnej nie było Spiridonowa. Ani milicjanta. Gdzie jest Kola?

— Kola! — zawołał. Odpowiedzi nie było.

Szubin oczekiwał, że gdy tylko zejdzie pół piętra w dół, zobaczy światło lampy, którą miał przełożony Grońskiego. Jednak w holu pierwszego piętra było ciemno. Dokąd oni poszli? Czyżby na dół?

— Siergieju Iwanowiczu! — zawołał Szubin.

Szubin przypomniał sobie o zapalniczce. Zszedł jeszcze kilka stopni w dół i zatrzymał się — niewykluczone, że żółta mgła podniosła się i Spiridonow stał się jej ofiarą.

Zapalniczka płonęła równym płomieniem, ale światło było bardzo słabe. Szubin przykucnął — w dole, przynajmniej tam, dokąd sięgało światło, mgły nie było. Doszedł do pierwszego piętra, również nie zauważył mgły. Wyprostował się.

Przez okno wpadało słabe światło, na stole stała butelka po wódce i pusta szklanka.

Szubin nasłuchiwał. Z korytarza dobiegał jakiś niezrozumiały hałas. Trzasnęły drzwi.

Szubin krzyknął:

— Siergieju Iwanowiczu! Ktoś głośno zaklął.

Szubin wyskoczył na korytarz. Tam, w drugim końcu, zobaczył światło. Na podłodze stała lampa naftowa, a obok były otwarte drzwi, w których stały jakieś ciemne postaci.

Szubin pobiegł w stronę światła. Trwała tam bójka... Niewyraźne, dobiegające z ciemności chlipnięcia, uderzenia, odgłosy szarpaniny...

Gdy Jurij podbiegł bliżej, rozległ się cienki, jakby dziecięcy krzyk. Jeden z uczestników bójki upadł.

— Przestań! — krzyczał Szubin — Przestań, mówię! Jeszcze jeden człowiek starał się podnieść, przebierając rękami po ścianie.

Trzeci podbiegł do Szubina.

— Wynoś się! — krzyczał w biegu.

— Nie puszczaj! Nie puszczaj go! — krzyczał ktoś od strony drzwi. Szubin poznał głos Spiridonowa.

Szubin rzucił się na biegnącego, ten zamachał rękami, ale nie był w stanie utrzymać równowagi po otrzymanym ciosie, coś uderzyło o podłogę, człowiek upadł, odbił się od ściany, natychmiast podniósł się i, kulejąc, pobiegł dalej.

Drugi, zgięty wpół, biegł jego śladem. Nie, to nie był Spiridonow — biegnący był chudy i niewysoki.

— Trzymaj ich, diabli by to wzięli! — Siergiej Iwanowicz leżał obok drzwi, starał się podnieść, rwał się do przodu.

Szubin w mgnieniu oka wczepił się w uciekającego, zawisł na nim. Człowiek wyrwał się z jego objęć, więc Jurij natychmiast za nim pobiegł. Nie, nie da rady dogonić. Tamten jest młody i bardzo przestraszony.

— A ty dokąd! — był to głos milicjanta Koli. Dobiegał z góry.

Milicjant stał na schodach, trzymając w górze lampę naftową.

Szubin zdążył dostrzec zmienioną przez bójkę, zdesperowaną, płaską twarz. W tej samej chwili na półpiętro wbiegł, trzymając się za bok, drugi człowiek — ten, którego gonił Jurij.

— Stój bo strzelam! — krzyknął Kola.

Obaj uciekinierzy, całkiem zagubieni, myśląc tylko o ratunku, rzucili się po schodach w dół.

— Tam nie wolno! — krzyknął Szubin. — Co wy!

Z dołu dobiegł jęk, głuche, miękkie uderzenie ciała o podłogę. I po nim następne...

— Po wszystkim — powiedział Szubin. — Idioci.

— A oni co — powiedział milicjant — nie rozumieją?

— Za późno na rozważania. Lepiej daj lampę.

— Co tam się stało?

— Coś ze Spiridonowem.

Jurij wziął lampę i pierwszy ruszył wzdłuż korytarza. Kola siedł z tyłu i zadawał niepotrzebne pytania:

— Posłuchaj, co to było? Przestraszyłeś ich? Przyjrzałeś się im? Tutejsi czy przyjezdni?

— Skąd mam wiedzieć? — odburknął Szubin.

Nie od razu zauważyli Spiridonowa, gdyż oddzielał go od nich pas ognia, ponieważ podczas bójki przewróciła się lampa naftowa.

Wprawdzie nafty było w niej mało, ale wystarczająco, żeby miejscami zajął się brudny kilim, który teraz wstrętne cuchnął. Wokół było pełno dymu.

— Tylko pożaru nam brakowało! — krzyknął Szubin i zaczął zadeptywać plamy ognia. Sypały się z nich iskry, więc Jurij podniósł wysoko lampę, aby iskry nie padały na nią.

Milicjant także zaczął wydeptywać ścieżkę.

— Kilim potem! — krzyknął Szubin. Przeskoczył przez pas ognia i nachylił się nad Spiridonowem, który pólleżał oparty o ścianę, zaniknął oczy, a tłuste, mocne palce przyciskał do boku. Palce były ciemne od krwi.

— Siergieju Iwanowiczu! — zawołał Szubin. — Co z wami?

Spiridonow odpowiedział, ledwie poruszając wargami:

— Dopadli mnie, bydlaki. Mieli nóż.

Milicjant nadal zadeptywał rodzące się płomienie.

— Myślałem, że się spalę — powiedział ranny.

— Boli? — zapytał Szubin.

— Nie, nie boli, mdli.

— To od dymu — powiedział milicjant. — Popatrzę, co się stało.

— Potrafisz?

— Uczyli nas udzielania pierwszej pomocy — powiedział Kola.

— No to, udzielaj.

Szubin i Wasilenko pomogli Spiridonowowi położyć się na plecach. Sierżant podciągnął marynarkę i koszulę, żeby obejrzyć ranę.

— Ej! — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Ogień znowu się pali.

Szubin podniósł się i zaczął deptać przeklęty kilim.

— No i co? — zapytał Spiridonow. — Jak to mówią, będę żyć?

— Diabli wiedzą — powiedział Kola. — Rana jest niewielka, ale nie wiem, jak głęboka. Nazywają to igłą.

— Diabli mnie podkusili — powiedział ranny. — Usłyszałem, że krzątają się tutaj i zdziwiłem się. Myślę, komu przyjdzie do głowy kręcić się tu w takiej sytuacji? Pomyślałem, że może ktoś z gości postanowił zataszczyć swoje rzeczy na górę. A oni., a oni... Słuchaj, sadysto, możesz nie wsadzać tam paluchów? Przecież to boli! Tylko bakterii naniesiesz.

Szubin obejrzał się. Kilim nadał tlił się w kilku miejscach. Dobrze byłoby polać go wodą.

— Towarzysza trzeba zanieść na górę — powiedział milicjant.

Spiridonow zakaszlał z wysiłkiem. Znowu złapał się za obnażony, brudny bok, widać było, jak krew cieknie przez palce.

— A może lepiej mnie nie ruszać? — zapytał Spiridonow.

— Nie — podjął decyzję Szubin. — Tutaj w każdej chwili może przeniknąć gaz. I jest nadymione.

— Nie doniesiecie mnie, tylko bardziej wymęczycie. Kilim dymił, oddychać rzeczywiście było trudno, milicjant zniknął za warstwą dymu.

— Zaniesiemy na koldrze — powiedział. — Wezmę z pokoju.

Odszukał drzwi do pokoju, potknął się o coś, zaklął. Spiridonow jęknął.

— Fatalnie — powiedział.

— Diabli wiedzą co... — zaczął Szubin, ale nagle zmienił temat. — Rzeczywiście złodzieje. Nawet w takiej chwili się zdarzają?

— A dlaczego by nie? — powiedział ranny. — Grabić w takiej chwili — sam szyk. Uciekli?

— Uciekli — odpowiedział Jurij.

— Szkoda, że ich nie złapaliście. Będą robić to samo na innych piętrach.

— Nie, pobiegli na dół.

— Jasne... Czyli porządnie ich wystraszyliśmy... diabli, jak boli. Gdybym wiedział, nie wlaźłbym. Rozumiesz, myślałem, że to ktoś z gości...

Spiridonow zamilkł. Oddychał ciężko i z trudem.

Pojawił się milicjant z koldrą. W drzwiach znowu natknął się na walizkę, którą najwyraźniej porzucili szabrownicy. Szubin, bez żadnej emocji zauważył, że to jego walizka. Dobra, kupiona w Koln i zupełnie do niczego niepotrzebna.

Przenieśli ciężkiego jak kamień Spiridonowa na koldrę. Potem musieli go zostawić i od nowa deptać tłący się kilim.

— Do tego nie ma wiadra — zauważył milicjant.

— Zaniesiemy go teraz do schodów i zawołamy ludzi z wiadrami. Zgasimy.

— Kawał chłopa z was — sierżant zwrócił się do leżącego.

— Sam teraz żałuję — powiedział Spiridonow. — Ostrożnie, do diabła!

Gdy donieśli go do schodów, Szubin całkiem opadł z sił. Jeszcze jeden krok i serce wyskoczy mu gardłem. Puścił koldrę i powiedział do milicjanta:

— Poczekaj, zaraz wracam.

Dopiero wtedy zorientował się, że milicjant nie zostawił lampy. Niósł koldrę w jednej ręce, a lampę — w drugiej. Uparty.

Szubin wszedł na górę po schodach — wydawało mu się, że biegnie, brakowało oddechu, nogi miał jak z waty. Przy stole siedziały tylko Ela i dyżurna. O czymś rozmawiały, Ela szybko podniosła głowę, słysząc oddech Szubina.

— Co się stało?

— Spiridonow jest ranny. Mamy apteczkę? — Szubin nie dał rady pokonać kilku ostatnich stopni. Stał, opierając się o ścianę.

— Powinna gdzieś być — powiedziała dyżurna. — Zaraz poszukam.

— Potrzebujemy lekarza i mężczyzny, żeby go tutaj przynieść. Gdzie są wszyscy?

— Część poszła na górę, reszta śpi w pokojach — powiedziała dyżurna.

— Przebiegnij się tam! — powiedział Jurij do Eli. — Poszukaj lekarza. Albo pielęgniarki, znajdź kogokolwiek. I zawołaj mężczyzn.

Gdzie Groński i ten jego podwładny?

Szubin przytulił się do ściany. Nie miał siły zrobić nawet jednego kroku.

Ela biegła przez korytarz, stukała w drzwi, było słychać jak pyta:

— Jest tam lekarz? Mamy rannego! Potrzebna jest pomoc.

Powinien wejść piętro wyżej i zrobić to samo, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Dyżurna powiedziała:

— Jest apteczka, zastanawiałam się, gdzie ją włożyłam — jeszcze wczoraj ją widziałam, okazało się, że jest w dolnej szufladzie, ech, głowa dziurawa!

Szubin odchylił głowę i krzyknął w głąb klatki schodowej:

— Jeśli jest tam lekarz, niech zejdzie na drugie piętro! I mężczyzna, żeby przenieść rannego.

— Idę, idę — rozległo się z góry.

Na dół szybko schodził staruszek, który czytał Ewangelię. Niósł lampy. Za nim szedł znajomy z restauracji.

— Jesteście lekarzem? — zapytał Jurij.

— Nie, ale chciałbym pomóc.

Szubin otworzył pudełko po butach i wysypał zawartość na stół. Aspiryna, tabletki na kaszel, jodyna... Zabrał ze sobą tylko paczkę waty.

Na dole było pełno dymu. Milicjant przykucnął obok Spiridonowa i przytrzymał mu głowę. Ranny jęczał głucho, w gardle coś mu bulgotało. Szubin popatrzył w dół i zobaczył, że żółta mgła, jak bulion wypełniająca po brzegi filizankę, dotarła do klatki schodowej. Tylko patrzeć, jak zacznie się przelewać dalej.

Pozostali nie zauważyli tego. Szubin podał rannemu duży kawał waty, a ten przycisnął go do boku zakrwawioną ręką. Gdy nieśli Spiridonowa w stronę schodów, Szubin pokrzykiwał:

— Trzymaj wyżej, wyżej!

Bał się, że opadająca pod ciężarem Siergieja Iwanowicza koldra zetknie się z żółtą mgłą.

Na kolejnym półpiętrze spotkali Grońskiego i grubą Wierc. Groński pomógł nieść Spiridonowa. Wiera bała się, że ranny rozłoży się na Grońskiego. Szła obok i powtarzała:

— Wszystko będzie dobrze, wyzdrowiecie... No co też wam przyszło do głowy...

A gdy przepychając się i sprawiając mu ból, wnieśli w końcu go do pierwszego wolnego pokoju, Groński przecisnął się do rannego i powiedział z wyrzutem:

— No co też wam przyszło do głowy, Siergieju Iwanowiczu!

Spiridonow nie odpowiadał. Zagryzł wargi, po brodzie ciekła strużka krwi.

Ela znalazła wśród gości hotelowych pielęgniarkę. Kazali wszystkim wyjść z pokoju, został tylko z nimi milicjant, który pomógł rozebrać Spiridonowa, a potem zamknęli drzwi.

Szubin przypomniał sobie o pożarze.

Stał w korytarzu, wokół zgromadzili się ludzie. Tych, co siedzieli w pokojach, przyciągnął hałas.

— Kto pójdzie ze mną na pierwsze piętro? — zapytał Szubin, przerywając pełne oczekiwania milczenie. Nikt nie wyznaczył go na zastępcę Spiridonowa, a jednak oczekiwano jego rozkazów.

— Ja pójdę — powiedział staruszek, który czytał Ewangelię.

— Postaramy się jak najszybciej sprawdzić, co tam się dzieje. A pozostali szybko — rozumiecie, szybko — szukają wiader, misek, czegokolwiek. Mam nadzieję, że rozumiecie, co w naszej sytuacji oznacza pożar.

Z dołu, z klatki schodowej, ciągnęło dymem.

— Widziałem punkt przeciwpożarowy — powiedział młody Gruzin w czapce. Chyba miał na imię Rusłan. — Jest tam gaśnica.

— To byłoby najlepsze — powiedział Szubin. Zastanawiał się, czy powiedzieć im o żółtej mgłę. Przecież przestraszą się. Ale ludzie wyczuli pauzę.

— A co? Co? — zapytał ktoś z ciemności.

— A to: gaz dostał się na klatkę schodową na pierwszym piętrze. Uprzedzam — przez klatkę należy przechodzić szybko, nie zatrzymywać się.

— A jeśli dotknie nóg? — spytał kobiecy głos.

— Mam nadzieję, że nie jest to niebezpieczne — naprawdę, mam taką szczerą nadzieję. Ale zagwarantować nie mogę niczego. Jesteśmy wszyscy równi... A w ogóle umówmy się tak: idziemy do pożaru. Jeśli nie ma niebezpieczeństwa, nie schodzicie. A jeśli jest... potrzebni będą ochotnicy.

Zapanowało milczenie. I nagle, wśród ciszy rozległy się głośne, szybkie kroki. Z ciemności wyłonił się Rusłan. Niósł gaśnicę i bosak.

— A nie mówiłem — powiedział.

— Dziękuję — powiedział Szubin, wyciągając rękę.

— Weź bosak — Gruzin podał mu ten sprzęt przeciwpożarowy. — Gaśnicę sam będę obsługiwał. Czytałem instrukcję, a ty nie.

— Ty idziesz?

— Idę.

— To znaczy, że ja też idę?

— W takim razie, wy już nie musicie — powiedział Szubin do staruszka.

— Proszę nie mówić mi, co muszę, a czego nie muszę — cicho powiedział staruszek.

Jurij nie sprzeciwił się.

Wziął ze sobą lampę, pozostawiając hol drugiego piętra w całkowitej ciemności. Była to ostatnia lampa, jeśli nie brać pod uwagę tej, która paliła się w pokoju, gdzie położono Spiridonowa.

Przed wejściem na pierwsze piętro Szubin zatrzymał się. Gruzin i staruszek czekali z tyłu. Wokół było dużo dymu, toteż Jurij wpatrywał się ze wszystkich sił, ale nie mógł zorientować się, czy żółta mgła podniosła się jeszcze bardziej.

— Nie widać? — zapytał z tyłu Rusłan.

— Pójdę — powiedział Szubin.

— Poczekajcie — rzekł zdecydowanie staruszek. — Będę was trzymać za rękę. Jeśli, nie daj Boże, poczujecie się gorzej, wyciągnę was.

— Dziękuję, nie trzeba — odpowiedział Szubin, ale wyciągnął rękę. Palce staruszka były silne i chłodne.

— Ja też — powiedział Rusłan.

Weszli na klatkę schodową. Nic się nie stało.

I tak przeszli przez klatkę we trójkę, trzymając się za ręce.

Dalej było tak nadymione, że światło lampy przebijało się tylko na dwa metry, nie więcej.

— Włączę gaśnicę — powiedział Rusłan.

— Za wcześnie — stwierdził Szubin. — Do źródła ognia zostało ze dwadzieścia metrów, nie mniej.

— A może mniej — upierał się Rusłan. Przeszli jeszcze dziesięć metrów i usłyszeli trzask prawdziwego pożaru.

— Niedobrze — powiedział Szubin.

Było znacznie cieplej niż na klatce schodowej, w twarz wiał gorący wiatr, przez dym przebijały się pomarańczowe błyski.

— Teraz już nie jest za wcześnie — powiedział Rusłan. Odwrócił gaśnicę. Działał zgodnie z instrukcją. Szubin pomyślał, że zgodnie z prawem Murphy'ego gaśnica powinna być zepsuta. Trzymał przecież w ręku bosak — narzędzie zupełnie nieprzydatne do walki z pożarem w hotelowym korytarzu.

— Przejdę się po pokojach — powiedział staruszek.

— Po co?

— Trzeba wszędzie odkręcić wodę. Niech się leje.

— Pokoje są zamknięte — poinformował Szubin

— Ech! — wykrzyknął radośnie Rusłan. Gaśnica drgnęła i strumień piany runął do przodu.

Nie wiadomo dlaczego, Jurij miał nadzieję, że dym zelżeje, ale tak się nie stało. Nie można było oddychać — oczy piekły tak, że trudno je było otworzyć. Staruszek kopnął drzwi, a one otwarły się, i wtedy starszy mężczyzna zniknął w ciemności.

Słychać było szum wody w łazience — dźwięk ten zagłuszył trzask pożaru i szum gaśnicy.

— Poczekaj — Szubin chwycił Rusłana za rękę. — Wszystko zużyjesz.

— Rozumiem — odpowiedział i skrył się we mgle. Staruszek wyszedł z pokoju. Niósł duże, białe zawiniątko.

— Namoczyłem ręczniki — powiedział — żeby łatwiej było oddychać.

Szubin wyjął jeden z nich i owinął twarz. Okazało się, że rzeczywiście jest lepiej.

— Ej, dżigit! — krzyknął. — Weź maskę przeciwgazową!

Z dymu wyłonił się Rusłan.

— Jaką maskę? — krzyknął.

Szubin wyciągnął w jego stronę mokry ręcznik.

Z tyłu dobiegł krzyk:

— Gdzie jesteście?

To biegł znajomy z restauracji. Niósł wiadro.

— Nie mogliśmy się was doczekać — powiedział. — Co robić?

— Tam są otwarte drzwi — powiedział staruszek. — Woda jest odkręcona.

— Rozumiem — powiedział znajomy z restauracji. Obok pojawił się jeszcze jeden człowiek, pośród dymu. Nie można było zorientować się, kto to jest. On także pobiegł do pokoju, w którym lała się woda, w drzwiach zderzył się ze znajomym z restauracji. Ten, stojąc jeszcze w drzwiach, z całej siły chlusnął wodą.

— Ogień jest dalej — powiedział Szubin.

— Sam to wiem — krzyknął znajomy z restauracji i ponownie zniknął w pokoju.

— Przepraszam — powiedział staruszek. — Czy mógłbym prosić o pomoc, muszę się odsunąć.

Staruszek stał obok ściany, odchylił głowę, oczy, widoczne nad białym ręcznikiem były mętne.

— Niedobrze wam?

— Zaraz mi przejdzie.

— Czy ma ktoś wiadro? — zapytał ktoś obok.

— Weźcie bosak — powiedział Szubin.

Pomógł staruszkowi wyjść do holu, co okazało się niełatwe, gdyż z naprzeciwka biegli ludzie, wpadając na siebie nawzajem w ciemności i dymie. Szubin podniósł lampę, aby ominąć stojącego im na drodze człowieka i rozpoznał w nim milicjanta. Okazało się, że sierżant zdobył gdzieś dużą miskę.

— Kola? — ucieszył się Szubin. — Jak się czuje Spiridonow?

— Kto go tam wie. Leży.

— Dobrze. Weź lampę i postaraj się jakoś zorganizować ludzi — poprosił Jurij. — Boję się, że tylko przeszkadzają sobie nawzajem.

— To prawda — powiedział milicjant.

Szubin, wśród całkowitej ciemności, wyprowadził staruszka na korytarz, ale tam też nie można było pozostać dłużej, gdyż dym nie pozwalał oddychać. Wokół było słychać krzyki, ludzie miotali się i Jurij pomyślał, że pożar jest dla nich czymś zrozumiałym, a nawet zbawczym, bo najgorsze było siedzenie w ciemności i czekanie nie wiadomo na co, gdy w każdej chwili można było podejść do okna i zobaczyć leżących na placu, martwych ludzi. Ludzie biegli do pożaru z wściekłością, ale bez strachu, bo pożar był klęską dającą się wyjaśnić i wszyscy wiedzieli, że można go ugasić.

Szubin pomógł staruszkowi wejść piętro wyżej. Tutaj też było dużo dymu, ale można było przynajmniej oddychać.

— Czy jest tu kto? — zapytał Szubin.

— Jestem na swoim miejscu — odpowiedziała dyżurna i Jurij dostrzegł jej sylwetkę za stołem.

— Gdzieś był fotel — powiedział staruszek, puszczając Szubina.

— Jak się czujecie?

— Lepiej, dziękuję — powiedział staruszek. — Już siedzę. Możecie wracać do swoich spraw.

Jurij złapał oddech, ciągle jeszcze był na chodzie, trzeba było zastanowić się, co dalej.

— Idźcie, idźcie, nie martwcie się o mnie — staruszek źle zrozumiał jego rozterki.

— Zaraz... Kim jesteście z zawodu?

— A dlaczego pytacie?

— Czytaliście Ewangelię.

— Nie, nie jestem księdzem. Jestem pianistą. Byłem tu na gościnnych występach. Nazywam się Wołodiewski, może słyszeliście?

— Przykro mi, nie znam się za bardzo na muzyce klasycznej.

— Mało kto mnie zna — powiedział staruszek. — Przez całe życie budziłem duże nadzieje. I nic poza tym. Ale to miłe, gdy ktoś mówi: „A jakże, słyszałem, to naprawdę wy?”.

— Przyjdę do was jeszcze — powiedział Szubin. Odwrócił się w stronę dyżurnej i dodał:

— Macie może w apteczce coś na serce?

— Nie trzeba — powiedział Wołodiewski. — Wziąłem już nitroglicerynę.

Jurij poszedł do Spiridonowa.

Drzwi do pokoju były zamknięte. Zapukał.

— Proszę — powiedziała Ela.

Szubin zamknął za sobą drzwi, żeby do środka nie naleciało dymu.

Na stoliku obok łóżka paliła się lampa naftowa. Ela siedziała na krześle, trzymając za rękę Spiridonowa. Leżał na plecach, patrzył w sufit, koldra przykrywająca brzuch wyglądała jak biały garb.

— To ty, Szubin? — zapytał ranny. — I jak tam?

— Pali się — powiedział Jurij. — Ale przybiegło trochę ochotników, więc może damy radę.

— Nie damy rady ugasić, jeśli pali się porządnie — powiedział Spiridonow. — Głupio wyszło.

— Dlaczego głupio? Ela wstała z krzesła.

— Siadaj — powiedziała. — Chcesz, przyniosę ci wody? Tyle że z kranu.

Ela cały czas miała na sobie jego kurtkę.

— Posłuchaj — przypomniał sobie Szubin. — W kieszeni powinien być słoik rozpuszczalnej kawy. Rozpuść mi trochę w zimnej wodzie.

— Dobrze — powiedziała Ela. Poszła do łazienki.

— Boję się, że umrę — powiedział Spiridonow. — I co jeszcze?

— Myślisz, że jestem młody? — powiedział. — Byłem na froncie. Napatrzyłem się na rany. Ten gad zranił mnie głęboko, za głęboko. Nie potrafią zatrzymać krwawienia. Opatrzyli, ale krew płynie. Trzymam rękę pod koldrą, żeby krew zagarniać pod siebie. Po co niepokoić ludzi.

— Nie, tak nie będzie — powiedział Szubin, jakby odwoływał wyrok.

— Głupis — powiedział Spiridonow. — Może na to zasłużyłem. Skąd pożar? Bo z głupoty wlałem tam, gdzie nie trzeba, przewróciłem lampę. Jeśli zginiecie, przeklniecie mnie.

— Chcieliście jak najlepiej.

— Całe życie chciałem jak najlepiej. A wyszło... Wiesz, lepiej mi zginąć jak na posterunku bojowym... Żartuję, Szubin. Przecież wiedziałem, że Grońskiemu potrzebny jest awans, że chce do Moskwy. Starał się, drugą linię uruchomił bez oczyszczalni — i zaraportował. A ja wiedziałem, że to wszystko lipa. I o społecznikach wiedziałem, i o wiecu. O wszystkim wiedziałem i dałem Grońskiemu do zrozumienia, że nie zauważam. Nawet smrodu, w którym żyli tu ludzie, nie zauważałem. Myślałem, jakoś to będzie. Ja też muszę wysyłać raporty — tyle że do samego ministra. Dawno już osiągnąłem Wiek emerytalny, łapiesz? Jeśli nie wykonamy planu, będę musiał odejść. A jestem jeszcze w pełni sił, chciałem pracować... co ci będę opowiadać... Nie dałem ci zadzwonić do Moskwy, pamiętasz?

Szum wody w łazience umilkł. W kranie zahuczało.

— No i masz — zdenerwował się Spiridonow.

— Co? — nie zrozumiał Szubin.

— Cały czas się tego spodziewałem — powiedział Siergiej Iwanowicz. — To musiało się stać.

— Woda?

— Oczywiście. Tam jest stacja pomp. Przecież nie ze studni... Cały czas myślałem, gdy tylko zaczęliście gasić pożar, to już koniec... to już koniec... Ko—niec... ko—niec.

Spiridonow jakby bawił się tym słowem, wymawiając je coraz mniej wyraźnie wśród panującej ciszy. Do pokoju wróciła Ela.

— Woda się skończyła — powiedziała.

— To źle — powiedział Szubin. — Jeśli nie dali rady zgasić pożaru... nie mam pojęcia, dokąd uciekać...

— Jura — powiedziała Ela.

— Co?

— Kocham cię.

— Mam nadzieję, że będziesz miała w życiu jeszcze niejedną okazję, żeby to powiedzieć.

— Ale ja naprawdę cię kocham. Spiridonow zajęczał cicho, jak dziecko.

— Trzeba będzie zanieść go na dach — powiedział Szubin i myśl ta po prostu go przeraziła. Ela nie rozumiała, co to znaczy nieść

Spiridonowa.

— Dlaczego na dach?

— To nasza jedyna szansa — powiedział Szubin. — Na dół nie można. To natychmiastowa śmierć. A jeśli podniesiono już alarm, to szukają na dachach.

— Helikoptery szukają?

— Pewnie tak... I pożar nie od razu tam dotrze.

„Boże, jak nieprzekonywająco mówię — pomyślał Szubin. — Powiniennem mówić tak, żeby Ela mi uwierzyła. Zaraz pojawią się tu inni ludzie, do nich też powiniennem mówić twardo, tak, żeby uwierzyli”.

Podszedł do okna, które z tego pokoju wychodziło na puste dachy domów, na martwe ulice i szalejące pożary. Jurij popatrzył na zegarek. Nie było jeszcze trzeciej. Minęły dopiero trzy godziny?

Ela stała obok niego, ostrożnie dotykając jego ramienia.

— Elu — powiedział Szubin. — Chciałbym cię o coś poprosić.

— Tak?

— Czy zechciałabyś zostać moją żoną?

— Zwariowałeś!

— Nigdy w życiu nie byłem taki poważny. Jesteś dla mnie najbliższym człowiekiem na ziemi.

— Oj, ty dla mnie też. Mitka i ty.

Ktoś biegł po korytarzu. Zatrzymał się przed drzwiami. Zapytał głośno:

— Tutaj?

Daleki, niewyraźny głos dyżurnej odpowiedział:

— Tutaj, tutaj.

Drzwi otworzyły się. To był milicjant. Brudny, cały w sadzy. Od progu zawołał:

— Nie ma wody! Nie ma wody!

— Wiem — powiedział Szubin.

— Ale tam się nadal pali! Całe piętro się pali.

— Czyli nie zdążyli — dobiegł słaby głos z łóżka.

— Co robić?

Jurij westchnął i zdecydował:

— Trzeba wyprowadzić ludzi na dach. Mamy trochę czasu. Niech wejdą na górę. Sprawdź, czy nikt nie został w pokoju. Zaraz przyjdę.

— Tak jest — powiedział Kola. — Słusznie.

— Wróć potem tutaj. Zawołaj Grońskiego, nie, lepiej tego Gruzina z gaśnicą... Trzeba zanieść na górę Spiridonowa

— Szubin wskazał łóżko.

— Nie trzeba — powiedział Spiridonow jadowicie. — Zbędny trud. Już umarłem.

— Idź, idź — Jurij zwrócił się do sierżanta, ignorując zachowanie rannego.

— Zaraz wracam — powiedziawszy to, milicjant głośno zatupał w korytarzu.

Ela odeszła od łóżka i wtedy Jurij zauważył, że prześcieradło i kołdra są mokre od krwi, która również kapła na podłogę.

— Siergieju Iwanowiczu — zawołał. Spiridonow nie odezwał się.

— Wykrwawi się — powiedziała Ela.

— Widzę. Zrobią mu transfuzję. Trzeba go jak najszybciej przenieść.

— Ale tam jest mróz.

— Po kiego czorta się wahasz? — krzyknął Szubin. — Tak nie wolno! Jeśli będziemy się wahać, zostaniemy tu jak w pułapce na myszy!

— Tak — powiedziała Ela łamiącym się głosem.

— Przepraszam.

— Masz rację.

— Elu, jeśli myślisz, że powiedziałem o ślubie tylko dlatego, że tak się wszystko złożyło — to nie masz racji!

— Wierzę ci, Juroczka — powiedziała Ela. — Nie denerwuj się, oczywiście, że ci wierzę.

Na korytarzu znowu ktoś tupał. Wszedł milicjant, za nim Rusłan. Gruzin był cały czarny — od czapki po buty. Ktoś jeszcze tupał w drzwiach.

— Zaniesiemy Spiridonowa na górę — powiedział Szubin.

— Potrzeba sześciu ludzi. Jest ciężki.

— Zaraz przyjdą — powiedział Rusłan. Zęby i białka oczu miał białe. Kogo przypominał? Górnika, oczywiście, że górnika!

— Jak tam pożar? — spytał Jurij.

— Pali się — powiedział Rusłan. — Pięknie się pali.

— Trudno się zorientować — dorzucił swoje spostrzeżenia Kola. — Za dużo dymu.

Przez otwarte drzwi dym sączył się do pokoju. Wszyscy tłoczyli się w niewielkim przedpokoju.

— Wchodźcie — powiedział Szubin. — Bierzemy za rogi materaca, a dwóch z boków.

Spiridonow milczał. Ela schyliła się, badając mu puls.

— Nie opóźniaj — powiedział Szubin. — I zabierz wszystkie kołdry. Ile tylko dasz radę. Trzeba go będzie owinać.

Jednak nie donieśli Spiridonowa na dach... Najpierw trzeba było zatrzymać się między trzecim i czwartym piętrem. Spiridonow zaczął się rzucać, jakby chciał się wyrwać, przeklinał, ale niewyraźnie i nie można było zrozumieć, o co mu chodzi. Ela, która wzięła ze sobą karafkę wody, starała się go napoić. Potem, nieoczekiwanie, przestał się rzucać, umilkł, wyciągnął się. Ale jeszcze nie umarł.

— Szubin — wyszeptał. — Szubin, jesteś tu?

— Jestem, Siergieju Iwanowiczu.

— Wybacz, Szubin — wyszeptał Spiridonow. Wszyscy zamilkli, żeby Jurij mógł lepiej słyszeć. Spiridonow oddychał szybko i płytko. Potem znowu zaczął mówić: — Uwważaj na Grońskiego. On przeżyje. Będzie chciał całą sprawę zatuszować... wyciszyć. Rozumiesz? Powiedz... mnie nie ma, ale ty powiedz... tylko ostrożnie, moja żona mieszka... weź mój paszport.

I nagle zamilkł. Przestał oddychać. Od razu.

Stali wokół i na coś czekali. Ela postawiła karafkę na podłodze, nachyliła się nad jego twarzą, słuchała. Potem nachyliła się jeszcze niżej i przyłożyła ucho do piersi.

— Milczy — powiedziała.

Szubin zobaczył, że oczy Spiridonowa są nie do końca zamknięte. Położył dłoń i powieki posłusznie zamknęły się. Czoło Spiridonowa było gorące.

— Po wszystkim — powiedział milicjant.

Obok nich przechodzili ludzie, mijali ich, szli na górę, niektórzy nieśli ze sobą rzeczy. Starali się nie patrzeć na leżącego człowieka. O nic nie pytali.

— Zabierzemy go na górę? — powiedział Szubin.

— Ty co, całkiem oszalałeś? — zdziwił się Rusłan. — Po co taszczyć martwego. Jemu i tu dobrze się leży.

Naciągnął kołdrę na twarz Spiridonowa.

Poszli na górę, na dach, a tam było już dużo ludzi. Niektórzy przynieśli kołdry i owinęli się w nie, siedząc na walizkach, inni stali lub chodzili, wpatrując się w dal, spoglądali w niebo, skąd powinien nadejść ratunek.

Rozmawiali cicho.

— Staruszek — przypomniał sobie nagle Szubin. — Staruszek został.

— Gdzie? — nie rozumiała Ela.

Ale dyżurna rozumiała. Stała obok owinięta w kołdrę, która jak kaptur spadała jej na oczy.

— Staruszek umarł. Poszliście, a on umarł — powiedziała. — Wiem na pewno.

— Skąd wiecie?

— Bo spadł z krzesła. Usłyszałam, że spadł z krzesła, czyli że umarł. Na pewno miał zawał.

— Nie ma po co iść — powiedziała Ela. — I tak umarł.

— Wszyscy umrzemy za grzechy nasze — powiedziała dyżurna. — Nikt żywy się nie ostanie.

Szubin pomyślał, że czegoś brakuje, czegoś oczekiwanego. Zrozumiał — zamilkł cerkiewny dzwon.

— Weź kurtkę — powiedziała Ela.

— Nie trzeba, nie jest mi zimno.

— Weź, mam kołdrę.

— Wezmę jak wrócę.

— A ty dokąd? Staruszek umarł. Sama widziałam. Szubin zauważył Grońskiego. Stał na brzegu dachu, za nim — referent Płotnikow i dwie grube kobiety. Były ubrane — czyli miały czas, żeby się ubrać. Szubin pomyślał, że dawno już nie widział dyrektora zakładów chemicznych. A przecież Groński nie wyprzedzał ich, gdy nieśli Spiridonowa. To znaczyło, że przyszli tutaj wcześniej.

Groński stał, rękę w rękawiczce przyłożył do bobrowej czapki i patrzył w dal, jak marynarz oczekujący na pojawienie się ziemi.

Szubin chciał powiedzieć mu o śmierci Spiridonowa, ale rozmyślił się: widocznie zapomniał o przełożonym, jeśli sam nie pyta. Przypomni sobie.

Powiał wiatr. To dobrze. Wiatr jest potrzebny. Po co? Mózg pracował z trudem. „Wiatr jest potrzebny — wyjaśnił cierpliwie sam sobie — żeby rozwiać gaz, a wtedy będziemy mogli wyjść z hotelu. Gaz ulotni się, a my wyjdziemy. Oczywiście, jeśli ogień nie odetnie nam drogi”.

— Kola — powiedział. — Chodźmy na dół.

— Dobra! — odpowiedział Kola. — Ale po co?

— Popatrzmy, dokąd dotarł ogień. I czy można wyjść z hotelu.

— Pójdę z wami — odezwał się Rusłan. — Tutaj jest zimno. Było ciemno, trzeba było iść, trzymając się ściany.

— Wiatr — powiedział Szubin. — Jeśli nasili się, może rozgonić wiatr.

— Wiatr wieje — powiedział Rusłan. — I to jaki! Spiridonow leżał na półpiętrze i Szubin, przechodząc Obok, nie wytrzymał — podniósł chłodną już, ciężką rękę i starał się wyczuć puls.

Rusłan i Kola czekali w milczeniu.

— Chodźmy — powiedział Szubin.

Doszli tylko do drugiego piętra. Było tam tyle dymu, że nie można było wejść nawet do holu. Z dołu dochodziły głośne trzaski — ogień pożerał dolne piętra. Szubina ogarnęło przerażenie, które było wywołane beznadziejnością sytuacji, i tym, że ogień wypierał ich bardzo szybko z hotelu. Już niedługo zniszczy jego podstawy, a wtedy dach, ze wszystkimi stojącymi na nim ludźmi, z Elą i nim samym — wszystko zwali się w pomarańczowe płomienie.

Szubin zapomniał nawet, że chciał znaleźć staruszka Wołodiewskiego.

— Jest źle — powiedział Rusłan.

— Chodźmy na trzecie — powiedział Szubin.

Na górze podeszli do okna wychodzącego na podwórze. Księżyc skrył się, zrobiło się znacznie ciemniej. Niebo mniej błyszczało. Plac od czasu do czasu ginął w tumanach spływającego ku dołowi dymu. Kłęby pogarszały widoczność.

— Co chcecie zrobić? — zapytał Kola.

— Chcę zorientować się, czy na placu wieje wiatr. Wpatrywał się w przerwy między kłębami dymu, starając się zgadnąć, w jakim stanie jest gaz. Wydawało mu się, że żółty gaz zwija się w lejki... Nie, pewnie widzi to, co chce zobaczyć.

— Popatrz — powiedział do Koli.

Milicjant i Rusłan przykleili się do szyby.

— Zaczęło się — powiedział Gruzin. — Mówię wam, że się zaczęło.

— Wydaje się, że przegania gaz — powiedział Kola. — Tylko nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

— Dlaczego? — zapytał Rusłan.

— A dlatego — rozsądnie zauważył milicjant — że może przygnać jeszcze więcej niż dotąd. Myślimy, że przegoni, a może nagnać więcej.

Myśl była zdrowa, choć smutna. Dym walił coraz silniej i coraz rzadziej można było dostrzec plac.

— Chodźmy na górę — powiedział Jurij. — Wszystko już wiemy.

Na dachu niewiele się zmieniło — wzrosło tylko napięcie. Wiele osób stało na skraju, spoglądało w dół, pokazując coś palcami. Szubin zrozumiał, że nadzieja na to, że wiatr przegoni dym, zawładnęła wszystkimi.

Ela podbiegła do niego.

— Rozgania — powiedziała. — Wiesz?

— Im szybciej, tym lepiej — odpowiedział. — Pali się już drugie piętro.

— Niemożliwe — wyszeptwała Ela. Od razu wszystko rozumiała.

Nad dachem unosił się wysoki słup dymu, poryw wiatru rzucił go w stronę ludzi, ktoś zakaszał. Krzyknęła przestraszona kobieta. Wzmagający się wiatr budził nadzieję na ratunek. Czarny dym przypominał o niebezpieczeństwie.

Szubin patrzył w dał, na rzekę, na fabrykę. Pożar z fabryki tekstylnej sięgnął już rzeki i Jurij mógł przysiąc, że widzi nierówną, żółtą powierzchnię, a kłęby mgły przeganiane przez wiatr.

— Trzeba zejść na dół — powiedział ktoś.

Groński poszedł w stronę wyjścia na dach. Minał Szubina, jakby go w ogóle nie zauważył.

Za nim wlokła się gruba Wiera z koleżanką. Z tyłu szedł referent Płotnikow.

— Chcecie zejść na dół? — zapytał Jurij. — Dopiero co tam byłem. Pali się już drugie piętro. Nie przejdziecie.

— Proszę nie wzbudzać paniki — z obrzydzeniem powiedział Groński. — Namoczymy ręczniki i przejdziemy.

— Zapomnieliście, że nie ma wody? — Udaje? A może oszalał?

— Jak to nie ma wody? — Groński uniósł brwi i nachmurzył się.

Szubin zrozumiał, że Groński jest na dachu od dawna, wszedł tu, zanim jeszcze zaczął się pożar, żeby jako pierwszy zobaczyć helikoptery ratunkowe.

— Wody nie ma od dawna — powiedział Szubin, rozumiejąc, że słucha go kilkudziesięciu ludzi gotowych rzucić się za zbawicielem — Grońskim. — Spalicie się. To nie jest dobra śmierć.

— To niemożliwe — odpowiedział dyrektor, zapominając o kontroli nad głosem. Okazało się, że głos ma w rzeczywistości znacznie wyższy, niż dotychczas się wydawało.

— Trzy piętra już się spaliły — powiedział wesoło Rusłan. — A wy, obywatelu, spacerowaliście po dachu, gdy my gasiliśmy pożar, tak? Ominęło was najciekawsze. Nie szkodzi, niedługo dach się załamie — jak deszczułka w piecu.

— Niech on się zamknie! — krzyknęła gruba Wiera, chowając twarz w futrze z norek. — Zabroń mu mówić.

— Ma całkowitą rację — powiedział Szubin. — Ale jeszcze nie zginęliśmy. Mamy czas, żeby się uratować.

Wokół zaczął się rwetes, trudno było wszystkich przekrzyczeć. Trzeba było uspokoić ludzi. Jak? Byleby tylko nie wybuchła panika!

— Cisza! Cisza! — krzyknął płotka Płotnikow. — Nie przeszkadzać towarzyszowi Szubinowi!

— Nie ma niebezpieczeństwa! Wszyscy się uratujemy. Jeśli będziecie milczeć i mnie słuchać.

Zaczynając zdanie, Szubin nie wiedział jeszcze, jak je zakończy. W środku zdania przyszła mu do głowy nadzwyczaj prosta myśl.

Naprawdę mieli szansę.

— Uciszcie się! — krzyknął Groński.

Jego twarz rasowego psa skamieniała — jakby z twarzy znikło całe mięso.

— Uspokójcie się — powiedział Szubin niezbyt głośno, chociaż miał ochotę krzyczeć. — Możemy uratować się tylko jeśli zachowamy dyscyplinę. Potrzebne jest opanowanie. Bo droga, którą chcę zaproponować, jest niełatwa. Jeśli zaczniemy się tłoczyć, zginą wszyscy.

Mówił, a wokół panowała cisza. Było tak cicho, że słysząc było dobiegający z dołu trzask pożaru.

— Zapomnieliśmy o schodach przeciwpożarowych — powiedział Szubin. — Są tam, z prawej strony.

Wszyscy popatrzyli w tę stronę. Tam, wyglądające jak protoplasta sani, wbijały się w śnieg poręczce schodów przeciwpożarowych. Ktoś od razu pobiegł w stronę schodów.

— Na razie nie wolno schodzić — powiedział Szubin. — Na dole jest gaz. Jeśli ktoś chce zginąć, niech próbuje.

Człowiek, który pobiegł w stronę schodów, zatrzymał się dwa kroki od nich.

— Trzeba jeszcze trochę poczekać — powiedział Szubin.

Podszedł do brzegu dachu i popatrzył w dół. Dotąd zawsze bał się wysokości, teraz strach minął, ale Jurij nawet tego nie zauważył.

Najpierw zobaczył nie schody, ale języki jasnych, palących się prawie bez dymu płomieni, wdzierające się przez znajdujące się obok schodów okna pierwszego piętra.

Między pierwszym i drugim piętrzem schody były zabite deskami. Zrobiono tak, aby złodzieje nie mogli dostać się do pokoiów.

— Tam są deski. Trzeba je oderwać — powiedział Szubin, rozumiejąc, że nie może się za długo wpatrywać w schody.

— Najpierw na dół zejdzie... Rusłan. Oderwie je. Dasz radę?

— A dlaczego miałbym nie dać? — powiedział Rusłan.

— A dlaczego nie ja? — nieoczekiwanie krzyknął Płotnikow. Uszy sterczały mu spod czapki pod kątem prostym.

— Bo tam jest pożar. Popatrz w dół — powiedział Szubin.

— Rusłanowi wierzę. On był przy pożarze, a wam nie ufam — co najwyżej zaprzepaścicie wszystko i sami zginiecie.

Groński podszedł do skraju dachu, ukucnął i wyjął coś z kieszeni. Ku zaskoczeniu Szubina była to latarka. Światło ześlizgnęło się w dół po stopniach schodów, sięgnęło desek.

— To prawda — powiedział. — Towarzysz Szubin ma racje.

Jeśli zrzuć go z dachu, każdy sąd mnie uniewinni. Przecież wcześniej tak potrzebowaliśmy latarki!... Z drugiej strony, co by to zmieniło? Niech sobie żyje...

Myśli biegły swoimi ścieżkami, więc nie przeszkodziły Jurijowi zapytać Eli:

— Gdzie zostawiłaś karafkę?

— Wzięłam ją ze sobą — powiedziała Ela. — Pomyślałam, że może będziesz chciał się napić.

— Daj szalik — powiedział Szubin. Nikt się nie poruszył.

I wtedy Szubin mściwie wybrał Grońskiego, podszedł do niego i zerwał szalik. Jego głowa szarpnęła się, ale zdążył złapać okulary.

— A to co? Co to takiego? — zawołał ze smutkiem.

— Elu, namocz szalik i daj Rusłanowi. Niech owinie twarz.

— Mnie się ogień nie ima — powiedział Gruzin.

— Tam może być gaz — powiedział Szubin.

Rusłan szybko zszedł do miejsca, w którym przybite były deski. Na sekundę zakrył go dym. Ela pociągnęła Jurija za rękę, żeby nie stał zbyt blisko brzegu.

— Ześlizgniesz się, jesteś zmęczony — powiedziała przepraszącym tonem. Rozumiała, że musi on patrzeć w dół, ale mimo wszystko bała się.

Szubin posłusznie skrył się za niewysokim parapetem.

Rusłan zaczął uderzać obcasem w końce desek przymocowanych pionowo do schodów. Musiał zejść jeszcze niżej, żeby uderzenia były silniejsze. Ogień wydostawał się przez okno na pierwszym piętrze, ale na razie do Gruzina sięgał tylko dym. Deski nie poddawały się.

— Silniej! — krzyknął z góry Groński. — Nie bój się!

Rusłan nie odpowiedział. Zszedł, aby rękami sprawdzać, jak mocno trzymają się deski. Potem, zwinnie przytrzymując się za poręcz tylko końcami butów, opuścił się w stronę desek tak, że głowę miał tuż nad ich końcami. Szubin domyślił się, o co chodzi: deski nie były przybite, przyczepiono je kawałkami drutu.

Szubinowi było zimno. Zimny wiatr przewiał go na wylot. Trzeba wytrzymać... Musiał stawić czoło gorszym wyzwaniom.

Trzymając się jedną ręką schodów, Rusłan drugą odplątywał zardzewiały drut. W tym czasie Groński zaczął chodzić po skraju dachu; widać było, że się niecierpliwi. Natomiast Szubin starał się zorientować, co się dzieje z żółtą mgłą. Wydawało mu się, że wiatr przegnał ją z tej strony budynku. Ale czy na długo?

— Pomogę mu — powiedział Płotnikow i wychylił się przez kraj, żeby też zejść na dół. Nie mógł doczekać się, kiedy w końcu stanie na ziemi. Groński zrozumiał to, chwycił go za rękę, ryknął, a obie damy stojące obok dyrektora zapiszczały. Przestraszony referent cofnął się.

Wtem z dołu rozległ się krzyk.

Szubin spojrział w tę stronę. Nie wierzył własnym oczom. W ciągu kilku sekund, gdy był zajęty czymś innym, ogień przedostał się do pokojów na drugim piętrze, języki płomieni jak stworzenia obdarzone rozumem wysunęły się przez okno i jakoś tak leniwie, z ciekawością, zbliżyły się do Rusłana. Gruzin nie zauważył ataku, oparzył się i machając rękami wszedł nieco wyżej.

— Nie bój się! — krzyknął Groński z uwagą obserwujący to, co się działo na dole. — Liczą na ciebie kobiety i dzieci.

— Och, ty... — rozłościł się Rusłan. — Sam tutaj chodź, cwaniaku!

Język płomieni liźnął deski, uczernił je i z powrotem schował się w domu, wpuszczając na swoje miejsce czarny, duszący kłęb dymu.

Rusłan ze złością uderzył w deskę. Drut był już osłabiony, górny koniec deski z trzaskiem oderwał się od schodów i teraz kołysała się, wisząc pod kątem prostym do budynku.

— Zuch! — krzyknął Groński. — Działaj!

Ktoś z gapiów zgromadzonych na skraju dachu zaklaskał.

Gruzin znowu zszedł niżej, ale natychmiast musiał zrejterować — schody zamieniły się w drózkę między językami płomieni, tak gorącymi, że nawet Szubin czuł żar. Co tu dopiero mówić o Rusłanie!

Ela nachyliła karafkę. Strumyk wody, świecąc, przeleciał koło Rusłana.

— No, to już zupełnie bez sensu! — zdenerwował się Groński.

Szubin nie zrozumiał, czy chodziło o nieprzemyślany postępek Eli, czy o zachowanie Gruzina.

Rusłan trzymał się resztkami sił, wyłącznie dzięki uporowi. Nie mógł wrócić z pustymi rękami, więc znowu zaczął walczyć z deskami. Oderwała się druga deska. Języczek ognia przebiegł po ramieniu Rusłana.

— Wracaj! — krzyknął Szubin. — Szybciej!

— Dlaczego? — zapytała Wiera. — Tylko mu przeszkadzacie! Przecież już niedużo zostało.

Nie rozumiała, jak trudno jest Rusłanowi.

— Na górę! — krzyknął Szubin. — Rozkazuję ci.

— Szkoda — machnął ręką Groński, nie podejmując jednak dyskusji z Szubinem. — Zostało już całkiem niewiele.

Jedna z oderwanych desek, która kołysała się koło okna, zajęła się ogniem.

Na trzecim piętrze z hukiem wyleciała szyba, sypnął snop iskier.

Rusłan wszedł na dach. Był ledwie żywy. Od razu wyciągnęło się w jego stronę kilka rąk, wciągając go na dach. Gruzin był bardzo poparzony, ale jeszcze nie zdążył tego poczuć.

— Można zejść na dół — powiedział. — Daję słowo. Gazu nie ma. Patrzyłem.

— Po kolei! — Groński wziął na siebie dowodzenie ewakuacją.

Szubinowi było wszystko jedno. Ludzie cisnęli się jak najbliżej schodów. Niektórzy cały czas nie wypuszczali z rąk walizek.

— Najpierw kobiety — powiedział Groński. — I dzieci.

Dzieci, na szczęście, nie było. Kobiety zaczęły się przepychać.

— Pójdę pierwszy — powiedział Szubin. — Trzeba oderwać resztę desek.

— Weź się w garść — powiedział Groński. — Nie odpychaj słabszych od szalupy.

— Idioto, nie widzisz, że deski się palą! Jak przejdą te twoje kobiety?

— Nie kłóć się, Jura — powiedział milicjant. — To mój zawód. Ja pójdę. Zejdę na dół i będę pomagał ludziom w przechodzeniu.

— Dobrze — powiedział Szubin. — Dziękuję ci za wszystko... Uważaj na gaz.

— Zobaczmy — powiedział Kola. — Nie bój się. Zapiął płaszcz, podciągnął pas, brudną furażerkę naciągnął na same uszy.

Groński umilkł, przestał się wtrącać.

Milicjant schodził szybko. Wszystko szło mu dobrze. Widocznie drut się przepalił, bo od razu udało mu się oderwać pozostałe deski. Przez kilka sekund skrył się w kłębach dymu, potem pojawił się na dole.

Kola stał na ostatnim schodku, znajdującym się jakieś półtora metra nad ziemią, i uważnie patrzył w dół. Widać było, że się boi.

— Skacz! — krzyknął Groński. — Nie pękaj! Podporządkowując się głosowi, Kola odbił się od schodów i upadł na śnieg. Od razu wstał. Podniósł głowę.

— Wszystko w porządku! — krzyknął.

Krzyk było słychać słabo, bo ogień zawył z nową siłą.

— A teraz kobiety — powiedział Groński. — Wieroczka, chodź tutaj.

Dopiero w tym momencie Szubin zgadł, że matrona w futrze z norek to żona dyrektora.

— Nie! — krzyknęła nieoczekiwanie jego małżonka. — Za nic! Wolę umrzeć!

Groński ciągnął ją ku brzegowi dachu, przeklinał, a ona wrywała się.

— Pójdiesz? — zapytał Szubin Elę.

— Potem — powiedziała. — Niech idą.

Przez drzwi, którymi weszli na dach, zaczął wydobywać się dym.

Szubin nie miał ochoty podchodzić do Grońskich, ale wiedział, że nie da się tego uniknąć. Czas płynął. W tej samej chwili jakaś niewysoka kobieta w sztucznym futrze rzuciła się w stronę schodów i zaczęła schodzić w dół.

Szubin bał się o nią. Takie futro może zapalić się jak zapałka. Krzyknął do niej:

— Zdejmijcie to palto! Słyszycie, rzućcie je na dół! Kobieta nie usłyszała ostrzeżenia albo nie chciała go usłyszeć. Wiele osób

domyśliło się, o co chodzi, też zaczęli wołać:

— Rzuć palto!

Podniósłszy głowę do góry krzyczał milicjant:

— Rzuć palto!

— Szlag by ją! — krzyknął Ruslan, który siedział obok Szubina i cicho jęczał, gdyż bolały go poparzone ręce. Mimo to przeskoczył przez balustradę otaczającą dach i zaczął schodzić w dół, żeby dogonić kobietę, zanim zdąży dopaść ją płomień.

Też krzyczał. Wszyscy krzyczeli. Tylko kobieta ich nie słyszała. Być może cenila futro i bała się z nim rozstać, a może myślała, że właśnie ono ją ochroni. Szczęśliwie minęła drugie piętro, ale języki płomieni dogoniły ją, gdy dochodziła do pierwszego piętra. Zamiast szybciej iść na dół, kobieta nagle zatrzymała się i, trzymając się tylko jedną ręką, drugą zaczęła strząsać z siebie płomień, który otoczył ją jak lekka, iskrząca się kula.

Ruslan, który już prawie ją dogonił, podjął dramatyczną decyzję. Skoczył w dół i w trakcie skoku złapał kobietę, odrywając ją od schodów. Kola nadstawił ręce, żeby ich przytrzymać, ale upadli obok niego.

Kobieta zaczęła krzyżeć przeciągle i przenikliwie. Ruslan podniósł się z trudem i natychmiast upadł — nogę miał podwiniętą. Najwidoczniej była złamana. Kola najpierw odwrócił się w stronę krzyczącej kobiety, a potem pomógł odczołgać się Ruslanowi.

Ludzie stali koło schodów, czekali na coś. Groński cały czas namawiał żonę:

— Będę cię przytrzymywać. Nie puszcze cię.

— Nie! — krzyczała. — Przecież powiedziałeś, że nas uratują. Będziemy żyć, że nas uratują...

I w tym momencie, jakby modlitwy Wieroczki sięgnęły niebios, pojawił się nad nimi helikopter.

Nie słyszeli go przez szum pożaru i krzyki — dopiero kiedy światło reflektorów padło na dach, wszyscy zrozumieli, że z nieba nadszedł ratunek.

Był to duży, wojskowy helikopter. Zawisł nad samym dachem, wydawał się wielki jak sterowiec.

Na brzuchu helikoptera pojawił się kwadrat światła. Wszyscy znajdujący się na dachu pociągnęli w stronę światła podnosząc ręce... Zapanowała cisza.

Wtedy dał się słyszeć klekot silnika helikoptera.

Po sznurkowej drabince, która miękko upadła na dach, zgrabnie zszedł oficer w kombinezonie.

— Proszę o spokój — powiedział, zeskakując na dach. — Bez paniki, towarzysze.

— Jestem Groński, dyrektor fabryki chemicznej — nie wiadomo dlaczego właśnie on jako pierwszy znalazł się obok oficera.

— Słucham — oficer popatrzył na nacierający w jego stronę tłum. Wyglądał na zmęczonego i Szubin zrozumiał, że nie jest to jego pierwsza taka misja ratunkowa.

— Muszę dostać się do sztabu — powiedział Groński. — Został już zorganizowany?

— Tak — powiedział oficer. — Najpierw weźmiemy kobiety.

— Oczywiście — powiedział Groński. — Wieroczka, szybciej, czekają na ciebie.

Jego żona znowu zaczęła krzyżeć, że spadnie. Przez jej krzyk przebił się zdecydowany głos Grońskiego:

— Towarzyszu kapitanie, czy nie można by podlecieć niżej? Widzicie, w jakim stanie są kobiety.

Ludzie cisnęli się koło drabinki, niektórzy trzymali się jej rękami jakby w obawie, że helikopter odleci.

— Proszę się nie pchać! — krzyknął oficer. — Im spokojniej będziecie się zachowywać, tym szybciej weźmiemy wszystkich na pokład.

Groński już wchodził po drabince, dosłownie wlokąc za sobą kołnierz futra żony. Oficer podtrzymywał drabinkę u dołu, Wieroczka krzyczała, z łuku wyrzwał żołnierz, żeby odebrać pierwszych uchodźców.

— Sześćdziesiąt osiem osób — powiedział Jurij.

— Policzyłeś wszystkich? — zdziwiła się Ela.

— Byłem dobry z matmy. Przebijesz się tam? Nie weźmie wszystkich za jednym zamachem.

— Nie, zostanę z tobą.

— W takim razie mam propozycję — powiedział i wskazał głową ziemię.

— Chodźmy szybciej — powiedziała Ela — póki jeszcze można zejść na dół.

Jurij opuścił kaptur puchowej kurtki i zasunął zamek, żeby schować włosy Eli. Stuknął ją w czubek nosa, a ona uśmiechnęła się.

On szedł pierwszy, a ona za nim. Jurij myślał, że ją ubezpiecza, a Ela schodziła tak, żeby zdążyć wyciągnąć rękę, gdyby on zaczął spadać.

Płomień atakował schody. Było bardzo gorąco.

— Wytrzymaj! — krzyknął, ale Ela nie usłyszała. Szubinowi wydawało się, że wszedł do piekarnika.

Zapaliły się włosy i poczuł ból. Przez chwilę zrobiło się tak gorąco, że z trudem oddychał, a w dodatku na chwilę stracił Elę z oczu.

Nie wiadomo, czy udałoby się im przejść, gdyby nie poryw wiatru tak silny, że aż oderwał płomień od schodów... Potem był ostatni schodek, upadł, ale był tam już Kola, który ciągle stał przy schodach. Złapał Jurija, potem Elę.

— Masz opaloną głowę — zauważyła, gdy stali na ziemi.

— Włosy będą lepiej rosły — powiedział Kola. — Jak w lesie.

Szubin przeciągnęła ręką po głowie. Po dotyku poznał, że włosy były krótkie, nierówne jak u języka. W uszach mu strasznie szumiało...

— Boli — powiedział.

— To przejdzie — powiedziała Ela. — Mama ma maść od oparzeń. Ziołową.

Mówiąc „mama” Ela w myślach przeniosła się do domu. Szubin jakby zblakł w jej oczach — zaczęła się śpieszyć...

— Muszę iść — powiedziała. — Muszę, Jura. Nie złość się. Do widzenia.

— Poczekaj — powiedział Kola — teraz niebezpiecznie jest chodzić po mieście. Kto wie, gdzie jeszcze gnieździ się gaz.

— Kola ma rację — powiedział Szubin. — Poczekaj, złap oddech, pójdziemy razem.

Ela ucichła. Jurij nie zapytał, czy się nie poparzyła. Rękaw kurtki stopił się — wystawała z niego nadpalona podszewka. Rusłan leżał na śniegu i jęczał, zaciskając zęby.

— Wytrzymaj — powiedział Szubin — wezwiemy pogotowie.

— Akurat znajdziesz tu pogotowie — ze złością powiedział Rusłan. — Mam złamaną nogę, rozumiesz?

— Idźcie — powiedział Kola. — Wiem, że Ela ma dziecko w domu. Ja zostanę, znajdę pomoc.

— Jeszcze się spotkamy — powiedział Szubin, ściskając rękę Koli.

— Na pewno się spotkamy — powiedział Kola i uśmiechnął się szeroko, jakby wszystko, co złe w życiu, już się skończyło

— Oczywiście, jeśli mnie rozpoznacie.

Szubin popatrzył do góry. Helikopter ciągle jeszcze wisiał nad dachem, a na tej części drabinki, którą było widać z dołu, wisieli ludzie. Bardzo wolno wspinali się na górę. Porywy wiatru rozhuśtały drabinkę, sprawiając, że ludzie nieruchomieli, wczepiwszy się w linki.

Nagle helikopter zawył głośniejsze, zagłuszając huk pożaru i szybko podniósł się ku górze.

— Patrz co robi, bydlę! — krzyknął Rusłan, który też patrzył w górę.

Dopiero po chwili Szubin zrozumiał, co się stało.

W miejscu, gdzie sekundę wcześniej znajdował się helikopter, pojawił się kłęb dymu i płomieni. Rozległ się złowieszczy, groźny huk, zagłuszający wszystkie inne dźwięki. Dach zapadł się. Helikopter uciekał w bok, szybko opuszczał się w dół, a ludzie wiszący na drabinie wyglądali jak mszyce. Szubin zrozumiał, że pilot chce jak najszybciej wylądować na placu przed dworcem, żeby uratować ludzi.

I wtedy zobaczył, jak jeden z nich oderwał się od trapu i rozłożywszy ręce, jak czarny kleks, poleciał w dół... Co było dalej, Szubin nie widział. Helikopter zniknął z oczu.

Rusłan ze złością krzyknął coś po gruzińsku.

Szubin nie wiedział, czy Ela to widziała. Zastanowiło go, że podeszła do niego i powiedziała:

— Mądrze zrobiłeś, że przyprowadziłeś mnie tutaj. Inaczej na pewno byśmy zginęli. Wchodzilibyśmy do helikoptera na końcu, prawda?

Zrobiło się gorąco, więc zanieśli Rusłana i kobietę dalej od budynku. Wydawało się, że hotel jest jasno oświetlony od wewnątrz — w oknach paliło się czerwone i pomarańczowe światło.

Było wpół do piątej, do wschodu słońca było jeszcze daleko i teraz dopiero Szubin poczuł okropne zimno. Ela powiedziała:

— To niedaleko stąd, jeśli pójdziesz ze mną.

— Oczywiście, że pójde — powiedział Jurij, rozumiejąc, jak bardzo ona boi się sama wracać do domu.

— Nie damy rady dojść — powiedziała. — Zamarzniesz po drodze.

— Pobiegniemy — odpowiedział.

Wyszli na ulicę. Sypał śnieg. Przy wyjściu z podwórka leżał zgięty, jakby starał się rozgrzać, człowiek, którego śnieg zdążył już przysypać. Futrzana czapka potoczyła się na bok i leżała jak puste ptasie gniazdo.

Ela schyliła się, podniosła czapkę i otrząsnęła ze śniegu, uderzając nią o biodro.

— Weź — powiedziała. — Jemu nie jest już potrzebna.

— Nie trzeba — powiedział Szubin.

— Nie wygłupiaj się — Ela wspięła się na palce i obiema rękami wsadziła czapkę na podrapaną, poparzoną głowę Szubina.

— Uważaj — powiedział Szubin. — Boli.

Poprawił czapkę, była za mała.

— W zasadzie to jest szabrownictwo — powiedział.

— Twoją też ktoś nosi — powiedziała Ela.

Wyjrzała na ulicę, popatrzyła w prawo, w lewo. Było ciemno. Pożary oświetlały chmury zakrywające niebo, a na nie osłoniętych miejscach, na śniegu pojawiały się pomarańczowe błyski.

Szli w stronę przystanku autobusowego. Tu ludzie leżeli zwaleni na stertę, jeden na drugim, jakby chcieli się ogrzać. Autobus z otwartymi drzwiami wjechał przednim kołem na chodnik i zatrzymał się na ślupie.

Ela powiedziała:

— Pewnie nie będziesz chciał, ale moglibyśmy zdjąć komuś palto.

— Przestań — powiedział. — Gdzie mamy iść?

Czapka grzała głowę, pewnie, że grzała, ale była cudza i miała nieprzyjemny zapach. Takie były jego myśli, gdy stracił przytomność.

Po chwili Szubin ocknął się...

Leżał na jezdni. Ela klęczała obok, podtrzymując mu głowę i przyciskając usta do jego policzka.

— Najdroższy — mówiła — najdroższy, nie trzeba, nie wolno, co ty robisz?

Głowa bolała tak, że nie mógł zrobić najmniejszego ruchu, ale Ela zauważyła, jak próbuje ją poruszyć i nieoczekiwanie zaczęła na

niego krzyczeć.

— A ty co — mówiła ze złością. — Dlaczego udajesz. Poślizgnąłeś się, czy co, ja już nie mogę... tak nie można. Wstawaj, przyjdziemy do domu, zrobię ci herbaty.

Szubin wstał przy pomocy Eli, mdlilo go.

— Przepraszam — powiedział. — Odwróć się.

Stanął na czworakach i zwymiotował. Męczyło go to, bo przewracało wnętrzności dopóki w żołądku było jeszcze cokolwiek. Ela chciała coś zrobić, ale Szubin znajdował w sobie tylko tyle siły, żeby się od niej oganiać, odpychać ją.

W przerwie między wymiotami chciał odejść nieco na czworakach, żeby nie narzucała się, z bezsensowną, jego zdaniem, pomocą. Wtedy jego ręka napotkała chłodną przeszkodę — była to śliczna dziewczyna, która leżała na boku, a jej oczy wpatrywały się w Szubina.

Jurij cofnął się i w tej samej chwili znowu chwycił go atak wymiotów.

Kątem oka zauważył, że Ela nabrała w dłoń śniegu, zbierając go ze słupków przystanku, gdzie nie był zdeptany. Uderzył ją lekko w rękę i śnieg rozsypał się.

— Co ty? Jest jak woda, ochłodzi — powiedziała Ela bez obrazy, jak do chorego dziecka.

— Głupia — powiedział Szubin, starając się wstać. — Nie rozumiesz? Tam został gaz.

— Tak — powiedziała Ela, nie rozumiejąc. Podniosła z asfaltu czapkę i wyciągnęła ją w stronę Szubina.

— Elu — powiedział, starając się mówić wyraźnie i przekonująco — wyrzuć ją i nie dotykaj niczego, co leżało na ziemi. Niczego. Ja też nie od razu się domyśliłem. Nawet gdy zorientowałem się, że czapka śmierdzi... widocznie nagrzała się na mnie... dobrze chociaż, że doza była niewielka. Rozumiesz?

— Oj! — Ela odrzuciła czapkę na jezdnię, czapka uderzyła o podwozie leżącego na boku samochodu. Za nim stał wbity całym zderzakiem drugi samochód, jego drzwi były otwarte, a człowiek leżący na przednim siedzeniu cały czas trzymał ręce zaciśnięte na klamce.

— Wytrzymaj ręce w kurtkę — powiedział Szubin. — Porządnie. Idziemy.

Cały czas mdlilo go jeszcze, w ustach czuł obrzydliwy smak, ale szedł dalej, omijając ciała, których tutaj leżało szczególnie dużo. Szubin w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego w tym miejscu zginęło tak wiele osób. A Ela, która się domyśliła, powiedziała:

— Tu jest kino „Kosmos”, rozumiesz? Wychodzili z ostatniego seansu.

— Biegnijmy — powiedział Szubin, czując, że za chwilę całkiem zamarznie.

Wydawało mu się, że biegnie, ale w rzeczywistości tylko nieco szybciej truchtał. Ela idąca szybko i energicznie cały czas nadążała za nim.

— Skręć tutaj — powiedziała. — Przejdziemy podwórkami.

Z prawej strony dopalał się dom, w którym mieszkała jej koleżanka, Wala... a może Larysa? A więc to już blisko... Między domami rosły topole, gołe, mokre, zasypane śniegiem ławki i huštawki były puste. Nie było martwych i wydawało się, że wszyscy spokojnie śpią w oczekiwaniu nadchodzącego ranka.

Minęli jeszcze jeden dom. Na uliczce ciągnącej się wzdłuż niego stały puste samochody. Na ławeczce, obok klombu, siedziała obejmująca się para.

Siedzieli tak cicho i spokojnie, że Szubin zrobił krok w tę stronę, jakby chciał ich zawołać.

Natychmiast zrozumiał, że się pomylił. I chłopak obejmujący ramię dziewczyny, i dziewczyna, która oparła głowę na jego piersi, byli martwi.

— Co z tobą? — zapytała Ela, która doszła już do rogu domu. Nie zauważyła ich.

Szubin pobiegł w ślad za nią.

Ela przystanąła koło rogu domu. Przed nimi zaczynała się mała uliczka, z drugiej strony stał jeszcze jeden dom.

— Tutaj mieszkam — wyszeptwała Ela.

Jurij myślał, że ona zaraz rzuci się, ile sił w nogach w stronę swojego domu, ale nagle opadła z sił i dosłownie zawisła na nim.

— Nie mogę — powiedziała.

Dom był ciemny, spał. W niektórych oknach były otwarte lufciki.

— Trzecie piętro? — zapytał.

— Tamte okna.

— Chodźmy.

Szubin wziął ją za rękę i dosłownie pociągnął przez jezdnię.

Lecz wtedy coś zmusiło go, żeby spojrzeć w prawo, tam, skąd nadleciał kolejny tuman śniegu.

To ich uratowało. Śnieżny wir był żółty.

Zmieszany ze śniegiem gaz, pochwycony przez wiatr gdzieś nad jeziorem lub w dolinie rzeki, utworzył gigantyczną kulę o średnicy kilku metrów i lekko, a nawet wesoło, błyskając w świetle pożarów, toczył się wzdłuż ulicy.

— Do tyłu — krzyknął Jurij i z rozpaczliwą siłą pociągnął Elę w stronę domu, od którego dopiero co się oddalili. Nie rozumiała, co się dzieje, chciała się wyrwać, ale Szubin opanowany przez strach miał w sobie tyle siły, że oderwał ją od ziemi i rzucił za róg domu, po czym padł na nią.

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie zdążył nic powiedzieć. Ale leżąc, odwrócił twarz od nadlatującej kuli i wyszeptał:

— Nie oddychaj.

Sam też postarał się wstrzymać oddech.

Minęła, być może, minuta...

Szubin podniósł głowę. Ulica była pusta. Wiatr ucichł. Wtedy wstał pierwszy, a potem pomógł Eli podnieść się. Trzymała się za otarty łokieć.

— Co ty? — zapytała. — Co to było?

— Gaz — odpowiedział Szubin.

— Skąd tutaj gaz?

— Wiatr niósł go wzdłuż ulicy.

Szybko przeszli przez ulicę, kręcąc głowami, jakby bali się, że gaz na nich czyha. Wreszcie skręcili w podwórze i weszli na klatkę schodową.

Szubin nie pozwolił Eli wejść pierwszej do domu. Otworzył drzwi na klatkę i policzył do dziesięciu.

— Boisz się gazu? — spytała Ela.

Z niecierpliwości przestępowała z nogi na nogę. Starła się odepchnąć Szubina. Rozumiała, że ma rację, ale jej cierpliwość wyczerpała się.

Wyrwała się i wbiegła w ciemną otchłań klatki schodowej. Na schodach zastukały podeszwy jej butów.

Szubin poszedł za nią. Bał się dogonić Elę, bał się tego, co będzie potem. Z trudem wchodził po schodach. Znowu go mdliło, oddech urywał się — nie wiadomo dlaczego brakowało powietrza. Wyczuwał zapach żółtego gazu na klatce, szczególnie na dwóch pierwszych kondygnacjach, ale nie przyspieszył kroku — całkiem opadł z sił.

Dogonił Elę przy drzwiach do jej mieszkania. Były to zwyczajne drzwi, bez wizjera, pomalowane na brązowo, z numerem 15.

Usłyszawszy kroki, Ela odwróciła się i powiedziała:

— Nie mam kluczy... Klucze były w torebce... albo w palcie. Nie wiem.

— To zadzwoń.

Ela nacisnęła dzwonek, ale nadal panowała martwa cisza.

— Głupota — powiedział Szubin, opierając się ręką o framugę, żeby nie upaść. — Nie ma prądu. Zapukaj.

Ela zapukała. Cisza.

— Przecież śpią — powiedział Szubin. — Stukaj głośniej. Zastukała mocniej.

— Nie śpią — wyszeptała.

Nie mogła nic więcej powiedzieć. Twarz jej znieruchomiała, po brudnych policzkach płynęły łzy.

Szubin uderzył w drzwi pięścią. I jeszcze raz, walił tylko po to, żeby zagłuszyć żałosne dźwięki wydostające się z ust Eli.

Walił tak, że nie usłyszał, gdy zza drzwi dobiegł kobiecy głos:

— Kto tam?

— Przestań! — Ela zawisa na jego ręce. — To ja, mam, to ja! Gdzie jest Mitka? To ja, mam!

— Poczekaj, nie hałasuj — odpowiedział głos, zgrzytnął zamek, drzwi otwarły się i matka Eli wypowiedziała zdanie, które przygotowała zanim jeszcze otwarła drzwi, a które teraz brzmiało jak z innego świata: — A ty co, znowu zapomniałaś klucza?

I wtedy właśnie zobaczyła strasznego — jak bardzo strasznego, Szubin przekonał się dopiero potem, gdy przejrzał się w lustrze — mężczyznę.

— Boże miłosierny! — powiedziała.

Zza sąsiednich drzwi dobiegł niezadowolony męski głos:

— Czego hałasujecie, nie wiecie która godzina?

— Już, już — Szubin odpowiedział głosowi. — Przepraszamy, już wszystko w porządku.

Ela osunęła się, zawisa na matce i zaczęła śmiać się nerwowo. Szubin wepchnął ją przez drzwi i szybko zatrasnął. Zapanował półmrok, w którym slychać było tylko histeryczny śmiech Eli przerywany okrzykami matki: „Ty co, ty co, co z tobą?” i kolejnymi próbami zadania pytania przez Elę: „A Mitka, gdzie Mitka?”

I znowu śmiech.

— Proszę ją gdzieś położyć — powiedział Szubin. — Musi poleżeć.

Ale Ela wyrwała się — pobięła w stronę pokoju, otworzyła drzwi na oścież. W świetle gasnącego pożaru widać było łóżko. Spał na nim chłopczyk. Ela schwyciła go, chłopczyk zaczął się budzić, a Szubin odciągał Elę i krzyczał na nią:

— Nie waż się go dotykać! Nie waż się! Na tobie może być gaz.

Ela położyła chłopca na łóżku, a sama spokojnie i cicho położyła się na dywaniku obok łóżeczka jakby zasnęła. W rzeczywistości było to głębokie omdlenie.

Szubin podniósł Elę i zapytał się jej matki, której biała nocna koszula świeciła się w ciemnościach jak szata przywidzenia:

— Gdzie mam ją położyć?

— Oj, a co z nią?

Matka niczego nie rozumiała, bo niby jak miała rozumieć?

— Gdzie jest kanapa?

— Obok was, tam ją połóżcie.

Była zła, bo utwierdziła się w przekonaniu, że jej niepokorna córka gdzieś się upiła, wpadła w kłopoty, a teraz rozrabia. Szubin nie wiedział, czy takie rzeczy zdarzały się wcześniej Eli — nic nie wiedział o swojej przyszłej żonie.

— Macie coś na uspokojenie?

— A właściwie, to kim jesteście? — zapytała matka Eli, w której narastała niechęć do włóczęgi, którego jej córka przyprowadziła do domu.

— Proszę przynieść walerianę. Albo walidol. Nic złego się nie dzieje. Jest tylko bardzo zmęczona. I skrajnie zdenerwowana.

W głosie Szubina dźwięczał taki upór, że matka, mruczając pod nosem, poszła do drugiego pokoju i zaczęła pstrykać kontaktem.

— Nie ma światła — powiedział Szubin. Przykucnął obok kanapy i położył dłoń na ciepłym policzku Eli, a ona, mimo że nie odzyskała jeszcze w pełni świadomości, podniosła rękę i dotknęła słabymi palcami jego przegubu.

— Dlaczego nie ma światła? — zapytała z drugiego pokoju matka.

— Wody też nie ma — powiedział Szubin. — A nawet jeśli jest, to i tak lepiej jej nie pić. Zostało coś w czajniku? Proszę nalać z czajnika.

Mitka poruszył się na łóżku i wymamrotał coś przez sen.

— Powieście mi w końcu jak człowiekowi, co się stało? — zapytała matka z drugiego pokoju. Najwyraźniej grzebała w lekarstwach, szukając waleriany.

— Katastrofa — powiedział Szubin. — Katastrofa. Nie wolno wychodzić z domu. Proszę zamknąć lufcik.

Matka zaszurała kapciami po kuchni, zabrzczała czajnikiem.

Szubin przysłuchiwał się oddechowi Eli. Zorientował się, że zasnęła.

— Nie trzeba — powiedział. — Zasnęła...

Matka wróciła już z drugiego pokoju. Szubin nie zauważył, co się stało — jego wspomnienia pełne były luk. Włożyła mu do ręki szklaneczkę z walerianą.

— Gdzie katastrofa? Poważna, prawda? W zakładzie chemicznym?

— Poważna — powiedział Szubin. I zasnął, siedząc na dywaniku koło kanapy, położywszy głowę na rękach, którymi dotykał dłoni Eli.

Była piąta rano. Mieszkańcy miasta, którzy przeżyli, spali jeszcze.

Szubin obudził się i wydawało mu się, że w ogóle nie spał, a tylko zamknął na chwilę oczy, żeby tak nie szczypały — Od razu przypomniał sobie, gdzie jest, a pierwsza myśl była optymistyczna: jakoś się udało.

Leżał na tej samej kanapie, obok której zapadł w sen, leżąc na podłodze. W pokoju panował poranny półmrok — niebo za oknem było chłodne, błękitne. Odwróciwszy głowę, Jurij zobaczył łóżko i śpiącego na nim Mitkę, któremu do tej pory nie zdążył się dokładnie przyjrzeć.

Za ścianą toczyła się cicha rozmowa.

Szubin przypomniał sobie, że poparzył się, schodząc z dachu; przeciągnął ręką po kłującej głowie. W pokoju było zimno.

Przysunął zegarek do oczu, ale w pokoju było za mało światła. Wstał i zachwiał się tak, że nieomal usiadł z powrotem. W głowie mu szumiało.

Ela usłyszała odgłosy i weszła do pokoju.

— Dlaczego wstałeś? — wyszeptwała.

— Ty też nie śpisz — zauważył.

Poszedł do kuchni, gdzie na taborecie siedziała matka Eli, zwyczajna, pulchna kobieta, z takimi samymi jak u córki wystającymi kośćmi policzkowymi i czarnymi włosami. Tylko wargi, w przeciwieństwie do Eli, miała wyschnięte i pomarszczone. Oczy miała zapłakane.

Na kuchennym stole paliły się dwie świece. Zdążyły już nakapać na spodeczek.

— Dzień dobry — powiedział do niej. — Przepraszam, że tak wyszło.

— Nie, to ja wam dziękuję, Juriju Siergiejewiczu — odpowiedziała matka Eli. Chlipnęła. — Córka wszystko mi opowiedziała, a teraz siedzimy i boimy się.

— Lepiej nie wychodzić — powiedział Szubin.

— A wody nie ma — powiedziała matka. — Ani gazu. Jak myślicie, kiedy znowu włączą?

— Do tego jest strasznie zimno — powiedziała Ela. — Wiesz, na dworze ochłodziło się.

Przez niebieskie okno Szubin widział, że na zewnątrz pada śnieg.

Na górze ktoś chodził, zabrzczały naczynia — dom zbudowano z wielkiej płyty, wszystko było idealnie słychać.

— Która godzina? — zapytał.

Ela popatrzyła na zegar wiszący nad stołem. Szubin sam zobaczył — wpół do ósmej.

— O tej porze już jeżdżą samochody — poinformowała go. — Ludzie idą do pracy. A mama nie chce mi uwierzyć.

— A co tu jest do uwierzenia — odpowiedziała matka.

— Ludzie mówili, że ten zakład doprowadzi nas do zguby. Wywozili dzieci. Słyszeliście o tym?

— Tak, nawet widziałem.

— Ale po nich spływało to jak woda po kacze. A Ela mówi, że zginęło dużo ludzi.

— Tak — powiedział Szubin. — Wiele osób zginęło.

Popatrzył na Elę. Odpowiedziała mu czujnym spojrzeniem, jakby chciała się ukryć.

Był już inny dzień, inne życie, w którym czuł się jak gość. No i co można powiedzieć przy matce?

Szubin podszedł bliżej do okna. Ulica, na którą wychodziło, była pusta. O tam, za rogiem domu stojącego po drugiej stronie, starali

się przejść przez ulicę, a potem chowali się przed żółtą kulą. A nieco dalej, za domem jest ławeczka, na której siedzą zakochani.

— Pójdę — powiedział Szubin.

— Co? — nie rozumiała Ela.

— Pójdę. Sama rozumiesz, że nie można tak siedzieć i czekać.

— Ja was, Juriju Siergiejewiczu, nigdzie nie puszcze — powiedziała Ela, znowu przechodząc na „wy”. — Przejrzyjcie się w lustrze.

Ciągniecie już resztkami sił.

— Wyspałem się — oznajmił. — Spałem ponad dwie godziny.

— Pójdę z wami.

— Nawet o tym nie myśl — powiedziała matka.

A Szubin powtórzył jak echo:

— Nawet o tym nie myśl.

— Jak to? — pokornie zapytała Ela.

— Bardzo was proszę — powiedział Jurij — nie wychodźcie nigdzie z domu. Mieszkacie na trzecim piętrze. To ratunek. Nie

wiemy, czy wszystko się skończyło, czy może będą jakieś dalsze skutki.

— Zimno — powiedziała matka. — Kiedy zaczną grzać?

— Dowiem się wszystkiego i wrócę — powiedział Szubin.

— Słusznie — powiedziała matka — idźcie, rozejrzyjcie się i wracajcie.

Wziął świecę i poczłapał na bosaka do łazienki. Nie było wody i być nie mogło. Podniósł głowę, popatrzył w lustro i po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru zobaczył swoje odbicie. Nie od razu się rozpoznał, bo przez trzydzieści dziewięć lat życia przyzwyczał się do innego człowieka.

Patrzyło na niego brudne, zarośnięte szczecina stworzenie. Włosy i rzęsy były spalone, na głowie zostały tylko jakieś nędzne kłaczki. Na skroni i policzku zaschnięta krew. I, jak na złość, nie było wody.

— Juriju Siergiejewiczu — powiedziała zza drzwi Ela. — W garnku została woda. Przyda się wam.

Szubin chciał z wdzięcznością zgodzić się na propozycję, ale odpowiedział:

— Odlej mi trochę do szklanki. Nie wiadomo, kiedy włączą wodę. Trzeba oszczędzać. Może trzeba będzie wytrzymać cały dzień... albo dłużej. Sama rozumiesz, że wodociąg może być zatruty.

— Rozumiem — powiedziała Ela. — Weźcie zieloną szczoteczkę. To moja.

Otworzył drzwi. Wyciągnęła w jego stronę pełną szklankę.

Usłyszał dobiegający z kuchni głos matki.

— W czajniku jeszcze trochę zostało. Uważaj, nie rozlej.

Szubin czuł się niezręcznie, nie mogąc spuścić po sobie Wody. Przykrył sedes pokrywą, potem umył zęby, namoczył brzeg ręcznika i z grubsza przetarł nim twarz. Na ręczniku zostały plamy z sadzy i krwi.

Gdy Szubin zakładał buty, Ela wyczyściła marynarkę i starała się namówić go, aby zjadł kawałek zimnego mięsa. Nie miał jednak apetytu. Chętnie napiłby się jeszcze wody, ale nie miał odwagi poprosić.

Ela stała zakłopotana obok wieszaka, bo Szubinowi przydałoby się przebrać, a w domu nie było męskich rzeczy. Namówiła go, aby pod podartą kurtkę włożył jej gruby sweter. Potem wyciągnęła skądś białą, zrobioną na drutach czapkę i powiedziała:

— Nie szkodzi, że damska. U nas chłopcy takie noszą. Na czapce widoczne były koła olimpijskie.

— Do widzenia — powiedział Szubin do stojącej w drzwiach kuchni matki.

— Proszę wrócić — powiedziała bez emocji. Ela wyszła odprowadzić Szubina do schodów. Naciągnął mocniej na oczy narciarską czapkę.

— Pamiętasz adres? — zapytała nagle. — Ulica Budowlana, dwanaście, klatka druga, mieszkanie piętnaście. Zapisać ci?

— Nie, zapamiętam — powiedział Szubin. — Tylko nie wychodź. Nie trzeba. I matki nie wypuszczaj. Nie wychodź, dopóki nie wrócę, obiecujesz?

— Obiecuję — uśmiechnęła się Ela. Po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru zobaczył jej uśmiech. Błysnęła złota koronka.

Zapomniał już, że ją ma.

Drzwi naprzeciwko uchyliły się, wyrzał zza nich zwalisty mężczyzna w pizamie.

— Witam — powiedział. — Odprowadzasz gościa?

W głoście dźwięczała kiepsko skrywana pogarda dla sąsiadki.

— Dzień dobry, Wasiliju Karpowiczu — odpowiedziała Ela, nie wypuszczając ręki Jurija.

To był człowiek z innego, zwyczajnego, sennego i wczorajszego świata.

— Dlaczego nie ma światła? — zapytał. — Nie wiesz?

— Proszę sprawdzić — powiedział Szubin — nie ma wody, nie ma gazu, nie działają telefony.

— Co to? — człowiek od razu sprawdził i przestraszył się.

— Coś się stało, prawda?

— Elu — powiedział Szubin, puszczając jej rękę. — Bardzo cię proszę. Przejdź się po mieszkaniach, a jeszcze lepiej, weź któregoś z mężczyzn, na którym można polegać. Teraz ludzie będą wstawać, nic nie wiedzą. Może wybuchnąć panika, ktoś może być w szoku...

Zresztą nie muszę cię uczyć.

— Dobrze, Juriju Siergiejewiczu — powiedziała Ela. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Wasilij Karpowicz z sąsiedniego mieszkania nie pozwolił jej.

— Przecież pytam, co się stało! — niemalże krzyczał.

— Możesz po ludzku wyjaśnić?

Szubin zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie. Trzasnęły szare drzwi klatki schodowej.

W twarz uderzył go powiew zimnego wiatru, który niósł ze sobą kłujące śnieżynki. Szubin naciągnął kaptur.

Na dworze świtało. Przeszedł przez ulicę i obejrzał się za siebie. Ela stała przy oknie. Tuż obok pojawiła się twarz Wasilija Karpowicza — a więc zdążył już dostać się do ich mieszkania.

Szubin skręcił za sąsiedni dom. Zatrzymał się na rogu, nie odwracając się więcej. Wiedział, że tylko kilka kroków dzieli go od tego powszedniego świata, w którym jeszcze nic się nie zdarzyło, który dopiero teraz zaczyna odkrywać, a i to nie w pełni, skalę katastrofy — jakby hotel, w którym spędzili noc, oddzielało od tych domów wiele kilometrów i echa tragedii nie zdołały jeszcze ich przebyć.

Szubin mógł, oczywiście, zostać u Eli i przespać się jeszcze kilka godzin. Nie, już by nie zasnął. Wiedział, że życie tego i wszystkich sąsiednich domów, to tylko pozór, a rzeczywistość, do której on należy zaczyna się za rogiem.

I nagle przez głowę przemknęła mu nieoczekiwana myśl.

Popatrzył na dom Eli. Nie, nie na trzecie piętro, a na parter. W trzech, nie, w czterech oknach na parterze były otwarte lufciki. A to znaczy, że prawie na pewno leżeli tam martwi ludzie. Leżą spokojnie jakby spali, ale niedługo ktoś wyłamie drzwi. Gdzie jest granica? Dwie kondygnacje — mogiły, trzy górne — normalne mieszkania, w których ludzie budzą się i dziwią, dlaczego nie ma wody i światła. Granicą jest pierwsze piętro...

Nie mógł dłużej stać — musiał iść tam, gdzie jest dużo ludzi, gdzie coś się dzieje, gdzie może się przydać.

Szubin wszedł na sąsiednie podwórko. Na spotkanie niósł mu się krzyk. Obok ławeczki, na której siedziała obejmująca się para zakochanych, stała, podniósłszy ręce, kobieta, krzycząc coś niezrozumiale. Można było zrozumieć tylko: moja dziewczynka, ... dziewczynka... Lidzia...

Trzasnęły drzwi, z domu wybiegł drugi człowiek, podbiegł do ławeczki. Jurij szybko odszedł na bok, w stronę głównej ulicy, ku dworcowi.

Przez podwórka doszedł do głównej ulicy prowadzącej do dworca, wyszedł przez tę samą bramę, przez którą uciekał przed milicją.

Padał śnieg, nierówno, falami, ze złością. Koło kawiarni, w której siedział ze społecznikami, leżały ciała. Obok nich, nie wiadomo po co, stało dwóch ludzi — po prostu przyglądali się.

Po ulicy, wzdłuż domów szedł chłopak, mniej więcej piętnastoletni, w ręce trzymał pełną po brzegi reklamówkę. Gdy poczuł na sobie wzrok Szubina, zaczął biec, jedna rączka torby urwała się i wysypały się z niej futrzane czapki. Chłopak zatrzymał się, zaczął je zbierać, nie spuszczając oczu z Szubina.

— Źle robisz — powiedział Szubin. — Są zatrute.

Przyciskając reklamówkę do brzucha, chłopak skrył się w bramie.

W tej samej chwili Szubin zobaczył swoją czapkę. Leżała na brzegu chodnika całkiem zasypana śniegiem. Czekala na niego.

Szubin podszedł do niej, podniósł, śnieg zamarzl — czapka była twarda i obca. Szubin pochwycił wzrok kobiety owiniętej szarą chustą. W jej wzroku widoczny był wyrok.

— Ludzie cierpieli, a ty to wykorzystujesz — powiedziała nagle kobieta.

— To moja własna czapka — powiedział Szubin. — Zgubiłem ją wczoraj.

Od razu zrozumiał, jak głupio to zabrzmiało.

— Rozumiem, rozumiem — powiedziała kobieta.

— Proszę przejść — rozżościł się Szubin.

Kobieta ruszyła przy samej ścianie.

Po ulicy jechał wojskowy transporter. We włązie stało dwóch żołnierzy. Rozglądali się dookoła, najwyraźniej oceniając sytuację.

Szubin popatrzył w ich stronę. Skręcił w tym samym miejscu, gdzie zakręcił pojazd — w stronę dworca. Minął kino „Kosmos” i przystanek autobusowy. Autobus cały czas stał przednim kołem na chodniku, ale samochody, które się zderzyły, zostały już uprzątnięte z drogi, trupy też znikły.

— Szybko pracują — pomyślał Szubin. — Zuchy. — Nie zastanawiał się, kto jest zuchem i dlaczego. Cieszył się, że ktoś myśli, podejmuje jakieś kroki.

Na przystanku stał staruszek w wojskowym płaszczu i czapce z zająca.

— Młody człowieku! — krzyknął w stronę Szubina. — Dlaczego nie ma autobusu? Czekam już dwadzieścia minut.

— Autobusu nie będzie — odpowiedział mu Jurij i poszedł dalej.

— Dlaczego? Możecie mi wyjaśnić, dlaczego? — staruszek stukał laską.

Szubin zobaczył, dokąd znosili trupy — okazało się, że nie zdążyli ich jeszcze wywieźć. W prześwicie między dwoma dużymi domami piętrzyły się na ogromnej stercie — widocznie przesunięto je w to miejsce. Obok stał pusty spychacz, a przy nim stał milicjant i palił papierosa.

Zobaczył, że Szubin zatrzymał się, powiedział więc zmęczonym głosem:

— Obywatelu, proszę przechodzić, nie wolno patrzeć.

— Już dobrze — powiedział Szubin.

Ulicą, powoli jechała ciężarówka. Tylna burta była otwarta. Tam także były ciała.

Kobieta z prostymi, rozczochranymi włosami, w rozpiętym palcie wybiegła, krzycząc przed ciężarówkę, której kierowca zahamował, ale kobieta tego nie widziała. Kierowca poczekał, aż przebiegnie obok i znowu dodał gazu.

Okna pobliskiego sklepu spożywczego były powybijane, na chodniku wały się duże odłamki szkła. W środku poruszały się jakieś ciemne sylwetki.

Powinno być już widać hotel, ale nie było go. Mijając ostatni blok, Szubin zrozumiał co się stało: hotel zrobił się o połowę niższy — zawałił się, dach pociągnął za sobą dwa górne piętra. Wydawało się, że w hotel trafiła bomba.

Zgłiszcza jeszcze dymyły, śnieg dookoła był czarny. O dziwo, główne wejście do hotelu pozostało nietknięte przez ogień. Zachowały się nawet, umieszczone po obu stronach, szklane tabliczki z nazwą hotelu. Ale przez drzwi widać było płataninę zwalonych belek.

Plac przed dworcem był dziwnie ożywiony. Z jakiś organizacyjnych powodów, właśnie na dworcu znajdował się sztab kierujący specjalistycznymi pracami. Na placu stało kilka transporterów, dalej, między pustymi autobusami, stały zakryte plandekami, wojskowe ciężarówki. Pod pomnikiem robotnika stał czołg. Okryta pokrowcem lufa była zadarta wysoko w górę. Przed wejściem na dworzec Szubin zauważył kilka samochodów osobowych, w tym dwie albo trzy czarne wołgi.

„Słusznie — pomyślał Jurij, idąc przez plac w stronę dworca. — Dworzec to łączność z innymi miastami. Powinny być tu parowozy, można więc poradzić sobie bez elektryczności, dopóki nie włączą prądu”.

Trupy z dworca już uprzątnięto i Szubin zaczął rozglądać się, dokąd je zabrano. Przeszedł obok czołgu. Luk był otwarty, w środku siedział żołnierz w hełmie i palił papierosa. Obok stał autobus, drzwi były otwarte, na podłodze, zwrócony głową w stronę drzwi, leżał człowiek.

— Juriju Siergiejewiczu! — usłyszał Szubin. — Juriju Siergiejewiczu, to wy?

W jego stronę biegł Borys.

O ile w codziennym życiu był niechlujny i okropny, to teraz wyglądał jak jakiś podziemny potwór. Długie, czarne włosy zbiły się w nieforemną strzechę, palto nie miało jednego rękawa, na jego miejscu wystawała flanelowa koszula w kratę. Pod okiem widniał ogromny siniak.

Borys złapał Szubina za rękę i zaczął nim potrząsać. Żołnierz z czołgu patrzył na nich z góry, potem wypluł niedopałek i schował się w wieżycze.

— Myślałem, że was już nie ma, że zginęliście. Przyszedłem specjalnie do hotelu, jestem tu już od godziny, zacząłem tracić nadzieję. Nikt nic nie wie, mówili mi tylko, że w nocy, gdy hotel płonął, ludzie z dachu rzucali się w dół. Miałem resztki nadziei.

— Proszę się uspokoić — powiedział Szubin. Cieszył się ze spotkania z tym wariatem. — Co z resztą, co się z nimi stało?

— Co z Nataszą, nie wiem — powiedział Borys. — Wiem, że ją wypuścili. Szukali, oczywiście, was. Potem byłem na przesłuchaniu, ale to nieciekawe, szukali kompromitujących materiałów, tak naprawdę, szukali listu Burina, myśleli, że to wy go macie.

— Kto oni? Jakiego listu? — Szubin rozejrzał się, gdzie by można odejść z lodowato zimnego placu. — Chodźmy na dworzec, może tam chociaż nie wieje.

— Nie szalejcie, kto was tam wpuści? Tam jest sztab. Wszystko tam jest ogrodzone. Kto nas wpuści?

Szubin popatrzył w tamtą stronę. Po prostu nie zwrócił wcześniej uwagi na żołnierzy, którzy stali niby oddzielnie, a jednak wspólnie tworzyli niezbyt gęsty kordon, przegradzający plac mniej więcej tam, gdzie stały samochody. Oto jedna z wołg nieoczekiwanie zakręciła i, podnosząc kurz, odjechała z placu. Na tylnym siedzeniu widać było profil Silantiewa. A więc przeżył.

Jurij odciągnął Borysa na bok, w stronę ciągnących się wzdłuż placu budek, na przystanek autobusowy.

— Po co tam idziemy? — zapytał Borys. — Mamy mało czasu.

Szubin podszedł do autobusu, którego drzwi były otwarte. Wszedł do środka i powiedział do niego:

— Proszę wejść do środka, tutaj nie wieje.

W przejściu, zwrócony twarzą w dół, leżał człowiek. A więc ludzie sprzątający trupy nie domyślili się, aby tutaj zajrzeć.

Borys popatrzył na zwłoki.

— Zaczęliście mówić o waszych przyjaciółach — powiedział Szubin.

— Tak? Nie wiem, co z Nataszą.

— Już to mówiliście. Co jeszcze? Co z pozostałymi?

— Burin i Syrin zginęli. Widziałem. Mnie zaprowadzili na górę, na przesłuchanie. Bili mnie, bo wyglądam nieprzyjemnie. Wywołuję złość, wiem o tym. Nawet w was.

— Nie mylicie się.

— A swoją drogą, też nie wyglądacie teraz jak przystojniak — powiedział Borys i zamyslił się.

— Zginęli na komendzie — kontynuował. — Dyżurny zaprowadził mnie na górę, przesłuchiwali mnie, potem na dole był jakiś hałas, dyżurny podejrzewał jakieś problemy, to było o jedenastej czterdzieści dwie, wiecie?

— Domyślam się.

W autobusie było zimno, przez noc wewnątrz opanował przenikliwy chłód. Po ulicy przejechała karetka pogotowia, zatrzymała się koło dworca. Gdzieś tam z sąsiednich ulic wychodzili ludzie, ciągnęli w stronę dworca. Szubin zobaczył, jak zatrzymywani przez żołnierzy zwracają z powrotem.

— Długo nie wracał. Było cicho. Wyrząłem przez okno i zobaczyłem mgłę. Widzieliście ją?

— Niestety, tak.

— A ja widziałem, jak dogania ludzi, a oni padają. Byłem w lepszym położeniu niż dyżurny. On nie wiedział, czego oczekiwać, a ja czekałem na to już od miesiąca. Burin wszystko to przewidział. Wysłał trzy listy na ten temat. Leżą u nich w archiwum.

— U kogo?

— U Grońskiego, u Silantiewa, w wydziale kontroli. No, i oczywiście, w sanepidzie. Przewidział nawet mechanizm — mechanizm dyfuzji. Właśnie tak... opowiadał nam, ale sami rozumiecie, że było to zbyt specjalistyczne dla nas. Na przykład, jego obliczenia dotyczące ukształtowania terenu, kierunku wiatru i tych elementów... Pamiętacie, prosiliśmy wczoraj, żebyście wzięli list do Moskwy? Pomyślcie, tam wszystko to było opisane! I przypadki śmiertelne także. Nie wiedział tylko, że wszystko wydarzy się na taką skalę — uruchomili drugą linię, bardzo się śpieszyli i przekroczyli masę krytyczną... Czekałem, czekałem, otworzyłem drzwi — na korytarzu nikogo nie było. Ciemno. Na dole cisza. A ja już wiedziałem.

Borys zaczerpnął powietrza.

— Nie pobiegłem na dół. Zobaczyłem tylko, że kapitan leży na dole, przy schodach. I jeszcze jeden milicjant. Obaj leżeli. A Burin i Paszka Syrin byli w areszcie, na parterze, nie mogli wyjść. Od razu zrozumiałem, że nie mogli wyjść i zostałem sam jeden. Przesiedziałem tam całą noc. Musiałem was znaleźć, a jeśli by się nie udało — wyrwać się i dostać do Moskwy. Ale lepiej, żebyście to byli wy, jesteście osobą postronną. Nie macie dzieci.

— A co mają do tego dzieci? — Jurijowi wydało się, że Borys bredzi.

— Nie mówiłem?

— O czym?

— Mam żonę, troje dzieci... byłem w domu.

— I co?

— Widzicie, przepraszam, moja żona zginęła. Dzieci były u babci, mieszkamy na tej samej klatce, a ona pewnie martwiła się, gdzie się podziewam. I zeszła na dół — czasami wychodziła mi na spotkanie — bardzo się niepokoiła, gdzie znowu przepadłem. Leżała przed klatką — narzuciła palto na szlafrok i zeszła na dół. Proszę mi wybaczyć. Zaniósłem ją na górę, ale nie do domu, bo dzieci jeszcze spały. Potem obudziłem Ninoczkę, jest najstarsza, powiedziałem jej, że niedługo wrócę, a do szkoły dziś nie trzeba iść. To nudne?

— A co to ma do rzeczy nudne czy nie nudne? — krzyknął Szubin. — Nie rozumiem, co tu robicie! Idźcie do domu!

— Zaraz pójdę, proszę się nie denerwować.

— Sądzicie, że ukryję to przed Moskwą? Że to w ogóle można ukryć?

— U nas wszystko można ukryć — powiedział Borys. — I obozy pracy, i wysiedlenie całych narodów... wszystko.

— Ale to było kiedyś, teraz wszystko się zmieniło.

— Tak, zmieniło się. Dlatego jeszcze rozmawiamy i wciąż mam nadzieję. Ale mechanizm ukrywania nadal istnieje. Wystarczy tylko zaraportować, że zdarzyła się awaria, że są ofiary w ludziach. I tyle — dalej jest tylko milczenie. I nie ma Morza Aralskiego! Ale cicho... W innym mieście — w Swierdłowsku, w Kurhanie, zbierają się w ściekach te ciecze, zachodzą reakcje, żeby wyrwać się, rzucić się na ludzi... Burin to wszystko napisał.

— Może zrozumieli — bez przekonania powiedział Jurij.

— Zrozumieli? — Borys głośno, sztucznie zaśmiał się, jak w kiepskim teatrze. — Cha, cha! Garbatego i mogiła nie naprawi! Jak myślicie, czym oni się teraz zajmują?

— Tym, co każdy sztab podczas katastrofy — odpowiedział Szubin. — Są jakieś zasady, obowiązujące nawet tych, którzy się tym zajmują. Tam oczywiście panuje bieżanina, bałagan, ale starają się coś zrobić.

— Starają się zrobić tak, żeby nie wylądować w więzieniu, tyle starają się zrobić.

— Widzicie, że jest tu przede wszystkim wojsko.

— Wojsko, bo wezwali je tu do czarnej roboty. Żołnierzyki sprzątają trupy, a potem będą się truć, czyszcząc jezioro. Dostaną rozkaz i zrobią. A generałowie będą jeść obiad z Silantiewem i Grońskim i rozważać, co zrobić, żeby imperialistyczna propaganda nie podniosła szumu, żeby ludzie się nie przestraszyli, żeby wielkich osiągnięć nie skrył mrok pojedynczych wypadków.

— Nawet jeśli macie rację, Borysie — powiedział Jurij — to teraz są już bezsilni.

— A to dlaczego? — Borys wsunął dłoń między splątane włosy, palce zaplątały się, ze złością szarpnął ręką, żeby ją uwolnić.

— Za dużo ofiar. Tego nie da się ukryć.

— A co wy wiecie o tym, co już ukryto? Nawet o Czernobylu dowiedzieliście się nie od razu i nie wszystkiego, chociaż to tak blisko Kijowa. A przecież kupieni profesorowie i członkowie akademii zapewniali w telewizji, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że ofiar prawie nie było. U nas, dwa lata temu rozerwało cysterny — zburzyło ze dwieście domów, ludzi mnóstwo zginęło... i co na ten temat słyszeliście. Ministerstwo Transportu złożyło raport, w Moskwie wyrazili zgodę. Nie rozumiecie, że nieszczęścia nie są nikomu potrzebne? Psują nastrój.

— W taki razie ani ja, ani wy, nie możemy nic zrobić.

— I co tam, że moja żona zginęła, i Burin też? I inni ludzie? Może spędziliście noc z jakąś babą i nic nie zauważyliście? Chcecie jak najszybciej wrócić do Szwajcarii? Następnym razem wybuchnie tak, że i ze Szwajcarii nic nie zostanie. Dostaną was, dostaną, słowo daję!

Borys podniósł rękę i krzyczał. Krzyczał jak dawny żydowski prorok na pustyni, gotów był zginąć na stosie, którego odbłaski zrodzone w wyobraźni Szubina pobłyskiwały mu za plecami.

— Nie spędziłem nocy z babą — powiedział Szubin. — Byłem w hotelu.

Bez przekonania wskazał na dymiące ruiny.

— Tym bardziej — powiedział Borys. — Nic, do diabła, nie widzieliście.

Szubin zrozumiał, że nie ma sensu się klócić. Borys miał monopol na cierpienie. I miał do tego prawo.

— Dobrze — powiedział Jurij. — Bardzo mi przykro, że dotknęło cię takie nieszczęście...

— Nie chodzi o moje nieszczęście. Chodzi o przyszłe tragedie! — Borys krzyknął jak nauczyciel, starający się desperacko wbić do głów tępych uczniów elementarne twierdzenie.

— Co mogę zrobić?

— To, o co prosiłszyśmy wczoraj. Powinniście to zrobić w imię pamięci Burina, pamięci wszystkich... Weźmiecie wszystkie dokumenty — wszystko co on napisał, kopie naszych listów, wyjaśnienia, prognozy... i to, co napisałem dzisiaj. Pisałem obok ciała mojej żony. Rozumiesz? Oddajcie to w KC, samemu sekretarzowi generalnemu — jak można najwyżej. Niech to będzie dzwon na trwogę.

— Rozumiem — powiedział Szubin. Głowa pękała mu od krzyku. Okropnie nieprzyjemny był ten Borys. Ale po jego stronie jest prawda, a jeśli prawd jest wiele, to jego prawda jest najważniejsza.

— Weźmiecie?

— Wezmę.

— W takim razie musicie jak najszybciej stąd wyjechać. Dopóki nie odcięli miasta. A może już je okrążyli.

— Jak mam się wydostać?

— Powiem.

— Dlaczego nie teraz?

— Muszę podjąć odpowiednie kroki. Nie mam listów przy sobie. Nie mogę ich nosić przy sobie po mieście, gdzie każdy mnie zna! Będą na mnie polować, jeśli już nie polują. Podejrzewają mnie.

Szubin chciał powiedzieć, że w tej chwili nikt nie ma głowy do Borysa, ale pomyślał, że wywołałby tym tylko kolejną porcję krzyku.

— Co proponujesz?

— Będę tu z powrotem za czterdzieści minut. W tym autobusie. Dobrze? A wy schowajcie się gdzieś. Lepiej, żeby nas razem nie widzieli. Gdzie jest wasza walizka?

— Spaliła się.

— No tak, oczywiście. To nic, jeszcze niejedną kupicie, w Szwajcarii.

— Uczepiliście się tej Szwajcarii jak rzep psiego ogona!

— Już dobrze, zobaczę ją, jak własne uszy bez lustra. Idę. A wy nie kręćcie się nigdzie.

— Nie będę tu siedział cały czas.

— Lepiej posiedzieć.

— Powiniennem jak najwięcej zobaczyć na własne oczy. Nie ma nic głupszego od bezmyślnego siedzenia. Mogę się tam przydać.

— Wy? Im? — wtrącił Borys z sarkazmem. — Żeby was przymknęli?

Borys podszedł do drzwi autobusu i przez minutę rozglądał się jak na filmie kryminalnym, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Jeśli ktoś spojrzełby przez przypadek w jego stronę, miałby stuprocentową pewność, że widzi złoczyńcę.

Szubin nie czekał, aż Borys nachylając się i udając przestępcę, opuści plac. Wyskoczył z przemarzniętego autobusu na śnieg, wydało mu się, że na zewnątrz jest nieco cieplej. Włożył rękę do kieszeni kurtki z nadzieją, że znajdzie w niej papierosy, ale znalazł tylko słoik rozpuszczalnej kawy.

— Dlaczego Ela jej nie wyjęła? — pomyślał. — Lepiej by było, gdyby wyjęła, a w zamian włożyła papierosy.

Sama świadomość, że nie ma papierosów sprawiała, że bardzo chciało mu się palić. Szubin podszedł do czołgu i już miał zastukać w pancerz, aby zapytać się czołgistów, czy nie mają papierosów, gdy zauważył otwarty kiosk.

Szubin, nie dziwiąc się wcale, przeszedł przez plac.

W kiosku ktoś był.

Szubin zapytał:

— Dostanę paczkę papierosów?

Po krótkiej przerwie z wewnątrz dał się słyszeć cienki głos:

— Jakich?

— Macie „Prima”?

— Chwileczkę.

Na ladzie przed okienkiem pojawiała się czerwono-czarna paczka. Trzymała ją cienka, dziecięca ręka. Szubin powiedział:

— Dziękuję — i położył rubel.

Ręka zgarnęła pieniądze i znikła.

— A zapalki są?

— Zapalek nie ma.

Okienko zamknęło się z głośnym stuknięciem.

Szubin odszedł na trzy kroki, rozerwał opakowanie, wyjął papieros.

Boczne drzwi kiosku otworzyły się i wysunęła się z nich głowa chłopca w wełnianej czapce. Chłopczyk wyciągnął worek wyraźnie wypchany paczkami papierosów, zgrabnie przerzucił go za kiosk, chowając przed postronnymi spojrzeniami. Zauważywszy, że Szubin go obserwuje, nie przestraszył się ani trochę, otworzył pięść, w której trzymał paczkę zapalek i rzucił ją w stronę Szubina. Jurij zdążył

wyciągnąć rękę i złapać pudełko.

W ślad za chłopcem z kiosku wyszła dziewczynka z takim samym workiem. Oboje schowali się za płotem.

Szubin poszedł w stronę dworca.

Żołnierz z automatem stojący koło czarnych wołg i wojskowych gazików, których liczba wzrosła znacznie podczas rozmowy z Borysem, zrobił krok w stronę Szubina.

— Nie wolno — powiedział.

— Mnie wolno — stanowczo rzekł Jurij. Z kieszeni marynarki wyjął legitymację prasową. Żołnierz wziął ją, otworzył i zaczął czytać, poruszając wargami. Potem popatrzył na Szubina, porównując go ze zdjęciem i Jurij zrozumiał, że żołnierz nie może dopatrzeć się podobieństwa. Zamknął legitymację i powiedział:

— Weliczkin! Towarzyszu sierżancie!

Sierżant, ubrany w ciepłą kurtkę ozdobioną wzorem maskującym, podszedł bez pośpiechu. Nie miał automatu, ale na kurtce widoczna była kabura.

— Miałeś rozkaz, aby nie wpuszczać — powiedział. Żołnierz podał sierżantowi legitymację Szubina, a sam popatrzył tęsknie na dymiący papieros. Jurij wyjął paczkę i wyciągnął w stronę żołnierza.

Żołnierz wziął papieros, ale nie zapalił, patrzył na sierżanta.

— Czego chcecie? — zapytał sierżant.

— Muszę dostać się do sztabu — powiedział Szubin.

— Jestem dziennikarzem z Moskwy, korespondentem. Jestem w delegacji.

— W delegacji? — zapytał sierżant i obrzucił wzrokiem Szubina — od wełnianej czapki, zarośniętej, pokaleczonej twarzy, aż do podartej puchowej kurtki i brudnych spodni.

— Coś mi na to nie wygląda. Macie dowód?

— Jest tu ktoś starszy stopniem? — Jurij wykazał się cierpliwością, podając sierżantowi dowód.

Żołnierz trzymał papieros tak, jakby cały czas był gotów zwrócić go Szubinowi, gdyby ten został zdemaskowany.

— Mam rozkaz nie wpuszczać osób postronnych — powiedział sierżant. — Awaria.

— Posłuchajcie, sierżancie — Szubin spojrział na niego wnikliwie. — Przez całą noc byłem przy tej awarii, gdy wy spaliście jeszcze w koszarach. Nie miałem kiedy doprowadzić się do porządku. Byłem tam — mówiąc to, wskazał hotel. Żołnierz i sierżant posłusznie popatrzyli w tę stronę.

— Proszę poczekać — powiedział sierżant, wziął legitymację i poszedł na dworzec.

— Znaleźli sobie czas na biurokrację — z nutą ironii rzekł Jurij i zapalił zapalniczką, którą przypalił żołnierzowi papierosa. Widać było na pierwszym rzut oka, że młody człowiek w mundurze pochodził z Azji Środkowej, był przestraszony i zmarznięty.

Nisko, nad placem przeleciał helikopter. Zza dworca dobiegł huk pociągu.

— Jak się stamtąd wydostałeś? — zapytał żołnierz, wskazując na hotel.

— Zszedłem z dachu po schodach przeciwpożarowych — odpowiedział Szubin.

— Rozumiem. Rzeczy spaliły się?

— Uhm...

Podjechał samochód terenowy. Wyszli z niego ludzie, niektórzy zaszpani, byle jak ubrani, przestraszeni. Z dworca wybiegł Płotnikow, z daleka machał ręką i krzyczał do ludzi stojących obok samochodu.

— Tutaj towarzysze, do poczekalni, czekają tam na was. Proszę ich przepuścić!

Uciekł tak szybko, że Szubin nie zdążył go zawołać. Ale wśród wysiadających z ciężarówki zauważył Nikołajczyka, który włókł się za pozostałymi w stronę dworca.

— Fiodorze Siemionowiczu! — krzyknął najgłośniejszy, jak potrafił. — Fiodorze Siemionowiczu!

Nikołajczyk zatrzymał się. Pozostali także się odwrócili. Jurij podszedł do niego.

— Szubin — poznał go Nikołajczyk. — Jak wy wyglądacie? Co się z wami stało?

— To, co ze wszystkimi.

— To straszne! — powiedział Nikołajczyk. — Nie wyobrażacie sobie, jakie to wszystko straszne!

— Wyobrażam sobie.

— No tak, oczywiście. Tego nikt nie mógł przewidzieć. Obudzono mnie godzinę temu i wezwano tutaj, do sztabu. Są ofiary w ludziach! — ostatnie zdanie Nikołajczyk wypowiedział cicho, jakby dzielił się z zaufaną osobą tajemnicą państwową.

— Nawet w waszym domu — powiedział Szubin. — Co?

— Ci, którzy mieszkali na dolnych piętrach.

— Mam nadzieję, że się mylicie, Juriju Siergiejewiczu — powiedział Nikołajczyk, jeżąc się przy tym.

— Nikołajczyk — zawołał ktoś z grupki osób, które poszły na dworzec.

— Chwileczkę. A wy, co tu robicie, Juriju Siergiejewiczu? Chcecie wyjechać?

— Nie chcą mnie wpuścić.

— Towarzyszu szeregowy — powiedział Nikołajczyk

— należy przepuścić towarzysza Szubina, to korespondent z Moskwy.

— Robię, co mi każą — powiedział żołnierz.

— Proszę iść ze mną — Nikolańczyk pociągnął Szubina za rękaw, ale puścił go, gdy zauważył, że jest podarty i nadpalony.

Żołnierz bez przekonania zrobił krok do przodu, chcąc zagrozić Szubinowi drogę, ale Nikolańczyk był uparty i szeregowy poddał się. Szli obok siebie.

— Straszne okoliczności — mówił, jakby chciał wbić Szubinowi do głowy lekcję — fatalny zbieg okoliczności.

— Jaki tam, do diabła, fatalny — sprzeciwił się Jurij.

— Wszystko na to wskazywało.

— Nie można być takim kategorycznym — powiedział Nikolańczyk. — Czy sądzicie, że jeśli byłyby jakieś przesłanki, towarzysz

Silantiew nie podjąłby odpowiednich kroków?

— A właśnie, że nie podjął.

Nikolańczyk znowu najeżył się i zamilkł. Tymczasem weszli do budynku dworca. Długie ławki dla oczekujących, niedawno pełne ludzi, teraz były puste, tylko gdzieś tam stały walizki i torby. Nikt się nie przechadzał, nie zabijał czasu — wszyscy śpieszyli się, biegali, wykonywali polecenia. Żołnierzy było niewiele, zdarzali się kolejarze i milicjanci. Główny kierunek ruchu łączył pierwsze piętro i peron — jak rząd mrówek ludzie zbiegali po szerokich schodach, a Szubin nie mógł zrozumieć, jaki jest cel tego ruchu.

— Gdzie jest toaleta? — Nikolańczyk zapytał Szubina. Jurij nie od razu odpowiedział. Myślał o tym, ilu ludzi tu zginęło — przecież pomieszczenia były zatłoczone...

— Toaleta? Tam, widzicie, jest strzałka w dół: przechowalnia bagażu, toalety. Tylko pamiętajcie, że nie ma wody.

— Nie jest mi potrzebna! — kapryśnie odpowiedział Nikolańczyk. — Proszę tu na mnie poczekać!

Ruszył szybko w stronę schodów prowadzących w dół, przebiegł obok przychodni z napisem „Zakaz wstępu!”. Obok Szubina zatrzymało się dwóch mężczyzn w białych fartuchach.

— A może jednak się poszczęściło — powiedział jeden z nich. — Prawie nie ma ofiar. Szybko działało.

— „Prawie”, nie byłeś w pierwszym szpitalu?

— Nie, ściągnęli mnie z domu.

— Tam są poparzeni i ranni. Leżą na korytarzach, w poczekalni. A personelu nie ma. Całkiem nie ma. Nawet nie wyobrażam sobie, ilu naszych zginęło.

Nieoczekiwanie zapłonęło światło. Szubin tak już przyzwyczał się do ciemności, że musiał zmrużyć oczy.

— Uruchomili elektrownię — powiedział medyk.

— A jak u ciebie w domu?

— Jakoś się udało.

— Ooo! — rozległ się krzyk. Szubin odwrócił się. Nikolańczyk wyskoczył z piwnicy i biegł w jego stronę, podtrzymując rozpięte spodnie.

— Tam — powiedział — tam...

— Wszystko jasne — powiedział Jurij. — Nie musicie nic wyjaśniać.

— Tam... strasznie... Nie macie pojęcia! Tam są ludzie!

— A co myślicie, gdzie mieli zabrać stąd trupy? — zapytał Szubin. — I trzeba przyznać, że zrobili to bardzo szybko.

— Żołnierze — powiedział medyk. — Teraz pracują na torach. Podstawili tam platformy.

— Co to będzie? Co z nimi będzie?

— Pochówek — powiedział medyk, zapalając papierosa.

— Zbiorowy pochówek. I to najszybciej, jak się tylko da. Jest już polecenie z góry.

— Dlaczego? — nie zrozumiał Nikolańczyk. — Jak to?

— A dlatego, Fiodorze Siemionowiczu — odpowiedział Szubin — żeby nie psuć wszystkim nastroju.

— Ciekawa uwaga — powiedział medyk. — A tak w ogóle mają rację, sam kazałbym zrobić to samo. Nie wiemy, jak gaz będzie działał na otoczenie — ciała mogą stanowić zagrożenie. Nie wspominając nawet o epidemii.

— Dopiero teraz przywieźli maski przeciwgazowe dla żołnierzy — powiedział drugi medyk. — Okazuje się, że tam u nich, w magazynach, wszystkich zabiło...

— Nie rozumiecie! — powiedział Nikolańczyk do medyka.

— Oni tam leżą na stercie, do samego sufitu.

— Wyobrażam sobie. Byłem na lotnisku — powiedział medyk. — Trzeba będzie się przyzwycząić.

— Tam też doszło? — zapytał Szubin. — Myślałem, że lotnisko jest wyżej...

— O ile wiem, tam zanosło to świństwo, gdy zerwał się wiatr.

— A wy, co tutaj robicie? — zapytał Szubin.

— Diabli wiedzą — mamy dyżur. Nasza karetka jest przypisana do sztabu. Można powiedzieć, że nam się poszczęściło.

Medycy poszli na pierwsze piętro, a Nikolańczyk nie mógł się w żaden sposób uspokoić:

— Zszedłem tam, rozumiecie, Juriju Siergiejewiczu? Tam jest prawie ciemno. I zapach... taki nieprzyjemny zapach. Czuję, że nie da się przejść — z przodu jest jakaś przeszkoda. Zaczęłam rękami wymacywać przejście — nie wiedziałem, co to za przeszkoda, może ubrania... było całkiem ciemno. I nagle zapaliło się światło. Stoję, a dookoła mnie leżą martwi ludzie — do samego sufitu, rozumiecie? I taki straszny zapach...

— Nikolańczyk! — z góry przechylał się przez barierkę nieznanemu Szubinowi mężczyzna. — Szybko na dywanik!

— Przepraszam — powiedział Nikolańczyk. — Idziecie?

— Idę — powiedział Jurij, ale zatrzymał się, bo przypomniał sobie, że jego legitymację ma sierżant i że musi ją odebrać. Poszedł w stronę wyjścia.

Szubin wyjrzał na zewnątrz, lecz sierżanta nigdzie nie było. „Gdzieś zapewne powinien być jakiś punkt dowodzenia” — pomyślał i wszedł na pierwsze piętro.

Poczekalnia była sprzątnięta, pusta, złęczone po sześć, twarde, dworcowe krzesła ustawiono pod ścianami. Ale centrum wydarzeń było nie w poczekalni, a w pokoju dla matek z dzieckiem, z otwartymi na oścież drzwiami i w drugim pomieszczeniu, nad którym świecił się zbyt jasny, neonowy sztyl „Salon wideo”. Wokół neonowych liter zapalały się na zmianę lampki, zupełnie jak na choince.

Gdy Szubin stał niezdecydowanie, nie wiedząc, które drzwi wybrać, z salonu wideo wybiegł Płotnikow. Za nim podążał niski, spocony kolejarz.

— Jak mam przepuścić? Ludzie muszą wysiąść — mówił.

— Przepuścisz bez zatrzymywania. Wszystkie trzeba przepuszczać. Nie rozumiecie? To jest wyjątkowa sytuacja.

— Dalibyście mi lepiej jakiś papier — powiedział niski.

— Będzie papier, będzie, przecież sami widzicie, że jestem zajęty!

Referent odbiegł od kolejarza, który z westchnieniem rozłożył krótkie ręce i poszedł z powrotem do salonu wideo. I wtedy właśnie Płotnikow zauważył Jurija. Przebiegł obok, nie od razu go poznał, zatrzymał się jakoś z boku, cofnął się dwa kroki.

— Szubin? — zapytał.

— We własnej osobie — odpowiedział dziennikarz. — Żyję.

— Widzę — powiedział Płotnikow. — Bardzo się z tego cieszę. Cieszę się, że u was wszystko w porządku. A co wy tu robicie?

— Chcę się spotkać z kierownictwem sztabu — powiedział Szubin. — Mam nadzieję, że mogę się do czegoś przydać.

— Po co? — zdziwił się, zamiast iść dalej swoją drogą, a następnie otworzył drzwi pokoju dla matek z dzieckiem.

Szubin poszedł za nim. Musiał zejść na bok — kilku żołnierzy dźwigało ciężką skrzynię i zaczęli przeciskać ją przez drzwi. Utknęli tam, tarasując wszystkim drogę.

Wokół mieszały się głosy, przekleństwa i rady, i w efekcie skrzynia klinowała się jeszcze bardziej. Ponad głowami żołnierzy widać było ludzi stojących w sali. Było ich wielu. Jurij zobaczył Grońskiego, do którego podbiegł Płotnikow i coś mu tłumaczył. Powoli odwrócił głowę w stronę drzwi i jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Szubina.

Groński natychmiast odwrócił oczy i zaczął coś mówić do nieznanego urzędnika. Szubin precisnął się do nich. Groński wyglądał na zmęczonego, miał czerwone oczy, podkrążone.

Wyciągnął rękę do Szubina. Dłoń była chłodna, wilgotna.

— Widzę, że już doszliście do siebie — powiedział Groński. Potem dodał, odwracając się w stronę stojącego obok, postawnego, wąsatego urzędnika, ubranego w fińskie palto i czapkę. — Poznajcie się, towarzysz Szubin, dziennikarz z Moskwy.

A to Nikolajew, dyrektor biokombinatu, zastępca kierownika sztabu kryzysowego.

Ręka Nikolajewa była niemiła, twarda i szorstka.

— Dziennikarz? — z niedowierzaniem zapytał Nikolajew. Był niezadowolony. Szubin nieomal usłyszał niewypowiedziane słowa: „Kiedy zdążył? Kto go wpuścił?”

Groński wyczuł niezadowolenie. Dodał, jakby się chciał usprawiedliwić:

— Towarzysz Szubin przyjechał tu do nas poprowadzić wykłady na temat sytuacji międzynarodowej. Ot, i wpadł w awanturę. Byliśmy z nim razem w hotelu.

— A, korespondent międzynarodowy — powiedział Nikolajew z ulgą i w tej samej chwili krzyknął na żołnierzy rozpakowujących skrzynię, w której krył się jakiś przyrząd z ekranem i mnóstwem przycisków:

— Przesuńcie bardziej w prawo, w prawo, żeby nie zasłaniać okna!

Stracił zainteresowanie Szubinem i odszedł.

— Zagospodarujemy się, wojsko pomaga — powiedział Groński już tylko do Jurija.

— Energicznie wzięliście się do pracy.

— Niestety — powiedział dyrektor zakładów chemicznych — nikt nie będzie nas chwalić za pracę nad ratowaniem życia i dobytku obywateli. Jak to u nas bywa... „Głowa poleci za stare grzechy, a dzisiejsze czyny nie liczą się”.

Groński uśmiechnął się smutno. Był szczery.

— Jak zdrowie żony? — zapytał Szubin.

— Dziękuję. Oczywiście, musi odpocząć — jest w szoku. Wiecie, co się stało z helikopterem?

— Widziałem.

— Dosłownie cudem ocaleliśmy.

— Chciałbym się do czegoś przydać — powiedział Jurij.

— Do czego, do czego? — nieoczekiwanie wybuchnął Groński. W zasadzie Szubin nie dał mu żadnego powodu do zdenerwowania.

— Przyłączycie się do brygady sprzątającej trupy? Albo do strażaków — strażaków nam brakuje! Albo oddacie krew w szpitalu?

— Proszę się nie denerwować — powiedział Jurij. — Rozumiem, że jest wam ciężko.

— I będzie coraz ciężej. Z każdą godziną... Nie rozumiecie tego.

— Rozumiem — powiedział Szubin, który nie czuł już niechęci do tego zmęczonego człowieka. Niechęć została we wczorajszej

nocy. Jaki tam z niego morderca! Zastrachany urzędniczyna. I martwi się o żonę, mając nadzieję, że może, jakimś cudem, wszystko mu się upiecze, i rozumie, że na sucho jednak to nie ujdzie. Przynajmniej jemu.

— I dlaczego, do diabła, przyjechaliście tutaj akurat wczoraj — powiedział Groński z goryczą. — Pojedziecie do Moskwy, zaczniecie wdychać — ach, co widziałem, co widziałem!

— Wdychać nie będę — zaproponował dziennikarz. — Ale jeśli rzeczywiście myślicie, że nie ma tu dla mnie nic do roboty, to pomóżcie mi proszę wrócić do Moskwy. Sądzę, że będę mógł wam jakoś pomóc. Miastu wiele teraz potrzeba.

— Potrzebujemy wszystkiego — Groński prawie krzyczał. — Nie ma lekarzy, kierowców, niczego nie ma — sami żołnierze nie mogą wszystkiego ratować!

— Nie trzeba się tak denerwować — dał się słyszeć władczy głos.

Do sali wszedł, otoczony niewielką świtą wojskowych i cywilnych urzędników, Silantiew.

— Nie spodziewałem się po was kapitalistycznych wypowiedzi.

Silantiew nie zauważył Szubina, nie zwrócił na niego uwagi, a może nie poznał — w przeciwieństwie do Grońskiego widział korespondenta tylko w swoim gabinecie, gdy wszyscy wyglądali godnie.

— To nie są kapitalistyczne wypowiedzi — powiedział Groński — tylko ocena sytuacji.

— Sytuacja jest krytyczna, ale nie tragiczna — powiedział Silantiew.

Odwrócił się w stronę stojącego obok generała, wysokiego, czarnookiego bruneta z niebieskimi od zarostu policzkami:

— Prawda?

— Nie mogę dać więcej żołnierzy — odpowiedział generał, najwyraźniej kontynuując wcześniej rozpoczętą rozmowę.

— Nie musisz mi dawać więcej — powiedział Silantiew — zostaw mi tych, którzy już tu są.

— Ludzie od godziny taszczą trupy na mrozie — powiedział generał. — Muszą odpocząć, nie daliśmy im nawet jeść.

— A ty co, przedszkole prowadzisz? — obraził się Silantiew.

— A gdyby wybuchła wojna?

— Teraz nie ma wojny — powiedział generał. Mówił z lekkim, wschodnim akcentem. — Teraz mamy katastrofę.

— Jeszcze jeden się poddał — powiedział Silantiew rozkładając ręce, jakby wzywał wszystkich na świadków tego, z jakimi ludźmi przyszło mu mieć do czynienia.

— Wy, Wasiliju Grigoriewiczu, najwyraźniej nie zdajecie sobie sprawy ze skali wydarzeń — powiedział generał.

— Nikt sobie z tego nie zdaje sprawy. Ale wszystko wyjaśnimy. I twoim orłom wydzielimy żywność z żelaznych zapasów. Nie damy im zrobić krzywdy.

— Moi żołnierze — powiedział generał — to specjaliści, a nie grabarze.

— Będziemy się klócić? — zapytał Silantiew, miękko kładąc rękę na zielonym pagonie generalskiej kurtki. — Nie trzeba się ze mną klócić. Mnie jest najtrudniej. To moje miasto, moi ludzie!

Szubin przypadkiem uchwycił wzrok generała. Spojrzenie było pełne smutku albo rozpacz — tak samo patrzył Groński i inni ludzie: medycy, Nikołajczyk, nawet szeregowy na placu. Natomiast w spojrzeniu Silantiewa nie było smutku. Spojrzenie miał jasne.

Przybiegła kobieta w białych kozakach i rozpiętym kozuchu. Długi szalik rozwinął się, sięgał jej do kolan.

— Wasiliju Grigoriewiczu, przyszedł telefonogram — powiedziała.

Silantiew rozłożył kartkę, przebiegł ją oczami.

— Tak — powiedział. — Będziemy się szykować.

— Co? — zapytał Groński. — Kto jedzie?

— Rejon — powiedział Silantiew. — Za czterdzieści minut będzie tu samolot.

— Nic jeszcze nie jest gotowe — powiedział Groński.

— Gdzie ich przyjmujemy? — Silantiew zapytał kobiety w kozuchu.

— W komitecie miejskim nie można — powiedziała. — Nie jest przygotowany.

— Wiem. Z lotniska przywieziemy ich tutaj. Ty, Mielkonian, zagrasz pierwsze skrzypce — te słowa były skierowane do generała. — Transporter z przodu, czołg z tyłu — będzie to atak psychologiczny najwyższej próby. Ja wyjadę na spotkanie. Ty, Groński, też pojedziesz ze mną, nerwy masz w rozsypce. Nikołajew pojedzie drugim samochodem z Niemczenką. Słyszysz?

— Słyszałem — powiedział Nikołajew.

— Nasze główne zadanie — pilnować, żeby nie rozglądali się za bardzo na boki. I jeśli na trasie przejazdu będzie chociaż jedno martwe ciało — Silantiew zacisnął dłoń w pięść — zabiję.

Nie wiadomo, kogo to dotyczyło, ale odpowiedział generał.

— Puszkińską i Radziecką już oczyściliśmy — powiedział — ale co do drogi, to nie ma gwarancji.

— Tam nikogo nie było — powiedział Nikołajew. — Najważniejsze, żebyśmy minęli stację benzynową.

— Mielkonian, wyślij zaufanego człowieka, niech sprawdzi całą trasę. Natychmiast. Całą. Jakby co — do rowu, w krzaki — zrozumiałeś?

— Poślę — powiedział Mielkonian, nie patrząc na Silantiewa.

— Dobrze. Kto szykował liczby? — zapytał Silantiew.

— Ja mam — powiedziała kobieta w kozuchu. Wyciągnęła w jego stronę pomiętą kartkę. — Jest tu szacunkowa liczba ofiar, pożarów, i tak dalej.

Silantiew patrzył na kartkę. Wszyscy czekali.

— Do stu ofiar? — zapytał kobiety. — Wy co, oszaleliście! Przestraszą się. Trzeba by to od razu zaraportować do Moskwy.

— Pisaliśmy w przybliżeniu — powiedziała kobieta.

— Oni też sroce spod ogona nie wypadli. Jeśli powiem, że jest sto ofiar śmiertelnych, pójdą oglądać. Zrobimy tak: są ofiary,

liczymy... Dobrze, sam się tym zajmę. Iwanow!

Pulchny człowiek w powycieranym garniturze, ze złotym sygnetem na środkowym palcu oderwał się od ściany.

— Rwij do rezydencji. Obiad ma być gotowy na czwartą. Weźmiesz samochód i trzech milicjantów. Zadbaj, żeby dookoła było spokojnie. A wy, towarzysze, pracujcie — zwrócił się do żołnierzy. — Żeby za godzinę, kiedy wrócimy, wszystko tu błyszczało. Niech towarzysze z rejonu zobaczą, jak wszystko zorganizowaliśmy.

— A jeśli zapytają mnie, ile jest ofiar? — spytała kobieta.

— Dyżurny lekarz epidemiolog zda relację. Zdasz? Szubin widział go wcześniej w gabinecie Silantiewa, gdy Niechący podsłuchiwał rozmowę.

— Na razie wołałbym wstrzymać się z oceną — powiedział lekarz.

— Mam nadzieję, że zapamiętaliście te mądre słowa?

Przez otaczający Silantiewa tłum przetoczył się potwierdzający pomruk.

— A ty, Szubin? — Jurij nie zorientował się, kiedy Silantiew zauważył go i rozpoznał. Ale zauważył wcześniej, nie teraz, bo ostatnie słowa wypowiedział, patrząc już w stronę drzwi.

Jurij rozmyślał, czy powinien milczeć. Nie tylko z obawy o siebie samego — dla dobra sprawy. To, czy teraz powie coś, czy nie, i tak nie zmieni zachowania Silantiewa. A on będzie mógł po cichu wydostać się z miasta. Chociaż, być może, nie docenił Silantiewa i ten postanowił już go stąd nie wypuszczać.

Jednak Szubin powiedział:

— Wszędzie na parterach są martwi.

— Co? Nie zrozumiałem.

— Teraz ludzie zaczynają otwierać drzwi na parterach, a tam wszyscy są martwi.

— Nie strasz ludzi, Szubin — powiedział spokojnie Silantiew. Wziął go pod rękę i zaprowadził do drzwi. — Ty nie wiesz, a ja wiem — to świństwo nie przedostanie się przez szkło. A i wśród naszych towarzyszy jest wielu takich, którzy mieszkają na parterze. Są tacy towarzysze?

W sali panowała całkowita cisza, jakby ludzie bali się uronić choćby jedno słowo wypowiedziane przez Silantiewa.

Nikt nie odpowiedział. Silantiew zdecydowanym ruchem odwrócił się w stronę posuwającego się wolno za nim tłumu.

— Mam nadzieję, że są wśród was osoby mieszkające na parterze?

I znowu nikt się nie przyznał. Dyżurny epidemiolog powiedział:

— Jeszcze nie sprawdzaliśmy, Wasiliju Grigoriewiczu. Mieliśmy do wykonania zadania najwyższej wagi.

— Wydaje mi się — powiedział Szubin — że zajmujecie się tutaj głupotami.

— Co? — Silantiew aż się zatrzymał.

— Zastanawiacie się, jak to wszystko zatuszować, przykryć, ukryć... pomyśleliście już nawet o obiedzie — mówiąc to, Szubin jakby uwolnił sam siebie. Paraliżujący go dotąd strach — był przecież tylko malutkim człowiekiem w trybach ogromnej maszyny, w której nic nie mógł zmienić — zniknął, tak jak znika trema u niedoświadczonego mówcy po wypowiedzeniu z trybuny kilku udanych zdań. — Kogo oszukacie? Kierownictwo rejonu? A potem? Gdy rozmiary katastrofy staną się jasne?

— Te słowa są zupełnie nie na miejscu — powiedział z obrzydzeniem epidemiolog.

— Przecież rządzą teraz martwym miastem! — krzyczał Szubin. — Miastem, którego domy pełne są martwych ciał, nie rozumiecie tego? Czy po to, żeby jutro znowu truć to miasto? Żeby jutro otruć cały kraj? Cały świat?

— Nerwy, nerwy — mówił Nikołajczyk, odciągając Szubina na bok.

— Poczekaj, daj mu się wykrzyczeć — powiedział Silantiew.

— Nie wykrzyczę się tutaj — powiedział Szubin. — Wykrzyczę się w Moskwie.

W tej samej chwili wyczuł zmianę w szumie napełniającym salę.

Do tego momentu szum był pełen współczucia, bo prawie wszyscy stojący tam byli wstrząśnięci nieszczęściem, bez względu na to jak bardzo niedoskonałe były resztki ich moralności. I Szubin wykorzystał ich milczenie i współczucie. Ale w chwili, gdy wypowiedział słowo „Moskwa”, stał się obcym.

— No cóż — powiedział Silantiew. — Wykrzyczysz się w Moskwie. Ale zobaczymy, któremu z nas uwierzą.

— Uwierzą — powiedział Szubin — uwierzą.

— Ja najpierw dokładnie wszystko bym przemyślał przed wyciąganiem wniosków — powiedział Silantiew, ciągle jeszcze panując nad sobą. — Co tu widziałeś? Gdzie się schowałeś, gdy my wszyscy, we wspólnym porywie, likwidowaliśmy skutki katastrofy?

— Byłem tam, gdzie wasz towarzysz Groński — powiedział Szubin.

— Wszystko jasne — powiedział Silantiew i nawet się uśmiechnął. — Oglądaliście wszystko z dachu, jak turyści. Dobrze chociaż, że zdążyliśmy zorganizować helikopter. To tam zginął Spiridonow?

Pytanie nie było skierowane do Szubina, lecz do Grońskiego.

Groński sprężył się nagle, jakby przypomniał sobie rolę, którą musi odegrać przed publicznością.

— Okoliczności śmierci towarzysza Spiridonowa są zagadkowe — powiedział. — Gdy organizowałem akcję ratunkową dla kobiet,

towarzysz Szubin z grupą mężczyzn miał wynieść rannego Spiridonowa na dach. Szubin pojawił się na dachu sam. Oj, nie — ze swoją kochanką.

— A, i kochankę sobie znalazł! Ciekawa moralność.

Silantiew popatrzył na zegarek.

— Dojdziemy prawdy — powiedział. — Dzięki Bogu, nie gasimy tu pożaru. Takich rzeczy, Szubin, nikomu nie przepuszczę. Mogłeś zachowywać się jak tchórz, mogłeś uciec do Moskwy i smarować donosy... Ale śmierci mojego starego przyjaciela, Spiridonowa, nigdy ci nie wybaczę.

— To wszystko kłamstwo — powiedział Szubin. — Wiecie, że to kłamstwo.

— Wiem to, co mi raportują — powiedział Silantiew. Poszedł w stronę wyjścia, na progu natknął się na porzuconą lalkę, nadepnął ją brudnym butem.

— Wszystko to bzdury! — Jurij poszedł za Silantiewem, nie będąc w stanie opanować chęci usprawiedliwienia się, wyjaśnienia.

Nikt go nie zatrzymał. Gdy przechodził koło generała, ten powiedział:

— Ja na waszym miejscu nie zostałbym tutaj.

I zanim Szubin zdążył odpowiedzieć, odszedł szybko w stronę oficerów, stojących przy drzwiach do salonu wideo.

Jurij szedł za Silantiewem w rzedającym tłumie „sztabistów”, z każdym krokiem chęć, by przekonać Silantiewa małala. Zresztą, ten nie będzie go słuchał. Ale co robić?

Może dostać się do pociągu towarowego — przejeżdżają tędy. Spróbować dojechać na platformie do sąsiedniego miasta. Nie, lepiej spróbować dostać się na lotnisko. Tam przylatują samoloty, lotnisko działa. Trzeba przedostać się do pilotów, namówić ich...

Snując takie rozważania, Szubin wszedł na schody i zobaczył, że Silantiew, Groński i ich najbliżsi współpracownicy zeszli już do dolnej hali i kierują się w stronę drzwi.

Ale jak dostać się na lotnisko? Jakimś samochodem? Trzeba porozmawiać z generałem. Teraz, gdy nie ma Silantiewa, generał może mu pomóc. Jemu osobiście katastrofa chyba niczym nie zagraża. Wręcz przeciwnie, od razu podjął stosowne kroki, Szubin może to potwierdzić...

Jurij chciał wrócić do salonu wideo, gdy w dole usłyszał krzyki.

Od strony drzwi na Silantiewa i Grońskiego rzuciła się dziewczyna w rozwianym palcie. W wyciągniętej ręce niezgrabnie trzymała nóż. Czarne, rozczochrane włosy jak grzywa otaczały jej drobną twarz. W dużych okularach odbijały się światła żyrandola.

Groński odskoczył do tyłu, za Silantiewa, a ten zasłonił się dużą teczką, którą niósł w ręce. Nóż słabo uderzył w teczkę i z brzękiem upadł na podłogę. W tej samej chwili na dziewczynę rzucili się ze wszystkich stron mężczyźni i powalili ją na podłogę. Mignęły ręce i nie było jasne, czego chcą — pobić ją, związać czy wyrzucić.

Przeszkadzając sobie nawzajem, podnieśli dziewczynę z podłogi, wygięli ręce za plecy. Napastniczka rzucała się, krzyczała coś. Szubin poznał, że to spokojna Natasza z księgarni.

Nie słyszał, co krzyczała, bo krzyczeli wszyscy. Ale słowa Silantiewa, któremu można było tylko zazdrościć opanowania, doszły do Szubina:

— Wariatka. Bywa... Ostrożnie z nią. Stres. Wezwać lekarzy!

Silantiew nadal szedł w stronę samochodu. Groński został w tyle. Widocznie całkiem się rozkleił... Nikolajew musiał po niego wrócić. Poprowadził Grońskiego do wyjścia, podtrzymując go za łokieć. Obok dziewczyny byli już medycy, ci sami, którzy palili na dole. Sala opustoszała, tylko Płotnikow rozmawiał o czymś z milicjantem.

Szubin był bezsilny. Przynajmniej życiu Nataszy nic nie zagrażało. Żyje, jakoś to będzie...

Uspokoiwszy się, Szubin poszedł z powrotem. Do salonu wideo nie wpuścił go stojący za drzwiami żołnierz.

— Muszę porozmawiać z generałem Mielkonianem — powiedział Szubin.

— Nie wolno.

Szubin starał się zajrzeć przez ramię żołnierza do salonu wideo.

— Mielkonian! — krzyknął. — Muszę z wami porozmawiać.

W tej samej chwili silna ręka odepchnęła go od drzwi.

Ledwie utrzymał się na nogach. Przed nim stał porucznik milicji, tak samo nieogolony jak Szubin. Obok — jeszcze jeden milicjant i referent Płotnikow.

— Ten? — zapytał Płotnikowa porucznik.

— Ten.

— Proszę ze mną, obywatelu. Jesteście zatrzymani — powiedział porucznik.

— Dlaczego? — zapytał Szubin.

— Idziemy, dowiedcie się.

Szubin obejrzał się, ale Mielkonian nie wyszedł. Żołnierz trzymający automat przy piersi patrzył obojętnie na aresztowanego. Po jego twarzy przemykały kolorowe błyski wesoło migającego napisu „Salon wideo”.

Na posterunku milicjant poświęcił na rozmowę z Szubinem trzy minuty. Zdążyli go wcześniej poinstruować. Zażądał od Szubina dokumentów, a on ich nie miał, gdyż zostały u sierżanta. Porucznik najwyraźniej wiedział o tym. Następnie przesłuchujący powiedział, że towarzysz podający się za Szubina został zatrzymany w związku z podejrzeniem o zabójstwo obywatela Spiridonowa, które miało miejsce

tej nocy, w hotelu „Radziecki”. Była w tym logika. Szubin doszedł do wniosku, że pomysłodawcą jest sam Silantiew. Można dyskutować, a nawet wykręcić się, gdy oskarżają cię o chuligaństwo, niemoralne prowadzenie, czy nawet obrazę urzędnika państwowego, ale morderców, szczególnie w sytuacjach wyjątkowych, traktuje się srogo.

Szubin starał się wyjaśnić sytuację, ale porucznik słuchał go obojętnie, ze zmęczeniem. Jakby tylko czekał, kiedy Szubin skończy, żeby móc zasnąć.

Powiedział:

— Przyparłem was do ściany.

Jurij zamilkł. Nie można było wykluczyć, że ktoś poradził porucznikowi potraktować ostro tego włóczkę podczas próby ucieczki.

Porucznik osobiście odprowadził więźnia do jedynej celi dworcowego komisariatu. Szedł z tyłu, wyjął pistolet i Szubinowi wydawało się, że porucznik zastanawia się, czy nie dodać Jurija do ofiar katastrofy. Porucznik nigdy nie uwierzy, że aresztant jest zakładnikiem Silantiewa, Grońskiego i całej tej szacownej bandy trzęsącej się nie z powodu poczucia winy lub bólu, ale ze strachu o swoje skóry.

Drzwi do celi zatrzasnęły się z trzaskiem. Pod sufitem paliła się słaba żarówka, obok pryczy, na podłodze leżało ludzkie ciało. Szubin nawet nie zdenerwował się z tego powodu, rozumiejąc, że porucznik i reszta milicjantów, którzy zostali w mieście, mają wystarczającą liczbę zmartwień i bez wynoszenia trupów z komisariatu.

W celi nie było okna. Tylko drzwi z zakratowanym okienkiem, żarówka i sedes w rogu, pod daszkiem.

Szubin podszedł do sedesu i spróbował spuścić wodę. Jednak woda nie popłynęła. Jeszcze jej nie włączyli. A w Rezydencji pewnie jest górskie źródło. Tam właśnie będą odpoczywali urzędnicy z inspekcji, którym z pewnością przyjemniej będzie podziwiać piękno przyrody niż wąchać śmierdzące trupy.

Nagle Jurij przypomniał sobie, że czeka na niego Borys. A jeśli coś mu się przydarzyło? Ciekawe, czy wie, że Natasza rzuciła się z nożem kuchennym na władze miasta? Całkiem prawdopodobne, że Borysa mogli przymknąć. Przecież Silantiew jest człowiekiem zapobiegliwym, na pewno wie o listach i dokumentach Burina. A jeśli wiedzą, to szukają. O ile wczoraj papiery te powodowały co najwyżej irytację, to dzisiaj mogą być jak wyrok śmierci.

I jakby w odpowiedzi na te myśli, w korytarzu rozległy się kroki, zatrzymały się przed drzwiami i Szubin wyobraził sobie, że do celi zaraz wejdzie porucznik i powie bez emocji:

— Na mocy postanowienia o stanie nadzwyczajnym zostaliście skazani na śmierć, wyrok zostanie wykonany natychmiast.

Gdy drzwi otworzyły się, Szubin odruchowo oparł się o ścianę. Uwierzył, że porucznik wypowie te słowa.

Porucznik wszedł i zatrzymał się w progu. Był z nim drugi milicjant. Płotnikow został w korytarzu. Jego sterczące uszy były jeszcze bardziej czerwone.

— Mam świadków! — nagle krzyknął Szubin. Chwilę wcześniej nie miał pojęcia, że to powie. Ale powiedział. — Wasz pracownik, sierżant Wasilenko, on wszystko wie.

— Twarz do ściany — powiedział porucznik.

— Dlaczego? Po co? Nic nie zrobiłem!

— Odsuńcie się krok od ściany — zmęczonym głosem powiedział porucznik — ręce proszę położyć na ścianie i oprzeć się na nich.

Mówił zdecydowanym tonem używanym przez lekarzy i Szubin zrozumiał, że nie będą go rozstrzeliwać, bo do tego nie trzeba opierać się o ścianę. Szybko, starając się wyglądać na posłusznego i niegroźnego, odwrócił się do ściany, trzymając ręce przed sobą. Płotnikow zaśmiał się. Twarde ręce obmacywały boki Szubina, spodnie, kurtkę. Potem podniosły się i zatrzymały na sekundę w okolicy kieszeni.

— Cofnij się! — powiedział porucznik.

Rozległy się szybkie kroki — milicjant i Płotnikow odskoczyli. Co mogło tak przestraszyć porucznika? Porucznik wsadził rękę do kieszeni kurtki.

— To kawa — powiedział Szubin — kawa rozpuszczalna.

— Proszę milczeć — powiedział porucznik. — Widzę, że nie granat. Bojczenko, zobaczcie, co jest w środku.

— Sam sprawdzę — rozległ się głos Płotnikowa.

Od stania w niewygodnej pozycji Jurijowi zeszytniały ręce.

— Proszę odwrócić się twarzą do mnie — powiedział porucznik.

Szubin odepchnął się od ściany, wyprostował się i odwrócił. Porucznik stał przed nim, milicjant krok dalej. Stojący w drzwiach Płotnikow zakręcał słoik z kawą.

Porucznik zakończył rewizję. Wyjął portfel z kieszeni. Wychodząc, zaczepił nogą o leżącego człowieka. Coś wymamrotał.

— Dajcie mi — powiedział Płotnikow do porucznika. Ten oddał portfel.

Referent włożył portfel do swojej kieszeni.

— Więcej nic? — zapytał.

— Nic — odpowiedział porucznik i ruszył w stronę wyjścia. Szubin odzyskał śmiałość:

— A kiedy oddacie rzeczy?

— Jak przyjdzie czas, oddamy.

— Jeszcze się wyklóca — z udawanym oburzeniem krzyknął Płotnikow.

Lepiej by było, gdyby Ela zostawiła kawę w domu. Przecież bydlak nie odda. Towar deficytowy.

Gdy drzwi zamknęły się, Szubin usiadł na brzegu pryczy.

Leżący u jego stóp człowiek odwrócił się, aby przyjąć wygodniejszą pozycję — okazało się, że nie jest martwy, a tylko pijany w trupa.

Było jasne, że szukano papierów Burina. Płotnikow nie od razu zorientował się w sytuacji. Przybiegł z powrotem i zażądał rewizji osobistej.

Szubin siedział na brzegu pryczy. Zupełnie nie chciało mu się spać. Nie miał ochoty na nic, pragnął tylko wyrwać się z celi. Rozumiał jednak, że teraz, w całym tym bałaganie, nikt go nie odnajdzie. Ela? Ela na pewno się przejmie, ale kimże ona jest — kierowcą? Przypadkową dziewczyną? Borys? Borysa postanowiono odizolować. Jeśli w celi byłoby okno, mógłby napisać liścik do generała Mielkoniana. Do diabła tam, napiszesz liścik! Zabrali portfel i notatnik, teraz Płotnikow siedzi u porucznika, albo w jakimś innym specjalnym pomieszczeniu i studiuje notatki.

— Masz papierosa? — trzeźwym głosem zapytał sąsiad z celi.

— Chwileczkę — powiedział Szubin. Papierosy mu zostawili.

Gdy je wyjmował i szukał zapalek, sąsiad znowu usnął, więc zapalił sam.

Za drzwiami tupały ciężkie buty. Potem znowu nastąpił cisza. Szubin podszedł do drzwi, przyłożył ucho do kratki, nasłuchiwał. Daleko, gdzieś w korytarzu, słychać było głosy. Potem trzasnęły drzwi. I Szubin nie tyle usłyszał, co poczuł ciszę panującą w komisariacie. A czego mógł oczekiwać? Że będą tu siedzieć i go pilnować?

Jurij zastukał w drzwi. Nie wiadomo po co, ale zastukał. Potem silniej. Miał ochotę stukać w drzwi, walić, wkładając w uderzenia całą złość spowodowaną własną bezsilnością.

Szubin opamiętał się. Przecież to głupie.

Nie lepiej przemyśleć dalsze zachowanie? Może udać pełną skruchę? Obiecać milczenie...

W oddali trzasnęły drzwi.

Ktoś wszedł do komisariatu. Kroki ucichły. Potem znowu było je słyszać. Zbliżały się do drzwi. Szubin odsunął się na bok. Kroki były wolne, ostrożne, słychać w nich było pogróżkę.

Trzasnął zamek. Drzwi otworzyły się. Szubin stał przytulony do ściany.

— Jesteś tu? — usłyszał głos Koli.

Sierżant Wasilienko wszedł do celi.

— Nie bój się — powiedział. — To ja.

Kola też był nieogolony, ale jasny zarost nie był aż tak widoczny. Na czole widniał siniak.

— Kola! — Szubin chciał się na niego rzucić, uściskać jak starego przyjaciela, ale Kola był oficjalny i oschły.

— Wychodź — powiedział.

Podał mu portfel. Szubin pomyślał, że kawę referent zostawił sobie.

— Szybciej — powiedział Kola. — Nie mam zamiaru trafić przez ciebie pod sąd.

— Już — nie wiadomo dlaczego, Szubin wziął się za zapinanie suwaka kurtki.

Kola wyrzwał na korytarz

— Tam nie ma nikogo — powiedział Szubin.

— I bez ciebie wiem. Nie, nie w tę stronę, w drugą.

Poprowadził Szubina korytarzem, własnym kluczem otworzył białe drzwi, przez które wyszli na peron.

— Idź przed siebie, nie oglądaj się — powiedział Kola.

Z boku powinno to wyglądać tak, jakby milicjant prowadził zatrzymanego. Peron był pusty. Na odległym torze manewrował parowóz. Przez otwarte drzwi wagonu towarowego żołnierze wyładowywali jakieś worki. Napotkany kolejarz obrzucił Szubina obojętnym spojrzeniem.

— W prawo — powiedział Kola.

Zatrzymali się w ciemnym przejściu między dworcem a parterowym budynkiem.

— No i tak — powiedział Kola zupełnie innym głosem. — Tak wyszło.

— Skąd wiedziałeś, że mnie zgarnęli?

— Usłyszałem — powiedział. — Rozmawiali.

— Rozumiesz, dlaczego?

— A co tu jest do rozumienia? — powiedział Kola. — Chcą cię zrobić w zabójstwo Spiridonowa. Nie wykręcilibyś się.

— Sam wiesz najlepiej.

— Jestem na służbie — powiedział Kola. — Skręć teraz od razu w lewo, nie oglądaj się, wyjdiesz na plac, idź w stronę budek.

Zatrzymaj się za trzecią. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

— To ja już pójdę. I tak mogli nas razem zobaczyć. Szubin rozejrzał się — nikogo nie było. Poszedł ciemnym przejściem i znalazł się na placu przed dworcem. Potem szybko ruszył w stronę budek, zatrzymał się za trzecią i ostrożnie wyrzwał na plac.

Wiatr uspokoił się, śnieg padał niezbyt gęsto. Na placu było znacznie więcej ludzi niż godzinę wcześniej. Widocznie w mieście już wiadano, że sztab znajduje się na dworcu. Grupami i pojedynczo ludzie stali wzdłuż kordonu żołnierzy, prosili, próbowali dostać się do środka. Głosów prawie nie było słyszać, ale ogólny hałas spowodowany licznymi okrzykami był wyraźny.

W tej samej chwili, gdy Szubin wyszedł zza budki, na plac wjechała kawalkada zdążająca z lotniska. Z przodu, zgodnie z planem, jak

hipopotam ciągnął transporter, za nim trzy wołgi: dwie czarne i jedna, można powiedzieć, zwyczajna. Za nimi jeszcze jeden transporter.

— Czołg byłby lepszy — pomyślał Jurij. — Bardziej przemawiający do wyobraźni.

Samochody okrążyły zasypany śniegiem klomb i przejechały gęsiego całkiem blisko Szubina. W trzecim, przy samym oknie siedział Groński. Popatrzył na niego. Szubin nie przestraszył się. Spotkał jego spojrzenie i zdziwienie Grońskiego nawet go rozbawiło. Stojące przy ogrodzeniu kobiety rzuciły się w stronę samochodów.

Miał dziwne wrażenie, że nie jest częścią rozgrywających się zdarzeń. Jakby był zaklęty, zaczarowany, jakby był odporny na tę chorobę.

— Juriju Siergiejewiczu! — zawołał Borys. Borys wyglądał z klatki schodowej obok komisu. — Tutaj! Szubin wszedł na klatkę.

— Już myślałem, że się do was nie dorwę — powiedział. — Poszczyło mi się niewiarygodnie.

— Na czym polegało to szczęście?

— Chciałem dać pieniądze sierżantowi, o mało mnie nie przymknął. A kiedy dowiedział się, że to was przymknęli, kazał mi czekać. Zrozumiałem, że wam pomoże. Skąd on was zna?

— Całą noc spędziliśmy razem w hotelu — powiedział Szubin.

— Mimo wszystko jest Bóg na niebie — powiedział Borys.

— Macie listy?

— Wierzycie?

— Dawno uwierzyłem. Tylko nie wiem, jak je stąd wywieziemy. Zamknęli wszystkie drogi?

— Nie dadzą rady. Jutro, gdy im pomoże rejon, na pewno zamkną. A dzisiaj jeszcze nie zamknęli.

Z tyłu ktoś płakał.

— Co to?

— Zapomniałeś, że tutaj też jest parter i pierwsze piętro? Ktoś przyszedł do rodziny i zobaczył. Skoncentruj się. Słuchaj. Ukradłem samochód.

— Jak to ukradłeś?

— Normalnie. Jak się kradnie samochody? Teraz w mieście jest pewnie z tysiąc samochodów bez kierowców. Z kluczykami w stacyjce, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Samochód jest za rogiem. Wywiozę cię z miasta, wiem, gdzie nie ma przeszkód. Zawiozę cię do Siniewy, to taka stacja. Zatrzymuje się tam pociąg w kierunku na Moskwę. Za dwie godziny będziesz w Permie. Dasz radę dalej? Masz pieniądze?

— Mam. Ale nie mam ani paszportu, ani dowodu. Pobiegli za róg. Stało tam żiguli.

— Kiepsko bez paszportu — powiedział Borys. — Paszport jest potrzebny. Weź mój.

Włączył silnik i zaczął rozgrzewać samochód.

— Nie jesteście do siebie podobni.

— Kiedy go wyrabiałem, byliśmy podobni. Miałem normalną fryzurę, nie miałem brody. Patrz.

Wolną ręką Borys wyjął z kieszeni paszport i rzucił go Jurijowi na kolana.

— Słuchaj — powiedział Szubin. — Może zdążylibyśmy podjechać w jedno miejsce?

— Nie — odpowiedział Borys. — Nigdzie nie zdążymy. Zaraz ogłoszą polowanie na ciebie. Stan wyjątkowy, uciekł morderca, maniak. I siebie zgubisz, i sprawę.

— Dobrze — powiedział Szubin. — Muszę koniecznie przekazać wiadomość jednej dziewczynie.

— Napisz do niej list.

— Nie pamiętam adresu.

— Głupio. Jeśli chcesz przekazać wiadomość, powinieneś najpierw zapamiętać adres.

— Sytuacja nie pozwoliła — powiedział Szubin, ale Borys nie wyczuł ironii.

Starał się zawrócić. Miejsca było dość, ale Borys okazał się niezbyt dobrym kierowcą.

— Daj, ja będę prowadzić — zaproponował mu.

— Być może będziesz musiał się chować... Nie chcę, żeby twoja głowa sterczała na widoku.

Szubin otworzył paszport. Rzeczywiście, jeśli nie przypatrywać się zbyt dokładnie, nada się. Borys Aszotowicz Mielkonian.

— Myślałem, że jesteś Żydem. Generał jest twoim krewnym?

— Wszyscy mnie o to pytają. Nie, nie jest krewnym. Nie potrzebuję takiego krewnego!

Borysowi udało się zawrócić, ale tuż obok zawyła karetka pogotowia. Musieli się zatrzymać.

— Widziałeś Nataszę? — przypomniał sobie Szubin.

— Już ci mówiłem — nie wiem!

— A ja widziałem!

— Co? — Borys nacisnął hamulec. Samochód podskoczył i zatańczył na śliskim śniegu.

— Nie denerwuj się, jest żywa i, być może, zdrowa — powiedział Szubin. — Dawaj dalej, nie możemy się tu kręcić w kółko do wieczora.

— Już, już, tylko opowiedz, co widziałeś.

Szubin zaczął opowiadać. Borys wył, przeklinał, tyle że nie wiadomo kogo — Nataszę, czy Grońskiego.

Jurij popatrzył na plac, jakby się z nim żegnał. Z lewej strony zwęglone szczątki hotelu — z prawej ożywiony dworzec. Obok jednej z stojących przy wjeździe wołg kręcili się ludzie. Drzwi były otwarte. Z jednej strony do samochodu wsiadał znajomy porucznik. Z drugiej — Płotnikow.

— Diabli nadali! — powiedział Szubin.

— A ty co? Dlaczego nie opowiadasz? Dokąd ją zabrali? Do jakiego szpitala?

— Tego ty się dowiesz. Mnie martwi co innego — wydaje mi się, że zrobiłem głupotę.

— No, co jeszcze?

— Wydaje mi się, że gdy wracali z lotniska, poznał mnie Groński.

— I co?

— Widzisz wołgę — na nas poluje.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Znajome twarze.

— W takim razie lepiej pojedź z powrotem. Bocznyymi uliczkami.

— Zanim zawrócisz, będziemy ich mieć na ogonie. Ruszaj do przodu.

Borys podporządkował się. Być może, nie była to najlepsza decyzja. Tego ranka samochody prawie nie jeździły po mieście. Zielone ziguli tak szybko przemknęło koło dworca, że, oczywiście, zwróciło na siebie uwagę. Szubin z pewnością powinien się schować. Ale z drugiej strony odsłoniłby, znany równie dobrze prześladowcom, profil Borysa.

— Nie szkodzi, skręcimy tutaj — powiedział Borys, patrząc jak czarna wołga odjeżdża spod dworca.

Skręcił w prawo, potem zauważywszy, że prześladowcy są wciąż niewidoczni, skręcił w bramę dużego domu, ale musiał natychmiast zahamować. Na podwórku leżały trupy blokujące przejazd.

— Diabli nadali, przecież wiedziałem... — powiedział Szubin. — I zapomniałem.

Borys chciał natychmiast wyjechać tyłem z bramy, ale Szubin powstrzymał go.

— Nachyl się trochę — powiedział. — Daj im przejechać.

Przytulony do siedzenia patrzył do tyłu. Miał rację. Po minucie obok przemknęła wołga. Siedział w niej porucznik policji, jeszcze ktoś w cywilu i Płotnikow. Nie zauważyli niewielkiego, zielonego samochodu, tkwiącego maską w bramie.

Borys ruszył do tyłu, wrócili na plac dworcowy i stamtąd ruszyli już inną ulicą.

— Daj listy — powiedział Szubin. — Nigdy nic nie wiadomo. A nuż trzeba się będzie rozstać w pośpiechu.

— Masz rację. Weź, są w schowku.

Szubin wyjął grubą kopertę. Była zaklejona, ale bez podpisu.

Borys zahamował na skrzyżowaniu, gdzie działała automatyczna sygnalizacja świetlna.

Jurij wyjął z kieszeni długopis i, korzystając z tego, że samochód stoi, napisał na kopercie dużymi, drukowanymi, literami:

„PRZEKAZAĆ DO KC KPZR. PILNE”. Potem, z trudem wcisnął kopertę z powrotem do kieszeni kurtki.

— Słusznie — powiedział Borys, widząc, jak Szubin pisze. — A ja na to nie wpadłem. Trzeba przewidzieć każdą sytuację.

Zielone światło wciąż się nie zapalało. Z prawej strony na parterze było otwarte okno. Dwóch mężczyzn wynosiło stamtąd ciało kobiety, która miała na sobie tylko koszulę, nogi miała białe, grube. Mężczyzna, który niósł ją za nogi, starał się cały czas obciągnąć koszulę.

— Może naruszamy przepisy? — powiedział Szubin.

— Co? — Borys także przyglądał się, jak wynoszą kobietę. — Pewnie, pewnie — powiedział.

Przejechał szybko przez skrzyżowanie.

— Wpadłem do domu tylko na chwilę — powiedział. — Tam jest moja mama. Wie wszystko. Moją żonę ubiorą i wszystko zrobią, prawda?

— Oczywiście — powiedział Szubin.

Zwrócił uwagę na to, że po chodniku w tym samym kierunku, w którym jechali, szli ludzie, szybko, zdecydowanie, jakby na służbę. Samochód przejechał przez tory kolejowe, wyjechali na otwartą przestrzeń nachyloną łagodnie w stronę rzeki.

Borys zahamował z zaskoczenia.

Cała przestrzeń, do samej wody była usiana ciałami. Z brzegu stały trzy albo cztery ciężarówki z otwartymi burtami, żołnierze z wyraźnym zmęczeniem, metodycznie układali ciała na ziemi.

Ale między ciałami, między tysiącami ciał, chodzili ludzie. Inni spiesznie podążali w tę stronę, nadchodzili z różnych stron. Niektórzy przypatrywali się twarzom zmarłych, inni nie mieli odwagi podejść blisko, jakaś kobieta klęczała obok ciała mężczyzny i biła się pięściami w piersi.

— Tutaj warto by przywieźć cały komitet rejonowy — powiedział Szubin.

— Zrobię to, gdy tylko będziesz bezpieczny — powiedział Borys. — Przysięgam na pamięć mojej żony, zrobię to.

Pojechali dalej. Jechali obok parterowych domków, ulica była zupełnie pusta i Szubin zrozumiał, dlaczego w żadnym z domów nie został nikt żywy. Na jezdni leżał rozjechany pies. Dwie kury dziobały coś spokojnie koło płotu. Albo przesiedziały nieszczęście na grzędzie, albo ptaki są odporne...

— A teraz schyl się na wszelki wypadek — powiedział Borys. — Miniemy posterunek milicji. Myślę, że nikogo tam nie będzie, ale mogli ich uprzedzić o niebezpiecznym przestępcy.

Szubin schylił się. Na podłodze, tuż obok jego nóg leżała kobieca spinka do włosów.

— Można się wyprostować. Przejechaliśmy — powiedział Borys.

— A właściciel samochodu? — zapytał Jurij.

— Właścicielka. Mieszkała w sąsiednim domu. Odstawię potem samochód na miejsce, nie obawiaj się.

— Nie obawiam się.

Po obu stronach drogi ciągnęły się magazyny, potem minęli oborę.

— Tutaj też doszło — zauważył Borys.

Wrota obory były otwarte, w przejściu leżał trup krowy. Minęli opustoszałą, podmiejską wioskę.

— Niełatwo będzie Silantiewowi zatuszować to wszystko — zastanawiał się Szubin.

— Ma silne oparcie w rejonie — powiedział Borys. — Dlatego właśnie nie daliśmy sobie z nim rady. Jest u nas dopiero drugi rok, jako dobrze rokujący. A tym w rejonie też nie są potrzebne nieprzyjemności.

Wjechali do lasu. Droga pięła się w górę. Wznosiła się równomiernie — widać ją było na kilka kilometrów. Ominęli tkwiący na skraju drogi autobus. Potem stojącego w poprzek drogi moskwicza.

— To nie jest główna droga — powiedział Borys. — Prowadzi tylko do Siniewy. Dlatego wiozę cię tędy. Oni myślą, że jedziemy na lotnisko albo rwiemy trasę na Swierdłowsk.

Żiguli lekko toczyło się pod górę.

— Nie łudź się — powiedział Szubin. Patrzył w lusterko wsteczne. Daleko, z tyłu jechał czarny samochód.

— Może to jakiś inny? — Borys przekręcił głowę, żeby lepiej widzieć prześladowcę.

— A ja ci mówię, nie łudź się. Jaka jest szansa, że w tym samym czasie jedzie tą drogą druga czarna wołga? Co, mają tu gdzieś swoją rezydencję?

— Nie, rezydencja jest przy trasie na Swierdłowsk.

— No to dodaj gazu — powiedział Szubin. — Są za nami. Borys ucziwie cisnął i żiguli jechał na skraju swoich możliwości. Droga była zasypana, dawno nie odśnieżana, więc samochód od czasu do czasu podskakiwał tak, że zdawało się, iż nie wróci już z powrotem na asfalt. Szubin miał ogromną ochotę przejąć kierownicę, bo był znacznie lepszym kierowcą od Borysa, ale nie było czasu na zamianę miejsc.

— Słuchaj, Borysie — powiedział Szubin. — Mam do ciebie prośbę. Znasz Nikołajczyka z „Wiedzy”?

— Znam.

— U Nikołajczyka pracuje kierowca, Ela.

— Wiem — powiedział Borys. — Sympatyzowała kiedyś z chłopakiem z mojej klasy.

— Kiedy?

— To było dawno, ze dwa lata temu.

— To jest moja wizytówka. Niech napisze do mnie. Potrzebuję jeszcze twojego adresu. Przecież chcesz się dowiedzieć, co mi się udało wskórać?

Czarna wołga stopniowo przybliżała się. Prowadził ją zawodowiec.

— Pisz — powiedział Borys. — Gogoła szesnaście, dwadzieścia trzy.

Szubin zapisał adres na jednej ze swoich wizytówek. Włożył ją do kieszeni. Drugą wsunął do kieszeni Borysa. Wołga była już niebezpiecznie blisko.

— Coś trzeba zrobić — oznajmił Szubin. — Daleko jeszcze do stacji?

— Ze trzydzieści, trzydzieści pięć kilometrów.

— Dogonią nas — powiedział Szubin.

— Też tak sądzę. Jak mogli się domyślić?

— Pewnie myśleli tak samo jak ty.

— Wiem! — krzyknął Borys. — Kilometr stąd jest zakręt, za nim dróżka przez las, sześć wiorst, może trochę więcej. Prowadzi do rozjazdu w Lichym. Zatrzymują się tam czasem pociągi towarowe.

— Rozumiem.

— Samochód nie przejedzie. Droga prowadzi tam z drugiej strony torów, od Łowczy.

— Co proponujesz?

— Zwolnię. Tylko na sekundę — a ty biegnij, żeby nie zauważyli, że wysiadłeś. Pociągnę ich za sobą, jak się da najdalej. Jest szansa, prawda?

— Tak, jest szansa — powiedział Szubin.

Przed nimi był zakręt. Szubin odwrócił się. Wołga jechała jakieś czterysta metrów za nimi. Słyszeli pisk hamulców.

— Nie hamuj tak ostro — powiedział Szubin — żeby nie usłyszeli.

Na oparciu fotela położył czapkę narciarską, żeby wydawało się, że pasażer siedzi w samochodzie.

— Szykuj się! — krzyknął Borys.

Za zakrętem zaczął hamować i zjeżdżać na skraj drogi.

Szubin otworzył drzwi. Drzewa rosły blisko drogi, z wołgi nie było ich widać. Gdy samochód zwolnił dostatecznie, odbił się i poleciał do przodu.

Uderzenie. Nie czuł bólu, bo wiedział, że trzeba iść dalej. Podniósł się, ale ręka bolała tak, że znowu upadł. Poczłogał się w dół, do

rowu i znieruchomiał, bo wyraźnie usłyszał, jak zza Zakrętu, piszcząc hamulcami, wyskakuje wołga. Jurij wtulił się twarzą w zimny, twardy śnieg. Nie wiedział nawet, czy leży na widoku, na skraju drogi, czy może rów jest wystarczająco głęboki, by go ukryć.

Wołga przemknęła obok, ale to nic nie znaczyło. Może ktoś z nich wyglądał przez okno i zauważył go, ale samochód potrzebował czasu, żeby zawrócić.

Szubin uniósł się, starając nie opierać się na bolącej ręce i pobiegł w stronę drzew. Tutaj było niewiele śniegu — tylko do kostek — i Szubin zrozumiał, że znajdują go po śladach. Wbiegł do pustego na szczęście zagajnika, nie zwracając uwagi na uderzające po twarzy gałęzie. Droga była dobrze widoczna. Była pusta.

Zdrową ręką pomacał bolącą i nieomal podskoczył z bólu.

— Dobrze, że nie zламаłem nogi — powiedział sam do siebie. — Mogłem zламаć nogę.

Wokół panowała zadziwiająca, bajkowa cisza. W oddali stukał dzięcioł.

Nie zwracając uwagi na tępy ból, Szubin nałamał jodłowych gałęzi i zmusił się, aby wrócić do szosy. Dokładnie wyrównał zdeptany śnieg. Tak, aby z przejeżdżającego samochodu nie można było dojrzeć śladów. Cofał się machając miotłką i myślał o tym, że nie znalazł jeszcze dróżki prowadzącej do rozjazdu, nie przeszedł nią sześciu wiorst i nie doczekał się pociągu towarowego. To wszystko jeszcze przed nim, wszystko to trzeba znieść.

A może trzeba będzie znieść także te gniewne i groźne listy, które, wyprzedzając go, wyrwały się już z miejskiego i rejonowego komitetu. Będą w nich oskarżać go o wszystkie możliwe grzechy, być może nawet o zabójstwo towarzysza Spiridonowa. Czyli — żegnaj, Szwajcario.

Rzucił gałązki w krzaki.

— No i będzie miał za swoje Borys — powiedział sam do siebie i ruszył z powrotem wzdłuż drogi, aż w końcu znalazł zasypaną śniegiem dróżkę, która po dwóch godzinach doprowadziła go, a właściwie jego uparty cień, do rozjazdu w Lichym.

tłumaczyła Agnieszka Chodkowska-Gyurics

* Toptygin — niedźwiedź, bohater popularnych rymowanych opowiadań dla dzieci pióra Kornieja Czukowskiego. (Przyp. tłum.)

* kokosznik — ludowe nakrycie głowy (przyp. tłum.).

* Ernst Johann von Btthren i Heinrich Johann Friedrich Ostermann: ulubieńcy carycy Anny Joannowny; tu: żartobliwie niemieccy faworyci carycy, (przyp. tłum.)

* Tłumaczenie Juliana Tuwima na podstawie przekładu Aleksandra Puszkina (przyp. tłum.)

* Przysłowie rosyjskie: „Lepsza sikorka w ręku niż żuraw na niebie” jest odpowiednikiem polskiego przysłowia: „Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu”. (Przyp. tłum.)